

**JUDITH MCNAUGHT**

**DOSKONAŁOŚĆ**

*książkę tę autorka z miłością i zrozumieniem dedykuje milionom amerykańskich kobiet, które nie mogą przeczytać tej ani żadnej innej, tym, którym trudności okresu dzieciństwa uniemożliwiły zdobycie szlachetnej umiejętności czytania, utrudniły poszukiwanie sensu życia. I tym niezwykłym, bezimiennym bohaterom, którzy poświęcili czas i siły programowi: „Umiejętność czytania i pisanie - przekaz dalej”.*

## PROLOG

Margaret Stanhope stała przy drzwiach prowadzących na werandę. Jej twarz o arystokratycznych rysach zdawała się przeobrażać w lodowatą maskę na widok wnuków odbierających z rąk lokaja kolejne drinki. Przyjechali na letnie wakacje z prywatnych szkół, do których uczęszczali. Z werandy rozciągał się wspaniały widok na pensylwański krajobraz, leżące w błyszczącej w słońcu dolinie miasto Ridgemont, wijące się w alejach drzew ulice, zadbany park i rozległe tereny handlowe; wzgórza wznoszące się na prawo od miasta przysłaniały ekskluzywny „Country Club”. W samym centrum Ridgemont przyciągała wzrok wysepka budynków z czerwonej cegły, wśród nich fabryka Stanhope'ów, przyczyniająca się, mniej lub bardziej bezpośrednio, do dobrobytu i wygodnego życia większości tutejszych rodzin. Jak to zwykle bywa w małych społecznościach, Ridgemont miało trwale ugruntowaną hierarchię towarzyską. Na szczycie znajdowała się rodzina Stanhope'ów. Ich kamienica, której okna spoglądały na miasto z górującego nad innymi zbocza, była najokazalszym budynkiem w mieście.

Dziś jednak Margaret Stanhope daleka była od kontemplowania okolicy i rozważania swej określonej już w chwili urodzenia pozycji społecznej, poprawionej jeszcze małżeństwem; wręcz rozkoszowała się myślą o okrutnym ciosie, jaki zaraz zada trójce obrzydłych jej do cna wnuków. Najmłodszy, szesnastoletni Alex, zauważył jej krytyczne spojrzenie i z niechęcią, zamiast kieliszka szampana, wziął z podsuwanej mu przez lokaja srebrnej tacy szklankę mrożonej herbaty. Jakże on i jego siostra są do siebie podobni, pomyślała Margaret, z niesmakiem obserwując parę młodych. Obydwoje zepsuci, bezwolni, rozpustni i nieodpowiedzialni; za dużo alkoholu, zbędnych wydatków, hazardu; rozpusczeni smarkacze, nie mający pojęcia, co to takiego samodyscyplina. Ale ten stan rzeczy miał się ku końcowi.

Podążyła wzrokiem za lokajem podającym tacę Elizabeth. Wnuczka była ubrana w mocno dopasowaną, żółtego koloru letnią sukienkę z głębokim dekoltem. Gdy spostrzegła minę babki, posłała jej wyzywające spojrzenie i, jak przystało na infantylną siedemnastolatkę, wzięła kieliszek szampana, nie zapominając o drugim na zapas. Margaret Stanhope obserwowała ją bez słowa. Dziewczyna była niemal lustrzanym odbiciem matki - płytkiego, zwariowanego na punkcie seksu frywolnego stworzenia - która zginęła przed ośmioma laty, gdy syn Margaret, a jej mąż, na oblodzonej szosie stracił panowanie nad kierownicą sportowego samochodu, zabijając siebie i żonę, osierocając czwórkę dzieci. W raporcie

policyjnym odnotowano, że obydwójce byli pijani, a samochód poruszał się z prędkością ponad stu mil na godzinę.

Sześć miesięcy temu mąż Margaret, nigdy nie przejmujący się swym podeszłym wiekiem ani złą pogodą, pilotował prywatny samolot podczas lotu do Cozumel, podobno na ryby. Samolot rozbił się, pilot poniósł śmierć. Z cynicznym spokojem Margaret pomyślała, że dwudziestopięcioletnia modelka, która razem z nim znalazła się w powietrzu, zapewne miała posłużyć za przynętę. Śmiertelne wypadki stanowiły wymowną ilustrację nieodpowiedzialności, a ich okoliczności - nader często - rozpustnego charakteru, cech od wielu pokoleń właściwych mężczyznom Stanhope'ow; każdy, arogancki, zuchwały i przystojny, żył tak, jakby był niezniszczalny, a ze swych czynów nie musiał się przed nikim rozliczać.

W rezultacie Margaret spędziła życie, kurczowo czepiając się swej nadwątlonej dumy i próbując zachować arystokratyczną flegmę, podczas gdy jej rozwiązły mąż trwonił majątek na rozliczne grzechy, przy okazji zachęcając wnuki, by żyły tak jak on. Zeszłego roku, gdy położyła się spać w sypialni na górze, mąż sprowadził do domu prostytutki i zabawiał się z nimi wraz z chłopcami. Byli tam wszyscy, oprócz Justina, jej ukochanego Justina...

Łagodny, mądry i pracowity - jedyny z trzech wnuków przypominający mężczyzn z jej rodziny - kochała go całym sercem. Ale Justin umarł, a jego brat Zachary żyje i cieszy się dobrym zdrowiem, swą witalnością wręcz ubliżając pamięci tamtego. Odwróciła głowę i patrzyła, jak po przybyciu na jej wezwanie z lekkością pokonuje schody na werandę, i z trudem udało jej się ukryć nienawiść, jaką poczuła do tego wysokiego, ciemnowłosego osiemnastolatka. Zaciśnęła palce na szklance i całym wysiłkiem woli walczyła z pragnieniem rzucenia nią w tę opaloną twarz, zarysowania paznokciami gładkiej skóry.

Zachary Stanhope III, nazwany tak na cześć męża Margaret, wyglądał dokładnie tak, jak jego dziadek w tym samym wieku, ale nie to było przyczyną jej nienawiści. Miała o wiele poważniejszy powód, Zachary dobrze go znał. Za chwilę zapłaci za swój czyn, niestety, nie do końca. Nie mogła ukarać go tak, jak na to zasługiwał, i za tę bezsilność pogardzała sobą niemal tak mocno jak wnukiem.

Zaczekała, aż służący poda mu szampana i weszła na werandę.

- Pewnie zastanawiacie się, czemu zawdzięczacie to rodzinne zebranie - powiedziała.

Zachary, nie okazując żadnych uczuć, oparty o balustradę słuchał w milczeniu, ale jak zauważyła, Alex i Elizabeth, siedzący przy stoliku pod parasolem, wymienili znudzone spojrzenia. Obydwójce bez wątpienia marzyli, by wymknąć się z domu i spotkać z przyjacielami, podobnymi im nastolatkami: amoralnymi młodymi ludźmi o słabych

charakterach, trawiącymi czas na poszukiwanie niezdrowych podniet, którzy bez najmniejszych zahamowań folgowali zachciankom, bo wiedzieli, że za rodzinne pieniądze wyratują się z każdej opresji.

- Widzę, że się niecierpliwicie - zwróciła się do dwójki przy stoliku - dlatego od razu przejdę do sedna. Jestem pewna, że żadne z was nie zadało sobie trudu zastanowienia się nad czymś równie prozaicznym jak pieniądze. Dziadek, zbyt pochłonięty „towarzyskimi zajęciami” i przekonany o swej nieśmiertelności, nie pomyślał, jak, po wypadku rodziców, zabezpieczyć was finansowo. W rezultacie ja sprawuję pieczę nad majątkiem. Na pewno zastanawiacie się, co to dla was oznacza, z chęcią wytłumaczę. - Z malującym się na twarzy uśmiechem satysfakcji ciągnęła: - Do końca szkoły, jeżeli poprawicie swoje stopnie i będziecie zachowywać się jak należy - oczywiście według mojej oceny - pokryję chesne, a nawet pozwolę zachować wam luksusowe samochody. Skończyłam, kropka.

Elizabeth zareagowała bardziej zdziwieniem niż niepokojem.

- A co z moim kieszonkowym i wydatkami na utrzymanie, gdy w przyszłym roku wyjadę do college'u?

- Żadnych „wydatków na utrzymanie”. Będziesz mieszkać tutaj i chodzić do junior college. Jeżeli w ciągu dwóch najbliższych lat udowodnisz, że można ci zaufać, pozwolę na wyjazd do szkoły.

- Junior college - powtórzyła Elizabeth z furią - chyba nie mówisz poważnie!

- Przekonasz się, Elizabeth. Jeżeli zlekceważysz moje słowa, zostaniesz bez centa. Niech tylko usłyszę o zakrapianych alkoholem przyjęciach, narkotykach albo rozpuście, nie dostaniesz ode mnie grosza. - Popatrzyła w stronę Alexandra i dodała: - Gdybyś miał jakieś wątpliwości, wszystko, co powiedziałam, odnosi się także do ciebie. Już nie wrócisz do Exeter, a szkołę średnią skończysz tu, na miejscu.

- Nie możesz nam tego zrobić! - wybuchnął Alex. - Dziadek nigdy by się nie zgodził!

- Nie wolno ci dyktować nam, jak mamy żyć - lamentowała Elizabeth.

- Jeżeli nie spodobała ci się moja propozycja - kontynuowała Margaret twardym, zimnym jak lód głosem - sugeruję, byś przyjęła posadę kelnerki albo poszukała sobie alfonsa, bo tylko przy tych dwóch zajęciach dasz sobie radę.

Patrzyła, jak ich twarze robią się coraz bledsze i z satysfakcją kiwnęła głową.

- A co z Zackiem? - rozległ się płaczliwy głos Alexandra. - Świetnie radzi sobie w Yale, chyba nie zamierzasz zmusić go, by również zamieszkał tutaj.

Nadszedł moment, na który z utęsknieniem czekała.

- O nie, w żadnym wypadku - powiedziała. Stanęła twarzą w twarz z Zacharym, by móc lepiej go obserwować, i przez zaciśnięte zęby syknęła: - Wynos się! Wynos się z tego domu, raz na zawsze.

Gdyby nie nagle zaciśnięcie szczęk, pomyślałaby, że jej słowa nie zrobiły na chłopcu najmniejszego wrażenia. Nie domagał się wyjaśnień, po prostu ich nie potrzebował. Przeciwnie, spodziewał się tego, co usłyszał, od chwili gdy przedstawiła jego siostrze swe warunki. Bez słowa oderwał się od balustrady i wyciągnął rękę po leżące na stole kluczyki od samochodu, gdy jednak jego palce już ich dotykały, ostry głos Margaret sprawił, że dłoń zawisła w powietrzu.

- Zostaw! Możesz zabrać tylko to, co masz na grzbiecie. – Cofnął rękę i popatrzył w stronę brata i siostry, jakby oczekując pomocy, ale oni, zbyt pogrążeni we własnych smutkach lub, co bardziej prawdopodobne, wystraszeni, że jej się narażą, milczeli.

Margaret pogardzała młodszą dwójką za tchórzostwo i nieojalność, ale postanowiła do końca zagwarantować sobie ich uległość.

- Jeżeli któreś skontaktuje się z nim albo pozwoli na zbliżenie do siebie - Zachary już prawie zszedł po schodach werandy - jeżeli choć by przypadkiem znajdzie się z nim na tym samym przyjęciu lub w tym samym domu, spotka go podobny los. Czy wyrażam się jasno? Jeżeli myślisz, Zachary, o zwróceniu się do któregoś z przyjaciół, lepiej zrezygnuj - rzuciła za odchodzącym wnukiem. - Praca w fabryce Stanhope jest podstawą utrzymania dla znakomitej większości mieszkańców Ridgemont, a teraz ja rządę tam niepodzielnie; nikt nie zechce ryzykować mojego niezadowolenia i utraty zajęcia.

Słyszając jej słowa, odwrócił się i spojrzał z tak wielką pogardą, że uświadomiła sobie, iż nigdy nie przyszłoby mu do głowy zabieganie o pomoc u znajomych. Zaintrygował ją wyraz oczu wnuka. Zanim odwrócił głowę, dostrzegła w nich - żal? A może nienawiść? Strach? Miała nadzieję, że dopadły go wszystkie te uczucia naraz.

Furgonetka zwolniła i zatrzymała się przy samotnym mężczyźnie, idącym poboczem szosy, z marynarką zarzuconą na ramię i zwieszoną głową, jakby krył twarz przed porywistym wiatrem.

- Hej - zawołał Charlie Murdock - podwieźć cię?

Para piwnobursztynowych oczu popatrzyła na Charliego. Przez chwilę młody człowiek wyglądał tak, jakby wyrwano go z głębokiego snu, potem potakująco skinął głową. Gdy wsiadał do szoferki, Charlie zauważył, że chłopiec ma na sobie drogie spodnie, lśniące mokasy, dobrane kolorem do stroju skarpetki, a na głowie nosi modną fryzurę, i od razu

pomyślał, że wziął do samochodu studenta college'u, który, z jakiejś przyczyny, podróżuje autostopem. Pewny swej przenikliwości, zaczął rozmowę:

- Do którego college'u chodzisz?

Chłopiec, nim odpowiedział, z trudem przełknął ślinę, jakby coś dławiło go w gardle i odwrócił twarz w stronę okna. Ton jego głosu był chłodny i stanowczy.

- Nie uczęszczam do college'u.

- A co się stało, gdzieś w okolicy zepsuł ci się samochód?

- Nie.

- Może twoja rodzina tu mieszka?

- Nie mam rodziny. Z szorstkiego tonu pasażera Charlie, który w Nowym Jorku miał trzech dorosłych synów, wywnioskował, że chłopiec całym wysiłkiem woli próbuje powściągnąć emocje. Odczekał kilka chwil i pytał dalej:

- Masz jakieś imię?

- Zack... - zabrzmiała odpowiedź, i po chwili wahania - ...Benedict.

- Dokąd się wybierasz?

- Wszędzie mi po drodze.

- Jadę aż na Zachodnie Wybrzeże, do Los Angeles.

- Świetnie, wszystko mi jedno - odpowiedział chłopiec tonem zniechęcającym do dalszej rozmowy.

Minęło kilka godzin, zanim młody człowiek odezwał się ponownie, tym razem z własnej woli.

- Czy jak dojedziemy do Los Angeles, będzie ci potrzebna pomoc przy rozładunku?

Charlie spojrzął na pasażera spod oka i szybko zmienił swoją opinię o nim. Ten ubrany i mówiący jak dzieciak z bogatej rodziny chłopiec najwyraźniej znalazł się poza swoim środowiskiem, w dodatku bez grosza, i jest zdecydowany odrzucić dumę i zabrać się do zwyczajnej, ciężkiej pracy, co w tych okolicznościach wskazywałoby na siłę charakteru.

- Wyglądasz mi na takiego, który poradzi sobie z noszeniem ciężarów - powiedział, rzucając pełne aprobaty spojrzenie na wysokiego, dobrze zbudowanego Benedicta. - Dźwigałeś może ciężary?

- Kiedyś boksowałem w... kiedyś - uciał.

W college'u, dodał Charlie w myślach. Benedict przypominał mu własnych synów, gdy przechodzili burzliwy wiek i mieli przedziwne pomysły, i czując, iż Zack znalazł się w prawdziwych tarapatach, postanowił dać mu pracę. Wyciągnął do chłopca rękę.

- Nazywam się Murdock, Charlie Murdock. Nie mogę ci wiele zapłacić, ale przynajmniej, jak już dojedziemy do Los Angeles, będziesz miał okazję obejrzeć niezły film. Ta ciężarówka wiezie ekwipunek Empire Studios, mam z nimi umowę i teraz jedziemy właśnie do nich.

Posepna obojętność, z jaką Benedict przyjął niecodzienną bądź co bądź informację, umocniła Charliego w przekonaniu, że pasażer jest nie tylko splukany, ale w dodatku nie ma pomysłu na najbliższą przyszłość.

- Jeżeli sprawdzisz się, może będę mógł szepnąć za tobą słówko w dziale zatrudnienia Empire - oczywiście, jeżeli nie przeszkadza ci machanie miotłą i zginanie pleców.

Pasażer odwrócił twarz do okna, wbijając wzrok w ciemność. Właśnie gdy Charlie ponownie zmienił zdanie, uznając, że chłopak uważa się za kogoś lepszego, młodzieniec odezwał się głosem zachrypłym z zażenowania i ulgi:

- Dziękuję, jestem bardzo wdzięczny.



## ROZDZIAŁ 1

1978

- Jestem pani Borowski z LaSalle, ośrodka do spraw rodzin zastępczych. - Po perskim dywanie kroczyła w stronę recepcjonistki kobieta w średnim wieku, z zarzuconą na ramię firmową torbą magazynu „Woolwortha”. Wskazując gestem dłoni drobną, apatycznie wlokącą się za nią jedenastolatkę, dodała chłodno: - A to Julie Smith, umówiona na wizytę u doktor Theresy Wilmer. Wrócę po nią, jak zrobię zakupy. Recepcjonistka uśmiechnęła się do dziewczynki.

- Doktor Wilmer zaraz cię przyjmie, Julie, a na razie usiądź sobie i wypełnij formularz, ile potrafisz. Gdy byłaś u nas poprzednio, zupełnie o nim zapomniałam.

Zbita z tropu świadomością, że ma na sobie podniszczone dżinsy i powyciągany żakiet, Julie niepewnie rozglądała się po eleganckiej poczekalni, przebiegała wzrokiem po delikatnych figurkach z porcelany stojących na antycznym stoliku do kawy i cennych rzeźbach z brązu wystawionych na marmurowych postumentach. Ominęła z daleka stolik i umieszczone na nim bibeloty. Usiadła na krześle stojącym obok olbrzymiego akwarium, w którym egzotyczne złote rybki, falując płetwami, kluczyły wśród koronkowej zieloności. Pani Borowski, już zza drzwi, wsadziła do pokoju głowę i ostrzegła:

- Julie ukradnie wszystko, co nie zostało przybite gwoździami. Jest cwana i szybka, lepiej niech pani dobrze na nią uważa.

Wściekła z upokorzenia, Julie opadła na krzesło. Wyciągnęła przed siebie nogi, starając się przybrać maksymalnie znudzoną pozę świadczącą o zupełnej obojętności na okropną uwagę pani Borowski. Ale cały efekt psuły jaskrawe kolory wstydu plamiące jej policzki, no i to, że nogami nie sięgała podłogi.

Po chwili usiadła jednak wygodniej i z przestraczem przyglądała się otrzymanej karcie. Choć wiedziała, że nie uda jej się odróżnić słów, spróbowała zrozumieć tekst. Z zawziętością, przygryzając język zębami, skoncentrowała się na drukowanych napisach. Pierwsze słowo zaczynało się na N jak słowo *No* na tablicach z napisem *No Parking* - przyjaciółka wytłumaczyła jej jego znaczenie. Następną literą na karcie było a, tak jak w słowie *cat*, ale pozostałe wyglądały już inaczej. Dłoń dziewczynki z pasją zacisnęła się na żółtym ołówku; całym wysiłkiem woli starała się opanować jakże jej znajome uczucie frustracji i gniewnej rozpacz, ogarniające ją za każdym razem, gdy kazano jej czytać. Słowo *cat* poznała w pierwszej klasie, ale nigdzie więcej się z nim nie spotkała. Wściekła na tekst na

karcie, którego nie rozumiała, zastanawiała się, dlaczego nauczyciele uczą dzieci takich idiotycznych słów jak *cat*, jeżeli nie można nigdzie na nie natrafić, poza głupimi książkami dla głupich uczniów.

Ale te książki nie były głupie, przypomniała sobie, ani nauczyciele. Inne dzieci w jej wieku pewnie w mig poradziłyby sobie z tą durną kartą! To ona jest głupia, bo nie umie przeczytać ani słowa!

Przecież, mówiła sobie, wiem mnóstwo o sprawach, o których inne dzieci nie mają pojęcia, bo nie obserwują wszystkiego tak uważnie. Jedno ze spostrzeżeń podpowiadało jej, że gdy dostaje się kwestionariusz do wypełnienia, trzeba zacząć od wpisania nazwiska.

Z pracowitą starannością, w poprzek górnej części karty wykaliografowała

J - u - l - i - e - S - m - i - t - h , ale zaraz utknęła, niezdolna wypełnić dalszych rubryk. Znowu ogarnął ją gniew i zniechęcenie na głupi kawałek papieru, zaczęła więc myśleć o przyjemniejszych sprawach, jak choćby dotyk wiatru na twarzy wiosenną porą. Właśnie udało jej się wyczarować obraz siebie odpoczywającej pod wielkim, liściastym drzewem, podziwiającej wiewiórki skaczące z gałęzi na gałąź, gdy miły głos recepcjonistki gwałtownie zmusił ją do powrotu do podszytej poczuciem winy czujności.

- Coś nie w porządku z ołówkiem, Julie? Mocno przycisnęła zaostroszony koniec do dzinsów.

- Złamał się, proszę pani.

- Masz tu drugi.

- Boli mnie dzisiaj ręka - skłamała - i nie mam ochoty na pisanie. - Zerwała się. - Muszę iść do toalety, gdzie jest?

- Obok wind. Doktor Wilmer zaraz będzie wolna, nie odchodź za daleko.

- Dobrze - odpowiedziała posłusznie Julie. Po zamknięciu za sobą drzwi gabinetu odwróciła się, by popatrzeć na napis, uważnie studiowała początkowe litery, aby później, gdy wróci, mogła odszukać właściwy pokój.

- P - szeptała na głos, by lepiej zapamiętać - S - Y . – Zadowolona ruszyła przed siebie korytarzem, później przeszła przez wyłożony dywanami hol i skręciła w lewo. Dalej droga prowadziła w prawo, koło fontanny, a gdy w końcu dziewczynka dotarła do wind, odkryła, ku swemu zakłopotaniu, dwoje drzwi z wymalowanymi na nich słowami. Była niemal pewna, że to toalety, gdyż wśród fragmentów wiedzy, które skrzętnie gromadziła, znajdowała się informacja, iż drzwi do ubikacji w dużych budynkach zazwyczaj mają inne klamki niż te prowadzące do pomieszczeń biurowych. Trudność polegała na braku jakichkolwiek napisów, jak BOYS lub GIRLS - słowa, które umiała rozróżnić - brakowało też wizerunków

mężczyzny i kobiety, informujących, gdzie wejść. Julie położyła dłoń na klamce drzwi bliższych windy, pchnęła lekko i zajrzała do środka. Wycofała się w pośpiechu na widok śmiesznie wyglądających muszli na ścianie, gdyż wiedziała jeszcze o dwóch rzeczach, całkowicie, jak sądziła, nieznanymi innym dziewczętom: w toaletach dla mężczyzn wiszą pojemniki o dziwacznych kształtach, a oni wściekają się, gdy dziewczyna przyłapie ich, jak to robią. Otworzyła drugie drzwi i znalazła się we właściwej toalecie.

Uświadomiła sobie, że straciła sporo czasu i pośpiesznie wróciła tą samą drogą, aż doszła do części korytarza, w której powinno znajdować się biuro doktor Wilmer. Z uwagą zaczęła studiować litery. Nazwisko doktor Wilmer poprzedzały PSY, a na najbliższych drzwiach widniał napis PET; pomyślała, że pewnie źle zapamiętała i szybko weszła do środka. Nieznajoma, szpakowata kobieta popatrzyła na nią z nad maszyny do pisania.

- Tak?

- Przepraszam, pomyliłam pokoje - wymamrotała czerwona ze wstydu Julie. - Czy pani wie, gdzie jest biuro doktor Wilmer?

- Doktor Wilmer?

- Tak, no wie pani, Wilmer, zaczyna się od P - S - Y !

- P-S-Y... aha, chodzi ci o Gabinet Psychiatrów! Apartament dwadzieścia pięć szesnaście, przy końcu korytarza.

Kiedy indziej Julie udałaby, że zrozumiała i szukałaby dalej, dopóki nie natrafiłaby na właściwe drzwi, ale teraz nie chciała się spóźnić.

- Może pani przeliterować?

- Słucham?

- Numery! - zawołała zdesperowana dziewczynka. - Proszę powiedzieć mi je tak: sześć-dziewięć-cztery-dwa, w ten sposób.

Kobieta popatrzyła na nią jak na osobę niezbyt rozgarniętą. Rzeczywiście taka jestem, pomyślała Julie, ale nie znoszę, gdy inni mi to wytykają. Po pełnym irytacji westchnieniu kobieta wyrecytowała:

- Doktor Wilmer zajmuje apartament dwa-pięć-jeden-sześć.

- Dwa-pięć-jeden-sześć - powtórzyła Julie.

- Czwarte drzwi po lewej stronie.

- Czemu nie mówiła pani tak od razu! Na widok Julie sekretarka doktor Wilmer podniosła wzrok z nad maszyny.

- Zgubiłaś się?

- Ja? Ależ skąd! - skłamała dziewczynka, gwałtownie potrząsając gęstymi lokami. Wróciła na poprzednie miejsce i zaraz zainteresowała się stojącym obok akwariem, zupełnie nieświadoma, że jest obserwowana z za czegoś, co wyglądało jak zwyczajne lustro. Jej uwagę od razu zwróciła jedna z rybek: nie dawała znaku życia, dwie pozostałe pływały wokół, jakby rozważając pożarcie martwej towarzyszki. Julie uderzyła palcem w szklaną ściankę, by odgonić żarłoczne stworzenia, ale nie na wiele to się zdało, bo zaraz wróciły.

- Tam jest nieżywa rybka - powiedziała, usiłując mówić obojętnym tonem- mogę ją wyciągnąć.

- Sprzątający usuną ją wieczorem, ale dziękuję za dobre chęci.

Julie stłumiła w sobie irracjonalny protest przeciwko czemuś, co uważała za bezsensowne okrucieństwo wobec martwego stworzenia. To niesprawiedliwe, by coś tak niewyobrażalnie pięknego, w dodatku bezbronnego, zostało pozostawione ot tak sobie! Wzięła czasopismo ze stolika i udawała, że je przegląda, ale kątem oka nie przestała obserwować żywych ryb. Za każdym razem, gdy wracały skubać zmarłą koleżankę, Julie rzucała ukradkowe spojrzenia w stronę sekretarki, by przekonać się, czy ta nie patrzy, i niby przypadkiem, wyciągniętą ręką stuknęła w szkło, płosząc nachalne stworzenia.

Kilka stóp dalej, z gabinetu po drugiej stronie lustra, doktor Theresa Wilmer obserwowała scenkę, a jej oczy zajaśniały zrozumieniem na widok bohaterских wysiłków Julie, mających na celu obronienie martwej ryby, przy równoczesnym zachowaniu obojętnej miny na użytek siedzącej za biurkiem kobiety. Zwracając się do stojącego obok mężczyzny, psychiatry interesującego się jej najnowszym przedsięwzięciem, odezwała się ironicznie:

- Oto ona, „straszna Julie”, przerażająca nastolatka, określana przez niektórych z biura rodzin zastępczych nie tylko jako nierozgarnięta, ale także niezdolna do podporządkowania się, dodatkowo mająca fatalny wpływ na rówieśników - niespokojny duch, staczający się w otchłań młodocianej przestępczości. Czy słyszałeś o tym - mówiła dalej tonem lekko rozbawionym, z wyraźną nutą podziwu - że ta smarkuła zorganizowała strajk głodowy w LaSalle? Namówiła czterdzieścioro pięcioro dzieci, w większości starszych, by razem domagali się lepszego jedzenia.

- Pewnie postąpiła tak, by zaspokoić neodpartą potrzebę buntowania się przeciw kierownictwu? - Doktor John Frazier z uwagą przyjrzał się małej dziewczynce stojącej po drugiej stronie lustra.

- Nie - odparła oschle doktor Wilmer - szło o podstawową potrzebę: lepsze jedzenie. Wyżywienie w LaSalle jest wystarczające, ale zupełnie pozbawione smaku, wiem, bo sama próbowałam.

Frazier, zaskoczony, popatrzył na koleżankę.

- A co z kradzieżami? Ich nie można bagatelizować.

Opierając się ramieniem o ścianę, Terry skinęła głową w stronę dziecka i powiedziała z uśmiechem:

- Słyszałeś o Robin Hoodzie?

- No pewnie. Czemu pytasz?

- Bo właśnie patrzysz na uwspółcześnioną wersję młodocianego Robina. Julie potrafiłaby ukraść ci złoty ząb i nawet byś tego nie zauważył, jest niewiarygodnie zręczna.

- Nie sądzę, by to mogło być dostateczną rekomendacją do zamieszkania w Teksasie z twoimi niczego nie podejrzewającymi kuzynami, do których, jak rozumiem, zamierzasz ją posłać.

Wzruszyła ramionami.

- Julie kradnie jedzenie, ubrania czy zabawki, ale nie dla siebie. Rozdaje łupy młodszym dzieciom z LaSalle.

- Jesteś pewna?

- Jak najbardziej; sprawdziłam.

Niewyraźny uśmiech ukazał się na ustach Johna Fraziera, gdy przyglądał się dziewczynce.

- Bardziej niż Robin Hooda przypomina Piotrusia Pana. Wygląda zupełnie inaczej, niż się spodziewałem po przeczytaniu jej akt.

- Mnie także zaskoczyła - przyznała Terry. - Jak wynika z danych Julie, dyrektor Ośrodka Rodzin Zastępczych LaSalle, gdzie dziewczynka, obecnie przebywa, uznał ją za „problem wychowawczy ze szczególnym upodobaniem do wagarów, siania zamętu, kradzieży, włóczenia się w nieodpowiednim męskim towarzystwie”. - Po przeczytaniu aż tak krytycznej opinii doktor Wilmer spodziewała się wojowniczo nastawionej, twardej dziewczyny, której ciągłe eskapady z młodymi mężczyznami zaowocowały prawdopodobnie przedwczesnym zainteresowaniem sprawami seksu, a może nawet nadpobudliwością w tej materii. Dlatego też otworzyła usta ze zdziwienia, gdy przed dwoma miesiącami w jej biurze zjawiło się dziecko o wyglądzie małego, niechlujnego chochlika w dzinsach i podartej koszulce, z krótko ostrzyżonymi, kręconymi ciemnymi włosami. Zamiast młodocianej femme fatale, jakiej oczekiwała, doktor Wilmer ujrzała dziewczynkę z zabawną buzią urwisa, w której najwyraźniejszy akcent stanowiły olbrzymie, ocienione gęstymi rzęsami oczy. W postawie Julie Smith, gdy po raz pierwszy znalazła się przed biurkiem doktor Wilmer w

wysuniętej przodu bródce i dłoniach wciśniętych w tylne kieszenie dżinsów było coś z chłopięcej buńczuczności.

Podczas pierwszego spotkania Theresa została oczarowana. Ale jej fascynacja Julie zaczęła się wcześniej, w chwili gdy pewnego wieczora u siebie w domu otworzyła jej teczkę i zaczęła czytać odpowiedzi w licznych testach, stanowiących część obiecującej metody, ostatnio przez nią opracowanej. Gdy skończyła, zaczynała rozumieć mechanizm myślowy tego dziecka, pojęła głębię bólu, poznając koleje losu dziewczynki: porzucona przez biologicznych rodziców, potem odtrącona przez dwie pary adopcyjnych, została skazana na spędzanie życia w chicagowskich slumsach, w kolejnych, zatłoczonych domach zastępczych. W rezultacie, w całym dotychczasowym życiu jedynym źródłem prawdziwego ludzkiego ciepła i oparcia byli jej towarzysze - niechlujne, zaniedbane jak ona dzieci, które natychmiast uznała za „swoje środowisko”, dzieciaki uczące ją ściągania towarów ze sklepowych półek i wagarowania. Bystrość Julie i zręczność jej palców spowodowały, że sprawdziła się w obydwu dziedzinach. Niezależnie od częstotliwości, z jaką lądowała w kolejnych domach zastępczych, w każdym nowym miejscu szybko zdobywała popularność i szacunek rówieśników, czego dowodem niech będzie wydarzenie sprzed kilku miesięcy: grupa chłopców zgodziła się zademonstrować jej metodę stosowaną podczas włamań do samochodów i sposób ich uruchamiania. Pokaz zakończyło zwinięcie całej grupy - wraz z Julie, tylko obserwatorką - przez zaalarmowanego chicagowskiego policjanta.

Dla Julie było to pierwsze aresztowanie i choć dziewczynka o tym nie wiedziała, także pierwsza w życiu szansa, ponieważ wydarzeniem tym ściągnęła na siebie uwagę doktor Wilmer. Po zatrzymaniu za usiłowanie kradzieży samochodu - niejako niesprawiedliwie - Julie została włączona do nowego, eksperymentalnego programu, obfitującego w testy psychologiczne, wywiady osobiście przeprowadzane przez doktor Wilmer i współpracującą z nią grupę ochotników, psychiatrów i psychologów. Jego zadaniem było uchronienie nieletnich, pozostających pod opieką państwa, przed zejściem na drogę przestępstwa lub przed czymś jeszcze gorszym.

W przypadku Julie Theresa Wilmer uparła się tego dokonać, a jak wszyscy wiedzieli, gdy pani doktor coś sobie postanowiła, zawsze doprowadzała sprawę do końca. Wytworne manieri i miły uśmiech trzydziestopięcioletniej Terry Wilmer zwiodły niejednego, konsekwentnym działaniem potrafiła pokonać każdą przeszkodę. Oprócz imponującej ilości medycznych dyplomów i drzewa genealogicznego, w którym można było zaczytywać się niczym w kronice towarzyskiej, przez naturę została szczerze wyposażona w trzy cechy: intuicję, zdolność do współczucia i całkowitego oddania się pracy dla innych. Z

niezmordowaną energią ewangelisty dążącego do zbawienia zbłąkanych duszyczek porzuciła kwitnącą praktykę prywatną, by poświęcić się sprawie ratowania bezradnych młodocianych ofiar obciążonego nadmiarem podopiecznych, wiecznie niedofinansowanego systemu opieki państwowej. By osiągnąć cel, doktor Wilmer starała się wykorzystywać każdą możliwość; swym entuzjazmem potrafiła zachęcić do współpracy kolegów, takich jak John Frazier. Casus Julie spowodował, że zwróciła się o pomoc do swych dalekich kuzynów, którzy wprawdzie nie byli zamożni, ale znaleźli miejsce w swym domu - a może także w czułych sercach? - dla jednej, niepospolitej, krzywdzonej przez los dziewczynki.

- Chciałam, byś rzucił na nią okiem - powiedziała Terry. Gdy zasłaniała lustro, zobaczyli, jak Julie wstaje, z rozpaczą spogląda na akwarium i szybkim ruchem wkłada obie ręce do wody.

- Co u diabła... - zaczął John Frazier i zdumiony w milczeniu patrzył, jak dziewczynka kroczy z ociekającą wodą martwą rybką w dłoniach w stronę zajętej pisaniem na maszynie rejestratorki.

Julie wiedziała wprawdzie, że nie powinna zmoczyć dywanu, ale nie mogła już dłużej znieść widoku tego cudownego stworzenia, z długimi, falującymi płetwami, rozszarpywanego przez inne rybki. Niepewna, czy siedząca za biurkiem kobieta dostrzegła ją, czy tylko ignoruje, podeszła od tyłu do krzesła.

- Przepraszam - wyrzuciła przesadnie podniesionym głosem, wyciągając przed sobą dłonie.

Sekretarka, całkowicie pochłonięta swym zajęciem, drgnęła nerwowo, potem gwałtownie odwróciła się, wydając stłumiony okrzyk na widok lśniącej, martwej rybki tuż przed własnym nosem.

Julie cofnęła się o krok, ani myślała kapitulować.

- Nie żyje - powiedziała śmiało, starając się załamaniem głosu nie zdradzić żalu, jaki odczuwała. - Inne ją zjedzą, nie chcę na to patrzeć Obrzydliwe! Jeżeli da mi pani kawałek papieru, zawinę ją, wtedy będzie można wsadzić pakunek do kosza na śmieci.

Opanowując zaskoczenie, kobieta próbowała zachować powagę. Wysunęła szufladę, wyjęła kilka bibulek i podała dziecku.

- Chciałabyś wziąć ją do domu i tam pochować?

Julie marzyła właśnie o tym, ale zdawało jej się, że usłyszała w głosie tamtej nutę rozbawienia, szybko więc opakowała rybkę w bibułkowy całun i podała sekretarce.

- Nie jestem taka głupia, psze pani, to tylko ryba, żaden królik czy coś takiego.

Po drugiej stronie lustra Frazier parsknął cicho i potrząsnął głową.

- Strasznie by chciała wyprawić rybce prawdziwy pogrzeb, ale duma nie pozwala jej się do tego przyznać. - Po chwili milczenia zapytał:- A co z brakiem uzdolnień? Jeśli dobrze zapamiętałem, jest na poziomie drugiej klasy.

Doktor Wilmer tylko prychnęła. Sięgnęła po leżący na biurku, oprawiony w szary papier zeszyt z wynikami testów, jakie Julie ostatnio przeszła. Podsunęła go koledze i z uśmiechem powiedziała:

- Zwróć uwagę na ilość punktów, jaką otrzymała przy testach ustnych, gdy nie musiała czytać.

John Frazier zajrzał w zeszyt i wybuchnął gardłowym śmiechem.

- To dziecko ma współczynnik inteligencji wyższy ode mnie.

- Julie jest niezwykła pod wieloma względami, John. Domyślałam się tego już wtedy, gdy przeglądałam jej akta, gdy poznałam osobiście, miałam pewność. Jest pełna życia, odważna, wrażliwa i nieprzeciętnie bystra. Pod łobuzerską pozą kryje się rzadko spotykana łagodność, gorące nadzieje, donkiszoterski optymizm, nie opuszczający jej nawet w najgorszych tarapatkach. Nie może wpłynąć na swój los, dlatego całym sercem oddaje się opiece nad dziećmi w każdym domu zastępczym, do którego ją posyłają. Kradnie i kłamie dla nich, zachęca do głodowego strajku, a one idą za nią wszędzie, jak za dźwiękami zaczarowanego fletu. W wieku jedenastu lat jest urodzoną przywódczynią, ale jeżeli możliwie szybko jej energia nie zostanie właściwie skierowana, niektóre z jej działań mogą zaprowadzić ją do poprawczaka, a w końcu do więzienia. Jednak w tej chwili bardziej martwię się czym innym.

- Co masz na myśli?

- To, że pomimo wspaniałych cech charakteru, poziom poczucia własnej wartości jest u tej dziewczynki przerażająco niski, niemal zerowy. Ponieważ została pominięta przy adopcji, uważa się za kogoś gorszego, nie do pokochania. Nie umie czytać tak dobrze jak rówieśnicy, uważa się więc za kompletną idiotkę, nie potrafiącą się czegokolwiek nauczyć. A najgorsze, że znalazła się na granicy zrezygnowania. Wieczna marzycielka, o krok od utraty złudzeń. - Z biorącą się z głębokiego przekonania siłą Terry dodała: - Nie pozwolę, by zmarnowane zostały możliwości Julie, jej nadzieja, optymizm.

Słyszac ton koleżanki, doktor Frazier uniósł brwi.

- Wybacz, że o tym przypominam, Terry, ale czy przypadkiem to nie ty właśnie uczyłaś nas, by do spraw pacjentów nie podchodzić zbyt emocjonalnie?

Ze smutnym uśmiechem Theresa oparła się o biurko, nie próbowała zaprzeczać.



- Łatwiej było trzymać się tej zasady, mając do czynienia z dziećmi z bogatych rodzin, które uważały się za pokrzywdzone, gdy na szesnaste urodziny nie otrzymały sportowego samochodu za pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Poczekaj, aż spotkasz więcej takich dzieci jak Julie - zależnych od systemu stworzonego do opieki nad nimi, nie dających się w niego wpasować. Stracisz noc, rozmyślając o nich, jeżeli nawet nigdy przedtem ci się to nie przytrafiło.

- Pewnie masz rację - powiedział z westchnieniem, oddając teczkę. - A tak z ciekawości, dlaczego nikt jej nie zaadoptował?

Wzruszyła ramionami.

- Główną przyczyną to jej fatalny pech, zbieg niefortunnych wydarzeń. Według akt Departamentu Spraw Dzieci i Rodziny została porzucona w jakimś zaułku, gdy liczyła zaledwie kilka godzin życia. W szpitalnej karcie odnotowano, że była wcześniakiem, urodzonym dziesięć tygodni przed terminem. Z tego powodu oraz złego stanu, w jakim przywieziono ją na oddział, wyniknęły liczne komplikacje zdrowotne, ciągnące się aż do siódmego roku życia; była dzieckiem bardzo wątłym, co pewien czas na nowo trafiała do szpitala.

- Gdy miała dwa lata, pracownicy agencji znaleźli dla niej rodziców, ale w trakcie procedury adopcyjnej para zdecydowała się na rozwód, więc dziewczynka wróciła do centrum rodziny. Kilka tygodni później umieszczono ją u innego małżeństwa, wcześniej prześwietlonego na wszystkie strony. Akurat wtedy Julie zachorowała na zapalenie płuc, a nowi rodzice, którzy stracili własne dziecko, gdy było w jej wieku, kompletnie rozłożyli się emocjonalnie i wycofali z adopcji. Potem umieszczono ją w rodzinie zastępczej, niestety, po kilku tygodniach pracownik zajmujący się sprawą został poważnie ranny w wypadku i już nigdy nie powrócił do pracy. Odtąd rozpoczyna się przysłowiowa komedia pomyłek. Zaginęły akta Julie...

- Co takiego? - krzyknął z niedowierzaniem doktor Frazier.

- Nie osądzaj pracowników z centrum rodziny zbyt surowo, wiem, co sobie myślisz. W przeważającej liczbie są zaangażowani, pełni poświęcenia i bardzo odpowiedzialni, ale to tylko ludzie. Zważywszy na ogrom pracy i permanentne niedofinansowanie, zdumiewające, że pracują aż tak dobrze. W każdym razie, by się już nie rozwodzić nad tematem, rodzice zastępczy, którzy mieli pod opieką całe mrowie dzieci, założyli, że znalezienie dla Julie, dziewczynki chorowitej, rodziców adopcyjnych, będzie niezwykle trudne. Zanim w centrum przypomniano sobie o Julie, minął najważniejszy do adopcji wiek. Miała już wtedy za sobą niejedną chorobę, a gdy przeniesiono ją z domu zastępczego do następnego, przyplątała się

astma. Przechorowała większość pierwszej i drugiej klasy, ale była taką „słodką małą dziewczynką”, że nauczyciele przepychali ją z klasy do klasy. Jej nowi rodzice mieli pod opieką troje kalekich dzieci i, zajęci nimi, nie zauważyli, że Julie nie radzi sobie w szkole - no bo przecież otrzymywała promocje. Ale w czwartej klasie Julie sama zrozumiała, że nie poradzi sobie, więc symulowała choroby, by tylko pozostać w domu. Gdy opiekunowie połapali się, w czym rzecz, nalegali, by szła do szkoły, wtedy podjęła decyzję najbardziej dla niej oczywistą: by uniknąć szkolnych upokorzeń, wagarowała, włóczęąc się z rówieśnikami z ulicy. Jak już mówiłam, jest pełna życia, odważna i sprytna, szybko nauczyła się, jak ściągać towar ze sklepowych półek i nie dać przyłapać się na włóczęgostwie.

Dalszą historię w większości znasz: w końcu złapano ją na kradzieży w sklepie, podczas wagarów, i wysłano do LaSalle, dokąd kieruje się dzieci nie mogące zaadaptować się w rodzinach zastępczych. Kilka miesięcy temu zatrzymano ją - uważam, że niesprawiedliwie - razem z grupą starszych chłopców, którzy demonstrowali jej najnowszą metodę uruchamiania samochodów. - Tłumiąc śmiech, Terry dokończyła: - Julie była tylko wdzięczną obserwatorką, jednak teraz wie już, jak to zrobić. Proponowała nawet, że mi pokaże. Możesz sobie wyobrazić? Ta małeńka dziewczynka z ogromnymi, niewinnymi oczami potrafi, bez kluczyka, uruchomić samochód! Ale przynajmniej nie po to, by go ukraść; bierze tylko rzeczy, które mogą przydać się dzieciom z LaSalle.

Ze znaczącym uśmiechem, Frazier wskazał głową lustro.

- Założę się, że „przyda” im się czerwony ołówek, długopis i garść cukierków.

- Co takiego?

- W czasie gdy ze mną rozmawiałaś, twoja wszechstronnie utalentowana pacjentka zwędziła to wszystko z recepcji.

- Wielki Boże! - westchnęła doktor Wilmer, choć w jej głosie nie było znać, by zbyt przesyłała się. Popatrzyła przez lustro.

- Jest dostatecznie szybka, by wyczarować królika z kapelusza - powiedział Frazier, z trudem kryjąc podziw. - Przeprowadź ją tu, zanim znajdzie sposób na wyniesienie ukradkiem akwarium. Założę się, że dzieciaki w LaSalle ucieszyłyby egzotyczne rybki.

Rzuciwszy okiem na zegarek, Theresa powiedziała:

- Zaraz powinni zadzwonić do mnie z Teksasu Mathisonowie i powiedzieć, kiedy będą mogli ją przyjąć. Chciałabym przekazać Julie dobrą wiadomość. - Telefon na biurku zadzwonił, w słuchawce rozległ się głos sekretarki:

- Pani Mathison chce rozmawiać z doktor Wilmer.

- Nareszcie - ucieszyła się Terry.

John Frazier popatrzył na zegarek.

- Za kilka minut mam pierwsze spotkanie z Cara Peterson. - Ruszył w stronę drzwi, ale z ręką na klamce zatrzymał się i wykrzywiając w uśmiechu usta, dodał: - Przyszło mi do głowy, że w twoim programie podział pracy jest mocno niesprawiedliwy, ty dostajesz dziewczynę kradnącą cukierki i ołówki dla biednych dzieci, ja Care, która próbowała zgładzić zastępczego ojca. Ty dostajesz Robin Hooda, ja Lizzie Borden.

- Ale ty uwielbiasz wyzwania - odpowiedziała ze śmiechem Theresa Wilmer, a później, sięgając po słuchawkę, dodała poważnie: - Zamierzam zwrócić się do centrum rodziny, by przeniesiono panią Borowski z LaSalle do innego ośrodka, w którym będzie się opiekować wyłącznie niemowlętami i małymi dziećmi. Pracowałam z nią wcześniej i wiem, że z maluchami radzi sobie doskonale. One potrzebują pieczyoty, a nie łamią przepisów. Nie powinna sprawować opieki nad nastolatkami, nie potrafiąc odróżnić drobnego nieposłuszeństwa, wynikającego z buntu wieku dorastania, od czynów przestępczych.

- Czy przypadkiem nie odkuwasz się na niej za uprzedzenie sekretarki, że Julie ukradnie wszystko, czego się uważnie nie pilnuje?

Doktor Wilmer, zanim jeszcze podniosła słuchawkę, powiedziała:

- Bynajmniej, ale to jeszcze jeden dowód potwierdzający moją opinię o niej.

Gdy skończyła rozmowę, wstała i podeszła do drzwi. Nie mogła doczekać się niespodzianki, jaką miała sprawić Julie Smith.

## ROZDZIAŁ 2

- Julie - rzuciła zza biurka - proszę, wejdź. - Gdy dziewczynka zamknęła za sobą drzwi i podeszła bliżej, Terry dodała wesoło: - Twoje testy nareszcie się skończyły, właśnie otrzymałam wyniki.

Młoda pacjentka ominęła krzesło i stanęła przed biurkiem Terry, z lekko rozstawionymi małymi stopami i dłońmi wciśniętymi w tylne kieszenie dżinsów. Z obojętnością wzruszyła ramionami, ale nie zapytała o wyniki, bo, jak Terry dobrze wiedziała, obawiała się odpowiedzi.

- Testy były kretyńskie - powiedziała. - Ten cały program jest bez sensu, co można o mnie powiedzieć po kilku ankietach i rozmowach?

- W ciągu tych paru miesięcy naszej znajomości wiele się o tobie dowiedziałam, Julie. Chcesz, bym ci tego dowiodła, powiedziała, co odkryłam?

-Nie.

- Proszę, pozwól przekazać sobie, co myślę. Dziewczynka skrzywiła się łobuzersko.

- I tak to zrobisz.

- Masz rację - przyznała doktor Wilmer, powstrzymując uśmiech wywołany bystrą uwagą. Metoda, polegająca na otwartości, jaką miała zastosować w przypadku Julie, całkowicie różniła się od tej, jakiej użyłaby w innych okolicznościach. Ale to dziecko, posiadające wrodzoną przenikliwość, pogłębianą ulicznym wychowaniem, nie da się zwieść słodkimi komunałami i półprawdami. - Usiądź - zaprosiła, a gdy Julie opadła na stojące przed biurkiem krzesło, ze spokojną stanowczością zaczęła: - Odkryłam, że pomimo tych wszystkich zuchwałych czynów i obnoszenia się ze śmiałością, tak naprawdę śmiertelnie się boisz, w każdej chwili, każdego dnia. Nie wiesz, kim jesteś i wolisz nie zastanawiać się, kim będziesz. Nie umiesz czytać ani pisać, więc uważasz się za głupią. Uciekasz z lekcji, bo nie nadążasz za rówieśnikami, bardzo cierpisz, gdy w klasie śmieją się z ciebie. Czujesz się jak w pułapce, bezsilna, i nienawidzisz tych uczuć.

- Wiesz o tym, że ominęła cię adopcja, gdy byłaś młodsza, i że porzuciła cię własna matka. Już dawno utwierdziłaś się w przekonaniu, że powodem, dla którego nie chcieli cię naturalni rodzice, a adopcyjni nie przysposobili, był lęk, iż nic dobrego z ciebie nie wyrośnie, bo nie jesteś wystarczająco bystra ani ładna. A więc obcinasz włosy jak chłopiec, nie chcesz nosić spódniczek, kradniesz, ale i tak nie jesteś szczęśliwa. Wydaje ci się, że wszystko, co

robisz, jest bez znaczenia, to twój prawdziwy problem, jeżeli nie wpadasz w kłopoty - nikogo nie obchodzisz. Nienawidzisz siebie, bo chciałabyś spowodować, żeby było inaczej.

Doktor Wilmer przerwała na chwilę, aby ostatnia część przemowy lepiej trafiła do dziewczynki. Po chwili natarła mocniej.

- Chcesz zainteresować sobą kogokolwiek, Julie. Gdybyś miała tylko jedno życzenie, wyglądałoby ono właśnie tak.

Dziewczynka czuła, jak oczy pieką od upokarzających łez - surowe słowa doktor Wilmer doskwierały prawdą - zatrzepotała powiekami, by je powstrzymać.

Nagle zwilgotnienie oczu i ruch rzęs nie uszły uwagi doktor Wilmer, dla której łzy Julie były potwierdzeniem, że jej słowa trafiły do celu. Mówiła dalej, teraz już łagodniej:

- Nienawidzisz siebie za snucie nieziszczalnych marzeń, ale nie potrafisz się powstrzymać, wymyślasz więc wspaniałe historyjki i opowiadasz maluchom z LaSalle. O samotnych, brzydkich dzieciach, które pewnego dnia znajdują rodzinę, miłość i szczęście.

- Pani wszystko przekreśliła! - zaprotestowała gwałtownie Julie, czerwieniąc się aż po cebulki włosów. - Mówi pani, jakbym była jakąś... jakąś płaksą. Nie potrzebuję, by mnie ktoś kochał, dzieciaki z LaSalle również... Nie chcę! Jestem szczęśliwa...

- Jest inaczej. Dzisiaj powiemy sobie całą prawdę, jeszcze nie skończyłam. - Nie spuszczać wzroku pod spojrzeniem dziecka, powiedziała z mocą: - Prawda jest taka, Julie: Podczas testów odkryliśmy, że jesteś odważną, wspaniałą i bardzo rozgarniętą dziewczynką. - Uśmiechnęła się na widok oszołomionej miny dziecka i ciągnęła: -Jedynym powodem, dla którego nie nauczyłaś się czytać i pisać, był długi okres nieobecności w szkole spowodowany chorobą; później nie potrafiłaś już dogonić klasy. I nie ma to nic wspólnego z twoimi zdolnościami, z tym, co ty nazywasz bystrością, a my inteligencją. Wszystkim, czego potrzebujesz, by nadrobić braki, jest, przez jakiś czas, czyjaś pomocna dłoń. A poza tym - kontynuowała, nieco zmieniając temat posiadasz naturalną potrzebę bycia kochaną, taką jaka jesteś. Twoja duża wrażliwość sprawia, że łatwo cię zranić. Właśnie dlatego dostrzegasz krzywdę innych dzieci i na różne sposoby starasz się im pomagać; opowiadasz historyjki i kradniesz dla nich. Wiem, nie znosisz własnej wrażliwości. Ale, wierz mi, to najcenniejsza z twoich cech. Teraz musimy tylko umieścić cię w środowisku, które pomoże ci zostać w przyszłości wspaniałą kobietą, na jaką masz zadatki...

Julie pobladła, obce jej słowo „środowisko” brzmiało jak instytucja, może nawet jak nieznaną nazwa więzienia.

- Znam rodziców zastępczych akurat w sam raz dla ciebie - Jamesa i Mary Mathisonów. Pani Mathison była nauczycielką i aż pali się, by ci pomóc w nauce. Wielebny Mathison jest pastorem...

Julie zeskoczyła z krzesła jak oparzona.

- Ksiądz! - wybuchnęła, gwałtownie potrząsając głową na wspomnienie długich kazań o ogniu piekielnym i potępieniu, jakich nasłuchiwała się w kościele.- Nigdy, wolę już iść do pudła!

- Jeszcze tam nie byłeś, więc nie wiesz, o czym mówisz - oświadczyła doktor Wilmer i dalej opowiadała o zastępczej rodzinie, jak gdyby pozostawiała Julie jakiś wybór. - Kilka lat temu James i Mary Mathisonowie przenieśli się do małego miasteczka w Teksasie. Mają dwóch synów, starszych od ciebie o trzy i pięć lat, a w przeciwieństwie do domów, w których dotychczas mieszkałaś, nie będzie tam innych przysposobionych dzieci. Staniesz się członkiem prawdziwej rodziny, nawet dostaniesz własny pokój, co, jak wiem, spotka cię po raz pierwszy w życiu. Rozmawiałam o tobie z Jamesem i Mary, nie mogą się doczekać, kiedy przyjedziesz.

- Na jak długo? - zapytała Julie, starając się nie wpadać w entuzjazm z powodu czegoś, co będzie tylko na jakiś czas, a pewnie w ogóle nie wypali.

- Na zawsze, zakładając, że ci się tam spodoba i zechcesz podporządkować się jednej, surowo przestrzeganej zasadzie, którą ustanowili zarówno dla siebie, jak i dzieci: absolutna uczciwość. Koniec z kradzieżami, kłamstwami, wagarami. Masz tylko obowiązek bycia uczciwą, nic więcej. Wierzą w ciebie i bardzo, ale to bardzo chcą, byś weszła do ich rodziny, Pani Mathison dzwoniła do mnie przed chwilą, właśnie idzie kupić jakieś gry, które ułatwią ci szybkie nadrobienie szkolnych braków. Czeka, byście razem wybrały rzeczy do twojego pokoju, urządzisz go według własnego gustu.

Opanowując wybuch zachwytu, Julie powiedziała:

- Nie wiedzą, że byłam zatrzymana przez policję za włóczęgostwo?

- I próbę kradzieży - dodała surowym głosem doktor Wilmer. -Tak, słyszeli o wszystkim.

- I mimo to chcą, bym u nich mieszkała? - prychnęła wzgardliwie Julie. - Chyba bardzo potrzebują pieniędzy z opieki.

- Pieniądze nie miały żadnego wpływu na ich decyzję! - oburzyła się Theresa Wilmer, surowość jej głosu łagodził jednak powstrzymany uśmiech.- To wyjątkowa rodzina. Nie są zamożni, ale uważają się za bogato wyposażonych w inne dary i chcą dzielić je z zasługującym na to dzieckiem.

- Akurat ze mną? - zdziwiła się Julie. - Nikt nie chciał mnie wcześniej, zanim zostałam zapisana w policyjnej kartotece, dlaczego teraz ktoś nagle mnie zapragnął?

Ignorując to retoryczne pytanie, doktor Wilmer wstała i obesła biurko.

- Julie - powiedziała łagodnie, czekając cierpliwie, aż dziewczynka podniesie na nią wzrok. - Myślę, że jesteś najbardziej zasługującym na pomoc dzieckiem spośród tych, jakie miałam szczęście spotkać. - Temu niezwykłemu komplementowi towarzyszył pierwszy fizyczny gest czułości zaznany w życiu przez Julie; lekarka położyła jej dłoń na policzku i dodała: - Nie wiem, jak to się stało, że ostałaś się taka słodka i wyjątkowa, ale wierz mi, zasługujesz na wszelką pomoc, jaką mogę ci zapewnić, i miłość, którą, jak wierzę, znajdziesz w domu Mathisonów.

Julie wzruszyła ramionami, usiłując uodpornić się na nieuchronne rozczarowanie, ale nie potrafiła całkowicie stłumić wybuchu nadziei.

- Za dużo się pani spodziewa, doktor Wilmer. - Theresa uśmiechnęła się łagodnie.

- Liczę na ciebie. Jesteś niezwykle inteligentną, obdarzoną intuicją dziewczynką i będziesz umiała rozpoznać dobro, gdy je napotkasz.

- Pani to się zna na swojej pracy - powiedziała mała z westchnieniem, wyrażającym częściowo nadzieję, a po części obawę przed przyszłością. - Prawie uwierzyłam.

- Masz rację, w swoim zawodzie jestem dobra - przyznała doktor Wilmer. - Bardzo bystre spostrzeżenie. - Z uśmiechem ujęła Julie pod brodę i z łagodną powagą spytała: - Od czasu do czasu napiszesz, jak ci idzie?

- Oczywiście. - Julie wzruszyła ramionami.

- Mathisonów nie obchodzi, co zrobiłaś w przeszłości, wierzą, że będziesz wobec nich uczciwa. Czy ty także potrafisz zapomnieć o tym, co było, i dać im szansę, by okazali ci pomoc w staniu się wspaniałym człowiekiem?

- Postaram się. - Julie, oszołomiona, zachichotała niepewnie.

Ani na chwilę nie pozwalając dziewczynce na ochłonięcie z wrażenia, Theresa z powagą mówiła dalej:

- Pomyśl o tym, Julie. Mary Mathison zawsze pragnęła córki, a ty jesteś jedyną małą dziewczynką, jaką chce przyjąć do domu. Zaczynasz we własnej rodzinie, z czystą kartą, cała lśniąca, jakbyś była nowo narodzonym dzieckiem. Rozumiesz?

Julie już otwierała usta, by przytaknąć, ale poczuła ucisk w gardle, więc tylko skinęła głową.

Theresa Wilmer wbiła wzrok w wielkie, błękitne oczy, spoglądające na nią z urokliwej twarzy urwisa, i także zamilkła ze wzruszenia. Wyciągnęła rękę i pogłaskała splątane, brązowe loki.

- Może pewnego dnia zapuścisz włosy - szepnęła z uśmiechem. - Będą piękne, gęste.

Julie odzyskała wreszcie głos, jej czoło zmarszczyła troska.

- Ta pani... pani Mathison, to znaczy... chyba nie będzie chciała ich kręcić i wiązać wstążką ani nic podobnie idiotycznego?

- Chyba że sama poprosisz.

Doktor Wilmer z melancholią patrzyła za odchodzącą Julie. Dziewczynka pozostawiła lekko uchylone drzwi, więc Theresa wstała, by je zamknąć - sekretarka wyszła na lunch. Gdy ujmowała klamkę, ujrzała Julie przy stoliku, potem idącą do biurka rejestratorki.

Dziewczynka odeszła, na stoliku przybyła garść cukierków, a na pustym biurku pojawiły się czerwony ołówek i długopis.

Theresę ogarnęło uczucie radości i dumy z odniesionego sukcesu. Wszeptała ochryplym ze wzruszenia głosem za odchodzącym dzieckiem:

- Chciałaś mieć czyste konto, prawda, kochanie? Moja dziewczynka!



### ROZDZIAŁ 3

Szkolny autobus zatrzymał się przed przytulnym, wiktoriańskim domem, o którym Julie, odkąd przed trzema miesiącami zamieszkała u Mathisonów, nauczyła się myśleć jak o własnym.

- No to jesteśmy na miejscu, Julie - powiedział dobrodusznie kierowca.

Żadna z nowych koleżanek nie pożegnała jej jak poprzednio. Ich chłodne, podejrzliwe milczenie pogłębiło jeszcze przyprawiające ją o kurcz żołądka przerażenie, gdy ciężko, nie śpiesząc się, szła pokrytym śniegiem chodnikiem. Pieniądze zbierane w klasie Julie na weekendowe obiady zostały skradzione z biurka nauczycielki! Przepytano dzieci z jej klasy, ale i tak wszyscy wiedzieli: to Julie tego dnia została dłużej w szkole, by dokończyć pracę z geografii, to ona stała się główną podejrzaną. I nie tylko dlatego, że miała wyśmienitą okazję. Była nowa, obca, była dzieckiem ze zdeprawowanego, wielkiego miasta. Nigdy wcześniej nic podobnego nie wydarzyło się w tej szkole, więc dla wszystkich już była winna. Tego popołudnia, gdy stała pod gabinetem dyrektora, usłyszała, jak pan Duncan mówi do sekretarki, że zadzwoni do pastora i pani Mathison, by poinformować o kradzieży. Niewątpliwie uczynił tak, bo samochód wielebnego stał na podjeździe, a pastor rzadko tak wcześniej bywał w domu.

Gdy dotarła do furki w ogrodzeniu z pomalowanych na biało prętów, przystanęła i patrzyła na dom. Na samą myśl o wygnaniu z tego miejsca jej kolana trzęsły się tak, że jedno uderzało o drugie. Mathisonowie dali jej osobny pokój z osłoniętym baldachimem łóżkiem, przykrytym kwiecistą kapą, jednak komfortu będzie jej najmniej brakowało. Najmocniej zatęskni do czułych uścisków, śmiechu, ciepłych słów. Och, oni wszyscy mieli takie miękkie, wesołe, przepojone nutą serdeczności głosy! Sama myślała, że mogłaby nigdy więcej nie usłyszeć Jamesa Mathisona mówiącego: „Dobranoc, Julie, nie zapomnij o modlitwie, kochanie”, sprawiła, iż zapragnęła paść w śnieg i płakać jak małe dziecko. I jak tu dalej żyć, jeżeli nigdy więcej nie usłyszy Carla i Teda, o których nauczyła się myśleć jak o starszych braciach, wołających ją do zabawy lub proponujących wspólne wyjście do kina? Nigdy więcej ze swoją rodziną nie pójdzie do kościoła, nie usiądzie z nimi w pierwszej ławie, by posłuchać, jak wielebny Mathison łagodnym głosem opowiada o Panu, a zasłuchani członkowie kongregacji w pełnym szacunku milczeniu chłoną każde jego słowo. Z początku nie podobało jej się w kościele, msze wydawały się trwać bez końca, ławki były twarde jak skała, ale potem zaczęła wsłuchiwać się w słowa wielebnego Mathisona. Po kilku tygodniach

niemal uwierzyła w istnienie dobrego, miłosiernego Boga, czuwającego nawet nad takim marnym robaczkiem jak ona - Julie Smith. Teraz stała po kostki w śniegu i szeptała:

- Proszę Cię, Boże wielebnego Mathisona... - choć była przekonana, że Stwórca nie zajmie się taką nieistotną sprawą.

Powinna wiedzieć, że za dobrze jej się układało; łązy, z którymi walczyła, przesłoniły wzrok. Przez chwilę czepiała się nadziei, że skończy się na chłóście i nie zostanie odesłana do Chicago, ale im dłużej rozważała sytuację, tym wyraziściej widziała zbliżającą się katastrofę: nowi rodzice nie byli zwolennikami kar cielesnych, ale kłamstwo i kradzież uważali za przewinienia nie do wybaczenia. Obiecała przecież, że nie dopuści się ani jednego, ani drugiego, a oni jej zaufali.

Pasek nowej, nylonowej torby na książki zsunął się z ramienia w śnieg, ale Julie była zbyt zrozpaczona, by zwracać uwagę na taki drobiazg. Ciągnęła worek za drugie ucho, niemal sparaliżowana strachem dotarła do domu i schodami weszła na werandę.

Na kuchennym stole stygły na tacach jej ulubione czekoladowe ciasteczka. Normalnie cudowny aromat świeżo pieczonego ciasta sprawiłby, że ślinka napłynęłaby jej do ust, teraz poczuła mdłości, zrozumiała bowiem, iż Mary Mathison piecze dla niej być może po raz ostatni. Kuchnia była dziwnie opustoszała, a rzut oka do salonu upewnił ją, że tam również nie ma nikogo. Z pokoju przy końcu korytarza dobiegały głosy braci. Trzęsącymi się rękami powiesiła torbę na wieszaku obok kuchennych drzwi, zerwała z siebie ocieplaną, zimową kurtkę i ruszyła do sypialni chłopców.

Carl, jej przybrany szesnastoletni brat zobaczył ją w drzwiach, podszedł i objął ramieniem.

- Cześć, Julie-Bob - zażartował. - Co sądzisz o naszym nowym plakacie? - Zwykle przezwisko, którym wołał na nią, wywołałoby uśmiech na jej twarzy, dziś miała ochotę krzyknąć z rozpacz, bo wiedziała: więcej nie usłyszy tych słów. Ted, dwa lata młodszy od brata, wykrzywił się do niej zabawnie i wskazał na plakat przedstawiający podobiznę ich najnowszego idola filmowego, Zacka Benedicta.

- Jak ci się podoba ten facet, Julie, czyż nie jest wspaniały? Ja też kiedyś będę miał taki motocykl jak Zack Benedict.

Przez łązy patrzyła na naturalnej wielkości postać wysokiego, barczystego mężczyzny, opartego o motocykl, z rękami skrzyżowanymi na szerokiej, mocno opalanej klatce piersiowej pokrytej ciemnym zarostem, bez śladu uśmiechu na przystojnej twarzy.

- Jest wspaniały - przyznała apatycznie. - Gdzie wasi rodzice? - zapytała pozbawionym wyrazu głosem. Choć przybrani rodzice od samego początku zachęcali do nazywania ich

mamą i tatą, wiedziała, że wkrótce utraci ten przywilej. - Muszę z nimi porozmawiać. - Jej głos, brzemienno wylanymi łzami, załamał się. Była zdecydowana jak najszybciej mieć za sobą to, co nieuchronne; dłużej nie zniesie uczucia bezradnego strachu.

- O czymś konferują w sypialni - powiedział Ted, ani na chwilę nie odrywając zachwyconego wzroku od plakatu. - Dzisiaj idziemy z Carlem zobaczyć najnowszy film Zacka Benedicta. Chcieliśmy cię ze sobą Babrać, ale z powodu brutalnych scen jest dozwolony od trzynastu lat i mama nie pozwoliła. - Na chwilę oderwał oczy od swego idola i spojrzał na zrozpaczoną twarz Julie. - Hej, mała, nie rób takiej pogrzebowej miny, weźmiemy cię na pierwszy film, który...

Drzwi po drugiej stronie korytarza otworzyły się, z sypialni wyszli przybrani rodzice Julie, twarze mieli zasepione.

- Wydawało mi się, że słyszę twój głos, Julie - powiedziała Mary Mathison. - Masz ochotę coś przekąsić, zanim usiądziesz do lekcji?

Wielebny Mathison spojrzał na pełną napięcia twarz dziewczynki.

- Zdaje się, że Julie jest zbyt wytrącona z równowagi, by zająć się nauką.- Następnie zwrócił się do małej: - Chciałabyś porozmawiać o tym, co cię niepokoi, teraz czy po kolacji?

- Teraz - szepnęła. Carl i Ted wymienili zdziwione, zaniepokojone spojrzenia; już mieli opuścić pokój, ale Julie ruchem głowy dała znak, by zostali. Czuli, że lepiej od razu i przy wszystkich załatwić sprawę, Gdy starsi Mathisonowie usiedli na łóżku Carla, zaczęła drżącym głosem: - Dzisiaj w szkole ukradziono pieniądze...

- Wiemy o tym - powiedział wielebny beznamiętnym tonem. - Twój dyrektor już do nas dzwonił. Najwyraźniej pan Duncan, jak twoja nauczycielka uznali za winowajczynię właśnie ciebie.

Już podczas drogi do domu Julie postanowiła, że choćby nie wiem jak bolesne czy niesprawiedliwe słowa padały z ich ust, nie będzie błagać, upokarzać się prośbami. Niestety, wtedy nie mogła nawet wyobrazić sobie ogromu rozpaczy, jaka ogarnie ją w chwili utraty nowej rodziny. Już wcisnęła dłonie w tylne kieszenie džinsów, już, zupełnie nieświadomie, przybierała buntowniczą pozę... ale plecy zadrżały gwałtownie, z twarzy musiała otrzeć rękawem znieawidzone łzy.

- Ukradłaś te pieniądze, Julie?

- Nie! - Słowo eksplodowało rozpaczą.

- No to załatwione. - Wielebny Mathison i jego żona wstali, jak gdyby właśnie przekonali się, że jest nie tylko złodziejką, ale w dodatku bezczelną kłamczuchą. Julie zapomniała o wcześniejszym postanowieniu, zaczęła błagać, przysięgać niewinność.

- Nie zabrałam tych pieniędzy - wyrzuciła z siebie przez łyzy, nerwowo skręcając w dłoniach dół swetra. - Obiecałam wam, że już nigdy nie będę kradła ani kłamała i nie zrobiłam tego. Nie zrobiłam! Proszę, uwierzcie mi...

- Wierzymy ci, Julie.

- Zmieniłam się, naprawdę, i... - Urwała; wpatrywała się w Mathisonów z niedowierzaniem. - Wy... jak to! - wyszeptwała.

- Julie - powiedział pastor, dotykając jej policzka - gdy przybyłaś do nas, poprosiliśmy, byś obiecała, że nigdy więcej nie będziesz kłamać ani kraść. Dałaś słowo, my zaufaliśmy ci. Czyżbyś nie pamiętała?

Julie skinęła głową. Z przenikliwą jasnością przypomniała sobie chwilę sprzed trzech miesięcy, potem ujrzała na twarzy przybranej matki pełen macierzyńskiego ciepła uśmiech i rzuciła się w jej objęcia. Otoczyli ją ciasno, ogarnęli zapachem goździków, milczącą obietnicą spędzenia razem życia przepelnionego pocałunkami na dobranoc i wspólną radością.

Policzki Julie spłynęły potokami łez.

- No dobrze, już dobrze, jeszcze się rozchorujesz - uspokajał James Mathison; ponad głową dziewczynki patrzył w błyszczące oczy żony. - Teraz mama zajmie się obiadem, a sprawę ukradzionych pieniędzy zostawmy dobremu Panu Bogu.

Na wspomnienie „dobrego Pana Boga” Julie zeszywniała, potem wybiegła z pokoju, wołając przez ramię, że wróci na czas, by przygotować stół do obiadu.

Głuche milczenie, jakie zapadło po jej nagłym wyjściu, przerwał, z troską w głosie, wielebny Mathison:

- Nie powinna była nigdzie wychodzić, jest bardzo zdenerwowana, a robi się ciemno. Carl - dodał - idź i zobacz, co zamierza.

- Pójdę razem z nim - powiedział Ted, wyciągając z szafy kurtkę.

Dwie przecznice dalej Julie chwyciła za parzącą od mrozu klamkę i z wysiłkiem otworzyła drzwi kościoła, w którym pastorem był jej przybrany ojciec. Blade zimowe światło wpadało przez wysokie okna i słało się pod jej stopami. Zatrzymała się dopiero przed ołtarzem. Nie bardzo wiedziała, jak ma się zachować, więc niepewnie popatrzyła na drewniany krzyż. Po krótkiej chwili rozległ się jej cichy, nieśmiały głos:

- Strasznie dziękuję za sprawienie, że Mathisonowie mi uwierzyli, ten cud zawdzięczam Tobie. Nie pożałujesz - obiecała. - Stanę się tak doskonała, że wszyscy będą ze mnie dumni. - Skierowała się do wyjścia, ale zaraz odwróciła się. - Aha! Jakbyś miał czas, czy mógłbyś sprawić, żeby panu Duncanowi udało się odkryć, kto ukradł te pieniądze? Inaczej będzie na mnie, a to nie fair.

Tego wieczora, po obiedzie, Julie posprzątała swój pokój i tak utrzymywany w idealnym porządku; przy kąpieli dwa razy umyła uszy. Była zdecydowana stać się osobą idealną i dlatego, gdy Ted i Carl zaproponowali przed pójściem spać grę w scrabble - aby pomóc jej w nauce czytania, umyślnie toczoną na jej poziomie - nawet nie przyszło jej do głowy podglądać, by wybrać najlepiej znane litery.

Następnego tygodnia, w poniedziałek, południową porą, uczeń siódmej klasy Billy Nesbitt został przyłapany z sześcioma puszkami piwa, które wypijał wspólnie z przyjaciółmi na ławkach szkolnego stadionu. W pustym kartonie znaleziono brązową kopertę z napisem „pieniądze na obiady - klasa panny Abbot”, nakreślonym jej pismem.

Julie w obecności całej klasy usłyszała z ust nauczycielki słowa przeprosin, a także, już mniej gorące i na osobności, od zażenowanego pana Duncan a.

Tego popołudnia wysiadła ze szkolnego autobusu przed drzwiami kościoła i spędziła w nim kwadrans, potem pobiegła do domu, podzielić się nowiną. Mocno podekscytowana, czerwona od mrozu, jak bomba wpadła do korytarza, zadowolona, że może dostarczyć dowód swej niewinności. Zatrzymała się dopiero w kuchni, gdzie Mary Mathison przygotowywała obiad.

- Mogę udowodnić, że nie wzięłam tych pieniędzy! – wyrzuciła z siebie, spoglądając z nadzieją to na matkę, to na braci.

Mary Mathison, trochę zaskoczona, popatrzyła na nią z uśmiechem i przy zlewie dalej obierała marchew; Carl ledwie uniósł wzrok znad planu domu, który kreślił do pracy szkolnej: „Przyszli Architekci Ameryki”; Ted z roztargnioną miną czytał magazyn filmowy z Zackiem Benedictem na okładce.

- Wiemy, że ich nie wzięłaś, kochanie - odezwała się wreszcie Mary - przecież już mówiłaś.

- Rzeczywiście, mówiła - przypomniał Ted, odwracając kartkę.

- Tak, ale teraz mogę sprawić, że mi uwierzycie, dowieść swej niewinności! - zawołała, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą.

Pani Mathison odłożyła marchewkę i zaczęła pomagać Julie rozpiąć kurtkę.

- Już udowodniłaś, dałaś słowo, pamiętasz? - przypomniała z łagodnym uśmiechem.

- Tak, ale ono nie jest dostatecznym dowodem, nie wystarczy.

Mary Mathison popatrzyła Julie prosto w oczy.

- Ależ jest, kochanie - powiedziała stanowczym głosem - w zupełności. - Odpinając górny guzik kurtki Julie, dodała: - Jeżeli będziesz zawsze uczciwa, twoje słowo stanie się dostatecznie dobre dla wszystkich.

- To Billy Nesbitt ściągnął tę forszę, by postawić piwo przyjaciołom - oznajmiła Julie, wciąż nie przyjmując do wiadomości, że sprawa została już wyjaśniona. Nie mogła powstrzymać się od słów: - Skąd możecie wiedzieć, że zawsze będę mówiła prawdę i nigdy więcej niczego nie ukradnę?

- Bo poznaliśmy cię - z przekonaniem odrzekła pani Mathison. -Znamy, wierzymy i kochamy.

- Tak, dzieciaku, to prawda - wtrącił Ted, krzywiąc łobuzersko twarz.

- O tak - jak echo powtórzył Carl, ledwo unosząc oczy znad projektu.

Ku swemu przerażeniu Julie poczuła, że oczy pieką ją od łez. Pośpiesznie odwróciła głowę. Cóż, dzisiejszy dzień stanowił punkt zwrotny jej życia. Mathisonowie jej, a nie jakiemuś innemu dziecku ofiarowali dom, zaufanie i miłość. Ta wspaniała, serdeczna rodzina jest teraz jej własną, na zawsze, nie tylko na chwilę. Wiedzieli o niej wszystko, a mimo to pokochali.

Julie grzała się w ciepłe tej nowo odkrytej prawdy, jak delikatny pączek otwierający ku słońcu płatki rozkwitała w atmosferze czułości. Z jeszcze większym niż dotąd zapałem rzuciła się w wir nauki, zaskoczyły ją własne postępy. Z nadejściem lata, by nadrobić stracony czas, poprosiła o zgodę na uczęszczanie do szkoły letniej.

Nadeszła zima. Pewnego dnia rodzice zawołali Julie do salonu, tutaj miała otworzyć pierwsze w życiu urodzinowe prezenty w otoczeniu - także po raz pierwszy - promieniejących serdecznością, kochających osób. Gdy już rozpakowano ostatnie zawiniątko, zebrano z podłogi ostatni skrawek papieru, okazało się, że James i Mary, Ted i Carl Mathisonowie mają dla niej jeszcze najwspanialszy prezent.

Znajdował się w dużej, niczym nie wyróżniającej się kopercie: długi arkusz papieru z ozdobnym nadrukiem u góry - „Podanie o adopcję”.

Julie popatrzyła na nich oczami błyszczącymi od łez i przycisnęła dokument do piersi.

- Chodzi o mnie? - wyszeptała bez tchu.

Ted i Carl opacznie zrozumieli przyczynę jej łez i jeden przez drugiego zaczęli mówić głosami pełnymi niepokoju.

- Chcieliśmy potwierdzić to oficjalnie, Julie, tylko dlatego, żebyś nosiła, jak my, nazwisko Mathison - powiedział Carl, a Ted zaraz dodał:

- Jeżeli nie jesteś pewna, czy to dobry pomysł, nie musisz się zgadzać... - Przerwał, bo Julie rzuciła mu się na szyję, niemal zbijając z nóg.

- Jestem pewna! - pisnęła zachwycona - pewna, pewna, pewna!

Nic nie potrafiłoby zakłócić jej radości. Tego wieczora, gdy bracia zaproponowali wyprawę do kina z grupą przyjaciół, na film z Zackiem Benedictem, zgodziła się natychmiast, choć prawdę mówiąc nie rozumiała, dlaczego właśnie ten aktor tak przypadł im do gustu. Przepelniona radością, siedziała pomiędzy braćmi w trzecim rzędzie w Bijou Theatre, ich ramiona górowały nad nią, i z roztargnieniem patrzyła na idola młodzieży, ciemnowłosego faceta, który poza jeżdżeniem na motocyklach wyścigowych i wdawaniem się w bójki niewiele robił; wyglądał przy tym na znudzonego i jakoś tak... zimno.

- Jak ci się podobał film? Czy z Zacka Benedicta nie jest prawdziwy twardziel? - pytał Ted, gdy opuszczali kino w grupie nastolatków najwyraźniej dzielących opinię młodszego z braci.

Dążenie do całkowitej uczciwości ledwie zwyciężyło w niej nad chęcią potakiwania we wszystkim rodzeństwu.

- On jest... no cóż... wydaje się trochę stary - powiedziała, szukając wzrokiem wsparcia u trzech dziewcząt, które wybrały się z nimi do kina.

Ted wyglądał, jakby był świadkiem profanacji.

- Stary! Ma dopiero dwadzieścia jeden lat, a tyle przeżył! Czytałem, że od szóstego roku życia radził sobie sam: mieszkał na Zachodzie, a na utrzymanie zarabiał pracą na ranczu. Wiesz... oswajał konie brał udział w rodeo. Później przez jakiś czas był członkiem gangu motocyklistów... jeździł po kraju. Zack Benedict - zakończył Ted z zadumą - to prawdziwy mężczyzna.

- No tak, ale wygląda... zimno - upierała się Julie - i tak jakoś nieprzyjemnie.

Dziewczęta roześmiały się, najwyraźniej nie zgadzały się z nią.

- Słuchaj - powiedziała, chichocząc, Laurie Paulson - Zachary Benedict jest wspaniały, strasznie seksowny, wszyscy są tego zdania.

Julie, wiedząc, że Carl skrycie podkochuje się w Laurie, lojalnie parła:

- J a tak nie uważam. Nie podobają mi się jego brązowe oczy, są ta... nieprzyjemne.

- Jego oczy nie są brązowe, tylko złote! Ma niesamowicie uwodzicielskie spojrzenie, zapytaj kogo chcesz!

- W tych sprawach Julie nie jest dobrym sędzią - wtrącił Carl.

Odłączył od swej ukochanej i teraz, gdy zbliżali się do domu, szedł obok Teda.

- Jest za młoda.

- Wcale nie - zaprotestowała Julie, wciskając ręce pod ramiona braci. - Zack Benedict nie jest ani trochę taki przystojny jak wy.

Słyszając ten komplement, Carl obejrzał się na Laurie i sprostował:

- Julie jest jednak, jak na swój wiek, bardzo dojrzała.

Ted nie przestawał rozwodzić się nad niezwykłym losem swojego idola.

- Wyobraźcie sobie - od dziecka żyć samodzielnie, pracować na ranchu, ujeżdżać konie, przepędzać bydło...



## ROZDZIAŁ 4

- Weź stąd te cholerne krowy, ich smród poruszyłby trupa! - rzucił ostrym tonem Zack Benedict. Siedział na czarnym brezentowym krześle z napisem „Reżyser”, wymalowanym białym flamastrem powyżej jego nazwiska. Wściekłym wzrokiem popatrzył na bydło krążące w prowizorycznej zagrodzie, wzniesionej obok płaskiego, nowoczesnego budynku farmy, by po chwili wrócić do wypisywania uwag na swym egzemplarzu scenariusza. Ta położona czterdzieści mil od Dallas luksusowa rezydencja z ocienionym drzewami podjazdem, fantastyczną jeździecką stajnią i polami gęsto upstrzonymi szybami wiertniczymi, została wynajęta od teksańskiego miliardera na potrzeby filmu pod tytułem „Przeznaczenie”, który, według prognoz magazynu „Variety”, miał przynieść Zackowi kolejną nagrodę Akademii, zarówno w kategorii dla najlepszego aktora, jak i reżysera - oczywiście, jeśli zdoła ukończyć dzieło, uznane powszechnie za wybitnie pechowe.

Do wczorajszego wieczora Zack nigdy by nie uwierzył, że mogłoby być gorzej: planowany budżet wynosił 45 milionów dolarów, na realizację przewidziano cztery miesiące, a tymczasem mieli już miesiąc opóźnień, a koszty przekroczone o siedem milionów! Wszystko w wyniku splotu niecodziennych trudności przy produkcji oraz wypadków, które dotyczyły przedsięwzięcie niemal od pierwszego dnia zdjęć.

Teraz, po miesiącach opóźnień i katastrof, zostały do zrobienia tylko dwie sekwencje, ale nie odczuwał satysfakcji. Ogarnięty zimną furją, którą daremnie usiłował skryć przed otoczeniem, próbował skoncentrować się na zmianach, jakie zamierzał wprowadzić w następnej scenie.

Na prawo od jego stanowiska przesuwano kamerę do miejsca najlepszego do uchwycenia ognistego zachodu słońca na tle mrugających w oddali świateł Dallas. Przez otwarte drzwi stajni widział dyżurnych planu, rozkładających bele siana, i pomocników mistrza oświetlenia, wspinających się na belki stropowe, słyszał wskazówki kamerzystów rzucające do ustawiających reflektory. Daleko poza zasięgiem kamery, za stajnią, dwóch kaskaderów przeprowadzało samochody ze znakami „Texas State Highway Patrol” do miejsca sceny pościgu, jaką mieli kręcić następnego dnia. Na skraju polany, pod kępą dębów, dużym półkolem ustawiono przyczepy ważniejszych członków ekipy aktorskiej. Opuszczone rolety tłumiły szmer klimatyzacji, staczającej zaciętą bitwę z bezlitosnym lipcowym upałem. Obok, z samochodów dostawczych, spływającym potem aktorom i technikom rozdawano zimne napoje.

Członkowie ekipy byli przyzwyczajeni do niejednego, nie zaskakiwało ich wielogodzinne czekanie na kilka minut kręcenia. Normalnie panowałaby tu wesoła, a już w przedostatnim dniu zdjęć wręcz entuzjastyczna atmosfera. Zwykle ci sami ludzie, którzy teraz stali niepewni w małych grupkach przy bufetach, otaczaliby Zacka, żartując z ciężkich chwil, jakie mieli za sobą, lub wesoło rozprawiali o jutrzejszej gali dla uczczenia końca zdjęć. Po tym, co zaszło poprzedniego wieczora, nikt, kto nie musiał, nie zbliżał się do reżysera, o przyjęciu nawet nie wspomiano.

Dzisiaj trzydzieści osiem osób z filmowej ekipy, obserwując Zacka uważnie, starało się trzymać od niego z daleka, wszyscy ze strachem myśleli o następnych godzinach. W rezultacie polecenia osób uprawnionych do ich wydawania, zwykle brzmiące uprzejmie, wypowiedane były mocno niecierpliwym tonem; zazwyczaj wykonywane bez szemrania, teraz raziły opieszałością, a nawet niechlujstwem, co zdarza się, gdy ludzie nie mogą się doczekać finału.

Zack niemal fizycznie czuł emocje, jakimi emanowały osoby kręcące się w pobliżu: współczucie tych, którzy go lubili, satysfakcję zmieszaną z pogardą płynącą od tych, którzy za nim nie przepadali albo przyjaźnili się z Rachel i ciekawość tych, którzy nie żywili żadnych uczuć do obojga.

Połąpał się, że nikt nie usłyszał polecenia odnośnie bydlą i poszukał wzrokiem asystenta reżysera. Ten stał na łące, z rękami na biodrach i głową odchyloną w tył, i patrzył, jak helikopter wznosi się w powietrze, w rutynowym locie do Dallas, dokąd każdego dnia dostarczano do obróbki kolejne fragmenty filmu. Nad lądowiskiem powstał wir kurzu i opadając, dmuchnął w stronę Zacka gorącym piaskiem zmieszany z odorem krowiego łajna.

- Tommy! - zawołał poirytowany reżyser.

Tommy Newton odwrócił się, otrzepał piach ze swoich szortów koloru khaki i podbiegł do Zacka. Niski, z rzędnącymi, brązowymi włosami, o piwnych oczach ukrytych za szklami w metalowej oprawce - głównie im zawdzięczał profesorski wygląd - ten rozpieszony niespożytą energią trzydziestopięcioletni asystent reżysera posiadał niezwykle poczucie humoru. Jednak dzisiaj nawet on nie zdobył się na pogodny ton. Z notatnikiem pod pachą, na wypadek konieczności zapisania poleceń, stanął przed reżyserem.

- Wołałeś mnie?

- Każ przeprowadzić woły na zawietrzną - odpowiedział oschle Zack, nawet nie podnosząc wzroku.

- Już się robi. - Manipulując pokrętem siły głosu przy nadajniku na pasie, przysunął do ust mikrofon i zwrócił się do głównego dyżurnego planu, Douga Furlougha, kierującemu pracą ekipy ustawiającej przed jutrzejszą sceną ogrodzenie koralu. - Doug.

- Tak, Tommy?

- Powiedz stajennym, tamtym przy ogrodzeniu, żeby przegonili bydło na południowe pastwisko.

- Myślałem, że Zack chce mieć krowy pod ręką, gotowe do następnej sceny.

- Zmienił zdanie.

- W porządku, zajmę się tym. Możemy rozebrać dekorację wnętrza domu, czy jeszcze będzie mu potrzebna?

Tommy zawahał się. Pytająco popatrzył na Zacka.

- Zostawić - usłyszał krótką odpowiedź. - Nie dotykajcie niczego, dopóki jutro nie obejrzę nakręconego materiału. Jeżeli będą jakieś powtórki, nie mam ochoty tracić czasu na rozstawianie gratów.

Po przekazaniu odpowiedzi Dougowi Furloughowi Tommy zaczął oddalać się, ale zawahał się i przystanął.

- Zack - powiedział przygnębiony - pewnie nie jesteś w humorze do wysłuchiwanie takich uwag, ale dzisiejszy wieczór zapowiada się dość...gorąco... i możemy nie mieć następnej okazji spokojnie pogadać.

Zack zmusił się, by okazać zainteresowanie, uniósł wzrok, a Newton przerywanym głosem kontynuował przemowę:

- Za ten film powinny sypnąć się Oscary. Tyle wysiłku, ile weń włożyłeś... wyduszenie talentu z Rachel i Tony'ego... z całej ekipy były siódme poty, nie przesadzam.

Wymienienie imienia żony, zwłaszcza razem z Tonym Austinem, na nowo rozwścieczyło Zacka. Gwałtownie poderwał się z krzesła, ze scenariuszem w ręce.

- Doceniam komplementy - zdobył się na kłamstwo i zaraz zmienił temat. - Jeszcze przez godzinę będzie zbyt jasno na kręcenie następnej sceny. Jak ci w stajni skończą robotę, zrób im przerwę na obiad, później sam wszystko posprawdzam. Na razie idę się czegoś napić i schować gdzieś, gdzie będę mógł spokojnie pomyśleć. - Wskazał głową kępę dębów na skraju polany i dodał: - Gdybyś mnie potrzebował, jestem tam.

Szedł w stronę samochodów dostawczych. Gdy mijał przyczepę Rachel, niespodziewanie stanęła w drzwiach. Natarli na siebie spojrzeniami. Głowy mimowolnych świadków spotkania pochyliły się, rozmowy ucichły, oczekiwanie zawisło w powietrzu niczym wzbierająca burza. Ale Zack, pozornie obojętny, minął żonę i szedł dalej, przystanął

dopiero przy wozie kantyny, by porozmawiać z asystentem Tommy'ego Newtona i wymienić kilka żartów z kaskaderami. Odegrał rolę wymagającą najwyższego opanowania, niewątpliwie zasługującą na Oscara. Widok Rachel od razu przypomniał mu wydarzenia ostatniej nocy; niespodziewanie wrócił do apartamentu w hotelu Crescent i nakrył ją z Tonym Austinem...

Wcześniej tego dnia powiedział jej, że późnym wieczorem zamierza spotkać się z kamerzystami i asystentami reżysera, aby omówić nowe pomysły, i zanocuje w przyczepie na planie. Gdy jednak ekipa już się zebrała, uświadomił sobie, że notatki zostawił w hotelu w Dallas. Nie posłał po nie, uznał, że zaoszczędzi czasu, jeśli wrócą do Crescent i tam odbędą naradę. W pogodnym nastroju, gdyż koniec filmu był bliski, sześciu mężczyzn wkroczyło w panujące w apartamencie ciemności; Zack zapalił światło.

- Zack! - Rachel spojrzała na niego pełnymi przerażenia oczami.

Zsunęła się z nagiego mężczyzny, którego ujeżdżała na kanapie, i chwyciła peniuar.

Tony Austin, który wraz z nią i Zackiem grał w „Przeznaczeniu”, usiadł gwałtownie.

- Zack, uspokój się - jęknął błagalnie na widok ruszającego w jego stronę reżysera. Zerwał się i ukrył za kanapą. - Nie dotykaj mojej twarzy - ostrzegł podniesionym głosem. Zdradzony mąż skoczył za nim za oparcie mebla. - Gram jeszcze w dwóch scenach i... - Pięciu członków ekipy starało się powstrzymać tego szóstego.

- Zack, nie wariuj! - zawołał mistrz oświetlenia, próbując trzymać go jak najdalej od Tony'ego.

- Jak zdemolujesz mu jadaczkę, nigdy nie skończymy tego przekłętą filmu. - Doug Furlough sapał z wysiłkiem.

Zack odepchnął obydwóch, mniejszych i słabszych od siebie mężczyzn, i zanim na nowo zdołali go złapać, ciosem zadany z zimnym wyrachowaniem złamał Tony'emu dwa żebra. Dysząc bardziej z wściekłości niż wysiłku, patrzył, jak towarzyszący mu członkowie ekipy formują wokół nagiego, utykającego Austina ochronny krąg i pomagają mu wyjść na korytarz. Przed otwartymi drzwiami apartamentu zebrało się z pół tuzina gapiów, zwabionych, bez wątpienia, krzykami Rachel, domagającej się od Zacka pozostawienia Tony'ego w spokoju; z wściekłością zatrzaskał drzwi przed nosami ciekawskich.

Teraz przypomniał sobie o Rachel - stała okryta jedwabnym, brzoskwiniowym peniurem - ruszył w jej stronę, starając się poskromić ogarniającą go żądzę mordy.

- Zejdź mi z oczu! - syknął ostrzegawczo. Cofnęła się o krok. - Wynoś się, bo nie odpowiadam za to, co za chwilę zrobię!

- Jak śmiesz mi grozić, ty arogancki draniu! - krzyknęła z taką pogardą w głosie, że aż zatrzymał się w pół kroku. - Jak mnie tkniesz, moi adwokaci nie zgodzą się na połowę tego, co masz, wezmę wszystko! Zrozumiałeś? Jutro moi prawnicy w Los Angeles złożą pozew. Wychodzę za Tony'ego!

Uświadomiwszy sobie, że żona i jej kochanek oszukiwali go, w cyniczny sposób planując życie za jego pieniądze, Zack stracił nad sobą kontrolę. Pochwycił ją za rękę i mocno pchnął w stronę drzwi salonu.

- Zabiję cię, zanim dostaniesz cokolwiek! A teraz wynoś się!

Opadła na kolana, potem wstała, opierając dłoń na klamce, i z twarzą niczym maska triumfującej nienawiści oddała pożegnalny strzał:

- Jeżeli myślisz o niewpuszczeniu nas jutro na plan, nawet nie próbuj. Jesteś tylko reżyserem. Studio utopiło w tym filmie fortunę, zmuszą cię, byś go skończył, a jeżeli zrobisz cokolwiek, co wyglądałoby na próbę sabotażu, będą cię ścigać sądownie. Myślę - dodała ze złośliwym uśmiechem, otwierając drzwi - że obojętne, co zrobisz, i tak przegrasz. Jeżeli nie dokończysz zdjęć, jesteś zrujnowany, dokończysz, biorę połowę! - Trzaśnięciem drzwi podkreśliła swą determinację.

Miała rację, nawet w chwilach wściekłości doskonale o tym pamiętał. Zostały jeszcze tylko dwie sceny, ale za to jakie: w jednej z nich Rachel i Tony razem. Nie ma wyboru, podczas reżyserowania ujęcia musi tolerować swą rozpustną żonę i jej kochankę. Podszedł do barku i nalał sobie szkockiej, wypił jednym haustem i ponownie napełnił szklanekę. Podszedł do okna i patrzył w rozjaśnione światłami Dallas niebo. Wściekłość i ból w sercu powoli ustępowały. Postanowił, że z samego rana zadzwoni do swoich adwokatów i poleci im przeprowadzenie rozwodu na jego warunkach. W czasie kariery aktorskiej zgromadził spory majątek, później mądrymi inwestycjami wielokrotnie go powiększył. Dzięki powiernictwom oraz pogmatwanym umowom znakomita większość powinna zostać uratowana. Rozluźnił zaciśniętą na szklance dłoń. Już nad sobą panował, wiedział, że się otrząśnie i pójdzie dalej. Da radę. Dawno temu, gdy miał osiemnaście lat, stanął wobec o wiele większej zdrady niż ta Rachel, odkrył wtedy, że potrafi odejść od każdego, kto go zawiedzie, bez oglądania się.

Odwrócił się od okna i wszedł do sypialni. Wyciągnął z szafy walizki Rachel i wpakował w nie wszystkie jej rzeczy, potem podniósł słuchawkę aparatu stojącego przy łóżku.

## ROZDZIAŁ 5

- Przyślijcie boja do apartamentu królewskiego - rzucił recepcjonistce. Chłopiec zjawiał się po kilku minutach. Zack pchnął w jego stronę walizki żony - spod niedomkniętego wieka wystawały części garderoby. - Proszę to zanieść do pokoi pana Austina.

Gdyby w tym momencie wróciła i błagała, by przyjął ją z powrotem, nawet gdyby przekonywała, że przesadziła z narkotykami i nie zdawała sobie sprawy, co robi, i tak byłoby za późno. Nawet gdyby uwierzył.

Dla niego umarła.

Jak babka, którą kiedyś kochał, jak siostra i brat. Wymazanie ich z serca i myśli wymagało niezwykłego wysiłku, ale w końcu udało się.

Starając się nie myśleć o wydarzeniach ostatniej nocy, Zack usiadł pod drzewem, skąd przez nikogo niezauważony mógł obserwować obozowisko filmowców. Przyciągnął kolana, oparł na nich łokcie i patrzył, jak Rachel wchodzi do przyczepy Tony'ego Austina. Poranne wiadomości pełne były sensacyjnych informacji o incydencie, ze szczególnym uwzględnieniem bójki, przekazanych reporterom przez gości hotelowych, świadków zdarzenia. Dziennikarze jak muchy obsiedli plan filmowy i ochroniarze mieli pełne ręce roboty z zatrzymywaniem ich przy głównym wejściu, tuż przy szosie. Sytuację dopiero nieco uspokoiła obietnica wydania stosownego oświadczenia. Rachel i Tony mieli już za sobą „spowiedź”, ale Zack nie zamierzał przekazać prasie ani słowa komentarza. Na wiadomość, że pismacy są tuż-tuż, a adwokaci Rachel dzisiaj rano w Los Angeles złożyli pozew rozwodowy, zareagował lodowatą obojętnością. Jedyne, co go poruszało, to niemożność uniknięcia ostatniej sceny - tej z Tonym i Rachel, gorącej, gwałtownej, przepełnionej seksem - zanim wieczorem odtrąbią koniec zdjęć. Zupełnie nie wiedział, jak zdoła przez to przebrnąć, zwłaszcza pod baczny spojrzeniem całej ekipy.

Chociaż, gdy już się z tym upora, wykreślenie Rachel z życia przyjdzie mu o wiele łatwiej, niż myślał ostatniej nocy. Cokolwiek czuł do niej przed ślubem, wkrótce odpłynęło; nie mieli sobie do zaoferowania nic poza seksem i wspólnym wypełnianiem obowiązków towarzyskich. Bez Rachel jego życie nie stanie się bardziej puste i powierzchowne od tego, jakie wiódł przez ostatnie dziesięć lat.

Na czole Zacka pojawiła się zmarszczka. Z podziwem obserwował maleńkiego owada dzielnie wspinającego się na źdźbło trawy, tuż przy jego biodrze; własne życie wydało mu się

beznadziejne, pozbawione głębszego sensu, satysfakcji. A przecież, jak pamiętał, nie zawsze tak myślał...

Gdy przybył do Los Angeles w wozie Charliego Murdocka, już próba przetrwania była wyzwaniem, praca, jaką z pomocą Charliego dostał przy załadunku w Empire Studios, zaiste heroicznym wysiłkiem. Miesiąc później reżyser, kręcący niskobudżetowy film o gangu chuliganów terroryzujących podmiejskie liceum, postanowił znaleźć kilka nowych twarzy - statystów tworzących tłum - i zatrudnił Zacka. Rola wymagała od chłopca jedynie stania pod ceglany murem, z wyniośle obojętną, arogancką miną. Dodatkowo zarobione pieniądze okazały się darem niebios. Jak również propozycja reżysera, który posłał po niego kilka dni później:

- Zack, chłopcze, jest coś w twoim wyglądzie, kamera to wydobywa. Na filmie jawisz się niczym zbuntowany, współczesny James Dean, tyle że wyższy i przystojniejszy od oryginału. Scenę, w której wystąpiłeś, zdominowałeś samą swoją obecnością. Jeżeli potrafisz grać, dam ci rolę w westernie, właśnie zaczynamy kręcić. Aha, będzie potrzebne pozwolenie ze związku.

To nie perspektywa wystąpienia w filmie najbardziej podniecała Zacka, najważniejsze były pieniądze. Więc wystarał się o zgodę i nauczył grać.

I nie okazało się to dla niego niczym specjalnie trudnym. Zanim opuścił dom babki, całymi latami „grał”, udając, że sprawy, dla niego istotne, nie obchodzą go ani trochę. Później zaprzętało go tylko jedno: chęć dowiedzenia babce i wszystkim w Ridgemont, że nie tylko przetrwa bez jej pomocy, ale także odniesie sukces. Aby osiągnąć swój cel, gotowy był zrobić niemal wszystko, obojętne, ile wymagałoby to wysiłku.

Ridgemont było małym miastem i Zack nie wątpił, że wiadomość o jego niesławnym odejściu rozeszła się lotem błyskawicy. Po wejściu na ekrany pierwszych filmów, w których grał znaczące role, przeczytał każdą linijkę listów od wielbicieli, z nadzieją, że ktoś, kogo kiedyś znał, rozpoznał go. Niestety! Jeżeli nawet tak się stało, nikt nie zadał sobie trudu, by napisać.

Przez jakiś czas snuł marzenia o powrocie do Ridgemont, z ilością gotówki wystarczającą na wykupienie Stanhope Industries, i pokierowaniu fabryką. Ale nim w wieku dwudziestu pięciu lat zgromadził majątek wystarczający do przejęcia firmy i zrozumiał, że nawet gdyby stał się właścicielem całego miasta ze wszystkim, co się w nim znajduje, niczego by to nie zmieniło. Wtedy miał już za sobą Oscara, stopień naukowy, obwołano go objawieniem i chodzącą legendą. Mógł przebierać w najlepszych rolach, w banku miał fortunę; rysowała się przed nim wspaniała przyszłość.

Udowodnił wszystkim, że Zachary Benedict potrafi przetrwać, mało tego, znaleźć się na samym szczycie. I wtedy poczuł się wypalony, utracił sens życia.

Na filmowej niwie osiągnął, jak mu się wydawało, wszystko, zaczął więc szukać nowych wrażeń. Budował wille, kupował jachty, jeździł samochodami wyścigowymi; na wytwornych przyjęciach otaczał się najwspanialszymi kobietami, potem brał je do łóżka. Uwielbiał ich ciała, czasem cenił towarzystwo, ale nigdy nie traktował poważnie, a one rzadko, prawdę mówiąc, tego oczekiwały. Stał się seksualnym trofeum, pożądanym głównie dla „zaszczytu”, jakim było przespanie się z gwiazdorem; często aktorki uwodziły go z powodu jego znajomości z producentami. Podobnie jak inne supergwiazdy przed nim - symbole seksu - padł ofiarą własnego sukcesu: wysiadając z windy czy wstępując do restauracji, ryzykował spotkanie z natarczywymi wielbicielami; w hotelach kobiety wciskały mu w dłoń klucze od swoich pokoi albo przekupywały pracowników recepcji, by wprowadzili je do jego apartamentu. Bywał zapraszany na weekendowe przyjęcia przez żony producentów, które wymykały się z łóżek mężów, by bez żenady rzucić się mu w ramiona.

Choć często korzystał z podsuwanej mu karty seksualnych uciech, sumienie, a może resztki jankeskiego purytanizmu sprawiały, że mierzyły go toczone w ekspresowym tempie romanse, mdliło na widok pieczeniarzy, pochlebców i rozpustników zamieniających Hollywood w kanał, tyle że bez ustanku dezynfekowany i perfumowany, by nie urazić niczyjej wrażliwości.

Pewnego ranka obudził się z uczuciem, że nie zniesie takiego stanu rzeczy ani chwili dłużej. Miał dość seksualnych ekscesów, nudziły go hałaśliwe przyjęcia, irytowało towarzystwo neurotycznych aktorek i ambitnych gwiazdek; był zdegustowany życiem, jakie prowadził.

By wypełnić pustkę, zaczął rozglądać się za nowym wyzwaniem, uzasadnieniem dla swej egzystencji. Gra w filmie nie stanowiła już dostatecznego bodźca, pomyślał więc o reżyserowaniu. Gdyby w tej dziedzinie nie wykazał się talentem, krytyka nie pozostawiłaby na nim suchej nitki, jednak myśl o narażeniu na szwank dotychczasowej reputacji tylko pobudzała. Pomysł reżyserowania już od dawna kołatał się gdzieś w podświadomości, teraz stał się nowym wyzwaniem. Zack podjął działania z determinacją, z jaką robił dotąd wszystko. Prezes Empire, Irwin Levine, próbował odwieść go od pomysłu, przekonywał i prosił, ale w końcu, jak aktor przewidywał, skapitulował.

Film, który dostał od Levine'a do wyreżyserowania, był niskobudżetowym thrillerem pod tytułem „Koszmar”, z dwiema głównymi rolami, jedną dla dziewięcioletniej dziewczynki, drugą dla dorosłej kobiety. Empire dokonało wyboru: dziecko zagra Emily



McDaniels, gwiazdka z dołeczkami na buzi a la Shirley Temple, mająca wprawdzie już prawie trzynaście lat, ale wyglądająca na dziewięć, i, co nie bez znaczenia, związana z wytwórnią kontraktem. Kariera Emily dobiegała końca, podobnie jak pięknej blondynki Rachel Evans, którą obsadzono jako odtwórczynię drugiej głównej roli. Rachel we wcześniejszych filmach grała niewielkie role, w żadnej nie wykazując większych aktorskich uzdolnień.

Studio narzuciło Zackowi obydwie dziewczyny, nie próbując nawet ukryć zamiaru udowodnienia mu, że jest aktorem, nie reżyserem. Film w najlepszym wypadku mógł zwrócić koszty, ale przy okazji, na co liczyli dyrektorzy studia, wybić z głowy ich wspaniałemu aktorowi pomysł marnowania talentu po drugiej stronie kamery, podczas gdy po tej właściwej przynosił wytwórni niemałe pieniądze.

Zack domyślał się wszystkiego, ale nic nie mogło go powstrzymać. Zanim rozpoczęto produkcję, przed ekranem w swym domu spędził całe tygodnie na oglądaniu filmów z Rachel i Emily. Na taśmach znalazł fragmenty, choć krótkie, w których Rachel błysnęła prawdziwym talentem, odkrył także chwile, gdy dziecięcy wdzięk Emily przemieniał się w czarującą słodczy podlotka, przemawiającą do kamery, bo autentyczną.

Zack wydobył to wszystko, ba, o wiele więcej, ze swych kobiecych bohaterek podczas ośmiu tygodni pracy na planie. Jego determinacja w dążeniu do sukcesu udzieliła się obu; pomogło jego doskonale wycucie tempa i światła. Najważniejsza okazała się jednak intuicyjna wiedza adepta sztuki reżyserskiej, jak najlepiej wyeksponować Emily i Rachel, by oczarowały widownię.

Rachel złościła się - zadręczała ją ciągłymi powtórkami, narzekała na niekończące się ujęcia, ale gdy obejrzelni rezultat pierwszych tygodni pracy, popatrzyła na niego z zachwytem w zielonych oczach i powiedziała miękko:

- Dziękuję, Zack, po raz pierwszy w życiu zobaczyłam, że umiem grać.

- A ja reżyserować. - Poczul ulgę i nie krył tego.

- Czyżbyś wątpił w swoje umiejtności? Sprawiales wrazenie calkowicie pewnego wszystkiego, co robisz! - Rachel byla zdumiona.

- Od poczatku zdjec nie przespalem spokojnie jednej nocy - wyznał. Po raz pierwszy w zyciu odwazyl sie zwierzyc komus ze swych rozterek. Ten dzien byl naprawde wyjatkowy! Wlasnie przekonales sie, ze potrafi rezyserowac. Co wiecej, talent odkryty w Emily McDaniels zapewni przyszlosc temu uroczemu dziecku. Gdy krytycy zobacza jej wspaniala gre w „Koszarze”, oszaleja z zachwytem. Praca z Emily sprawila, ze zapragnal wlasnego dziecka. Obserwujac serdeczne wiazy laczone ja z ojcem, ktory zostal na planie, by opiekowac sie

córką, Zack niespodziewanie dla samego siebie zrozumiał, że pragnie rodziny. Tego właśnie mu brakowało - żony i dzieci, by wspólnie mogli cieszyć się sukcesem, by miał o kogo dbać.

Tego wieczora świętował razem z Rachel przy podanej przez służącego kolacji. Nastrój szczerości, wywołany wzajemnym wyznaniem skrywanie przed innymi wątpliwości, czy się sprawdzą, przerodził się w prawdziwie swobodną, intymną atmosferę, co, w przypadku Zacka, było nieczęstym zjawiskiem, jednak teraz podziało kojąco. U niego, w Pacific Palisades, rozsiedli się wygodnie przed przeszkloną ścianą, z rozciągającym się za nią oceanem i długo rozmawiali, ale nie o „biznesie”, co dla Zacka było miłą odmianą; miał dość spotkań z aktorkami nie potrafiącymi poruszyć innego tematu. W końcu wylądowali w łóżku, gdzie spędzili noc pełną niezwykłych doznań i pomysłowych miłosnych igraszek. Namiętność Rachel wyglądała na prawdziwą, a nie na zapłatę za pokierowanie nią w filmie, świadomość tego sprawiała mu dodatkową przyjemność; odczuwanie się przez Rachel erotycznym zabawom, jej inteligencja i poczucie humoru, nakręcony film, wprawiły go w doskonały nastrój.

- Zack, czego oczekujesz od życia? Ale na serio. - Uniosła się na łokciach.

Przez chwilę milczał, a potem, może dlatego, że osłabiło go długie uprawianie miłości, a może miał już dość udawania, iż życie, jakie dla siebie stworzył, jest kwintesencją jego pragnień, odpowiedział z ledwo dosłyszalną ironią:

- Małego domku na prerii.

- Co takiego? Chcesz roli w następnych odcinkach tego filmu?

- Nie, myślałem o prawdziwym domku, takim, w którym można zamieszkać. Zresztą nie musiałby stać akurat na prerii. Może być ranczo w górach.

Wybuchnęła serdecznym śmiechem.

- Ranczo! Nienawidzisz koni i nie znosisz krów, wszyscy to wiedzą. Opowiadał mi Tommy Newton - powiedziała, mając na myśli zdolnego asystenta reżysera z „Koszmaru” - pracował na planie w pierwszym westernie, w jakim grałeś, jeszcze jako chłopiec. Z Michelle Pfeiffer jako twoją dziewczyną. - Z uśmiechem musnęła palcem usta mężczyzny. - A tak między nami: co masz przeciwko koniom i krowom?

Pieszczotliwie skubnął wargami jej palec.

- Nie słuchają poleceń, pędzą nie tam, gdzie powinny. Tak się stało w tym pierwszym filmie - bydlę zawróciło i ruszyło prosto na nas.

- Michelle opowiadała, że tamtego dnia uratowałaś jej życie, przeniósł w bezpieczne miejsce.

Zack skrzywił się i opuścił głowę.

- Musiałem, jak szalony leciałem w stronę skał, z byłem tuż za plecami. Michelle znalazła się na mojej drodze. Uniosłem ją, by zrobić sobie przejście.

- Nie bądź taki skromny. Jak od niej wiem, uciekając, przerażona wołała o pomoc.

- Tak samo ja. Oboje byliśmy jeszcze dziećmi. Czuję się, jakbyśmy mówili o wydarzeniu sprzed stu lat.

Wyciągnęła się na boku, jej palce znaczyły ścieżkę od jego ramienia do pępka, tutaj zatrzymały się.

- Skąd naprawdę pochodzisz? I proszę, nie opowiadaj mi tych dyrdymalek, jakie trzymasz dla maluczkich, o trudnym dzieciństwie, rodeo i włóczeniu się z gangiem motocyklowym.

Szczerść Zacka nie obejmowała rozmów o przeszłości. Nigdy dotąd tego nie robił i nie będzie. Gdy miał osiemnaście lat i dział prasowy wytwórni chciał się czegoś o nim dowiedzieć, odpowiedział chłodno, by wymyślili cokolwiek, i tak właśnie się stało. Prawdziwa przeszłość umarła i rozmowa o tamtych czasach nie wchodziła w grę.

- Z żadnego szczególnego miejsca - postawił sprawę jasno.

- Ale przecież nie byłeś dzieckiem znikąd, nie używającym noża i widelca, tyle to potrafię poznać - naciskała. - Tommy Newton powiedział mi, że już w wieku osiemnastu lat miałeś klasę, towarzyską ogładę, jak to określił. Nic więcej nie potrafi o tobie powiedzieć, chociaż pracowaliście razem przy kilku filmach. Wszystkie kobiety, z którymi grałeś, Glenn Close i Goldie Hawn, Lauren Hutton i Meryl Streep są zdania, że świetnie się z tobą pracuje, ale przeszłość stanowi dla ciebie tabu. Wiem, bo pytałam.

- Jeżeli myślisz, że twoja ciekawość mi pochlebia, grubo się mylisz. - Zack nie krył niezadowolenia.

- Nie mogłam się powstrzymać. - Roześmiała się i przysuwając się bliżej, pocałowała w podbródek. - Każda kobieta marzy o tobie, panie Benedict, jesteś w Hollywood tajemniczą postacią numer 1. Powszechnie wiadomo, że żadna z moich poprzedniczek w twoim łóżku nie zdołała wyciągnąć cię na zwierzenia. Skoro już tu jestem i usłyszałam wiele rzeczy, które można by uznać za osobiste, to albo trafiłam na chwilę słabości, albo... po prostu... lubisz mnie bardziej od nich. Musiałam spróbować dowiedzieć się o tobie czegoś, czego nie odkryła żadna inna. Odezwała się moja kobieca duma, chyba rozumiesz.

Rozbrajająca szczerść Rachel szybko zmieniła jego niezadowolenie w wesołość.

- Jeżeli chcesz, bym dalej lubił cię bardziej niż inne - powiedział ze śmiechem - przestań mnie przesłuchiwać. Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym.

- Przyjemniejszym... - Opleciona wokół jego ciała, z zadziornym uśmiechem patrzyła mu w oczy, palcami gładziła włosy na piersi. Teraz Zack spodziewał się jakiejś wyszukanej formy aktywności. Zaskoczyła go zupełnie. - Cóż... wiem, że nienawidzisz koni, a lubisz motocykle i szybkie samochody. Dlaczego? Ich dłonie splotły się.

- Bo nie zbijają się w stada ze znajomymi, gdy zostawisz je na parkingu, i nie próbują cię przejechać, gdy tylko się odwrócisz. Posłusznie podążają w nakazanym kierunku.

- Zack - wyszeptała gorąco, ich usta spotkały się. - Nie tylko motocykle pójdą, gdzie wskażesz, ja także.

Zrozumiał, wskazał w dół. Jej usta były posłuszne woli mężczyzny.

Rano zrobiła mu śniadanie.

- Chciałabym jeszcze zagrać w jakimś znaczącym filmie, by udowodnić wszystkim, że naprawdę potrafię - powiedziała. Wsunęła do piekarnika bułeczki.

Zack, zrelaksowany, usiadł wygodnie i patrzył, jak Rachel krząta się po kuchni. Ubrana w spodnie w kratkę i zawiązaną w pasie koszulę, bez uwodzicielskich szmatek i ekstrawaganckiego makijażu pociągała go o wiele bardziej. Wydawała się jeszcze ładniejsza niż zwykle. Jak się przekonał, była zmysłowa, inteligentna i dowcipna.

- A potem? - zapytał.

- Chciałabym z tym skończyć. Mam trzydzieści lat i, podobnie jak ty, pragnę życia mającego sens, z problemami poważniejszymi od dbania o linię i zamartwiania się zmarszczkami, jakie przecież muszą się pojawić. Oprócz tej zakłamaney krainy fantazji, w której zamieszkujemy, oddając się mamieniu świata, musi istnieć coś jeszcze.

Zaskakująca jak na filmową gwiazdę uwaga sprawiła, że Rachel jawiła się mu niczym powiew świeżości. Co więcej, zamierzała wycofać się z filmu, wyglądało więc na to, że nareszcie spotkał kobietę zainteresowaną nim samym, a nie tym, co mógł zrobić dla jej kariery. Pochyliła się nad kuchennym stołem i szepnęła mu do ucha:

- Jak moje marzenia mają się do twoich?

Otrzymał propozycję, wypowiedzianą w bezpośredni sposób, odważnie i szczerze. Przez chwilę spoglądał na Rachel w milczeniu, a potem, nie kryjąc wagi, jaką przykładła do sprawy powiększenia rodziny, zapytał:

- Czy w twoich marzeniach jest miejsce na dzieci?

- Twoje? - spytała bez wahania, ze słodyczą w głosie.

- Moje.

- Możemy spróbować od razu?

Roześmiał się. Usiadła mu na kolanach i śmiech przycichł w przypływie tkiwości. W sercu Zacka rozkwitła nadzieja, uczucie, o którym myślał, że umarło, gdy miał osiemnaście lat. Wsunął dłonie pod jej koszulę, czułość pomieszała się z namiętnością.

Pobrali się cztery miesiące później. Ślub odbył się we wspaniale przystrojonej altanie na trawniku w posiadłości Zacka w Carmel, a wśród tysiąca zaproszonych gości nie brakowało kilku gubernatorów i senatorów. Także, choć nieproszone, pojawiły się nad głowami helikoptery. Zawirowania powietrza mieszanego łopatomi śmigieł podrywały kobiece suknie i przekrzywiały peruczki przykrywające głowy niektórych mężczyzn. Reporterzy stłoczeni w kabinach nakierowali kamery na uroczystość odbywającą się pod nimi. Świadkiem Zacka był przemysłowiec Matthew Farrell, jego sąsiad w Carmel, który zaproponował proste rozwiązanie problemu wścibstwa prasy. Ze złością obserwując wściekle krążące helikoptery, powiedział:

- Znieśmy wreszcie tę przekłętą Pierwszą Poprawkę.

Zack uśmiechnął się, był na luzie; dzień ślubu nastrajał pogodą, przepełniał optymizmem. Już wyobrażał sobie rozkoszne wieczory z dziećmi na kolanach, rodzinne życie, jakiego sam nie zaznał. Rachel domagała się hucznego wesela, on pragnął spełnić jej marzenia, choć sam wolałby bardziej kameralne, w Tahoe, w otoczeniu garstki przyjaciół.

- Zawsze mogę posłać do domu po kilka strzelb - zaproponował żartem.

- Świetny pomysł. Skryjemy się w altanie jak w bunkrze i zestrzelimy tych skurwysynów.

Obaj mężczyźni roześmiali się, po chwili połączyło ich przyjazne milczenie. Poznali się przed trzema laty, gdy grupa wielbicieli Zacka wspięła się na ogrodzenie jego domu, a potem, uciekając, włączyła systemy alarmowe w obu rezydencjach. Tamtego wieczora Zack i Matt odkryli, że łączy ich wiele, choćby upodobanie do szkockiej, skłonność do szorstkiej bezpośredniości, nietolerowanie hipokryzji i, co okazało się później, podobne podejście do inwestycji finansowych. W rezultacie zostali nie tylko przyjaciółmi, także partnerami w wielu przedsięwzięciach.

Gdy „Koszmar” wszedł na ekrany, nie zdobył wprawdzie Nagrody Akademii czy choćby nominacji, ale przyniósł niezły zysk, otrzymał doskonałe recenzje, przypomniał widzom Rachel i Emily. Dziewczynka i jej ojciec okazywali mu ogromną wdzięczność. Rachel natomiast nagle stwierdziła, że jeszcze nie może zrezygnować z filmu, a myśl o dziecku, którego Zack tak gorąco pragnął, muszą odłożyć na później. Kariera, której jak niedawno twierdziła, ma dość, okazała się jej obsesją. Nie opuszczała żadnego ważniejszego przyjęcia z ludźmi z branży, nie pomijała najdrobniejszej okazji do reklamy. Pracownicy

Zacka, jego sekretarka i człowiek odpowiedzialny za kontakty z prasą, mieli niemałe kłopoty ze sprostaniem jej ambicjom towarzyskim, a później tuszowaniem co bardziej skandalicznych, publicznych gaf. Zachłanna na sławę i powodzenie, nienawidziła aktorek bardziej od niej znanych, a równocześnie była tak niepewna swego talentu, że bała się występować w filmach innych reżyserów.

Pod naporem rzeczywistości optymizm Zacka z dnia ślubu prysł jak mydlana bańka; został wmanewrowany w małżeństwo przez sprytną i ambitną aktorkę, głęboko przekonaną, że tylko dzięki niemu zdobędzie sławę i pieniądze. Wnet przejrzał jej grę, ale bardziej obwinał siebie. Wyszła za niego powodowana ambicją, co od biedy potrafił zrozumieć, jeśli nawet nie podobały mu się metody - wiedział dobrze, co znaczy potrzeba sprawdzenia się. A on zabrnął w to małżeństwo kierowany nietypową dla tego środowiska naiwnością, która sprawiła, że uwierzył, choć na krótko, w sielankowy obrazek przywiązanych do siebie małżonków i różowolich, szczęśliwych dzieci, wołających o bajki przed snem. Jak powinien zapamiętać z doświadczeń młodości, takie rodziny są legendą, wykorzystywaną przez poetów i niemiłosiernie eksploatowaną przez producentów filmów. Własne życie zaczęło przypominać mu monotonną równinę.

Dla podobnych jemu, znudzonych ofiar Hollywoodu, receptą stała się działka koki, przeróżne, bardziej lub mniej legalne medykamenty albo butelka alkoholu rano i wieczorem. Zack miał jednak niektóre cechy swej babki - choćby pogardę dla słabości, emocjonalnego mazgajstwa. Problem rozwiązał w jedyny sposób, jaki znał: każdego ranka zatapiał się w pracy i nie przestawał do samego wieczora, wtedy znudzony padał na łóżko. Zamiast rozwieść się, uznał, że jego małżeństwo, choć dalekie od wymarzonej idylli, jest o wiele lepsze od związku łączącego jego dziadków i nie gorsze od innych. A więc dał jej możliwość wyboru: albo rozstaną się, albo poskromi ambicje i ustakuje się. Gdy wybierze to drugie, spełni w zamian jej marzenia - obsadzi w następnym filmie. Rachel wykazała rozsądek. By wywiązać się z obietnicy, Zack jeszcze bardziej zagęścił swój, już i tak zwariowany harmonogram. Po sukcesie „Koszmaru” wytwórnia Empire chciała, by grając w nim, reżyserował następny film. Zack wyszukał scenariusz, który wydał mu się najciekawszy, thriller z tytułem „Zwycięzca bierze wszystko”. W głównych rolach obsadził Rachel i siebie, wtedy wytwórnia wyłożyła pieniądze. Kombinacją cierpliwości, pochlebstw, chłodnej krytyki i od czasu do czasu wybuchów gniewu tak pokierował Rachel i pozostałymi aktorami, że wydobył z nich to, co chciał; podobną taktykę zastosował wobec operatorów światła i kamer. Wynik przeszedł najśmielsze oczekiwania, „Zwycięzca” zdobył wszystko: Rachel otrzymała nominację do Nagrody Akademii, Zack zdobył Oscara dla najlepszego aktora, drugiego za

reżyserię, czym potwierdził opinię krążącą wśród hollywoodzkich magnatów filmowych: Benedict posiada łatwość pokierowania zespołem ludzi, umie na ekranie rozpętać burzę namiętności, wie, jak stopniować atmosferę grozy, wywołać śmiech publiczności w miejscu ledwie zasygnalizowanym w scenariuszu jako zabawna kwestia. Co więcej, potrafi zmieścić się w budżecie.

Dwa Oscary sprawiły Zackowi niemałą satysfakcję. Ale czy był naprawdę szczęśliwy? Wolał się nie zastanawiać. By zapomnieć o wymarzonej idylli, rzucił się w wir pracy. W ciągu dwóch lat reżyserował, równocześnie grając w nich, dwa kolejne filmy: w przesyconym erotyzmem thrillerze wystąpił z Glenn Close, a w filmie przygodowym z Kim Basinger.

Właśnie ukończył drugi z nich i rozglądał się za materiałem na następny scenariusz. Korzystając z wolnego czasu, poleciał do Carmel sfinalizować wspólny interes, nagrany przez Matta Farrella. W dniu przyjazdu, wieczorem, gdy u siebie w mieszkaniu szukał czegoś do czytania, jego wzrok zatrzymał się na książce pozostawionej na półce zapewne przez kogoś z gości. O wschodzie słońca, nim jeszcze skończył czytać, wiedział, że następny film będzie adaptacją „Przeznaczenia”.

Następnego ranka wkroczył do biura prezesa Empire Studios i wręczył mu powieść.

- Oto mój następny film, Irwin.

Levine przeczytał notkę na obwolucie i z westchnieniem odchylił się do tyłu w obitym zamszym obrotowym fotelu.

- Wygląda na dość ciężki dramat, Zack. A ja wolałbym, byś dla odmiany nakręcił coś lżejszego. - Ze stojącego za nim, przykrytego szkłem stolika wziął tekturową teczkę i z zachęcającym uśmiechem podał Zackowi. - Ktoś mi to podrzucił. Jak wiem, znalazł się już kupiec, ale jeżeli zdecydujesz się kręcić, możemy negocjować. To romans. Niezły. Zabawny. Nikt od lat nie robi takich filmów i myślę, że publiczność trochę się stęskniła. Jesteś wymarzoną odtwórcą głównej roli, mógłbyś grać przez sen, taka jest łatwa. Za małe pieniądze szybko się z tym uwiniemy, a mam przecucie, że to materiał na prawdziwy hit.

Scenariusz - Zack zgodził się przeczytać go wieczorem - okazał się wymarzony na mydlaną operę; prawdziwa miłość odmienia życie cynicznego milionera, który później „długo i szczęśliwie” żyje ze swą piękną, młodą żoną. Zack był zde gustowany. Po części z powodu roli, która, gdyby zgodził się ją zagrać, nie wymagała najmniejszego wysiłku, ale, co istotniejsze, historia przypominała mu własne naiwne mrzonki o miłości i małżeństwie, jakie roił, w sekrecie, będąc młodzieńcem, a jako dorosły mężczyzna próbował zrealizować. Następnego ranka rzucił scenariusz „Pretty Woman” na biurko Levine'a.

- Nie jestem na tyle dobrym aktorem ani reżyserem, by sprawić, że ten kicz kogoś poruszy.

- Stałeś się cynikiem. - Levine, ze zmartwioną miną, potrząsnął głową. - Znam cię od dziecka i kocham jak syna. Martwi mnie to, co się z tobą dzieje, rozczarowujesz mnie.

Zack, słysząc te sentymentalne komunały, w milczeniu uniósł brwi; Levine kochał go jak własne konto w banku i był rozczarowany, bo jego pupil nie zgodził się na „Pretty Woman”. Prezes nie nalegał. Ostatnim razem, gdy naciskał za bardzo, Zack wyszedł z jego biura, trzaskając drzwiami, a później robił filmy dla wytwórni Paramount i Universal.

- Jako nastolatek nie kierowałeś się naiwnym idealizmem - powiedział. - Mocno stąpałeś po ziemi, ale jeszcze daleko było ci do cynizmu. Po ślubie z Rachel stałeś się innym człowiekiem. - Dostrzegł błysk niezadowolenia w oczach Zacka i pośpiesznie zmienił temat: - Dobrze, dość sentymentów, pogadajmy o interesach. Kiedy chcesz zacząć kręcić „Przeznaczenie” i kogo proponujesz do głównych ról?

- Męża zagram ja, na żonę chciałbym Dianę Copeland, oczywiście, jeżeli jest osiągalna. Rachel będzie świetna w roli kochanki, Emily McDaniels jako córka.

Levine uniósł brwi.

Rachel się wścieknie, jak dowie się, że nie jej przypadnie główna rola.

- Poradzę sobie - powiedział Zack. Rachel i Levine nienawidzili się, choć żadne nigdy nie mówiło dlaczego. Zack podejrzewał jakiś dawny romans z burzliwym zakończeniem.

- Jeżeli jeszcze nie masz pomysłu na obsadzenie najemnego pracownika - ciągnął Levine z wahaniem w głosie - poproszę cię o przysługę. Wziąłbyś Tony'ego Austina?

- Nie ma mowy - zachnął się Zack. Nałogi Austina, alkohol i narkotyki, a także inne grzeszki były powszechnie znane. - To człowiek całkowicie nieodpowiedzialny! - Ostatni wypadek przedawkowania, na samym początku kręcenia dla Empire, skończył się półrocznym pobytem aktora w centrum leczenia uzależnień, a na planie musiał zastąpić go ktoś inny.

- Tony chce zabrać się ostro do roboty, udowodnić, że jest jeszcze coś wart - tłumaczył cierpliwie Levine. - Lekarze zapewniają, iż po odstawieniu narkotyków stał się innym człowiekiem. Tym razem jestem skłonny im uwierzyć.

- A cóż takiego się zmieniło? - Zack wzruszył ramionami.

- Zawieźli go do Cedars-Sinai w stanie zapaści. Odratowali, ale wystraszył się nie na żarty. Postanowił wziąć się za siebie, zacząć pracować. - Głos Levine'a zadźwięczał nutą obłudy. - Umożliwienie mu powrotu byłoby ładnym gestem, Zack. Jesteśmy jedną wielką



rodziną, powinniśmy wzajemnie się wspierać. Musimy Tony'emu pomóc, bo jest bez grosza i...

- ...i może ci zwrócić forszę za film, w którym nie zagrał - obojętnym tonem dokończył Zack.

- No cóż, rzeczywiście wisi u nas na poważną kwotę - niechętnie przyznał Levine. - Ale przyszedł do nas i poprosił o pracę na konto długu, chce udowodnić, że wyszedł na prostą. Jeżeli cię to nie wzrusza, rozważ aspekt praktyczny: pomimo złej prasy, widzowie nie odwrócili się od niego. Niegrzeczny i lekkomyślny, piękny chłopiec, mężczyzna, którego każda kobieta chciałaby pocieszyć.

Zack zawahał się.

Jeżeli Austin rzeczywiście się zmienił, idealnie pasowałby do roli. W wieku trzydziestu trzech lat urodziwą twarz miał trochę podniszczoną hulaszczym trybem życia, ale to, w oczach kobiet od dwunastu do dziewięćdziesięciu lat, tylko dodawało mu męskiego uroku. Jego nazwisko na afiszach, obok Benedicta, gwarantowałoby fantastyczne wpływy. We dwóch miałoby szansę ustanowienia kasowego rekordu. Zack zamierzał domagać się sporego udziału w zyskach i to zaważyło na jego decyzji. W końcu Austin, nawet pijany, był lepszym aktorem od większości mu znanych. Zatrudnienie go byłoby przysługą wyświadczoną Empire, o czym w razie potrzeby mógł zawsze przypomnieć. Udając wahanie, powiedział tylko:

- Niech przyjdzie na próbne zdjęcia, ale prawdę mówiąc, nie uśmiecha mi się rola niańki narkomana, nawet zreformowanego. Przyślę ci rano Dona Moyesa - zaczął zbierać się do wyjścia - możecie omówić szczegóły kontraktu.

- Przy tej ilości obiektów zdjęciowych produkcja pochłonie olbrzymie kwoty - przypomniał Irwin. Już drżał na myśl o sumie, jakiej Zack zażąda za odtwarzanie głównej roli i reżyserię, nie wspominając o rewanżu za obsadzenie Austina. Z trudem kryjąc zadowolenie, wstał i na pożegnanie potrząsnął dłonią reżysera. - Zgadzam się na twoją propozycję tylko dlatego, że widzę, jak ci na tym zależy. Będę się modlił, aby film zarobił przynajmniej na zwrot kosztów.

Zack uśmiechnął się pod nosem. Pierwsza runda, potwierdzona uściskiem dłoni, właśnie została zakończona.

Diana Copeland nie przyjęła roli żony, bo miała grać w innym filmie, obsadził więc w niej Rachel, drugą na liście kandydatek. Po kilku tygodniach plany Diany uległy zmianie, ale wtedy Zack miał już moralne i prawne zobowiązania wobec żony i pozwolił zatrzymać jej ważniejszą rolę. Ku jego zaskoczeniu, Copeland poprosiła o drugą, mniej znaczącą, byleż

kochanki. Emily McDaniels z zachwytem przyjęła propozycję wystąpienia jako nastoletnia córka, najemnego pracownika miał zagrać Tony Austin. Drobniejsze role obsadzono bez trudu-osobiście wybrana przez Zacka ekipa techniczna stawiała się na planie gotowa do pracy.

Już po miesiącu zdjęć do „Przeznaczenia” rozeszły się plotki że choć film od samego początku nękały wypadki i opóźnienia, materiał wysyłany każdego dnia do obróbki jest fantastyczny. Wprawiona w ruch plotkarska machina Hollywoodu na długo przed zakończeniem filmu zaczęła przyznawać nominacje do Nagrody Akademii, i to we wszystkich kategoriach.

## ROZDZIAŁ 6

Szelest trawy wyrwał Zacka z zamyślenia. Obejrzał się i w zapadającym zmroku ujrzał Tommy'ego Newtona.

- Ekipa na obiedzie, stajnia gotowa - zameldował Tommy.

Zack podniósł się.

- Doskonale, pójde sprawdzic, czy wszystko w porzadku. - Uczynil to juz wzeszniej tego dnia, ale chcial sie jeszcze raz upewnic, a takze odwlec moment stanięcia twarzą w twarz z członkami ekipy. - Dzisiaj kręcimy bez prób - dodał.- Postaramy się od razu zrobić dobre ujęcia.

- Rozpuszczę wici. - Tommy skinął głową.

W stajni Zack przyjrzał się dekoracji ustawionej do sceny końcowej. W ciągu tych miesięcy opowieść ożywała przed okiem kamery, bardziej krwista i pełna napięcia, niż mógł sobie wyobrazić, czytając scenariusz - historia kobiety rozdartej między miłością do córki i męża, wiecznie zapracowanego przemysłowca, a gwałtowną namiętnością do przystojnego włóczęgi, u którego pożądanie przerodziło się w niebezpieczną obsesję. Zack grał rolę męża, pozornie chłodnego człowieka. Finansowe imperium sypało się i aby zapewnić żonie i córce życie na dotychczasowym poziomie, zdecydował się na układy z handlarzami narkotyków. Emily McDaniels była nastoletnią córką; cierpiała z powodu niedostatku rodzinnego ciepła, a luksusy miała za nic. Akcja toczyła się wartko; najbardziej wartościowym elementem filmu była gruntowna analiza psychiki bohaterów, wniknięcie w ludzką naturę, w jej potrzeby, ukazanie słabości i siły. W „Przeznaczeniu” zabrakło charakterów zdecydowanie czarnych, każda z postaci została przedstawiona w sposób, o którym Zack wiedział, że wstrząśnie emocjami widzów.

Podczas kręcenia chronologia poszczególnych scen nie została na ogół zachowana, i tylko przypadkiem dwie ostatnie, właśnie przygotowywane, także w scenariuszu były końcowymi. W pierwszej Rachel spotyka swego kochanka w stajni, gdzie już wcześniej odbyli kilka miłosnych schadzek. Zmuszona zobaczyć się z nim „ten jeden, ostatni raz”, bo inaczej „wyjawi ich romans mężowi i córce”, ukrywa w stajni broń, z zamiarem postraszania nią natarczywego mężczyzny. Gdy ten próbuje zmusić ją siłą do uległości, grozi mu bronią, i w szarpaninie, jaka się między nimi wywiązuje, obydwójce zostają zranieni. Scenę opisano jako gwałtowną, przesiąkniętą seksem, a zadaniem Zacka, jako reżysera, było ją taką pokazać.

Rozglądając się na boki, szedł korytarzem dzielącym wzdłuż słabo oświetloną stajnię. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak sobie życzył: w boksach po lewej stronie stały konie, niespokojnie trącając chrapami w połówki uchylnych drzwi. Uzdy i bicze wisiały na kołkach na ścianie po prawej; siodła spoczywały na drewnianych kozłach; Szczotki do pielęgnacji koni i miotły do sprzątania stajni leżały na stole ustawionym pod najdalszą ścianą.

Właśnie stół na końcu korytarza, pomiędzy belami siana, gdzie tych dwoje miało stoczyć ostatnią walkę, stanowił centrum sceny. Bele czekały poukładane, a strzelba, która miała zostać za chwilę użyta, leżała na stole ukryta pomiędzy butelkami z płynem do nacierania zwierząt i zgrzeblami. Spod krokwi druga kamera obserwowała skrzydła wrót, by złapać Emily, gdy na odgłos strzału wjedzie konno do stajni; światła, po włączeniu, miały dać najkorzystniejszy efekt.

Zack kolaniem przesunął stół o centymetr w lewo, przestawił kilka buteleczek i zmienił pozycję broni tak, aby prowadzona kamera lekko o nią zahaczyła. Robił to bardziej powodowany własnym niepokojem niż rzeczywistą potrzebą. Operator obrazu Sam Hudgins i rekwizytorka Linda Tompkins bez słów rozumieli intencje reżysera; zadbano o każdy drobiazg, by uzyskać efekt odpowiadający wyobrażeniu Zacka. Zniecierpliwiony czekał na początek zdjęć, chciał już mieć za sobą trudne chwile. Zawrócił w stronę drzwi, jego kroki głucho zabrzmiały na błyszczących kafelkach podłogi.

Potężne reflektory oświetlały boczne podwórko, gdzie członkowie ekipy posilali się daniami serwowanymi z bufetu, przy piknikowym stole albo wprost na trawie. Tommy zauważył Zacka natychmiast, gdy ten wkroczył w krąg światła.

- Uwaga, za dziesięć minut zaczynamy! - zawołał na gest reżysera.

Zapanował lekki zamęt. Jedni wstawali i kierowali się w stronę stajni, inni biegli do bufetu, by pochwycić coś zimnego do picia. Aby oszczędzić na zbędnych wydatkach z już i tak rozdętego budżetu, Zack zatrzymał na miejscu jedynie potrzebnych członków ekipy, pozostałych, łącznie z drugim i trzecim asystentem reżysera i kilkoma asystentami kierownika produkcji, odesłał na Zachodnie Wybrzeże. Tommy Newton świetnie sobie radził bez dodatkowej pomocy.

Zack obserwował go. Widział, jak posyła swego jedynego asystenta do przyczepy Austina, jak wychodzą z niej Tony i Rachel, za nimi fryzjerzy i charakteryzatorzy. Austin wyglądał niezdrowo, zachowywał się niespokojnie; Zack miał nadzieję, że żebra solidnie mu doskwierają. Rachel natomiast przedefilowała przed ekipą i mężem z głową dumnie uniesioną: królowa, która nie musi się przed nikim i z niczego tłumaczyć. Emily McDaniels dreptała tam i z powrotem przed swym ojcem i powtarzała tekst. Z dołeczkami na buzi a la

Shirley Temple, w wieku szesnastu lat nie wyglądała na więcej niż jedenaście. Uniosła głowę akurat w chwili- gdy przechodziła Rachel i twarz dziewczynki zastygła w grymasie niechęci. Ale Emily zaraz przeniosła wzrok na ojca i dalej ćwiczyła swe kwestie. Z początku bardzo lubiła Rachel, więc Zack przypisał nagłą zmianę jej zachowania uczuciu lojalności względem niego i ogarnęło go wzruszenie. Właśnie sięgał na ladę bufetu po kanapkę z wołowiną, gdy za jego plecami rozległ się miękki, współczujący głos Diany Copeland:

- Zack? Odwrócił się, ze zdziwienia marszcząc brwi.

- Co tu robisz? Już rano miałaś wyjechać do Los Angeles. W białych szortach i skąpej, czerwonej górze, z rudymi włosami splecionymi we francuski warkocz wyglądała prześlicznie, choć minę miała nietęgą.

- Chciałam, ale gdy usłyszałam o incydencie w hotelu, postanowiłam zostać i być pod ręką, tak na wszelki wypadek.

- Dlaczego? - zapytał wprost.

- Z dwóch powodów - powiedziała Diana, rozpaczliwie starając się przekonać go o swojej szczerości. - Po pierwsze, by służyć ci moralnym wsparciem, gdybyś go potrzebował.

- Nie potrzebuję - powiedział Zack krótko. - A drugi?

Diana spojrzała na dumnie wyciosane rysy, wspaniałe, bursztynowe oczy świecące chłodnym blaskiem spod gęstych, czarnych rzęs i uświadomiła sobie, że jej słowa zabrzmiały, jakby się nad nim litowała. Nie mogła znieść wbiętego w nią wzroku ani przedłużającego się milczenia.

- Słuchaj, nie wiem, jak ci to powiedzieć... ale ja... ja myślę, że Rachel to idiotka - wybuchnęła. - Jeżeli mogłabym w czymkolwiek pomóc, proszę powiedz. I Zack... - zakończyła łamiącym się ze wzruszenia głosem - pracowałabym z tobą zawsze i wszędzie, w każdej roli. Chciałam, żebyś o tym wiedział.

Patrzyła, jak niewzruszona twarz Zacka przybiera wyraz ponurego rozbawienia, i poniewczasie uświadomiła sobie, że jej słowa mogły sprawić wrażenie, iż za współczuciem kryje się chęć zrealizowania własnych celów.

- Dziękuję, Diano - powiedział z oficjalną uprzejmością, czym wprawił ją w jeszcze większe zakłopotanie. - Za kilka miesięcy, gdy będę obsadzał następny film, przyślij do mnie agenta.

Patrzyła, jak odchodzi długim, pewnym krokiem, w granatowej koszulce polo podkreślającej szerokość ramion, w spodniach khaki przylegających do wąskich bioder... gibkie, mocne ciało o twardych mięśniach, z falującymi pod skórą muskularni, o wdzięku lwa... lwich oczach... dumny lew nie zabiegający o niczyje względy. Jedyne, co zakłóca

podobieństwo, to kolor jego pięknych, gęstych włosów, pomyślała z zadumą. Były ciemne, niemal czarne. Czerwona ze wstydu, świadoma upokorzenia, jakie ją spotkało, plecami oparła się o drzewo popatrzyła na Tommy'ego. Stojąc obok Zacka, musiał prawie wszystko słyszeć.

- Zawaliłam, Tommy, prawda?

- Powiedziałbym, że nigdy wcześniej nie widziałem cię grającej tak fatalnie.

- Teraz pomyśli, że jedyne, czego chciałam, to rola w jego filmie.

- A chodzi ci o coś innego?

Rzuciła mu mordercze spojrzenie, ale on patrzył już na Tony'ego i Rachel. Po chwili milczenia znów się odezwała:

- Jak ta dziwka może woleć Tony'ego Austina od Zacka? Jak?!

- Pewnie lubi czuć się potrzebna - odrzekł Tommy. - Zack nie potrzebuje nikogo, Tony wszystkich.

- On wykorzystuje wszystkich - poprawiła z pogardą w głosie Diana. - Ten blond Adonis to wampir. Wysysa z ludzi ostatnią kroplę krwi, a potem, gdy już ich nie potrzebuje, wyrzuca na śmietnik.

- Sama najlepiej o tym wiesz - powiedział. I zaraz, obejmując opiekuńczo ramieniem, lekko ją uściśnął.

- Kiedyś często posyłał mnie po narkotyki. Raz zostałam zatrzymana - za posiadanie - i gdy zadzwoniłam z aresztu, żeby przyszedł z kaucją, tylko wściekł się i odwiesił słuchawkę. Byłam przerażona, zatelefonowałam do studia. Wykupili mnie i załatwili sprawę. Potem musiałam zwrócić założone za mnie pieniądze.

- Musi mieć jakieś zalety, inaczej nie straciłabyś dla niego głowy.

- W wieku dwudziestu lat byłam zwariowana na punkcie aktorskich gwiazd - odpowiedziała. - A jak ty dałeś się omotać?

- Kryzys średniego wieku... - Wykrzywił twarz w uśmiechu, ale próba okazania wesołości wypadła blado.

Szkoda, że po ostatnim przedawkowaniu odratowali go. Chodź, czas na show. - Wskazał głową na zapalające się w stajni światła.

Diana objęła go w pasie i ruszyli na plan.

- Wiesz, Tommy, mówią, że każdy otrzyma to, na co zasłużył.

- O tak, tylko zwykle trzeba czekać strasznie długo.

Zack, w swojej przyczepie, w pośpiechu ochlapał twarz i pierś zimną wodą, naciągnął świeżą koszulę i wyszedł stawić czoło wyzwaniu. Przystanął na widok ojca Emily, niespokojnie drepczącego przed przyczepą córki.

- Mała jest już w stajni? - zapytał.

- Jeszcze nie, Zack. Od wielu dni cierpi z powodu upału - poskarżył się George McDaniels. - Nie powinna spędzać tylu godzin na słońcu. Czy nie mogłaby poczekać w przyczepie, gdzie jest klimatyzacja, do czasu aż będziesz jej potrzebował? Z pewnością zrobisz kilka ujęć z Rachel i Austinem, zanim przyjdzie kolej Emily.

Komu innemu za sugestią, że to reżyser ma czekać na aktorkę, która chciałaby odpoczywać w komfortowych warunkach, nieźle by się dostało. Ale w sercu Zacka dziewczynka zajmowała szczególne miejsce, dlatego opanował się i spokojnie powiedział:

- Wykluczone, dobrze o tym wiesz, George. A Emily to zuch, poradzi sobie z upałem.

- Ale... idę po nią - skapitulował George na widok miny reżysera przypominającej gradową chmurę.

Zwykle Zack odnosił się z pogardą do dumnych jak pawie rodziców młodocianych aktorów, ale ojciec Emily zachowywał się inaczej. Żona zostawiła go, gdy dziewczynka była mała. Pewnego razu, gdy mała bawiła się z ojcem w parku, zwróciła na siebie uwagę przechodzącego tamtędy przypadkiem producenta filmowego. Dziecko z dołeczkami na buzi od razu wpadło mu w oko i zaproponował jej rolę w filmie. Ojciec Emily zamienił pracę z dziennej na nocną, uważając, że mała będzie mniej podatna na „demoralizację”, jeżeli zostanie z opiekunką na noc, niż gdyby w dzień zajmowała się nią płatna pomoc. Już to sprawiło, że McDaniels zjednał sobie sympatię Zacka, a gdy ten dowiedział się jeszcze, iż ojciec Emily lokuje w funduszu powierniczym każdego zarobionego przez dziewczynkę centa, naprawdę go polubił. Dla George'a nie liczyło się nic poza dobrem dziecka, a właściwa opieka dała nadszpiekowane rezultaty: jak na młodocianą gwiazdę w Hollywood była wyjątkowo spokojnym dzieckiem. Od alkoholu i narkotyków trzymała się z daleka, prowadziła się przyzwoicie, a wszystko to, o czym Zack dobrze wiedział, dzięki troskliwości ojca.

Emily dogoniła go przy drzwiach do stajni. Zawołał do niej przez ramię:

- Dosiądź, ślicznotko, wierzchowca, miejmy to już wreszcie z głowy. Przetruchtła obok, ubrana w bryczesy i kurtkę do konnej jazdy.

- Jestem gotowa, Zack - zawołała. Popatrzyła na niego ze smutkiem, bo wiedziała, co za chwilę go czeka. Zniknęła za rogiem, gdzie dwóch dyżurnych planu stało z koniem, którego miała dosiąść.

Zack wiedział, że ma małe szanse na zrobienie tej sceny jak należy za pierwszym czy nawet drugim razem, ale pamiętając wydarzenia poprzedniej nocy, chciał się uporać ze wszystkim możliwie szybko. Z każdym nowym podejściem do stanowiącej mieszankę

wybuchową sceny atmosfera pomiędzy nim, żoną i jej kochankiem stawać się będzie coraz trudniejsza do zniesienia.

Z krzaków koło drzwi wyłonił się cień. Po chwili Zack usłyszał modulowany, miękki głos Austina.

- Słuchaj, ta scena jest już wystarczająco trudna, nawet bez wrogości między nami. - Aktor podszedł bliżej i stanął w świetle. - I ty, i ja jesteśmy w końcu ludźmi światowymi, zachowujmy się jak dorośli. - Wyciągnął dłoń w stronę reżysera.

Zack spojrział z pogardą na wyciągniętą rękę, potem na Austina.

- Spieprzaj - warknął.



## ROZDZIAŁ 7

Napięcie, gęste i gorące, spowiło stajnię niczym całun. Zack minął grupę gapiów i skierował się w stronę pociemniałego teraz planu. Operator Sam Hudgins zajął swoje miejsce, a reżyser stanął przy dwóch monitorach przekazujących to, co widzi obiektyw kamery, dzięki czemu mógł na bieżąco korygować jej pracę. Skinął Tommy'emu głową i wszystko - przynajmniej na razie - potoczyło się zgodnie z planem.

- Włączyć światła! - ostro zawołał asystent reżysera.

Rozległ się metaliczny szcęk przycisków i olbrzymie lampy zalały całą przestrzeń gorącym, białym światłem. Z rękami w kieszeniach Zack uważnie studiował obrazy na obydwu ekranach. Nikt się nie odezwał, nikt nie zakaszłał, nikt nie poruszył, ale Zack miał wrażenie, że cisza, jaka wokół zapanowała, dźwięczy jakby inaczej. Od lat rekompensował sobie to, czego zabrakło mu w życiu, zagłębieniem się w pracy. To pozwalało mu zapomnieć o sprawach rozgrywających się obok, teraz także zmusił się do skoncentrowania uwagi na planie filmowym. Wszystkim, co się liczyło, była rozgrywająca się przed nim scena; jego dziecko, kochanka, przyszłość; dokładnie sprawdzał każdy szczegół na monitorze, wyobrażając sobie ten sam obraz na ekranie o szerokości trzydziestu stóp.

Wśród krokwi, nad ich głowami, czekali w gotowości elektryk i pierwszy pomocnik mistrza oświetlenia, by, jeżeli zajdzie taka potrzeba, przesunąć lampy lub zmienić kąt ich ustawienia. Szef oświetlenia ulokował się obok kamery Sama i czekał na polecenia, za dźwiękiem znalazło się jeszcze dwóch elektryków, wpatrzonych w asystenta operatora, siedzącego dwadzieścia stóp nad podłogą, by stamtąd kręcić niektóre ujęcia. Dyżurni planu znajdowali się stale pod ręką, gotowi, na życzenie Zacka, zmienić ustawienie dekoracji; operator dźwięku stanął obok, ze słuchawkami zawieszonymi na szyi, a specjalistka nadzoru montażu czekała ze scenariuszem w jednej ręce i stoperem w drugiej. Obok niej asystent kierownika produkcji wypisywał tabliczki do oznaczania ujęć, które zostaną użyte przy kolejnych klapsach, gdy rozlegnie się polecenie reżysera: „kręcimy”.

- Może być? - Zack z zadowoloną miną spojrzał na Sama.

Operator obrazu po raz kolejny powtórzył czynność, jaką wielokrotnie wykonywał tego dnia: popatrzył w okular kamery. Nie odrywając oczu od wizjera, powiedział z wahaniem:

- Trochę nie podoba mi się ten stół, Zack, może przesuniemy go nieco w stronę siana.

Dwóch dyżurnych natychmiast się ożywiło. Chwycili stół i przesuwali po kawałeczku, reagując na każdy gest Sama ani na chwilę nie przestającego obserwować miejsca przyszłej sceny.

- Tak będzie dobrze, dokładnie tutaj.

Zack z niecierpliwością czekał na koniec przygotowań. Popatrzył do góry na operatora.

- Les? Jak to stamtąd wygląda?

- Nieźle.

Zack jeszcze raz rzucił okiem na plan, po czym skinął na Tommy'ego, a ten, zgodnie z utartym zwyczajem, krzyknął:

- Proszę o ciszę! - chociaż na planie panował spokój jak w grobie. - To nie próba, kręcimy od razu.

Tony i Rachel zajęli swoje miejsca i gdy charakteryzator przypudrowywał spoczone czoło Tony'ego, a garderobiana Rachel poprawiała staniczek jej sukienki, Zack, jak zwykle w takich przypadkach, powtórzył wskazówki dotyczące sceny.

- No więc tak - zaczął energicznym, pewnym głosem - znacie historię i jej zakończenie. Być może uda nam się za pierwszym podejściem, jeżeli nie, potraktujemy zdjęcia jako próbę. - Spojrzał na Rachel i zwrócił się do niej, używając, jak zwykle podczas kręcenia, jej filmowego imienia: - Johanna, wchodzisz do stajni, domyślasz się, że Rick chowa się gdzieś tutaj. Wiesz, czego od ciebie chce. Boisz się, siebie również. On zaczyna cię uwodzić, mięknie, ale tylko na chwilę, scena ma być gorąca. - Uważał, że nie musi szczegółowo opisywać wybuchu namiętności, jakiego oczekiwał od Rachel i jej prawdziwego w końcu kochanka. - Zrozumiałaś? - zapytał. - Więcej niż gorąca.

- Tak jest. - Tylko błysk zielonych oczu zdradził ślad niepewności:

jak ma się zachować przy tylu wtajemniczonych.

Teraz Zack zwrócił się do Tony'ego, stojącego w pustym boksie:

- Czekasz na Johannę już całą godzinę - przypomniał ostrym tonem. - Boisz się, że nie przyjdzie, i nienawidzisz siebie za ogarniające cię pożądanie. Masz na jej punkcie obsesję, zastanawiasz się, czy nie pójść do domu i opowiedzieć jej córce, gospodyni i każdemu, kto będzie chciał słuchać, że z tobą spała. Jesteś upokorzony: unika cię, a na miejsce schadzek wyznacza stajnię; mąż ma ją w łóżku. Ona przejdzie obok drzwi boksu, nie dostrzegając cię, eksplodujesz wściekłością i rozpaczą gromadzącą się od miesięcy. Brutalnie chwycisz ją za ramiona, ale gdy tylko dotkniesz jej ciała, pożądanie wróci, będziesz chciał także w niej obudzić żądzę. Zmuszasz ją do pocałunku i czujesz, że reaguje na twoje pieszczoty. Gdy

zmieniona zaczyna się opierać, wzbierające w tobie pożądanie nie pozwala uwierzyć, że ona naprawdę chce, byś przestał. Dopiero gdy chwyci za broń i wyceluje w ciebie, ogarnie cię szaleństwo. Niemożliwe do opanowania. Szarpiecie się i gdy pada strzał, nie jesteś w stanie uwierzyć w przypadek. Cała namiętność i obsesja przeradza się w ślepią furję. Wyrwasz jej strzelbę. Pada drugi strzał, Rachel osuwa się na podłogę. Rzucasz broń - jesteś chory z żalu i przerażenia, gdy dociera do ciebie, jak ciężko jest ranna. Słyszysz tętent nadjeżdżającej konno Emily, chwilę się wahasz, w końcu rzucasz się do ucieczki. - Nie potrafiąc całkiem skryć nienawiści, dodał zjadliwie: - Myślisz, że dasz sobie radę?

- Pewnie - odpowiedział sztywno Austin i zaraz z ironią dorzucił: - Myślę, że tak.

- No to bierzmy się do roboty, niech to się wreszcie skończy - warknął Zack, zanim zdążył się opanować. Zwracając się do Rachel, dodał: - Nie zamierzałaś użyć broni i gdy pada strzał, jesteś przerażona, bardzo - chcę to zobaczyć - dlatego nie próbujesz się bronić, gdy on mierzy do ciebie.

Nie czekał, aż potwierdzi, że zrozumiała polecenia, od razu zwrócił się do Emily, teraz łagodniejszym głosem:

- Emily, słyszysz strzały, wjeżdżasz do stajni. Twoja matka jest ranna, ale przytomna, domyślasz się, że rana nie jest śmiertelna. Wpadasz w panikę. Jej kochanek biegnie do ciężarówki, ty łapiesz za telefon w biurze stajennych i wzywasz ambulans. Potem dzwonisz do ojca. Wszystko jasne?

- A co z Tonym, to znaczy z Rickiem? Nie powinnam trochę za nim gonić albo podnieść broń, jakbym chciała do niego strzelać?

Normalnie wyjaśniliby wszystkie wątpliwości podczas próbnego ujęcia i Zack zrozumiał, jaki był naiwny, sądząc, że mogą kręcić z marszu. W dodatku od wczoraj chodził mu po głowie nowy pomysł: Rachel nie powinna oddać strzału pierwsza, pomimo takiej wersji scenariusza. Po krótkim wahaniu pokręcił przecząco głową.

- Naprzód zagramy tak, jak jest tutaj. - Puknął palcem w skrypt. - Potem, jeżeli zajdzie potrzeba, będziemy improwizować. - Popatrzył po twarzach aktorów i techników i energicznym głosem rzucił: - Jakies pytania?

Odczekał kilka sekund, zanim skinął głową Tommy'emu.

- No to do roboty.

- Wyłączyć klimatyzację! - zawołał tamten. Urządzenia zamilkły.

Dźwiękowiec nałożył słuchawki na uszy, operatorzy pochyłili się nad kamerami, a Zack zajął miejsce, z którego mógł równocześnie obserwować monitory i rozgrywającą się na żywo scenę.

- Czerwone światło, proszę! - zawołał Zack. Na zewnątrz zapalił się sygnał ostrzegawczy, informujący o początku zdjęć.

- Kręcimy! - krzyknął operator na dźwigu.

- Kręcimy! - powtórzył jak echo Sam Hudgins.

- Numerki - zarządził Zack i asystent kierownika produkcji pośpiesznie wyszedł przed kamerę Sama, z czarnymi i białymi tekturkami w ręce; oznaczały ilość i kolejność ujęć.

- Scena 126 - ogłosił klapser, odczytując tabliczkę - ujęcie 1. - Kartoniki złożył tak, by później na ich podstawie montażyści mogli bez trudu zsynchronizować dźwięk z akcją, i odsunął się na bok.

Na dany przez Zacka znak, do stajni, bocznym wejściem, weszła wyraźnie zdenerwowana Rachel. Na jej twarzy walczyły o pierwszeństwo przerażenie, podniecenie, niepewność.

- Rick? - zawołała drżącym z emocji głosem, dokładnie według wskazówek scenariusza, a gdy kochanek, ukryty w pustym boksie, gwałtownie wyciągnął rękę, zduszony krzyk Rachel był perfekcyjną ilustracją zaskoczenia.

Zack, stojąc obok kamery ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, spod przymrużonych powiek beznamiętnie obserwował rozgrywającą się scenę, ale gdy Austin zaczął całować i pieścić Rachel, ciągnąc ją na bele siana, wszystko zaczęło iść inaczej niż powinno: Austin był niezręczny i wyraźnie zażenowany.

- Cięcie! - rozległ się ostry głos Zacka. Z wściekłością pomyślał, że jeżeli dalej tak pójdzie, będzie musiał bez końca oglądać Austina obłapiającego jego żonę. Wkroczył w krąg światła i zmierzył aktora zimnym, pełnym pogardy spojrzeniem.

- Wczoraj u mnie w hotelu nie całowałaś jak grzeczny chłopczyk. Spróbuj powtórzyć tamtą scenę, zamiast proponować wyjątkowo nieudolne gesty.

Oblicze Austina, porównywane często do twarzy Roberta Redforda z powodu podobnie chłopięcego uroku, poczerwieniało.

- Rany boskie, Zack, zachowujmy się jak dorośli...

Całkowicie ignorując go, Zack zwrócił się do Rachel, patrzącej na niego z wyraźną złością, i z niezwykłym dla niego prostactwem powiedział.

- A ty... masz się zachowywać jak goniaca się suka, a nie rozmyślać, jak by tu sobie zrobić manicure, przecież on cię obmacuje.

Następne dwa ujęcia poszły nieźle, cała ekipa o tym wiedziała, ale za każdym razem, gdy Rachel miała już sięgać po broń, Zack przerywał i żądał powtórek. Postępował tak po części dlatego, że zaczynał znajdować perwersyjną przyjemność w zmuszaniu ich do

publicznego powtarzania tych samych rozpustnych gestów, które zrobiły z niego głupca numer jeden. Ale nie tylko. Wciąż czuł, że z tą sceną coś jest nie tak.

- Cięcie! - zawołał, przerywając czwarte już powtórzenie, i wysunął się na plan.

Austin wygrzebał się z siana wściekły, gotowy do walki. Obejmował ramieniem Rachel, także wyraźnie wyprowadzoną z równowagi.

- Słuchaj, ty sadystyczny draniu - zaczął ze złością - nic nie brakowało dwóm ostatnim ujęciom! - Zack nadal zupełnie go ignorował. Postanowił spróbować nakręcić tę scenę tak, jak sobie ją wyobraził poprzedniego dnia.

- Zamknij się i słuchaj - warknął - spróbujemy inaczej. Porzucimy koncepcję autora. Jeżeli Johanna postrzeli kochanka, nawet przypadkowo, film straci głębię. Ten człowiek jest nią opętany, pożąda i kocha, a ona zwodziła go, nigdy nie myśląc na serio o porzuceniu męża. To Johanna musi zostać ranna pierwsza albo Rick będzie jedynym przegranym, a przecież film opiera się na pomysłe, że ofiarami są wszyscy.

Zack usłyszał szmer zdziwienia i zewsząd głosy poparcia, od kamer i od tych stojących w pobliżu stajennych drzwi, ale nie potrzebował akceptacji dla swej koncepcji. Miał rację. Kierował się instynktem jak wtedy, gdy na podstawie nijakiego scenariusza kręcił film, za który dostał nominację do Oscara. Zwrócił się do Rachel i Tony'ego, z niechęcią okazujących wrażenie, jakie wywarła na nich zmiana.

- To będzie ostatni raz, myślę, że się uda. Macie tylko odegrać szarpaninę o broń tak, aby Johanna pierwsza została ranna.

- A co dalej? - zapytał Tony. - Co mam zrobić, gdy dotrze do mnie, że ją postrzeliłem?

Zack zamyślił się, po chwili ze stanowczością w głosie odparł:

- Pozwól, by wyrwała ci strzelbę. Nie zamierzałeś jej zranić, ale ona o tym nie wie. Robisz krok w tył, ona celuje w ciebie i płacze – nad sobą i tobą. Rachel - dodał, całkowicie pochłonięty wizją - chcę widzieć, jak płaczesz, potem zamykasz oczy i naciskasz spust.

Wrócił na swoje miejsce.

- Numerki... Klapser natychmiast pojawił się przed kamerą.

- Scena 126, ujęcie 5!

- Kamera!

Zanosilo się na ostatnie ujęcie, co Zack doskonale przeczuwał, widząc ogień, z jakim Austin obejmuje Rachel i pociąga na siano, jego zachłanne dłonie, usta wręcz ją pożerające. Tu nie było miejsca na dialog - później doda się jakieś dźwiękowe tło. Gdy Rachel sięgnęła po broń, Zack zawołał, by zachowywała się bardziej przekonująco.

- Walcz! - warknął i w przypływie ironii dodał: - Wyobraź sobie, że jest mną!

Pomogło. Teraz Rachel wiła się w uścisku, z zaciętością uderzała pięściami w ramiona Tony'ego, na koniec wyrwała mu strzelbę.

W miejsce miękkiego plaśnięcia ślepaka podłoży się później odgłos prawdziwego wystrzału, pomyślał Zack. Patrzył, jak Tony znów trzyma broń w rękach i czekał na najlepszy moment do krzyknięcia „strzał”. A wtedy Tony naciśnie spust i wypali ślepakiem. Rachel osunie się na ziemię, rozrywając poduszkę z czerwoną farbą, przymocowaną na ramieniu.

- Strzał! - zawołał. Gdy rozległ się huk, odbijając się echem od metalowego dachu stodoły, ciałem Rachel szarpnął gwałtowny spazm.

Wszyscy zamarli jak sparaliżowani, ogłuszeni zaskakująco głośnym dźwiękiem, który powinien zabrzmieć ledwie fuknięciem naboju pozbawionego pocisku. Rachel jak w zwolnionym tempie wysunęła się z ramion Tony'ego i opadła na ziemię, ale nie widać było plamy nieprawdziwej krwi z nieprawdziwej rany, po wystrzeleniu nieprawdziwego pocisku.

- Co u ... - zaczął Zack, pędząc na plan. Tony pochylał się nad Rachel. Reżyser odtrącił go.

- Rachel? - Potrząsał ciałem żony. W jej piersi ukazał się niewielki otwór, bez najmniejszego śladu krwi. Pierwszą myślą Zacka, gdy wołał o karetkę i lekarza, a sam gorączkowo szukał pulsu, było, że ta rana nie wygląda na śmiertelną: Rachel prawie nie krwawiła, rana znajdowała się w okolicy mostka, nie serca; pomoc lekarską można było zorganizować błyskawicznie, bo w pobliżu planu, jak nakazywały przepisy, znajdował się ambulans. Rozpętało się pandemonium; kobiety szlochały, mężczyźni przekrzykiwali się nawzajem, wszyscy podążali na miejsce wypadku.

- Do cholery, odsuńcie się! - zawołał Zack. Nie mógł znaleźć pulsu, zaczął sztuczne oddychanie.

Już ponad godzinę stał na zewnątrz stajni, kilka metrów od pozostałych, czekając na wiadomość od lekarzy i policjantów kręcących się koło Rachel. Radiowozy i karetki zajęły cały podjazd i trawnik, ich niesamowite, czerwone i niebieskie światła, migocąc jak oszalałe, rozświetlały mrok cichej, parnej nocy.

Rachel nie żyła. Czuł, był pewien. Już kiedyś widział, jak wygląda śmierć, mimo to nie mógł uwierzyć.

Policjanci przesłuchali już Tony'ego i operatorów kamer, teraz rozmawiali z każdym, kto w chwili wypadku był na planie. Ale Zacka nikt nie pytał. Pomyślał, że to co najmniej dziwne.

Nad głową usłyszał głośny warkot helikoptera, błyszcząca smuga omiotła obozowisko. Zobaczył jaskrawoczerwony krzyż na boku maszyny i poczuł ulgę: zabiorą

Rachel do najbliższego szpitala, a to znaczy, że lekarzom udało się utrzymać ją przy życiu. Gdy tylko o tym pomyślał, zobaczył coś, co zmroziło w nim krew. Policjanci, którzy otoczyli kordonem cały obszar, właśnie przepuszczali ciemny, długi samochód. W świetle lądującego helikoptera odczytał napis na drzwiach kierowcy: Koroner Stanowy.

Wszyscy to widzieli. Emily łkała w ramionach ojca. Usłyszał, jak Austin głośno przeklina, potem uspokajający głos Tommy'ego. Diana wpatrywała się w samochód koronera. Jej pobladła, napięta twarz przypominała maskę, inni... inni po prostu patrzyli jeden na drugiego.

Ale nikt nie spojrział w stronę Zacka, nie próbował do niego podejść. Wydało mu się to dziwne, bardzo dziwne. Choć w tej chwili było mu na rękę.

## ROZDZIAŁ 8

Następnego dnia wszystkich członków ekipy filmowej przesłuchiwała policja. Od chwili zdarzenia stan Zacka najlepiej oddawało określenie - pełne niepokoju oszołomienie. Policja odmawiała mu jakichkolwiek informacji, telewizja ani na chwilę nie przestawała snuć najrozmaitszych przypuszczeń. Według audycji ABC oglądanej przez Zacka w południe, broń, z której zginęła Rachel, została naładowana nabojem spiłowanym tak, by przechodząc przez ciało, spowodował rozległe obrażenia wewnętrzne. A to tłumaczyłoby niemal natychmiastową śmierć ofiary. Stacja CBS do wieczornych wiadomości zaprosiła eksperta balistyki, który na wyrysowanym na tablicy szkicu demonstrował całej Ameryce, jak rana powstała, wskazywał miejsce utkwienia kuli w ciele. Zack gwałtownie wcisnął wyłącznik pilota, wszedł do łazienki i zwymiotował. Rachel nie żyła! Mimo że w ich małżeństwie zabrakło prawdziwego ciepła, mimo że chciała rozwieść się z nim dla Tony'ego, nie mógł pogodzić się z jej śmiercią, zadaną w jakże okrutny sposób. O dziesiątej ABC zamieściła prawdziwą bombę, informując, że według wyników sekcji Rachel Evans Benedict była w szóstym tygodniu ciąży.

Zack, pełen goryczy, opadł na kanapę i przymknął oczy. Poczł się jak wystawiony na uderzenia huraganu, które miotaly nim, bezwolnym, na wszystkie strony. Rachel była w ciąży! Ale nie z nim, przecież od wielu miesięcy nie spali ze sobą.

Nieogolony, niezdolny do przełknięcia choćby kęsa, nerwowym krokiem przemierzał apartament. Zastanawiał się, czy zakaz opuszczania hotelu obejmował także pozostałych, a jeżeli tak, to dlaczego nikt nie przyszedł do niego porozmawiać, okazać współczucie czy trochę posiedzieć. Hotelową centralę telefoniczną bez przerwy oblegali dalsi i bliżsi znajomi z Hollywoodu, próbujący się z nim skontaktować. Jak wiedział, prawie wszyscy kierowali się chęcią zaspokojenia niezdrowej ciekawości, a nie potrzebą wyrażenia prawdziwego żalu z powodu śmierci Rachel. Zaządał więc, by nie łączono go z nikim oprócz Matta Farrella. Nie opuszczała go obsesyjna myśl: kto mógł nienawidzić Rachel aż tak, by pragnąć jej śmierci? Godzinami eliminował z grona podejrzanych kolejne osoby spośród obecnych na planie, doszukiwał się najbardziej nieprawdopodobnych motywów, potem uznawał swe podejrzania za absurdalne i wracał do punktu wyjścia.

W podświadomości kołatała myśl, że dla policji on sam miał wystarczający powód zgładzenia żony, ale szybko odrzucał to przypuszczenie, jak sądził tak samo absurdalne dla detektywów, jak dla niego samego.



Dwa dni po śmierci Rachel ktoś zapukał do drzwi jego apartamentu. Otworzył i z wściekłością zmierzył wzrokiem dwóch wysokich mężczyzn o ponurych twarzach, policjantów, którzy przeszukiwali go poprzedniego dnia.

- Pan Benedict... - zaczął jeden, ale Zack, przekroczywszy już granicę wytrzymałości, przerwał.

- Dlaczego, u diabła, dranie, czepiacie się właśnie mnie! - wybuchnął. - Domagam się, by poinformowano mnie o poczynionych w sprawie postępach, chcę wiedzieć, kto zamordował moją żonę!

Był tak wściekły, że zupełnie dał się zaskoczyć drugiemu z detektywów, który wszedł do mieszkania, stanął za jego plecami i nagle, bez ostrzeżenia, pchnął pod ścianę i wykręcił do tyłu ręce. Zack poczuł chłód kajdanków, w tym samym momencie drugi policjant wyrecytował:

- Zachary Benedict, jesteś aresztowany pod zarzutem zamordowania Rachel Evans. Masz prawo nic nie mówić, masz prawo do adwokata. Jeżeli cię nie stać...

## ROZDZIAŁ 9

- Panie i panowie przysięgli! Wysłuchaliście szokujących zeznań świadków, obejrzelście przytłaczające w swojej wymowie dowody rzeczowe... - Prokurator Alton Peterson zastygł w bezruchu, powoli wędrując świdrującym spojrzeniem po twarzach dwunastu sędziów przysięgłych okręgu Dallas, mających właśnie zdecydować o winie podejrzanego w sprawie, która wzbudziła niebywałe zainteresowanie opisami cudzołóstwa i zbrodni w kręgach hollywoodzkich supergwiazd. Na zewnątrz sali sądowej, w korytarzach, klębiły się tłumy dziennikarzy z całego świata, z niecierpliwością oczekujących na werdykt w procesie Zacharego Benedicta. Jeszcze niedawno media łąsiły się do niego, teraz z tym większym zapalem rzucały się na każdy szczegół upadku gwiazdora, serwując zafascynowanym Amerykanom najsmaczniejsze kąski, by przeżuwać je przy kolacji, podczas wieczornych wiadomości.

- Zapoznaliście się z obszernym materiałem dowodowym - z naciskiem przypomniał przysięgłym Peterson, kontynuując końcowe wystąpienie - z niekwestionowanymi zeznaniami wielu świadków - niektórzy to przyjaciele Zacharego Benedicta. Wieczorem, w przeddzień morderstwa, Zachary Benedict zastał żonę nagą w ramionach Anthony'ego Austina. Benedict wpadł w szal, rzucił się na Austina, trzeba go było siłą powstrzymać. Słyszeliście zeznania gości hotelowych, będących świadkami kłótni. Od nich to dowiedzieliście się, że Rachel Evans poinformowała Benedicta o zamiarze rozejścia się z nim i poślubienia Anthony'ego Austina, a także domagania się połowy majątku. Ci sami świadkowie zeznali, że podejrzany groził żonie, cytując: „Zabiję cię, nie pozwolę, byście dostali cokolwiek!”

Przytrzymując się balustrady odgradzającej ławę przysięgłych, prokurator kolejno przypatrywał się skupionym twarzom.

- I zabił ją, panie i panowie przysięgli, z zimną krwią. I niewinne dziecko, które w sobie nosiła. Wy wiecie i ja wiem, że jest winny. Sposób, w jaki dokonał morderstwa, jest wyjątkowo odrażający, wręcz potworny, ukazuje dobitnie, jaką zimną, krwiożerczą bestią jest Zachary Benedict!

Prokurator jeszcze raz opisał zbrodnię, a potem przeszedł do końcowych wniosków:

- Zachary Benedict nie zabił ogarnięty szałem jak wielu przed nim. Nie on. Odczekał dwadzieścia cztery godziny, by dokończyć swój ukochany film, i dopiero wtedy przystąpił do działania, w sposób tak ohydny i wyrachowany, że aż zapiera dech! Naładował broń

spiłowanymi nabojami, a potem, w ostatniej chwili, podczas kręcenia sceny końcowej, zmienił scenariusz, aby to jego żona, a nie Anthony Austin, padła ofiarą strzału podczas scenicznej szarpaniny!

Alton zamilkł na chwilę, potem znów chwycił za balustradę.

- Nic, co powiedziałem, nie jest czczym wymysłem. Wysłuchaliście zeznań potwierdzających każde moje słowo. Po południu w dniu morderstwa, gdy cała ekipa miała przerwę, Zachary Benedict, pod pretekstem zmienienia jakiegoś detalu w dekoracji, osobiście udał się do stajni. Kilka osób widziało, jak tam wchodził, ale nikt nie potrafił wskazać na choćby jedną rzecz, która wyglądałaby inaczej. Co tam robił? Wiecie co! Zamieniał nieszkodliwe, ślepe naboje, którymi asystent kierownika produkcji - jak zeznał - załadował broń, na śmiertelne, spiłowane kule. Jeszcze raz przypominam wam, że odciski palców Benedicta ujawniono na tej właśnie broni. Tylko on mógł je tam pozostawić, niewątpliwie przez przeoczenie. A gdy już zakończył przygotowania, czy postąpił jak pospolity morderca? O nie, nie on. - Alton zwrócił się teraz twarzą do oskarżonego, nie kryjąc nienawiści i obrzydzenia. - Zachary Benedict stał spokojnie obok operatora kamery i patrzył, jak żona i jej kochanek całują się i pieszczą, i bez końca kazał powtarzać im tę scenę! Za każdym razem, gdy żona miała sięgnąć po broń, przerywał ujęcie. A potem, gdy już miał dość „zabawy”, napawania się zemstą, gdy nie mógł już odkładać chwili, której domagał się scenariusz, Zachary Benedict dokonał korekty zamysłu autora!

Obracając się, Peterson wskazał palcem na Zacka i pełnym nienawiści głosem dodał:

- Zachary Benedict to człowiek do cna zepsuty bogactwem i sławą, uznał więc, że stoi ponad prawem, które dotyczy mnie i was. Wierzył, że uda mu się ująć kary! Panie i panowie przysięgli...

Zniewoleni donośnym barytonem Petersona, obecni na sali sądowej spojrzeli na siedzącego obok obrońcy Zacka. Adwokat, prawie nie poruszając wargami, szepnął:

- Do diabła, Zack, patrz na przysięgłych!

Benedict posłusznie, jak automat, uniósł głowę, ale wątpił, czy cokolwiek może wpłynąć na jednomyślność sędziów. Gdyby Rachel chciała zrobić go w to morderstwo, nie mogłaby postarać się lepiej: wszystkie dowody dobitniej wskazują na jego winę, niż gdyby rzeczywiście popełnił tę zbrodnię!

- Popatrzcie na niego - rozkazał Alton Peterson z nowym przypiływem energii - a zobaczycie, kim jest: człowiekiem winnym morderstwa pierwszego stopnia! To jedyny werdykt, jaki możecie wydać w tej sprawie, jeżeli sprawiedliwości ma stać się zadość!

Następnego ranka przysięgli zebrali się ponownie. Zack, już poprzedniego dnia wypuszczony za kaucją w wysokości miliona dolarów, opuścił sąd i wrócił do swego mieszkania w Crescent, gdzie snuł rozważania: uciec do Ameryki Południowej czy zacząć od zabicia Tony'ego Austina. Tony wydawał mu się najbardziej prawdopodobnym sprawcą morderstwa, jednak ani prawnicy Zacka, ani wynajęci przez niego prywatni detektywi nie byli w stanie znaleźć dowodu świadczącego o jego winie. Jedyne nałóg brania narkotyków kładł się cieniem na jego osobie, ale przecież łatwiej byłoby mu zaspokoić kosztowne potrzeby, gdyby Rachel żyła i po rozwodzie z Zackiem wyszła za niego. Co więcej, gdyby w ostatniej chwili nie zdecydował o zmianie scenariusza, Tony, a nie Rachel, padłby ofiarą. Usiłował sobie przypomnieć, czy wcześniej mówił Tony'emu, że nie podoba mu się zakończenie i myśli nad jego zmianą, i na głos rozważał, co wydarzyło się w przeddzień morderstwa. Swoje notatki z adnotacją o zamiarze korekty scenariusza zostawiał w rozmaitych miejscach, ale żaden ze świadków nie zeznał, by cokolwiek wiedział o jego planach.

Jak tygrys w klatce miotał się po mieszkaniu, przeklinał los, Rachel i samego siebie. Wciąż na nowo analizował końcową mowę obrońcy, usiłując uwierzyć, że Arthur Handler przekonał ławę przysięgłych o jego niewinności. Adwokat wykorzystał jedyną sensowną linię obrony, próbował udowodnić sędziom, że Zack byłby ostatnim głupcem, popełniając zbrodnię, gdy wiedział, iż policja przyszłaby prosto po niego. Gdy w czasie rozprawy wyszło na jaw, że Zack posiada dużą kolekcję broni palnej i zna się na amunicji, Handler próbował użyć tego argumentu na jego korzyść: Zack umiałby podmienić kule bez pozostawienia odcisków palców.

Ucieczka do Ameryki Południowej nie była dobrym pomysłem, dobrze o tym wiedział. Przede wszystkim sędziowie uznaliby go za winnego, nawet jeżeli zamierzali postąpić inaczej. Poza tym, jego twarz była na tyle znana, zwłaszcza teraz, po wrzawie wznieconej przez prasę, iż znaleziono by go bez trudu. Jedyłą pociechą był pewnik, że Tony Austin już nigdy nie zagra w filmie, teraz gdy o jego nałogach i rozpuście stało się głośno.

Rankiem następnego dnia pukanie do pokoju sprawiło, że oblał go zimny pot - napięcie ostatnich dni stało się trudne do zniesienia. Otworzył drzwi. Na widok Matta Farrella, jedynej osoby, której naprawdę ufał, zmarszczył brwi. Nie życzył sobie jego obecności na sali sądowej - czułby się podwójnie upokorzony - nie chciał, by znajomość z nim rzuciła cień na tego powszechnie znanego przemysłowca. Do wczoraj Matt przebywał w Europie, negocjując kupno jakiejś firmy, i podczas telefonicznej rozmowy Zackowi bez trudu przychodziło zachowanie w głosie optymizmu. Teraz wystarczyło jedno spojrzenie na twarz

przyjaciela, by zorientował się, że Matt zna prawdę i właśnie z tego powodu przyleciał do Dallas.

- Nie wyglądasz na uszczęśliwionego moim widokiem - rzucił Farrell, wchodząc do środka.

- Mówiłem ci, nie ma powodu, byś przyjeżdżał. - Zack zamknął drzwi. - Przysięgli już obradują, wszystko będzie w porządku.

- Jeżeli tak - odrzekł Matt, ani trochę nie zrażony niezbyt entuzjastycznym powitaniem - możemy spędzić te kilka godzin przy pokerze. O'Hara właśnie odstawia samochód i załatwia pokoje, potem będzie wolny - mówił o swym kierowcy i zarazem ochroniarzu. Zdjął trenażer, spojrzał na wymizerowaną twarz Zacka i sięgnął po słuchawkę telefonu. - Wyglądasz okropnie - zauważył. Połączył się z recepcją i zamówił do pokoju obfite śniadanie.

- To najwyraźniej mój szczęśliwy dzień - odezwał się Joe O'Hara sześć godzin później, zgarniając ze stołu stertę banknotów. Ten olbrzymi mężczyzna o pokiereszowanej twarzy boksera, pod maską hałaśliwej wesołości starał się ukryć niepokój o przyszłość Zacka i choć nikogo nie zdołał oszukać, sprawił, że panująca w apartamencie napięta atmosfera stawała się łatwiejsza do wytrzymania.

- Przypomnij, że bym obniżył ci pensję - rzucił Matt, patrząc na piramidkę pieniędzy na nowo rosnącą przy łokciach szofera. - Nie powinienem ci tyle płacić po to, byś mógł sprawdzić każde przebicie.

- Powtarzasz to za każdym razem, gdy was ogrywam - pogodnie odpowiedział O'Hara, tasując talię. - Przypominają mi się stare dobre czasy, jak w Carmel na okrągło grywaliśmy w karty, ale, jak pamiętam, wyłącznie nocami.

A życie Zacka nie znajdowało się na szali... Ta niewypowiedziana myśl zawisła w gęstej ciszy, którą przerwał dopiero ostry dzwonek telefonu.

Zack sięgnął po słuchawkę, po chwili uniósł się z miejsca.

- Przysięgli uzgodnili werdykt, czas na mnie.

- Idę z tobą - powiedział Matt.

- Przyprowadzę samochód. - O'Hara sięgnął do kieszeni po kluczyki.

- Nie ma potrzeby. - Zack próbował opanować strach. - Przyjedzie po mnie adwokat. - Począł, aż O'Hara pożegna się i wyjdzie, potem popatrzył na Matta i podszedł do biurka. - Mam do ciebie prośbę. - Wyjął z szuflady kartkę papieru i podał przyjacielowi. - Przygotowałem to na wypadek, jakby sprawy potoczyły się nie po mojej myśli. Daję ci pełnomocnictwo uprawniające do każdej decyzji dotyczącej mojego majątku.

Matt Farrell spojrział na dokument i zbladł, Zack najwyraźniej dawał sobie mniej niż połowę szans na wyjście cało z opresji.

- Formalność, na wszelki wypadek. Jestem pewien, że nigdy nie będzie potrzebne - skłamał Zack.

- Ależ oczywiście - równie szczerze odpowiedział Matt.

Mężczyźni spojrzeli sobie w oczy; byli niemal identycznego wzrostu, budowy ciała, podobnej karnacji i mieli taki sam malujący się na twarzy wyraz udawanej, dumnej pewności siebie. Zack wziął płaszcz. Matt odkaszlnął i z wahaniem powiedział:

- Gdybym... gdybym miał tego kiedyś użyć, czego sobie życzysz?

Zack przed lustrem wiązał krawat. Wzruszył ramionami i bez prze konania zażartował:

- Po prostu staraj się nie doprowadzić mnie do ruiny, tylko tyle.

Godzinę później stał obok swych adwokatów w sali sądowej i patrzył, jak zastępca szeryfa podaje sędziemu werdykt.

- ...winny morderstwa pierwszego stopnia... - usłyszał jakby dochodzące z oddali słowa.

Po chwili namysłu z ust sędziego padło przerażające orzeczenie:

- Karę wyznacza się na czterdzieści pięć lat pozbawienia wolności w więzieniu w Amarillo, stan Teksas... zwolnienie za kaucją zostaje cofnięte, gdyż wyrok przekracza piętnaście lat...

Zack bał się drgnąć. Bał się poruszyć, zdradzić to, co działo się w jego duszy: krzyczał.

Stał sztywno wyprostowany, nawet wtedy, gdy wykręcono mu do tyłu ręce i zakładano kajdanki.

## ROZDZIAŁ 10

- Proszę uważać, panno Mathison! - rozległ się przeraźliwy krzyk chłopca siedzącego na wózku inwalidzkim. Za późno! Julie, kozłująca piłkę w stronę środka boiska, ze śmiechem odwróciła się, by wykonać rzut, i zahaczyła nogą o stopień wózka. Runęła do tyłu, lądując na plecach.

- Panno Mathison! Panno Mathison! - W sali gimnastycznej rozległy się przerażone okrzyki kalekich chłopców, podopiecznych Julie, którymi zajmowała się po godzinach swej zwykłej, nauczycielskiej pracy. Ze wszystkich stron otoczyły ją wózki, zbliżały się dzieci o kulach, niektóre w aparatach usztywniających kończyny. - Nic się pani nie stało? - rozległ się chór głosów. - Nie jest pani ranna?

- Pewnie, że tak - zażartowała. Uniosła się na łokciach i odsunęła z oczu kosmyk włosów. - Moja duma została ciężko, ale to ciężko zraniona.

Willie Jenkins, dziewięcioletni szkolny zawadiaka z zaciekawieniem obserwujący grę, wcisnął ręce do kieszeni i z zaskoczoną miną rzucił swoim skrzeczącym głosem:

- Jak to możliwe, przecież wylądowała pani zwyczajnie na du...

- Zależy, z którego miejsca na to spojrzeć, Willie. - Julie roześmiała się. Właśnie podnosiła się, gdy dostrzegła zbliżającą się parę szpiczastych butów, a wyżej brązowe spodnie z elany.

- Panno Mathison - ostro rzucił dyrektor. Był wściekły z powodu zadrapań, jakie pojawiły się na lśniącej podłodze sali gimnastycznej. - To mi nie wygląda na koszykówkę. Co to za gra?

Mimo że obecnie Julie uczyła w trzeciej klasie, jej stosunki z dyrektorem szkoły podstawowej w Keaton, panem Duncanem, niewiele poprawiły się od czasu, gdy przed piętnastoma laty oskarżył ją o kradzież pieniędzy przeznaczonych na szkolne obiady. Już od dawna nie wątpił w jej uczciwość, ale nagminnym naginaniem regulaminu szkoły do potrzeb uczniów mocno go drażniła. Bez końca zadręczała go nowymi pomysłami, a gdy je odrzucał, zwracała się o moralne poparcie do społeczności miasta, a w razie potrzeby także o finansową pomoc do co znamienitszych obywateli. Dzięki jej zabiegom szkoła podstawowa w Keaton realizowała teraz specjalnie przez Julie przygotowany program dla dzieci fizycznie upośledzonych, nadal przez nią udoskonalany w sposób uznany przez pana Duncana za zupełnie niezgodny ze szkolnym regulaminem. Gdy tylko pannie Mathison udało się wprowadzić w życie swój zamysł, natychmiast wytyczyła sobie następny, trudniejszy do

osiągnięcia cel. Teraz nic już nie mogło jej powstrzymać: kampania na rzecz zlikwidowania analfabetyzmu wśród kobiet w Keaton i okolicy ruszyła pełną parą. Impulsem do działań było odkrycie, że żona szkolnego woźnego nie umie czytać. Julie Mathison zaprosiła ją do domu i zaczęła udzielać lekcji. Wnet wyszło na jaw, że jej uczennica 2na inną kobietę, także nieumiejącą czytać, ta z kolei następną, i tak powstał cały łańcuszek. W krótkim czasie panna Mathison miała siedem uczennic. Teraz zwróciła się do dyrektora, by pozwolił jej, przez dwa wieczory w tygodniu, korzystać ze szkolnych pomieszczeń.

Pan Duncan zaprotestował, uzasadniając odmowę dodatkowymi kosztami, wtedy Julie słodkim głosem wspomniała, że nie pozostaje jej nic innego niż rozmowa z dyrektorem szkoły średniej. Pan Duncan wołał nie ryzykować opinii potwora bez serca - dyrektor liceum pewnie uległby czarowi błękitnych oczu i wdzięcznemu uśmiechowi Julie. Dlatego pozwolił na wieczorne lekcje, i to w jej własnej klasie w Keaton Elementary. Zaraz potem ta „irytująca fanatyczka” stwierdziła, że potrzebuje materiałów pomocniczych w celu przyspieszenia nauczania dorosłych uczennic. Tak oto ku swej rosnącej irytacji dyrektor przekonał się po raz kolejny: jak Julie Mathison coś postanowi, nie spocznie, póki tego nie osiągnie. Przekonana o słuszności sprawy, okazywała nieprzejednany upór i pełną optymizmu energię, cechy wysoce drażniące jej zwierzchnika.

Dla przełożonego okazała się denerwująco bezkompromisowa już przy dopominaniu się o prawa upośledzonych fizycznie dzieci, ale likwidacja analfabetyzmu w miasteczku stała się jej osobistą krucjatą. Nic, co by powiedział czy zrobił, nie mogło jej powstrzymać. Była zdecydowana zdobyć materiały pomocnicze, a on doskonale wiedział, że nie znajdzie sposobu, by jej przeszkodzić, wybić z głowy następne „fanaberie”. Dwa dni wolnego, jak przypuszczał, ściśle wiązały się z wyjazdem do Amarillo i zamiarem zabiegania tam o nowe fundusze. Jak słyszał, namówiła bogatego dziadka jednego ze swych kalekich uczniów - człowiek ten mieszkał w Amarillo - do ofiarowania pewnej sumy na sprzęt pomocny przy rehabilitacji dzieci. A teraz, co podejrzewał, przez zaskoczenie chciała go nakłonić do wyasygnowania kolejnych pieniędzy na program kształcenia analfabetek.

Właśnie to ciągłe „gromadzenie funduszy” było dla pana Duncana wyjątkowo żenujące, działalność Julie uważał za pozbawioną godności, zwyczajną zebranię. W ciągu czterech lat nauczania w Keaton Elementary, Julie Mathison stała się dla niego jednym wielkim utrapieniem. Dlatego teraz zupełnie nie poruszył go roztaczający się przed oczyma wdzięczny obrazek - unosząca się z ziemi pełna uroku pani nauczycielka daje uczniom znak, by udali się do szatni, równocześnie informując o zajęciach w przyszłym tygodniu. Z twarzą pozbawioną makijażu, długimi do ramion kasztanowymi włosami, zaczesanymi do tyłu i



związanymi w koński ogon, emanowała młodzieńczą witalnością i zdrowiem; zatrudniając ją, Duncan widział słodką, śliczną i nieskomplikowaną osobkę. Miała pięć stóp i pięć cali wzrostu, zgrabny nos, klasycznie zarysowane kości policzkowe i pełne, o łagodnym wykroju usta. Spod wdzięcznie wygiętych łuków brwi niewinnie spoglądały olbrzymie, lśniące błękitem oczy, ocienione gęstymi, długimi rzęsami. A powinien był od razu zwrócić uwagę na lekko wysuniętą brodę z zawadiackim dołkiem, zapowiadającą upór i bezkompromisowość.

Zdenerwowany czekał, aż młoda nauczycielka skończy zajmować się „swym” zespołem, obciągnie dres i poprawi włosy, dopiero wtedy odważył się podać przyczynę swej niezwyklej o tej porze obecności w sali gimnastycznej.

- Dzwonił twój brat, Ted. Byłem na górze sam, dlatego odebrałem telefon- dodał poirytowany. - Prosił, żeby ci przekazać, że matka czeka z kolacją o ósmej, a Carl da ci samochód... na wyjazd do Amarillo. Nie wspomniałaś o tym, jak prosiłaś o wolne z powodów osobistych.

- A, prawda, Amarillo - powiedziała Julie z niewinnym uśmiechem, który miał uspić czujność przełożonego, a wywołał wręcz przeciwny efekt.

- Masz tam przyjaciół? - zapytał, surowo marszcząc brwi.

Julie wybierała się do Amarillo, by zwrócić się do bogatego krewniaka jednego ze swych kalekich uczniów o finansowe wsparcie programu walki z analfabetyzmem i miała niemiłe wrażenie, że pan Duncan domyślał się wszystkiego.

- Opuszczę tylko dwa dni - rzekła wymijająco - już załatwiłam zastępstwo.

- Do Amarillo jest kilkaset mil, musisz mieć ważną sprawę do załatwienia.

Julie pominęła milczeniem uwagę szefa. Podwinęła rękaw bluzy, spojrzała na zegarek i zawołała:

- O Boże, już wpół do piątej! Muszę się pośpieszyć, by zdążyć wziąć w domu prysznic i wrócić na czas na lekcję o szóstej.

Julie wyszła ze szkoły. Przy samochodzie czekał na nią Willie Jenkins. Na drobnej twarzy chłopca dojrzała zmarszczkę zafrasowania.

- Słyszałem, jak pan Duncan i pani rozmawialiście o podróży do Amarillo- powiedział tym swoim mocno ochryplym głosem, brzmiącym jak u dorosłego mężczyzny cierpiącego na zapalenie krtani. - Bo właśnie zastanawiałem się, panno Mathison, czy będę mógł śpiewać w zimowym przedstawieniu. - Julie z trudem powstrzymała uśmiech. Podobnie jak starsi bracia, Willie Jenkins celował w zajęciach sportowych i zawsze pierwszego wybierano go do drużyny; wśród uczniów młodszych klas cieszył się dużą popularnością, napawało go więc

goryczą ciągle pomijanie przy wyznaczaniu do popisów wokalnych. Powód był oczywisty - gdy tylko Willie otwierał usta, by zaśpiewać, w y -dobywały się z nich dźwięki przyprawiające całe audytorium o atak śmiechu.

- To nie zależy ode mnie, Willie - powiedziała Julie. Wrzuciła teczkę na przednie siedzenie starego forda. - W tym roku nie ja zajmuję się zimowym przedstawieniem.

Rzucił jej szelmowskie, zadumane spojrzenie mężczyzny instynktownie domyślającego się, że w sercu kobiety znalazł czułe miejsce -i tak rzeczywiście było. Kochała go za odwagę, śmiałość, a przede wszystkim serdeczność okazywaną Johnny'emu Everettowi, kalekiemu chłopcu z jej klasy.

- A gdyby to zależało od pani, mógłbym zaśpiewać? - wychrypiął.

- Willie... - Przekręciła kluczyk w stacyjce. - Gdy decyzja zależeć będzie ode mnie, na pewno zaśpiewasz.

- Obiecuję pani?

Julie skinęła głową.

- Przyjdź kiedyś do kościoła, to się przekonasz, pozwolę ci wystąpić w chórze chłopięcym.

- Moi rodzice nieszczególnie przepadają za modlitwami.

- No cóż, mamy prawdziwy dylemat - przyznała Julie. Powoli wyjeżdżała z parkingu i przez otwarte okno jeszcze rozmawiała z chłopcem.

- Co to takiego, ten dylemat?

- Poszukaj w słowniku. - Wyciągnęła dłoń i przeczesała palcami czuprynę chłopca.

Droga do domu prowadziła przez centrum Keaton - cztery ulice, przy nich sklepy i firmy, tworzyły czworobok wokół pełnego stateczności budynku sądu okręgowego. Gdy po raz pierwszy przybyła do Keaton, to małe teksańskie miasteczko, pozbawione bulwarów i drapaczy chmur, ale także slumsów, wydało jej się bardzo stare i bardzo obce, wnet jednak pokochała ciche uliczki i atmosferę spokoju. Miejsce to zdawało się pozostawać takie samo przynajmniej od piętnastu lat - zawsze malownicze i niezwykle, ze ślicznym, białym pawilonem pośrodku miejskiego parku, z ceglаныmi chodnikami wzdłuż ulic pełnych sklepów i nieskazitelnie utrzymywanych domów. Mimo że ludność Keaton wzrosła z trzech do pięciu tysięcy, nowo przybyli podporządkowali się tutejszemu stylowi życia, nie próbując narzucać własnego. Większość obywateli poddawała się uświęconej dziesiątkami lat tradycji. W niedzielę udawano się do kościoła, mężczyźni w każdy pierwszy piątek miesiąca zbierali się w Elks Club, początek letnich wakacji nadal świętowano hucznie - na porośniętym trawą miejskim placu, w rytm reprezentacyjnej orkiestry miasta Keaton, przygrywającej z podestu

przystrojonego na tę okazję na czerwono, biało i niebiesko. Pierwsi mieszkańcy przyjeżdżali na te uroczystości wierzchem lub furmankami, teraz całymi rodzinami zajeżdżano samochodami, a śmiech i muzyka unosiły się z letnim wiatrem jak za dawnych czasów. Dzieci jak zawsze bawiły się w berka wokół starych dębów albo spacerowały, prowadzone przez rodziców za rękę, z lodami w drugiej, a na tych samych od lat ławkach ich dziadkowie wspominali stare dobre czasy. W tym miasteczku ludzie pozostali wierni dawnym przyjaźniom, tradycji, wspomnieniom. Tu każdy znał każdego, każdy o każdym wiedział wszystko.

Julie stała się teraz częścią miejskiej społeczności; pokochała poczucie bezpieczeństwa, jakie dawało to miejsce. Odkąd skończyła jedenaście lat, skrupulatnie unikała zachowania, które mogłoby sprowokować złośliwe języki. Jako nastolatka spotykała się zaledwie z kilkoma chłopcami, i to wyłącznie z cieszącymi się zaufaniem jej rodziców i przychylnością mieszkańców miasta. Chodziła z nimi tylko na uroczystości mające błogosławieństwo kościoła i szkoły. Nigdy nie naruszała niepisanych praw miasteczka, rygorystycznie przestrzegała przepisów ruchu drogowego i, co oczywiste, tych dotyczących poważniejszych występków; uczęszczając do college'u, mieszkała z rodzicami, a gdy w zeszłym roku wynajęła w końcu mały domek w północnej części miasta, utrzymywała go w idealnym porządku i przestrzegała żelaznej zasady: żadnych mężczyzn po zapadnięciu zmroku, oczywiście poza tymi z rodziny. Inne młode kobiety dorastające w latach osiemdziesiątych buntowałyby się przeciw podobnym ograniczeniom, własnym czy narzuconym przez środowisko. Ale nie Julie. Tutaj znalazła prawdziwy dom, kochającą rodzinę, która obdarzyła ją pełnym zaufaniem; postanowiła pokazać, że jest tego warta. Udało się! Jako osoba dorosła Julie Mathison stała się wręcz modelową obywatelką Keaton. Poza pracą w Keaton Elementary, część wolnego czasu poświęcała kalekim dzieciom oraz nieumiejącym czytać dorosłym, uczyła w szkółce niedzielnej, śpiewała w chórze, wypiekała ciasteczka na kościelne akcje dobroczynne i robiła na drutach szaliki, by pomóc w zebraniu funduszy na nową remizę strażacką.

Z determinacją wymazywała wszelkie ślady po nierozważnej, impulsywnej małej ulicznicy, jaką kiedyś była, a każde poświęcenie przynosiło tyle szczęścia, jakby to ją obdarowywał Bóg. Uwielbiała pracować z dziećmi, także nauczanie dorosłych sprawiało niemałą satysfakcję. Starła się wieść idealne życie. I tylko czasami, w długie samotne wieczory, nie do końca potrafiła odegnąć myśl, że chyba o czymś zapomniała, jakiś ton brzmi fałszywie. Czuła wtedy, że rola, jaką sama dla siebie napisała, nie jest tą wymarzoną; rodziły się wątpliwości.

Rok temu, gdy nowy asystent pastora, Greg Howley, przybył pomagać ojcu Julie, zrozumiała to, o czym powinna wiedzieć o wiele wcześniej: potrzebuje męża i własnej rodziny. Pomyśleli o tym samym i razem z Gregiem zaczęli rozmawiać o małżeństwie. Ale Julie chciała poczekać. Greg wyjechał na Florydę, do własnej parafii, wciąż niepewnej decyzji. Miejscowe plotkarki uznały przystojnego duchownego za najlepszego kandydata na męża dla Julie i były srodze zawiedzione gdy miesiąc temu, zaraz po Bożym Narodzeniu wyjechał, nie włożywszy na dłoń dziewczyny zaręczynowego pierścionka. Greg także jej przypadł do gustu. I tylko czasami, nocą, z mroku wyłaniały się wątpliwości...

## ROZDZIAŁ 11

Wsparta biodrem o biurko, Julie uśmiechnęła się serdecznie do swoich uczennic - siedmiu kobiet w wieku od dwudziestu do sześćdziesięciu lat. Od samego początku podbiły jej serce swą pełną determinacją odwagą i pracowitością, teraz zaczynała poznawać je bliżej. Za niecałe dwadzieścia minut powinna siedzieć przy kolacji w domu rodziców, jednak z niechęcią myślała o końcu lekcji. Z ociąganiem spojrzała na zegarek.

- W porządku, na dzisiaj wystarczy. Są pytania odnośnie zadania na przyszły tydzień? Może jakieś inne wątpliwości?

Ze skupionych twarzy patrzyło na nią siedem par oczu. Rosalie Silmet, dwudziestopięcioletnia samotna matka, nieśmiało uniosła rękę.

- My wszystkie chciałybyśmy powiedzieć, jak bardzo cenimy to, co dla nas robisz. Dziewczyny wyznaczyły mnie, bo jak dotąd jestem najlepsza w czytaniu. Pragniemy, byś wiedziała, jak wiele dla nas znaczy twoja wiara w nasze możliwości. Niektóre - spojrzała z wahaniem na Pauline Perkins, która ostatnia dołączyła do klasy, gorąco zachęcana przez Rosalie - nie wierzą, iż ci się powiedzie, ale chcemy, byś spróbowała.

Podążając za spojrzeniem Rosalie, Julie zatrzymała wzrok na ciemnowłosej, poważnej kobiecie około czterdziestki.

- Dlaczego sądzisz, Pauline, że nie dasz sobie rady? - zapytała łagodnie.

Kobieta wstała, jej nieśmiałe słowa zabrzmiały z pełną boleści godnością:

- Zdaniem męża, gdybym nie była tak beznadziejnie tępa, nauczyłabym się czytać jeszcze w dzieciństwie. Moje dzieci mówią to samo.

- Uważają, że marnujesz swój czas. Przyszłam tu tylko dlatego, bo Rosalie chwaliła się, jakie szybkie robi postępy, choć też nie wierzyła, by to było możliwe. Chciałam spróbować, przez kilka tygodni.

Pozostałe kobiety skinieniem głowy przyznały jej rację. Julie na chwilę przymknęła oczy, postanowiła wyznaczyć prawdę, którą, jak sądziła, pogrzebała na zawsze.

- Wszystkie możecie nauczyć się czytać. Nieumiejętność czytania wcale nie wynika z braku inteligencji. Mogę to udowodnić.

- Jak? - zapytała Pauline.

Julie wzięła głęboki oddech, nim spokojnym głosem odpowiedziała:

- Gdy przybyłam do Keaton, byłam w czwartej klasie, a nie umiałam czytać tak dobrze, jak Rosalie już po kilku tygodniach nauki. Wiem, co to znaczy czuć się niezdolną.

Rozumiem, co znaczy iść korytarzem i nie umieć odczytać napisu na drzwiach toalety. Wiem, jakich chwytności się sposobów, by ukryć to przed innymi, powstrzymać ironiczne uśmiešky. Dla mnie to wcale nie jest śmieszne. Bo wiem coś jeszcze... Wiem, ile odwagi potrzebuje każda z was, by zjawiać się tu dwa razy w tygodniu.

Kobiety patrzyły na nią z otwartymi ze zdumienia ustami, wreszcie Pauline odważyła się zapytać:

- To prawda, nie umiałaś czytać?

- Prawda - odrzekła spokojnie Julie, patrząc jej prosto w oczy. -Właśnie dlatego was uczę, dlatego tak bardzo się staram o materiały do nauki dorosłych. Wiercie mi - powiedziała, prostując się - znajdę sposób na ich zdobycie, właśnie po to jutro rano jadę do Amarillo. Was proszę tylko, byście trochę mi zaufały. I uwierzyły w siebie. -Tobie wierzymy - żartobliwym tonem rzuciła Peggy Listrom. Wstała, zebrała zeszyt i ołówki. - Ale gorzej z wiarą w siebie.

- Że też wyrwałaś się z czymś takim - w podobnym tonie odezwała Julie - czyż na początku lekcji nie mówiłaś, jak w tym tygodniu udało ci się odcyfrować nazwy ulic?

Peggy z uśmiechem wzięła na ręce i przytuliła niemowlę dotychczas drzemiące na krześle przed nią. Julie pomyślała, że jej uczennice czekają na jakąś zachętę.

- Zanim wyjdziecie, może przypomnimy sobie wspólnie, dlaczego chcieliście się nauczyć czytać? Rosalie, może ty zaczniesz?

- To oczywiste. Chcę przenieść się do miasta, gdzie jest mnóstwo pracy, uwolnić się wreszcie od pomocy społecznej. Nie mogę jednak dostać dobrej posady, bo nie potrafię wypełnić formularza.

Dwie inne kobiety zgodnie kiwnęły głowami. Julie popatrzyła na Pauline.

- A ty, dlaczego?

Kobieta uśmiechnęła się wstydliwie.

- Chciałabym pokazać mężowi, jak bardzo się myli, udowodnić mu, że wcale nie jestem głupia. A wtedy... - Przerwała.

- Co zrobisz? - delikatnie naciskała Julie.

- Wtedy - zakończyła Pauline, uśmiechając się do swoich marzeń -mogłabym pomóc dzieciom przy odrabianiu zadań.

Julie popatrzyła na Debby Sue Cassidy, trzydziestolatkę o prostych, brązowych włosach, ze lśniącymi, ciemnymi oczami, prowadzącą spokojne życie, którą wędrujący z miejsca na miejsce rodzice przenosili ze szkoły do szkoły, aż wreszcie na piątej klasie zakończyła edukację. Właśnie ona, choć małowarna, sprawiała wrażenie wyjątkowo zdolnej,

a sądząc z odpowiedzi, posiadała umiejętność wysławiania się i pewne zacięcie literackie. Pracowała jako pomoc domowa, a wyglądała na bibliotekarkę intelektualistkę. Teraz z wahaniem powiedziała:

- Jak się nauczę czytać, zrobię coś, o czym myślę od dawna.

- Co takiego? - Julie uśmiechała się zachęcająco.

- Tylko się nie śmiej. Chciałabym napisać książkę.

- Ani myślę - rzekła łagodnie Julie.

- Wierzę, że kiedyś mi się uda. Mam mnóstwo dobrych pomysłów na opowiadania i potrafię o nich mówić, tylko nie umiem napisać. Ja... słucham książek z kaset, takich dla niewidomych. Czasem czuję się jak oni. Jakbym znajdowała się w ciemnym tunelu bez wyjścia, chociaż teraz na końcu widzę już migocące światełko. Jak naprawdę nauczę się czytać...

Zwierzenia te wywołały lawinę następnych. Przed oczami Julie przewijały się obrazy z życia, na jakie były skazane jej podopieczne. Terroryzowane przez mężczyzn, z którymi się związały, wyprane z poczucia własnej wartości, bez słowa skargi godziły się na los, jaki je spotkał. Gdy Julie zamknęła drzwi klasy, była już dziesięć minut spóźniona na kolację. I bardziej niż kiedykolwiek zdecydowana walczyć o pieniądze na pomoce dla swoich uczennic.

## ROZDZIAŁ 12

Gdy Julie dotarła na miejsce, na podjeździe zobaczyła policyjny wóz patrolowy Teda. Jej bracia, zagłębieni w rozmowie, szli w stronę domu. Niebieski blazer Carla, którym, jak należało, zamiast własnym wozem powinna wybrać się do Amarillo, stał przy wjeździe, Julie zaparkowała obok. Mężczyźni odwrócili się i poczekałi, aż ich dogoni; nawet po tylu latach nie potrafiła oprzeć się uczuciu dumy i zaskoczenia: jacy wysocy i przystojny wyrosli, jacy są serdeczni i kochający.

- Cześć, siostrzyczko! - zawołał Ted i przytulił ją gorąco.

- Cześć! - Odwzajemniła uścisk. - Jak tam twoje prawo? - Ted, zastępca szeryfa w Keaton, właśnie ukończył studia prawnicze i czekał na wynik egzaminu adwokackiego.

- Rozkwita - zażartował. - Dzisiaj po południu zmyłem głowę pani Herkowitz za nieostrożne przechodzenie przez ulicę. Uff, co za pracowity dzień!- Pomimo pozorów dobrego humoru, w jego głosie zabrzmiała cyniczna nutka - ślad po krótkim epizodzie, nieudanym małżeństwie z córką najbogatszego obywatela Keaton. Doświadczenie to zraniło go, pozbawiło złudzeń; rodzina zupełnie nie mogła zrozumieć, gdzie podział się tamten beztroski chłopiec.

Carl, od sześciu miesięcy szczęśliwy żonkoś, tryskał optymizmem. Powitał ją z uśmiechem.

- Sara nie mogła przyjść, wciąż jest przeziębiona - wyjaśnił.

Na werandzie, w kręgu światła ukazała się Mary Mathison, przepastna fartuszkim. Poza kilkoma siwymi pasemkami w ciemnych włosach i nieco wolniejszymi ruchami - ślad po ostatnim ataku serca -niewiele się zmieniła, jak zawsze serdeczna, ładna i pełna życia.

- Dzieci, chodźcie już! - zawołała - kolacja stygnie!

Wielebny Mathison, wysoki, wciąż trzymający się prosto, stanął za jej plecami. Teraz nosił okulary już na stałe, jego włosy niemal całkiem posiwiały.

- Pośpieszcie się - powiedział. Przytulił Julie i poklepał po ramionach zdejmujących kurtki synów.

Jedyną zmianą, jaka zaszła w ciągu tych lat w rodzinnych kolacjach u Mathisonów, było bardziej uroczyste ich celebrowanie, w jadalni -Mary Mathison chciała, by wspólne posiłki stały się małym rodzinnym świętem, teraz gdy jej gromadka dorosła i usamodzielniała się. Atmosfera przy stole niewiele się jednak zmieniła; śmiechom, wymianie serdeczności,



także troskliwych rad nie było końca. Nad półmiskami wołowej pieczeni, ziemniaków puree i jarzyn członkowie rodziny wymieniali ostatnie wiadomości.

- Co z budową u Addelсона? - zapytał pastor Carla, jak tylko skończyli modlitwę.

- Nie najlepiej. Prawdę mówiąc, jestem bliski szaleństwa. Hydraulik podłączył gorącą wodę do kurków z zimną, elektryk światło na werandzie do wyłącznika maszyny mielącej śmieci. Jak ją włączysz, zapala się lampa na werandzie...

Zwykle Julie bardzo przejmowała się kłopotami brata, tym razem sytuacja wydała jej się zabawna.

- A gdzie dał wyłącznik młynka do śmieci? - zapytała ze śmiechem.

- Herman połączył go z wywietrznikiem piekarnika. Znów naszedł go jeden z tych jego dziwacznych humorów. Czasami myślę, że jest taki zadowolony z otrzymania pracy, iż rozmyślnie wszystko płacze, by trwała jak najdłużej.

- No to może dokładniej sprawdź inne urządzenia. Powstałaby nieciekawa sytuacja, gdyby po wprowadzeniu się pan burmistrz Addelson włączył suszarkę i spalił kuchenkę mikrofalową.

- To nic śmiesznego, Julie. Adwokat Addelсона zadbał, by umowę opatrzone klauzulą o karach. Jeżeli nie uwinę się z robotą do końca kwietnia, każdy dzień zwłoki będzie mnie kosztował pięćdziesiąt dolarów. Chyba że opóźnienie nastąpi w wyniku działania siły wyższej.

Julie starała się zachować powagę, ale w jej oczach wciąż na nowo zapalały się iskierki wesołości. Wyobrażała sobie, jak burmistrz przekręca kontakt na werandzie i zamiast światła zaczyna przeraźliwie ryczeć maszyna do przeróbki odpadów. Oprócz piastowania stanowiska burmistrza, Addelson był właścicielem banku, firmowego sklepu Forda i drugiego z towarami żelaznymi oraz sporego kawałka ziemi na zachód od Keaton. Hermana Henklemana także znali wszyscy w mieście; elektryk z zawodu, a stary kawaler z wyboru, mieszkał sam w niewielkiej ruderze na peryferiach. Jak miał ochotę, pracował, gdy się upił śpiewał, a na trzeźwo rozprawiał o wydarzeniach historycznych ze znajomością tematu i słownictwem godnym profesora uniwersytetu.

- Nie sądzę, byś musiał się martwić odwołaniem się przez burmistrza Addelсона do klauzuli o karze - zauważyła Julie z uśmiechem. - Postępowanie Hermana niewątpliwie da się zakwalifikować jako działanie „siły wyższej”. On jest jak huragan i trzęsienie ziemi równocześnie - nieprzewidywalny, nie do powstrzymania. Każdy to wie.

Carl roześmiał się głębokim, gardłowym śmiechem.

- Masz rację - przyznał. - Jeżeli Addelson zaskarży mnie do sądu, miejscowi przysięgli rozstrzygną sprawę na moją korzyść.

Nastąpiła pełna wzajemnego zrozumienia chwila ciszy. Potem z westchnieniem odezwał się Carl:

- Nie rozumiem, co w niego wstąpiło. W „normalnym” stanie Herman jest wyśmienitym elektrykiem. Chciałem pomóc mu stanąć na nogi, dać zarobić parę groszy, sądziłem, że będzie w porządku.

- Burmistrz Addelson nie zaskarży cię, jeżeli spóźnisz się z robotą kilka dni - wtrącił wielebny Mathison, z wyrazem błogości na twarzy dobierając sobie następny kawałek pieczeni. - To sprawiedliwy gość, dobrze wie, że jesteś najlepszym budowniczym po tej stronie Dallas, a twoja praca warta wyłożonych pieniędzy.

- Masz rację - przyznał Carl. - Ale pogadajmy o przyjemniejszych sprawach. Julie, od tygodni wykręcasz się od odpowiedzi, powiedz wreszcie, wychodzisz za Grega?

- Och! - zaczęła zmieszana. - My, ja... - Cała rodzina obserwowała z rozbawieniem, jak Julie przesuwa srebrne sztuce, potem zabiera się do przestawiania miski z ziemniakami tak, aby naczynie znalazło się dokładnie pośrodku stołu. Ted wybuchnął śmiechem, wtedy opamiętała się i zawstydzona znieruchomiała. Od dzieciństwa, gdy trapiły ją jakieś zmartwienia lub coś wyprowadziło z równowagi, odczuwała przemożną potrzebę robienia porządków: w komodzie w sypialni, w szafce kuchennej czy na stole. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Chyba tak, w przyszłości...

Wciąż jeszcze o tym myślała, gdy we trójkę opuszczali dom. Niespodziewanie z ciemności wyłonił się Herman Henkleman, z niepewną miną miętosząc w rękach kapelusz. Miał siedemdziesiąt lat, był wysoki i chudy. Na ich widok z godnością wyprostował ramiona, czym, jak zwykle, ujął Julie.

- Dobry wieczór wszystkim - rzucił w stronę zebranych na werandzie, a potem zwrócił się do Carla: - Wiem, że już nie mam tej roboty przy domu Addelsona, ale chcę poprawić, co spartoliłem, pozwolisz mi? O nic więcej nie proszę. Nie chcę żadnej zapłaty, zawiodłem cię, chcę tylko usunąć usterki, najlepiej jak potrafię.

- Herman, przykro mi, ale nie mogę...

Starszy mężczyzna uniósł dłoń o długich, zaskakująco arystokratycznych palcach.

- Carl, nikt się nie połapie w tym, co sknociłem. Przez cały tydzień źle się czułem, ale nie mówiłem, żebyś sobie nie pomyślał, że jestem starym niedojdą i zwolnił mnie z roboty. To nic poważnego, zwyczajna grypa. Twój nowy elektryk pewnie sądzi, że da sobie radę, ale

pomyśl, jak wyjdzie coś dopiero po ociepleniu domu, trzeba będzie wszystko zrywać. Ośmieszysz się przed Addelsonem. Nie da się bezkarnie zmienić elektryka w środku roboty.

Carl zawahał się. Julie z Tedem taktownie odeszli na bok, by ułatwić bratu wycofanie się z podjętej decyzji. Szybko pożegnali się i ruszyli w stronę samochodu Carla.

- Do Panhandle zbliża się z północy front atmosferyczny - powiedział Ted. Lekko zadrżał z zimna w cienkiej kurtce. - Jak zacnie padać śnieg, będziesz zadowolona z napędu na cztery koła. Szkoda, że Carl potrzebuje telefonu w swoim pickupie, byłbym spokojniejszy, gdyby mógł zostawić ci aparat.

- Nic mi nie będzie - zapewniła Julie z uśmiechem, całując brata w policzek. Ruszyła z miejsca, ale nadal obserwowała go w lusterku. Stał na chodniku z rękami w kieszeniach, wysoki, przystojny blondyn, z chłodnym wyrazem zagubienia na twarzy, miną, jaką widziała u niego wielokrotnie od rozvodu z Katherine Cahill. Katherine była jej najlepszą przyjaciółką, nawet teraz, po przeniesieniu się do Dallas. Ani ona, ani Ted nigdy nie opowiadali jej o sobie złych rzeczy i nie mogła zrozumieć, dlaczego tych dwoje, których tak kocha, nie potrafi kochać się wzajemnie. Odganiając przygnębiającą myśl, skupiła się na jutrzejszej podróży do Amarillo. Miała nadzieję, że nie będzie padało.

- Hej, Zack - rozległ się ledwo słyszalny szept - co zrobisz, jak pojutrze zacnie padać śnieg, jak mówili w telewizji? - Dominie Sandini wychylił się z górnej pryczy i patrzył na zamyślonego mężczyznę wyciągniętego na dolnym łóżku. - Zack, słyszałeś mnie? - zapytał głośnie.

Zack starał się choć przez chwilę nie myśleć o zbliżającej się ucieczce. Wolno uniósł głowę i spojrzał w stronę żylastego trzydziestolatka o oliwkowej cerze, z którym dzielił celę więzienia stanowego w Amarillo i którego wtajemniczył w swoje plany. Musiał! Choćby z tego prostego powodu, że jego towarzysz niedoli miał w nich swój udział. Wuj Dominica - emerytowany bookmacher, a według informacji zdobytych w więziennej bibliotece, mający powiązania z mafią w Las Vegas - odgrywał w nich niepoślednią rolę. Zack zapłacił majątek Enrico Sandiniemu za pomoc już na wolności, po zapewnieniu Dominica, iż jego wuj to człowiek honoru. Ale tak naprawdę, jeszcze przez kilka godzin nie będzie wiedział, czy pieniądze, które polecił Mattowi Farrelowi przetransferować na szwajcarskie konto Sandiniego, cokolwiek zdziałają.

- Poradzę sobie - odrzekł obojętnie.

- Dobra, a jak już „sobie poradzisz”, nie zapomnij, że jesteś mi krewny dziesięć dolców. W zeszłym roku założyliśmy się o Bearsów i ty przegrałeś. Pamiętasz?

- Oddam ci, jak się stąd wyrwę. - Na wypadek, gdyby ktoś podsłuchiwał, Zack dodał:  
- Kiedyś.

Z konspiracyjnym uśmiechem Sandini wyciągnął się z powrotem na pryczy, podłożył kciuk pod stronę listu, który otrzymał tego dnia, skrzyżował nogi w kostkach i w milczeniu oddał się lekturze.

Takie gówniane pieniądze... pomyślał ponuro Zack. Kiedyś dawał dziesięciodolarowe napiwki posłańcom i portierom tak lekko, jakby wręczał banknoty z dziecięcej loteryjki. Tu, w piekle, w którym spędził ostatnie pięć lat, mężczyźni zabijali się dla dziesięciu dolarów. Za dziesiątaka można tu było dostać wszystko, choćby kilka papierosów z marihuaną, garść tabletek odurzających lub podniecających, czasopisma pełne najrozmaitszej perwersji. To tylko kilka z wielu „przedmiotów zbytku” osiągalnych tutaj za pieniądze. Zazwyczaj starał się nie myśleć o życiu, jakie wiódł na wolności; powrót do tamtych czasów uczyniłby trudniejszą do zniesienia terażniejszość: celę dwanaście na piętnaście stóp, ze zlewem, kibelem i dwiema pryczami. Teraz, gdy zrozumiał, że albo ucieknie, albo zginie, próbując wyrwać się stąd, chciał sobie przypomnieć tamte dni. Wspomnienia umocnią go w postanowieniu, bez oglądania się na koszty i ryzyko. Pragnął przypomnieć sobie uczucie wściekłości, jakie ogarnęło go, gdy pierwszego dnia usłyszał za sobą trzask drzwi celi, i to późniejsze, z więziennego dziedzińca. Stał otoczony przez grupę bandziorów, szydzących: „Chodź no, ty gwiazdorze, pokaż nam, jak wygrywałeś swoje filmowe walki!” Ogarnęło go szaleństwo, ślepa, irracjonalna furia. Rzucił się w stronę najpotężniejszego. Umrzeć, ale wcześniej dać wycisk swemu dręczycielowi! Był w świetnej formie. Zadał wiele dobrych ciosów, przydawała się szkoła, jaką przeszedł, przygotowując się do roli „twardziela”. Po bójce miał złamane trzy żebra i odbite nerki, ale dwóch z jego przeciwników wyglądało gorzej.

Zwycięstwo okupił tygodniem izolatki, ale gdy dołączył do współwięźniów, nikt nie odważył się z niego drwić. Szybko rozniosła się plotka, że jest niespełna rozumu i nawet najtwardsi z najtwardszych schodzili mu z drogi. W końcu skazano go za morderstwo, nie za jakieś drobne przestępstwo i to jeszcze zwiększało respekt. Minęły trzy lata, zanim zmądrzał i zrozumiał, że najlepiej urządzi go stanowisko funkcyjnego. Rolę grzecznego harcerzyka opanował do perfekcji. Niektórych współwięźniów nawet polubił, ale ze sobą, przez te wszystkie lata, nie najlepiej sobie radził; nigdy nie zaznał wewnętrznego spokoju. Stan taki mógłby osiągnąć jedynie wtedy, gdyby pogodził się ze swoim losem.

Ale nie mógł. Nie potrafił przyjąć postawy doradzanej skazanym na samym początku: pogodzić się z utratą wolności i zająć się odliczaniem upływających dni. Nauczył się udawać „przystosowanego”, chociaż było wręcz przeciwnie: każdego ranka, zaraz po otwarciu oczu,

w jego głowie rozpoczynała się gonitwa myśli, z każdą chwilą nabierająca tempa, trwająca dopóty, dopóki znużony nie zasnął.

Czuł, że wariuje, dlatego musi wydostać się na wolność. Opracował solidny plan - każdej środy naczelnik Hadley, rządzący więzieniem żelazną ręką, brał udział w zebraniach społeczności Amarillo; Zack był jego kierowcą, a Sandini chłopcem na posyłki. Dzisiaj właśnie była środa; wszystko, czego Zack potrzebował w czasie ucieczki, czekało na niego w Amarillo. Ale Hadley, który na spotkaniu miał wygłosić odczyt, poinformował Zacka, że imprezę przeniesiono na piątek. Szczęki zacisnęły się same: gdyby nie ta zwłoka, już byłby wolny. Albo martwy. Teraz musi czekać aż dwa dni! Nie wiedział, czy wytrzyma przedłużające się napięcie.

Zamykając oczy, po raz setny wrócił myślami do każdego szczegółu. Przedsięwzięcie miało niedociągnięcia, to prawda, ale przynajmniej Dominicowi Sandiniemu mógł ufać bez zastrzeżeń. Wszystko za murem, pieniądze, transport, dokumenty, miał załatwić Enrico Sandini. Reszta była na głowie Zacka. Najbardziej niepokoiły sprawy od niego niezależne, nie dające się przewidzieć, choćby pogoda czy miejsce blokady na drogach. Nawet przy dokładnym zaplanowaniu ucieczki istniały tysiące drobnych wydarzeń, mogących spowodować lawinę następnych i w rezultacie klęskę. Ryzyko było ogromne, ale jakie mogło to mieć znaczenie? Do wyboru miał tylko dwie możliwości: pozostać w tym piekle i pozwolić, by uczyniło z niego ludzki wrak, albo zaryzykować śmierć od kuli strażnika. Uznał, że lepiej dać się zabić, niż gnić za życia.

Wiedział też, że jeżeli nawet mu się powiedzie, polowanie nigdy nie ustanie. Przez resztę życia, jak przypuszczał, niezbyt długiego, niezależnie w jakiej części świata się ukryje, nigdy nie będzie mógł czuć się swobodnie, przestać oglądać się. Ale warto, bez względu na cenę!

- Niech to szlag! - okrzyk Sandiniego wyrwał Zacka z rozmyślań. - Giną wychodzi za męż. - Zamachał listem. Zack popatrzył na niego zaskoczony, Sandini powtórzył, teraz głośniejszym głosem: - Zack, słyszałeś, co powiedziałem? Moja siostra Giną za dwa tygodnie wychodzi za męż. Za Guido Dorellego.

- Właściwy wybór - rzucił Zack obojętnie - przecież to z nim jest w ciąży.

- No tak, ale jak ci mówiłem, mama zamierzała nie dopuścić do ich małżeństwa.

- Bo to rekin od pożyczek. - Zack przypomniał sobie, co słyszał o Guido.

- Nie o to chodzi. W końcu facet musi jakoś zarabiać na życie, mama to rozumie.

Guido zwyczajnie pożycza ludziom w potrzebie.

- A jak nie mają, by zwrócić dług, łamie im nogi.

Twarz Sandiniego w jednej chwili posmutniała i Zack od razu pożałował sarkazmu. Mimo że jeszcze przed ukończeniem dwudziestu ośmiu lat ten drobny, szczupły Włoch miał na koncie dwadzieścia sześć ukradzionych samochodów i był zatrzymywany szesnaście razy, zaskakiwał dziecięcą wręcz otwartością. Tak samo jak Zack był funkcyjnym, ale na tym podobieństwo ich losów się kończyło: Sandini miał wyjść na wolność za cztery tygodnie. Zawsze skory do bitki, wojowniczy jak kogut, Zackowi, którego filmy uwielbiał, okazywał gorącą przyjaźń.

Miał liczną, serdeczną rodzinę, z którą w każdy dzień odwiedzin spotykał się na więziennym dziedzińcu. Gdy krewni zorientowali się, kim jest jego towarzysz z celi, zaczęli traktować Benedicta z pełnym podziwu szacunkiem, a widząc, że nikt nigdy go nie odwiedza, uznali za swojego. Zack marzył, by go pozostawiono w spokoju, unikał ich towarzystwa, ignorował próby nawiązania kontaktu. Ale nie potrafił ich zniechęcić. Im mocniej starał się odizolować, tym bardziej osaczali go śmiechem i miłością. Nim zdążył się zorientować, co się dzieje, już ścisnęły go i całowały: duża i tęga mama Sandini, siostry Dominica, jego kuzynki. Ciemnowłose maluchy z ujmującymi uśmiechami na buziach i lizakami w lepkich rączkach wypychały się Zackowi na kolana, a ich matki, całe oliwkowe, otaczały go ciasnym kręgiem, z ożywieniem rozprawiając o wydarzeniach w rodzinie, a on bez skutku usiłował zapamiętać ich imiona. Równie marnie wychodziły mu uniki przed słodką, lepką cieczą skapującą z lizaków - krople jakoś zawsze lądowały w jego włosach. Siedział na ławce na pełnym odwiedzających więziennym dziedzińcu i patrzył, jak mały pucułowaty Sandini niepewnie stawia pierwsze kroki, a rączki o pomoc wyciąga do niego, nie kogoś z rodziny.

Niemal fizycznie czuł ich ciepło. Dwa razy w miesiącu, regularnie jak w zegarku, nadchodziła paczka, taka sama jak dla Dominica, z włoskimi ciasteczkami i pachnącym salami owiniętym w poplamiony tłuszczem, brązowy papier. Zack, choć cierpiał potem na niestrawność, od razu zjadał kawałek salami i ciasteczka do ostatniego, a gdy kobiety Sandinich przysyłały mu liściki z prośbą o autograf, zawsze spełniał ich życzenia. Od mamy Sandini dostawał urodzinowe kartki, w których karciała go jak dziecko - „jesteś za chudy”. Nieliczne chwile dobrego nastroju zawdzięczał Dominicowi. Czuł się bardziej związany z Sandinim i jego rodziną niż kiedykolwiek ze swoją.

Teraz, próbując zatrzeć wrażenie, wywołane krytyczną uwagą o przyszłym szwagrze Dominica, powiedział poważnie:

- Wiesz, im dłużej się zastanawiam, dochodzę do wniosku, że banki nie są lepsze. Wyrzucają na bruk wdowy i sieroty, jeżeli kredyt nie jest spłacany.

- No właśnie! - ożywił się Sandini. Wymownie potrząsnął głową, znów w dobrym humorze.

Zack od razu poczuł ulgę i mógł oderwać się od myślenia o ucieczce, od rozpatrywania po raz tysięczny najbardziej ryzykownych momentów. Zmusił się do skupienia uwagi na wiadomości, którą otrzymał Sandini.

- Jeżeli twojej matce nie przeszkadza zawód Guido ani jego więzienna przeszłość, to czemu nie chciała pozwolić Ginie na poślubienie go?

- Mówiłem ci już - z powagą odrzekł Sandini - Guido był już raz żonaty, w kościele, rozwiódł się, więc został ekskomunikowany.

Zack, z trudem zachowując powagę, powiedział:

- O tym nie pomyślałem.

Sandini wrócił do listu.

- Giną przesyła ci ucałowania. Mama też. Mówi, że za mało do niej piszesz i za mało jesz.

Zack popatrzył na rękę, na tani, plastikowy zegarek, który pozwolono mu nosić. Wstał.

- Podnieś dupę, Sandini. Czas na apel.

## ROZDZIAŁ 13

Sąsiadki Julie, panny Eldridge, bliźniaczki w podeszłym wieku, zajęły swe ulubione stanowisko na zawieszanej na werandzie bujanej kanapce, skąd mogły obserwować, co robią sąsiedzi na prawie całej Elm Street, a przynajmniej do czwartej przecznicy. Teraz z zaciekawieniem patrzyły, jak Julie wrzuca podrózną torbę na tylne siedzenie blazera.

- Dzień dobry, Julie - zawołała Flossie Eldridge. Dziewczyna odwróciła się. Zaskoczył ją widok dwóch siwowłosych pań przed domem już o szóstej rano.

- Dzień dobry, panno Flossie - odpowiedziała cicho i podeszła pokrytym rosą trawnikiem, by się przywitać. - Dzień dobry, panno Ado.

Jeszcze w wieku siedemdziesięciu kilku lat obie panny nadal, jak przez całe życie, ubierały się niemal identycznie. Ale na tym podobieństwo się kończyło. Panna Flossie była pulchna, słodka, łagodna i pogodna, jej siostra chuda, zgorzkniała, apodyktyczna i wścibska. Krążyły plotki, że w młodości panna Flossie kochała się w Hermanie Henklemanie, ale ich małżeńskie plany pokrzyżowała panna Ada, przekonując znajdującą się pod jej wpływem siostrę, iż Herman, kilka lat młodszy od Flossie, jest zainteresowany wyłącznie jej częścią skromnego spadku po rodzicach i roztrwoni go bez skrpułów na alkohol, czyniąc żonę obiektem kpin całego miasta.

- Piękny poranek - rzuciła panna Flossie i szczerzej otuliła się szalem chroniącym przed mroźnym, styczniowym powietrzem. - Te cieplejsze dni, jakich mamy ostatnio coraz więcej, sprawiają, że zimy wydają się krótsze niż dawniej, prawda, Julie?

Zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, Ada Eldridge, bez owijali w bawełnę, zapytała:

- Znów wyjeżdżasz, Julie? Dopiero co wróciłaś, ledwie kilka tygodni temu.

- Tylko na dwa dni.

- Jak zawsze służbowo, czy tym razem dla przyjemności? - naciskała Ada.

- Służbowo, w pewnym sensie.

- Aha... - Ada w milczeniu uniosła brwi. Domagała się więcej informacji i Julie, nie chcąc okazać się niegrzeczną, uległa.

- Jadę do Amarillo porozmawiać o pieniądzach na wsparcie mojego programu edukacyjnego.

Ada kiwnęła głową, w milczeniu przeżuując informację.



- Słyszałam, że twój brat ma kłopoty z zakończeniem budowy domu burmistrza Addelсона. Powinien był się zastanowić, zanim zatrudnił Hermana Henklemana. Ten człowiek to kompletne zero.

Zmuszając się do odwrócenia oczu od panny Flossie i zaprzestania obserwacji, jak bliźniaczka reaguje na padające z ust siostry słowa potępienia jej niedosłego narzeczonego, Julie zwróciła się do Ady:

- Carl jest najlepszym fachowcem w okolicy i właśnie dlatego wybrali go architekci pana Addelсона. Wszystko w tym domu ma być robione na zamówienie, a taka praca wymaga czasu i cierpliwości. - Ada już otwierała usta, by kontynuować „przesłuchanie”, ale Julie ubiegła ją. Rzuciła okiem na zegarek i powiedziała szybko: - Lepiej już wyruszę, do Amarillo jest kawał drogi. Do widzenia, panno Flossie, do widzenia, panno Ado.

- Jedź ostrożnie - napomniała ją panna Flossie. - Podobno już po południu, a najpóźniej jutro czeka nas załamanie pogody, ochłodzenie nadciąga od strony Amarillo. W Panhandle mają obfite opady śniegu. Chyba nie chciałabyś utknąć w śnieżnej zawiei.

Julie uśmiechnęła się serdecznie do pulchnej bliźniaczki.

- Proszę się nie martwić, Carl pożyczył mi swojego blazera. Zresztą w prognozie mówili, że opady śniegu w tamtej okolicy to nic pewnego.

Starsze panie patrzyły, jak samochód wycofuje się z podjazdu. Flossie westchnęła zamyślona:

- Julie wiedzie takie pełne przygód życie! Zeszłego lata, razem z innymi nauczycielami była na wycieczce w Paryżu, rok wcześniej pojechała nad Wielki Kanion. Nic, tylko podróżuje.

- Włóczędzy też - złośliwie skomentowała Ada. - Według mnie powinna siedzieć w domu i, póki jeszcze nie jest za późno, wyjść za tego starającego się o nią asystenta pastora.

Zamiast wystawiać się na przykrość werbalnej konfrontacji z przekonaną, jak zwykle, o swej racji siostrą, Flossie postąpiła w jedyny rozsądny sposób: zmieniła temat.

- Wielebny i pani Mathison muszą być ze swych dzieci bardzo dumni.

- Przejdzie im, jak odkryją, że ich Ted spędza pół nocy z tą dziewczyną, z którą teraz kręci. Irma Bauder opowiadała mi, że dwa dni temu jego samochód zniknął dopiero o czwartej nad ranem!

- Ależ Ado, mają sobie tyle do powiedzenia, są zakochani. - Twarz Flossie przybrała marzycielski wyraz.

- Pożądamy się! - warknęła Ada. - A ty ciągle jesteś romantyczną idiotką, dokładnie jak twoja mama; tatuś zawsze to powtarzał.

- Ona była także twoją mamusią - nieśmiało przypomniała Flossie.

- Ale ja jestem jak tatuś, do niej nie jestem podobna ani trochę.

- Umarła, jak byliśmy malutkie, więc skąd możesz wiedzieć.

- Jestem tego pewna, tata zawsze tak mówił. Twierdził, że ty jesteś głupia jak ona, a ja silna jak on. Dlatego mnie polecił zarządzać majątkiem, bo na ciebie, powinnaś pamiętać, nie można było liczyć. Musiałam się tobą opiekować, myśleć za nas obie.

Flossie przygryzła wargi, potem rozważnie, po raz drugi, zmieniła temat.

- Dom burmistrza Addelсона będzie czymś wyjątkowym. Podobno ma mieć nawet windę.

Ada oparła stopę o werandę i ze złością rozkołysała kanapkę, wydającą przy każdym wahnięciu głośny zgrzyt.

- Z Hermanem Henklemanem na budowie burmistrz Addelson będzie miał szczęście, jeżeli winda nie zostanie podłączona do komody! - powiedziała z niechęcią. - Ten człowiek jest nieudacznikiem, dokładnie jak jego ojciec i dziadek. Mówiłam ci, że tak skończy. Flossie patrzyła na swoje pulchne dłonie spoczywające na kolanach. Nie powiedziała już nic więcej.

## ROZDZIAŁ 14

Zack stał przed małym lusterkiem zawieszonym na ścianie nad umywalką, z milczącymi teraz prysznicami za plecami, niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w swoje odbicie i próbował przekonać samego siebie, że Hadley na pewno, po raz kolejny, nie zmieni planów na dzisiejszy dzień. Spokój zakłóciło pojawienie się zdyszanego Sandiniego, który z trudem hamując podniecenie, wyjrzał na korytarz. Upewniwszy się, że w zasięgu głosu nikogo nie ma, powiedział rozgorączkowanym szeptem:

- Hadley dał znać, że jedziemy do Amarillo o trzeciej! Zaczyna się!!

Napięcie i niecierpliwość zżerały Zacka od dawna i teraz z trudem dotarła do niego wiadomość, że wreszcie nadchodzi godzina zapłaty: dwa długie lata udawania, że podporządkował się systemowi, zachowywania się jak wzorowy więzień, by uzyskać przywileje należne funkcyjnym, wszystkie te miesiące przygotowań nareszcie miały zaowocować. Za kilka godzin, jeśli opóźnienie nie storpedowało poczynionych przygotowań, znajdzie się na szosie, w wynajętym samochodzie, z nowymi dokumentami, z opracowaną w najdrobniejszych szczegółach marszrutą, z biletami na samolot, zakupionymi tylko po to, by zmylić pościg.

- Jezu, jak chciałbym urwać się z tobą, móc pójść na ślub Giny! - odezwał się od umywalki Sandini.

Zack pochylił się i spryskał twarz zimną wodą. Podekscytowanie w głosie Sandiniego wystraszyło go nie na żarty.

- Nawet o tym nie myśl! Wychodzisz za cztery tygodnie - przypomniał. Sięgnął po ręcznik.

- No tak, masz rację - przyznał tamten. Wyciągnął rękę w stronę Zacka. - Specjalnie dla ciebie.

- Co to takiego? - zapytał Zack. Wytarł twarz, powiesił ręcznik i spojrzał na kawałek papieru w dłoni Dominica.

- Adres i numer telefonu mamy. Jakby coś nie wyszło, zabieraj się prosto do niej, skontaktuje cię z wujem. On ma wszędzie znajomych - pochwalił się. - Wiem, że nie byłeś go pewny, ale za kilka godzin sam się przekonasz: wszystko, czego chciałeś, czeka na ciebie w Amarillo. To fantastyczny gość - dodał z dumą.

Zack z roztargnieniem opuścił rękawy szorstkiej, lnianej, więziennej koszuli. Starał się myśleć tylko o tym, co miało nastąpić. Trzęsącymi się rękami zapinał guziki przy mankietach. Zmusił się do spokoju, skupienia na rozmowie.

- Jest coś, o co od dawna chciałem cię zapytać - powiedział ostrożnie. - Jeżeli to taki fantastyczny gość i ma tylu znajomych, dlaczego nie wykorzystał któregoś, by zaoszczędzić ci gnicia tutaj?

- Bo popełniłem fatalny błąd i wujek Enrico uważał, że należy mi się nauczka.

Głos Sandiniego zadźwięczał takim żalem, że Zack z uwagą popatrzył na niego.

- Dlaczego?

- Jeden z samochodów, jakie ukradłem ostatnim razem, należał akurat do niego.

- No to masz szczęście, że jeszcze żyjesz.

- On tak właśnie powiedział.

Gdyby nie napięcie, Zack wybuchnąłby szczerym śmiechem.

- Będzie na weselu Giny, szkoda, że mnie ominie taka okazja. - I zaraz zmienił temat.

- Dobrze się składa, że Hadleyowi imponuje, jak cię rozpoznają, gdy go wozisz, inaczej musiałbyś mieć włosy ostrzyżone krótko. Od razu rzucałbyś się w oczy. Odrobinę dłuższe włosy będą...

Obydwaj mężczyźni zamilkli, bo do łazienki wszedł inny funkcyjny.

- Zabieraj się, Sandini - warknął. - Ty też, Benedict. Za pięć minut szef potrzebuje samochodu.

## ROZDZIAŁ 15

-Dzień dobry, Benedict - rzekł Hadley, gdy zobaczył Zacka w drzwiach biura. - Jak widzę, masz jak zwykle tę swoją ponurą minę. Zanim wyruszymy - dodał - oprowadź Hitlera po dziedzińcu. - Podał Zackowi smycz z olbrzymim dobermanem na drugim końcu.

- Nie jestem twoim pieprzonym lokajem - warknął Zack, a na gładkiej twarzy Hadleya powoli ukazał się wyraz zadowolenia.

- Znudziło ci się korzystanie z mojej łaskawości oraz wolności, jaką ma funkcyjny? Korci cię, Benedict, by trochę pomieszkać w moim pokoju konferencyjnym?

W duchu przeklinając się za nieroztropne okazanie nienawiści akurat w dniu, w którym ma tak wiele do stracenia, Zack wzruszył ramionami i złapał za smycz.

- Niespecjalnie. - Choć Hadley miał ledwie pięć stóp i sześć cali wzrostu, zaskakiwał wielkością ego. Sztucznie wytwornymi manierami próbował maskować sadyzm i psychopatyczną złośliwość, o których wiedzieli wszyscy oprócz Stanowej Komisji Więziennictwa albo nie zorientowanej, albo nie przejmującej się wysoką śmiertelnością „bójek wśród więźniów” czy „podczas próby ucieczki” w jego zakładzie. „Pokój konferencyjny” to eufemistyczne określenie dźwiękoszczelnej, podręcznej katowni przylegającej do dyrektorskiego gabinetu. Więźniowie, którzy mu podpadli, wprowadzani tam opierali się gwałtownie, trzęsąc się ze strachu; gdy ich wynoszono, to prosto do izolatki, szpitala albo kostnicy. Hadleyowi dostarczał sadystycznej uciechy widok zebrzących o litość, zwijających się z bólu mężczyzn. Zack nie zawdzięczał statusu funkcyjnego swojej uległości, tu zadziałał snobizm Hadleya. Temu dyrektorzyźnie dawało wiele satysfakcji wysługiwanie się słynnym Zacharym Benedictem. Zack pomyślał o ironii losu: ułomność charakteru Hadleya dała mu okazję do ucieczki. Za rogiem usłyszał jeszcze głos naczelnika:

- Benedict, nie zapomnij posprzątać po Hitlerze. Zawrócił, ciągnąc za sobą opierającego się, warczącego psa. Podszedł do drzwi i wziął opartą o mur łopatkę. Zapiął guziki kurtki, spojrzął w niebo; robiło się coraz zimniej, nadciągały ołowiane chmury. Spadnie śnieg, pomyślał.

## ROZDZIAŁ 16

Na tylnym siedzeniu samochodu Wayne Hadley upychał do aktówki notatki przygotowane do wykładu. Gdy skończył, poluzował krawat, wyciągnął wygodnie nogi i odetchnął zadowolony. Popatrzył na dwóch więźniów na przednim siedzeniu.

Sandini to drobny złodziejaszek, zabiedzony makaroniarz, zwyczajne zero; funkcyjnym został wyłącznie dlatego, że któryś z jego krewnych - mafioso- wpłynął na jakiegoś ważniaka wewnątrz systemu. Hadleyowi Sandini dostarczał niewiele rozrywki, nie przyczyniał się do wzrostu prestiżu, dręczenie go nie dawało przyjemności.

Co innego Benedict. Ten gwiazdor, symbol seksu, bogacz posiadający własne samoloty i limuzyny prowadzone przez osobistego szofera, należał kiedyś do wielkich tego świata, a teraz musiał wykonywać każde polecenie Wayne'a Hadleya. Jest prawdziwa sprawiedliwość na tym świecie, pomyślał Hadley. A co ważniejsze, mimo że Benedict usiłował to ukryć, bywały chwile, gdy Hadleyowi udawało się przebić przez skorupę ochronną, sprawić, by aktor niemal wył z tęsknoty za czymś, czego już nigdy mieć nie będzie. Wymagało to jednak sporego wysiłku. Nawet gdy zmuszał Benedicta do oglądania na wideo najnowszych filmów i relacji z uroczystości wręczania Oscarów, nie był pewien, czy udało mu się trafić w czułe miejsce. Z tak „przyjemnym” celem przed oczami, Hadley gorączkowo zastanawiał się nad wyborem odpowiedniego tematu. Postawił na seks. Gdy samochód przyhamował na światłach niedaleko celu podróży, pozornie dobrodusznym tonem zapytał:

- Założę się, że jak byłeś bogaty i sławny, kobiety wręcz prosiły, byś je wziął do łóżka, nie mam racji, Benedict? Czy kiedykolwiek myślałeś o nich, zastanawiałeś się, co naprawdę czują, jakie są? Prawdopodobnie aż tak bardzo nie lubiłeś seksu. Jakbyś był w tym rzeczywiście dobry, to ta piękna blond dziwka nie puściłaby się z tym Austinem, prawda?

Z satysfakcją zobaczył w lusterku, jak szczęki Benedicta się zaciskają. Ale mylił się, raniło nie wspomnienie zdrady, lecz Austina.

- Jeżeli kiedykolwiek cię ułaskawią - na mnie zbytnio nie licz - na wolności będziesz musiał zadowolić się pierwszą lepszą dziwką. Wszystkie kobiety to kurwy, ale nawet takie mają skrupuły, nie prze padają za ekswieźniami w łóżku, nie słyszałeś o tym? - Pomimo chęci zachowania nienagannie gładkich manier wobec tego gówna, jakim w końcu byli jego więźniowie, Hadley po raz kolejny przekonywał się, jak trudno w niektórych sytuacjach przychodzi mu zachowanie spokoju. - Odpowiadaj, jak cię pytam, ty skurwielu, albo następny miesiąc spędzisz w izolatce. - Hamując złość, dodał niemal przyjaźnie: - Założę się, że w

starych, dobrych czasach miałeś własnego szofera. A teraz, patrzcie tylko, siedzisz za kółkiem u mnie. Bóg naprawdę istnieje. - Przed nimi pojawił się przeszklony budynek. Hadley usiadł prosto, poprawił krawat. - Czy zastanawiasz się czasem, co stało się z twoją forszą, jaka została po opłaceniu adwokatów?

W odpowiedzi Benedict mocno nacisnął hamulec i samochód, z przeraźliwym piskiem, zatrzymał się niemal w miejscu, przed samym wejściem do budynku. Klnąc pod nosem, Hadley pozbierał z podłogi rozsypane kartki i czekał, na próżno, aż Zack wysiadzie.

- Ty bezczelny skurwysynu! Nie wiem, co ci się dzisiaj stało, po powrocie policzymy się. A teraz rusz dupę i otwórz mi drzwi!

Zack wysiadł. Zimny wiatr zsunął mu z ramion cienką, białą kurtkę, ale nie zwrócił na to uwagi, interesował go tylko śnieg, teraz padający na całego. Za pięć minut już go tu nie będzie. Otworzył tylne drzwi samochodu i skłonił się z przesadną uprzejmością.

- Wyjdzie pan sam, czy pomóc?

- Tym razem przesadziłeś - warknął Hadley, wysiadając z aktówką pod pachą. - Jak wrócimy, nauczę cię rozumu. - Z trudem opanowując gniew, obejrzał się na Sandiniego, który siedział sztywno wyprostowany, z niewinną miną i zapatrzony przed siebie udawał, że nie słyszy. - Masz listę sprawunków, Sandini, załatw je i wracaj. A ty - zwrócił się do Zacka rozkazującym tonem - idź do spożywczego po drugiej stronie ulicy, znajdź dla mnie kawałek dobrego, importowanego sera i świeże owoce, a potem zaczekaj w aucie. Będę gotowy za jakieś półtorej godziny. W samochodzie ma być ciepło, silnik włączony.

Nie usłyszawszy odpowiedzi, Hadley ruszył przed siebie. Obydwaj więźniowie obserwowali jego plecy aż do samego wejścia.

- Ale kutas - mruknął pod nosem Sandini. - No to życzę szczęścia zwrócił się do Zacka. Spojrzał w górę na ciemne, brzemienne śniegiem chmury. - Znosi się na niezłą zamieć.

- Pogoda nieważna - odpowiedział pośpiesznie Zack - wiesz, co masz robić. Nie zmieniaj planu i, na Boga, trzymaj się ustalonej wersji. Jeżeli postąpisz dokładnie tak, jak ci powiedziałem, zostaniesz bohaterem, a nie współwinnym.

Coś w pełnym próżności uśmiechu Sandiniego, w jego napiętej, niespokojnej postawie, zaniepokoiło Zacka. Dobitnie i zwięźle powtórzył plan, który do tej pory mogli omawiać jedynie szeptem.

- Zrób wszystko dokładnie tak, jak postanowiliśmy. Listę sprawunków zostaw w samochodzie. Godzinę poświęć na zakupy, a potem powiedz sklepikarce, że zostawiłeś spis w aucie i nie pamiętasz, czy kupiłeś wszystko. Powiedz, że idziesz po niego, i wracaj.

Samochód będzie zamknięty. - Zack wziął listę z rąk Sandiniego i rzucił na podłogę po stronie pasażera, potem zatrzasnął drzwi. Ze spokojem, którego wcale nie odczuwał, wziął go pod ramię i podprowadził na róg ulicy.

Obserwując przejeżdżające ciężarówki, czekali na zmianę świateł, potem bez pośpiechu przeszli na drugą stronę. Wyglądali jak zwykli Teksasczycy, rozprawiający o gospodarce stanu albo najbliższym meczu futbolowym. Jedyne, co ich wyróżniało, to białe spodnie i więziennicze kurtki z napisem na plecach. Zbliżyli się do krawężnika, Zack półgłosem powtarzał:

- Jak wrócisz pod zamknięte drzwi samochodu, idź zaraz do spożywczego po drugiej stronie. Porozglądaj się trochę, a potem zapytaj sprzedawcę o mnie, podaj rysopis. Gdy usłyszysz, że mnie nie widziano, idź do apteki, potem do księgarni i wszędzie się wypytuj. Jak już dowiesz się, że nikt nic nie wie, wal prosto do tamtego budynku. Zaglądaj do pokoi i pytaj, gdzie odbywa się zebranie z naczelnikiem. Opowiadaj każdemu o mojej ucieczce i że musisz o niej zameldować. Później pracownicy sklepów potwierdzą twoje słowa, a ponieważ zawiadomisz naczelnika pół godziny wcześniej, niż sam by się zorientował, będzie święcie przekonany, że jesteś niewinny jak niemowlę. Jeszcze cię wypuści na tyle wcześnie, byś zdążył na wesele Giny.

Sandini uśmiechnął się i uniósł w górę kciuk - uścisk dłoni mógłby ich wydać.

- Przestań się martwić moją osobą i spływaj. - Zack skinął głową. Już miał odejść, ale jeszcze zatrzymał się. - Sandini! - powiedział z powagą.

- Tak, Zack?

- Będzie mi cię brakowało.

- Wiem.

- Ucałuj ode mnie mamę. Powiedz siostrze, że dla mnie zawsze będą najpiękniejsze. - Odwrócił się i odszedł szybkim krokiem.

Sklep spożywczy, z jednym wejściem naprzeciw budynku, w którym zniknął Hadley, i drugim, wychodzącym na boczną uliczkę, znajdował się na samym rogu. Zack, zmuszając się do zachowania spokoju, poszedł w stronę głównego wejścia. Na wypadek gdyby Hadley obserwował go przez okno, co poprzednio się zdarzało, zatrzymał się w pobliżu drzwi i odliczył do trzydziestu.

Pięć minut później znajdował się kilka przecznic dalej. Więzienniczą kurtkę trzymał zwiniętą pod pachą i szybkim krokiem szedł w stronę pierwszego punktu wyznaczonego na trasie ucieczki - męskiej toalety na stacji obsługi Phillips 66 przy Court Street. Spięty do granic wytrzymałości, z mocno bijącym sercem przeszedł Court Street na czerwonym świetle,



przemykając pomiędzy taksówką a wozem pomocy drogowej, który właśnie zwolnił przed skrzyżowaniem w prawo, i wtedy zobaczył to, czego oczekiwał - zaparkowany w przecznicy, nie rzucający się w oczy czarny samochód z tablicami Illinois; wciąż tam czekał, pomimo dwóch dni spóźnienia.

Z pochyloną głową i rękami w kieszeniach, Zack zwolnił kroku. Sypało już na dobre, gdy przechodził obok czerwonej corvetty, stojącej przy dystrybutorach benzyny. Szedł prosto do męskiej toalety obok budynku stacji obsługi. Chwycił za klamkę - drzwi były zamknięte! Opanowując pragnienie wyważenia ich, raz jeszcze mocno szarpnął za klamkę. Ze środka dobiegł gniewny, męski głos:

- Trzymaj spodnie na tyłku, koleś, zaraz wychodzę.

Wreszcie ukazał się człowiek okupujący toaletę. Rozejrzał się po pustym placu przed budynkiem i podszedł do czerwonej corvetty. Zack wszedł do środka, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Całą uwagę skupił na pojemniku na śmieci. Jeżeli opróżniano go przez ostatnie dwa dni, będzie miał pecha! Pochwycił kosz i odwrócił dnem do góry. Wypadło kilka zmiętych, papierowych ręczników i puszek po piwie. Potrząsnął jeszcze raz, wysypała się masa śmieci, a potem, z samego dna, z przyjemnym dla jego ucha stukaniem wyleciały na szare linoleum dwie nylonowe torby. Jedną ręką otworzył pierwszą z nich, drugą niecierpliwie rozpinął guziki swej więziennej koszuli.

Znalazł dżinsy, czarny, niczym nie wyróżniający się sweter, najwykleszą dżinsową kurtkę, buty swojego rozmiaru i zasłaniające pół twarzy okulary przeciwsłoneczne. W drugiej torbie odkrył mapę Kolorado z zahaczoną czerwono trasą i kartkę z wypisanymi na maszynie wskazówkami mającymi zaprowadzić go do domu na odludziu głęboko w górach Kolorado, dwie wypchane, brązowe koperty, automatyczny pistolet kaliber 45, pudełko amunicji, nóż sprężynowy i kluczyki samochodowe, które, jak wiedział, będą pasowały do czarnego wozu stojącego po drugiej stronie ulicy.

Nóż zaskoczył go; Sandini najwyraźniej uznał, że tak wygląda podstawowe wyposażenie zbiegłego więźnia. Odliczając drogocenne sekundy, Zack rozebrał się, włożył nowe rzeczy, stare wepchnął do torby, a śmieci zebrał z podłogi i z powrotem umieścił w koszu.

Najważniejsze dla bezpieczeństwa było zniknięcie bez pozostawienia po sobie śladów, wskazówek mogących naprowadzić na trop. Otworzył pękate koperty, sprawdził zawartość: w pierwszej znalazł dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w używanych banknotach dwudziestodolarowych oraz paszport na nazwisko Alan Aldrich, druga zawierała kilka biletów lotniczych do różnych miast, niektóre na nazwisko Aldrich, pozostałe na inne, na wypadek

gdyby jakimś sposobem władze odkryły, jakiego nazwiska używa obecnie. Pokazanie się od razu na lotnisku było ryzykowne, dlatego musi poczekać, aż wrzawa nieco przycichnie. Całą nadzieję pokładał teraz w wybiegu jaki wymyślił jeszcze w więzieniu w czasie długich, bezsennych nocy. Dzięki kontaktom Sandiniego - sownie opłaconym - wynajęto mężczyznę podobnego do Zacka, czekającego teraz w hotelu w Detroit na jego telefon. Człowiek ten, którego łatwo można będzie wziąć za Benedicta, po sygnale od Zacka miał natychmiast wynająć samochód na nazwisko Benedict Jones i jeszcze tego samego dnia, w okolicy Windsoru, przekroczyć granicę kanadyjską.

Jeżeli policja nabierze się na tę sztuczkę, olbrzymie polowanie, jakie zapewne się rozpęta, odbędzie się w Kanadzie, nie tutaj, on zaś będzie miał dość czasu na dotarcie do Meksyku, a gdy impet poszukiwań osłabnie, dalej w głąb Ameryki Południowej.

W głębi duszy Zack nie wierzył, by na długo udało się zwieść ścigających, wątpił, czy uda mu się cało pokonać pierwszy etap ucieczki. Ale nie o tym teraz myślał: wolny zmierza w stronę granicy Teksasu z Oklahomą, leżącej dziewięćdziesiąt mil na północ. Jeżeli do tej pory nie zatrzymano go, być może uda mu się pokonać trzydziestopięciomilowy pas terytorium Oklahomy i dotrzeć do granicy z Kolorado. Tam, gdzieś w górach, znajdzie pierwszy azyl, zaszyje się głęboko w lesie, w domu, w którym, jak wiedział, nikt nie będzie go szukał.

Teraz musi tylko, przez nikogo nie zauważony, przekroczyć granice dwóch stanów i w leśnej chacie cierpliwie poczekać, aż alarm przycichnie na tyle, by mógł kontynuować ucieczkę.

Wziął do ręki pistolet, wsunął pełny magazynek, sprawdził, czy broń jest zabezpieczona i umieścił ją w kieszeni kurtki wraz ze zwitkiem banknotów. Potem uniósł torby podróżne, kluczyki wrzucił do drugiej kieszeni i otworzył drzwi toalety. Z przekonaniem, że musi się udać, ruszył przed siebie.

Za budynkiem przeszedł przez jezdnię, kierując się w stronę czarnego samochodu. Nagle stanął jak wryty, nie wierząc własnym oczom. Wóz pomocy drogowej, który kilka minut wcześniej minął w drodze na stację obsługi, właśnie odjeżdżał, a z platformy zwiisało auto z rejestracją Illinois.

Przez kilka sekund stał jak sparaliżowany i patrzył na samochód rozplywający się w gąszczu innych. Za plecami usłyszał:

- Mówiłem ci, że ten grat został porzucony. Stał tu od trzech dni.

Zack otrząsnął się z chwilowego szoku. Albo mógł spasować, wrócić do męskiej toalety, przebrać się w więzienne ciuchy, torby z powrotem włożyć do kosza, i za jakiś czas spróbować jeszcze raz, albo zacząć improwizować. Ale tak naprawdę nie miał wyboru:

prędzej umrze, niż z powrotem da się zamknąć! Sytuacja, w jakiej się znalazł, zmuszała do działania - rzucił się w stronę rogu ulicy, gorączkowo zastanawiając się, jak wydostać się z miasta. Właśnie nadjeżdżał autobus.

Zack wyjął z kosza na śmieci starą gazetę i wskoczył do zatrzymującego się pojazdu. Niby to zaczytany, zasłonił twarz gazetą i ruszył przejściem pomiędzy fotelami. Przeciskając się obok grupy studentów rozprawiających o najbliższym meczu futbolowym, dotarł do tylnego pomostu. Przez następne dwadzieścia przeraźliwie długich minut autobus przedzierał się przez korki uliczne, wypluwając spaliny, a na licznych przystankach pasażerów, potem skręcił w prawo na autostradę, kierując się w stronę granic miasta. W wozie pozostało pół tuzina hałaśliwych studentów college'u, ale gdy przy drodze pojawił się, najwyraźniej ich ulubiony, pub, wysiedli i oni.

Zack nie miał wyboru, razem z nimi wysiadł tylnym wyjściem i rozpoczął marsz w stronę miejsca, gdzie, jak wiedział, za jakąś milę znajdzie skrzyżowanie dróg. Mógł zdać się na autostop i w ten sposób przedłużyć swą wolność o najbliższe pół godziny. Ale jak Hadley już się połapie, każdy gliniarz w promieniu pięćdziesięciu mil będzie się rozglądał za zbiegłym więźniem, każdy autostopowicz zostanie sprawdzony.

Płatki śniegu oblepiły mu włosy i stały się pod stopami, gdy z pochyloną głową szedł pod wiatr. Mijały go ciężarówki, jednak kierowcy nie zwracali uwagi na jego podniesioną rękę. Z całych sił starał się odpędzić przecucie kłęski. Po autostradzie pędziło wiele samochodów, ale najwyraźniej wszyscy śpieszyli się, by dotrzeć do miejsca przeznaczenia, zanim na dobre rozpęta się burza, i nie mieli zamiaru tracić ani chwili.

Przed sobą, przy skrzyżowaniu, zobaczył sprawiającą wrażenie rzadko uczęszczanej stację benzynową z kafejką. Na parkingu obok stały dwa samochody - niebieski blazer i brązowy minibus. Z torbami w rękach podszedł podjazdem pod okna i przez szybę zlustrował wzrokiem znajdujące się wewnątrz osoby. Przy jednym stoliku siedziała samotna kobieta, przy drugim inna z dwójką dzieci. Zaklął pod nosem, obydwie samochody należały do kobiet, a te nie będą skore do zabrania autostopowicza. Nie zwalniając kroku, szedł między ścianą budynku a zaparkowanymi samochodami i zastanawiał się, czy kluczyki tkwią w stacyjkach. Ale zaraz pomyślał, że nawet gdyby je tam znalazł, szaleństwem byłoby kraść samochód.

Aby wydostać się z parkingu, musiałby przedefilować przed oknami kafejki i właścicielka pojazdu zadzwoniłaby po gliny, zanim zdążyłby wyjechać na drogę. Co więcej, ze swego miejsca widziałyby, w którą stronę skręci. Może gdy wyjdą z baru, zdoła okrągłą sumką przekonać którąś do zabrania go.

Jeżeli nie dadzą skusić się pieniędzmi, użyje ostatecznego argumentu - pistoletu. Chryste! Musi wymyślić jakiś inny sposób wydostania się stąd!

Ciężarówka pędziła szosą, wyrzucając spod kół chmury śnieżnego pyłu. Rzucił okiem na zegarek. Od odejścia Hadleya na zebranie minęła prawie godzina. Teraz zatrzymanie na drodze samochodu byłoby krańcową lekkomyślnością. Ze skrzyżowania widziano by go na milę! Jeżeli Sandini trzymał się planu, za jakieś pięć minut Hadley zaalarmuje miejscową policję. I jakby przywołany jego myślami, na skrzyżowaniu zjawiał się wóz szeryfa. Zwolnił i skręcił na parking jakieś pięćdziesiąt jardów od miejsca, w którym stał Zack, i dalej jechał w jego stronę.

Benedict przykucnął, udając, że przygląda się kołu blazera, i wtedy doznał olśnienia - może za późno, a może nie. Błyskawicznie wyjął z torby nóż i wbił w bok opony, uchylając twarz przed gwałtownym strumieniem powietrza. Kątem oka obserwował radiowóz zatrzymujący się za jego plecami. Zamiast dociekać, co Zack tu robi z podróznymi torbami, szeryf opuścił szybę i zagadnął:

- Wygląda na gumę...

- Na sto procent - przyznał mu rację Zack. Poklepał koło, starał się nie patrzeć w stronę stróża prawa. - Żona ostrzegła, że ta opona jest uszkodzona, ale... - Dalsze słowa zagłuszył sygnał dobiegający z policyjnej radiostacji. Szeryf gwałtownie zawrócił radiowóz, aż zapiszczały opony, nacisnął gaz i z wyciem syreny wyjechał z parkingu. Po chwili Zack usłyszał ich więcej, dobiegających od strony autostrady, potem na obwodnicy ukazały się pędzące i migocące światłami wozy patrolowe.

Władze - Zack już wiedział - zostały powiadomione o zbiegłym więźniu. Nagonka ruszyła, polowanie się rozpoczęło.

W kawiarni Julie dopiła kawę i sięgnęła do torebki po pieniądze. Wizyta u pana Vernona przyniosła więcej, niż się spodziewała, także zaproszenie, którego nie mogła odrzucić, by spędziła z nim i jego żoną trochę czasu. Teraz czekała ją pięciogodzinna jazda, przy tym śniegu dłuższa, ale opłaciło się - w torebce miała czek opiekujący na pokazną kwotę. Była tym wystarczająco podekscytowana, by droga nie dłużyła się. Spojrzała na zegarek, wzięła termos, który przyniosła z samochodu, by napęlić go kawą, i podeszła do kasy zapłacić rachunek.

Przed budynkiem zatrzymała się zdumiona.

Zobaczyła gwałtownie zawracający policyjny samochód z włączoną syreną, wyjeżdżający pędem na szosę. Na cienkiej warstwie śniegu pozostały wyraźne ślady opon. Zapatrzona, nie zwróciła uwagi na ciemnowłosego mężczyznę, kucającego przy tylnym kole

jej samochodu, po stronie kierowcy, dopóki niemal się o niego nie potknęła. Wstał natychmiast. Górował nad nią wzrostem - miał ze sześć stóp i dwa cale. Wystraszona cofnęła się o krok, w jej głosie zabrzmiała podejrzliwość.

- Co pan tu robi? - zapytała, krzywiąc się do własnego odbicia w posrebrzanych szklach jego lustrzanych okularów.

Zackowi udało się uśmiechnąć, wreszcie zaczął myśleć prawidłowo. Już wiedział, w jaki sposób namówi ją, by go podwiozła. Wyobraźnia i umiejętność improwizowania były mu niezbędne w pracy reżysera. Wskazał głową na koło, zupełnie bez powietrza.

- Jeżeli znajdzie się podnośnik, pomogę.

Julie poczuła wyrzuty sumienia.

- Przepraszam za nieuprzejmość, ale wystraszyłam się. Patrzyłam na ten wóz patrolowy, wypadł stąd, jakby coś się stało.

- To Joe Loomis, miejscowy posterunkowy - kłamstwo gładko przeszło mu przez usta. Starał się sprawić wrażenie, że policjant to jego dobry znajomy. - Joe odebrał wezwanie i musiał pojechać. Szkoda, bo pomógłby mi.

Julie, całkowicie uspokojona, uśmiechnęła się.

- To bardzo uprzejmie z pana strony - powiedziała. Otworzyła klapę z tyłu samochodu. - To wóz mojego brata, podnośnik gdzieś tu musi być.

Zack szybko znalazł urządzenie.

- To potrwa najwyżej kilka minut - rzucił. Śpieszył się, ale już opanował panikę. Kobieta najwyraźniej wzięła go za znajomego miejscowego szeryfa, więc uważa go za osobę godną zaufania, jak jeszcze zmieni koło, będzie się czuła zobowiązana do rewanżu. Gdy znajdą się na szosie, policja nie będzie się nimi interesować, szukają przecież samotnego mężczyzny. Teraz każdy weźmie go za męża, a ją za dopingującą do pośpiechu żonę. - W którym kierunku pani jedzie? - zapytał, wsuwając pod auto podnośnik.

- Spory kawałek na wschód, potem na południe - odrzekła Julie. Podziwiała, jak mężczyzna dobrze sobie radzi. Miał niezwykle głęboki, miły głos. Ciemnobrązowe, bardzo gęste włosy były niezbyt starannie obcięte. Mocne, kwadratowe szczęki świadczyły o silnym charakterze. Zastanawiała się, jak ten człowiek wygląda bez ciemnych okularów. Pewnie jest bardzo przystojny, pomyślała. Ale to nie z tego powodu wciąż patrzyła na jego profil, odkrywała w nim coś jeszcze, coś ulotnego, czego nie umiała określić. Wciąż z termosem w ręce, otrząsnęła się z zamyślenia. - Pracuje pan tu w okolicy? - zapytała, by nawiązać rozmowę.

- Już nie. Jutro o siódmej rano spodziewają się mnie w nowym miejscu, jeżeli nie zdążę na czas, komuś innemu dostanie się ta fucha. - Skończył podnosić bok samochodu i zaczął obluźowywać śruby, potem wskazał głową na torby, wsunięte pod auto, których Julie wcześniej nie zauważyła. - Przyjaciół miał po mnie przyjechać dwie godziny temu i podrzucić kawałek, nie wiem, co mu się przytrafiło.

- Czeka pan od dwóch godzin? - wykrzyknęła Julie. - Na pewno zmarzył pan na kość.

Twarz trzymał odwróconą, najwyraźniej pochłonięty tym, co robi. Julie ogarnęło przedziwne pragnienie, by przykucnąć obok i dokładnie przyjrzeć się mu z bliska.

- Ma pan ochotę na kawę?

- Z przyjemnością. Zrobiła krok w stronę kafejki.

- Przyniosę. Jaka ma być?

- Czarna - powiedział Zack, z całych sił starając się opanować zdenerwowanie. Jechała na południowy wschód od Amarillo, a on ma przebyć czterysta mil na północny zachód. Popatrzył na zegarek, zaczął się śpieszyć. Minęło prawie półtorej godziny od chwili opuszczenia wozu naczelnika i ryzyko, że go złapią, rosło z każdą chwilą. Niezależnie od tego, dokąd ta dziewczyna jedzie, musi się z nią zabrać! Przede wszystkim należało zniknąć z Amarillo. Może wyruszyć z nią i przez godzinę jechać w złym kierunku, potem zawróci inną drogą.

Kelnerka musiała zaparzyć nowy dzbanek kawy i zanim Julie wróciła do samochodu z parującym kubkiem, jej wybawca już prawie kończył. Ziemię przykrywał kożuch śniegu, gruby teraz prawie na dwa cale. Kąsające smagnięcia zimnego wiatru wciąż się wzmagaly, podrywały poły jej kurtki, napełniały oczy łzami. Ujrzała, jak mężczyzna zaciera zmarznięte dłonie, i od razu pomyślała o posadzie czekającej na niego od jutra - jeżeli zdoła dotrzeć tam na czas. Wiedziała, że w Teksasie trudno o pracę, zwłaszcza fizyczną, a jak oceniła, ten człowiek, podróżujący bez samochodu, pewnie bardzo potrzebuje pieniędzy. Dopiero teraz, gdy mężczyzna wyprostował się, zauważyła kanty na nogawkach całkiem nowych dżinsów. Pewnie je kupił, by zrobić dobre wrażenie na pracodawcy, pomyślała Julie i zaraz ogarnęła ją fala współczucia.

Nigdy dotąd nie brała autostopowiczów, po prostu się bała. Ale tym razem postanowiła zrobić wyjątek i to nie tylko dlatego, że zmienił koło i wyglądał sympatycznie, ale także z powodu tych nowych spodni -szywnych, bez jednej plamki, zakupionych przez bezrobotnego, który całą nadzieję na jaśniejszą przyszłość wiązał z nowym miejscem pracy. I tylko jeden warunek: ktoś musi go podwieźć.

- Wygląda na to, że pan skończył - powiedziała, podchodząc bliżej.

Podawała mu kubek, a on ujął go w czerwone z zimna ręce. Było w nim coś takiego, co sprawiało, że zawahała się, nim zaproponowała pieniądze. W końcu przełamała się. - Chciałabym zapłacić panu za zmianę koła - zaczęła, ale gdy potrząsnął przecząco głową, spytała: - W takim razie może pana podwieźć? Jadę na wschód.

- Byłbym bardzo wdzięczny - odparł Zack z uśmiechem. Schylił się i wyjął spod samochodu torby podróżne. - Jest mi po drodze.

Już w samochodzie powiedział, że nazywa się Alan Aldrich. Julie także przedstawiła się, ale żeby od razu postawić sprawę jasno, przy najbliższej okazji powiedziała „panie Aldrich”. Zrozumiał, odtąd zwracał się do niej „pani Mathison”.

Julie całkowicie się odprężyła. Zwrot „pani Mathison” podziałał kojąco, uspokajało natychmiastowe przyjęcie przez towarzysza podróży zaproponowanej przez nią konwencji. Ale potem, gdy zamilkł na długo, żałowała, że uparła się przy zachowaniu oficjalnych form. Wiedziała, że nie najlepiej wychodzi jej ukrywanie myśli i pewnie Aldrich szybko przejrzał jej chęć utrzymania go na dystans - bezsensowny afront, zważywszy na to, że proponując zmianę koła, wykazał jedynie rycerską chęć pomocy.

## ROZDZIAŁ 17

Jechali pełne dziesięć minut, zanim Zack poczuł, jak dławiący niepokój powoli odpływa. Głęboko wciągnął powietrze - pierwszy swobodny oddech od wielu godzin. Nie, poprawił się w myślach, od miesięcy, nawet od lat. Uczucie beznadziejnej bezradności dręczyło go tak długo, że teraz, uwolniony od niego, poczuł niemal zawrót głowy. Obok przemknął czerwony samochód, który przy wjeździe na autostradę zjechał im drogę i w poślizgu zawirował na jezdni. Kolizji uniknęli tylko dlatego, że siedząca za kierownicą Julie prowadziła z rzadko spotykaną zręcznością, ale i tak od zderzenia dzieliło ich kilka cali. Niestety, ona także jechała zdecydowanie za szybko, z arogancką brawurą i lekkomyślnością typowymi, jak wiedział, dla Teksańczyków.

Zastanawiał się właśnie nad sposobem namówienia jej, by pozwoliła mu prowadzić, ale odezwała się pierwsza.

- Może pan się odprężyć, zwolniłam - powiedziała lekko rozbawionym głosem. - Nie chciałam pana przestraszyć.

- Nie bałem się - rzekł z niezamierzoną ostrością.

Popatrzyła na niego spod oka i na jej twarzy pojawił się pobłażliwy uśmiech.

- Zaparł się pan obiema rękami o deskę rozdzielczą, to mówi samo za siebie.

Dwie rzeczy uderzyły Zacka od razu: tak długo siedział w zamknięciu, by lekko kpiąca konwersacja pomiędzy dorosłymi odmiennej płci stała mu się całkiem obca - to raz, druga, to zapierający dech uśmiech dziewczyny. Zaczynał się w oczach, potem rozjaśniał całą twarz, zmieniając ją z dość ładnej w urokliwą. Myślenie o towarzyszce było o wiele przyjemniejsze od zastanawiania się nad sprawami, na które i tak nie miał wpływu, dlatego skupił się na niej. Poza odrobiną szminki jej twarz pozostawała wolna od makijażu. Dziewczyna zaskakiwała świeżością, ujmowała prostotą ułożenia lśniących, gęstych, brązowych włosów. Dawał jej najwyżej dwadzieścia lat. Ale jak na „dwudziestkę”, pomyślał, jest za pewna siebie.

- Ile pani ma lat? - zapytał wprost i natychmiast pożałował pytania. Jeżeli uda mu się uniknąć więzienia, od nowa będzie musiał uczyć się rzeczy, z którymi, jak niegdyś mu się zdawało, urodził się – zasad grzeczności, umiejętności prowadzenia rozmów z kobietami.

Ona jednak, zamiast okazać, jaka jest urażona, posłała mu ten swój hipnotyzujący uśmiech.

- Mam dwadzieścia sześć lat - powiedziała rozbawionym tonem.



- O Boże! - wyrwało mu się, zaskoczonemu własną niezręcznością. - To znaczy - wyjaśnił - nie sądziłem, że ma pani tyle lat.

Zdawała się wyczuwać jego zmieszanie, bo z uśmiechem powiedziała:

- Może dlatego, że dopiero od kilku tygodni.

Wolał nie ryzykować ponownego nietaktu; w milczeniu patrzył, jak wycieraczki cierpliwie rzeźbią półksiężyc w śniegu na szybie i zastanawiał się, czy pytanie, jakie przygotowywał, nie zawiera czegoś niestosownego. Wreszcie uznał kwestię za neutralną.

- Czym się pani zajmuje?

- Jestem nauczycielką.

- Nie wygląda pani.

Nie wiedział, dlaczego w jej oczach znów zaigrały iskierki wesołości, w dodatku zauważył, że powstrzymywała się, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Kompletnie zdezorientowany, odezwał się ostro:

- Powiedziałem coś śmiesznego? Julie potrząsnęła głową.

- Skądże znowu, tak właśnie mówią wszyscy starsi. Zack nie wiedział, czy „starsi” miało odnosić się do niego, bo nie dało się ukryć, przy niej wyglądał na starca, czy żartowała z jego niezręcznych uwag dotyczących jej wieku i wyglądu. Właśnie się nad tym zastanawiał, gdy z jej ust padło pytanie, jak zarabia na życie. Wybrał pierwszy zawód, jaki przyszedł mu do głowy i nie kłócił się z tym, co już o sobie mówił.

- Pracuję w budownictwie.

- Naprawdę? Mój brat też buduje domy, ma firmę. Co konkretnie pan robi?

Zack tylko od biedy potrafiłby powiedzieć, którym końcem młotka wbija się gwoździe, i teraz żałował, że nie wybrał innego zajęcia albo, jeszcze lepiej, nie milczał.

- Ściany - odpowiedział wymijająco - buduję ściany.

Przestała patrzeć na drogę, czym wystraszyła go nie na żarty, a intensywność, z jaką na niego spojrziała, do reszty zbiła go z tropu.

- Ściany? - powtórzyła, a w jej głosie zabrzmiało zaskoczenie. Po chwili milczenia indagowała dalej: - A jaką ma pan specjalność?

- Właśnie ściany - mruknął pod nosem, wściekły na siebie za poruszenie tego tematu. - To moja specjalność, stawiam ściany.

Julie pomyślała, że za pierwszym razem musiała źle zrozumieć.

- Ściany ocieplające! - wykrzyknęła ucieszona. - Oczywiście, tym pan się zajmuje.

- Zgadza się.

- W takim razie dziwią mnie pańskie kłopoty ze znalezieniem pracy, fachowcy od ocieplania są w cenie.

- Ja nie jestem fachowcem - powiedział obojętnie. Nie miał ochoty ciągnąć tematu dalej.

Julie, słysząc jego odpowiedź, z trudem powstrzymała śmiech. Całą uwagę skupiła na prowadzeniu samochodu. Co za niezwykły człowiek, pomyślała. Nie wiedziała, czy darzy go sympatią i jest zadowolona z towarzystwa, czy wolałaby podróżować samotnie. W dodatku przez cały czas nie mogła pozbyć się niemiłego uczucia - Aldrich kogoś jej przypominał. Żeby mogła zobaczyć, choć przez chwilę, jego twarz bez okularów! Miasto zniknęło w lusterku, nad nimi rozciągało się ciężkie niebo, ponure we wczesnie zapadającym zmierzchu. Jechali już z pół godziny. Nagle Zack popatrzył w boczne lusterko i aż zdrętwiał z przerażenia. Jakieś pół mili za nimi jechał policyjny wóz i jak szalony migotał czerwonymi i niebieskimi światłami.

Po chwili usłyszał syrenę.

Dziewczyna też usłyszała; spojrzała w lusterko, zdjęła nogę z gazu i zjechała na pełne śnieżnych muld pobocze. Zack sięgnął do kieszeni kurtki, wyczuł kolbę pistoletu. Nie wiedział jeszcze, jak się zachowa, jeżeli gliniarz zajedzie im drogę. Radiowóz był tuż-tuż; Zack prawie widział twarze dwóch policjantów, siedzących na przednim siedzeniu. Samochód przemknął obok... i za chwilę zniknął im z oczu.

- Gdzieś przed nami musiał być wypadek - powiedziała. Wjechali na wzgórze i zatrzymali się na zaśnieżonej szosie, na końcu czegoś, co przypominało przynajmniej pięciomilowy korek. Chwilę później minęły ich na sygnale dwie karetki.

Poziom adrenaliny opadł; Zack siedział roztrzęsiony i słaby. Poczł się, jak gdyby nagle utracił zdolność żywszego reagowania na cokolwiek. A przecież musiał zrealizować dokładnie przemyślany plan ucieczki, który, choćby z powodu swej prostoty, powinien się powieść. I tak by się stało, gdyby Hadley nie przełożył terminu wyprawy do Amarillo. Przez to opóźnienie wszystko potoczyło się inaczej niż powinno. Nie był nawet pewien, czy umówiony człowiek dalej czeka na telefon w hotelu w Detroit, po którym miał wynająć samochód i jechać do Windsoru. A Zack, dopóki nie oddał się od Amarillo, nie chciał prosić dziewczyny o zatrzymanie się koło telefonu. Co więcej, choć Kolorado leżało zaledwie o 130 mil stąd, za wąskim pasem Oklahomy, aby tam się dostać, powinien jechać na północny zachód. Przyszło mu do głowy, że na jego mapie, prócz Kolorado, mogą być także widoczne fragmenty Oklahomy i Teksasu i postanowił spróbować w y -szukać inną drogę, która zaprowadzi go do upragnionego miejsca. Poruszył się niespokojnie.

- Chyba rzucę okiem na mapę.

Julie pomyślała, że chce sprawdzić, którą prowadzi droga do miasta w Teksasie, gdzie czeka na niego praca.

- Dokąd się pan wybiera? - zapytała.

- Ellerton - odpowiedział z uśmiechem. Sięgnął za złożone oparcie siedzenia po torbę leżącą przy tylnych drzwiach samochodu. - Tę pracę załatwiałem w Amarillo. Ale na placu budowy jeszcze nie byłem - dodał na wypadek, gdyby zapytała o szczegóły.

- Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek słyszała o Ellerton. - Kilka chwil później, gdy starannie rozłożył mapę, z przypiętą do niej, zapisaną na maszynie kartką, Julie zapytała: - Znalazł pan?

- Nie. - Aby odwieść ją od dalszych pytań o nieistniejącą miejscowość, pomachał do niej kartką i odwrócił się, by z powrotem wsadzić ją do torby. - Tu mam dokładne wskazówki, trafię bez kłopotu - wyjaśnił.

Kiwnęła głową, z uwagą patrzyła na znajdujący się przed nim zjazd.

- Chyba pojedę tamtędy i ominę miejsce wypadku.

- Dobry pomysł. - Zwykła wiejska droga z początku biegła mniej więcej równoległe do autostrady.

- Może jednak nie taki dobry - powiedziała Julie, gdy coraz bardziej odbijali w prawo.

Zack nie odpowiedział. Przy skrzyżowaniu przed nimi widać było nieczynną stację benzynową, na skraju pustego placu stała budka telefoniczna, drzwi były otwarte.

- Jeżeli może pani się zatrzymać, chciałbym zatelefonować. To nie potrwa długo.

- Nie ma sprawy. - Julie zaparkowała pod lampą uliczną, niedaleko budki, i patrzyła, jak jej towarzysz podróży wkracza w płamę światła. Zmrok zapadł wcześniej niż zwykle. Burza zdawała się ich doganiać, miotając śniegiem z siłą niezwykłą nawet jak na te okolice Teksasu, znane z gwałtownych zmian pogody. Aby wygodniej jej było prowadzić, postanowiła zdjąć obszerną kurtkę i włożyć rozpinany sweter. Z nadzieją, że usłyszy prognozę pogody, włączyła radio, potem wysiadła, podeszła do tylnych drzwi samochodu i otworzyła je.

Usłyszała, jak spiker z Amarillo zachęca do kupna nowego samochodu w firmie Wilson Ford:

„Bob Wilson sprzedaje za najlepszą cenę, zawsze i wszędzie...”

Czekając na komunikat, zdjęła kurtkę i wyciągnęła z walizki brązowy, moherowy sweter. W oczy rzuciła jej się wystająca z torby Zacka mapa. Nie wzięła swojej, a nie do końca była pewna, czy droga, którą jadą, połączy się z autostradą i czy jej pasażerowi nie

byłoby wygodniej pojechać dalej z kimś innym. Spojrzała w stronę budki. Chciała spytać o pozwolenie, unosząc mapę, ale on, zajęty rozmową, stał odwrócony do niej plecami. Założyła, że nie miałby nic przeciwko temu. Przytrzymując rogi, które wiatr wyrывał z rąk, rozłożyła mapę na tylnych drzwiach samochodu.

Dopiero po chwili zorientowała się, że nie widzi Teksasu, lecz Kolorado. Zaskoczona, spojrzała na dołączoną kartkę. *Dokładnie na 26,4 mili za Stanton - czytała - znajdziesz się na nieoznakowanym skrzyżowaniu. Teraz zacznij wyglądać wąskiej, bitej drogi odchodzącej w prawo i znikającej wśród drzew jakieś piętnaście jardów od szosy. Dom znajduje się na końcu tej drogi, około pięciu mil od miejsca skrętu. Nie widać go ani z szosy, ani z gór.*

Julie ze zdumienia otworzyła usta. A więc on nie zdążył za pracą do Teksasu, ale do jakiegoś domu w Kolorado?!

W radiu skończyły się reklamy i spiker powiedział: „Za chwilę podamy szczegóły o zbliżającej się burzy, ale najpierw najświeższe wiadomości z biura szeryfa...”

Julie prawie nie słyszała, patrzyła na wysokiego mężczyznę w budce telefonicznej i znów poczuła dręczące uczucie... skąd go zna? Stał odwrócony do niej plecami, okulary trzymał w ręce. Jakby czując jej wzrok, obejrzał się. W jej rękach dojrzał mapę, a Julie, niemal równocześnie, wyraźnie zobaczyła jego twarz.

„Dzisiaj po południu, około godziny czwartej - mówił głos w radiu - funkcjonariusze służby więziennej odkryli, że z więzienia w Amarillo uciekł skazany za morderstwo Zachary Benedict...”

Jak zahipnotyzowana patrzyła na surową, zapadniętą twarz.

Rozpoznała ją.

- Nie! - krzyknęła, gdy rzucił słuchawkę i biegiem ruszył w jej stronę. Szarpnęła drzwi samochodu i przez przednie siedzenie sięgnęła, by zamknąć te od strony pasażera, ale sekundę się spóźniła. Zack dopadł samochodu i złapał ją za rękę. Przerazenie obezwładniało ją, ale i dodawało sił. Uwolniła się i bokiem wysunęła na zewnątrz. Padając, uderzyła biodrem o ziemię, ale zaraz zerwała się na nogi i biegła, ślizgając się na śniegu; wołała o pomoc, choć wiedziała, że znikąd nie może jej oczekiwać. Złapał ją od razu, szarpnął do tyłu i przycisnął do samochodu.

- Zamknij się i stój spokojnie! - warknął.

- Możesz zabrać wóz! - krzyknęła Julie. - Weź go, tylko mnie zostaw.

Nie zwracał na nią uwagi, rozglądał się za mapą, zanieśioną przez wiatr do porzdewiałego pojemnika na śmieci, stojącego piętnaście stóp dalej, po tym jak Julie wypuściła ją z rąk. Jak na zwolnionym filmie zobaczyła, że wyjmuje z kieszeni czarny

przedmiot - pistolet! -i mierzy w jej stronę, potem schyla się po mapę. Rany boskie, on ma broń!

Nie mogła opanować drżenia ciała. Z niedowierzaniem, na granicy hysterii, słyszała, jak głos w radiu potwierdza jeszcze raz wiadomość: „Benedict jest niebezpiecznym przestępcą, jest uzbrojony. W przypadku napotkania go należy zawiadomić policję w Amarillo. Nie nawiązywać ze skazanym kontaktu. Drugi zbiegły więzień, Dominie Sandini, znajduje się już pod kluczem...”

Pod Julie ugięły się nogi. Patrzyła, jak mężczyzna zbliża się, w jednej ręce trzyma broń, w drugiej mapę. Reflektory nadjeżdżającego samochodu oświetliły wzniesienie ćwierć mili przed nimi; Zack schował broń do kieszeni, ale nie wyjmował ręki.

- Wsiadaj! - rozkazał.

Julie obejrzała się na nadjeżdżającego pickupa i rozpaczliwie kalkulowała, czy ma szanse zwrócenia uwagi kierowcy.

- Nawet nie próbuj - ostrzegł śmiertelnie poważnym głosem.

Serce w jej piersi biło jak oszalałe, obserwowała, jak na skrzyżowaniu auto skręca w lewo. Nie miała wyboru - posłuchała rozkazu. Nie tutaj, jeszcze nie, pomyślała. Instynkt podpowiadał, że ta okolica jest zbyt mało uczęszczana, by mogła liczyć na jakąkolwiek pomoc.

- Ruszaj się! - Ujął ją za ramię i pchnął w stronę samochodu. Julie Mathison, w gęstniejącym zmroku zimowego wieczora, szła niepewnie po zaśnieżonym placu obok uzbrojonego, zbiegłego mordercy, mierzącego do niej z pistoletu. Ogarnęło ją przerażające uczucie: są bohaterami jego filmu, tego, w którym zakładnik zostaje zabity.

## ROZDZIAŁ 18

Ręce się jej trzęsły, gdy sięgała do kluczyków w stacyjce, ze zdenerwowania omal nie zalała silnika. Poczowała, jak nogi drżą jej ze strachu. Zack obserwował ją z obojętną miną.

- Jedź - warknął. Motor wreszcie zapalił. Julie udało się zawrócić i wyjechać z parkingu, ale przy drodze stanęła. Była tak sparaliżowana przerażeniem, że nie mogła wykrztusić oczywistego pytania.

- Mówiłem, ruszaj!

- W którą stronę? - krzyknęła. Nienawidziła siebie za pokorny ton, a jeszcze bardziej tego drania na siedzeniu obok, sprawcy jej niepohamowanego strachu.

- Wracamy tą samą drogą.

- Co takiego?!

- Słyszałaś.

Była godzina szczytu i na zaśnieżonej szosie, w pobliżu miasta, samochody toczyły się w ślimaczym tempie długim sznurem. Napięte milczenie stawało się nie do zniesienia. Julie rozpaczliwie starała się opanować roztrzęsione nerwy, spróbować zastanowić się nad szansą ucieczki. Wyciągnęła drżącą dłoń, by zmienić stację w radiu. Spodziewała się z jego strony protestu, ale Zack milczał. Pokręciła gałką i w samochodzie rozległ się głos disc jockeya, z przejściem zapowiadającego kolejną piosenkę country. Samochód wypełniły dźwięki „Ali My Exs Live in Texas”.

George Strait śpiewał, a Julie przyglądała się twarzom kierowców, zdążających do domu po długim dniu. Mężczyzna w explorerze obok słuchał najwyraźniej tej samej stacji i na kierownicy wystukiwał rytm melodii. Zauważywszy jej wzrok, uprzejmie skinął głową, ale po chwili dalej patrzył przed siebie. Niczego nie zauważył, pomyślała; gdyby to on znalazł się na jej miejscu, nic nie wzbudziłoby jej podejrzeń. Wszystko było w porządku. Poza jednym.

Z siedzenia obok, jak gdyby nigdy nic, zbiegły morderca terroryzował ją bronią! Właśnie ten pozorny spokój, tak sprzeczny z koszmarną rzeczywistością, wyrwał Julie z odrętwienia, pchnął do działania. Na szosie zrobiło się luźniej, samochody przyspieszały. Jej desperacja zaowocowała nagłym olśnieniem. Od jakiegoś czasu mijali samochody, które wpadły do rowu. A gdyby tak spowodować poślizg? Skręcić w prawo, a potem, gdy będą wpadać do rowu, odbić w lewo. Drzwi po jej stronie powinny dać się otworzyć, on znajdzie się w pułapce. Taki manewr bez trudu udałoby się wykonać jej własnym samochodem, zachowania wozu napędzanego na cztery koła nie potrafiła przewidzieć.

Zack zauważył, że dziewczyna rozgląda się po szosie. Czuł rosnącą w niej panikę i obawiał się, że w każdej chwili strach może pchnąć ją do desperackiego czynu.

- Rozluźnij się! - powiedział rozkazującym tonem.

Przerażenie Julie sięgnęło zenitu i nagle przemieniło się w szaleńczą furję.

- Rozluźnić się! - wybuchnęła trzęsącym się z oburzenia głosem. Otarła czoło i popatrzyła na niego z wściekłością. - Jak to sobie, na Boga, wyobrażasz, z facetem u boku, mierzącym do mnie z pistoletu! No powiedz!

Ma rację, pomyślał Zack. Dla nich obojga będzie lepiej, jak się uspokoi, zanim zrobi coś takiego, co będzie oznaczać koniec drogi.

- Nie denerwuj się - rzekł spokojnym głosem.

Julie patrzyła przed siebie. Ruch na drodze zelżał jeszcze bardziej, samochody poruszały się szybciej. Teraz zaczęła rozważać uderzenie blazerem w jadące najbliżej auta i spowodowanie kraksy. Przy takim wypadku policja byłaby niezbędna, a o to w końcu chodziło.

Ale ona i inni Bogu ducha winni automobiliści mogliby nie przeżyć wypadku. Albo zginąć od kul Zacharego Benedicta.

Właśnie zaczynała zastanawiać się, ile naboji ma w magazynku i czy zdobyłby się na strzelanie do niewinnych ludzi, gdy usłyszała jego spokojny, uprzejmy ton, jakiego zwykle używają dorośli, by uspokoić rozhisteryzowane dziecko:

- Jeżeli będziesz postępować rozsądnie, Julie, nic złego cię nie spotka. Muszę dojechać do granicy stanu, a ty masz samochód - proste. Chyba ten wóz nie znaczy dla ciebie aż tyle, by ryzykować dla niego życie, nie próbuj się mnie pozbyć. Masz tylko jechać w sposób nie zwracający na nas uwagi. Jeśli gliny mnie dorwą, wybuchnie strzelanina - ty znajdziesz się w jej centrum. Więc bądź grzeczną dziewczynką i odpreż się.

- Chcesz, bym się rozluźniła - powiedziała, nie mogąc już dłużej znieść jego dobrotliwego tonu i swoich napiętych do ostateczności nerwów - to daj mi broń, a pokażę ci, jaka potrafię być spokojna!

Ujrzała, jak w odpowiedzi marszczy brwi. Ale milczał i prawie uwierzyła, że naprawdę nie zamierza jej skrzywdzić, przynajmniej dopóki nie spróbuje przeszkadzać mu w ucieczce. Strach odpływał, w jego miejsce wzbierała wściekłość z powodu udręki, na jaką ją narażał.

- Poza tym - ciągnęła gniewnie - nie mów do mnie, jakbym była małym dzieckiem. I nie nazywaj mnie Julie, skończyło się! Byłam dla ciebie panią Mathison wtedy, gdy myślałam o tobie jak o szukającym pracy, przyzwoitym, miłym człowieku, który kupił te cholerne

dżinsy, by zrobić wrażenie na pracodawcy. Gdyby nie one, nie znalazłabym się w takiej parszywej sytuacji... - Ku swemu przerażeniu poczuła w oczach piekące łzy. Szybko rzuciła mu nienawistne spojrzenie i dalej patrzyła na drogę przed sobą.

Zack uniósł brwi i przyglądał się jej w milczeniu. W głębi duszy był zaskoczony i, choć niechętnie, musiał przyznać, że ten pokaz odwagi zaimponował mu. Odwrócił głowę i patrzył na coraz bardziej pustą drogę, na gęsty, bez przerwy sypiący śnieg, który jeszcze przed paroma godzinami zdawał się nieprzychylnym zrządzeniem losu, a teraz, odwracając uwagę policji, zajmującej się grzęznącymi w zaspach pechowcami, zamiast od razu energicznie rozpocząć poszukiwania zbiegłego więźnia, okazywał się wybawieniem.

No i miał szczęście, że nie jedzie tym małym, wynajętym samochodem, który odholowano, ale ciężkim pojazdem napędzanym na cztery koła, z łatwością mogącym poruszać się po nieodśnieżonej bocznej drodze, jaką mieli pokonać, by dotrzeć w góry Kolorado. Wszystkie te niefortunne wydarzenia, jakie przez ostatnie dwa dni niemal doprowadzały go do szaleństwa, w ostatecznym rozrachunku okazały się szczęśliwe. Dostanie się w góry Kolorado - dzięki Julie Mathison. Pani Mathison - z uśmiechem poprawił się w myślach. Wygodniej rozparł się w fotelu. Na wspomnienie usłyszonej wcześniej wiadomości rozbawienie zniknęło równie szybko, jak się pojawiło. O Dominicu Sandinim mówiono jak o „drugim zbiegłym więźniu”, którego „pojmano i przewieziono do aresztu”. Gdyby Sandini trzymał się planu, naczelnik Hadley raczej pyszniłby się przed dziennikarzami lojalnością „zaufanego” więźnia, a nie mówił o jego ujęciu.

Zack starał się wmówić sobie, że informacje w wiadomościach były po prostu mało precyzyjne i Dominica Sandiniego mylnie określano mianem „zbiegłego”. Dość ponurych myśli! Całą uwagę skupił na siedzącej za kierownicą młodej nauczycielce. Potrzebował jej i samochodu, ale musiał przyznać: komplikowała sytuację. Prawdopodobnie zorientowała się, że zmierza do Kolorado; co więcej, mogła widzieć wystarczająco dużo, by wskazać policji kryjówkę.

Jeżeli puści ją wolno na granicy Teksasu i Oklahomy lub trochę dalej na północ, na granicy z Kolorado, to dziewczyna opisze samochód i trasę ucieczki. Jego twarz na pewno przypomniawsza już telewizja całego kraju, nie ma więc co liczyć, że nie zostanie rozpoznany podczas wynajmowania samochodu. Poza tym policja miała uważać, że poleciał do Detroit, a później przekroczył granicę z Kanadą.

Pojawienie się Julie Mathison mogło być dla jego planów szczęśliwym albo pechowym zbiegiem okoliczności. Jednak, chociaż była dla niego śmiertelnym zagrożeniem, nie przeklinał losu za zesłanie jej osoby, wolał spokojnie zaczekać, aż sprawy ułożą się same,



a tylko dołożyć starań, by najbliższe godziny uczynić łatwiejszymi do zniesienia. Przypomniał sobie, o czym ostatnio mówiła - dobry sposób na rozpoczęcie w miarę neutralnej rozmowy - i sięgnął do tyłu po termos z kawą.

- Dlaczego nie podobają ci się moje dzinsy?

- Co takiego? - Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Usłyszałem coś o „cholernych dzinsach”, jako jedynym powodzie zabrania mnie do samochodu - wyjaśnił, nalewając kawę do nakrętki termosu. - Co z tymi dzinsami?

Julie z trudem opanowała wybuch historycznego śmiechu. Tu chodzi o jej życie, a jemu zachciewa się rozważań o modzie!

- Co miałaś na myśli? - nalegał.

Już miała odburknąć ze złością, ale przyszły jej do głowy dwie rzeczy: szaleństwem jest drażnienie uzbrojonego człowieka, to jedno, po drugie, jeżeli uda jej się sprawić rozmowę o błahostkach, by się odprężył i mniej uważnie jej pilnował, znacznie zwiększy szanse na uwolnienie się. Zmusiła się do przybrania uprzejmego, obojętnego tonu, wzięła głęboki oddech i nie odwracając wzroku od drogi, powiedziała:

- Zauważyłam, że twoje dzinsy są całkiem nowe.

- A co to miało wspólnego z propozycją podwiezienia mnie?

W głosie Julie zabrzmiało rozgoryczenie z powodu wykazanej naiwności.

- Ponieważ nie miałeś samochodu, a z tego, co mówiłeś, wynikało, że jesteś bez pracy, założyłam, że nie masz zbyt dużo pieniędzy. Opowiadałeś o przyszłym zajęciu, do tego zauważyłam zaprasowane kanty na twoich dzinsach... - Głos jej się załamał. Uświadomiła sobie z niesmakiem, że nie ma do czynienia z nędzarnikiem, za jakiego go wzięła, ale z filmowym gwiazdorem ocenianym na miliony dolarów.

- Mów dalej - nalegał, w jego głosie brzmiało zdziwienie.

- Cholera jasna, wysnułam, jak mi się zdawało, oczywisty wniosek! Pomyślałam, że dzinsy kupiłeś po to, by zrobić jak najlepsze wrażenie na nowym pracodawcy, wyobrażałam sobie, jaka ważna musiała być dla ciebie chwila ich zakupu, ile nadziei w nich pokładałeś. Nie mogłam znieść myśli, że twoje starania pójdą na marne, jeżeli nie zjawisz się na czas. No więc, chociaż w całym moim życiu nigdy nie wzięłam autostopowicza, dręczyła mnie myśl, że twoja szansa umyka.

Zack był nie tylko zaskoczony, ale także, choć wzbraniał się przed tym uczuciem, wruszony. Dobroci, która wymagała poświęcenia i podjęcia ryzyka, zabrakło w jego życiu - tym na wolności, bo o latach spędzonych w więzieniu nawet nie myślał.

- I to wszystko wywnioskowałaś z kantów na dzinsach? Masz niesamowitą wyobraźnię. - Z kpiącym uśmiechem pokręcił głową.

- Najwyraźniej jestem także fatalną znawczynią charakterów - powiedziała Julie z goryczą. Kątem oka zobaczyła, jak wyciąga w jej stronę lewą rękę i aż podskoczyła, tłumiąc okrzyk strachu. Dopiero wtedy zauważyła, że podaje jej kubek z kawą. Cichym głosem, jakby przepraszał za mimowolne przestraszenie jej, wyjaśnił:

- To dobrze ci zrobi.

- Dzięki tobie na pewno nie grozi mi zaśnięcie za kierownicą.

- Wypij chociaż trochę - nalegał Zack, zdecydowany obniżyć poziom jej przerażenia. Ale niewiele pomogło - to on był powodem obaw. - Dzięki temu... - przerwał, szukając odpowiednich słów - ... sytuacja stanie się bardziej normalna.

Julie odwróciła głowę. Patrzyła na niego, a jej zdumiona twarz jasno wyrażała, co myśli: jego troska jest nie tylko obrzydliwa, ale i nienormalna. Już miała powiedzieć, co o tym wszystkim sądzi, ale przypomniała sobie o broni w kieszeni mężczyzny. Trzęsącą się ręką wzięła kawę i piła małymi łydkami, równocześnie obserwując drogę.

Z siedzenia obok Zack widział zdradzające ją drżenie kubka. Ogarniało go przedziwne pragnienie - przeprosić ją za doprowadzenie do takiego stanu. W świetle bijącym z deski rozdzielczej obserwował piękny profil dziewczyny, podziwiał mały nosek, stanowczą brodę i wyraźnie zarysowane kości policzkowe. I te oczy, przepiękne! Przypomniał sobie, jak przed chwilą miotaly gniewne błyskawice. Cudowne. Poczuł wyrzuty sumienia i wstyd za żerowanie na naiwności przerażonej, niewinnej dziewczyny, która próbowała okazać mu trochę serca - a ponieważ zamierzał nadal ją wykorzystywać, w duchu zaczął zgadzać się z tymi, którzy uważali go za bezduszne zwierzę. By nieco uspokoić sumienie, postanowił, na ile było to możliwe, rozładować sytuację. Spróbuje wciągnąć ją w rozmowę.

Zauważył, że nie nosi obrączki. Pewnie panna, pomyślał. Usiłował przypomnieć sobie, o czym rozmawiają ci „kulturalni, z zewnątrz”, i w końcu odezwał się:

- Lubisz uczyć?

Znów popatrzyła na niego pełnymi skrywanej niechęci, olbrzymimi oczami.

- Spodziewasz się - powiedziała z niedowierzaniem - że potrafię prowadzić z tobą obojętną, uprzejmą rozmowę?

- Tak! - rzucił ostro, opanowany irracjonalną złością za niedocenienie jego dobrych chęci. - Odpowiadaj!

- Uwielbiam uczyć - odrzekła Julie, roztrzęsiona. Nienawidziła siebie za tak łatwą kapitulację. - Jak długo będę cię wozić? - spytała, gdy mijali tablicę informującą: do granic Oklahomy zostało dwadzieścia mil.

- Właśnie do Oklahomy - odpowiedział Zack, nie całkiem zgodnie z prawdą.

## ROZDZIAŁ 19

- Dojechaliśmy - powiedziała Julie na widok tablicy z nazwą stanu Oklahoma.

- Widzę. - Rzucił jej rozbawione spojrzenie.

- No i? Gdzie chcesz wysiąść?

- Jedź dalej.

- Dalej? - zawołała oburzona. - Słuchaj no ty nędzny... nie zamierzam wieźć cię aż do Kolorado!

Niechęcy udzieliła mu odpowiedzi na pytanie, jakie nie padło, wiedziała, dokąd się udaje.

- Ani myślę! - piekliła się Julie, nieświadoma, że właśnie przypieczętowała swój los. - Nie mogę!

Z westchnieniem myślał o oporze, jaki wywoła.

- Ależ tak, panno Mathison!

Jego pełen ironii spokój był kroplą, która przerwała tamę.

- Idź do diabła! - krzyknęła i zanim zdołał ją powstrzymać, gwałtownie skręciła w prawo. Zahamowała ostro, samochód skoczył na muldzie na poboczu.- Bierz auto! - prosiła. - Weź, tylko mnie zostaw. Nikt się nie dowie, że cię widziałam ani dokąd zmierzasz. Przysięgam!

Zack, aby powstrzymać jej wybuch, zażartował:

- Bohaterowie filmów właśnie tak przyrzekają. - Przez ramię obserwował mijające ich samochody. - Zawsze uważałem tę kwestię za idiotyczną.

- Nie jesteśmy w kinie!

- Ale zgodzisz się, że twoja obietnica brzmi niezbyt przekonująco -powiedział z uśmiechem - przyznaj, Julie.

Zdumiona, że próbuje z nią żartować, jakby byli przyjaciółmi, popatrzyła na niego z wściekłością. Wiedziała, że to on ma rację, ale nie powie mu tego.

- Chyba nie oczekujesz, że ci uwierzę - mówił dalej łagodniejszym tonem- iż nie masz mi za złe porwania i kradzieży samochodu, a potem, z wdzięczności, dotrzymasz złożonej pod przymusem obietnicy. Musiałbym zwariować, nie sądzisz?

- A ty nie spodziewaj się po mnie udziału w psychologicznych rozważaniach, tu chodzi o moje życie - wybuchnęła.

- Nie dziwię się, że się boisz, ale dopóki sama nie sprowokujesz niebezpieczeństwa, nic ci nie grozi.

Być może z powodu wyczerpania, a może tonu jego głosu i sposobu, w jaki patrzył jej w oczy, niemal uwierzyła.

- Nie chcę, by stała ci się krzywda - zapewniał - i nie stanie się, jak długo nie zrobisz niczego, co by ściągnęło na nas uwagę i zaalarmowało policję...

- Bo wtedy strzeliłbyś mi prosto w głowę - przerwała Julie z goryczą, uwalniając się spod jego uroku. - Bardzo krzepiące, panie Benedict, dziękuję.

Zack powstrzymał gniew i cierpliwie tłumaczył:

- Jeżeli gliniarze mnie dorwą, będą musieli zabić, bo nie zamierzam się poddać. Biorąc pod uwagę obywatelską gorliwość policjantów, wielce prawdopodobne, że podczas strzelaniny zostaniesz ranna, może nawet zginiesz. Nie chcę, by tak się stało, rozumiesz?

Wściekła, że daje się nabrać na gładkie, puste słówka bezwzględного mordercy, Julie uwolniła wzrok z uwięzi jego spojrzenia i popatrzyła przed siebie.

- Czyżbyś zamierzał mnie przekonać, że jesteś sir Galahadem, a nie zdeprawowanym potworem?

- Nie o to chodzi - odparł poirytowany. Milczała. Zniecierpliwiony zachnął się.

- Przestań marudzić i patrz na drogę. Co innego mam teraz na głowie. Muszę znaleźć telefon, na pewno jest u wylotu którejś z tych dróg.

Słyszając ten twardy ton, Julie uświadomiła sobie lekkomyślność zignorowania jego „przyjaznych” gestów. Najwyraźniej rozgniewała go. Wjeżdżali z powrotem na szosę. Pomyślała, niestety ponowczasie, że powinna była próbować oszukać go, udać pogodzoną z perspektywą wspólnej jazdy. Patrzyła na płatki śniegu wirujące w świetle reflektorów i powoli zaczynała zbierać myśli, zastanawiać się nad możliwością wydostania się z kłopotliwej sytuacji.

Przecież może ją zmusić do jazdy aż do Kolorado! Znalezienie sposobu na pokrzyżowanie mu planów stawało się dla niej nie tylko koniecznością, było prawdziwym wyzwaniem. Powinna zachować zimną krew, opanować strach, powstrzymać ogarniającą ją wściekłość. Musi się udać! Przecież nie jest chowaną pod kloszem, rozpieszczoną panienką. Pierwsze jedenaście lat życia spędziła na ulicach Chicago i poradziła sobie! Postanowiła rozpatrzeć nieprzyjemną sytuację, jakby chodziło o przeżycia jednej z bohaterek jej ulubionych powieści przygodowych. Zawsze uważała zachowanie niektórych za wyjątkowo idiotycznie, jak jej teraz. Drażnić uzbrojonego porywacza! Sprytniejsza bohaterka zachowałaby się inaczej i na pewno znalazłaby sposób na uspienie czujności Benedicta.

Gdyby się udało, jej szanse na ucieczkę i doprowadzenie do ujęcia groźnego przestępcy niepomniernie by wzrosły. Powinna udawać, że traktuje cały ten koszmar jak przygodę, że jest po stronie porywacza, a to wymagałoby z jej strony aktorskiego wręcz kunsztu. Ale co szkodziło spróbować.

Pomimo dużych wątpliwości, czy plan się powiedzie, Julie poczuła ogarniający ją spokój, determinację, odsunęła na bok obawy. Teraz mogła chłodno rozważyć sytuację. By jej nagła kapitulacja nie wzbudziła podejrzeń, odczekała chwilę, potem odetchnęła głęboko i, starając się, by jej głos brzmiał wystarczająco żałośnie, powiedziała:

- Panie Benedict - nawet udało jej się lekko uśmiechnąć - doceniam pana troskę o moje bezpieczeństwo, o to, by nie spotkała mnie krzywda. Nie zamierzałam być sarkastyczna, najzwyczajniej w świecie bałam się.

- A teraz już ci przeszło? - zapytał pełnym sceptycyzmu tonem.

- No cóż, chyba jeszcze trochę się boję - przyznała Julie - ale już nie tak bardzo.

- Mogę spytać, skąd ta nagła zmiana? O czym przed chwilą myślałaś?

- O książce - powiedziała, bo temat wydał jej się bezpieczny. - Przygodowej.

- Którą czytałaś? A może o tej, którą zamierzasz napisać?

Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Uświadomiła sobie, że mimo woli podsunął jej pomysł.

- Zawsze marzyłam o napisaniu powieści przygodowej - improwizowała gorączkowo - i przyszło mi do głowy, że ta sytuacja dostarczy mi pierwszorzędnego materiału, i to z pierwszej ręki.

- Rozumiem.

Popatrzyła na niego ukradkiem - zaskakiwał ciepłym uśmiechem.

Ten szatan potrafiłby z czarować węża, pomyślała. Przypomniała sobie ten uśmiech z czasów, gdy Zack słał go z ekranów kin całego kraju, przyprawiając o gorączkę żeńską część widowni.

- Jesteś bardzo odważną dziewczyną, Julie.

Powstrzymała się od rzucenia z irytacją, by mówił do niej „panno Mathison”.

- Tak naprawdę, jestem strasznym tchórzem, panie...

- Mam na imię Zack - przerwał jej, w chłodnym tonie wyczuła nawrót podejrzliwości.

- Masz całkowitą rację, Zack - zgodziła się pośpiesznie. - Powinniśmy mówić do siebie po imieniu, skoro najwyraźniej pozostaniemy razem przez...

- Jakiś czas - dokończył wykrętnie, a Julie uczyniła wręcz herkulesowy wysiłek, by ukryć rozczarowanie i wściekłość.

- Jakiś czas - zgodziła się obojętnym tonem. - Pewnie wystarczy mi na zebranie wstępnych materiałów. - Zawahała się, zupełnie nie wiedziała, o co dalej pytać. - Czy mógłbyś mi trochę opowiedzieć, jak, tak naprawdę, wygląda życie w więzieniu? Garść informacji z pierwszej ręki przydałaby mi się przy pisaniu powieści.

- Czyżby?

Jego głos, pobrzmiewający ledwo wyczuwalną ironią, napawał ją przerażeniem. Nigdy dotąd nie znała kobiety ani mężczyzny, którzy tak wiele potrafiliby wyrazić drobnymi, trudnymi do uchwycenia zmianami tonu, nigdy nie słyszała podobnego głosu. Timbre jego głębokiego barytonu mógł ni stąd, ni zowąd przejść z uprzejmego, rozbawionego, w chłodny, ścinający krew. W odpowiedzi Julie energicznie kiwnęła głową. Jego sceptycyzmowi przeciwstawiła swą energię i zdecydowanie.

- Z pewnością - odrzekła. Musi tylko przekonać go, że chwilowo grają w jednej drużynie, wtedy jego czujność osłabnie. - Słyszałam, że do więzień trafia wielu niewinnych ludzi. A jak było z tobą?

- Każdy skazany utrzymuje, że jest niewinny.

- To rozumiałe, ale ty? - nalegała. Czekwała na twierdzącą odpowiedź, mogłaby udać wtedy, że mu wierzy.

- Sędziowie przysięgli uznali mnie za winnego.

- Przysięgli już niejedną raz się pomylili.

- Dwunastu uczciwych, powszechnie szanowanych obywateli - odpowiedział głosem nagle zmrożonym nienawiścią - ogłosiło, że jestem winny.

- Jestem pewna, że starali się zachować obiektywizm.

- Bzdura! - powiedział z taką furią, że dłonie Julie, pod naporem nowej fali strachu, mocniej zacisnęły się na kierownicy. - Byłem sławny i bogaty, za to mnie skazali! - warknął. - Obserwowałem ich twarze i im donośniej prokurator grzmiał o mojej uprzywilejowanej pozycji w społeczeństwie i upadku obyczajów w Hollywood, tym mocniejsza żądza krwi budziła się w przysięgłych. Ta cała przeklęta, świętoszkowata banda świetnie wiedziała o istnieniu poważnych wątpliwości, czy to ja byłem sprawcą zbrodni, dlatego nie orzekli kary śmierci. Za dużo naoglądali się Perry'ego Masona i uznali, że jeżeli nie byłbym winny, potrafiłbym wskazać prawdziwego mordercę.

Julie poczuła, jak wilgotnieją jej dłonie - wybuch wściekłości Zacka po raz kolejny przeraził ją. Zrozumiała, jak ważne jest, by uwierzył w szczerą okazaną mu współczucia.

- Ale byłeś niewinny, prawda? Po prostu nie potrafiłeś wskazać innego podejrzanego - mówiła drżącym głosem.

- Czy to zmieniliby coś? - rzucił szorstko.

- Dla mnie tak.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, a potem jego głos znów zabrzmiał wzruszającą łagodnością:

- Jeżeli rzeczywiście to coś dla ciebie znaczy, nie zabiłem żony.

Kłamie, z pewnością kłamie, pomyślała.

- Wierzę ci - usłyszała własny głos. I żeby go do reszty przekonać, dodała: - Skoro jesteś niewinny, miałeś prawo do uciezki.

Milczał. Przez chwilę niemal czuła, jak wzrokiem bada każdy szczegół jej twarzy, potem powiedział krótko:

- Minęliśmy tablicę informującą o telefonie. Jak zobaczysz budkę, zatrzymaj się.

- Dobrze.

Telefon stał przy drodze i Julie zaparkowała w zatoczce obok. Patrzyła w boczne lustro w nadziei ujżenia jakiejś ciężarówki czy innego samochodu, którego kierowcy mogłaby zwrócić na siebie uwagę. Ale na zaśnieżonej drodze ruch był niewielki. Na dźwięk głosu Zacka gwałtownie odwróciła się, akurat w chwili, gdy wyciągał ze stacyjki kluczyki.

- Wierzę, że jesteś przekonana o mojej niewinności i życzysz mi powodzenia - powiedział z ironicznym uśmiechem - a kluczyki wolę mieć w kieszeni, bo jestem bardzo ostrożnym człowiekiem.

Zaskoczyła ją szybkość własnej reakcji. Pokręciła głową i spokojnie odparła:

- Nie mam ci tego za złe.

Odpowiedział uśmiechem.

Wysiadł, ale rękę - groźne ostrzeżenie! - trzymał w kieszeni, także drzwi, te od strony pasażera, zostawił otwarte - z pewnością chciał ją widzieć, gdy będzie zajęty rozmową. Żadnych szans na uciezkę, pomyślała, w razie czego nie uniknę kuli. Dobrze, nie wydostanę się z matni od razu, ale co szkodzi poczynić przygotowania. Zack ruszył w stronę budki, a wtedy ona, z całą potulnością, na jaką ją było stać, zawołała:

- Czy mogłabym wyjąć z torebki długopis i kartkę i jak ty będziesz zajęty rozmową, zrobić notatki do mojej książki? - Zanim zdążył zaprotestować, czego się obawiała, sięgnęła na tylne siedzenie. - Pisanie uspokaja moje nerwy - tłumaczyła - jak chcesz, możesz przeszukać torebkę. Przekonasz się, że nie ma tam zapasowych kluczyków ani broni. - Na dowód, że mówi prawdę, zademonstrowała mu otwartą torebkę. Rzucił jej zniecierpliwione, zatroskane spojrzenie, z którego wyczytała, że ani przez chwilę nie wierzył w historyjkę o pisaniu książki i tylko, dla świętego spokoju, udawał.



- Weź, co chcesz - powiedział obojętnie.

Odwrócił się do niej plecami, a wtedy wyjęła mały notatnik i długopis. Patrzyła, jak Benedict podchodzi do telefonu, podnosi słuchawkę i wrzuca monety, potem szybko napisała na trzech kartkach: WEZWAĆ POLICJĘ. ZOSTAŁAM PORWANA.

Kątem oka zauważyła, że Zack ją obserwuje. Zaczekała, aż zacznie rozmawiać, i wtedy z notatnika wyrwała kartki z alarmującą wiadomością, złożyła na pół i upchnęła do zewnętrznej przegródki torebki, aby, we właściwym momencie, wydobyć je bez trudu. Ponownie otworzyła notatnik i wpatrując się w niezapisane strony, rozpaczliwie starała się wymyślić sposób przekazania informacji komuś, kto mógłby jej pomóc. I nagle przyszedł jej do głowy doskonały pomysł: po upewnieniu się, że Zack jej nie obserwuje, wyciągnęła jedną z kartek, zawinęła w dziesięciodolarowy banknot i schowała do portfela.

Miała już gotowy plan i zaczynała go realizować. Świadomość podjęcia działań mogących wpłynąć na jej sytuację uspokajała, sprawiała, że wyzbyła się lęku. Swoją spokojność zawdzięczała jeszcze czemuś: instynktownie czuła, że Zachary Benedict mówił prawdę, rzeczywiście nie chce wyrządzić jej krzywdy.

Dlatego nie zastrzeli jej z zimną krwią. Gdyby teraz spróbowała uciekać, goniłby ją, ale pewnie nie strzelałby, no chyba żeby zatrzymywała jakiś przejeżdżający samochód. Droga była pusta i Julie nie widziała najmniejszego sensu w próbie ucieczki. Z łatwością dogoniłby ją. Nic by nie osiągnęła, tylko wzmożła jego czujność. Zrobi lepiej, jeżeli uda chęć współdziałania.

Zachary Benedict jest zbiegłym więźniem, to prawda, ale nie ma do czynienia z naiwną, łatwą do zastraszenia ofiarą! Przecież, dodawała sobie w myślach otuchy, już kiedyś musiała wykazywać się sprytem. Wtedy, kiedy on był rozpieszczanym, nastoletnim filmowym idolem, ona, kłamiąc i kradnąc, przetrwała na ulicy. Jeżeli tylko wykorzysta tamte doświadczenia, z pewnością potrafi stawić mu czoło. Dopóki nie straci głowy, ma szansę wyjść zwycięsko z tego starcia! Otworzyła notatnik i zaczęła gryzmolić przesłodzone uwagi na temat porywacza na wypadek, gdyby chciał sprawdzić, czym zajmowała się w czasie jego nieobecności. Po skończeniu jeszcze raz przeczytała:

*Zachary Benedict ucieka z więzienia, do którego trafił po niesprawiedliwym wyroku, orzeczonym przez uprzedzonych do niego przysięgłych. Wydaje się mądrym, dobrym, serdecznym człowiekiem - ofiarą okoliczności. Wierzę w jego niewinność.*

Pomyślała z niesmakiem, że te kilka linijek to najbardziej ckliwy tekst, jaki kiedykolwiek czytała. Z zamyślenia wyrwał ją widok Zacka wsiadającego do samochodu. Pośpiesznie zamknęła notatnik i wrzuciła do torebki.

- Dodzwoniłeś się wreszcie?

Na widok jej uśmiechu zmrużył oczy. Chyba przesadziłam z tym okazywaniem przyjacielskiej postawy, pomyślała.

- Nie. Facet jeszcze czeka, ale nie było go w pokoju. Za jakieś pół godziny spróbuję znowu. - Julie zastanawiała się właśnie, czy informacja może być dla niej przydatna, gdy on sięgnął po torebkę i wyjął notatnik. - Chyba mnie rozumiesz? - zapytał.

- Oczywiście. - Była gotowa zgodzić się na wszystko. Nie wiedziała, śmiać się czy płakać na widok jego zaskoczonej miny.

- No i co - niewinnie, szeroko otworzyła oczy - co o tym myślisz?

Zamknął notatnik i wrzucił do torebki.

- Myślę, że jesteś zbyt naiwna, by pozwolić ci samej poruszać się po tym świecie, jeżeli rzeczywiście wierzysz w to, co napisałaś.

- Jestem bardzo naiwna - zapewniła. Przekręciła kluczyk w stacyjce, wóz wytoczył się na drogę. Jeżeli za taką ją uważa, tym lepiej!

## ROZDZIAŁ 20

Przez następne pół godziny jechali w milczeniu, przerywanym jedynie od czasu do czasu nic nie znaczącą uwagą o złej pogodzie czy nie najlepszych warunkach jazdy. Julie w napięciu obserwowała pobocze, czekała na właściwą chwilę do wprowadzenia w życie wymyślonego przez siebie planu. Wystarczy tablica zapowiadająca bar szybkiej obsługi lub zjazd z szosy. Gdy wreszcie taką ujrzała, serce zabiło w szybszym rytmie.

- Pewnie nie masz ochoty na zatrzymanie się przy restauracji? Ja umieram z głodu - powiedziała przyjaznym tonem. - Ten znak zapowiadał McDonalda. Możemy dostać coś do jedzenia bez wysiadania z samochodu.

Popatrzył na zegar w desce rozdzielczej i odmownie potrząsnął głową, więc pośpiesznie dodała:

- Muszę jeść co kilka godzin, bo cierpię na... - zawahała się przez chwilę, rozpaczliwie szukając w pamięci właściwego medycznego terminu na określenie dolegliwości, której przecież nie miała - ...hipoglikemię! Przykro mi, ale jeżeli nie zjem czegokolwiek, osłabnę i...

- Dobrze, zatrzymamy się.

Julie prawie krzyczała z radości, gdy zjeżdżali najbliższym zjazdem, a przed nimi ukazały się złocone łuki budynku McDonalda. Restauracja, z przytulonym do niej ogródkiem zabaw dla dzieci, stała pośrodku prawie pustego parkingu.

- W samą porę - powiedziała - kręci mi się w głowie i już dłużej nie byłabym w stanie usiedzieć za kierownicą.

Ignorując jego nieprzychylnie spojrzenie, włączyła kierunkowskaz i auto wtoczyło się przez bramę z szyldem McDonalda. Śnieżycą nie wystraszyła wszystkich podróżnych i na parkingu stało kilka samochodów, jednak o wiele mniej niż Julie by sobie życzyła. Kilka rodzin siedziało przy stolikach wewnątrz. Jechała, zgodnie ze strzałkami, aż do okienka, z którego podawano dania wprost do samochodów. Zatrzymała się.

- Na co masz ochotę? - zapytała.

Przed pójściem do więzienia Zack nigdy nie zwróciłby uwagi na taki bar, taśmowo obsługujący klientów, nawet gdyby przez cały dzień musiał obejść się bez jedzenia. Teraz poczuł ssanie w żołądku na myśl o zwykłym hamburgerze i frytkach. Oszołomienie wolnością, pomyślał. Szybko powiedział Julie, czego chce. To wolność sprawiała, że powietrze pachniało świeżością, a jedzenie smakowało lepiej.

Ale także z powodu jej odzyskania był napięty i podejrzliwy: przesadnie beztroski uśmiech zakładniczki nakazywał czujność. Musi mieć się na baczności! Wyglądała tak świeżo i niewinnie z tymi swoimi olbrzymimi oczyma i łagodnym uśmiechem. Ale coś podejrzanie często zmieniała nastroje: od przerażonej branki, przez rozwścieczoną zakładniczkę, do przyjacielskiej sojuszniczki.

Julie powtórzyła zamówienie do mikrofonu:

- Dwa cheesburgery, dwa razy frytki, dwie cole.

- Należy się pięć dolarów i dziewięć centów - zagrzmiało z głośnika - proszę podjechać do pierwszego okienka.

Gdy stanęli we wskazanym miejscu, Julie zobaczyła, że towarzysz podróży sięga do kieszeni po pieniądze. Z już otwartą torebką, gwałtownie potrząsnęła głową.

- Ja płacę - powiedziała, z wysiłkiem starając się patrzeć mu prosto w oczy. - Ja stawiam, bardzo proszę.

Po chwili wahania cofnął rękę, ale brwi wciąż marszczył niespokojnie.

- Równa z ciebie babka.

- Wszyscy tak mówią - paplała bezmyślnie, równocześnie wyciągając z torebki zwinięty, dziesięciodolarowy banknot, w którym schowała kartkę z informacją o porwaniu. W końcu nie wytrzymała baczego spojrzenia i odwróciła głowę, całą uwagę skupiając na nastolatce w okienku, obserwującej ich ze znudzoną miną. Plakietka na piersiach dziewczyny informowała o jej imieniu - Tiffany.

- Należy się pięć dolarów i dziewięć centów - powtórzyła zniecierpliwiona Tiffany.

Julie wyciągnęła banknot i z błagalnym wyrazem twarzy utkwiała wzrok w dziewczynie. Jej życie zależało od tej znudzonej pannicy z kędzierzawymi włosami związanymi w koński ogon. Jak na zwolnionym filmie widziała, jak tamta rozwija banknot... Mały kawałek papieru spadł na ziemię... Tiffany pochyliła się, podniosła go, ustami strzeliła balonową gumą do żucia... Wyprostowała się... Popatrzyła na Julie...

- Pani? - zapytała. Trzymała kartkę, ale nie czytała. Oceniała wzrokiem samochód.

- Nie mam pojęcia - powiedziała Julie. Wzrokiem usiłowała zmusić dziewczynę do przeczytania. - Być może. Co tam pisze... - zaczęła. Z jej ust wydobył się zdławiony krzyk, gdy dłoń Zacharego Benedicta zacisnęła się na jej ramieniu, a lufa pistoletu zakłuła w bok.

- Nieważne, Tiffany - powiedział beztroskim głosem i sięgnął nad ramieniem Julie. - To moje, taki żart. - Kasjerka popatrzyła na kartkę, ale Julie nie zauważyła, czy dziewczyna widziała treść, nim wyciągnęła dłoń w stronę samochodu.

- Proszę bardzo. - Nachyliła się i podała mu kartkę. Julie zacisnęła zęby na widok uśmiechu, jakim Zack obdarzył Tiffany, ta, zajęta odliczaniem reszty z dziesięciodolarowego banknotu Julie, aż zarumieniła się z zadowolenia. - Oto państwa zamówienie - powiedziała. Julie automatycznie sięgnęła po białe torebki z jedzeniem i kubki z colą. Jej przerażona twarz milcząco błagała dziewczynę o wezwanie policji, kierownika - kogokolwiek. Podała torebki Benedictowi. Nie miała odwagi na niego popatrzeć, a ręce drżały jej tak mocno, że omal nie upuściła kubków z colą. Odjechali spod okienka. Teraz spodziewała się, że zostanie zasypana lawiną wyrzutów, ale furia Zacka zaskoczyła ją:

- Ty mała, głupia suko, chcesz zginąć? Zatrzymaj się na parkingu, stań w takim miejscu, żeby dziewczyna mogła nas widzieć - bez przerwy patrzy na nas.

Julie automatycznie wykonała polecenie, oddychała gwałtownie.

- Jedz! - rozkazał. Podsunął jej cheesburgera pod sam nos. - I przy każdym kąsie uśmiechaj się, bo niech mnie Bóg broni...

Julie potulnie posłuchała, jadła, ale nie czuła smaku. Wytężała każdy mięsień ciała, by jakoś się pozbierać, uspokoić rozedrgane nerwy na tyle, aby móc zebrać myśli. W samochodzie zapanowało napięcie nie do zniesienia, wręcz namacalne. Tylko po to, by przerwać milczenie, odezwała się:

- Mo...ogę prosić o mo...ją colę? - Sięgnęła po białą, papierową torebkę na podłodze, przy jego stopach. Chwycił ją za nadgarstek tak mocno, jakby chciał zmiażdżyć delikatne kości. - Sprawiasz mi ból! - krzyknęła, ogarnięta paniką.

Zanim zwolnił uścisk, na moment zacisnął palce jeszcze mocniej. Odsunęła się do tyłu, odchyliła głowę i z zamkniętymi oczami, nerwowo przełykając ślinę, masowała obolałe ramię. Zaskoczył ją. Do tej pory nie zrobił jej żadnej krzywdy, więc próbowała się oszukiwać, że obok niej nie siedzi bezwzględny morderca, tylko mężczyzna, który w szale zazdrości zemścił się na swej niewiernej żonie.

Dlaczego, myślała roztrzęsiona, uwierzyłam, że nie zabiłby zakładniczki czy choćby tej nastolatki, gdyby próbowała wszcząć alarm. Dała się nabrać na te wszystkie wspaniałe opowieści, jakie drukowano o nim w czasopiśmie, omamić filmom, na jakich spędzała długie godziny z braćmi, później z kolegami, długim rozmowom na jego temat. Gdy miała jedenaście lat, nie rozumiała, czemu jej bracia i ich przyjaciele uważali Zacka Benedicta za kogoś wyjątkowego, kilka lat później pojęła to doskonale. Przystojny, tym męskim typem urody, nieosiągalny, seksowny, cyniczny, dowcipny i twardy.

W czasie jego głośnego procesu przebywała na wakacyjnym stypendium w Europie i nie poznała wszystkich okropnych okoliczności zbrodni, nie dotarło do niej nic, co mogłoby

zatrzeć wrażenie, jakie wywarł na niej swoimi cudownymi, ekranowymi wcieleniami. Gdy mówił o swojej niewinności, o niesprawiedliwym wyroku, chciała mu wierzyć, bo tylko wtedy jego ucieczkę dałoby się usprawiedliwić, a ona łatwiej mogła zapanować nad strachem. Ale nie zapominała o jedynym pewnym sposobie ratunku -ucieczce. Nawet jeżeli nie był winny zbrodni, za którą posłano go do więzienia, czyż zagrożony powrotem za kratki, nie zabije jej? W dodatku, to „jeżeli” wydawało się mocno nieprawdopodobne. Słyszając szelest torby na podłodze, podskoczyła w panice.

- Masz - burknął i podsunął colę.

Unikając jego spojrzenia, ze wzrokiem uparcie utkwionym w przedniej szybie, sięgnęła po kubek. Teraz już rozumiała, że jej jedyną szansą ucieczki, bez narażenia kogokolwiek na zranienie czy nawet śmierć, jest sprawienie, by kłopotliwy pasażer, przez nikogo nie zatrzymywany, odjechał jej samochodem. Będzie więc musiała wysiąść, gdy w pobliżu znajdą się jacyś ludzie. Sfuszerowała pierwszą próbę i Benedict już wiedział, że spróbuje ponownie. Na pewno ani na chwilę nie spuści z niej oka. Tym razem musi przemyśleć wszystko do końca, bo trzeciej okazji mogłaby nie dożyć. Przynajmniej nie będzie musiała dłużej grać komedii, udawać, że jest po jego stronie.

- Jedźmy - rzucił krótko.

Bez słowa włączyła silnik i wyjechała z parkingu.

Piętnaście minut później znów kazał jej się zatrzymać koło przydrożnej budki telefonicznej. Poza wypowiedzianym rozkazującym tonem słowem nie odezwał się. Jego zacięte milczenie przerażało ją bardziej niż wszystko inne. Tym razem podczas rozmowy telefonicznej ani na chwilę nie oderwał od niej wzroku. Gdy wrócił do samochodu, popatrzyła na kamienne rysy jego twarzy. Dłużej nie zniesie milczenia! Spojrzała na niego wyzywająco i wskazując głową na budkę telefoniczną, powiedziała:

- Mam nadzieję, że wiadomości były fatalne.

Zack opanował uśmiech na widok tej demonstracji nieposkromionej bojowości. Ładna twarz dziewczyny wyrażała upór, odwagę i... chłodne szyderstwo, czym wciąż zbijała go z tropu. Zamiast odpowiedzieć, że wiadomości są wyjątkowo dobre, tylko wzruszył ramionami. Milczenie daje jej w kość, pomyślał i zaraz rzucił:

- Jedź. - Rozsiadł się wygodniej, wyprostował nogi i leniwie oddał się kontemplacji jej pięknych, delikatnych dłoni, zaciśniętych na kierownicy.

Już wkrótce, za kilka godzin, sobowtór Zacka wyjedzie z Detroit i przez Tunel Windsorski dostanie się do Kanady. Na granicy wywoła scysję, by celnicy dobrze go zapamiętali. Jeżeli Zackowi uda się pozostać na wolności, za jakieś dwa dni celnicy, po

obejrzeniu komunikatu, powiadomią amerykańskie władze, że poszukiwany więzień prawdopodobnie przekroczył granicę z Kanadą. Za tydzień polowanie na Zacka Benedicta przeniesie się do Kanady, a to da mu więcej czasu na zrealizowanie planu do końca.

Wyglądało na to, że teraz, przez najbliższy tydzień, ogarnięty sympatią do całego świata, nie będzie robił nic poza cieszeniem się wolnością. I tak pewnie by się stało, gdyby nie kłopotliwa zakładniczka. Bardzo kłopotliwa, bo nie dało się nią manipulować tak łatwo, jak początkowo sądził. Teraz jechała demonstracyjnie wolno i rzucała mu gniewne spojrzenia.

- O co chodzi? - zapytał.

- Muszę do toalety.

- Później!

- Ale... - Z jego spojrzenia wyczytała, że nic nie wskóra. Godzinę później przekroczyli granicę Kolorado i wtedy - nareszcie! - odezwał się pierwszy.

- Przed nami znajduje się plac postojowy dla ciężarówek. Zjedź z drogi i jak nie zobaczymy nic podejrzanego, zatrzymamy się.

Parking okazał się zbyt zatłoczony, by Zack zgodził się na postój. Dopiero po następnej połowie godziny wypatrzył pustawą stację obsługi. Między dystrybutorami stała budka inkasującego pieniądze i za paliwo można było płacić bez wychodzenia z wozu. Toaleta znajdowała się na zewnątrz budynku.

- Teraz, tylko powoli - ostrzegł. Ruszyła w stronę drzwi. Przytrzymał ją za łokieć, jakby pomagał iść po śniegu, ich stopy poruszały się w jednym rytmie po rozesyłanym dywanie śnieżnego pyłu. Gdy doszli, on, zamiast puścić jej ramię, sięgnął drugą ręką i otworzył drzwi. Zatrzęsa się ze złości.

- Zamierzasz wejść ze mną do środka i przyglądać się, co robię? - wybuchnęła.

Nie zwracał na nią uwagi, tylko rozejrzał się po niewielkim, wykafelkowanym pomieszczeniu. Przypuszczała, że szuka okna - nie było, więc ją puścił.

- Pośpiesz się. I nie zrób czegoś głupiego.

- Niby co? - zapytała. - Powieszę się na papierze toaletowym? Wynoszę się, i niech cię szlag! - Weszła do środka. W tym momencie przyszło jej do głowy, że może zamknąć się od wewnątrz i nie wychodzić.

- Z uczuciem triumfu, cichutko ustawiła zamek w odpowiedniej pozycji i niemal równocześnie trzasnęła drzwiami, z całej siły napierając na nie ramieniem. Usłyszała miły dla jej ucha, metaliczny dźwięk, ale zamek najwyraźniej nie zaskoczył. Przez chwilę zastanawiała się, czy Zack, by udaremnić jej zamiar, nie przytrzymał gałki od zewnątrz.

Miała rację! Gałka obróciła się jej w dłoni. Równocześnie głosem pobrzmiwającym wesołością zakomunikował jej, że się nie myli.

- Półtorej minuty, Julie, potem otwieram drzwi.

Wspaniale! Jeszcze do tego wszystkiego pewnie jest zboczeńcem, pomyślała, szybko załatwiając to, po co przyszła. Właśnie myła ręce w umywalce, w przeraźliwie zimnej wodzie, gdy otworzyły się drzwi i usłyszała:

- Czas minął.

Zamiast wsiąść do blazera, Zack stał z boku, z ręką w kieszeni, w której trzymał broń.

- Zatankuj - polecił. Oparty o samochód obserwował, jak się zachowa. - Zapłać! - Odwrócił twarz tak, by nie widział go człowiek w budce.

Julie, oszczędna do przesady, zapomniała o strachu i już miała zaprotestować, ale w wyciągniętej ręce Zacka ukazały się dwa dwudziestodolarowe banknoty. Jej niechęć jeszcze wzrosła, gdy zauważyła, z jakim wysiłkiem mężczyzna opanowuje uśmiech.

- Najwyraźniej zaczyna ci się to podobać! - rzuciła z goryczą i wyrwała mu pieniądze z ręki.

Odwróciła się. Patrzył na jej sztywno wyprostowane plecy. O wiele rozsądniej i korzystniej byłoby, jak na początku zamierzał, okiełznać jej wrogość. Muszę jakoś wprawić ją w dobry humor, pomyślał. Krztusząc się udawanym śmiechem, odezwał się:

- Masz absolutną rację, chyba rzeczywiście zaczyna mi się podobać.

- Drań! - usłyszał w odpowiedzi.

Świt obrębił szare niebo różowością. Julie wydało się, że Zack nareszcie zasnął. Przez całą noc kazał jej trzymać się bocznych dróg, unikać autostrad, co przy ciągle sypiącym śniegu czyniło jazdę tak trudną, że na długich odcinkach poruszali się z szybkością najwyżej trzydziestu mil na godzinę. Trzy razy utknęli w korkach spowodowanych wypadkami, ale nie potrafiło go zniechęcić - musiała jechać i jechać. Co pewien czas słyszeli przez radio wiadomość o jego ucieczce, ale im bardziej wjeżdżali w głąb Kolorado, tym mniej uwagi poświęcano jego zniknięciu. Z pewnością nikt nie podejrzewał go o podróżowanie na północ, trzymanie się z dala od większych lotnisk czy dworców, autobusowych i kolejowych. Tablica, którą minęli milę wcześniej, głosiła, że zbliżają się do punktu piknikowego.

Zaczęła się modlić, by w tym miejscu, jak w tamtym, obok którego poprzednio przejeżdżali, stało przynajmniej kilka ciężarówek, z kierowcami śpiącymi w kabinach. Z możliwych do wykonania pomysłów, jakie przychodziły jej do głowy w ciągu tych niekończących się, wyczerpujących godzin, tylko jeden spełniał obydwa kryteria: zmuszał go



do zabrania wozu i pozostawienia jej wolno - jeśli w tych okolicznościach można było w ogóle o czymś takim marzyć.

Wjedzie na parking, na miejsce obok stojących ciężarówek, mocno naciśnie na hamulec i wyskoczy z wozu, wzywając pomocy tak głośno, by zbudzić kierowców. Wtedy, jeżeli sceny z jej wyobraźni urzeczywistnią się, kilku krzepkich facetów - najlepiej olbrzymich, uzbrojonych w broń palną i kastety - wyskoczy z szoferek i przybiegnie z odsieczą. Obezwładnią Zacharego Benedicta - ona pomoże - rozbroją go i przez CB radio wezwą policję.

Ten scenariusz był najlepszy, nawet gdyby tylko w niewielkiej części ułożył się po jej myśli. Wystarczyło, by chociaż jeden kierowca obudził się i wyszedł zobaczyć, co się dzieje, a na zawsze uwolniłaby się od Zacharego Benedicta, gdyż w momencie podniesienia przez nią alarmu i zwrócenia na nich uwagi jedynym jego sensownym posunięciem będzie ucieczka jej samochodem. Nic by nie zyskał poprzez zatrzymanie się i strzelanie do niej, a tym bardziej bieganie od ciężarówki do ciężarówki i mordowanie kierowców; pierwszy strzał zaalarmowałby wszystkich. Jakkolwiek próba powtórzenia finałowej sceny ze „Strzelaniny w korralu” byłaby z jego strony głupotą, a głupi to Zack Benedict na pewno nie jest.

O tym była przekonana, mogłaby założyć się, stawiając własne życie.

Spojrzała na niego kątem oka, by upewnić się, czy śpi. Ręce trzymał skrzyżowane na piersi, długie nogi wyprostowane przed sobą, głowę oparł o szybę bocznego okna. Oddychał równo i spokojnie.

Spał.

Julie, podekscytowana, powoli, delikatnie oderwała stopę od pedału gazu i obserwowała, jak wskazówka szybkościomierza opada od czterdziestu pięciu, do czterdziestu dwóch, a potem bardzo powoli do czterdziestu mil. Żeby wjechać na parking bez gwałtownego hamowania, czym niewątpliwie zbudziłaby swojego pasażera, powinna skrócić na zjazd z prędkością nie przekraczającą trzydziestu mil. Przez minutę utrzymywała się przy czterdziestu, potem znów uniosła trzęsącą się i napięta nogę nad pedał gazu. Samochód zwolnił do trzydziestu pięciu mil, wtedy nieco głośniejsze puściła radio, by muzyką zagłuszyć ciszę, jaka teraz zapanowała w samochodzie.

Do punktu postojowego, zasłoniętego od szosy przez kępę sosen, mieli jeszcze jakieś ćwierć mili. Julie zwolniła do trzydziestu mil i powoli zaczęła skręcać kierownicę, zbaczając z głównej drogi, cal po calu. Chaotycznie powtarzała słowa modlitwy. Zęby parkowały tam ciężarówki! Wstrzymując oddech, objechała drzewa i wreszcie odetchnęła z ulgą: przed nią, zwrócone przodem do małego budynku, w którym znajdowały się toalety,

stały trzy ciężarówki, i chociaż w bladym świetle świtu nie widziała nikogo, wydało jej się, że słyszy pomruk włączonego diesla. Serce waliło jej w piersi jak młotem, z trudem powstrzymywała się od pokusy natychmiastowego działania. Aby maksymalnie zwiększyć swoje szanse, powinna znaleźć się tuż przy ciężarówkach, tak by dopaść drzwi jednej z nich, zanim wyrwany ze snu Benedict zdoła ją powstrzymać.

Piętnaście jardów za pierwszym wozem była już pewna, że słyszy pracujący silnik. Stopą prawie dotykała hamulca, w napięciu patrzyła na drzwi ciężarówki... Na widok prostującego się Zacka aż jęknęła z przerażenia.

- Co u diabła... - zaczął, ale Julie nie dała mu czasu na dojdęcie do siebie. Z całej siły nacisnęła hamulec i chwyciła za klamkę. Wypadła z jadącego jeszcze auta, lądując na boku, na śnieżnych muldach. Jak przez mgłę, z przerażeniem widziała tylne koło blazera przetaczające się zaledwie o centymetry od niej, po chwili samochód z piskiem opon zatrzymał się.

- Pomocy! - krzyknęła. Gramoląc się w śniegu i błocie, próbowała unieść się na kolana. - Pomocy!

Jakoś udało jej się wstać i już biegła w stronę kabiny najbliższej stojącej ciężarówki. Benedict wyskoczył z blazera, obiegił wóz dookoła i stanął na wprost niej. Julie ominęła go.

- Proszę, niech mi ktoś pomoże! - krzyczała. Biegła przez śnieg w stronę toalet, by tam się schronić. Zobaczyła, że drzwi ciężarówki na lewo od niej otworzyły się, a kierowca, z zaskoczoną miną, patrzy, co się dzieje; tuż za sobą słyszała kroki Benedicta grzęznącego w śniegu.

- Pomóż mi! - krzyknęła do kierowcy i obejrzała się, akurat w chwili, gdy Zachary Benedict brał w rękę garść śniegu.

Śnieżny pocisk boleśnie uderzył ją w ramię. Biegła dalej i krzyczała:

- Zatrzymać go! To...

Jej słowa zagłuszył wesoły głos Zacharego Benedicta:

- Daj spokój, Julie. - Rzucił się w jej stronę. - Pobudzisz wszystkich dookoła!

Gorączkowo łapała powietrze, by znowu zawołać o pomoc, ale pośliznęła się i padła w śnieg, i zaraz przycisnęło ją ciało Benedicta. Nie mogła oddychać, jej przerażone, niebieskie oczy znajdowały się zaledwie kilka cali od jego, pełnych wściekłości. By oszukać kierowcę ciężarówki, szczyrzył zęby w udawanym uśmiechu. Julie, z trudem łapiąc powietrze, chciała krzyknąć, ale Zack wcisnął jej w twarz garść mokrego śniegu. Dławiła się, prawie nic nie widziała. Przytrzymał jej dłonie nad głową. Do jej uszu dobiegł wściekły szept:

- Zabiję go, jeżeli podejdziesz bliżej! - Wzmocnił uchwyt. - Do cholery, czy na tym właśnie ci zależy? Żeby przez ciebie ktoś stracił życie?

Julie, niezdolna wykrztusić słowa, jęknęła i potrząsnęła przecząco głową. Mocno zacisnęła powieki; nie mogła znieść widoku swego poskromiciela ani myśli o wolności, do której miała tak blisko - i na nic to wszystko! Teraz, z biodrem obolałym po upadku z jadącego blazera, leży w śniegu, przygnieciona ciałem swego dręczyciela. Usłyszała, jak Zack gwałtownie wciąga powietrze, potem pełne furii słowa:

- Idźcie do nas. Pocałuj mnie i lepiej, żeby dał się nabrać, bo jak nie, to już jest martwy!

Zanim zdążyła zareagować, ustami wbił się w jej wargi. Otworzyła oczy i wzrokiem poszukała kierowcy, który ze zmarszczonymi brwiami nadchodził ostrożnie, próbując dostrzec ich twarze.

- Do cholery, obejmij mnie!

Usta Benedicta skutecznie kneblowały ją, broń w kieszeni boleśnie wbijała się w brzuch, ale przecież ręce miała wolne. Może walczyć! Wtedy kierowca o dobroduszej twarzy pod czarną czapczką z literami PETE zauważył, że coś jest nie tak i przyjdzie jej z pomocą.

I zginie...

Benedict rozkazał, by go objęła i postarała się, by uścisk wyglądał na prawdziwy. Niczym marionetka uniosła ciężkie jak z ołowiu dłonie i pozwoliła im spocząć na ramionach mężczyzny - na więcej nie potrafiła się zdobyć.

Zack czuł pod ustami jej suche wargi, swym ciałem przyciskał ją, bezwładną niczym kamień; przypuszczał, że dziewczyna zbiera siły - za chwilę, z pomocą szoferów z parkujących na placu ciężarówek, zakończy jego krótkotrwałą wolność... i życie. Kątem oka widział, jak nadchodzący mężczyzna zwalnia, a na jego twarzy ukazuje się wyraz niedowierzania. Wszystko to dotarło do Zacka w ciągu ledwie trzech sekund, gdy udawali - nieprzekonująco - pocałunek.

Ostatnim wysiłkiem, by powstrzymać to, co nieuchronne, przesunął wargi do ucha Julie i szepnął to jedno, jedyne słowo, którego -umyślnie - nie używał od lat:

- Proszę! - Mocniej przytulił zeszytniałą ze strachu kobietę i z rozpaczą, której nie umiał już ukryć, powtórzył: - Proszę, Julie...

Cały świat zwariował - Julie usłyszała błaganie z ust swego prześladowcy! Zanim znów spadł ustami na jej wargi, wyszeptał z rozpaczą:

- Nikogo nie zabiłem, przysięgam. - Błaganie... a może nadzieja, które zabrzmiały w jego głosie, nabierały w pocałunku treści, dokonywały tego, czego nie osiągnął wściekłymi groźbami: niemal mu uwierzyła.

Czując zamęt w głowie, poświęciła swą szansę w imię uratowania kierowcy ciężarówki. Wiedziona potrzebą ocalenia tamtego człowieka i czymś jeszcze, mniej sensownym, zupełnie niemożliwym do wytłumaczenia, Julie powstrzymała łzy zawodu, położyła dłonie na ramionach Zacka i poddała się pocałunkowi.

W tej samej chwili wyczuł jej kapitulację; przeszedł go dreszcz, wargi stały się czułe. Nieświadoma odgłosu śniegu skrzypiącego pod stopami, stopniowo cichnącego, Julie pozwoliła, by Zack wargami rozwarł jej usta. Z własnej woli objęła go za szyję i zatopiła palce w miękkich, gęstych włosach na karku. Poczowała, jak gwałtownie westchnął, gdy odwzajemniała pocałunek, i nagle wszystko się zmieniło. Teraz całował ją namiętnie, głaskał po ramionach, wilgotnych włosach; podnosił jej głowę ku swoim zgłodniałym, natarczywym wargom.

Gdzieś daleko, ponad nią, męski głos z teksańskim akcentem zapytał niepewnie:

- Lady, potrzebuje pani pomocy?

Julie słyszała i próbowała potrząsnąć przecząco głową, gdyż usta, które tak mocno napierały, uniemożliwiały wyartykułowanie słowa. Gdzieś w głowie zakołatała myśl, że to tylko gra przed szoferem; było to dla niej równie oczywiste jak to, że musi brać w niej udział, chce czy nie. Ale jeżeli tak, to czemu nie może choćby potrząsnąć głową czy otworzyć oczu?

- Jak widzę, nie - zaciągający z teksańska głos brzmiał wesoło. - A pan? Potrzeba panu asysty przy tej robocie? Mógłbym pomóc...

Zack uniósł głowę na tyle, by uwolnić usta.

- Znajdź sobie własną kobietę, bo ta należy do mnie – powiedział miękkiem, ochrypłym głosem. Ostatnie słowa musnęły wargi Julie, potem ustami opadł na nie i próbował rozewrzeć językiem; jego ramiona objęły ją ciaśniej, biodra napierały twardo. Z cichym jękiem uległości Julie poddała się gorącemu, zmysłowemu pocałunkowi, jakiego nigdy wcześniej nie zaznała.

Pięćdziesiąt metrów od nich otworzyły się drzwi ciężarówki i męski głos zawołał:

- Hej, Peter, co się dzieje?

- Człowieku, wiesz, jak to tutaj wygląda? Para dorosłych zabawia się jak dzieciaki, rzuca do siebie śnieżkami i obłapia w śniegu.

- Dzieciak to może z tego dopiero być, jak trochę nie zwolnią tempa.

Być może sprawił to głos tego drugiego, może nagłe uświadomienie sobie rosnącego podniecenia jej prześladowcy, może przyczyną był odgłos zatraskiwanych drzwi szoferki i

ryk silnika olbrzymiego wozu, wytaczającego się z zatoczki, dość że Julie oprzytomniała. Oparła dłonie o ramiona Zacka i odepchnęła go, ale każdy ruch sprawiał jej niesłychaną trudność i opór wypadł dość blado. Wystraszona trudną do wytłumaczenia słabością, pchnęła mocniej.

- Przestań! - zawołała cicho. - Przestań, on odjechał.

Benedict, oszołomiony, usłyszał w jej głosie płacz.

Uniósł głowę z pożądaniem, nad którym z trudem panował, pożerał wzrokiem moką - od łez? od śniegu? - twarz i miękkie usta. Cudowna słodycz uległości Julie, delikatność jej dotyku sprawiły, że Zack niemal pragnął posiąść ją w śniegu, tutaj i teraz. Powoli rozejrzał się wokół i z ociąganiem wstał. Tak do końca nie wiedział, dlaczego nie zdecydowała się wezwać na pomoc kierowcę ciężarówki, ale cokolwiek to było, z pewnością nie powinien wyrażać wdzięczności przez próbę gwałtu w śniegu.

W milczeniu, z trudem powstrzymując uśmiech, wyciągnął rękę. Kobieta, która ledwie chwilę temu rozplýwała się w jego ramionach, najwyraźniej zebrała siły, bo zignorowała przyjazny gest i sama się podniosła. Jak mogła unikała jego wzroku.

- Jestem cała mokra - poskarżyła się, otrząsając włosy.

Zack odruchowo wyciągnął rękę, by strząsnąć z Julie śnieg, ale ona, unikając jego dotyku, sama otrzepała kurtkę i dzinsy.

- Nie myśl, że możesz mnie dotykać tylko z powodu tego, co się stało przed chwilą! - ostrzegła. Ale Zack nie słuchał, zajęty podziwianiem rezultatów, jakie wywołał pocałunek: ogromne, ocienione gęstymi rzęsami oczy błyszczały, białą, delikatną cerę ozdabiał rumieniec ciągnący się wysoko, aż po kości policzkowe. Widok Julie Mathison w chwilach takich jak ta, wzburzonej i lekko podnieconej, zapierał dech. A jeszcze do tego była odważna i miała dobre serce- to, czego nie zdołał osiągnąć groźbami i gwałtownością, spowodował rozpaczliwą prośbą.

- Pozwoliłam ci na pocałunek, bo przekonałeś mnie: nie było powodu, by ktoś ginął tylko dlatego, że ja się boję. A teraz już jedźmy, miejmy w końcu tę mękę za sobą.

- Wnioskuje z tonu, panno Mathison, że znów jesteśmy przeciwnikami? - Zack westchnął.

- To oczywiste. Zawiozę cię, dokąd zechcesz, teraz już bez żadnych sztuczek. Ale postawmy sprawę jasno: jak tylko znajdziemy się na miejscu, pozwolisz mi odejść. Czy tak?

- Naturalnie - skłamał.

- No to ruszajmy.

Zack otrzepał śnieg z rękawów kurtki i poszedł za Julie do samochodu. Patrzył, jak jej włosy rozwiewa wiatr, podziwiał wdzięczne ruchy. Sądząc z jej słów i sztywno wyprostowanych pleców, nie mógł mieć wątpliwości: była zdecydowana unikać wszelkich romantycznych uniesień.

Musi poskromić tę dziewczynę! Popróbował jej ust, wiedział, jak reagują na pocałunek; jego wygłodniałe zmysły domagały się uczty.

Rozsądek ostrzegał, że wikłanie się w seks z branką to szaleństwo. Skomplikowałoby wszystko, a dodatkowych kłopotów nie potrzebował.

Drugi część ego, wsłuchana w krzyk podnieconego ciała dowodziła - z wielkim zapalem, zresztą zgodnie z jego pragnieniami - że to niezwykle rozsądny krok. W końcu ukontentowani zakładnicy stają się niemal sojusznikami, a ich towarzystwo całkiem przyjemne.

Spróbuj uwieść Julie, i to nie tylko z powodu jej cielesnych czy duchowych przymiotów ani budzącej się w nim czułości.

Zrobi tak dla dobra sprawy. A że przy okazji będzie przyjemnie - tym lepiej.

Z galanterią, o jakiej nie myślał przed chwilą, a która Julie wydała się w ich odmienionej sytuacji śmieszna, nawet przerażająca, zaprowadził ją do auta. Nie musiał uchylać przed nią drzwi - przez cały czas, od nieudanej próby jej ucieczki, pozostawały otwarte. Zatrzasnął je i obszedł samochód. Dziewczyna z grymasem bólu na twarzy poprawiała się na fotelu, głęboko wzdychając.

- Co się stało? - zapytał.

- Stukłam nogę i biodro przy wyskakiwaniu z samochodu i wtedy, jak mnie przewróciłeś - powiedziała z goryczą. Była zła na siebie, bo tak naprawdę, do czego nie chciała się przyznać, pocałunek sprawił jej przyjemność. - Ciekawa jestem, czy cię to chociaż trochę obchodzi, czy masz wyrzuty sumienia.

- Ano mam - odparł półgłosem.

Oderwała wzrok od jego smutnego uśmiechu, niezdolna do uwierzenia w tak oczywiste kłamstwo. Został skazany za morderstwo i nie wolno jej, nie powinna ani na chwilę o tym zapominać.

- Jestem głodna - oświadczyła, bo nic lepszego nie przyszło jej do głowy. Popatrzył na jej usta i wiedziała, że popełniła pomyłkę.

- Ja też - powiedział.

Uniosła głowę i włączyła silnik. Usłyszała stłumiony chichot.

## ROZDZIAŁ 21

- Gdzie ona, u diabła, się podziewa? - Carl Mathison chodził tam i z powrotem po niewielkim pomieszczeniu, które jego brat zajmował w biurze szeryfa w Keaton, potem zatrzymał się i z wyrzutem popatrzył na srebrną odznakę na szarej, mundurowej koszuli Teda.  
- Jesteś gliniarzem, a ona zaginioną osobą, zróbże coś wreszcie, do jasnej cholery.

- Oficjalnie dopiero po dwudziestu czterech godzinach będzie można uznać ją za zaginioną - odrzekł Ted. Niepokój wycierał z jego niebieskich oczu.- Do tego czasu nie podejmą oficjalnych działań, przecież wiesz.

- A ty - powiedział gniewnie Carl - wiesz, że taka zmiana planów jest zupełnie do niej niepodobna; z jej obowiązkowością... Gdyby coś jej wypadło, zadzwoniłaby do któregoś z nas. Zresztą wiedziała, że wóz będzie mi potrzebny dzisiaj rano.

- Masz rację. - Ted podszedł do okna. Z dłonią wspartą na kolbie dziewięćmilimetrowego rewolweru, który nosił u boku, z roztargnieniem patrzył na zaparkowane na rynku samochody. Ich właściciele szukali w tutejszych sklepach okazji do zrobienia dobrego interesu - okolica stała się rajem dla poszukiwaczy antyków. Po chwili odezwał się znowu, tym razem niepewnie, jakby obawiał się głośno wyrazić swe myśli: - Zachary Benedict uciekł wczoraj z Amarillo. Był „wolnościowym”, wymknął się po odwiezieniu naczelnika więzienia do miasta.

- Słyszałem, i co z tego?

- Benedicta, a przynajmniej człowieka przypominającego go wyglądem, widziano ostatnio w restauracji przy autostradzie.

Bardzo powoli, ostrożnie, Carl odłożył przycisk do papierów, którym się bawił, i popatrzył na brata.

- Do czego zmierzasz?

- Benedicta widziano koło samochodu podobnego do twojego blazera. Kasjerka z restauracji jest pewna, że wsiadł właśnie do takiego auta z kobietą, która zatrzymała się na kanapkę i kawę. - Ted odwrócił się do brata i popatrzył mu w oczy. - Rozmawiałem z tą kasjerką, oczywiście nieoficjalnie, pięć minut temu. Opis kobiety, która odjechała z Benedictem, pasuje jak ulał do Julie.

- Wielki Boże!

Siedząca przy biurku sekretarka, kobieta w średnim wieku o sztywnych, siwych włosach i twarzy złego buldoga, przysłuchiwała się rozmowie Mathisonów. Wypełniając

nakaz zatrzymania, patrzyła, jak zastępca szeryfa nadjeżdża biało-czarnym wozem patrolowym. Za chwilę jej wzrok przyciągnęło lśniące, czerwone BMW z podnoszonym dachem, które zatrzymało się po drugiej stronie ulicy, obok wozu Teda. Na widok wysiadającej z samochodu pięknej, mniej więcej dwudziestopięcioletniej blondynki, oczy Rity zwięzły się.

- Jak już pada, to na całego - zwróciła się do Teda, a gdy obaj mężczyźni, nie rozumiejący, o co chodzi, popatrzyli na nią ze zdziwieniem, ruchem głowy wskazała na okno i wyjaśniła: - Patrzcie, kto przyjechał, Panna Bogata Dziwka we własnej osobie!

Pomimo wysiłku, by nie okazać żadnych uczuć na widok byłej żony, twarz Teda Mathisona ściągnęła się w wyrazie niechęci.

- Pewnie o tej porze roku w Europie trochę się nudziła - powiedział i bezceremonialnym spojrzeniem obrzucił idealne kształty, długie, zgrabne nogi blondynki znikającej w zakładzie krawieckim po drugiej stronie rynku. Rita nie wytrzymała:

- Podobno Flossie i Ada Eldridge szyją dla niej ślubną suknię, jedwab, koronka i dodatki przysłano z Paryża samolotem. Panna Wspaniała chciała, by suknię szyły bliźniaczki Eldridge, bo nikt nie może się z nimi równać. - Poniewczasie sekretarka uświadomiła sobie, że Ted Mathison może nie mieć ochoty słuchać o matrymonialnych planach eks-żony i ze skruszoną miną wróciła do porozkładanych na biurku papierów. - Przepraszam, kretynka ze mnie.

- Nie przepraszaj. Guzik mnie obchodzi, co ona robi - powiedział zgodnie z prawdą Ted. Wiadomość, że Katherine Cahill zamierza ponownie wyjść za mąż, tym razem za pięćdziesięcioletniego światowca z Dallas, Spencera Haywarda, nie interesowała Teda ani nie zaskoczyła go. Już wcześniej czytał o tym w gazetach, łącznie z zachwytem nad odrzutowcami Haywarda, jego dwudziestodwupokojową willą i przyjaźnią - domniemaną - z prezydentem, i żadna z tych informacji nie wzbudziła w nim zazdrości. - Chodźmy porozmawiać z matką i ojcem - dodał. Narzucił kurtkę i przytrzymał przed Carlem drzwi, puszczając go przodem. - Wiedzą, że Julie nie wróciła i strasznie się niepokoją. Może znają jakieś szczegóły, o których nie słyszałem.

Właśnie znaleźli się po drugiej stronie ulicy, gdy drzwi zakładu panien Eldridge otworzyły się i stanęła w nich Katherine. Przystanęła w pół kroku, od byłego męża dzieliła ją zaledwie szerokość chodnika. Ted skinął głową z obojętną uprzejmością, potem otworzył drzwi swojego biało-czarnego wozu patrolowego.

Katherine miała jednak najwyraźniej inne, z towarzyskiego punktu widzenia właściwsze, wyobrażenie o tym, jak powinni zachowywać się rozwiedzeni małżonkowie, gdy



po raz pierwszy po rozstaniu spotkają się w publicznym miejscu. Nie przyjmując do wiadomości, że mogłaby zostać zignorowana, podeszła bliżej, a jej modulowany głos zmusił Teda do zatrzymania się.

- Ted? - zagadnęła. Niezwykle uprzejma, posłała uśmiech Carlowi, właśnie wsiadającemu do swojego samochodu, potem odwróciła się w stronę byłego męża i dodała: - Czyżbyś miał zamiar odjechać bez przywitania się ze mną?

- Właśnie to chciałem zrobić - odpowiedział z obojętnym wyrazem twarzy, chociaż w jej głosie, miększym i jakby poważniejszym, usłyszał bardziej przyjazne tony.

W wiśniowym, wełnianym kostiumie ciasno opinającym szczupłą kibić, z długimi blond włosami opadającymi na ramiona, prezentowała się doskonale. Podeszła bliżej.

- Wyglądasz... świetnie - powiedziała speszona, gdy Ted nie za uważał wyciągniętej w jego stronę dłoni. Milczał. Rzuciła błagalne spojrzenie Carlowi.- Ty też wyglądasz nie najgorzej, Carl. Podobno ożeniłeś się z Sarą Wakefield?

W zakładzie za jej plecami, w szparze pomiędzy roletami pojawiły się oczy Ady Eldridge, a w oknie salonu kosmetycznego obok głowy dwóch największych plotkarek w mieście, z wałkami we włosach, z zaciekawieniem oczekujących na dalszy rozwój wypadków. Ted stracił cierpliwość.

- Czy już dość czasu poświęciłaś maluczkim? - zapytał z ironią. - Wywołujemy sensację.

Katherine popatrzyła w okna salonu piękności, ale nie zamierzała łatwo kapitulować, chociaż pełna potępienia uwaga Teda wywołała na jej policzkach rumieniec upokorzenia.

- Julie napisała mi, że skończyłaś prawo.

Ted nie słuchał, odwrócił się do niej plecami i otworzył drzwi samochodu. Zadarła brodę.

- Wychodzę za mąż, za Spencera Haywarda. Panna Flossie i panna Ada szyją dla mnie suknię.

- Z pewnością cieszą się z każdego zamówienia, nawet od ciebie - powiedział Ted i usiadł za kierownicą wozu policyjnego. Położyła rękę na klamce, by powstrzymać go od zatrzaśnięcia drzwi.

- Zmieniłaś się - nie ustępowała.

- A ty wcale.

- Ależ tak, ja również.

- Katherine - powiedział śmiertelnie znużonym głosem - nic mnie nie obchodzi, czy i w jakim stopniu się zmieniłaś.

Zamknął jej drzwi przed nosem, włączył silnik i odjechał, ale w lusterku dalej ją obserwował. Widział, jak prostuje ramiona z wyzywającą dumą, jaką bogaci zdawali się okazywać od urodzenia, potem odwraca się i rzuca gniewne spojrzenie twarzom obserwującym ją przez okno salonu piękności. Gdyby aż tak bardzo nią nie pogardzał, podziwiałby jej zachowanie w obliczu upokorzenia. I zaraz przypomniał sobie o jej zamążpójściu - i już nic nie czuł, ani podziwu, ani zazdrości. Ogarnęło go jedynie współczucie dla mężczyzny, który brał sobie żonę piękną, płytką i kruchą niczym lalka z porcelany. Bo jak Ted Mathison przekonał się ku swemu bolesnemu rozczarowaniu, Katherine Cahill-Mathison okazała się istotą rozpuszczoną, egoistyczną infantylną i prózną.

Ojciec Katherine był właścicielem szybów naftowych, rancza i stad bydła, ale wolał spędzać czas w Keaton, gdzie w kręgach towarzyskich miał od dawna ugruntowaną pozycję. Katherine wprawdzie urodziła się tutaj, ale od dwunastego roku życia przebywała daleko, w ekskluzywnych szkołach z internatem. Z Tedem właściwie się nie znali aż do czasu, gdy po ukończeniu dziewiętnastu lat, po drugim roku college'u na wschodzie, powróciła na wakacje do Keaton. Jej rodzice, przebywający akurat w Europie nalegali, by została w domu - kara, jak później powiedziała Tedowi, za opuszczanie zajęć tak często, że omal nie wyrzucono jej ze szkoły. W przyływie typowego dla niej, jak miał się później przekonać, napadu infantylnego humoru, Katherine brała odwet na rodzicach, nakłaniając dwadzieścia osób z college'u do spędzenia miesiąca w jej domu, głównie na wydawanych przez nią przyjęciach. Właśnie podczas takiej zabawy padły strzały, no i wezwano policję.

Na miejsce posłano Teda i drugiego policjanta z zadaniem ustalenia, co się właściwie wydarzyło. Drzwi otworzyła im Katherine. Z oczyma rozszerzonymi ze strachu, ubrana w skąpe bikini odsłaniające niemal każdy centymetr jej pięknego, opalonego ciała, od razu wpadła Tedowi w oko.

- To ja was wezwałam - wybuchnęła histerycznie, gestem dłoni wskazując na tyły domu, skąd przeszklone drzwi prowadziły na basen i tarasy, z których podziwiać można było całe Keaton. - Tam są moi przyjaciele, ale zabawa stała się trochę dzika, i teraz nie chcę odłożyć broni mojego ojca. Boję się, że ktoś może zostać ranny!

Starając się oderwać pożądlive spojrzenie od kształtnego tyłeczka dziewczyny, Ted kroczył za nią po perskich dywanach, pośród wspaniałych, francuskich antyków. Nad wodą policjanci zastali dwadzieścioro młodych ludzi, kilkoro całkiem nagich, pijanych albo naćpanych, niektórych figlujących w basenie, innych zajętych strzelaniem do rzutków na tylnym tarasie. Uspokojenie towarzystwa nie sprawiło najmniejszych trudności, bo gdy jeden z kąpiących się w basenie zawołał: „Boże, tu są gliny!”, zabawa ucichła natychmiast.

Pływacy po kolei wychodzili na brzeg, strzelający bez szemrania oddali broń - poza jednym wyjątkiem: dwudziestoparolatek, odurzony marihuaną, postanowił odegrać scenę z „Rambo”, z Tedem jako swym przeciwnikiem. Gdy wymierzył do niego ze strzelby, Katherine krzyknęła, a drugi policjant sięgnął po rewolwer. Ale Ted gestem dłoni nakazał mu spokój.

- Nie chcemy tu żadnych kłopotów - zwrócił się do młodego rozrabiaki. Na poczekaniu improwizując, dodał: - Mój partner i ja przyszliśmy tu na zabawę, zaprosiła nas Katherine. - Spojrzał w jej stronę z czarującym uśmiechem. - Powiedz mu, że to prawda, Kathy.

Zdrobnienie, jakiego użył, być może ocaliło mu życie, bo zaskoczony chłopiec opuścił broń, przekonany, że ma do czynienia z przyjacielem rodziny. Katherine, wobec której nigdy nie używano zdrobniałego imienia, okazała chęć współpracy. Podbiegła do Teda i przytuliła się do niego.

- To prawda, Brandon! - zawołała do młodego szaleńca, a zdradzić ją mogło jedynie lekkie drzenie głosu i wystraszony wzrok wbity w naładowaną strzelbę. By okazać się godnym partnerem w tej grze, Ted Objął ramieniem jej nieprawdopodobnie smukłą kibić i przechylił ku dziewczynie głowę, jakby chciał powiedzieć jej coś do ucha.

- Przypadkowo, a może rozmyślnie, Kathy źle odczytała gest, bo wspięła się na palcach i pocałowała go w same usta. Ted, początkowo zaskoczony, szybko dostosował się do sytuacji. Rozchylił usta, przytulił ją i... odpowiedział na ten nieoczekiwany przyptyw żaru, całując namiętnie. Drżał z pożądania. Przywarł do jej spragnionych ust, odwzajemnił pocałunek - towarzyszył im wesoły doping bandy pijanych bądź naćpanych dzieciaków z dobrych domów, natomiast ten o imieniu Brandon ani na chwilę nie przestawał celować do niego ze strzelby.

- Dobra, w porządku, to swój chłop! - zawołał Brandon. - Postrzelajmy trochę do rzutków.

Ted oderwał się od Katherine i wolno pomaszerował w stronę młodego człowieka. Poruszał się niemal leniwie, i choć wcale nie było mu do śmiechu, zrobił wesołą minę.

- Mówisz, że jak masz na imię? - dopytywał się Brandon.

- Oficer Mathison - rzucił Ted twardo. Wyrwał strzelbę z ręki chłopca, obrócił go twarzą do ogrodzenia i na rękach wykreconych do tyłu założył kajdanki. - A ty?

- Brandon Barrister - zabrzmiał urażony głos. - Mój ojciec to senator Barrister. - Głos chłopaka stał się paskudny, jękliwie płaczliwy. - Mam dla ciebie propozycję, Mathison. Zdejmiesz mi kajdanki, wyniesiesz się stąd, a ja nie powiem ojcu, jak nas dzisiaj potraktowałeś. Zapomnijmy, że to nieporozumienie w ogóle miało miejsce.

- O nie, to ja mam dla ciebie propozycję - odpowiedział Ted. Odwrócił młodzieńca i popchnął w stronę domu. - Ty mi powiesz, gdzie to przechowujesz, a ja zapewnię ci miły, spokojny wieczór u nas w areszcie, bez wnoszenia przeciwko tobie całego tuzina zarzutów, jakie już przysły mi do głowy, z których każdy zakłopotałby twojego ojca senatora.

- Brandon - poprosiła jedna z dziewcząt, widząc wahanie chłopca -zrób tak, jak on mówi, jest w porządku.

Nieco udobruchany zachowaniem młodych, Ted powiedział:

- To dotyczy wszystkich. Wracajcie do środka, zbierzcie wszystkie prochy i co jeszcze tu macie, i przynieście do salonu. - Teraz zwrócił się do Katherine, która obserwowała go z dziwnym, tajemniczym uśmiechem.

- Pani też, panno Cahill. Jej uśmiech stał się cieplejszy.

- Bardziej podobała mi się „Kathy” - zabrzmiało niemal nieśmiało. W świetle księżyca pozłacającym jej włosy, w seksownym bikini, z tajemniczym uśmiechem madonny wyglądała tak słodko, że Ted musiał przywołać się do porządku: jest za młoda, a także zbyt bogata i rozpuszczona.

Pamiętanie o tym przychodziło mu z coraz większym trudem w następnych dniach, bo Katherine Cahill demonstrowała cały upór odziedziczony po przodkach pionierach, którzy musieli przewędrować pół kontynentu, nim zdobyli prawa do teksańskich pól naftowych. Gdziekolwiek Ted się udawał i niezależnie od tego, jak chłodno ją traktował, zawsze była w pobliżu. Towarzyszyła mu, gdy wieczorem wychodził z biura i udawał się do domu, wypytywała o pracę, zapraszała na kolację; przychodziła do biura i prosiła o radę, bo właśnie kupowała samochód; w porze lunchu siadała przy stoliku naprzeciw i udawała, że spotkali się całkowicie przypadkowo. Po trzech tygodniach bezowocnych sztuczek przeprowadziła ostateczne, desperackie natarcie: pewnego wieczora, o dziesiątej, po upewnieniu się, że Ted ma dyżur, zgłosiła na posterunku włamanie do domu.

Gdy zjawił się na miejscu zdarzenia, stała w drzwiach ubrana w uwodzicielską, długą szatę z czarnego jedwabiu, z tacą pełną kanapek w jednej ręce i przygotowanym specjalnie dla niego drinkiem w drugiej. Ted, gdy zrozumiał, że zgłoszenie było z jej strony dziecinny wybiegiem, by go do siebie przywieść, stracił cierpliwość. Choć bardzo jej pragnął, nie mógł przecież jak gdyby nic zasiać z nią do stołu, by potem bez skrpułów wykorzystać. Co mu więc pozostało - rozzłościł się.

- Czego ty, u diabła, ode mnie chcesz, Katherine?

- Byśmy razem zjedli tę wspaniałą kolację, jaką dla ciebie przygotowałam. - Cofnęła się i gestem dłoni wskazała na oświetlony świecami stół w jadalni, połyskujący szkłem i srebrem.

Ku swemu przerażeniu Ted odkrył, że rozważa przyjęcie propozycji. Pragnął patrzeć na jej twarz w świetle świec, smakować wino chłodzące się w srebrnym wiaderku; pragnął jeść powoli, delektować się każdym kęsem i cierpliwie czekać, bo wiedział - deserem będzie ona. Pragnął jej tak bardzo, że z trudem powstrzymał się od wzięcia jej w ramiona. Zebrał siły i z całą surowością, na jaką potrafił się zdobyć, zaatakował jedyny słaby, jego zdaniem, punkt dziewczyny - młodość.

- Przestań się zachowywać jak infantylna, rozpuszczona smarkuła!- Starał się zagłuszyć żal, gdy Katherine cofnęła się, jakby dostała w twarz. - Nie wiem, u diabła, czego ode mnie chcesz ani co zamierzasz zdziałać tymi wygłupami, ale marnujesz czas, swój i mój.

Wyglądała na wstrząśniętą, jednak nie unikała jego wzroku. Podziwiał jej spokój w obliczu tak bezceremonialnej odmowy.

- Tamtego wieczora, kiedy przyjechałeś i przerwałeś nasze przyjęcie, zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia - wyznała.

- Bzdura, ludzie nie zakochują się w ciągu pięciu minut!

Udało jej się uśmiechem zbyć oklepany frazes. Nie kapitulowała.

- Przecież gdy mnie pocałowałeś, wtedy, tamtego wieczora, musiałeś poczuć coś mocnego, szczególnego i...

- Najzwyklejszą, pospolitą żądzę - przerwał brutalnie. - Więc daj sobie spokój z tym infantylnym wyobrażeniem miłości i przestań mnie dręczyć. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

- Tak - powiedziała drżącym głosem - aż nadto. - Zrezygnowana kiwnęła głową.

Ted zrobił krok w kierunku drzwi, ale zatrzymała go.

- Jeżeli naprawdę chcesz, bym o tobie... o nas zapomniała, to pewnie zegnamy się na zawsze.

- Tak właśnie jest - powiedział krótko.

- Więc pocałuj mnie na pożegnanie, a wtedy ci uwierzę. To mój warunek.

- Rany boskie! - wybuchnął, ale spełnił jej warunek. A raczej własne pragnienie. Przyciągnął ją do siebie, wziął w ramiona i pocałował z rozmyślną brutalnością, z całą siłą ustami napierając na miękkie wargi dziewczyny. Potem odsunął ją od siebie, choć wszystko w nim Protestowało przeciwko temu, co zrobił... i czego nie zrobił.

Grzbiet dłoni przycisnęła do obolałych warg i popatrzyła na niego z goryczą.

- Kłamca - powiedziała. I zamknęła drzwi.

Przez następne dwa tygodnie Ted ciągle łapał się na tym, że gdziekolwiek się znalazł, rozglądał się za Katherine. Czy miał wolne, patrolował okolicę, czy odwalał papierkową robotę, jeżeli nie dostrzegł w pobliżu jej lub jej samochodu- białej corvetty, czuł się... oszukany.

Pewnie opuściła Keaton, pomyślał, i wybrała się do miejsc zwykle odwiedzanych latem przez znudzone, bogate dziewczęta. Ale dopiero dwa tygodnie później, gdy wezwano go do włamania niedaleko jej domu, zrozumiał, do jakiego stopnia dziewczyna zawładnęła jego myślami. Wjechał na wzgórze, którego żaden włamywacz o zdrowych zmysłach nie forsowałby na piechotę, pod jej dom, pod pretekstem sprawdzenia, czy wszystko jest w porządku. W oknie od tyłu paliło się światło. Wsiadł z wozu... powoli, niechętnie, jak gdyby jego nogi wiedziały o tym, czego rozum nie chciał przyjąć: to, co się teraz zacznie, może trwać długo i skończyć się fatalnie.

Uniósł rękę do dzwonka i zaraz opuścił. To szaleństwo, pomyślał i odwrócił się, by odejść. Wtedy frontowe drzwi otworzyły się i stanęła w nich ona. Nawet w prostej, różowej bluzeczce i białych szortach Katherine Cahill wyglądała tak czarująco, aż zapierało dech. Jednak tego wieczora zachowywała się inaczej, jej poważny, miękki głos brzmiał mniej zalotnie, bardziej szczerze.

- Czego pan sobie życzy, oficerze Mathison?

W obliczu jej spokojnego, dojrzałego sposobu bycia Ted poczuł się jak głupiec.

- W okolicy miało miejsce włamanie - udało mu się wykrztusić - niedaleko stąd. Przyjechałem sprawdzić...

Z niedowierzaniem patrzył na zamykające się mu przed nosem drzwi. I zaraz usłyszał własny głos:

- Katherine! Przestań...

Drzwi otworzyły się. Zobaczył Katherine uśmiechniętą, z głową przechyloną na bok.

- Czego sobie życzysz? - powtórzyła, śmiało patrząc mu w oczy.

- Boże! Sam nie wiem...

- Ależ wiesz. Co więcej - mówiła z przekorą w głosie - nie sędzę, by syn wielce szanowanego w Keaton wielebnego Mathisona powinien kłamać w sprawach swych uczuć i używać słów takich jak „bzdura” czy wymieniać imię Boga nadaremnie.

- A więc o to chodzi? - wybuchnął Ted, zupełnie wytrącony z równowagi. Uniknie losu, jaki za chwilę mógł sobie zgotować, pomyślał. - Uważasz, że spanie z synem

duchownego dostarczy ci dodatkowej podniety? Chciałabyś dowiedzieć się, jak my uprawiamy miłość?

- Czy ktoś tu wspominał o seksie, panie oficerze?

- Teraz rozumiem - ciągnął oburzonym głosem - podniecają cię gliniarze. Wydaje ci się, że ze mnie to taki Bruce Willis i myślisz, że przespanie się z...

- A ty znowu o seksie! Nie potrafisz myśleć o niczym innym?

Zakłopotany i zły na siebie, wsunął ręce do kieszeni i popatrzył na nią z wściekłością.

- Jeżeli nie chodzi ci o seks ze mną, to o co, do cholery?

Wyszła na werandę, opanowana i pewna siebie. Nie czekał na odpowiedź, złapał ją za ramię i przyciągnął bliżej swego zgłodniałego ciała. Wszeptała:

- O małżeństwo. I przestań wreszcie przeklinać.

- O małżeństwo?! - wybuchnął.

- Czyżbyś był zaskoczony, kochanie?

- Jesteś szalona.

- Na twoim punkcie - przyznała. Wspięła się na palce, dłońmi przesunęła po jego piersi, potem objęła za szyję. Ciało Teda zapłonęło jak dotknięte pochodnią. - Masz szansę zrehabilitowania się za ostatni pocałunek, sprawiłeś mi ból. Nie podobało mi się.

Wyzbyty wszelkich oporów, Ted pochylił głowę i dotknął ustami jej miękkich warg. Jęk Katherine pozbawił go resztek samokontroli. Przywarł do jej ust, dłońmi gładził jej ciało, przyciągnął jej biodra ciasno do swoich, ale już całował czulej, łagodniej... coraz namiętniej. Smakowała niczym raj i on znalazł się w raju; piersi, wypełniające mu dłonie, stwardniały; ich ciała dopasowały się, jakby wyrzeźbione wyłącznie dla siebie. Po długiej chwili, gdy wreszcie zdołał unieść głowę, głos miał zachrypły namiętnością, nie potrafił oderwać dłoni od jej ciała.

- Oszaleliśmy.

- Na swoim punkcie - zgodziła się. - Myślę, że wrzesień to piękny miesiąc, najlepszy na ślub, nie sądzisz?

- Nie. - Uniosła głowę i popatrzyła na niego. Jak przez mgłę usłyszał swój głos: - Wolę sierpień.

- Możemy pobrać się w sierpniu, na moje dwudzieste urodziny, ale to bardzo gorący miesiąc.

- Z pewnością nie tak, jak ja. Usiłowała udać oburzoną, ale w końcu zachichotała.

- A fe! Coś takiego z ust syna duchownego!

- Jestem zwyczajnym mężczyzną, Katherine - ostrzegł ją, choć tak naprawdę wcale nie chciał, by się z nim zgodziła. Chciał, by wierzyła w te wszystkie wspaniałe cechy, jakie w nim zobaczyła, bo przy niej czuł się mocny, czuły, silny i mądry. Wiedział jednak, że powinna mieć więcej czasu na poznanie go bliżej. - Jeżeli chodzi o mnie, może być wrzesień.

- A ja jednak wolę sierpień - powiedziała, obserwując z uśmiechem jego twarz - bo przypuszczam, że skoro w rodzinie masz księdza, to będziesz się upierał, byśmy poczekali aż do ślubu.

Tedowi udało się zrobić niewinną minę.

- Z czym?

- Z kochaniem się.

- Jak pewnie zauważyłaś, nie ja jestem duchownym, tylko mój ojciec.

- No to kochaj mnie!

- Nie tak szybko! - Nagle Ted zdał sobie sprawę z niezręczności sytuacji. Musi upierać się, by poczekali z konsumpcją ich związku do dnia ślubu - bo tego się po nim spodziewała, chociaż jeszcze godzinę temu ani myślał się zenić. - Nie wezmę ani centa od twojego ojca. Dopóki nie skończę prawa, będziesz żoną zwykłego gliniarza.

- W porządku.

- Twoim rodzicom nie spodoba się pomysł wyjścia za mnie.

- Tatuś się przyzwyczai.

Jak się przekonał, miała rację. W sprawianiu, by postępowano zgodnie z jej wolą, Katherine była mistrzynią. Wszyscy, łącznie z rodzicami, jedli jej z ręki. Wszyscy prócz Teda. Po sześciu miesiącach miał dość wiecznie nieposprzątanego domu i gotowych dań z puszek. A przede wszystkim nie umiał przyzwyczaić się do jej humorów i zaskakujących żądań.

Kuchnię omijała z daleka, utrzymywanie porządku nie budziło jej entuzjazmu. A już z pewnością nie zamierzała zostać matką. Na wiadomość, że jest w ciąży - dwa lata po ślubie! - wpadła w histerię, i gdy poroniła, była zachwycona. Dla Teda jej reakcja była ostatecznym argumentem przemawiającym za zgodą na rozwód. Rozwód, którym straszyla go, ilekroć odmawiał spełnienia jej zachcianek!

Głos Carla przerwał jego rozmyślenia. Popatrzył na starszego brata.

- Nie ma sensu wspominać o Benedykcie przy mamie i ojcu. Jeżeli Julie znalazła się w niebezpieczeństwie, utrzymajmy to przed nimi w tajemnicy jak długo się da.

- Masz rację.



## ROZDZIAŁ 22

- Zgubiliśmy się, chyba sam widzisz! Dokąd, na Boga, my jedziemy? Co tu możemy znaleźć, chałupkę drwali? - odezwała się Julie głosem rozedrganym nerwowym napięciem.

Przez płatki śniegu, gęsto oblepiające przednią szybę, ledwie widziała drogę. Już od dłuższej chwili jechali boczną drogą, stromo wspinającą się w góry niekończącą się serią ostrych zakrętów, takich, które nawet w lecie przyprawiałyby o zawrót głowy; teraz, na śliskim śniegu, przy bardzo złej widoczności, jazda tędy zdawała się graniczyć z szaleństwem. A w momencie, gdy wydawało się, że już nie może być gorzej, wjechali w krętą drogę, tak wąską, iż samochód co chwilę ocierał się o gałęzie potężnych, czarnych sosen, rosnących po obu stronach.

- Jesteś zmęczona, widzę to - powiedział jej pasażer. – Gdybym wiedział, że nie będziesz próbowała wyskoczyć z wozu, poprowadziłbym sam i dał ci odpocząć.

Od chwili pocałunku przed prawie dwunastoma godzinami Zack traktował Julie z kurtuazją jeszcze bardziej przerażającą niż poprzednie wybuchy gniewu. Nie mogła uwolnić się od przekonania, że zmienił plany względem jej osoby, dlatego wszelkie próby nawiązania beztrioskiej rozmowy spotykały się z jej uszczypliwymi uwagami. Zachowywała się jak jędra, i za to też go obwiniała.

Zignorowała ostatnie słowa i tylko ledwie dostrzegalnie wzruszyła ramionami.

- Według mapy i instrukcji jedziemy w dobrym kierunku - odezwała się w końcu - ale nie ma tam nic o drodze wznoszącej się pionowo! To samochód, a nie samolot czy pług śnieżny!

Podał jej napój zakupiony w sklepiku przy stacji benzynowej, na której zaopatrzyli się w paliwo, i gdzie Zack znowu eskortował ją w drodze do toalety. Jak poprzednio, uniemożliwił Julie zablokowanie drzwi, a potem sprawdził, czy nie została po niej jakaś kartka z informacją. Nie skomentował ani słowem jej skarg na fatalne warunki jazdy. Więc zamilkła.

W innych okolicznościach zachwyiłby ją zapierający w piersiach dech widok majestatycznych, pokrytych śniegiem gór i strzelistych sosen, teraz całą uwagę musiała skupić na utrzymaniu się na drodze. Miała nadzieję, że wreszcie, po tej niekończącej się podróży, są blisko celu, bo już ponad dwadzieścia minut temu zjechali z w miarę przyzwoitego traktu. Teraz, w strasznej śnieżnej zadymce, piéli się w górę drogą niewiele szerszą od samochodu.

- Mam nadzieję, że ten, kto dał ci tę mapę i instrukcje, choć raz tędy przejechał - powiedziała.

- A już myślałem, że wolałabyś, byśmy się zgubili - zażartował.

Nie reagowała na przyjazne rozbawienie brzmiące w jego głosie.

- Na pewno byłabym zachwycona, gdybyś ty zniknął, bo z tobą nie mam najmniejszej ochoty gubić się w tej głuszy! Prawda jest taka, że przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny prowadziłam bez przerwy, do tego przy okropnej pogodzie, i jestem zupełnie wyczerpana...

Urwała, przerażona widokiem wąskiego drewnianego mostku tuż przed nimi. Jeszcze dwa dni temu w Kolorado panowała, jak na tę porę roku, wyjątkowo wysoka temperatura i topniejący śnieg zamienił niewielkie, jak ten, strumyczki, w głębokie, rwące potoki, występujące z brzegów.

- Ten most nie wygląda bezpiecznie. Woda jest za wysoka...

- Nie mamy wyboru. - Niepokój w jego głosie i własny strach zrobiły swoje - mocno nacisnęła na hamulec.

- Nie zamierzam wjeżdżać na ten przeklęty most!

Zack dotarł za daleko, by się teraz cofnąć, poza tym zawrócenie na wąskiej, śliskiej drodze nie było możliwe. Ani zjechać tyłem po tych serpentynach. Trakt odśnieżano niedawno - być może nawet ostatniego ranka - jakby Matt Farrell, dowiedziawszy się o ucieczce Zacka, domyślił się, dlaczego w rozmowie przed kilkoma tygodniami przyjaciel prosił go o telefoniczne przekazanie komuś dokładnych wskazówek, jak trafić do domku w górach. Najwyraźniej to Matt kazał oczyścić drogę, by Zack mógł dotrzeć do domu, gdyby zechciał się tam ukryć. Ale tutaj nic nie mogli poradzić - stali przed mostem nie wyglądającym zbyt pewnie. W dole wzburzony potok niósł potężne konary, płynące na tyle szybko, że mogły poważnie nadwerężyć drewnianą konstrukcję.

- Wsiadaj - polecił Zack.

- Mam wysiąść i zamarznąć na śmierć?! A więc to przez cały czas planowałeś! Żebyś dowiozła mnie aż tutaj, a potem zginęła z zimna w śniegu. - Żadna ze zgryźliwych uwag, jakimi dręczyła go przez cały dzień, nie była w stanie popsuć jego dobrego humoru, ale teraz udało się. Zack zacisnął szczęki, a gdy się odezwał, w jego głosie brzmiał zimny gniew.

- Wsiadaj - warknął - sam poprowadzę przez most. Jeżeli wytrzyma, przejdiesz pieszo i wsiądziesz na drugim brzegu.

Julie nie trzeba było długo namawiać. Ciasno otuliła się swetrem, otworzyła drzwi i wysiadła. O dziwo! Poczucie bezpieczeństwa szybko przerodziło się w inne - absurdatne w tych okolicznościach. Patrzyła, jak Zack przesuwają się na miejsce kierowcy i czuła coraz

większe wyrzuty sumienia. Wstydziła się swojego tchórzostwa i równocześnie niepokoiła o jego bezpieczeństwo. A wszystko zanim jeszcze sięgnął do tyłu, wyciągnął jej kurtkę i dwa koce Carla i podał przez otwarte drzwi ze słowami:

- Owiń się porządnie. Jeżeli most runie, poszukaj węższego miejsca i przeskocz na drugi brzeg. Na szczycie tego wzgórza znajdziesz dom z telefonem i całą masą żarcia. Możesz przeczekać tam śnieżycę i wezwać pomoc.

Powiedział „jeżeli most runie” z kamiennym wyrazem twarzy, bez cienia emocji w głosie. Julie przeszedł dreszcz: Zachary Benedict ryzykował życie z całkowitą obojętnością! Jeżeli most się załamie, razem z samochodem wyląduje w wezbranym, lodowatym potoku. Przytrzymała klamkę, by nie zatrzasnął drzwi.

- Jeżeli nie wytrzyma - rzekła - podam ci linę albo gałąź, cokolwiek, żebyś mógł wydostać się na brzeg.

Nie słuchał do końca, zatrzasnął drzwi. Julie, drżąc z zimna, ciasniej otuliła się kurtką i przycisnęła do piersi koce. Przez chwilę koła samochodu obracały się w śniegu, potem złapały podłoże i pojazd, cal po calu, zaczął posuwać się do przodu. Julie brnęła przez śnieg w stronę mostu i modliła się w duchu. Na brzegu zatrzymała się i spojrzała na rwącą wodę, próbując ocenić głębokość. W dole zakłębiło się, po chwili podrzucany prądem konar znalazł drogę. Wyszukana na brzegu, długa na osiem stóp gałąź nie sięgnęła dna. Strach przeszedł w panikę.

- Zaczekaj! - krzyknęła poprzez wyjący wiatr - możemy zostawić samochód i przejść piechotą! - Nawet jeśli usłyszał, nie reagował. Silnik zawył mocniej, koła zabuksowały w śniegu, potem złapały przyczepność i rozkołysany samochód skoczył do przodu; nabierając prędkości, szykował się do pokonania zwałów śniegu, zalegających most. Nagle Julie usłyszała trzask pękających desek. - Zatrzymaj się! Most cię nie utrzyma! Wsiadaj! Wsiadaj z wozu... - krzyczała.

Za późno! Blazer, zmiatając zderzakiem śnieg, powoli toczył się po trzeszczącym moście; koła obracały się w miejscu i zaraz łapały przyczepność; napęd na cztery koła robił swoje.

Opatulona w koce, obsypana płatkami śniegu stała jak sparaliżowana, porażona niemożnością działania, zmuszona do patrzenia na coś, czemu w żaden sposób nie mogła zapobiec.

Odetchnęła dopiero w chwili, gdy samochód i jego szalony kierowca znaleźli się w bezpiecznym miejscu, a wtedy ogarnęła ją przekorna wściekłość - znów naraził ją na emocje,

jakich na pewno nie poszukiwała! Odczuwała pustkę. Niepewnym krokiem przeszła przez most, otworzyła drzwi samochodu od strony pasażera i wsiadła.

- No to dotarliśmy - powiedział Zack.

- Dotarliśmy, dokąd? - Popatrzyła na niego ze złością. Odpowiedź otrzymała kilka chwil później, po pokonaniu ostatniego ostrego zakrętu, pod samym szczytem. Na górze, pośrodku polany, zasłonięty przed ludzkim wzrokiem przez rozłożyste sosny, stał wspaniały dom, wzniesiony z kamienia, drewna cedrowego, z drewnianymi tarasami i olbrzymimi oknami.

- To tutaj - oznajmił Zack.

- Kto, na Boga, zbudował go na takim odludziu, jakiś pustelnik?

- Najwyraźniej ktoś, kto lubi samotność.

- Twój krewny? - spytała, nagle usposobiona podejrzliwie.

- Nie.

- Czy właściciel wie, że zamierzasz użyć tego miejsca na kryjówkę przed policją?

- Za dużo tych pytań. - Zatrzymał samochód przed samym domem i wysiadł. - Ale odpowiedź brzmi nie. - Obszedł samochód i otworzył przed nią drzwi. - Chodźmy.

- Chodźmy? - wybuchnęła, wciskając się głębiej w fotel. - Mówiłeś, że jak już cię dowiozę na miejsce, będę mogła odejść.

- Kłamałem.

- Ty... draniu, uwierzyłam ci! - krzyknęła. Ale ona także kłamała. Przez cały dzień próbowała rozpaczliwie nie słuchać tego, co podpowiadał jej rozsądek: zatrzyma ją przy sobie, by nie mogła wskazać policji miejsca, gdzie się ukrył. Przecież jeżeli teraz puściłby ją wolno, nic nie mogłoby jej powstrzymać!

- Julie - powiedział, całą siłą woli starając się zachować spokój - nie pogarszaj swojej sytuacji. Zostaniesz tu przez kilka dni, a to nie najgorsze miejsce do spędzenia czasu.

Sięgnął przez nią, wyrwał kluczyki ze stacyjki i ruszył w stronę domu. Przez jedną krótką chwilę siedziała w wozie, zbyt wściekła i nieszczęśliwa, by zaprotestować. Ale co można było robić? Przełknęła łzy bezsilności i wysiadła. Trzęsąc się z zimna w lodowatych porywach wiatru, ruszyła za nim. Ostrożnie stawiała stopy w wysokich do kolan kraterach, jakie pozostawiał w kopnym śniegu leżącym wokół domu. Za jego przykładem zatrzymała się, skrzyżowała na piersiach ramiona i z zaciekawieniem patrzyła, jak naciska klamkę. Drzwi ani drgnęły, najwyraźniej zamknięte na klucz. Szarpnął mocniej - nic z tego. Z rękami na biodrach rozejrzał się wokół, przez chwilę nad czymś się zastanawiał. Julie ogarniały dreszcze, zaczynała szczerkać zębami.

- I... i co... teraz? - zapytała. - Ja.. .k masz zamiar do.. .stać się do... środka?

Rzucił jej ironiczne spojrzenie.

- A jak myślisz? - Nie czekał na odpowiedź, tylko odwrócił się i skierował w stronę tarasu przy frontowej ścianie domu. Julie posłusznie podreptała za nim, zmarznięta i zła.

- Zamierzasz włamywać się przez okno? - spytała oburzona. Spojrzała na olbrzymie tafle szkła sięgające do samego dachu, co najmniej dwadzieścia pięć stóp ponad nimi. - Jeżeli zbijesz coś takiego, odłamki szkła posiekają cię na kawałki.

- Nie ciesz się na zapas - powiedział. Popatrzył z uwagą na kilka śnieżnych pagórków, najwyraźniej coś ukrywających. Rozkopał jeden i odsłonił sporych rozmiarów donicę, potem przeniósł ją pod tylne drzwi domu.

- Co robisz?

- Zgadnij.

- Skąd mam wiedzieć - wybuchnęła. - To ty jesteś kryminalistą, nie ja.

- To prawda, ale skazano mnie za morderstwo, a nie włamanie.

Z niedowierzaniem patrzyła, jak Zack próbuje rozkopać zmarzniętą ziemię, a potem, gdy nic z tego nie wyszło, rozbija gliniane naczynie o ścianę domu i rozsypuje zawartość na śniegu przed drzwiami. Na koniec przyklęknął i zaciśniętą w pięść dłońią rozbijał grudki ziemi. Zdumienie Julie rosło.

- Czyżby mały napad szału? - zapytała.

- Nie, panno Mathison - odparł z demonstracyjną flegmą. Rozgniatał w palcach grudkę po grudce. - Szukam klucza.

- Ktoś, kogo stać na taki dom i doprowadzenie drogi przez całą górę, nie jest chyba taki głupi, by klucz trzymać w doniczce na kwiaty! Marnujesz czas.

- Zawsze jesteś taką jędzą? - spytał z irytacją.

- Jędzą?! - W głosie Julie zabrzmiała uraza. - Kradniesz mi samochód, mnie zatrzymujesz jako zakładniczkę, grozisz śmiercią, a teraz masz czelność krytykować moje zachowanie? - Przerwał jej tyradę, triumfalnie unosząc w ręce oblepiony błotem, srebrzysty przedmiot.

Klucz! Włożył go do zamka i przekręcił. Otworzył drzwi i pełnym galanterii gestem zaprosił Julie do środka.

- Pociuszająca wiadomość. W takim razie dotarło do ciebie, że możesz biegać po całym domu...

- Czyżby? Jak tresowany wyżeł?

- Niezupełnie - odparł Zack. Kąciki ust wykrzywił w uśmiechu i z uznaniem popatrzył na jej gęste, falujące, kasztanowego koloru włosy i szczupłą, pełną wdzięku postać. - Bardziej jak niesforny, irlandzki seter.

Julie otworzyła usta, by uszczypliwie zripostować, ale słowa rozplynęły się w szerokim ziewnięciu.

## ROZDZIAŁ 23

Smakowity zapach pieczonego na grillu steku wyrwał Julie z głębokiego snu. Z niejasnym uczuciem, że olbrzymie łoże, na którym leży, nie jest jej własnym, przewróciła się na plecy, zupełnie zdezorientowana. W nieznanym pokoju panowały iście atramentowe ciemności. Przetarła oczy i spojrzała w drugą stronę, szukając źródła bladego światła, przebijającego się przez coś, co okazało się szparą w zasłonach. Blask księżyca! Przez kilka cudownych chwil miała wrażenie, że są wakacje, a ona znalazła się w luksusowym hotelu.

Spojrzała na wyświetlający godziny budzik, stojący na nocnym stoliku. Gdziekolwiek się znajduje, czas lokalny to 8.20 wieczorem, a w pokoju panuje chłód. Jeszcze rozespana pomyślała, że taka temperatura wyklucza Kalifornię czy Florydę. I nagłe olśnienie: w hotelowych pokojach nigdy nie czuć zapachu gotującego się jedzenia. Była więc gdzie indziej, w jakimś domu, co zaraz potwierdziły kroki dochodzące z pokoju obok.

Ciężkie, męskie kroki...

Świadomość dźgnęła ją niczym cios w żołądek. Gwałtownie usiadła na łóżku, odrzuciła przykrycie i wstała, pełna energii. Podeszła do okna. Uciekać! - przyszło jej do głowy, zanim zdołała pomyśleć rozsądnie. Na gołych nogach czuła gęsią skórę. Z niedowierzaniem patrzyła na strój, jaki na sobie miała: męski podkoszulek, który - teraz sobie przypomniała - wyciągnęła z komody po wzięciu prysznic. W głowie zadźwięczały jej słowa: „Mam kluczyki od samochodu, a dom stoi w górach samotnie... Zamarzniesz na śmierć, jeżeli spróbujesz uciekać pieszo... Zamki w drzwiach da się otworzyć bez trudu... Możesz biegać po całym domu”.

- Tylko spokój - powiedziała głośno. Ale teraz, choć była wypoczęta i pełna energii, a jej umysł pracował gorączkowo, żaden rozsądny pomysł nie przychodził jej do głowy. Poza tym odczuwała dotkliwy głód. Naprzód jedzenie, postanowiła, z pełnym żołądkiem łatwiej wymyśli jakiś sposób.

Wyciągnęła z walizki dzinsy, które miała na sobie jeszcze w Amarillo. Bielizna, wyprana wczoraj pod prysznicem, nadal była mokra. Włożyła spodnie i uchyliła drzwi szafy - patrzyła na porządnie poskładane na półkach, ciężkie, męskie swetry i od razu zapragnęła włożyć na siebie coś świeżego. Wyjęła wielki, kremowego koloru, robiony ręcznie marynarski sweter i przymierzyła - sięgał do kolan.

Ale przecież nie zależy jej na wyglądzie - bo i dla kogo miała się stroić - poza tym, pod grubym swetrem nie będzie widać, że nie ma na sobie stanika. Wczoraj, przed pójściem

do łóżka, umyła i wysuszyła głowę, teraz wystarczyło wyszczotkować włosy. Pochyliła się i czesała je, długie do ramion, jak zawsze, pociągnięciami od spodu. Prozaiczna, codziennie powtarzana czynność dziwnie uspokajała. Wyprostowała się i zaczesła włosy do tyłu, pozwalając im opaść naturalnymi falami po obu stronach twarzy. Sięgnęła do torebki po szminkę, ale zaraz zmieniła zdanie. Upiększanie się dla zbiegłego więźnia to już przesada! Może nawet błąd, zważywszy na pocałunek w śniegu, o świcie.

Ten pocałunek...

Wydało jej się, że od tamtej chwili minęły tygodnie, a nie ledwie godziny. Ale teraz Julie była wypoczęta i czujna. Jeżeli się zastanović, pomyślała, zainteresowanie okazane przez tego mężczyznę miało jedynie zapewnić mu bezpieczeństwo. O nic więcej nie chodziło...

Z pewnością nie miało nic wspólnego z seksem...

O Boże! Tylko nie to...

Popatrzyła w lustro na ścianie łazienki i uspokoiła się. Zawsze była zbyt zajęta, by nadmiernie troszczyć się o swój wygląd. Gdy miała czas przyjrzeć się dokładnie swemu odbiciu, widziała twarz o wyrazistych rysach, duże oczy, mocno zarysowane kości policzkowe. No i ten idiotyczny dołek w brodzie, który znacznie powiększył się od czasu, gdy miała trzynaście lat. Teraz jednak była zadowolona. W dzinsach, w o wiele za dużym swetrze, z rozpuszczonymi włosami i bez makijażu nie wzbudziłaby pożądanego zainteresowania żadnego mężczyzny, a zwłaszcza takiego, który przespał się z setkami oszałamiająco pięknych gwiazd i gwiazdek. Zainteresowanie jej osobą z pewnością nie miało nic wspólnego z seksem, zdecydowała z pełnym przekonaniem.

By się uspokoić, wzięła głęboki oddech, niechętna, ale gotowa na spotkanie z porywaczem i na - miała taką nadzieję - wspaniały posiłek.

Cicho otworzyła drzwi i wkroczyła do salonu - z wrażenia zaparło jej dech: w kominku huczał ogień, wysoko, na belce pod sufitem, paliły się przyćmione światła. Na stole migotały świece, ich płomyki odbijały się w kryształowych kieliszkach ustawionych obok płóciennych serwetek.

I nie wiedziała, co spowodowało to wrażenie, te kieliszki i świece, a może przyćmione światło i cicha muzyka rozlegająca się z adapteru stereofonicznego, ale poczuła się jak w gniazdku uwitym celowo, by ją uwieść. Skierowała się do kuchni, tutaj królował Zachary Benedict. Zwrócony do niej plecami, zdejmował właśnie mięso z rusztu. Starając się przybrać energiczny, rzeczowy ton, spytała:

- Spodziewamy się gości?



Odwrócił się i z leniwym uśmiechem na twarzy zmierzył ją wzrokiem. Julie odniosła niejasne wrażenie, że podoba mu się to, co zobaczył. Za chwilę umocnił ją w tym przekonaniu. Uniósł w jej stronę kieliszek z winem.

- Wyglądasz prześlicznie w tym za dużym swetrze.

Pewnie, pomyślała, po pięciu latach spędzonych w więzieniu pociągałaby go każda. Wołała cofnąć się o krok.

- Ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależy, jest podobanie się tobie. Wolę z powrotem przebrać się we własne rzeczy, chociaż wymagają przeproszenia. - Obróciła się na pięcie.

- Julie! - rzucił ostro, i teraz w jego głosie nie słyszała już chęci porozumienia.

Odwróciła się pośpiesznie, zaskoczona niebezpiecznym tempem zmian jego humoru. Cofnęła się jeszcze o krok, a wtedy niemal natarł na nią z kieliszkiem w ręce.

- Wypij, do cholery! - I zaraz się zmytygował. - Wypij, to ci pomoże się odprężyć.

- Po co miałabym się odprężyć? - nie ustępowała.

Pomimo przekornie zadartej brody i buntowniczego tonu, Zack usłyszał w jej głosie strach. Cała złość natychmiast się ulotniła. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny okazała tak wiele odwagi, tyle hartu ducha, walczyła z nim tak wytrwale, że w końcu uwierzył, iż nie odczuwa przed nim strachu.

Dopiero gdy popatrzył w jej zmienioną twarz, pojął, na jak wielki stres ją naraził: pod pięknymi oczami widniały błękitne półksiężycy, biała cera stała się jeszcze bielsza. Jest zdumiewająca, pomyślał, odważna, dobra, nieustraszona. Może gdyby jej nie polubił - tak naprawdę - nie miałoby żadnego znaczenia, że patrzy na niego, jak na niebezpieczną bestię. Rozsądek nakazał mu stłumić chęć pogłaskania jej po policzku - takim gestem jeszcze bardziej by ją wystraszył. A przeprosiny za porwanie z pewnością uznałaby za szczyt hipokryzji. Zrobił natomiast coś, czym, jak postanowił, nie miał nigdy więcej zawracać sobie głowy: spróbował przekonać ją o swej niewinności.

- Przed chwilą poprosiłem, byś się odprężyła... - zaczął, ale przerwała mu.

- Rozkazywałeś, nie prosiłeś. Surowy ton dziewczyny wywołał uśmiech na jego wargach.

- Teraz proszę. Julie, całkowicie wytracona z równowagi łagodnością brzmiącą w jego głosie, wypita łyk wina, by się trochę uspokoić. Stał obok, oddalony tylko o dwie stopy, wysoki, barczysty. Patrzyła na niego - w czasie gdy spała, zdążył wziąć prysznic, ogolił się i przebrał. W czarnych spodniach i czarnym swetrze Zachary Benedict wygląda o wiele przystojniej niż na ekranie, pomyślała. Uniósł dłoń i oparł o ścianę, tuż obok jej ramienia, a gdy znów się odezwał, w jego głosie zabrzmiała ta uwodzicielska nuta łagodności.

- W czasie jazdy pytałaś, czy byłem winny zbrodni, za którą posłano mnie za kratki, a ja za pierwszym razem dałem ci wymijającą odpowiedź, za drugim niejasną. Teraz powiem prawdę, i to z własnej woli...

Julie przestała na niego patrzeć i wbiła wzrok w rubinowej barwy wino w kieliszku; przeraziła się, że w stanie osłabienia, w jakim się znajdowała, da się nabrać na każde kłamstwo.

- Spójrz na mnie, Julie.

Z mieszaniną lęku i bezradności popatrzyła w nieuciekające przed jej wzrokiem, bursztynowe oczy.

- Nie zabiłem ani nie próbowałem zabić żony, w ogóle nikogo. Zamknięto mnie w więzieniu za zbrodnię, której nie popełniłem. Chciałbym, byś przynajmniej uwierzyła w istnienie możliwości, że mówię prawdę.

Starając się zachować obojętny wyraz twarzy, spojrzała mu w oczy, ale w duszy widziała scenę, jaka rozegrała się przy tamtym rozchybotanym moście: zamiast nalegać, by przejechali razem, kazał jej wysiąść i jeszcze dał koce, by nie zamarzła, gdyby most runął, a on utonął, wpadając z samochodem do głębokiego, lodowatego potoku. Przypomniała sobie rozpacz brzmiącą w jego głosie, gdy całował ją w śniegu i błagał, by podjęła grę i nie narażała kierowcy ciężarówki.

Miał w kieszeni broń, a nigdy nie próbował jej użyć. A potem przypomniała sobie pocałunek - gwałtowny, mocny, i nagle łagodniejszy, a za chwilę czuły, pełen namiętności. Od tamtego ranka starała się przegnać z pamięci to wspomnienie, ale teraz wróciło - pulsujące i żywe, i niebezpiecznie ekscytujące. Jego uwodzicielski głos dopełnił wspomnień:

- To pierwszy normalny wieczór w moim życiu od pięciu lat. Jeżeli policja jest już na moim tropie, będzie ostatnim. Dlatego chciałbym nacieszyć się nim. Jeżeli pomożesz...

Julie nie miała już siły dłużej walczyć. Pomimo snu była psychicznie rozbita, a jej morale dodatkowo obniżał dotkliwy głód. No i miała serdecznie dość uczucia ciągłego zagrożenia. Ale jej kapitulacja nie ma żadnego związku ze wspomnieniem pocałunku, przekonywała siebie, ani trochę! Ani z nieoczekiwanym przekonaniem, że powiedział prawdę.

- Jestem niewinny - powtórzył, patrząc jej prosto w oczy.

Słowa przekonywały, ale wciąż broniła się, próbowała nie pozwolić niemądrym emocjom zagłuszyć to, co podpowiadał rozum.

- Jeżeli naprawdę nie jesteś w stanie mi uwierzyć – powiedział z ciężkim westchnieniem - mogłabyś przynajmniej udać, że cię przekonałem, i na dzisiejszy wieczór zawarlibyśmy rozejm.

Opanowując chęć potakującego kiwnięcia głową, zapytała ostrożnie:

- Jaki rodzaj rozejmu masz na myśli?

- Chodzi mi o rozmowę - odrzekł. - Swobodna konwersacja z inteligentną kobietą to przyjemność, jakiej dawno nie zaznałem. Brakowało mi także przyzwoitego jedzenia, kominka, światła księżyca w oknach, dobrej muzyki, drzwi zamiast krat, nie wspominając o widoku pięknej kobiety. - Wyraźnie chciał ją ugłaskać, bo dodał: - Jeżeli zgodzisz się na zawarcie pokoju, ja zajmę się gotowaniem.

Julie zawahała się, zdumiona jego uwagą - ona piękną kobietą? -ale zaraz pomyślała, że to tylko nic nieznaczące pochlebstwo. Proponował wieczór wolny od strachu i napięcia, a jej wyczerpane nerwy właśnie tego się domagały. W prośbie nie widziała niczego zdrożnego. Zwłaszcza jeżeli jest niewinny.

- Zajmiesz się wszystkim? - targowała się.

Skinął głową i z ulgą uśmiechnął się; zrozumiał, że Julie zamierza wyrazić zgodę. Nieoczekiwany blask jasnego uśmiechu przyprawił ją o niebezpiecznie szybki rytm serca.

- W porządku - zgodziła się rozpromieniona, pomimo wysiłku, by zachować przynajmniej pozory obojętności - ale tylko jeżeli także pozmywasz.

Zachichotał.

- Stawiasz surowe warunki, ale przyjmuję. Usiądź, a ja skończę przygotowywać kolację.

Julie posłusznie zajęła miejsce na stołku przy ladzie odgradzającej kuchnię od salonu.

- Opowiedz mi o sobie - poprosił. Z piekarnika wyjął pieczone ziemniaki.

Dla dodania sobie odwagi wypiła następny łyk wina.

- Co chciałbyś wiedzieć?

- Na początek, ogólne sprawy - powiedział obojętnym tonem. - Mówiłaś, że nie masz męża. Jesteś rozwódką?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nigdy nie byłam mężatką.

- Zaręczona?

- Rozważamy to z Gregiem.

- Nad czym się tu zastanawiać? Julie zakrztusiła się winem. Próbując nie okazywać zażenowania, powiedziała:

- Nie sędzę, by to pytanie dało się zaliczyć do kategorii ogólnych.

- Pewnie nie - przyznał z uśmiechem. - No więc, co stoi na przeszkodzie tym zaręczynom?

Julie, zdegustowana, poczuła, że rumieni się pod jego rozbawionym spojrzeniem, ale odpowiedziała z podziwu godnym spokojem:

- Chcemy być całkowicie pewni, że pasujemy do siebie, że nasze cele i filozofia życiowa uzupełniają się.

- To mi wygląda, jakbyś grała na zwłokę. Żyjesz z tym Gregiem?

- W żadnym wypadku. - Julie przybrała oburzony ton, na co on zareagował uniesieniem brwi, jakby jej stanowisko zaskoczyło go i rozbawiło równocześnie.

- Mieszkasz z kimś?

- Mieszkam sama.

- Ani męża, ani kochanka - zdziwił się. Dolał jej wina. - Więc nikt teraz na ciebie nie czeka, nie zastanawia się, gdzie się podziewasz?

- Wiele osób.

- Na przykład, kto?

- Choćby moi rodzice. Z pewnością bardzo się niepokoją i wydzwanają po znajomych. Ale zaczną od mojego brata Teda. Carl też będzie mnie szukał. To jego samochód. Możesz mi wierzyć, moi bracia na pewno zorganizowali już poszukiwania na wielką skalę.

- Czy Ted to ten, który pracuje w budownictwie?

- Nie - powiedziała rozbawiona. - Jest szeryfem w Keaton.

Gwałtowną reakcją sprawił jej satysfakcję.

- Szeryf! - Jakby chciał splukać nieprzyjemną informację, pociągnął duży łyk wina i powiedział ironicznie: - A ojciec pewnie jest sędzią?

- Nie, księdzem.

- Mój Boże!

- No właśnie, trafiłeś. To jego pracodawca - Bóg.

- Żeby na tyle kobiet, mieszkających w Teksasie - zaczął, ponuro kręcąc głową - porwać akurat siostrę szeryfa, do tego córkę pastora. Media będą miały używanie, jak się dowiedzą, kim jesteś.

Ta krótka chwila triumfu chyba jeszcze bardziej uderzyła jej do głowy niż wino. Zadowolona drażniła się z nim:

- Stróż prawa, z psami i bronią, rozpoczną polowanie w całym kraju, a bogobojni Amerykanie wzniosą modlitwy o jak najszybsze ujęcie ciebie.

Odsunął się nieco na bok, wlał resztę wina do swojego kieliszka i wypił jednym haustem.

- Wspaniale!

Ciepła atmosfera, jaka między nimi panowała jeszcze przed chwilą, sprawiała Julie tak olbrzymią ulgę, że teraz pożałowała straty i czym prędzej zmieniła temat rozmowy.

- Co mamy na kolację? - zagadnęła.

Pytanie oderwało go od niewesołych myśli.

- Coś bardzo prostego - odparł. - Nie znam się zbyt dobrze na gotowaniu.- Nie widziała, co robi, bo zasłaniał sobą widok. Patrzyła na sweter napinający się na szerokich ramionach; Zack był mocno umięśniony, jakby w więzieniu wiele czasu spędzał w sali gimnastycznej.

Więzienie. Kiedyś przeczytała, że przebywa tam wielu niewinnych.

I zrozumiała: rozpaczliwie czepia się uspokajającej myśli – przecież Zachary Benedict może być jednym z nich! Nie odwracając głowy, Zack powiedział:

- Usiądź na kanapie, tam podam jedzenie.

Skinęła głową i wstała ze stołka. Drugi kieliszek wina podziałał na nią zdecydowanie mocniej, sprawił, że czuła się odprężona. Za jej plecami szedł Zack z talerzami. Zatrzymała się przed kanapą i usiadła przy serwetce rozłożonej na stoliku do kawy, stojącym przed kominkiem. Położył na stole dwa talerze - na jednym znajdował się soczysty stek i olbrzymiej wielkości pieczony ziemniak.

Ale przed nią znalazł się talerz z tuńczykiem z puszki. To wszystko. Żadnej jarzyny, żadnych dodatków, nic.

Po tym, jak narobiła sobie smaku na gruby, dobrze wypieczony stek, reakcja Julie na zimną, niczym nie przyprawioną, nieapetycznie wyglądającą rybę, mogła być tylko jedna. Z ustami wykrzywionymi oburzeniem popatrzyła na Zacka z irytacją.

- Czyż nie o to ci chodziło? - zapytał niewinnie. - A może wolałabyś smaczny stek, jak ten, który zostawiłem w kuchni?

W chłopcącym figlu, łobuzerskiej minie i śmiejących się oczach było coś takiego, co wywołało nieoczekiwaną, niekontrolowaną i w tych okolicznościach zaskakującą reakcję Julie: zaczęła chichotać, aż w końcu roześmiała się. Jej ramiona jeszcze się trzęsły, gdy podał talerz ze stekiem.

- Tak lepiej?

- Cóż - usiłowała przybrać surowy ton, ale w jej oczach wciąż jeszcze błyskały wesołe iskierki - mogę wybaczyć ci porwanie i wystraszenie mnie, ale serwowanie tuńczyka, podczas gdy sam objadasz się stekiem, uważam za karygodne! - Julie wolałaby delektować się jedzeniem w milczeniu, ale gdy brała do ust pierwszy kęs, Zack wypatrzył zadrapanie na jej nadgarstku i zapytał, jak powstało.

- Przy futbolu - wyjaśniła.

- Co takiego? !

- Grałam w zeszłym tygodniu i trochę mnie skotłowano.

- Jakiś potężny obrońca?

- Nie, mały chłopiec w wielkim fotelu na kółkach.

- Niemożliwe!

Julie przekazała mu krótką wersję wydarzenia.

- To była moja wina. - Uśmiechnęła się do wspomnień. - Koszykówkę wręcz uwielbiam, ale nigdy nie mogłam połączyć się, o co chodzi w futbolu. Dla mnie ta gra nie ma sensu.

- Co masz na myśli?

Skrzywiła się z dezaprobatą.

- Na początek, pomyśl o graczach. Masz *fullbacka*, *halfbacka* i *quarterbacka*. Ale nie ma *three-quarter backa*\*. Masz *tight end*\*\* , a nie ma *loose end*. - Nim skończyła, wybuchnął śmiechem. - Z pewnością ta gra nie należy do moich ulubionych, ale to bez znaczenia, bo dzieciaki ją uwielbiają. Jeden z moich chłopców przygotowuje się do startu w Igrzyskach Olimpijskich dla niepełnosprawnych.

Zack zauważył ciepło, z jakim uczuciem mówiła o „swoich chłopcach”, i dalej uśmiechał się.

Zdumiewała go zdolnością do współczucia, słodyczą charakteru. Chciał, by nie przerywała, więc podsunął następny temat:

- Go robiłaś w Amarillo tamtego dnia?

- Przyjechałam na spotkanie z dziadkiem jednego z moich niepełnosprawnych uczniów, niesamowicie bogatym panem. Miałam nadzieję przekonać go do ofiarowania pieniędzy na program walki z analfabetyzmem wśród kobiet, czym także zajmuję się w naszej szkole.

---

\* Ang. *full*, *half*, *quarter* - całość, połowa, jedna czwarta, *three quarters* - trzy czwarte (przyp. tłum.).

\*\* Gra słów, ang. *tight end* (termin używany w futbolu amerykańskim) oznacza dosłownie „ciasny koniec”, *loose end* - luźny koniec (przyp. tłum.).

- Udało ci się?

- O tak, w torebce mam czek.

- Co sprawiło, że postanowiłaś zostać nauczycielką? - pytał dalej, nie chcąc dopuścić, by zamilkła. Pomyślał, że wybrał bliski jej temat, bo Julie uśmiechnęła się do niego serdecznie i z zapałem kontynuowała opowieść:

- Uwielbiam dzieci, a nauczanie to stary i szanowany zawód.

- Szanowany, szanowany? - powtarzał, zaskoczony. - Nie sądziłem, że w dzisiejszych czasach ktokolwiek zabiega o szacunek. Dlaczego dla ciebie to takie ważne?

Julie niecierpliwie wzruszyła ramionami i odpowiedziała krótko:

- Jestem córką pastora, a Keaton to małe miasto.

- Rozumiem - odparł, choć wcale tak nie było. - Są przecież inne zawody, równie szanowane.

- No tak, ale wtedy nie miałabym do czynienia z kimś takim jak Johnny Everett i Debby Sue Cassidy.

Na wspomnienie Johnny'ego twarz jej pojaśniała i Zack natychmiast zainteresował się mężczyzną, który zdawał się znaczyć dla niej więcej niż „prawie narzeczony”.

- Któż to taki, ten Johnny Everett?

- Jeden z moich uczniów, z tych ulubionych. Jest sparaliżowany od pasa w dół. Gdy zaczynałam uczyć w Keaton, nie chciał mówić i sprawiał takie kłopoty wychowawcze, że pan Duncan chciał odesłać go do ośrodka edukacyjnego dla niedorozwiniętych. Matka Johnny'ego przysięgała, że syn potrafi mówić, ale nigdy nikomu nie udało się wydobyć z niego słowa. Chłopiec nigdy nie bawił się poza domem - matka nie pozwalała - więc nikt nie był pewien, czy czasem nie zabiega o to, by Johnny wydawał się bardziej... normalny. W klasie zachowywał się niesfornie, wyrządzał przeróżne szkody, na przykład rozrzucał książki po podłodze albo blokował drzwi w czasie przerwy - drobiazgi, ale stale powtarzające się, więc pan Duncan, by pozbyć się kłopotu, postanowił wysłać go do szkoły specjalnej.

- Kim jest pan Duncan?

Zmarszczyła nos z takim niesmakiem, że Zack roześmiał się.

- To nasz dyrektor.

- Zdaje mi się, niezbyt za nim przepadasz?

- Nie jest złym człowiekiem, tylko zbyt rygorystycznie trzyma się przepisów. Nadawałby się do szkoły, ale tej sprzed stu lat, gdzie ucznia, który ośmielił się rozmawiać na lekcji, czekała różga.

- I Johnny bał się go, prawda?

Zachichotała i potrząsnęła głową.

- Wręcz przeciwnie. Całkiem przypadkiem odkryłam, że Johnny nie znosi, by traktowano go inaczej. On czekał, by go ukarano.

- Jak na to wpadłaś?

- Pewnego wieczora, po lekcjach, byłam u pana Duncana i jak zwykle wysłuchiwałam reprimendy.

- Miewasz kłopoty z dyrektorem?

- Bez przerwy - przyznała, a jej twarz rozjaśnił beztroski uśmiech. - Tego właśnie dnia Johnny czekał na matkę w pobliżu gabinetu i podsłuchiwał naszą rozmowę. Jak wyszłam, siedział w tym swoim fotelu na kółkach i uśmiechał się do mnie, jakbym była bohaterką. „Będzie pani musiała za karę zostać po lekcjach, panno Mathison?” - zapytał. Byłam tak zaskoczona, że omal nie upuściłam sterty książek, które akurat niosłam. Ale gdy zapewniłam go, że mi to nie grozi, popatrzył na mnie wyraźnie rozczarowany. Powiedział, że się domyślał, bo dziewczyn nie zamyka się po lekcjach w klasie. Wtedy już wiedziałam! - Zack zdawał się nie rozumieć, więc wyjaśniła: - Chłopiec żył pod kloszem stworzonym przez matkę i przez cały czas marzył, by w szkole traktowano go jak pozostałe dzieci. Ale nauczyciele ani koledzy nie mogli tego zrozumieć.

- I co zrobiłaś?

Oparła się na kanapie, podciągnęła pod siebie nogi.

- Tę jedną, jedyną właściwą rzecz, jaką mogłam. Uważnie obserwowałam go przez cały następny dzień i gdy w pewnej chwili rzucił piórem w dziewczynkę siedzącą przed nim, nakrzyczałam na niego, jakby popełnił jakąś zbrodnię. Powiedziałam, że powinien zostawać po lekcjach przez kilka tygodni i od tej pory, jak pozostałe dzieci, będzie dostawał to, na co zasłużył. A potem wyznaczyłam mu dwa dni kary!

Wsparła głowę na oparciu kanapy i spod przymkniętych powiek z uśmiechem popatrzyła na Zacka.

- Potem kręciłam się w pobliżu szkoły, by go obserwować i upewnić się, czy postąpiłam słusznie. Wyglądał na zadowolonego z potraktowania go na równi z innymi psotnikami, ale nie byłam jeszcze całkiem pewna. Tego wieczora jego matka zatelefonowała do mnie z awanturą. Powiedziała, że syn zachorował, a moje postępowanie określiła jako „okropne i bez serca”. Chciałam jej wszystko wytłumaczyć, ale nim zdążyłam otworzyć usta, odłożyła słuchawkę. Była wściekła. Następnego dnia Johnny nie pojawił się w szkole.

Gdy Julie zamilkła, Zack cicho zapytał:

- I co zrobiłaś?



- Po lekcjach poszłam do niego do domu, porozmawiać z nim i jego matką. Zrobiłam jeszcze coś. Zupełnie nie zastanawiając się po co, wzięłam ze sobą innego ucznia, Williego Jenkinsa. Willie to typowy „macho”, największy rozrabiaka, idol trzeciej klasy. Jest dobry we wszystkim - od futbolu, poprzez baseball do mistrzostwa w przeklinaniu... oprócz - uśmiechnęła się kącikami ust- oprócz śpiewu. Głos Williego, gdy mówi, przypomina skrzek ropuchy, śpiew to głośny, podobny do skrzywienia drzwi dźwięk, rozśmiesza nim wszystkich do łez. W każdym razie coś mnie tknęło i zabrałam go ze sobą. Johnny siedział w fotelu na kółkach w ogródku za domem. Willie miał ze sobą futbolową piłkę - chyba nawet z nią śpi - i został na dworze. Gdy wchodziłam do środka, usiłował nakłonić Johnny'ego do łapania piłki, ale ten nawet nie chciał spróbować. Siedział bez ruchu i nie odzywał się. Spędziłam pół godziny na rozmowie z panią Everett. Powiedziałam jej wprost, że niszczy szanse Johnny'ego na szczęście, traktując go tak, jakby był za delikatny, by robić cokolwiek poza oglądaniem świata z perspektywy fotela. Nie przekonałam jej. Gdy zbierałam się do wyjścia, usłyszałyśmy przed domem jakiś trzask, potem krzyki, i obie wybiegłyśmy do ogródka. Zobaczyłyśmy Williego - oczy Julie zaśniły na wspomnienie - jak z szerokim na milę uśmiechem na twarzy, przyciska do piersi piłkę. Zdaje się, że Johnny'emu łapanie nie szło najlepiej, ale, według Williego, chłopiec miał prawą rękę nie gorszą od niego. Johnny aż promieniał, gdy usłyszał od Williego, że chce go mieć w swojej drużynie - muszą tylko potrenować łapanie piłki.

Zamilkła, a wtedy Zack zapytał:

- I rzeczywiście trenują?

Skinęła głową, jej wrażliwe rysy wyrażały zachwyt.

- Razem z pozostałymi zawodnikami, i to każdego dnia. A potem idą do Johnny'ego i to on pomaga Williemu w nauce. Okazało się, że chociaż Johnny nie brał czynnego udziału w lekcjach, jest bardzo pojętny i chłonie wszystko jak gąbka. A jeszcze teraz znalazł sobie cel, i nie poddaje się. Nigdy nie widziałam takiej determinacji. - Nieco zażenowana swym emocjonalnym wystąpieniem, Julie zamilkła i zajęła się stekiem.

## ROZDZIAŁ 24

Zack skończył jeść, wygodniej rozparł się na kanapie i założył nogę na nogę. W milczeniu obserwował płomień tańczący na palenisku, a Julie, teraz już w spokoju, kończyła kolację. Próbował skupić myśli na dalszej podróży, ale syty i odprężony wciąż wracał do zdumiewającego - i przewrotnego - kaprysu losu, który spowodował, że Julie Mathison siedziała naprzeciwko. W ciągu długich tygodni przygotowań obmyślał każdy szczegół ucieczki i marzył o swej pierwszej nocy w tym domu.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby mieć towarzystwo. Dla tysiąca powodów byłoby lepiej, gdyby pozostał sam. Ale skoro ona już tu jest, nie może, jak gdyby nic, zamknąć jej w pokoju na klucz, podawać jedzenie i udawać, że nic się nie stało. Jednak już po pierwszej godzinie spędzonej w jej towarzystwie miał ochotę postąpić właśnie tak, bo zmusiła go do zadumy nad swym życiem, nad tym, czego w nim zabrakło i czego nigdy mieć nie będzie.

Pod koniec tygodnia ruszy dalej, a tam, dokąd się wybiera, nie znajdzie luksusowych górskich chat z przytulnie huczącym na kominku ogniem; nie będzie wiódł wzruszających rozmów o małych, kalekich chłopcach z panią nauczycielką o oczach jak anioł i uśmiechu, który mógłby skruszyć kamień. Nie pamiętał, by kiedykolwiek widział kobietą twarz rozjaśniającą się tak jak jej, gdy opowiadała o „swoich dzieciach”! Znał wiele młodych, ambitnych dziewcząt, które zachwycała perspektywa otrzymania od niego roli czy chociaż biżuterii, najwspanialszych aktorek - na scenie lub poza nią, w łóżku i poza łóżkiem - odgrywających nad wyraz przekonująco namiętność i miłość, ale aż do dzisiejszego wieczora nie spotkał się z czymś tak autentycznym, szczerym, prawdziwym.

Gdy w wieku osiemnastu lat, w kabine pociągarówki jechał do Los Angeles, krztusząc się łzami, które ze wszystkich sił próbował ukryć, poprzysiągł sobie nigdy nie patrzeć za siebie, nie zastanawiać się, jak jego życie mogłoby wyglądać, gdyby sprawy potoczyły się inaczej. Jednak teraz, w wieku trzydziestu pięciu lat, gdy uczynki, które popełnił lub jakich był świadkiem, zmieniły go, uczyniły twardym, na widok Julie Mathison nie mógł oprzeć się pokusie oddania się marzeniom.

Podniósł do ust szklankę z brandy i patrzył, jak polano spada z kraty paleniska w chmurze iskieł. Zastanawiał się, co by się wydarzyło, gdyby wcześniej spotkał kogoś takiego jak ona. Czy byłaby w stanie uratować go przed nim samym, nauczyć wybaczenia, zmiękczyć serce, wypełnić pustkę w życiu? Czy umiałaby postawić przed nim ważniejsze, dające więcej

satysfakcji cele od zdobywania pieniędzy, zabiegania o pozycję i uznanie, za którymi pogoń wypełniła mu życie? Czy z kimś takim jak Julie przeżywałby coś lepszego, głębszego, trwającego dłużej niż błysk orgazmu?

Nagle uderzył go całkowity bezsens podobnych rozważań, własna naiwność. Gdzież, u diabła, miałby poznać kogoś takiego jak Julie Mathison? Do osiemnastego roku życia otaczała go służba i rodzina, sama ich obecność stanowiła nieustanne przypomnienie towarzyskiej wyższości. W tamtych czasach córka pastora z małego miasteczka nawet nie otarłaby się o krąg jego znajomych.

Nie, wtedy by jej nie spotkał, tym bardziej na kogoś takiego nie trafiłby w Hollywood. Ale gdyby, jakimś zrzędzeniem losu, poznał Julie właśnie tam? Zastanowił się, w skupieniu zmarszczył brwi. Gdyby w jakiś sposób bez uszczerbku przetrwała otoczona oceanem zepsucia, niepohamowanej żądz i wybujałych ambicji, jakim było Hollywood, czy zauważyłby ją? A może zepchnęłyby ją na drugi plan piękniejsze, bardziej seksowne, światowe kobiety?

Gdyby wkroczyła do jego biura na Beverly Drive i poprosiła o zdjęcia próbne, czy dostrzegłby subtelność rysów, te nieprawdopodobne oczy, smukłą postać? A może przeoczyłby to wszystko, bo przecież nie była wyzywającą pięknnością o figurze jak klepsydra? Gdyby spędziła w jego gabinecie godzinę i rozmawiała z nim tak, jak dzisiaj wieczorem, czy naprawdę potrafiłby docenić jej dowcip, inteligencję, pozbawioną afektacji szczerłość? A może, spoglądając na zegarek, pozbyłby się jej, bo nie znałaby się na filmowym fachu ani nie dawała nadziei na szybkie pójście z nim do łóżka - a tylko te dwie sprawy tak naprawdę go interesowały.

Obracał w dłoniach szklankę i zastanawiał się nad odpowiedzią na te wszystkie pytania, starając się zachować wobec siebie brutalną uczciwość. Po chwili wahań uznał, że zauważyłby delikatne rysy Julie, jej jasną cerę, wspaniałe oczy: w końcu był ekspertem od spraw urody, wcześniej czy później zwróciłby na dziewczynę uwagę. I na jej szczerłość i otwartość; wzruszyłaby go okazywanym bliźnim współczuciem i łagodnością, słodczą charakteru. Jak dzisiaj. Ale, z pewnością, nie zrobiłby jej próbnych zdjęć.

Ani nie oddał w ręce wziętego fotografa, który, Zack był pewien, potrafiłby wydobyć z niej całą świeżość typowej amerykańskiej dziewczyny, a zdjęcie zamieścił na okładce czasopisma o milionowym nakładzie, mimo że przekroczyła już wiek najlepszy do rozpoczęcia kariery modelki.

Przeciwnie, kazałby jej natychmiast opuścić biuro i wracać do domu, wyjść za mąż za tego jej prawie narzeczonego, mieć dzieci; przeżyć w życiu coś znaczącego. Bo nawet w

swych najgorszych chwilach, przy całym zmęczeniu życiem, Zack nigdy nie chciałby, by ktoś tak delikatny i świeży jak Julie Mathison został poddany manipulacji, wykorzystany i zepsuty przez Hollywood. Czy przez niego.

Ale co by się stało, gdyby, pomimo jego rad, uparła się przy filmowej karierze? Czy wtedy wzięłby ją sobie do łóżka, gdyby chciała?

Nie.

A czy on chciałby tego?

Nie!

Czy chciałby ją widywać na lunchach, wieczornych przyjęciach?

Na Boga, nigdy!

Dlaczego?!

Odpowiedź znał doskonale. Popatrzył na dziewczynę, jakby chciał umocnić się w tym przekonaniu: z podwiniętymi nogami siedziała na kanapie i patrzyła na wiszący nad kominkiem pejzaż, blask płomieni zamigotał w jej lśniących włosach, okalających twarz spokojną i niewinną jak dziewczynki z chóru na Pasterce. I właśnie dlatego nie chciałby, żeby mieli ze sobą coś wspólnego ani przed jego pójściem do więzienia, ani, tak naprawdę, teraz.

Chociaż był od niej tylko dziewięć lat starszy, dzieliły ich całe wieki doświadczeń - także sprzed więzienia - których na pewno nie pochwaliliby. Przy jej młodzieńczym idealizmie Zack czuł się stary i do cna wypalony.

Patrzył na nią, ubraną w olbrzymi, niekształtny sweter, niesamowicie seksowną - poczuł wzbierającą żądzę. I zaraz zganił się w myślach: „Ty stary, obrzydliwy lubieżniku!”

Chociaż, pomyślał z zadowoleniem, pociągając następny łyk brandy, dzisiaj wieczorem potrafiła także sprawić, że się roześmiał. Pochylił się do przodu, oparł ręce na kolanach i wpatrywał się w pustą szklankę. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek potrafi wysłuchać sprawozdania z meczu futbolowego bez przypomnienia sobie jej uwag o tym, że są: *fullback*, *halfback* i *quarterback*, a brakuje *three-quarter backa*. A czy kiedykolwiek potrafi powstrzymać uśmiech, gdy usłyszy o jakimś futbolistce jako o *tight end*, bo zdaniem Julie Mathison rozsądek nakazywałby, by istniał także *loose end*?

Przyszło mu do głowy, że Julie ani razu nie zapytała o jego filmowe życie. Nie przypominał sobie, by wcześniej spotkał kobietę czy mężczyznę, którzy z wylewnością - rzadko szczerą - nie oświadczyliby z miejsca, że jest ich ulubionym bohaterem filmowym i nie zarzucali pytaniami dotyczącymi osobistego życia jego lub innych aktorów, będących akurat „na fali”.

Nawet więźniowie, ci zatwardziali i najbardziej krwiożerczy, oszołomieni jego przeszłością palili się, by powiedzieć mu, które z jego filmów najbardziej im się podobały. Całe to wścibstwo, przeplatane pochlebstwami, złościło go i napawało niesmakiem.

A teraz czuł się trochę dotknięty, bo Julie Mathison zachowywała się tak, jakby nigdy o nim nie słyszała. Może w miasteczku, w którym mieszka, nie ma nawet kina, pomyślał, może, przez całe swoje życie na głuchej prowincji, z dala od wielkiego świata, nie oglądała żadnego filmu.

Bóg raczy wiedzieć... może chodziła tylko na te dawne filmy, ze wstępem bez limitu wieku! Na te, w których on występował, młodzież poniżej siedemnastego roku życia mogła wejść wyłącznie w towarzystwie dorosłych, a to z powodu dość paskudnego języka, przemocy, seksu, czasem wszystkich tych trzech spraw naraz. Zack często czuł się jakby trochę zażenowany swoją twórczością - pruderia? - zapewne dlatego z własnego wyboru nigdy nawet nie zbliżyłby się do kobiety podobnej Julie.

Z zadumy wyrwał go jej głos:

- Nie wyglądasz, jakbyś przesadnie rozkoszował się tym wieczorem.

- Myślałem, czy nie wysłuchać wiadomości - powiedział wymijająco.

Julie, którą to jego zachmurzone milczenie zaczynało niepokoić, uczepliła się propozycji: miała już dość rozważań, jest winny morderstwa czy nie... i czy znów ją pocałuje, zanim pójda spać.

- Dobry pomysł - odparła. Podniosła się z kanapy i sięgnęła po talerz. - Wyszukaj właściwy kanał, a ja pozbięm ze stołu.

- I sprawisz, że nie wywiążę się z naszej umowy? O nie, to ja uprzątnę talerze.

Patrzyła, jak Zack zbiera naczynia i wychodzi do kuchni.

Już od godziny dręczyły ją wątpliwości co do jego winy. Pamiętała, z jaką wściekłością mówił o przysięgłych, którzy wysłali go do więzienia, i tę przejmującą rozpacz w jego głosie, gdy prosił tam, w śniegu, o namiętny pocałunek, który oszukał kierowcę ciężarówki: „Proszę! Nikogo nie zabiłem! Przysięgam!”

W tamtej chwili zasiał w jej głowie zdradzieckie ziarno wątpliwości, teraz, siedemnaście godzin później, zdawało się wzejść na dobre i zapuścić korzenie - myśl o tym, że niewinny człowiek mógł spędzić pięć lat w więzieniu, napawała ją przerażeniem. Także z innych, znajdujących się poza jej kontrolą przyczyn, stawał jej się coraz bliższy. Wspomnienie pocałunku, dreszczu, jaki przeszył jego ciało, gdy mu się poddała, okazywanej przez niego powściągliwej kurtuazji nie dawało jej spokoju.

Po raz chyba dwunasty w ciągu ostatniej godziny pomyślała, że prawdziwy morderca nie zawracałby sobie głowy delikatnością przy pocałunku, nie traktował jej z taką serdecznością i pogodą, jakie, poza nielicznymi wyjątkami, okazywał.

Rozsądek przekonywał: sama się oszukujesz, przysięgli nie mogli się aż tak pomylić. Ale dzisiejszego wieczora, ile razy na niego popatrzyła, instynkt podpowiadał, że ten człowiek jest niewinny i nie mogła znieść myśli o tym, przez co musiał przejść.

Wrócił do salonu, usiadł naprzeciw niej, wyciągnął i skrzyżował w kostkach długie nogi.

- Po wiadomościach możemy oglądać, co tylko zechcesz - powiedział z wzrokiem wbitym w ekran telewizora.

- Świetnie. - Ukradkiem obserwowała go przez stół. W tej przystojnej twarzy widać było niepokromioną dumę, w wysuniętej brodzie upór, a inteligencję i siłę charakteru w każdym rysie. Dawno temu, przed laty, czytała wiele artykułów napisanych o nim zarówno przez „młodych gniewnych” reporterów, jak i uznanych krytyków filmowych. Często porównywano go z największymi gwiazdami epoki. Julie szczególnie dobrze zapamiętała opinię wygłoszoną w telewizji: osoba Benedicta to konglomerat cech tych najlepszych-zwierzęcego magnetyzmu Seana Connery, talentu Newmana, charyzmy Costnera, „machismo” młodego Eastwooda, gładkiej światowości Warrena Beatty, wszechstronności Michaela Douglasa i surowego wdzięku Harrisona Forda.

Teraz, po spędzeniu wspólnie prawie dwóch dni, stwierdziła, że żaden z artykułów, jakie czytała, nie charakteryzował go właściwie, a kamera filmowa też nie zdołała wytropić jego najlepszych cech. Julie domyślała się dlaczego: w prawdziwym życiu emanował trudną do sprecyzowania siłą i osobistym urokiem, które miały niewiele wspólnego z jego wysoką, muskularną sylwetką ani z tym sławnym, kpiarskim uśmiechem.

Było w nim coś jeszcze... Julie czuła, za każdym razem, gdy na niego popatrzyła, że - nie wspominając nawet o pobycie w więzieniu - Zachary Benedict robił i widział w życiu prawie wszystko, co było do zrobienia i zobaczenia. Jego doświadczenia znajdowały się pieczołowicie ukryte za niemożliwym do sforsowania murem światowych manier, leniwego wdzięku, przeszywającego spojrzenia złotych oczu - poza zasięgiem jakiegokolwiek kobiety.

I w tym, pomyślała, tkwi prawdziwy jego urok: wyzwanie. Pomimo wszystkiego, przez co przeszli w ciągu ostatnich dwóch dni, Zachary Benedict sprawił, że ona - jak pewnie każda kobieta, która poznała go osobiście lub z ekranu - zapragnęła wyszukać słaby punkt w tej barykadzie. Odkryć, co się za nią znajduje, rozebrać i odnaleźć tego chłopca, którym

kiedyś musiał być, sprawić, by mężczyzna, jakim jest teraz, śmiał się głośno i stał się czuły, pełen miłości.

I zaraz ze strony własnego ja spotkała ją surowa reprimenda. Nic z tych spraw nie ma znaczenia! Liczy się tylko to, czy dokonał morderstwa. Raz jeszcze ukradkiem popatrzyła na niego i poczuła w sercu ból.

Była pewna, że jest niewinny. Czuła to. Na myśl, że ten piękny i inteligentny mężczyzna spędził zamknięty w klatce pięć długich lat, niemal zapłakała. Przez głowę przeleciał jej widok więziennego bloku, niezliczonych cel, usłyszała szcęk zatraskiwanych krat, krzyki więziennych strażników, zobaczyła mężczyzn pracujących w pralni i w więziennym ogródku, pozbawionych wolności i swobody. I godności.

Głos spikera odczytującego wiadomości przykuł jej uwagę: „Teraz podamy wiadomości stanowe i lokalne, także poinformujemy o śnieżycy, jaka nadciągnie do nas dzisiejszego wieczora, potem przejdziemy do ogólnokrajowych. Na początek Tom Brokaw poda wiadomość o wyjątkowej wadze”. Julie nagle wstała, zbyt nerwowa, by usiedzieć beczynnienie, ale głos Toma Brokawa przytrzymał ją na miejscu:

„Dobry wieczór, panie i panowie. Dwa dni temu Zack Benedict, kiedyś jeden z największych gwiazdorów Hollywood i wybitny reżyser, uciekł z więzienia stanowego w Amarillo, gdzie odsiadywał karę czterdziestu pięciu lat za podstępne zamordowanie, w 1988 roku, swej żony, aktorki Rachel Evans”.

Julie odwróciła się w samą porę, by ujrzeć wypełniające cały ekran zdjęcie Zacka w więziennym uniformie, z numerem na piersi. Jak zahipnotyzowana tym, co zobaczyła, słuchała dalszych słów Brokawa: „Uważa się, że Benedict podróżuje z tą kobietą...”

Aż zatkało ją na widok swojej fotografii sprzed roku: w skromnej szmizjerce, z kokardą przy kołnierzyku, stała wśród uczniów trzeciej klasy.

„Policja w Teksasie informuje, że tę kobietę, Julie Mathison, lat dwadzieścia sześć, widziano ostatnio w Amarillo dwa dni temu, kiedy wsiadała do chevroleta blazera z mężczyzną odpowiadającym rysopisowi Benedicta. Początkowo uważano, że pannę Mathison uprowadzono...”

- Początkowo? - wybuchnęła Julie. Patrzyła na Zacka, który powoli wstawał z kanapy.  
- Co to znaczy „początkowo”?

Natychmiast otrzymała przerażającą odpowiedź. Brokaw mówił dalej: „Teoria porwania prysnęła jak mydlana bańka dzisiaj po południu, gdy Pete Golash, kierowca ciężarówki, doniósł o napotkaniu pary odpowiadającej rysopisom Benedicta i Mathison w Kolorado, na parkingu dla ciężarówek, o świcie dziś rano...”

Na ekranie pojawiła się, z taśmy wideo, dobroduszną twarz Petera Golasha i Julie zrobiło się aż niedobrze z wściekłości i wstydu, gdy usłyszała: „Ta para rzucała do siebie śnieżkami jak jakieś dzieciaki. Potem ta kobieta, Julie Mathison - jestem pewien, jak diabli, że to była ona - potknęła się i upadła. Benedict wylądował na niej i za moment już się migdalili. Całowali się. Ona z pewnością nie zachowywała się jak zakładniczka”.

- O mój Boże! - westchnęła Julie. Przycisnęła rękami brzuch, z trudem przełykała gorzyc rosnącą jej w gardle. W ciągu kilku chwil paskudna rzeczywistość zniszczyła przytulną atmosferę panującą w górskiej chatce. Cały gniew Julie skierował się przeciwko mężczyźnie, który ją tu przywiódł - widziała go teraz takim, jaki był na ekranie telewizora: skazańca w więziennym uniformie, z numerem na piersi.

Nim zdążyła ochłonąć, ekran zajaśniał jeszcze bardziej męczącą sceną i Brokaw powiedział: „Nasz reporter Phil Morow jest w Keaton w Teksasie, gdzie Mathison mieszka i uczy w trzeciej klasie szkoły podstawowej. Udało mu się przeprowadzić krótki wywiad z jej rodzicami, z pastorem i jego żoną, panią Jamesową Mathison...”

Okrzyk protestu wyrwał się ust Julie, gdy poważna, pełna godności twarz ojca spozjrzała na nią z ekranu, a stanowczy, ufny głos starał się przekonać cały świat o jej niewinności:

„Jeżeli Julie jest z tym Benedictem, to z pewnością wbrew swej woli. Kierowca ciężarówki, który twierdzi co innego, albo myli się co do osób, które widział, albo w ocenie sceny, którą obserwował. Nie mam nic więcej do powiedzenia” - zakończył, obrzucając pełnym potępienia spojrzeniem reporterów już cisnących się zewsząd z pytaniami.

Zalewana falami wstydu oderwała oczy od ekranu i przez mgłę łez patrzyła na Zacharego Benedicta, podchodzącego do niej pośpiesznie.

- Ty draniu! - krzyknęła i cofnęła się, gdy znalazł się tuż obok.

- Julie. - Sięgał ku jej ramionom, daremnie próbując pocieszyć.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła. Usiłowała odsunąć dłonie Zacka, ale w końcu zrezygnowana przypadła do jego piersi i wybuchnęła płaczem. - Mój ojciec jest pastorem - wyszłochała - szanowanym człowiekiem, a ty postarałeś się, by jego córka wyszła na jakąś dziwkę! Jestem nauczycielką! - krzyczała histerycznie. - Uczę małe dzieci! Myślisz, że pozwolę mi dalej pracować po tym, jak stałam się bohaterką głośnego w całym kraju skandalu, tą, która tarza się w śniegu ze zbiegłym mordercą?

Do Zacka dotarło, że dziewczyna ma rację i poczuł ból, jak przy zacięciu się wyszczerbioną brzytwą. Przytulił ją mocniej.

- Julie...



- Przez ostatnie piętnaście lat - mówiła ze szlochem - starałam się być bez zarzutu, pod każdym względem. I udało mi się. - Nie mogła powstrzymać łez. Rozpaczliwy żal udzielił się Zackowi, choć nie rozumiał jego istoty. - Wszystko na nic!

W końcu, jakby fizycznie wyczerpana, przestała walczyć. Głowa opadła jej na piersi, ramionami wciąż wstrząsał szloch.

- Tak bardzo się starałam. - Zakrzuszyła się łzami. - Zostałam nauczycielką, aby rodzice mogli być ze mnie dumni. Chodzę do kościoła i uczę w szkółce niedzielnej. Ale po tym wszystkim nie pozwolą mi więcej...

Zack nie mógł dłużej znieść ciężaru jej rozpaczony ani własnej winy.

- Przestań wreszcie, proszę - szepnął błagalnie. Utulił ją w ramionach, głowę przygarnął do piersi. - Rozumiem i przykro mi. Jak to się już skończy, powiemy, jak było naprawdę.

- Ty rozumiesz! - powtórzyła z goryczą. Uniosła ku niemu zalaną łzami, pełną potępienia twarz. - Jak ktoś taki jak ty może pojąć, co czuję! - Ktoś taki jak on, pomyślał, zwierzę jak on.

- Mylisz się! - wybuchnął. Odsunął ją od siebie i mocno potrząsał, aż popatrzyła mu w oczy. - Dokładnie wiem, co znaczy cierpieć za coś, czego się nie popełniło!

Na widok wściekłości malującej się na jego twarzy i wyzierającej z oczu rozpaczony, Julie powstrzymała się od protestu przeciwko gwałtownemu, niemal brutalnemu uściskowi. Zack wbijał palce w jej ramiona i krzyczał głosem rozedrganym z emocji:

- Nikogo nie zabiłem! Słyszysz? Skłam i powiedz, że wierzysz! No powiedz, chcę usłyszeć, jak ktoś wypowiada te słowa!

Julie, która przed chwilą doświadczyła namiastki uczuć, z jakimi przyszło mu się zmagać - jeżeli rzeczywiście był niewinny - nie mogła oderwać się od tej myśli. Jeżeli jest niewinny... Przełknęła łzy i zamglonym wzrokiem wpatrywała się w wymizerowaną, przystojną twarz mężczyzny.

- Wierzę ci! - szepnęła, a łzy na nowo zaczynały przedzierać się przez zaporę rzęs i spływać po policzkach. - Naprawdę.

Zack usłyszał szczerą w tym pełnym łez zapewnieniu; w jej błękitnych oczach dostrzegł rodzące się współczucie i lodowy mur, jakim od lat otaczał swe serce, zaczął tajać, pękać. Uniósł dłoń i dotknął gładkiego policzka dziewczyny, kciukiem nadaremnie ścierał łzy.

- Nie płacz z mojego powodu - wyszeptał ochryple.

- Wierzę ci! - powtórzyła. Czułość brzmiąca w jej głosie burzyła resztki powściągliwości. W gardle poczuł skurcz, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył, przez chwilę stał nieruchomo, jakby sparaliżowany tym, co widział, słyszał i czuł. Jej oczy wyglądały jak zroszone deszczem bratki; łzy przywierały do grubych rzęs, płynęły po policzkach, by w końcu opaść na jego dłoń.

- Proszę, nie płacz - szeptał. Ustami z rozpaczą powstrzymywał drżenie jej warg. - Proszę, proszę, przestań... - Gdy poczuła dotyk jego łąpczywych ust, zeszywniała i ucichła. Nie wiedział, ze strachu czy z zaskoczenia. I nie dbał o to w tej jednej chwili. Pragnął tulić ją, rozkoszować się słodyczą uczuć, jakie budziły się w nim... pierwsze od lat... pragnął dzielić je z nią.

Nie śpiesz się, powtarzał w duchu, zadowolony się tym, na co pozwoli; wargami zagarniał jej usta, smakował sól łez. Nie chciał swą natarczywością zmuszać jej do czegokolwiek, ale przywoływanie się do opamiętania nie na wiele się zdało.

- Pocałuj mnie - nalegał, a niezdarna czułość, jaką słyszał we własnym głosie, była mu równie obca jak inne, ogarniające go uczucia. - Odwzajemnij pocałunek - powtórzył. Język w pogotowiu czyhał przy jej wargach. - Otwórz usta - rozkazał. Posłuchała!

Przywarła do niego, napierając rozwartymi wargami. Jęknął z rozkoszy. Pożądanie, pierwotne i potężne, rozgrzało w nim krew, i dalej pozwolił wieść się instynktowi.

Tulił ją mocniej, przechylał do tyłu, przyciskał do swoich jej biodra; jego wargi zmuszały, by szerzej rozwarła usta; język penetrował pachnącą wilgotność. Przycisnął ją do ściany; całował z całą namiętnością, napierał wargami, prowokował językiem; dłońmi wiódł po plecach, potem w górę, pod swetrem. Pod palcami czuł wilgotną jedwabistość delikatnej, nagiej skóry; pieścił wąską talię, głaskał plecy, ogarniał dłońmi brzuch, wreszcie poszukał piersi. Przywarła do niego mocniej i cicho jęczała, i ten słodki dźwięk niemal przywiódł go do granic wytrzymałości; ciało Zacka zadrżało, pieścił każdy cal jej piersi, ustami obejmował jej wargi, językiem szukał z wciąż narastającą łąpczywością.

Dla Julie to, co robił, było uwięzieniem jej w kokonie niebezpiecznej, przerażającej zmysłowości, gdzie już nad niczym nie miała kontroli. Zwłaszcza nad sobą. Pod niecierpliwymi palcami jej piersi nabrzmiały pożądaniem; rozgorączkowane ciało napierało na gwałtownie twardniejący członek mężczyzny; rozchylone usta z rozkoszą odbierały nieustającą inwazję języka.

Zack poczuł delikatne palce zanurzające się we włosach na karku, oderwał usta i przesunął do ucha dziewczyny.

- Boże, jaka jesteś słodka! - szeptał, palcami pieszcząc pączki sutków, sprawiając, by twardniały. Pragnął dawać jej rozkosz. – Maleńka - wyszeptał ochryple - jesteś tak niesamowicie piękna...

Być może właśnie to czułe słówko, jakiego użył - była pewna, słyszała je już kiedyś na jednym z jego filmów - a może zaskakujące nazwanie jej piękną, przerwały czar. Julie uświadomiła sobie, że w podobnej scenie oglądała go na ekranie niezliczoną ilość razy, z naprawdę pięknymi aktorkami. Ale tym razem to jej nagie ciało pieścił z profesjonalną biegłością.

- Przestań! - rzuciła ostro. Uwolniła się z jego ramion. Odepchnęła go, obciągnęła na sobie sweter. Zack, z opuszczonymi rękami, stał nieruchomo, oddychał głęboko i wyglądał na kompletnie zdezorientowanego. Twarz Julie wciąż pokrywał rumieniec pożądania, oczy nadal błyszczały, ale wyglądała na gotową do ucieczki. Łagodnie, jakby przemawiał do płochliwego żrebaka, zapytał:

- Co się stało, moja maleńka... ?

- Przestań natychmiast! - wybuchnęła. - Nie jestem „twoją maleńką”, chodzi o inną kobietę w innej scenie. Nie chcę, byś mnie tak nazywał. Ani słyszeć więcej, jaka jestem piękna.

Zack ze zdumieniem pokręcił głową. Julie patrzyła na niego, oddychała gwałtownie, w panice. Jakby oczekiwała, że zaraz rzuci się na nią, zedrze z niej ubranie i zgwałci, pomyślał. Powoli, najspokojniej jak potrafił, spytał:

- Boisz się mnie, Julie?

- Ależ skąd - powiedziała ostro, ale nim skończyła, już wiedziała, że to kłamstwo. Gdy zaczęli się całować, rozumiała, że dla niego ten pocałunek stanowił jakby samooczyszczenie, dlatego nie opierała się. Teraz, gdy wiedziała, że prosił o wiele, wiele więcej, przeraziła się. Bo tego właśnie chciała! Pragnęła poczuć jego dłonie na nagim ciele, mieć go w sobie. W ciągu tych kilku chwil, gdy milczała, jego namiętność przerodziła się w gniew. Teraz mówił głosem chłodnym, ostrym, twardym:

- Jeżeli nie boisz się, to o co chodzi? A może potrafisz okazać zbiegłemu więźniowi trochę zdawkowego współczucia, ale nie zamierzasz dopuścić go za blisko?

Niewiele brakowało, a Julie tupnęłaby, rozdrażniona jego sposobem myślenia i własną głupotą. Jak mogła pozwolić mu posunąć się tak daleko!

- Nie jesteś dla mnie odpychający, jeżeli o to ci chodzi.

- No to o co, jeżeli mogę zapytać? - W jego głosie zabrzmiało znużenie.

- Sam powinieneś się domyślić! - rzuciła gniewnie, odsuwając włosy z czoła. Rozglądała się wkoło rozpaczliwie, jakby szukała sposobu na przywrócenie porządku w świecie, który nagle w przerażającym tempie zaczynał wymykać jej się spod kontroli. - Nie jestem zwierzęciem... - zaczęła. Jej wzrok zatrzymał się na wiszącym trochę krzywo obrazie i podeszła, by go poprawić.

- A mnie za kogo uważasz, za zwierzę?

Złapana w pułapkę własnych słów, trochę oszołomiona jego bliskością, by zyskać na czasie, obejrzała się przez ramię. Na podłodze leżała zrzucona z kanapy poduszka.

- Uważam - powiedziała, podchodząc do niej - że jesteś mężczyzną, którego pozbawiono kobiet na pięć długich lat.

- To prawda, no i co z tego?

Ustawiała poduszkę przy oparciu kanapy. Zaczynała czuć się bezpieczniej- znalazła się trochę dalej od niego.

- No więc - tłumaczyła, przez szerokość kanapy udało jej się nawet obojętnie do niego uśmiechnąć - potrafię zrozumieć, że dla ciebie każda kobieta byłaby jak...

Zack złowieszczo uniósł czarne brwi, aż zbiegły się nad chmurnymi oczami. Julie speszona zamilkła, potem pośpiesznie pochyliła się i zajęła poprawianiem innych poduszek, ale już za chwilę mówiła dalej:

- Dla ciebie, po tak długim pobycie w więzieniu, każda kobieta byłaby jak ucztą dla głodnego. Każda - podkreśliła. - Jeżeli ten pocałunek sprawił, że poczułeś się lepiej, to postąpiłam właściwie.

Zack był upokorzony i wściekły. Widziała w nim tylko wygłodzone zwierzę, spragnionego seksu żebraka, któremu rzuca się okruchy ludzkich uczuć i, choć niechętnie, można podarować jeden pocałunek.

- Jaka pani szlachetna, panno Mathison - zakpił. Nie zwracając uwagi na jej błądność, z zamierzoną brutalnością mówił dalej: - Dwa razy poświęciłeś się dla mnie. Ale wbrew twemu przekonaniu nawet takie jak ja zwierzę jest zdolne do powściągliwości i dokonania wyboru. Krótko mówiąc, Julie, możesz się uważać za „uczte”, ale ten akurat mężczyzna, nieważne - spragniony seksu czy nie, jest w stanie ci się oprzeć.

Jego gniew, przerażający, wręcz namacalny, dla Julie, w jej obecnym stanie ducha, był zupełnie niezrozumiały. Cofnęła się o krok i mocno przycisnęła ręce do piersi, jakby broniąc się przed bolesnymi ciosami, jakimi ranił jej niczym nieosłonięte emocje.

W jej pełnych wyrazu oczach zagościły uraza i lęk. Zack, najwyraźniej zadowolony, że zdołał dokuczyć jej tak mocno, odwrócił się, podszedł do szafki stojącej obok telewizora i z obojętną miną przeglądał tytuły poustawianych na półkach kaset wideo.

Julie zrozumiała, że właśnie została odrzucona, ale zraniona duma burzyła się w niej na myśl o wymknięciu się do sypialni jak spłoszony królik. Zdecydowana nie uronić ani jednej łzy więcej, nie okazać, jaka jest dotknięta, zaczęła porządkować leżące na stole czasopisma.

- Idź do łóżka! Cóż to, obudziła się nagle w tobie gospodyni domowa? - Aż podskoczyła na dźwięk jego ostrego głosu.

Gazety wypadły jej z ręki. Popatrzyła na Zacka z wściekłością, ale bez słowa posłuchała go.

Kątem oka obserwował, jak wycofuje się, widział dumnie uniesioną brodę, docenił wdzięk, z jakim się poruszała. Z umiejętnością, jaką wyćwiczył do perfekcji już w wieku osiemnastu lat, odwrócił wzrok i całkiem na zimno usunął Julie Mathison ze swych myśli. Teraz skupił się na wiadomościach przekazywanych przez Toma Brokawa, zakłóconych przed chwilą wybuchem Julie. Był pewien, że w czasie, gdy próbował ją pocieszyć, Brokaw wspomniął o Dominicu Sandinim.

Usiadł na kanapie i ze zmarszczonym czołem patrzył na ekran. Nie mógł odżałować, że nie słyszał informacji. Za jakieś dwie godziny, przed samym końcem programu, wysłucha uaktualnionych wiadomości. Wsparł nogi na stoliku do kawy, wygodnie rozsiadł się na kanapie. Tak, zaczeka na nocne wydanie. Stanęła mu przed oczami twarz Sandiniego, z tą jego zuchwałą miną.

Lekki uśmiech pojawił się w kącikach ust Zacka, gdy pomyślał o energicznym, niepokornym Włochu. W ciągu całego życia tylko dwóch mężczyzn uważał za swych prawdziwych przyjaciół, jednym był Matt Farrell, drugim Dominie Sandini. Różniło ich tak wiele! Matt Farrell to potentat giełdowy na światową skalę; darzyli się wzajemnym, głębokim szacunkiem. Ich przyjaźń zrodziła się i umocniła podczas wielu wspólnych interesów.

Dominie Sandini to złodziejaszek nie mający z Zackiem nic wspólnego, a Zack nie uczynił absolutnie nic, by zasłużyć sobie na jego szacunek i lojalność. A jednak Sandini okazywał mu jedno i drugie, z całego serca i bezwarunkowo. Trywialnymi dowcipami i zabawnymi historyjkami o swej licznej rodzinie zdołał przebić się przez skorupę, za którą Zack próbował się skryć, a potem, nim się zorientował, Włoch świadomie postarał się o zadzierzgnięcie między nimi przyjaznych stosunków. Jego krewni przychodzili w odwiedziny

i zachowywali się tak, jakby więzienne podwórko stanowiło wymarzoną scenerię rodzinnych zjazdów.

Bez żenady wciskali mu w ramiona swoje pociechy, traktowali go z taką samą hałaśliwą mieszaniną serdeczności i surowej, rodzicielskiej troski, jaką okazywali Domowi. Teraz Zack pojął, jak wiele znaczyły dla niego ich listy i rozmaite frykasy - nawet czosnkowe salami mamy Sandini. Będzie mu ich wszystkich brakowało bardziej, niż przypuszczał.

Wsparł głowę na oparciu kanapy i przymknął powieki; wspomnienie Sandinich wyraźnie poprawiło mu humor. Postanowił znaleźć sposób na wysłanie Ginie ślubnego prezentu. A czym mógłby sprawić przyjemność Domowi? Na myśl o najbardziej praktycznym prezencie aż się roześmiał: firma sprzedaży używanych samochodów!

Jak się spodziewał, tuż przed północą powtórzono wiadomości podane wcześniej przez Toma Brokawa, ilustrując je taśmą wideo, którą Zack już widział, z Domem w roli głównej: z rękami nad głową, obszukiwany, zakuwany w kajdanki i upychany w samochodzie szeryfa z Amarillo. Jednak dopiero słowa spikera sprawiły, że Zack zaniepokoił się nie na żarty:

„Drugi zbiegły więzień, Dominie Sandini, lat trzydzieści, został ujęty i obezwładniony po krótkiej próbie stawiania oporu. Został przewieziony na przesłuchanie do więzienia stanowego w Amarillo, w którym dzielił celę z Benedictem, wciąż przebywającym na wolności. Naczelnik Wayne Hadley określa Sandiniego jako osobnika wyjątkowo niebezpiecznego”.

Zack, pochylony do przodu, z napięciem wpatrywał się w ekran i odetchnął dopiero, gdy nie dostrzegł na Dornie śladów brutalnego traktowania. A jednak rzeczy, jakie o nim wygadywano, zaskakiwały. Przecież zarówno media, jak i Hadley powinny traktować go jak bohatera - zesocjalizowanego więźnia, który wszczął alarm natychmiast po ucieczce kolegi. Wczoraj, gdy w wiadomościach wciąż mówiono o Sandinim jako o „drugim zbiegłym więźniu”, Zack złożył to na karb niedoinformowania dziennikarzy. Po prostu nie mieli jeszcze czasu na wywiad z Hadleyem i ustalenie prawdy. Teraz już z pewnością zdążyli dokładnie wypytać naczelnika więzienia. Ten jednak uparcie określał Sandiniego jako groźnego przestępcę. Dlaczego, zastanawiał się Zack, przecież powinien pękać z dumy - udało mu się wychować tak lojalnego obywatela!

Odpowiedź, która zaświtała w głowie Zacka, była nieprawdopodobna i nie do zniesienia: Hadley po prostu nie kupił wersji Dorna. Nie, to niemożliwe, pomyślał Zack, przecież postarał się, by alibi przyjaciela było nie do obalenia. Została więc tylko jedna możliwość: Hadley uwierzył Sandiniemu, ale zbyt rozwścieczony ucieczką Zacka, nie przyjął

do wiadomości niewinności Dorna. Tego Zack nie przewidział. Założył, że przerośnięte ego Hadleya każe mu chęć się postawą Dorna, zwłaszcza teraz, gdy media na okrągło trąbiły o incydencie. Nigdy nie przypuszczałby, że mściwość naczelnika weźmie górę nad jego pychą i zdrowym rozsądkiem. Jeżeli jednak do tego doszło, metody, jakich Hadley użyje wobec Dorna, by zemścić się na Zacku, mogą być przerażająco brutalne. W więzieniu szerzyły się ponure opowieści o biciu, czasami ze skutkiem śmiertelnym, jakiemu poddawano delikwenta w słynnym pokoju konferencyjnym Hadleya, przy asyście jego zaufanych strażników. Rutynowym tłumaczeniem, gdy zmaltratowane ciała przenoszono później do więziennego szpitala bądź kostnicy, było zawsze: „obrażenia powstały przy obezwładnianiu więźnia podczas próby ucieczki”.

Niepokój Zacka przeszedł w panikę pod koniec wiadomości, gdy z lokalnej stacji w Kolorado dodano: „Mamy ostatnią istotną wiadomość w sprawie ucieczki Benedicta i Sandiniego. Według oświadczenia, wydanego przed godziną w biurze naczelnika więzienia stanowego w Amarillo, Dominie Sandini po raz drugi usiłował uciec podczas przesłuchiwania go w sprawie współuczestnictwa w ucieczce Benedicta. Trzej strażnicy odnieśli obrażenia, zanim Sandiniego obezwładniono. Więźnia umieszczono w szpitalu więziennym; jak podano, jest w stanie krytycznym. Jak dotąd nic więcej nie wiadomo o charakterze obrażeń”.

Zack zmartwiał w szoku, z wściekłości żołądek podszedł mu do gardła. Odchylił głowę w tył i z całych sił powstrzymywał się od wymiotów. Wbił wzrok w sufit, wysoko nad głową, i ciężko przełykał ślinę. Wspomniął uśmiechniętą, pełną optymizmu twarz Dominica i rubaszne dowcipy, jakimi tamten sypał jak z rękawa.

Z telewizora wciąż dochodziły słowa spikera, ale Zack prawie ich nie słyszał:

„Potwierdziła się plotka o buncie w więzieniu stanowym w Amarillo. Gubernator Teksasu Ann Richards rozważa możliwość wysłania oddziałów Gwardii Narodowej. Więźniowie z Amarillo, prawdopodobnie wykorzystując zainteresowanie mediów ucieczką Zacka Benedicta i Dominica Sandiniego, protestują przeciwko temu, co nazywają nieuzasadnionym okrucieństwem ze strony niektórych funkcjonariuszy, a także przepełnieniu cel i złemu wyżywieniu”.

Już dawno skończył się program, a Zack nadal siedział bez ruchu przed telewizorem. Udręczony rozpaczą, nie miał dość siły, by wstać. Wola przetrwania i ucieczki, która utrzymywała go przy zdrowych zmysłach przez ostatnie pięć lat, zaczynała słabnąć. Ogarnęło go znużenie ciągłymi zmaganiem ze śmiercią. Umarli mu rodzice, potem brat, dziadek, a wreszcie żona. Jeżeli Sandini nie przeżyje, to on, Zack, nie uwolni się od wyrzutów sumienia. Poczł się tak, jakby ciążyła nad nim jakaś makabryczna klątwa, która na każdego, kto jest

mu bliski, sprowadza przedwczesną śmierć. Nawet teraz, pogrążony w rozpacz, wiedział, że takie myśli, nie zrównoważone, obłąkane, zagrażają jego egzystencji. Ale wiedział też: od obłądu dzieli go bardzo niewiele.



## ROZDZIAŁ 25

Z zawiniątkiem ubrań właśnie wyjętych z suszarki, bosa, z mokrymi włosami przeszła przez pogrążony w ciszy salon do pokoju, w którym spędziła ostatnią, prawie bezsenłą noc. Była już jedenasta rano. Z dochodzącego z łazienki odgłosu spadającej wody wywnioskowała, że Zack też położył się późno i dopiero teraz bierze prysznic.

Z twarzą skrzywioną od tępego, pulsującego bólu głowy, apatycznie poddawała się rytuałowi suszenia i szczotkowania włosów. Potem włożyła dżinsy i sweter, w których trzy dni temu wyruszyła do Amarillo. Od tamtego ranka zdawały się upłynąć całe tygodnie - wtedy po raz ostatni wszystko wyglądało normalnie. Teraz już nic takie nie było, a najmniej uczucia, jakie żywiła wobec własnej osoby. Została wzięta jako zakładniczka przez zbiegłego więźnia; każda zwykła, przyzwoita i szanująca się kobieta zniecierpliwiliby porywacza i gardziła wszystkim, co sobą reprezentował. Każda inna, godna szacunku dwudziestosześcioletka stawiałaby opór Zackowi Benedictowi, w każdym momencie starając się pokrzyżować mu plany, uniknąć jego umizgów, sprawić, by go złapano i z powrotem umieszczono w więzieniu. Tam gdzie jego miejsce! Tak postąpiłaby przyzwoita, bogobojna młoda kobieta.

Ale nie Julie Mathison, pomyślała z goryczą i niesmakiem. Ona pozwoliła, by porywacz całował ją i pieścił; gorzej, znajdowała w tym rozkosz. Wczorajszego wieczora udawała przed samą sobą, że chce pocieszyć nieszczęśliwego człowieka, że tylko okazuje mu współczucie zgodnie z zasadami, w jakich ją wychowano. Teraz, w surowym świetle dnia, zrozumiała całe kłamstwo. Gdyby Zachary Benedict był starym, brzydkim mężczyzną, nie rzuciłaby mu się w ramiona, nie próbowałaby scałować jego smutku. Ani nie byłaby taka skłonna uwierzyć w jego niewinność! Prawda wyglądała następująco: uwierzyła w zupełnie nieprawdopodobne zapewnienia Benedicta, bo chciała, a potem pocieszała go, bo - oburzające! - pociągał ją. Zamiast uciec i spowodować, by wreszcie go ujęto, leżała w śniegu z tym człowiekiem, odwzajemniała pocałunki, ignorując tę wielce prawdopodobną możliwość: Pete, kierowca ciężarówki, nie doznałby żadnej krzywdy, gdyby wywiązała się walka.

W Keaton skrupulatnie unikała propozycji, i to ze strony tych przyzwoitych mężczyzn, jakie mogłyby narazić ją na dwuznaczne sytuacje. Z obłudą gratulowała sobie osiągnięcia wysokich standardów moralnych, wpajanych w nią przez przybranych rodziców. Teraz jednak prawda okazała się bolesna: ci przyzwoici nigdy nie budzili jej pożądania i teraz

zrozumiała, dlaczego - mogli ją pociągać tylko mężczyźni tacy jak ona, społeczne wyrzutki w rodzaju Zacka Benedicta. Osoby przyzwoite, powszechnie szanowane, nie potrafiły rozniecić w niej żaru; najwyraźniej potrzebowała szczypty przemocy, niebezpieczeństwa, zakazanej namiętności.

Z przerażeniem pomyślała, że chociaż Julie Mathison mogła wydawać się ogółowi surową wobec siebie, przyzwoitą, godną szacunku obywatelką, w głębi serca pozostała Julie Smith, dzieckiem ulicy, nie znającym prawdziwych rodziców. Zasady moralne społeczeństwa nic wtedy dla niej nie znaczyły, najwyraźniej od tamtego czasu niewiele się zmieniło - pani Borowski, kierowniczka LaSalle, miała rację. Na wspomnienie złośliwego głosu tej kobiety, jej wykrzywionej pogardą twarzy, Julie aż przeszedł dreszcz. „Lampart nie jest w stanie się zmienić, ty, Julie Smith, także nie. Możesz wodzić za nos tę przemądrzałą panią doktor, ale mnie nie nabierzesz. Jesteś z natury zła, jak ta zepsuta dziewczyna, z tego filmu w telewizji... Nie wyrośnie z ciebie nic dobrego, zapamiętaj moje słowa... nie ukręcisz bicza z piasku. Swój ciągnie do swego, dlatego trzymasz z tą uliczną hołotą. Oni są tacy jak ty -nic dobrego... NIC DOBREGO”.

Julie mocniej zacisnęła powieki, starała się odegnać bolesne wspomnienia, skupić myśli na mężczyźnie o gołębim sercu, który ją adoptował. „Jesteś dobrym dzieckiem, Julie - słyszała jego szept jak wtedy, gdy zjawiała się w swoim nowym domu. - Dobrą, kochającą małą dziewczynką. Wyrośniesz na wspaniałą młodą kobietę, pewnego dnia trafisz na dobrego, bogobojnego mężczyznę i zostaniesz cudowną żoną i matką”.

Dręczona wspomnieniem jego źle ulokowanego zaufania, wsparła ręce na toaletce i opuściła głowę.

- Myliłeś się... - szepnęła łamiącym się głosem. Prawda, którą wreszcie pojęła, nie była przyjemna: nie pociągali jej przyzwoici, pobożni mężczyźni podobni do Grega Howleya, ale tacy jak Zack Benedict, który oczarował ją w jednej chwili, przy pierwszym spotkaniu na parkingu obok restauracji. Poczowała niesmak, ale nie mogła zaprzeczyć: wczoraj wieczorem pragnęła pójść z nim do łóżka i on o tym wiedział. Rozpoznał ją, jak swój swego. I dlatego był wściekły, gdy powiedziała stop - gardził jej tchórzostwem. Zapragnęła go przecież od razu, jak tylko zaczął ją całować.

Pani Borowski miała rację - lampart nie pozbędzie się cętek.

Ale, jak sobie przypomniała, wielebny Mathison gorąco zaprotestował, gdy ją zacytowała. Delikatnie nią potrząsnął i powiedział:

- Zwierzęta nie mogą się zmieniać, ale ludzie tak, Julie! Po to Pan dał nam rozum i wolną wolę. Jeżeli pragniesz być dobrą dziewczynką, po prostu to uczyn. Zdecyduj się, a potem wytrwaj w postanowieniu!

Zdecyduj się, Julie...

Powoli uniosła głowę i spojrzała w lustro. Budziła się w niej nowa moc, nowa siła. Nie popełniła jeszcze czynu nie do wybaczenia. Jeszcze nie.

I zanim zrobi coś, czym zdradziłaby samą siebie, sprzeniewierzyła zasadom, w jakich ją wychowywano, musi wyrwać się ze szponów Zacharego Benedicta! O nie, poprawiła się ponuro, zrobi to! Zaraz. Musi uciec dzisiaj, zanim jej słaba wola, jej postanowienia nie osłabną do reszty pod wpływem jego niebezpiecznego uroku. W przeciwnym razie zostanie uznana za jego współniczkę, a wtedy spotka ją potępienie ogółu. Niemal ogarnięta histerią, przysięgła sobie, że ucieknie. Dzisiaj...

Podeszła do okna, odsłoniła firankę i spojrzała w twarz szarego, ponurego poranka. Wysoko na niebie piętrzyły się ciężkie, śniegowe chmury, wichur buszował w gałęziach sosen, uderzał w okiennice. W zadumie odtwarzała w pamięci drogę, którą tu przybyli. Pierwsze płatki wywołały na jej twarzy niewesoły uśmiech. W ciągu ostatnich dwóch dni widziała tyle śniegu, że wystarczy jej na resztę życia! Dwadzieścia jardów dalej, za drewnianym pomostem otaczającym dom, na skraju lasu, przybito do pnia drzewa duży, ogrodowy termometr na okrągłej podstawie. Trzy stopnie mrozu.

Na dźwięk włączonego radia, zaskoczona, uniosła głowę. Sprawca jej wszystkich nieszczęść najwyraźniej już się ubrał i czekał w salonie na najświeższe wiadomości.

Przez chwilę rozważała, czy nie zabarykadować się w swoim przytulnym, ciepłym pokoju i zaczekać, aż on wyniesie się tam, dokąd zdąży. Jeszcze szybciej zrezygnowała z tego pomysłu - niewykonalne! Przecież musi coś jeść, a w dodatku, gdyby nawet zdołała jakoś podeprzeć drzwi, w żaden sposób nie poradzi sobie z oknami. Co więcej, im dłużej pozostanie w jego towarzystwie, tym bardziej zmaleją jej szanse na przekonanie policji i mieszkańców Keaton, że nie była dobrowolną towarzyszką i kochanką zbiegłego mordercy.

Z westchnieniem przyjęła oczywisty fakt - wolność i szacunek znajdują się za tą nieznaną, pokrytą śniegiem górą, którą musi sforsować blazerem, jeżeli uda jej się uruchomić wóz bez kluczyka... albo pieszo. Jeżeli trzeba będzie iść, a to wydawało się najbardziej prawdopodobne, pierwszą potrzebą jest zabezpieczenie się przed zimnem.

Odwróciła się od okna i podeszła do dużej, wbudowanej w ścianę szafy, z nadzieją na „pożyczenie” jakichś cieplejszych rzeczy. Po chwili poszukiwań wydała okrzyk zadowolenia: na samym spodzie znalazła coś, co przypominało narciarskie kombinezony w rozmiarach dla

dorosłych, granatowe z czerwonymi i białymi wypustkami. Przyłożyła do siebie ten mniejszy - nadawał się. Przerzuciła go przez ramię, wróciła do sypialni i zaczęła przeglądać zawartość komody. Za chwilę znów radośnie krzyknęła; znalazła komplet zimowej, ocieplanej bielizny.

Z trudem zaciągnęła zamek dzinsów włożonych na grube kalessony - spodnie były tak obcisłe, że ledwie zginała nogi w kolanach. Ale jakoś sobie poradzi! Gorączkowo zastanawiała się, jak wywieść w pole Zacharego Benedicta. Musi uśpić jego czujność, wymknąć się jakoś. Jeżeli będzie uciekała pieszo, spowodować, że nie ruszy za nią, dopóki ona wystarczająco się nie oddali. Dlatego na razie nie włoży kombinezonu. Teraz powinna sprawić, by pomyślał, że wychodzi tylko po to, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Przybrała pogodną minę, obciągnęła na biodrach sweter i kurtkę z nadzieją, że Zack nie zwróci uwagi na jej nogi przypominające parę nadmiernie wypchanych kiełbasek ani na to, jak się porusza. Otworzyła drzwi i weszła do salonu.

Jej wzrok zatrzymał się na kanapie przy kominku, gdzie spodziewała się go zobaczyć. Stał jednak po drugiej stronie pokoju, z rękami głęboko w kieszeniach i przez okno wpatrywał się w padający śnieg. Jak mogła odwlekała chwilę stanięcia z nim twarzą w twarz, po raz pierwszy od wczorajszego wieczora. Patrzyła na jego dłoń, masującą kark, i zaraz pojawiły się natrętne myśli o zręcznych, długich palcach pieszczących jej piersi, o tym, jaką wtedy odczuwała rozkosz. A jednak zeszłej nocy wykazał godne uznania opanowanie. Pamiętała, że był równie jak ona podniecony, na wspomnienie napierającej na nią twardości oblała się rumieńcem.

Podnieciła go, potem nierozważnie odtrąciła. Rozzłościła, a on nie próbował uciec się do gwałtu...

Lekko odwrócił głowę; zobaczyła surową dumę wrytą na tym grubo ciosanym profilu, pełne wyrazu usta, które całowały ją z tak porywającą namiętnością. Twarz człowieka zdolnego do czulego i powściągliwego zachowania, nawet w chwili rozbudzonej namiętności, chociaż od pięciu lat nie miał kobiety. Ktoś taki nie mógł być mordercą...

Julie z gniewem przywołała się w myślach do porządku. Znowu zaczyna! Znowu jak idiotka stoi tu pełna współczucia dla tego zbrodniarza, idealizuje go tylko dlatego, że jest wysoki, przystojny, wręcz niesamowicie atrakcyjny. A ona jest kretynką, obrzydliwie, beznadziejnie w niego zapatrzoną!

- Przepraszam - powiedziała energicznym głosem, wystarczająco głośno, by przekrzyczeć radio.

Natychmiast odwrócił się i mrużąc oczy, patrzył na nią, ubraną jak do wyjścia.

- A dokąd to?

- Mówiłeś - odpowiedziała równie ironicznym tonem - że mogę swobodnie biegać po domu i okolicy. Zamknięta w tych ścianach, zaczynam wariować. Chcę zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Tam jest przeraźliwie zimno.

Zdając sobie sprawę, że Zack zaraz jej zabroni, szybko przybrała pojednawczy ton.

- Sam wiesz, zamarzyłabym z zimna, gdybym próbowała uciekać na piechotę. Po prostu potrzebuję trochę ruchu i świeżego powietrza. Chcę tylko pochodzić po ogródku i... - Zawahała się. Nagle przyszedł jej do głowy nowy pomysł. - Chcę ulepić bałwana! - powiedziała z dziecięcym entuzjazmem. - Proszę, tylko nie mów, że nie pozwalasz! Odkąd mieszkam w Teksasie, nie oglądałam tyle śniegu.

Nie wyglądał na przekonanego.

- Rób co chcesz, ale tylko w miejscu widocznym z okna.

- W porządku, dozorczo niewolników! - rzuciła z irytacją, rozgniewana jego apodyktycznością. - Ale od czasu do czasu wolno mi będzie zniknąć ci z pola widzenia, by poszukać gałęzi i innych rzeczy, jakie będą mi potrzebne?

W odpowiedzi uniósł brwi i popatrzył na nią chłodnym wzrokiem.

Julie uznała milczenie za zgodę, choć wiedziała, że intencje Zacka były zgoła inne. Podjęła decyzję: ucieknie - i, by jak najszybciej osiągnąć cel, była gotowa na wszystko, nawet pochlebstwa i udawaną beztroskę.

- Kiedyś robiłam moim bałwanom nosy z marchewki - mówiła z aktorskim talentem, którego istnienia dotąd u siebie nie podejrzewała. - Zobaczą, co mamy w lodówce - dodała z uśmiechem.

W pobliżu lodówki znajdowała się szuflada, w której, jeszcze wczoraj, widziała klucze o nietypowych nacięciach. Lewą ręką otworzyła lodówkę, a prawą, najciszej jak było można, wyciągnęła szufladę i na ślepo macała dłoń.

- Żadnych marchewek - rzuciła przez ramię. Z wymuszonym uśmiechem popatrzyła na Zacka, potem szybko zajrzała do środka. Leżał tam! Pochwyciła go pośpiesznie, ale wczoraj widziała ich więcej. Teraz zobaczyła wszystkie trzy, leżące pod jakimiś szpachelkami i mieszadełkami. Ze wzrokiem wbitym w otwartą lodówkę wzięła jeden, ale trzęsąca się dłoń i długie paznokcie uniemożliwiły zabranie pozostałych, zwłaszcza bez patrzenia. Gdy już niemal jej się udało, usłyszała, jak Zack poruszył się. Uniosła głowę - siedł w jej stronę. W wyszarpiętej z szuflady dłoni ścisnęła dwa klucze.

- Cze...ego chcesz? - zapytała drżącym ze zdenerwowania głosem.

- Czegoś do jedzenia, bo co?

- Tak się tylko zastanawiałam. - Zanim obszedł ladę, już stała po drugiej stronie. - Pewnie coś znajdziesz.

Przystanął i patrzył, jak Julie na sztywnych nogach podchodzi do szafy.

- Co ci się stało?

Ze zdenerwowania aż zaschło jej w ustach.

- Nic. To znaczy, znalazłam parę kalesonów w komodzie i włożyłam je pod dżinsy, żeby nie zmarznąć.

- Trzymaj się blisko domu - ostrzegł - nie każ mi cię szukać.

- Oczywiście - skłamała ochoczo. Otworzyła drzwi szafy w przedpokoju, w której wcześniej widziała narciarskie czapki i rękawiczki, należące pewnie do właściciela domu. - Jak myślisz, z czego powinnam zrobić oczy i nos? - beztrosko szczebiotała o szczegółach swego pomysłu. Nabierze go, pomyślała.

- Nie mam pojęcia i, tak naprawdę, nic mnie to nie obchodzi.

Zmusiła się do pełnej entuzjazmu miny i dalej przeglądała znajdujące się w szafie buty.

- W niektórych kulturach stawianie bałwana to znaczące przedsięwzięcie artystyczne - poinformowała. Podświadomie przybrała ten sam ton, jakim zwracała się do uczniów swej trzeciej klasy. - Wiedziałeś o tym?

- Nie.

- To wymagające poważnych przemyśleń misterium - dodała szczerze.

Nie odpowiedział, tylko w milczeniu zmierzył ją wzrokiem, potem odwrócił się na pięcie i poszedł do kuchni.

Julie chętnie zrezygnowałaby z dalszych prób nawiązania rozmowy, ale właśnie zaświtał jej w głowie kapitalny pomysł: już wie, jak, bez wzbudzania podejrzeń, zniknie mu z pola widzenia.

- W niektórych kulturach, gdzie śnieg i lodowe kształty uważane są za formy artystyczne, do bałwana przywiązuje się o wiele większe znaczenie niż do zwykłej kuli utoczonej ze śniegu. Wokół bałwana, przy wykorzystaniu gałęzi, owoców tarniny i kamieni, wznosi się najrozmaitsze obiekty. - Wciągnęła na dłonie wodoodporne rękawiczki narciarskie, znalezione na dnie szafy. Szeroko uśmiechnięta obejrzała się przez ramię, wstała i domknęła drzwi szafy. - Czy to nie interesujące? - zapytała.

Otworzył szafkę, z szuflady ze sztucami wyciągnął nóż.

- Fascynujące - zadrwił.

- Nie wyglądasz na zbyt zainteresowanego - skarżyła się. Wreszcie nie wytrzyma tej gadaniny, pomyślała, i każe jej się wynosić. - Przynajmniej mógłbyś się nad tym zastanowić. Miałbyś w przedsięwzięciu jakiś wkład. Pomyśl o satysfakcji, jakiej dostarcza postawienie bałwana i...

Zatrzasnął drzwi szafki tak energicznie, że z przestachem spojrzała na nóż w jego ręce.

- Julie - odezwał się zniecierpliwiony - zamknij się, do cholery!

Już sama zmiana jego nastroju wystarczyłaby Julie do przypomnienia, że Zack Benedict to niebezpieczny, nieobliczalny przeciwnik. Z połyskującym w dłoni nożem i oczami miotającymi nienawistne błyski wyglądał na osobę zdolną do popełnienia morderstwa z zimną krwią.

Zauważył bladość jej twarzy, przerażenie, z jakim wpatruje się w nóż, i nie mógł mieć wątpliwości, co dziewczyna o nim myśli. Kiełkujący w nim od wczoraj gniew spowodował wybuch:

- To prawda - rzucił drwiąco - zostałem skazany za morderstwo.

- Ale mówiłeś, że tego nie zrobiłeś - przypomniała, bezskutecznie starając się, by jej głos brzmiał spokojnie.

- Tak powiedziałem - drwił słodziutkim tonem, który przyprawił ją o dreszcz przerażenia - ale ty wiesz lepiej, prawda, Julie?

Nerwowo przełknęła ślinę i zaczęła wycofywać się korytarzem.

- Mogę wyjść z domu? - Nie czekając na odpowiedź, rzuciła się do drzwi.

Za jej plecami Zack stał nieruchomo. Starał się zachować spokój, nie myśleć o przerażeniu, jakie przed chwilą ujrzał na twarzy dziewczyny. Mówił sobie, że nie obchodzi go, co o nim myśli ani jak rozkosznie szczebioce o bałwanie. Ani jaka jest słodka, dobra, niewinna. Przy niej czuł się zbrukany, czuł, że wszystko już przeżył.

Kilka minut później w radiu zaczęto podawać wiadomości i od razu nastrój Zacka polepszył się. Według spikera, stan Sandiniego nie zmienił się - ani na lepsze, ani na gorsze. Trzyma się! Zack przeszukał całą skalę i wreszcie znalazł stację nadającą non stop wiadomości, żadnej muzyki. Właśnie wchodził do salonu, gdy komentator radiowy mówił, że kanadyjskie władze są przekonane, iż Zachary Benedict, w czarnym sedanie, dwa dni temu przekroczył granicę w okolicy Windsoru.

## ROZDZIAŁ 26

Niech to diabli - zaklęła cicho Julie, wysuwając się z blazera, zaparkowanego za domem, z dala od wielkich, frontowych i bocznych okien. W ciągu piętnastu lat, jakie upłynęły od jej pierwszej i zarazem ostatniej lekcji uruchamiania samochodu bez kluczyka, instalację elektryczną na pewno unowocześniono, a w dodatku nie wykazała się w tej dziedzinie zbytnią pojętnością i teraz nie miała pojęcia, jak połączyć ze sobą przewody, których kilka wyciągnęła spod deski rozdzielczej.

Drżąc z zimna, uzbierała naręcze sosnowych gałęzi i pognała z nimi przez wiatr i śnieg pod boczną ścianę domu. Przez całe piętnaście minut, jakie spędziła na dworze, on stał w oknie, bez ruchu jak kamienny posąg. Rzekoma potrzeba zebrania materiałów do budowy otoczenia bałwana pozwoliła jej, bez wzbudzenia podejrzeń - na co liczyła, zniknąć Zackowi z pola widzenia, ale bała się oddalać na dłużej. Miała nadzieję, że Benedict w końcu uzna ją za idiotkę marznącą na mrozie, by ulepić nikomu niepotrzebnego bałwana, i przestanie zwracać na nią uwagę.

Na przemarznięte uszy naciągnęła głębiej znaną w szafie, robioną na drutach czapkę, potem zaczęła toczyć śniegową kulę, ani na chwilę nie przerywając rozważań nad sposobem ucieczki: w tych warunkach wędrówka na piechotę byłaby samobójstwem, wiedziała o tym dobrze. Nawet gdyby nie zabłądziła podczas forsowania góry na przełaj, zamarzłaby, zanim dotarłaby do głównej drogi. A gdyby jakimś cudem i to jej się udało, i tak skończyłaby z zimna, zanim pojawiłby się jakiś samochód. Jadąc tu, przez ostatnie dwie godziny nie spotkali nikogo. Na zdobycie kluczyków od blazera nie miała szans, a nie umie, o czym przekonała się przed chwilą, uruchomić wozu bez nich.

- Musi istnieć jakaś inna możliwość wydostania się stąd - dodała sobie na głos otuchy, tocząc kulę w stronę sosnowych gałęzi. Z tyłu domu stał zamknięty na kłódkę garaż - Zack powiedział jej, że używa się go jako magazynu i dlatego nie mogą wstawić do niego samochodu. Może Zack kłamał, może nie wiedział na pewno. Jeden z kluczy, które zabrała z szuflady, wyglądał jak od kłódki, a jedyną, jaką tu widziała, umieszczono na drzwiach garażu. Ale nawet gdyby właściciel domu pozostawił w nim samochód, nic by jej to nie dało, bo choćby odnalazła kluczyki i uruchomiła go, ich auto skutecznie blokowało wyjazd z garażu.

Została tylko jedna możliwość. Bez zaglądanego do garażu domyślała się, co w nim znajdzie - narty.

W szafie w sypialni stały narciarskie buty, a nigdzie w domu nie widziała nart.



Jeszcze nigdy nie jeździła na nartach.

Będzie musiała spróbować. W telewizji i w kinie widziała narciarzy poruszających się płynnie i z łatwością. Przecież nawet dzieci jeżdżą na nartach, więc jej z pewnością też się uda.

Ale Zachary Benedict był narciarzem, przypomniała sobie ze strachem. Widziała go szusującego na jednym z filmów, kryminale dziejącym się w Szwajcarii. Na ekranie wyglądał na doskonałego narciarza, chociaż w trudniejszych momentach pewnie zastępował go kaskader. Z trudem, stękając z wysiłku, toczyła po śniegu ciężką kulę, coraz to większą i większą. Wreszcie, po dziesięciu minutach zmagania, ustawiła ją we właściwym miejscu - nie było jakiego wyczynu, zważywszy na to, z jakim trudem schylała się w obcisłych dżinsach. Przerwała budowę skończonego w jednej trzeciej bałwana. Rozrzuciła wokół, w półkolu, jak sobie wcześniej wymyśliła, sosnowe gałęzie, potem stanęła i udawała, że rozmyśla nad swoim dziełem.

Kątem oka popatrzyła w stronę okna; Zack dalej w nim stał, nieruchomy niczym kamienny strażnik. Już czas, pomyślała, na sprawdzenie, co jest w garażu. Zziębniętymi od mrozu, trzęsącymi się ze zdenerwowania rękami próbowała, bez powodzenia, włożyć do zamka ciężkiej kłódki pierwszy ze znalezionych kluczy. Wstrzymując oddech, wsunęła drugi - kabłąk kłódki odskoczył. Obejrzała się przez ramię na tylne drzwi domu, by upewnić się, że Zack nie wyszedł na dwór, potem uchyliła drzwi i weszła do środka.

Wewnątrz panowały ciemności. Po potknięciu się o łopatę i wpadnięciu na pojazd z olbrzymimi kołami, wreszcie znalazła na ścianie kontakt i nacisnęła go. Pomieszczenie eksplodowało światłem. Julie, przez chwilę oślepiąca, zmrużyła oczy, ale już po chwili rozglądała się wokół. Serce zabiło mocniej. Narty. W uchwytach na ścianie zobaczyła kilka par z kijkami. Po lewej stronie stał olbrzymi traktor z pługiem do odśnieżania. Julie wyobraziła sobie siebie w jego kabinie zjeżdżającą na złamanie karku pełną ostrych zakrętów trasą i zaraz odrzuciła tę możliwość. Nawet gdyby zepchnęła blazera z drogi zaryzykowała jazdę górkami serpentynami, pojazd narobiłby dość hałasu, by zaalarmować przebywającego w domu Benedicta. Co więcej poruszałyby się tak wolno, że zanim traktor nabrałby rozpędu, Zack wyciągnąłby ją z kabiny.

Pozostałą część garażu zajmowało dodatkowe wyposażenie traktora, opony do jazdy po śniegu, jakieś skrzynki i inny sprzęt. Wszystko przykryte dużą płachtą z czarnego brezentu.

Narty! Spróbować na nich zjechać? Jeżeli nawet przetrzyma mróz pewnie skręci kark. Pogoda też nie nastrajała optymistycznie. Musiałaby poczekać dzień lub dwa, bo wiatr wciąż

się wznosił, śnieg sypał coraz obficiej i zanosił się na prawdziwą zamieć. Bardziej kierowana ciekawością niż nadzieją, Julie zajrzała pod brezent. Aż krzyknęła z radości.

Pod płachtą stały dwa lśniące, granatowego koloru skutery śnieżne z przygotowanymi na siedzeniach kaskami.

Zgrabiałymi palcami próbowała wetknąć do stacyjki maszyny stojącej bliżej. Pasował! Podekscytowana wybiegła z garażu, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Pogoda, która jeszcze przed chwilą zdawała się taka groźna, przestała się martwić za jakieś pół godziny zaraz po przebraniu się w znaleziony w szafie kombinezon, chyłkiem wymknęła się z domu i wyruszyła drogą ku wolności. Nigdy dotąd nie miała do czynienia ze skuterem śnieżnym, ale przypuszczała że poradzi sobie, i to na pewno lepiej, niż gdyby przyszło jej użyć nart. Zdecydowana doprowadzić do końca plan, którego realizacja jak dotąd szła jej nadspodziewanie dobrze, uzbierała nęcące sosnowych gałęzi i rozrzuciła je wokół bałwana, aby sprawić wrażenie, że przez cały czas była zajęta zbieraniem drewna. Zachary Benedict wciąż obserwował ją z okna. A więc dobrze! Przystanęła i rozejrzała się jakby zastanawiała się, w jaki jeszcze sposób udekorować bałwana. Ale ani na chwilę nie przestawała myśleć o zbliżającej się wolności. Musi tylko przebrać się, włożyć suche rękawiczki. I pamiętać o zabraniu klucza od drugiego skutera, żeby Zack nie mógł wyruszyć w pogoń, jak już się połapie że uciekła.

Była gotowa. Ani śnieg, ani wiatr, ani uzbrojony zbiegły więzień nie pokrzyżują jej planów! Myślami znajdowała się już w drodze.

Benedict obserwował, jak Julie naciąga czapkę bardziej na uszy i odchodzi. Nie przejął się, gdy zniknęła mu z oczu ruszyła przez śnieg w poszukiwaniu przedmiotów potrzebnych do przystrojenia bałwana.

Gniew, jaki czuł wcześniej, opuścił go. Ulgę poczuł zwłaszcza po usłyszeniu wiadomości, że stan Sandiniego nie pogorszył się. Niemal z rozbawieniem obserwował, jak Julie z wielkim trudem toczy olbrzymią śniegową kulę, chociaż ledwo schyla się w opiętych dzinsach. Wykrzywił usta w uśmiechu, widząc, jak sobie radzi: gdy utoczyła wystarczająco dużą kulę, przestała pchać ją rękami. Odwróciła się, zaparła o nią plecami i pchnęła, używając siły nóg. Zacka aż korciło, by wyjść na dwór i pomóc jej.

Powstrzymał się jednak: pewnie gniewnie odrzuciłaby propozycję, a on tylko pozbawiłby się przyjemności patrzenia na jej krzątaninę. Aż do tej chwili nie wyobrażał sobie, że można znajdować taką przyjemność w oglądaniu dziewczyny lepiącej bałwana. Wiedział dlaczego - nigdy nie znał dorosłej kobiety, której przyszłoby do głowy oddawać się zajęciu tak pospolitemu i niewinnemu zarazem, jak zabawa w śniegu.

Jest dla niego zupełną zagadką, myślał, czekając, aż znowu ją zobaczy. Inteligentna i naiwna, skora do poświęceń i gwałtowna, namiętna i płochliwa - same przeciwieństwa. Wszystkie one pociągały go niepomiernie, ale najbardziej intrygowała całkowitym brakiem zepsucia. Z początku sądził, że aura niewinności istnieje tylko w jego wyobraźni. Ale wczoraj wieczorem okazało się przecież, że dziewczyna prawie nie umie całować! Ze zdumieniem zastanawiał się, jacy to nieudolni mężczyźni mieszkają w Keaton, ba, w całym Teksasie! A cóż to za ofiara z tego jej niedoszłego narzeczonego, że nie nauczył jej chociażby gry wstępnej? Podskoczyła niczym wystraszony królik, gdy dotknął jej piersi. Gdyby nie wiedział, że to w jej wieku i w dzisiejszych czasach niemożliwe, sądziłby, że dziewczyna wciąż jest dziewicą.

Uświadomił sobie, dokąd podążają jego myśli, i zaklął pod nosem. Za chwilę odwrócił się, zaskoczony odgłosem kroków Julie, dochodzącym od tylnych drzwi domu.

- Potrzebuję czegoś do ubrania bałwana - powiedziała z szerokim uśmiechem.

- Może dokończysz jutro - zaproponował, a wtedy uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Ale... ale świetnie się bawię! - zaprotestowała gorąco. - Jaką znajdujesz przyjemność w pozbawianiu mnie zajęcia wypełniającego mi czas?

- Nie jestem potworem! - rzucił ostro, wściekły na siebie za wzbudzenie w niej nowej fali lęku, jaki zaraz dojrzał w jej oczach.

- To pozwól mi skończyć!

- Dobrze - powiedział z westchnieniem zniecierpliwienia. - W porządku.

- Dziękuję. - Twarz dziewczyny rozpromieniła się.

Zack tajał w jej uśmiechu.

- Nie ma za co - odparł, zaskoczony łagodnością swego głosu. Z odbiornika w kuchni dochodził głos spikera informujący o dalszym rozwoju sytuacji w sprawie Benedict-Sandini. Zack, pozornie obojętny, kiwnął jej głową i patrzył, jak biegnie do sypialni, potem wszedł do kuchni i nastawił radio głośniej.

Właśnie nalewał sobie do kubka kawy, gdy komentator powiedział:

„Dziesięć minut temu redakcja wiadomości NBC otrzymała anonimowy telefon z więziennego szpitala w Amarillo, z informacją, że Dominie Sandini, który przed dwoma dniami usiłował zbiec z więzienia wraz z towarzyszem z celi, Zacharym Benedictem, zmarł dzisiaj rano o godzinie 11.15, podczas przewożenia do szpitala św. Marka. Śmierć Sandiniego, siostrzeńca bossa podziemnego świata Enrico Sandiniego, nastąpiła w wyniku obrażeń odniesionych przez niego po zaatakowaniu dwóch strażników, wczoraj, w czasie drugiej próby ucieczki...”

Julie właśnie wychodziła z sypialni, z narciarskim kombinezonem ukrytym za plecami, gdy do jej uszu dobiegła końcówka wypowiedzi spikera, a potem nieludzki ryk jej porywacza i dźwięk rozbijanego szkła - garnuszka, którym cisnął o wykafelkowaną podłogę kuchni.

Nie dostrzeżona przez niego, przez chwilę stała jak sparaliżowana: Zachary Benedict rzucał o ściany i podłogę wszystkim, co nawinęło mu się pod rękę, miotając przy tym straszliwe przekleństwa i groźby. Toster rozleciał się z trzaskiem na drobne kawałki, za chwilę jego los podzieliły młynek do kawy i dzbanek. Na koniec wszystko, co stało na ladzie - talerze, garnuszki i szklane pojemniki - poleciało na podłogę. Nic, co stało na wierzchu, nie oparło się jego niszczycielskiej furii, a on wciąż wykrzykiwał przekleństwa. I jak nagle rozpoczął się wybuch straszliwej wściekłości, tak samo niespodziewanie się skończył. Nagromadzony w Zacku gniew ulotnił się, siły opuściły go. Oparł dłonie na kuchennej ladzie, głowa opadła na piersi, zamknął oczy.

Julie, zahipnotyzowana przerażeniem, porzuciła wszelką nadzieję na wyciągnięcie kluczyka do skutera z szuflady znajdującej się teraz tuż obok biodra Zacka. Z plecami przy ścianie prześliznęła się do drzwi wejściowych. Ciszę przerwał rozpaczliwy jęk:

- Dom... Wybacz mi Dom. Wybacz...

## ROZDZIAŁ 27

Śmiertelnie przerażona sceną, której była świadkiem, biegła do garażu przez wirujące w powietrzu płatki śniegu. Wpadła do środka. Trzęsącymi się z pośpiechu dłońmi wciągnęła na siebie kombinezon, włożyła kask i rękawice. Teraz zaczęła przepychać przez drzwi skuter - bała się włączyć silnik, by hałas nie zaalarmował Zacka. Nareszcie. Przełożyła nogę przez siodełko, jeszcze trochę szamotała się z zapięciem hełmu, wreszcie przekreśliła w stacyjce kluczyk. Silnik ożył w jednej chwili, robił o wiele mniej hałasu, niż się obawiała, i już pędziła przez śnieg w stronę ściany lasu na drugim krańcu polany. Z trudem utrzymywała równowagę, modliła się w duchu, by Benedict nie usłyszał dźwięku skutera.

Żeby tylko się udało! Jak z narowistym rumakiem walczyła z maszyną o zachowanie nad nią panowania; pokonywała muldy, przemykała pod konarami drzew, rozgarniała na boki gałązki sosen. Gdy znajdzie się już na tyle daleko, by z domu nie można było jej zobaczyć, po upewnieniu się, że Zack nie jedzie za nią, skęci w stronę serpentyn wijących się aż do głównej szosy. Ale na razie musiała - tym lepiej dla niej - trzymać się lasu. Dalej wiatr dmuchał już na dobre, śnieżycą rozhułała się, przechodząc w prawdziwą burzę śnieżną.

Minęło pięć, potem dziesięć minut. Poczucie zwycięstwa i odzyskanej wolności dodawało odwagi. Jedynym, co przyćmiewało jej radość, było wspomnienie straszliwej rozpaczki Benedicta. Pomyślała, że to wręcz niewiarygodne, prawie niemożliwe, by ktoś, kto popełnił morderstwo z zimną krwią, potrafił odczuwać taki żal po śmierci przyjaciela z celi.

Obejrzała się przez ramię, by upewnić się, że Zack jej nie goni i zaraz krzyknęła przerażona - omal nie uderzyła w drzewo; ominęła je gwałtownym skretem.

Zack wyprostował się i w milczeniu patrzył na pobojuwisko: połamane przybory kuchenne i porozbijane naczynia leżały na podłodze.

- Cholera - powiedział ponuro i sięgnął po karafkę z brandy. Nalał trochę do szklanki i jednym haustem przełknął palący płyn. Usiłował zagłuszyć rosnący w piersi ból. Wciąż słyszał pogodny głos Dorna czytającego ostatni list od matki: „Hej Zack, Giną wychodzi za mąż! Tak bardzo chciałbym być na jej weselu”. Przypomniał sobie też inne chwile, jak choćby rady Sandiniego, znającego życie od podszewki. „Jeżeli potrzebny ci fałszywy paszport, Zack, to nie idź z tym do faceta o nazwisku Rubin Schwartz, nikt o nim nie słyszał. Zwróć się do mnie, skontaktuję cię z Wallym «Szczurem». To najlepszy fachowiec w kraju. Pozwól sobie pomóc, Zack...”

Pozwolił mu, a teraz Dom jest martwy.

„Hej Zack, chcesz jeszcze trochę salami od mamy? Mam mnóstwo, i to Rolaid”.

Zack stał przy oknie, popijał brandy i wpatrywał się w bałwana, dzieło Julie. Niemal czuł obok siebie pogodną obecność Dorna. Włoch potrafił czerpać radość z każdego drobiazgu. Teraz pewnie byłby na dworze i pomagał Julie lepić bałwana. Julie...

- Julie! - zawołał. Podszedł do tylnych drzwi i otworzył je. Strumień śniegu uderzył prosto w twarz. Musiał podeprzeć drzwi ramieniem, by podmuch wiatru nie zatrzasnął ich. - Julie, wracaj, bo zamroziś sobie... - Słowa rozplynęły się na wietrze, ale Zack nawet tego nie zauważył. Patrzył na głębokie ślady, powoli na nowo zapełniające się śniegiem. Ruszył po nich biegiem, zaprowadziły go do garażu z tyłu domu.

- Julie! - wrzasnął wściekły, otwierając na oścież drzwi. - Co, u diabła, tu robisz...

Przerwał, nie potrzebował komentarza do tego, co widział. Przenosił wzrok od śnieżnego skutera, wystającego spod brezentowej płachty, do bramy garażu. Tam zaczynały się ślady płóz, prowadzące prosto do lasu.

Przed chwilą byłby przysiągł, że nie jest w stanie czuć większego gniewu i żalu od tego, jaki ogarnął go na wieść o śmierci Dorna, ale wybuch furii i przerażenia, jaki teraz nastąpił, nie dawał się z niczym porównać.

Zimno. Kilka minut po wyjechaniu zza ściany lasu skierowała skuter w dół stromej, obrośniętej drzewami alei, którą przedtem pokonali blazerem. Czuła trudny do zniesienia, przeszywający do szpiku kości chłód. W kąciach oczu powstawały sopelki lodu; śnieg wtłaczał się w twarz, oślepiał; ręce i nogi całkiem zeszywniały, wargi... Pojazd sunął koleinami, ślizgał się na boki. Chciała nieco przyhamować, ale minęło kilka chwil, nim zdrętwiałe mięśnie posłuchały rozpaczliwego rozkazu.

Natomiast mróz zdawał się zupełnie nie wpływać na poczucie strachu, obawę, że Zack dogoni ją, udaremni ucieczkę, na obezwładniający lęk, że jeżeli nawet tak się nie stanie, to ona i tak umrze, zagubiona w śnieżycy, zasypana śniegiem. Wyobraźnia podsuwała obraz ekipy ratunkowej przybywającej tu wiosną i odkrywającej pod pagórkami topniejącego śniegu doskonale zachowane ciało, ubrane w ten szykowny, granatowy kombinezon do jazdy skuterem śnieżnym, z dopasowanym kolorystycznie hełmem na głowie, który także, była tego pewna, dobierano specjalnie do skutera. Idealny koniec, pomyślała smutno, dla dziewczyny ze slumsów Chicago, dążącej do wymarzonego ideału.

Daleko w dole, pomiędzy gałęziami, dojrzała drogę wijącą się wokół góry. Od miejsca, w którym się znajdowała, dzielił ją od niej odcinek stromego zjazdu; rosnące na zboczu drzewa i wszechobecne muldy czyniły go niemal nie do pokonania. Gdyby zdecydowała się tędy zjechać, znalazłaby się na dole w kilka chwil - był tylko jeden problem:

jak dojechać w jednym kawałku? Poza tym, zanim zacznie na serio rozważać drogę na przełaj, musi naprzód przedostać się przez wzburzony potok. Próbowwała przypomnieć sobie miejsce, w którym znajdował się most. Powinien wyłonić się za następnym ostrym zakrętem, ale trudno było cokolwiek teraz ocenić, gdy „droga” sprowadzała się do wąskiej koleiny pomiędzy zaspami śniegu.

Powinna zsiąść ze skutera i zrobić coś, co nieco rozgrzałoby jej zziębnięte członki, pobiegać czy choćby popodskakiwać w miejscu, ale szybko zganiła się w myślach - szkoda czasu! Jeżeli wcześniej, zanim odkrył jej ucieczkę - a pewnie tak było - śnieg zdążył zasypać ślady prowadzące od garażu do lasu, Zack z pewnością założy, że wybrała drogę, a wtedy dogoni ją szybciej, niż gdyby ruszył za nią na przełaj. Julie wołała się nie oglądać. Nie chciała odrywać oczu od ścieżki i ryzykować utraty kontroli nad pojazdem, do którego przecież nie nawykła. Ale gdy dotarło do niej, że powodzenie ucieczki zależy od tempa, w jakim śnieg zasypuje ślady, nie potrafiła się powstrzymać: szybko popatrzyła za siebie. Okrzyk przerażenia uwiązł jej w gardle. Wysoko nad nią, jeszcze daleko z tyłu, z lasu wypadł skuter i skręcił w stronę drogi. Nisko pochylony nad kierownicą jeździec zdawał się, niczym upiór zwiastujący nieszczęście, bez najmniejszych trudności przelatywać nad nierównościami terenu.

Przerażenie i wściekłość, jakie ją ogarnęły, odsunęły wszystko, nawet coraz dotkliwszy chłód, adrenalina wzburzyła krew. Z nadzieją, że jeszcze jej nie wypatrzył poprzez drzewa gęsto rosnące po obu stronach wąskiej drogi, rozejrzała się w poszukiwaniu miejsca, w którym mogłaby ukryć się tak, by przejechał, nie zauważywszy jej. Przed następnym zakrętem dostrzegła niewielką, wąską półkę. Aby się tam dostać, musi przejechać pomiędzy głazami ustawionymi dla ochrony samochodów przed stoczeniem się w przepaść, zwolnić i dotrzeć na skraj *plateau*, a potem poszukać kryjówki pomiędzy drzewami, których wierzchołki są widoczne po lewej stronie drogi. Nie miała czasu na wymyślenie niczego lepszego, więc skierowała skuter w przesmyk pomiędzy dwoma olbrzymimi kamieniami i nacisnęła hamulec.

Równina, a raczej półka, była o wiele mniejsza, niż wydawało się z góry. Przez kilka przeraźliwie długich sekund Julie szybowała w powietrzu w stronę rozłożystych sosen, wreszcie przód skutera zanurkował, niczym tracąca sterowność rakieta, w kępę drzew, w kierunku znajdującego się kilka stóp niżej potoku. Julie krzyczała. Czuła, jak siła ciężkości wrywa spod niej pojazd akurat w chwili, gdy otworzyły ku niej ramiona gałęzie olbrzymiej sosny. Uwolniony od ciężaru kierowcy pojazd runął w dół, zsunął się po lodzie nad sam brzeg

i wreszcie zatrzymał, wyrócony na bok, z kierownicą zawisłą nad burzącą się wodą, z płozami zaplątanymi w gałęziach na pół zatopionej osiki.

Julie, oszołomiona, leżała obok sosny, która złagodziła jej upadek, i patrzyła na skuter, podrywający się do skoku na nasypie drogi. W pogoni za nią... Musi coś zrobić; z wysiłkiem przewróciła się na bok, uklękła i schowała pod drzewem. Zobaczyła tylko płozy skutera, gdy Zack przemykał obok jej kryjówki. Weszła głębiej pod gałęzie, ale nawet nie spojrzał w tym kierunku. Zauważył jej skuter przewrócony na lodzie, teraz wciągany przez bystry prąd, i całą uwagę skupił na pojeździe.

Niezdolna do trzeźwej oceny sytuacji, patrzyła, jak Zack zeskakuje z maszyny jeszcze w biegu i pędzi w stronę potoku.

- Julie! - przekrzykiwał wyjący wiatr i, ku jej całkowitemu zaskoczeniu, wszedł na cienki lód. Najwyraźniej uznał, że wpadła do wody, i chce się upewnić, że nareszcie ma ją z głowy, pomyślała.

Albo chce odzyskać jej skuter. Patrzyła na pojazd, który właśnie porzucił. Maszyna znajdowała się bliżej niej niż Zacka; zdąży przed nim i, jeżeli jemu nie uda się wyciągnąć drugiego skutera z wody, znajdzie się na drodze wiodącej ku wolności. Bacznie obserwując plecy mężczyzny, ostrożnie wyczołgała się spod gałęzi, wyprostowała i powoli, skradając się od drzewa do drzewa, oddalała się od bezpiecznej kryjówki.

- Julie, odezwij się, na miłość boską! - krzyczał donośnym głosem, ściągając z siebie kurtkę. Lód zaczynał pękać. Tył znajdującego się obok skutera uniósł się i maszyna zaraz zniknęła w wirach rozszalałego potoku. Zamiast przejść w bezpieczne miejsce, Zack chwycił się gałęzi zatopionej osiki i, ku całkowitemu zaskoczeniu Julie, wszedł do lodowatej wody.

Ramiona, potem głowa zniknęły pod wodą. Julie ukryła się za następnym drzewem. Zack wynurzył się, by zaczerpnąć powietrza, zawołał jej imię i znów zanurkował, w tym czasie Julie dobiegła do ostatniej już sosny. Jakieś trzy jardy od jego skutera - bramy do wolności - zatrzymała się, bezradnie spoglądając na potok.

Rozum krzyczał w niej, że Zachary Benedict to zbiegły więzień, który potwierdził swe winy, biorąc zakładniczkę, że powinna oddalić się stąd jak najprędzej, skoro pojawiła się szansa. Ale sumienie zawołało donośniej: jeżeli zostawi go i zabierze skuter, on zamarnie na śmierć. Bo próbował ją ratować!

Nagle ciemna głowa, a potem ramiona pojawiły się na powierzchni obok zatopionego drzewa. Niemal załkała z ulgą, gdy zobaczyła, że Zack wyczołguje się na lód. Zaskoczona siłą jego woli i mięśni, widziała, jak opiera na lodzie ręce, wyciąga się z wody, a potem



chwijnym krokiem podchodzi do leżącej na brzegu kurtki i opada na kolana na śnieżnym pagórku obok.

Wewnętrzna walka pomiędzy rozumem a sercem rozhułała się w Julie na dobre: nie utonął, na razie był bezpieczny, więc jeżeli chce uciec, musi zrobić to natychmiast, zanim on uniesie głowę.

Sparaliżowana niezdecydowaniem, patrzyła, jak Zack podnosi kurtkę. Chwila ulgi na myśl, że ją włoży, przemieniła się w horror, gdy zrobił coś zupełnie przeciwnego: odrzucił kurtkę na bok, potem zaczął odpinać guziki koszuli, wreszcie oparł głowę na pagórku i zamknął oczy. Płatki śniegu wirowały wokół, przylepiały się do jego mokrych włosów i ciała. Nagle zrozumiała: nie zamierzał wracać do domu! Najwyraźniej przekonany, że utonęła, uciekając przed nim, dobrowolnie wyznaczył sobie karę śmierci.

„Powiedz, że wierzysz w moją niewinność!” - domagał się wczoraj. W jednej chwili Julie opuściły wątpliwości - człowiek, który chce umrzeć, bo czuje się winnym jej śmierci, w sprawie zabójstwa jest niewinny!

Nieświadoma łez płynących po policzkach ani tego, że biegnie, pędziła w dół zbocza do miejsca, w którym siedział. Gdy zbliżyła się wystarczająco, by zobaczyć jego twarz, wyrzuty sumienia i czułość niemal rzuciły ją na kolana. Z głową odchyloną w tył, z zamkniętymi oczami wyglądał jak uosobienie rozpacz.

Nie czuła zimna; uniosła kurtkę i wyciągnęła w kierunku Zacka.

- Wygrałeś, wracajmy do domu - wyszeptała błagalnie przez ściśnięte gardło:

Gdy nie reagował, uklękła obok i próbowała wepchnąć jego bezwładne ramiona w rękawy kurtki.

- Zack, obudź się! - zawołała. Z trudem powstrzymywała się od szlochu. Wzięła go w ramiona, przytuliła głowę do piersi, kołysała w przód i w tył. - Proszę! - wyszeptała bliska hysterii. - Proszę, wstań! Nie dam rady cię podnieść, musisz mi pomóc, Zack. Proszę. Pamiętasz, jak mówiłeś, że chcesz, by ktoś uwierzył w twoją niewinność? Wtedy nie przekonałeś mnie, ale teraz przysięgam, już zrozumiałam: nikogo nie zabiłeś. Wierzę w każde twoje słowo. Wstawaj! No proszę, wstań! Zdawał się coraz cięższy, jak gdyby tracił przytomność. Julie wpadła w panikę.

- Zack, nie śpij - prawie krzyczała. Ujęła go za dłoń i zaczęła wciskać sztywne ramię w kurtkę, jednocześnie starając się chaotyczną paplaniną przywołać go do świadomości. - Idziemy do domu. A później razem do łóżka. Chciałam tego zeszłej nocy, ale się bałam. Pomóż mi dotrzeć tam z tobą, Zack - błagała. Wpychała jego drugie ramię w rękaw, mocowała się z zamkiem. - Będziemy się kochać przed kominkiem. Spodoba ci się!

Gdy wreszcie udało jej się go ubrać, wstała, chwyciła go za ręce i pociągnęła z całą siłą, na jaką było ją stać. Ale nie zdołała ruszyć z miejsca bezwładnego ciała, straciła równowagę i upadła obok. Podniosła się, pobiegła do skutera i przyprowadziła pojazd do miejsca, gdzie leżał Zack. Pochyliła się i potrząsała nim, a gdy i to nic nie dało, zamknęła oczy, by dodać sobie odwagi, zamachnęła się i mocno uderzyła go w twarz.

Otworzył oczy i zaraz z powrotem zamknął. Nie zwracała uwagi na ból, jaki od zmarzniętych palców przeszył jej ramię. Chwyciła go za ręce i szarpnęła. Szukała słów, którymi mogłaby jakoś go zmobilizować.

- Bez ciebie nie trafię do domu - skłamała. - Jeżeli mi nie pomożesz, umrę tu razem z tobą. Czy tego chcesz? Zack, proszę, pomóż mi. Nie pozwól mi umrzeć!

Zorientowała się, że nie jest już taki bezwładny jak przed chwilą, reaguje na jej słowa i stara się, choć osłabiony, pomóc jej.

- W porządku! - wysapała - wstawaj. Pomóż mi dojść do domu.

Jego ruchy były przeraźliwie wolne, gdy otworzył oczy, zdawał się jej nie widzieć, ale kierowany instynktem, próbował wstać. Chwilę trwało, zanim po kilku próbach Julie udało się wreszcie postawić Zacka na nogi, przez plecy przerzucić jego ramię i umieścić go na skuterze, ale zaraz gwałtownie pochylił się do przodu, na kierownicę.

- Staraj się zachować równowagę - powiedziała. Podtrzymując go ramieniem, szybko usiadła za nim na siodełku. Popatrzyła w górę, na ścieżkę, którą tu przyjechał. We dwójkę nie uda im się wspiąć z powrotem, oceniła, pojedą wzdłuż strumienia, dopóki nie natrafią na miejsce, w którym przedostaną się na most i drogę. Teraz już nie lękała się szybkości. Chwyciła kierownicę, obejmując Zacka ramionami, i całym pędem ruszyła przez śnieg. - Zack - szepnęła mu do ucha - wciąż jeszcze drżysz. Czujesz zimno - to dobrze, nie wyziębłeś tak bardzo. - Czyniła rozpaczliwe wysiłki, by nie popadł w kompletny bezwład, równocześnie bacznie obserwując drogę. Minęli zakręt. Julie wybrała ścieżkę, której sforsowanie wydało jej się możliwe.

## ROZDZIAŁ 28

Dwa razy upadł w holu, zanim doprowadziła go do sypialni, gdzie, jak pamiętała, na kominku leżały przygotowane do podpalenia drwa. Zdyszana, z trudem dowlokła go do łóżka. Zaczęła ściągać z niego ubranie, sztywne, pokryte kryształkami lodu. Gdy była przy spodniach, odezwał się pierwszy raz, odkąd pośpieszyła mu z pomocą.

- Pysznic - wyszeptał cicho - gorący.

- Nie - sprzeciwiła się. Opanowując drżenie rąk, przystąpiła do zdzierania lodowatej w dotyku bielizny. - Jeszcze nie teraz. Osoby wyziębione należy rozgrzewać stopniowo, w żadnym wypadku nie stosować intensywnego źródła ciepła. - Tego nauczyła się w college'u, na kursie pierwszej pomocy. - I nie przejmuj się, że to ja cię rozbieram. Jestem teraz tylko nauczycielką, a ty moim małym uczniem - trochę minęła się z prawdą. - Nauczycielka to prawie pielęgniarka, nie wiedziałeś o tym? Słuchaj mojego głosu i staraj się nie zasnąć.- Ściągnęła szorty z muskularnych ud, spojrzała w dół i gorący rumieniec oblał jej policzki. Cudowne męskie ciało, leżące przed nią na łóżku, wyglądało jak zdjęcie w „Playgirl”, które oglądała w college'u. Tylko że to była prawdziwe - sine z zimna, wstrząsane dreszczem.

Pochwyciła koce i otuliła Zacka, równocześnie rozcierając mu skórę, potem poszła do szafy, wzięła następne i przykryła go dokładniej. Teraz podeszła do kominka w rogu pokoju i rozpałała ogień. Dopiero gdy polana rozżarzyły się na palenisku, Julie pomyślała o pozbyciu się warstwy ubrań. Nie chciała zostawić go ani na chwilę samego. Stała w nogach łóżka, patrzyła na szeroką klatkę piersiową, unoszącą się szybkim, krótkim oddechem, i zdejmowała z siebie kombinezon.

- Zack, słyszysz mnie? - zapytała, i chociaż nie odpowiedział, zaczęła do niego mówić słowa bez żadnego związku. Chciała, by wreszcie odzyskał świadomość. Potrzebowała otuchy, pewności, że wszystko będzie w porządku.

- Jesteś bardzo silny, Zack. Zauważyłam to wtedy, jak zmieniałeś oponę przy moim samochodzie i potem, gdy wyczołgiwałeś się z potoku. I odważny. Do mojej klasy uczęszcza taki chłopczyk - Johnny Everett - chciałby być siłaczem, to jego największe marzenie. Jest kaleką i porusza się w fotelu na kółkach. Serce mi się kraje, jak na niego patrzę, ale on nigdy nie poddaje się. Pamiętasz, opowiadałam ci o nim wczoraj wieczorem. - Nie zdawała sobie sprawy z czułości rozbrzmiewającej w jej głosie. - Jest bardzo odważny, jak ty. U moich braci w pokoju wisiało twoje zdjęcie. Wspominałam o tym? Tyle chciałabym ci opowiedzieć, Zack.

- Głos Julie załamał się. - I opowiem, jeżeli przeżyjesz i dasz mi szansę. Powiem o wszystkim, o czym chciałbyś wiedzieć.

Poczuła strach.

Może powinna zrobić coś jeszcze, by go rozgrzać, nie pozwolić zasnąć? A jeżeli on umrze, i to z powodu jej ignorancji? Wyciągnęła z szafy gruby szlafrok frotte, włożyła go, potem usiadła na łóżku przy biodrach Zacka i przyłożyła palce do tętnicy na jego szyi, odliczając sekundy na stojącym na komodzie zegarze. Uderzenia krwi były przerażająco słabe. Jej dłonie i głos drżały, gdy wygładzała koce wokół jego szerokich ramion.

- Co do zeszłej nocy, chcę, byś wiedział, że bardzo mi się podobało, jak mnie całowałeś. Nie chciałam, żebyś przestał, i właśnie tego się wystraszyłam. To nie miało nic wspólnego z twoim pobytom w więzieniu... po prostu traciłam nad sobą kontrolę, nigdy dotąd nic takiego mi się nie przytrafiło.

Wiedziała, że Zack nie usłyszał ani słowa i gdy następny atak silnych dreszczy wstrząsnął jego ciałem, zamilkła. Dobrze, że drży - pocieszała się. Gorączkowo rozmyślała, jak jeszcze mogłaby mu pomóc. Obraz psów św. Bernarda, jaki stanął jej przed oczyma, z maleńkimi baryłeczkami na szyi przeznaczonymi dla ludzi zasypanych lawiną, sprawił, że aż klasnęła w dłonie. Poderwała się na nogi. Za chwilę już stała przy łóżku ze szklanką brandy, rozpromieniona po usłyszeniu w radiu podtrzymującej na duchu wiadomości.

- Zack - powiedziała wesoło. Usiadła przy nim na łóżku i podłożyła pod jego głowę ramię, aby umożliwić uniesienie do ust szklanki. - Wypij trochę i spróbuj zrozumieć, co ci powiem: właśnie usłyszałam w radiu, że twój przyjaciel, Dominie Sandini, przebywa w szpitalu w Amarillo. Polepszyło mu się! Rozumiesz? On nie umarł, już jest przytomny. Uważa się, że ten ktoś ze szpitala więziennego, kto podał fałszywą informację albo się mylił, albo chciał podgrzać atmosferę buntu więźniów, i tak też się stało... Zack?

Po kilku minutach udało jej się wmusić w niego zaledwie łyżkę brandy. W końcu poddała się. Wiedziała, że mogłaby odnaleźć telefon, który Zack ukrył, i wezwać lekarza, ale ten po rozpoznaniu go natychmiast powiadomiłby policję. Zabraliby go i z powrotem wsadzili do więzienia. A przecież, jak mówił, wolałby umrzeć, niż tam wracać. Minuty mijały, w kącikach oczu Julie pojawiły się łzy spowodowane bezradnością i wyczerpaniem. Siedziała z rękami na kolanach, starając się wymyślić jakieś wyjście. Wreszcie zaczęła się modlić.

- Proszę, Boże, pomóż mi - szepnęła. - Zupełnie nie wiem, co robić. Nie wiem, dlaczego spowodowałeś, że trafiliśmy na siebie. Nie rozumiem, dlaczego sprawiasz, że czuję do niego to, co czuję i dlaczego chcesz, bym przy nim została, ale przecież wiem: to wszystko

Twoje dzieło. Na pewno. Nie czułam tak mocno Twojej bliskości od czasu, gdy byłam małą dziewczynką - wtedy dałeś mi Mathisonów.

Julie głęboko westchnęła, otarła łzę, ale poczuła się pewniej.

- Proszę, miej nas w swej opiece.

Popatrzyła na Zacka - jego ciałem dalej wstrząsały dreszcze, poruszył się niespokojnie - Zdała sobie sprawę, że jest pogrążony w głębokim śnie, a nie, jak się obawiała, nieprzytomny. Pochyliła się i delikatnie pocałowała go w czoło.

- Drżysz - szepnęła czule - to dobrze.

Nie zauważyła, jak bursztynowe oczy na moment otworzyły się i zaraz zamknęły. Wstała i poszła do łazienki, by wziąć prysznic.

## ROZDZIAŁ 29

Owinęła się szlafrokiem. Teraz postanowiła odszukać telefon i zadzwonić do rodziców z wiadomością, że jest bezpieczna. Przystanęła przy łóżku, położyła Zackowi dłoń na czole i przyglądała się, jak oddycha. Miał już normalną temperaturę, oddech głębszy, spokojniejszy; wyczerpany drzemał. Poczwała przyptyw wielkiej ulgi, a zaraz słabości. Aż się zachwiała, gdy przykucnęła, by dorzucić drew do ognia huczącego w kominku. Upewniwszy się, że Zack jest dobrze przykryty, zostawiła go, a sama wyruszyła na poszukiwanie telefonu. Najbardziej prawdopodobnym miejscem schowania aparatu wydawała się jego sypialnia. Otworzyła drzwi i stanęła zaskoczona widokiem nieprawdopodobnego przepychu. Sądziła wcześniej, że jej pokój, z kamiennym kominkiem, lustrami na drzwiach i obszerną, wyłożoną kafelkami łazienką, bije wszelkie rekordy komfortu, ale to pomieszczenie, cztery razy większe, było urządzone dziesięć razy bardziej luksusowo.

Całą ścianę po lewej zajmowały lustra, odbijało się w nich olbrzymie łoże oświetlone szeregiem lamp umieszczonych w suficie, przy prawej zbudowano okazały kominek. Trzecia ściana to rząd wysokich okien, tworzących półkolistą alkowę, w której, na szerokim postumencie, stało białe, marmurowe jacuzzi. Przed kominkiem ustawiono dwie przepastne kanapy, obite jedwabną materią w odcieniu kości słoniowej zmieszanej z różem, w pasy koloru morskiej zieleni. Na podwyższeniu, po obu stronach jacuzzi, stały dwa fotele, na każdym kilka poduszek i dwie identycznego koloru otomany obite materią w kwiaty, deseniem pasujące do kapy na łóżku.

Julie powoli weszła na dywan, jej stopy tonęły w puszystej, wełnianej zieleni. Po lewej, na dwu lustrzanych płytach dostrzegła mosiężne klamki, odważnie nacisnęła je i aż wstrzymała oddech na widok olbrzymiej, wyłożonej marmurem łazienki, do której światło wpadało przez świetliki w suficie. W dzielącej pomieszczenie na pół marmurowej ladzie znajdowały się dwie umywalki, odgródzone od siebie lustrzaną półścianką. Każda z części łazienki miała oddzielną, ogromną kabinę prysznicową z przejrzystego szkła i wannę z marmuru, z pozłacaną armaturą.

Choć resztę domu równie dobrze mogłaby urządzać kobieta, jak i mężczyzna, tu nie ulegało wątpliwości, czyje to dzieło. Kobięca ręka zadbała o wrażenie luksusu; mężczyzna czułby się tu jak w buduarze. Julie przeczytała w jakimś czasopiśmie poświęconym dekoracji wnętrz, że żonaci mężczyźni, pewni swej męskości, rzadko sprzeciwiają się zachciankom żon, by posiadać własną sypialnię, urządzonej stosownie do kobiecych upodobań, a nawet cenią

sobie tę jakby „zakazaną” przyjemność wdzierania się na obce terytorium. Do tej pory uważała ten pomysł za dziwaczny, ale teraz, gdy zauważyła ustawione, zapewne z myślą o mężczyźnie, olbrzymie łoże i wielkie, puchate fotele przy jacuzzi, stwierdziła, że ma on swój urok.

Ruszyła w stronę drzwi szafy, wbudowanej w ścianę po prawej stronie łazienki. Po sprawdzeniu obydwu szaf i wszystkich szuflad, jakie tylko znalazła w pokoju, nie potrafiła oprzeć się pokusie: z „damskiej” garderoby pożyczyła sobie czerwone, jedwabne kimono, wyszywane złotą nicią. Leżało na niej wyśmienicie... no i chciała wyglądać atrakcyjnie, gdyby Zack, przed nastaniem ranka, przebudził się. Na koniec przewiązała się paskiem. Teraz już bez przeszkód mogła zastanowić się, gdzie Zack ukrył aparat. Przypomniała sobie tę małą szafę w holu, zamkniętą na cztery spusty. Poszła prosto do niej i pociągnęła za gałkę, ale drzwi nawet nie drgnęły. Wróciła do swojej sypialni. Znalazła klucz, tam gdzie się spodziewała - w kieszeni mokrych spodni Zacka.

Zamknięta szafa kryła w sobie olbrzymie zapasy alkoholu i cztery aparaty telefoniczne, wszystkie schowane na jej dnie, za butelkami szampana Dom Perignon.

Opanowując nieoczekiwany atak zdenerwowania, Julie zaniósła jeden do salonu, włączyła do gniazdka i z nogami podwiniętymi pod siebie usiadła na kanapie obok. Telefon jak najdroższy skarb trzymała na kolanach. Wykręciła już połowę numeru, gdy połapała się, jaki popełnia błąd i szybko rzuciła słuchawkę na widełki. Przecież porwanie to przestępstwo federalne, w dodatku Zack był zbiegłym mordercą, więc należy spodziewać się w domu rodziców obecności agentów FBI, czekających z niecierpliwością na telefon, by zlokalizować miejsce jej pobytu. Przynajmniej tak zawsze działo się na filmach.

Dobrze! Zostanie z Zackiem, a wszystkie inne sprawy zostawi w rękach Pana Boga! Ale przecież musi przekazać rodzinie wiadomość, uspokoić ich. Leniwie gładziła palcami złotego smoka wyszytego na pole czerwonego kimona i zastanawiała się, co ma robić. Nie odważy się dzwonić do rodziny, musi skontaktować się naprzód z kimś innym, z kimś, komu może w takiej sprawie całkowicie zaufać, z osobą, która nie straci głowy po usłyszeniu polecenia, jakie będzie musiała wykonać.

Koleżanki nauczycielki nie wchodziły w rachubę. To wspaniałe kobiety, ale raczej z tych nieśmiałych. Jej prośba wymagała przebojowości. Uśmiechnęła się i poszła po mały kalendarzyk, który zawsze nosiła w torebce. Otworzyła na literze C, znowu wzięła telefon na kolana i poszukała domowego numeru Katherine Cahill, późniejszej pani Tedowej Mathison. Jeszcze na początku tego miesiąca przyjaciółka przysłała jej kartkę z prośbą o spotkanie podczas swojego pobytu w Keaton, właśnie w obecnym tygodniu. Julie prychnęła z

zadowolenia po wyobrażeniu sobie wściekłości Teda. Pośle Katherine do rodziny, a on nie będzie mógł jej unikać ani zignorować... A ona z pewnością podziękuje jej za to.

- Katherine - powiedziała pośpiesznie, jak tylko po drugiej stronie linii usłyszała jej głos. - Tu Julie, nic nie mów, jeżeli nie jesteś sama.

- Julie! Mój Boże! Nikogo nie ma, rodzice wyjechali na Bahamy. Gdzie się podziewasz? Nic ci się nie stało?

- Wszystko w porządku, przysięgam, jestem bezpieczna. - Przerwała, by uspokoić głos, i ciągnęła dalej: - Czy ktoś, to znaczy agenci FBI, są w domu moich rodziców?

- Owszem, pytają też o ciebie po całym mieście.

- Słuchaj, muszę poprosić cię o coś bardzo ważnego. Nie złamiesz prawa, ale będziesz musiała przyrzec, że dochowasz tajemnicy.

- Julie, dla ciebie zrobiłabym wszystko. - Głos Katherine przeszedł w szept. - Jestem... jestem dumna, że zadzwoniłaś właśnie do mnie i mogę odwdzińczyć się za twoje wysiłki przy ratowaniu mojego małżeństwa z Tedem, za twoją lojalność... - Umilkła, zanim Julie udało się przerwać. - Co mam zrobić?

- Powiadomisz moich rodziców i braci, że znowu zadzwonię mniej więcej za godzinę. Chcę z nimi porozmawiać. Musisz być absolutnie pewna, że niczym, co zrobisz czy powiesz, nie wzbudzisz podejrzeń FBI. Zachowuj się naturalnie. Postaraj się pod jakimś pretekstem wyciągnąć ich z domu i przekaz wiadomość. Chyba nie onieśmiela cię perspektywa spotkania z agentami FBI?

Katherine roześmiała się smutno.

- Ted często, zresztą całkiem słusznie, powtarzał: Jesteś zepsutą królową, w którą ojciec wpoił przekonanie, że zawsze może robić, co zechce. No więc, absolutnie niemożliwe - dodała weselej - by kilku pochodzących z nizin agentów FBI potrafiło wprawić w zakłopotanie taką eks-księżniczkę jak ja. Jeżeli by spróbowali - zartowała - powiem tatusiowi, żeby wezwał na pomoc senatora Wilkinsa.

- Świetnie - powiedziała Julie. Uśmiechnęła się na dźwięk brawury w głosie Katherine. Potem, już poważniej, by powstrzymać przyjaciółkę, a także swoją rodzinę od uznania, że najlepsze dla Julie będzie przekazanie informacji FBI, dodała: - Jeszcze jedno. Musisz uświadomić mojej rodzinie, że jestem całkowicie bezpieczna, przynajmniej dopóki komuś nie przyjdzie do głowy wysledzić, skąd dzwonię. Znalazłabym się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nie dam rady teraz tego wytłumaczyć, nie ma na to czasu, a nawet gdybym miała...



- Niczego nie tłumacz. Z twojego głosu wnioskuję, że wszystko w porządku, a tylko to się dla mnie liczy. Co do tego gdzie jesteś... i z kim... wiem, że cokolwiek robisz, postępujesz słusznie. Nie spotkałam w życiu lepszego człowieka od ciebie, Julie. Zacznę działać, dzwoni za godzinę.

Julie rozpałała ogień na kominku w salonie, potem rozpoczęła marsz tam i z powrotem, z niecierpliwością spoglądając na zegarek, kiedy minie godzina. Po spokoju i całkowitej ufności, z jaką Katherine przyjęła jej telefon, nerwowa reakcja rodziny była dla niej zaskoczeniem. Jej zachowujący zazwyczaj stoicki spokój ojciec dopadł do telefonu w domu Cahillów natychmiast po pierwszym sygnale.

- Tak? Kto dzwoni?

- To ja, tatusiu, Julie. - Ścisnęła mocno słuchawkę. - Nic mi nie jest, nic mi nie grozi...

- Dzięki Bogu! - powiedział ochryplym od emocji głosem, potem zawołał: - Mary, to Julie, wszystko u niej w porządku. Ted, Carl - Julie dzwoni, nic jej się nie stało. Zrobiliśmy, co chciałaś, nie powiadomiliśmy FBI.

Poprzez stukot połączeń, niemal przez tysiąc mil słyszała wystraszone głosy, w których teraz zabrzmiała ulga i górujące nad innymi słowa Teda - uspokajające, wypowiedane autorytatywnym tonem:

- Przestańcie tyle gadać - rozkazał. - Julie, jesteś sama? Możesz mówić? - Zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał: - Ten twój uczeń z basowym głosem - Joe Bob Artis - bardzo się o ciebie martwi.

Zaskoczona, przez ułamek sekundy nie wiedziała, o co chodzi, nie mogła przypomnieć sobie takiego ucznia. Potem roześmiała się nerwowo, bo zrozumiała: Ted celowo użył niewłaściwego nazwiska.

- Masz na myśli Williego - poprawiła. - Nikogo tu nie ma, przynajmniej w tej chwili.

- Dzięki Bogu! Skąd dzwonisz, kochanie?

Julie otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Po raz pierwszy, odkąd zamieszkała z Mathisonami, musi ich okłamać i mimo istotnych powodów czuła się zawstydzona.

- Nie jestem pewna... - wykręcała się, ale jej głos nie oszukał nikogo. - Tu jest zimno - dodała bezradnie.

- W którym stanie? A może w Kanadzie?

- Nie... nie mogę powiedzieć.

- Jest tam Benedict? - spytał gniewnie Ted. - To dlatego nie możesz odpowiedzieć. Daj mi tego drania do telefonu, natychmiast, Julie!

- To niemożliwe! Słuchajcie mnie, wszyscy! Nie mogę dłużej rozmawiać, ale chcę, byście uwierzyli, że nie jestem źle traktowana... w żaden sposób. Ted - starała się porozumieć z przedstawicielem prawa, który w końcu wie, miała taką nadzieję, ile zdarza się sądowych pomyłek - on nikogo nie zabił, jestem przekonana. Sędziowie popełnili błąd, więc nie można go winić za próbę ucieczki.

- Błąd! - wybuchnął Ted. - Julie, nie daj się nabrać na takie bzdury! Został skazany za morderstwo, w dodatku okazał się porywaczem!

- Nie! Wcale nie miał zamiaru pozbawiać mnie wolności. Potrzebował tylko samochodu, by oddalić się z Amarillo. A że zmienił koło przy blazerze, więc całkiem naturalne, że zaproponowałam mu podwiezienie. Puściłby mnie, ale nie mógł, bo obejrzałam jego mapę...

- Co za mapę widziałaś, Julie? Czego? Jakiego miejsca?

- Muszę już kończyć - powiedziała nieszczęśliwa.

- Julie! - wtrącił się wielebny - kiedy wracasz?

- Jak tylko mnie wypuści, nie, jak będę mogła - poprawiła się. - Muszę kończyć. Proszę, obiecajcie, że nikomu nie powiecie o naszej rozmowie.

- Dobrze, Julie, i pamiętaj, kochamy cię. - Głos Mathisona seniora zabrzmiał pełnym zaufaniem. - Całe miasto modli się o twoje bezpieczeństwo.

- Tatusiu - nie zdołała się powstrzymać - poproś, by modlili się także o jego bezpieczeństwo.

- Chyba oszalałaś! - wybuchnął Ted. - Ten człowiek to skazany... - Julie nie dosłyszała dalszych słów. Odłożyła słuchawkę, z trudem powstrzymywała łzy. Nieroztropnie poprosiła o modlitwę za jej porywacza i teraz nie mają wyjścia: muszą uznać, że dała się nabrać Benedictowi albo że jest jego współniczką. Każda z tych możliwości oznaczała zdradę wszystkiego, w co wierzyli i czym się w życiu kierowali, a także totalną klęskę stosowanych wobec niej metod wychowawczych.

- Otrząsając się z fali ogarniającego ją smutku, Julie przypomniała sobie, że Zachary Benedict jest niewinny i tylko to liczyło się w tej chwili. Pomaganie niesprawiedliwie skazanemu człowiekowi w uniknięciu więzienia nie jest czynem moralnie nagannym i nie może być uznane za nadużycie zaufania, jakim darzyła ją rodzina.

Wstała i dołożyła drewna do obydwu kominków, potem odniosła telefon z powrotem do szafy. Teraz skierowała swe kroki do kuchni, gdzie następną godzinę spędziła na porządkach i przygotowywaniu potrawy - jej pacjent, po przebudzeniu, będzie głodny jak wilk i musi zjeść coś ciepłego. Obierała ziemniaki i rozmyślała nad tym, co zrobiła. Gdyby

Zack wiedział o jej telefonie, trudne, a może nawet niemożliwe byłoby przekonanie go, że jej rodzina i eksbratowa to osoby godne zaufania, które wbrew jej woli nie poinformują władz. Troski cisnęły się zewsząd, czy potrzebuje dodatkowych? - nie powie mu o niczym.

Skończyła kuchenne zajęcia; poszła do salonu i usiadła na sofie. Radio zostawiła włączone, aby móc przekazać Zackowi istotne dla niego wiadomości.

Wygodnie wyciągnęła się na kanapie i ze smutnym uśmiechem wpatrywała się w sufit. Co za ironia losu, pomyślała, przez tyle lat zachowywała się jak Mary Poppins i nigdy, przenigdy nie zeszła z prostej drogi. I na co teraz jej przyszło!

W szkole średniej miała wśród kolegów wielu przyjaciół, ale nigdy nie pozwoliła, by stali się czymś więcej, a oni godzili się na taki układ. Zabierali ją na mecze futbolu, podwozili do szkoły, w pełni akceptowali jej towarzystwo. Gdy była w ostatniej klasie, Rob Kiefer, największy szkolny podrywacz, zapraszając ją na uroczystość z okazji rozdania dyplomów, stał się sprawcą męczących rozterek. Od lat czuła do niego słabość, skrzętnie skrywaną, ale wolała odrzucić zaproszenie, bo choć wzbudziła powszechną zazdrość koleżanek, chłopiec miał nie najlepszą opinię: fama głosiła, że Rob Kiefer potrafi zdjąć dziewczynie majtki szybciej niż Mary Kostler z manekina na wystawie swojego sklepu.

Julie nie sądziła, by Rob próbował z nią czegokolwiek - byli przecież przyjaciółmi. Zresztą, jako córkę wielebnego Mathisona, chronił ją pewnego rodzaju immunitet przed zbyt natarczywymi zalotami. Ale z Robem nie mogła pójść na bal, choćby nie wiem jak pragnęła powiedzieć „tak”. Na nic zdałoby się przyzwoite zachowanie, i tak cała szkoła, a w końcu pewnie i miasto uznałoby, że córka wielebnego Mathisona dołączyła do długiej listy seksualnych trofeów Kiefera. Poszła więc na bal z przyzwoitym Billem Swensenem, którego ojciec dyrygował orkiestrą szkolną, a Rob zjawił się w towarzystwie Denise Potter, jednej z *cheerleaders*\*. Tego wieczora głęboko nieszczęśliwa patrzyła, jak Rob, wybrany na króla balu, pochyla się i całuje swoją królową.

Tej nocy Denise zaszła w ciążę. Trzy miesiące później młoda para, zamiast pojechać do college'u, pobrała się i zamieszkała w wynajętym, obskurnym, jednopokojowym mieszkaniu, a całe miasto dobrze wiedziało dlaczego. Niektórzy w Keaton współczuli Denise, ale większość zachowywała się tak, jakby dziewczyna była sama sobie winna.

Julie, nie wiedząc czemu, czuła się odpowiedzialna za tę koszmarną historię. Wydarzenie spowodowało, że za wszelką cenę postanowiła unikać kłopotów i skandali. W college'u uparcie odrzucała zaproszenia Steve'a Baxtera, chociaż chłopiec jej się podobał. Ten

---

\* *Cheerleaders* - dziewczęta tańcem zachęające kibiców do dopingowania miejscowej drużyny (przyp. tłum.).

przystojny futbolista, znany z licznych flirtów, miał reputację zdobywcy jeszcze większej ilości punktów w sypialni niż na boisku. Z niezrozumiałych dla niej przyczyn Steve przez prawie dwa lata kręcił się w pobliżu: pojawiał się na towarzyskich imprezach, jeżeli wiedział, że ona tam będzie, i robił wszystko, by ją oczarować i przekonać, jak wiele dla niego znaczy. Żartowali i rozmawiali całymi godzinami, ale zawsze w większej grupie. Bo Julie z uporem nie umawiała się na randki.

Teraz, gdy porównywała swą ustabilizowaną przeszłość z chaotyczną teraźniejszością i niepewną przyszłością, sama nie wiedziała, śmiać się czy płakać. Przez te wszystkie lata pilnowała się na każdym kroku, bo nie chciała, by rodzina i mieszkańcy Keaton pomyśleli sobie o niej coś złego. I od razu coś takiego! Była bliska „zejścia z dobrej drogi”, i wcale nie chodziło o drobne złamanie towarzyskich czy moralnych kanonów, które spowodowałyby w Keaton co najwyżej trochę plotek. Zupełnie w jej stylu, pomyślała z ironią. Zamierza naruszyć nie tylko zasady kodeksu moralnego, ale pewnie też prawo Stanów Zjednoczonych Ameryki, i gdy już to zrobi, media nie przegapią okazji - nagłośnią sprawę w całym kraju, jak już zresztą zaczęły!

Chwila rozbawienia minęła, Julie z poważną miną zatrzymała wzrok na swoich dłoniach. Od czasu zamieszkania z Mathisonami poczyniła z własnej woli ofiary. Decyzja zostania nauczycielką, porzucenie myśli o innych, bardziej intratnych zawodach, wtedy też na taką wyglądała. Jednak każda z nich przynosiła jej tyle satysfakcji, że miała wrażenie, jakby brała z życia więcej, niż z siebie dawała.

Ogarnęło ją niejasne wrażenie, że los wzywa ją do spłacenia długu za całe życie niczym niezastużonych profitów. Zachary Benedict jest w takim samym stopniu jak ona winny morderstwa z zimną krwią, została więc wyznaczona przez los do rozwikłania tej zagadki.

Przewróciła się na bok, wsunęła dłoń pod poduszkę i obserwowała tańczące na palenisku płomienie. Dopóki nie zostanie ustalony prawdziwy morderca, nikt, łącznie z jej rodzicami, nie usprawiedliwi niczego, co ona robi. Oczywiście, gdy rodzina przekona się, że Zack jest niewinny, rozgrzeszy wszystkie jej czyny. Cóż, może jednak nie wszystkie, pomyślała.

Na pewno nie spodobałoby im się, że tak szybko się zakochała. Targana mieszanymi uczuciami, od pogodzenia się z losem do chęci działania, uświadomiła sobie, że na uczucie do Zacka nie miała najmniejszego wpływu, a spanie z nim stało się oczywiste; no chyba żeby przez noc jego pragnienia wyziębły. Wolałaby jednak, by dał jej kilka dni na bliższe poznanie się.

Jedyne, co mogła zrobić, to próbować chronić swe serce przed niepotrzebnym bólem, powstrzymać się od powiedzenia czy zrobienia czegoś, co uczyni ją jeszcze bardziej bezbronną, wystawi na ciosy, jakich może się spodziewać. Przecież nie jest skończoną idiotką! Zanim Zachary Benedict poszedł do więzienia, przez całe lata obracał się w świecie luksusu, zamieszkanym przez pięknych, interesujących ludzi, znanych z braku moralnych zasad.

Czytała o nim w wielu czasopismach i wiedziała, że mężczyzna, z którym przebywa w tej luksusowej górskiej kryjówce, był kiedyś właścicielem fantastycznych posiadłości, gdzie wydawał wystawne przyjęcia, z udziałem gwiazd kina, osobistości międzynarodowego biznesu, członków europejskich rodzin królewskich, a nawet prezydenta Stanów Zjednoczonych.

To nie miły, dobrotliwy asystent pastora kościoła z małego miasteczka.

Julie wiedziała: w porównaniu z nim jest naiwna jak nowo narodzone dziecko.

## ROZDZIAŁ 30

Była dziesiąta rano, gdy się obudziła; poduszkę z kanapy przyciskała do piersi. Z lewej strony usłyszała jakiś ruch i szybko odwróciła głowę, w tej samej chwili rozległ się rozbawiony, męski głos:

- Pielęgniarka, która opuszcza pacjenta i słodko zasypia na dyżurze, nie zasługuje na zapłatę.

Pacjent Julie stał oparty ramieniem o występ kominka, z rękami skrzyżowanymi na piersi, i patrzył na nią z leniwym uśmiechem. Z włosami jeszcze wilgotnymi po kąpieli, w kremowej, giemzowej koszuli rozpiętej pod szyją, wepchniętej w beżowe spodnie, wyglądał niesłychanie przystojnie, całkiem już w formie i... na bardzo rozbawionego.

Starając się nie zwracać uwagi na zdradzieckie bicie serca, spowodowane jego czarującym, uwodzicielskim uśmiechem, Julie pośpiesznie usiadła.

- Twój przyjaciel, Dominie Sandini, żyje - powiedziała. Chciała jak najszybciej przekazać mu dobrą wiadomość. - Mówią, że z tego wyjdzie.

- Słyszałem.

- Naprawdę? - zapytała ostrożnie. Miała nadzieję, że usłyszał tę wiadomość przed chwilą w radiu, podczas ubierania się. Jeżeli nie - jeżeli zapamiętał jej słowa, co możliwe... czułaby się upokorzona, bo wtedy musiałyby dotrzeć do niego inne rzeczy, jakie wygadywała w ciągu tych dziesięciu minut, gdy myślała, że jest nieprzytomny i zupełnie straciła głowę. Czekala z nadzieją na słowa Zacka, ale on tylko patrzył z uśmiechem błędzącym w kącikach ust. Poczula, jak oblewa ją rumieniec zażenowania. Zerwała się na równe nogi.

- Jak się czujesz?

- Teraz lepiej, zaraz po przebudzeniu byłem niczym ziemniak pieczony w mundurku.

- Co takiego? Czyżby w sypialni zrobił się aż taki upał?

Kiwnął głową.

- Śniło mi się, że umarłem i poszedłem do piekła. Otworzyłem oczy i byłem pewien - tuż obok migotały płomienie.

- Przepraszam. - Z uwagą szukała na jego twarzy śladów długotrwałego przebywania na mrozie.

- Nie musisz. Bardzo szybko zorientowałem się, że to jeszcze nie piekło.

W ciepłe jego dobrego humoru, zaraźliwego i rozbijającego, rozluźniła się. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, sięgnęła i przyłożyła grzbiet dłoni do jego czoła, by sprawdzić, czy ma gorączkę.

- Skąd wiedziałeś, że nie jesteś w piekle?

- Bo pochylił się nade mną anioł - powiedział cicho.

- Najwyraźniej miałeś halucynacje.

- Czyżby?

Tym razem głęboki ton głosu nie budził wątpliwości co do jego intencji. Szybko zabrała dłoń, ale nie zdołała uciec ze spojrzeniem.

- Z pewnością.

Porcelanowa kaczka na gzymsie kominka, obok jego ramienia, co dostrzegła kątem oka, stała krzywo. Sięgnęła i przestawiła ją, a także poprawiła stojące obok dwie mniejsze.

- Julie - powiedział głębokim, aksamitnym głosem, który tak niebezpiecznie wzmagał bicie jej serca - spójrz na mnie. – Odwróciła twarz w jego stronę, a wtedy dodał z powagą: - Dziękuję za uratowanie mi życia.

Zahipnotyzowana wyrazem jego oczu, musiała odkaslnąć, by powstrzymać drżenie głosu.

- Dziękuję za chęć ratowania mojego.

Coś zadrgało w przepastnej głębi jego źrenic, coś gorącego i zapraszającego; puls Julie przyspieszył przynajmniej trzykrotnie, choć Zack nawet nie próbował jej dotknąć. Aby sprowadzić nastrój do spraw przyziemnych i bezpiecznych, zapytała:

- Jesteś głodny?

- Dlaczego nie odeszłaś? - nie ustępował.

Ton jego głosu ostrzegał: nie pozwoli na zmianę tematu, dopóki nie dostanie odpowiedzi. Opadła na sofę. Wzrok przeniosła na stół, musiała uciec od jego spojrzenia.

- Nie mogłam zostawić cię tam i pozwolić umrzeć po tym, jak ryzykowałeś życie, by sprawdzić, czy nie utonąłam. - Na stole dwie magnolie z jedwabiu dziwnie wygięły się w wazonie. Nie oparła się impulsowi, ustawiła je porządnie.

- No to dlaczego nie odeszłaś, jak już przywiozłaś mnie tutaj i wpakowałaś do łóżka?

Julie czuła się, jakby stąpała po polu minowym. Nawet gdyby zdobyła się na odwagę, popatrzyła mu prosto w oczy i spróbowała wyrzucić z siebie, co do niego czuje, nie była pewna, czy słowa przeszłyby jej przez usta.

- Po pierwsze, nawet o tym nie pomyślałam, po drugie - dodała, a w jej głosie zadźwięczało zadowolenie z wyszukanego pretekstu -nie wiedziałam, gdzie są kluczyki od samochodu.

- Były w kieszeni moich spodni - tych, z których mnie rozebrałaś.

- Tak naprawdę, ja... nie pomyślałam o szukaniu ich. Chyba za bardzo martwiłam się o ciebie...

- Nie sądzisz, że zważywszy na okoliczności, jakie cię tu przywiodły, to dość dziwne?

Julie pochyliła się, wzięła do ręki zsuwające się ze stołu czasopismo i położyła je, otwarte, na dwóch innych. Potem przesunęła kryształowy flakon ze sztucznymi kwiatami dwa cale w lewo, dokładnie na środek stołu.

- Od trzech dni wszystko wydaje mi się niezmiernie dziwne - powiedziała chłodno - i nie mam pojęcia, jak w tych okolicznościach powinno wyglądać normalne zachowanie. - Wstała i zaczęła poprawiać poduszki, które rozrzuciła podczas drzemki. Gdy pochyliła się, by podnieść jedną z dywanu, usłyszała jego wesoły głos:

- Zdaje się, w chwilach stresu zabierasz się za porządki?

- Tego bym nie powiedziała, po prostu jestem najzwyczajszą w świecie pedantką. - Na widok zabawnie uniesionych brwi, jakby ją przedrzeźniał, i zafascynowanych oczu, poczuła trudną do opanowania ochotę roześmiania się. - W porządku - rzekła bezradnie - masz rację, przyznaję. To nerwowy nawyk. - Odłożyła poduszkę na miejsce i dodała ze smutnym uśmiechem: - Kiedyś, jeszcze w college'u, wyprowadzona z równowagi zbliżającym się egzaminem, uporządkowałam cały stryszek i ułożyłam w alfabetycznym porządku płyty mojego brata, potem przepisy kuchenne matki.

Oczy Zacka śmiały się z tej historii, ale głos pozostał poważny.

- Czymś cię zdenerwowałam? - zapytał zaskoczony.

Julie popatrzyła na niego i zdumiona powstrzymała śmiech. Potem, niezbyt udanie, przybierając surowy ton, powiedziała:

- Od trzech dni swoimi wyczynami starasz się, by moje nerwy znalazły się na granicy wytrzymałości!

Pomimo pełnego wyrzutu tonu, nie mogła Zacka oszukać spojrzeniem: widok jej ślicznej, pełnej wyrazu buzi bez śladu strachu czy nieufności, tym bardziej nienawiści, nappełnił go przejmującą tkliwością; całe wieki nikt na niego tak nie patrzył. Własnych adwokatów tak naprawdę nie zdołał przekonać o swej niewinności.

A Julie uwierzyła.



Nie potrzebował słów, wystarczyło spojrzeć w jej twarz. Wspomnienie tego, co załamującym się głosem mówiła nad strumieniem, było dobitnym potwierdzeniem:

„Pamiętasz jak mówiłeś, że chcesz, by ktoś uwierzył w twoją niewinność? Nie przekonałeś mnie, teraz myślę inaczej. Przysięgam! Nie potrafiłbyś zabić”. Mogła zostawić go, by umarł tam, nad strumieniem, a jeżeli dla córki pastora takie zachowanie było nie do pomyślenia, przyprowadzić tutaj, a potem zabrać samochód i z najbliższego telefonu zawiadomić policję. Ale tego nie zrobiła. Bo naprawdę wierzy w jego niewinność. Zapragnął wziąć ją w ramiona i powiedzieć, jak wiele dla niego znaczy; chciał ogrzać się w ciepłe jej uśmiechu, słyszeć ten jej zaraźliwy śmiech. A przede wszystkim pragnął znów poczuć jej wargi, całować ją i pieścić, aż oboje utoną w miłosnym zapamiętaniu, własnym ciałem podziękować za dar, jaki sobą dawała. Bo teraz nie mógł zaofiarować jej niczego innego.

Wyczuła zmianę w ich wzajemnych stosunkach, ale w żaden sposób nie potrafiła zrozumieć, dlaczego stała się bardziej nerwowa niż wtedy, gdy groził jej bronią. Zauważył to, miał jednak pewność, że tej nocy będą się kochać, że ona pragnie tego niemal tak mocno jak on.

Czekała, by znów się odezwał, zażartował lub drażnił się z nią, ale milczał. Cofnęła się i wskazała dłonią w stronę kuchni.

- Jesteś głodny? - spytała.

Jak wyrwany ze snu skinął głową i powiedział ochryłym z pożądania głosem:

- Wyglodzony.

Z pewnością nie wybrał tego słowa celowo, pocieszała się w myślach Julie, przecież zostało użyte w seksualnym kontekście podczas kłótni zeszłej nocy. Usiłując udać, że nie takiego nie przyszło jej do głowy, z przesadną uprzejmością zapytała:

- Na co masz ochotę?

- A co proponujesz? - odbił piłeczkę. Rozgrywał z nią partię ping-ponga z taką łatwością, że Julie nie wiedziała już, czy podwójnych znaczeń słów nie doszukuje się tylko jej wyobraźnia.

- Jedzenie, oczywiście.

- Oczywiście - zgodził się z powagą, ale oczy błyszczały mu rozbawieniem.

- A dokładniej, potrawkę.

- To ważne, by wyrażać się precyzyjnie.

Julie postanowiła przerwać tę dziwnie napiętą wymianę słów i zaczęła wycofywać się w stronę lady oddzielającej kuchnię od salonu.

- Tu rozłożę nakrycia.

- Lepiej zjedzmy przy ogniu - powiedział głosem aksamitnym niczym delikatna pieszczota - będzie przytulniej.

Przytulniej... Julie zaschło w gardle. W kuchni robiła wszystko z pozorną sprawnością, ale dłonie jej drżały i z trudem nakładała gęstą potrawkę do misek. Kątem oka patrzyła, jak Zack podchodzi do adaptera i przegląda płyty kompaktowe; po chwili głos Barbry Streisand wypełnił pokój. Ze wszystkich płyt znajdujących się w szafce, od Eltona Johna po jazz, akurat musiał wybrać Streisand!

Świat zawirował; sięgnęła po serwetki, dwie położyła na tacy, a potem, plecami odwrócona do salonu, oparła się o ladę i wzięła głęboki, uspokajający oddech. Przytulniej! Z tonu głosu wywnioskowała dokładnie, co to słowo miało oznaczać w jego ustach: intymniej. Romantycznie! Zdała sobie z tego sprawę równie jasno jak z sytuacji, jaka bezpowrotnie wytworzyła się pomiędzy nimi, gdy zdecydowała się przy nim pozostać, chociaż mogła pozostawić go nad strumieniem lub, po odprowadzeniu do domu, wezwać policję. On także to zauważył - jego oczy błyszczały czułością, głos brzmiał pogodnie i miękko. Julie wyprostowała się i potrząsnęła głową z dezaprobatą dla niemądrych, daremnych wysiłków oszukania samej siebie. Z samokontroli nie pozostało ani śladu, żadne argumenty nie miały znaczenia, nigdzie nie ucieknie przed tą prawdą.

A prawda? Pragnie go. A on jej. I oboje o tym wiedzą. Położyła srebrne nakrycia na tacy, rzuciła mu przez ramię spojrzenie i pośpiesznie odwróciła oczy. Zack siedział na sofie, ramiona położył na oparciu, nogę założył na kolano drugiej. Nie patrzył na nią - odprężony, zadowolony z siebie, uwodzicielski. Nie zamierzał jej poganiać, nie był ani trochę zdenerwowany. Ale on z pewnością kochał się z setkami kobiet, pomyślała, a każda była o wiele ładniejsza i bardziej doświadczona od niej.

Julie z trudem powstrzymała się od porządkowania kuchennych szuflad.

Zack patrzył, jak dziewczyna podchodzi do sofy i schylając się, stawia tacę na stole. Jej ruchy były wdzięczne i niepewne, przypominała spłoszoną gazelę. Blask płomieni odbijał się od jej ciężkich, opadających na ramiona, kasztanowego koloru włosów, rozświetlał delikatną cerę, gdy układała serwetki i miseczki. Długie, czarne jak węgiel rzęsy rzucały na gładkie policzki cienie w kształcie wachlarzy. Po raz pierwszy zauważył, jak piękne są jej ręce, szczupłe palce, paznokcie długie i wypielęgnowane.

I nagle wróciło wspomnienie tych dłoni gładzących jego twarz tam nad strumieniem, gdy kołysała go w ramionach i błagała, by wstał. Wtedy zdawało mu się, że w tym śnie jest tylko widzem, od chwili znalezienia się w łóżku wspomnienia przybierały wyraźniejszy kształt.

Pamiętał jej ręce wygładzające koce, którymi go przykryła, rozpaczliwy niepokój w słodkim głosie... Gdy patrzył na nią teraz, znów, jak kiedyś, zaskoczyła go roztaczana przez dziewczynę aura niewinności. Powstrzymał uśmiech na widok manewrów Julie, by uniknąć jego wzroku. Przez ostatnie trzy dni sprzeciwiała mu się, buntowała, nie chciała się poddać; dzisiaj najpierw przechytrzyła go, potem uratowała mu życie. A jednak, mimo całej swej nieposkromionej odwagi, teraz, gdy przestali być wrogami, okazała się zadziwiająco nieśmiała.

- Przyniosę wino - powiedział i zanim zdążyła zaprotestować, wstał i wrócił z butelką i dwoma kieliszkami na wysokich nóżkach.

- Nie dosypałem trucizny - zauważył z ironią, gdy zobaczył, jak odruchowo sięga po kieliszek, a potem cofa rękę.

- Nie pomyślałam tak. - Uśmiechnęła się sztucznie. Uniosła lampkę i upiła kilka łyków, a wtedy Zack dostrzegł drżenie jej dłoni. Jest spięta myślą, że zaraz zaciągnę ją do łóżka, uznał. Wie, że nie zbliżałem się do kobiety przez ostatnie pięć lat. Najprawdopodobniej martwi się, że zaraz po skończeniu jedzenia rzucę się na nią albo, jak zacniemy się kochać, stracę nad sobą panowanie i po dwóch minutach będzie po wszystkim. Tylko nie rozumiał, dlaczego ona miałaby się tym przejmować. Jeżeli ktoś powinien niepokoić się zdolnością przedłużania rozkoszy i kochania się po pięciu latach abstynencji, to tym kimś raczej powinien być on.

I był.

Postanowił uspokoić ją rozmową na przyjemne, neutralne tematy. W głowie zrobił przegląd tych dla niego interesujących. Szybko wykluczył, choć z niechęcią, ten dotyczący piękna jej ciała, wspaniałych oczu i - z największą niechęcią - wyszeptanego nad strumieniem wyznania: „Pójdziemy razem do łóżka”. To ostatnie przypomniało mu inne słowa, które padły z jej ust w sypialni tego popołudnia, gdy nie potrafił zrzucić z siebie paralizującej niemocy i jakoś zareagować. Teraz wiedział: większość nie była przeznaczona dla jego uszu. A może niektóre tylko sobie wyobraził? Pragnął, by opowiedziała mu o swych uczniach; uwielbiał jej opowieści. Właśnie miał sprowokować jej wynurzenia na tematy szkolne, gdy uświadomił sobie, że Julie przygląda mu się z dziwnym zainteresowaniem.

- O co chodzi? - zapytał.

- Zastanawiałam się... tego dnia... przy restauracji... czy naprawdę złapałam gumę?

Zack wzruszył ramionami, usiłując ukryć w uśmiechu pełen winy wyraz twarzy.

- Widziałaś na własne oczy.

- Chcesz powiedzieć, że przejechałam po gwoździu lub czymś podobnym i nie zauważyłam?

- Niekoniecznie. - Był pewien, że go podejrzewa, ale jej twarz nie wyrażała nic i nie miał pojęcia, co Julie naprawdę myśli.

- No więc, według ciebie, jak do tego doszło?

- Bok twojej opony wszedł w nagły kontakt z ostrym narzędziem.

Dokończyła potrawkę, odchyliła się i spojrzała na niego surowym wzrokiem, który spowodowałby natychmiastowe wyznanie winy i prośbę o wybaczenie ze strony każdego, najbardziej nawet krnąbrnego, ośmioletniego mężczyzny. Niemal widział ją stojącą w drzwiach klasy z winowajcą, spoglądającą na zuchwalca dokładnie z takim samym wyrazem twarzy.

- Ostre narzędzie? - zastanowiła się, unosząc brwi. - Na przykład nóż?

- Nóż - potwierdził, rozpaczliwie starając się zachować spokój.

- Twój?

- Mój. - Bez najdrobniejszego wyrazu skruchy na twarzy dodał z łobuzerskim akcentem: - Przykro mi, psze pani.

Nie dała się zbić z tropu. Uniosła brwi i powiedziała żartobliwym tonem:

- Mam nadzieję, że naprawisz tę oponę, Zack.

Wybuch wesołości Zacka zdołała jedynie powstrzymać rozkosz, jaką odczuł na dźwięk swego imienia.

- Tak, proszę pani - odparł. Nie do wiary, pomyślał, całe moje życie to jeden wielki chaos, a ja nie pragnę niczego poza roześmianiem się i wzięciem jej w ramiona. - Chyba nie muszę napisać trzystronicowego wypracowania na temat, dlaczego nie powinienem tego robić? - zapytał. Powędrowała wzrokiem za wazonem, który właśnie odstawił na bok. Jej ogromne, granatowe oczy zajaśniały rozbawieniem.

- Nie - odparła - ale spotka cię kara: zmywasz.

- O rany! - jęknął, ale posłusznie wstał, zabierając swoją miskę. Sięgnął po jej naczynie. - Co za złośliwość, panno Mathison.

- Żadnych skarg! - odpowiedziała stanowczo.

Zack nie mógł się powstrzymać. Wybuchnął śmiechem, odwrócił głowę i zaskoczył Julie niespodziewanym pocałunkiem w czoło.

- Dziękuję - szepnęła. Na widok jej zaskoczonej miny stłumił śmiech.

- Za co?

Spoważniał, nie odrywał od niej oczu.

- Za rozśmieszenie mnie. Za pozostanie tutaj i niewydanie mnie. Za odwagę i za to, że jesteś zabawna. I niewiarygodnie śliczna w tym czerwonym kimonie. I za przygotowanie wspaniałego posiłku. - Ujął ją pod brodę, by rozproszyć zbyt poważną atmosferę, i nagle uświadomił sobie, że to, co wyrażają jej błyszczące oczy, nie jest zażenowaniem.

- Pomogę ci - powiedziała, wstając. Zack położył dłoń na jej ramieniu.

- Siedź tu, rozkoszuj się ogniem w kominku i popijaj wino. Zbyt spięta, by usiedzieć spokojnie, zbyt niecierpliwa, by czekać na to, co zaraz nastąpi, wstała i podeszła do okna. Oparła się ramieniem o szybę i podziwiała panoramę pokrytych śniegiem górskich szczytów, lśniących w świetle księżyca. W kuchni Zack sięgnął do kontaktu na ścianie. Lampy w belkach nad salonem przygasły, w pokoju zapanował półmrok.

- Będzie lepszy widok na zewnątrz - wytłumaczył, gdy rzuciła mu pytające spojrzenie. I przytulniej, pomyślała Julie. Bardzo przytulnie i bardzo romantycznie, zwłaszcza przy dochodzących z adaptera dźwiękach muzyki.

## ROZDZIAŁ 31

Podszedł do okna, przy którym stała i plecy dziewczyny natychmiast lekko zeszywniały. Trudne do przewidzenia reakcje Julie na jego bliskość zaczynały go denerwować. Dobrze! Zamiast wziąć ją w ramiona i pocałować, co zrobiłby z każdą inną, zastosuje subtelniejszą metodę. Włożył ręce do kieszeni, głęboko popatrzył jej w oczy, głową wskazał na adapter i oficjalnym tonem zapytał:

- Mogę prosić o następny taniec, panno Mathison?

Zaskoczona, odwróciła się z czarującym uśmiechem. Jest zadowolona, pomyślał zachwycony. By powstrzymać się od dotknięcia jej, wsunął dłonie głębiej w kieszenie spodni i z zabawnym skrzywieniem twarzy oświadczył:

- Ostatnim razem, jak poprosiłem do tańca nauczycielkę, byłem na tę okazję lepiej ubrany - w białą koszulę, brązowy krawat i mój ulubiony, granatowy garnitur. Ale i tak mi odmówiła.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Pewnie uważała, że byłem dla niej za niski.

Julie uśmiechnęła się, bo z pewnością miał co najmniej sześć stóp i dwa cale wzrostu i albo żartował, albo ta kobieta była olbrzymką.

- Naprawdę byłeś od niej niższy?

Skinął głową.

- Mniej więcej o trzy stopy. Ja jednak wtedy nie uważałem tego za przeszkodę, byłem w niej zakochany po uszy.

- Ile miałeś lat? - Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Siedem.

Popatrzyła na niego, jakby wiedziała, jak tamta zniewaga była bolesna.

- Ja nigdy bym ci nie odmówiła, Zack.

Lekkie zająknięcie i czułe spojrzenie niemal całkowicie go rozbroiły. Zdumiony uczuciami, jakie się w nim budziły, w milczeniu wyciągnął ku niej dłoń, ani na chwilę nie odrywając wzroku od jej oczu. Podała mu rękę, wtedy drugim ramieniem objął jej wąską talię i przyciągnął dziewczynę bliżej - niesamowity głos Streisand bez najmniejszego wysiłku pokonywał pierwsze akordy „People”.

Doznał wstrząsu, gdy jej uda zetknęły się z jego ciałem. Lekko, z wdziękiem dotrzymywała mu kroku, a gdy jeszcze delikatnie przytuliła głowę do jego piersi, serce

zakolatało o wiele za szybko. Nawet jej nie pocałował, a już każdy nerw jego ciała pulsował pożądaniem. By się opanować, starał się znaleźć temat do rozmowy, która doprowadzi go do celu, a nie pobudzi jeszcze bardziej. Przypomniawszy sobie, że żarty o oponie, którą przeciął, sprawdziły się. Obydwoje skorzystają, jeżeli potrafią śmiać się ze spraw, pomyślał, które wcześniej wcale nie wydawały się śmieszne. Ich palce splotły się. Jej drugą dłoń położył sobie na piersi i lekko dmuchnął dziewczynie we włosy.

- A tak przy okazji, panno Mathison, co do pani dzisiejszego, niezaplanowanego lotu na śnieżnym skuterze...

Natychmiast podjęła jego przesadnie surowy ton, zadarła brodę i zrobiła minę tak głęboko urażonej niewinności, że Zack z trudem powstrzymał się od wybuchnięcia śmiechem.

- Słucham? - zapytała.

- Gdzie, u diabła, podziewałaś się po wystrzeleniu jak rakieta z grzbietu góry?

- Wylądowałam w objęciach olbrzymiej sosny. - Jej ramiona zatrzęsły się ze śmiechu.

- To bardzo chytry plan - zadrwił. - Wyszłaś bez szwanku, całkiem sucha, a mnie sprowokowałaś do taplania się w tym przeraźliwie zimnym potoku jak jakiś ogłupiały łosoś.

- Ten fragment nie był śmieszny. To, co dzisiaj zrobiłaś, to pokaz odwagi, jakiej w życiu nie oglądałam.

To nie pod wpływem słów Julie tajało w nim serce, miękło w żarze jej pełnego zachwytu spojrzenia. Po upokarzającym procesie i obróbce więziennej pragnął, by traktowano go jak człowieka, nie zwierzę. Jej wzrok mówiący, że jest odważnym, wspaniałym mężczyzną był darem o wiele mu droższym niż wszystko, co dotychczas w życiu otrzymał. Pragnął tulić ją mocno w ramionach, zapomnieć się w jej słodkości; zanurzyć w niej. Chciał być najlepszym kochankiem, jakiego kiedykolwiek miała, sprawić, by ta noc stała się niepowtarzalna dla obojga.

Julie widziała, jak wzrok Zacka przylgnął do jej ust. Pełna oczekiwania, które przez ostatnią godzinę sięgnęło szczytu, zapragnęła, by ją pocałował. Gdy stało się oczywiste, że tego nie zamierza, starała się, jak potrafiła najlepiej, ukryć rozczarowanie pod pogodnym uśmiechem i żartobliwym zachowaniem.

- Jeżeli kiedykolwiek będziesz w Keaton i spotkasz Tima Martina, proszę, nie mów mu, że dzisiejszego wieczora tańczyłam z tobą.

- Dlaczego?

- Bo z moim ostatnim partnerem wszczął bójkę.

Pomimo absurdalności sytuacji Zack poczuł pierwsze w całym swym dorosłym życiu ukłucie zazdrości.

- Czy Martin to twój chłopak? Parsknęła śmiechem na widok jego ponurej miny.

- Nie, to jeden z moich uczniów, z tych zazdrosnych...

- Czarownica! - Przyciągnął Julie do siebie, i właśnie w tym momencie John Denver zaczął śpiewać „Annie's Song”. - Dokładnie wiem, co ten biedny dzieciak musiał czuć.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że przed chwilą byłeś zazdrosny? -Zatrzepotała rękami.

Pożądliwe spojrzenie Zacka zatrzymało się na jej wargach.

- Pięć minut wcześniej - zamruczał - uznałbym się za niezdolnego do tak poniżającego uczucia.

- W porządku - powiedziała z kpiną w głosie, potem takim samym tonem dodała: - Zaskakuje mnie pan, gwiazdorze.

Zackowi aż zrobiło się zimno.

Gdyby miał wybierać, czy Julie Mathison, gdy dziś wieczorem weźmie ją do łóżka, ma myśleć o nim jak o zbiegłym więźniu, czy gwiazdorze filmowym, bez wahania zdecydowałby się na to pierwsze. W końcu jako skazaniec byłby kimś rzeczywistym, a nie wymyślonym, przyprawiającym o mdłości amantem. Ponad dziesięć lat żył z image czyniącym z niego seksualne trofeum rywalizujących o jego względy kobiet. Podobnie jak sławni futboliści czy gwiazdy hokeja, pozwolił na wdzieranie się do swego prywatnego życia hordom niewiast pragnącym tylko jednego - przespać się z Zacharym Benedictem. Nie z mężczyzną z krwi i kości; z idolem filmowym. Dzisiaj wieczorem po raz pierwszy w życiu był pewien, że kobieta pragnie go dla niego samego. Myśl o możliwości pomyłki stawała się nie do zniesienia.

- Czemu - zaczęła ostrożnie - tak na mnie patrzysz?

- Może ty mi powiesz - próbował przejąć inicjatywę - dlaczego akurat w takiej chwili wyskoczyłaś z tym „gwiazdorem”?

- Odpowiedź nie spodoba ci się.

- Zobaczymy - uciął ostro.

Słyszając jego ton, zmrużyła oczy.

- W porządku. Powiedziałam tak, bo czuję awersję do nieszczerości.

- Czy mogłabyś wyrazić się jaśniej? - Zmarszczył brwi.

- Oczywiście - odpowiedziała cierpko. - Udawałaś zazdrosnego, a potem pogorszyłeś jeszcze sytuację, twierdząc, że wcześniej uczucie to było ci obce. Nieszczere, dziwnie brzmiące w twoich ustach wyznanie. Obydwoje wiemy, że jestem najmniej atrakcyjną kobietą z tych, z jakimi flirtowałaś w całym twoim dorosłym życiu! Ja już nie traktuję cię jak



zbiegłego mordercy, więc byłabym wdzięczna, gdybyś ty przestał odnosić się do mnie jak do... twojej niezbyt rozgarniętej wielbicielki, którą kilkanaście pochlebstwami oczarujesz tak, że z wrażenia zemdleje u twoich stóp.

Dopiero teraz zauważyła zmarszczone czoło, wzbierającą na jego twarzy burzę. Zażenowana i zawstydzona, że pozwoliła, by zranione uczucia doprowadziły ją do wybuchu, odwróciła wzrok. Teraz spodziewała się riposty i próbowała uodpornić się na brutalną prawdę. Cisza. Odezwała się więc pojednawczo:

- Przepraszam, chyba nie musiałam być aż tak dosadna. Teraz twoja kolej.

- Na co?

- Na powiedzenie mi, jak się zachowałam, niegrzecznie i wstrętne.

- Dobrze, taka właśnie byłaś.

Przestali tańczyć. Julie, by dodać sobie odwagi przed spojrzeniem w jego pozbawioną wyrazu twarz, wzięła głęboki oddech.

- Jesteś zły, prawda?

- Nie jestem pewien.

- Co to znaczy?

- Co do ciebie. Od dzisiejszego południa. I rozumiem coraz mniej.

Wydawał się taki dziwny, taki... nieswój, że Julie, złośliwie zadowolona, aż się uśmiechnęła. Nie sądziła, by jakiegokolwiek innej kobiecie, choćby najpiękniejszej, udało się doprowadzić go do takiego stanu. Nie wiedziała, jak mogło do tego dojść, ale poczuła się bardzo z siebie dumna.

- Myślę - powiedziała wreszcie - że to mi się podoba.

- Mnie niestety nie. - Nie było mu do śmiechu.

- Och, czemu to?

- Uważam, że powinniśmy wreszcie wyjaśnić sobie, co rozgrywa się między nami i czego oczekujemy. - Zackowi przeszło przez głowę, że chwila może nie być najlepsza do rozpoczynania gry w otwarte karty. Ale dłużej tego nie zniesie! Pięć lat więzienia, dręczące emocjonalnie i fizycznie wydarzenia ostatniego dnia, a do tego huśtawka nastrojów, na jakiej dzięki niej znajdował się od dwudziestu czterech godzin - wszystko to razem kompletnie wstrząsnęło jego psychiką, zaburzyło zdolność oceny sytuacji, nadszarpięło cierpliwość.

- No co, zgadzasz się?

- Chyba... tak.

- Świetnie, kto zaczyna, ty czy ja?

Pełna obawy i rozbawienia jednocześnie, niepewnie przełknęła ślinę.

- Ty pierwszy.

- Co chwilę ogarnia mnie zwariowane uczucie, że nie jesteś realną osobą... zbyt naiwna jak na swoje dwadzieścia sześć lat... że mam do czynienia z trzynastoletnią dziewczynką, udającą dorosłą kobietę.

Z uczuciem ulgi, że nie usłyszała niczego gorszego, uśmiechnęła się.

- A przez resztę czasu?

- To ja czuję się, jakbym miał trzynaście lat. - Widział po błysku w jej oczach, że to, co powiedział, podobało się jej. I nagle poczuł perwersyjną potrzebę odebrania jej złudzeń co do swojej osoby i zamiarów na dzisiejszy wieczór. - Pomimo tego, co wyobraziłaś sobie dzisiaj nad strumieniem, nie jestem rycerzem w lśniącej zbroi ani nie odtwarzam roli pełnego szlachetności bohatera, tym bardziej romantycznego nastolatka! Niewinność, z którą się urodziłem, wszelki idealizm, straciłem na długo przed dziewictwem. Nie jestem dzieckiem, ty także nie. Dorośliśmy. Obydwoje wiemy, co rozgrywa się między nami i zdajemy sobie sprawę, dokąd zmierzamy. - Wesołość w jej oczach zastąpił strach?... gniew?... zażenowanie? - Czy chcesz, bym wyrecytował, o czym myślę, byś nie miała wątpliwości? - naciskał. Patrzył, jak gorący rumieniec zalewa jej policzki. Dotknięty, że świadomość jego pragnień zmroziła uśmiech na jej twarzy, nie ustępował: - Moje motywy nie są szlachetne, nazwijmy je naturalnymi, dojrzałymi. Nie jesteśmy trzynastoletkami na kursie tańca, a ja nie zastanawiam się, czy dzisiejszego wieczora pozwolisz mi się pocałować. To już postanowione! Będę cię dzisiaj całował! Pragnę cię, ty mnie - oto cała prawda. Nim ta noc minie, sprawię, byś była pewna, że to mnie chcesz. Wtedy rozbiórę cię i będę kochał z całą namiętnością. A teraz chcę z tobą tańczyć, czuć twe ciało przy swoim i przez cały czas myśleć o tym wszystkim, co będę robił tobie... i z tobą, jak już znajdziemy się w łóżku. Czy wyrażam się jasno? Jeżeli myślisz o czym innym, powiedz mi, czego się spodziewasz, dostosuję się. Dobrze? - zapytał niecierpliwie, gdy milczała z pochyloną głową. - Więc słucham.

Julie przygryzła drżące wargi, uniosła ku niemu oczy lśniące rozbawieniem i... pożądaniem.

- Co byś powiedział na pomoc przy porządkowaniu szafy w holu?

- Nie masz jakiejś drugiej propozycji? - Rozdrażniony nie zrozumiał żartu.

- To właśnie była ta druga. - Ze zmarszczonym czołem utkwiała wzrok w wycięciu kołnierzyka koszuli pod jego szyją.

- No dobrze, jak, u diabła, wygląda ta pierwsza propozycja? I nie udawaj tak zdenerwowanej, że aż musisz porządkować szafy. Jak pamiętam, nawet wycelowana broń nie potrafiła wyprowadzić cię z równowagi!

Julie dodała żywość reakcji i pewną dozę naiwności do cech, które w nim uwielbiała. Była gotowa zakończyć tę grę, ale na spojrzenie mu prosto w oczy nie zdołała się zdobyć.

- Masz rację, mierzenie do mnie z pistoletu nie jest tym, co mogłoby mnie zdenerwować, nie po dzisiejszym dniu. Bo teraz wiem, że nigdy nie zrobiłbyś mi krzywdy. Nieswojo czuję się dopiero wtedy, gdy zachowujesz się tak jak dzisiaj.

- To znaczy? - spytał ostro.

- Sprawiasz, że zastanawiam się, czy wreszcie mnie pocałujesz. Jak wczorajszej nocy... Zachowujesz się, jakbyś bardzo tego chciał... a za chwilę, jakbyś się rozmyślił...

Zack ujął w dłonie jej głowę, palce zagłębił we włosach; gwałtownie przypaął do ust, chłonąc resztę słów. A gdy dowiodła, że mówiła prawdę, gdy dłońmi przesunęła wzdłuż jego piersi i ramionami otoczyła szyję, przyciągnęła mocno i odwzajemniała pocałunek, poczuł wzbierającą w sobie rozkosz, przypływ trudnego do opisanego szczęścia.

Zaprażył wynagrodzić jej poprzednią szorstkość; wargami powędrował po jej twarzy, lekko musnął brodę, potem policzki i skronie, wreszcie wrócił do ust, pocierając ich delikatny kontur. Językiem przesunął po drżących wargach, nalegając, by się rozwarły, a gdy ustąpiły, naparł całym impetem - wygłodzony mężczyzna, beznadziejnie usiłujący zaspokoić głód, równocześnie ucząc, jak ona ma go zwiększyć. A kobieta w jego ramionach okazywała się chętną, pojętną uczennicą. Wtapiając się w niego, przyciskała wargi do warg, językiem zapraszała język.

Po kilku długich minutach Zack zmusił się wreszcie do uniesienia głowy. Popatrzył jej w oczy, zarejestrował wygląd: cała zarumieniona, świeża. Uwodzicielska. Usiłował uśmiechnąć się; dłonią otoczył jej szyję, palcami drugiej ręki badał miękkość dolnej wargi. Ale ciemnogrnatowe źrenice znów wciągały go w swą głębię. Rozchylił jej wargi, wygłodzony na nowo uwięził swoimi jej usta. Zadrżała w jego ramionach; wspięła się na palce i lekko naparła ciałem; poczuła twardy kształt; serce Zacka zabiło szybciej, palce kurczowo wbił w jej plecy. Mocniej przycisnął pełne uległości ciało, dłońmi powiodł z boku po jej piersiach, po plecach, w końcu po pośladkach, coraz silniej przyciągając jej biodra do swoich. Za chwilę utracę nad sobą kontrolę, pomyślał.

Mówił sobie, że musi przyhamować, powstrzymać chęć rzucenia jej na podłogę. Nie może przecież zachować się jak głodny seksu więzień, a nie wymarzony kochanek, jakiego obiecał jej w swej pełnej gniewu tyradzie. To przypomnienie obietnicy sprawiło, że przeciągnął pieszczoty, zwrócił uwagę na ostrzegawczy sygnał: jak już zaczną się kochać, podniecenie może doprowadzić go do kulminacji o wiele dla niej za szybko.

Zmusił się do przeniesienia rąk z jej piersi w okolice talii; trudniej przychodziło mu powstrzymanie niesfornego języka, gdy przywierając do niego, namiętnie odwzajemniała pocałunek. Wreszcie udało mu się cofnąć usta o cal; nie był pewien, które z nich jęknęło z rozczarowania. Po chwili opadła czołem na jego pierś. Z zamkniętymi oczami, sercem bijącym jak oszalałe, by odzyskać równowagę, odetchnął głęboko i objął ją mocniej. Ale nie pomogło - musi wziąć ją całą, natychmiast. Oddychał szybko, ujął ją pod brodę, uniósł twarz. Oczy miała zamknięte, długie rzęsy opadały na delikatne policzki. Instynktownie podsunęła wargi do pocałunku.

Zack stracił nad sobą panowanie. Ustami pochwycił z gwałtowną desperacją wargi Julie, zmuszając do rozwarcia. Szarpnął węzeł paska; jedwabna materia opadła z jej ramion na podłogę przed kominkiem; napawał się widokiem i dotykiem nagiej, gładkiej skóry.

Otulona jego ramionami pozwoliła, by ułożył ją na podłodze. Nie wynurzała się ze stanu nieprzytomnej rozkoszy aż do chwili, kiedy oderwał od niej usta i dłonie. Otworzyła oczy i ujrzała, jak pośpiesznie rozpina guziki koszuli, potem zrzuca spodnie, ale dopiero pod jego pożądliwym spojrzeniem poczuła pierwsze drgnienie paniki. W blasku ognia przebiegające po jej ciele oczy Zacka gwałtownie zajaśniały; namiętność wyostrzyła rysy twarzy, nadając im wyrazu twardości. Odruchowo uniosła ramię, by zasłonić piersi, a wtedy usłyszała jego ochryply głos:

- Nie rób tego!

Zadrżała - ten nieznany wyraz twarzy, jakby był kimś całkowicie obcym. Opadł na nią ciężarem swego ciała. Uświadomiła sobie, że to już, i za chwilę w nią wejdzie. Chyba że go powstrzyma.

- Zaczekaj, Zack - szepnęła. Zastanawiała się, jak mu to powiedzieć bez popsucia nastroju.

Nie rejestrował słów, ale rozbrzmiewająca w jej głosie panika lekko go zaniepokoiła, reszty dopełniły odpychające go ramiona i zaskakujące w jej wydaniu, prowokujące ruchy bioder.

- Zack!

Wiedział, że ogarnięty namiętnością posuwa się za szybko, i pomyślał, że Julie protestuje właśnie przeciwko temu.

- Muszę ci coś powiedzieć!

Z trudem zmusił się do zsunęcia się z niej, ale gdy pochylił głowę, by pieścić piersi, powstrzymała go.

- Proszę! - powiedziała, patrząc w jego pałające oczy. Delikatnie przesunęła palcami po pulsujących mięśniach szczęki, a gdy zwrócił usta ku wnętrzu jej dłoni, serce Julie wypełniła tklivość... i ulga. - Musimy porozmawiać.

- Dobrze - powiedział ochryplym głosem. Przyciągnął ją do siebie, całował kąciki ust i szyję, głaskał po piersiach. - Ja będę słuchał - skłamał. Palcami sięgnął w dół płaskiego brzucha, ku trójkątowi kręconych włosów. Drgnęła. Przytrzymała wędrującą dłoń. Temat, jaki zaproponowała, uznał za najbardziej niefortunnie wybrany przez kobietę w sytuacji takiej jak ta.

- Ile miałeś lat, gdy kochałeś się po raz pierwszy? Zamknął oczy i wyrzucił z niecierpliwością:

- Dwanaście.

- Nie chcesz wiedzieć, ile ja miałam?

- Nie - odrzekł przez zaciśnięte wargi. Przesunął głowę w górę, by całować jej piersi, gdyż zauważył, że z jakichś powodów nie chciała, by dotykał jej bardziej intymnie. Całe jego ciało szalało z potrzeby, ale jak najdłużej chciał pieścić ją w miejscach, w których, jak zapamiętał, sprawiał kobietom najszybciej największą rozkosz.

- Miałam dwadzieścia sześć lat - powiedziała drżącym z paniki głosem, gdy mocniej zacisnął usta wokół jej sutki.

Krew szumiała mu w uszach; słyszał słowa, ale nie rozumiał ich znaczenia. Tak cudownie smakowała; dotyk jej jedwabistego ciała okazał się jeszcze wspanialszy. Piersi, ani zbyt duże, ani ciężkie, były pełne kobiecego piękna - jak ona. Gdyby teraz okazała się równie chętna, jak przed chwilą, bez trudu przywiódłby ją do orgazmu, dopiero potem kochałby długo, jak należy. Miał za sobą pięć lat powstrzymywanych żądz; zdoła kochać się z nią całą noc, bez przerwy. Tylko musiałyby mu pozwolić, przestać zaciskać uda, wspominać, ile miała lat... ten pierwszy raz... jak... przeżywała seks.

Julie dokładnie zauważyła, w którym momencie zrozumiał jej słowa. Uniósł usta o cal nad jej skórę, a jego ciało znieruchomiało; miała wrażenie, jakby przestał oddychać.

- To jest dla mnie ten pierwszy raz - powiedziała niepewnie.

- O, cholera! - Opadł czołem na jej piersi, zacisnął powieki.

Ten gwałtowny szept uświadomił Julie najdobitniej, że nie ucieszyła Zacka rewelacją. Przekonanie pogłębiło się jeszcze, gdy uniósł głowę i spojrzał na nią ostrym wzrokiem, jakby oceniał każdy szczegół twarzy, jakby tutaj szukał dowodu kłamstwa. Z rozpaczą pomyślała, że albo jest wścickły, albo bardzo zdegustowany. A ona nie chciała przecież, by przestał,

pragnęła tylko, by zwolnił tempo i nie obchodził się z nią jak... jakby jej ciało było do tego nawykłe.

Zack nie wyglądał na niezadowolonego, raczej jakby został rażony piorunem. Zdezorientowany. W ciągu całego życia nigdy nie spotkał dwudziestosześcioletniej dziewicy. Do tego godnej pożądania - pięknej, dowcipnej, inteligentnej.

Patrzył na jej śliczną, wrażliwą buzię i wszystko, co niepokoiło go od wczoraj, zaczynało układać się w logiczną całość. Przypomniawszy sobie jej rozpaczliwy wybuch po wczorajszych wieczornych wiadomościach: „Mój ojciec jest pastorem! To szanowany człowiek. Przez piętnaście lat życia starałam się być ideałem”. Zapamiętał odpowiedź na pytanie, czy jest zaręczona: „Rozmawiamy o tym”. Najwyraźniej było wiele rozmów, ale żadnego kochania, pomyślał. A ostatniego wieczora sam porównywał ją do dziewczynki z kościelnego chóru.

Teraz, kiedy już znał jej przeszłość, tym bardziej gubił się w terażniejszości. Najwyraźniej zachowała niewinność, mimo że miała chłopaka, który przecież ją kochał, ofiarował szacunek i wspólną przyszłość. A dziś wieczorem chce oddać się zbiegłemu więźniowi, który nie ma dla niej nic, niezdolnemu do kochania kogokolwiek. Po raz pierwszy od wielu lat w Zacku odezwało się sumienie. Przecież nawet ten prawie narzeczony nie przekonał jej, by mu się oddała; więc teraz Zack, gdyby naprawdę miał jakiegokolwiek skrupuły, powinien trzymać się od niej z daleka! Porwał ją, potem obraził. Wystawił na publiczne potępienie. Dopisanie do tej listy pozbawiania niewinności byłoby czynem nie do wybaczenia.

Ale głos sumienia był za słaby, by go powstrzymać. Pragnie jej, musi ją mieć. Więc będzie... Los pozbawił go godności, wolności i przyszłości, ale z jakiegoś powodu, na te kilka dni, prawdopodobnie ostatnich w życiu, dał mu Julie. Nic nie jest w stanie go powstrzymać, nawet sumienie. Nieświadomy upływu czasu, głuchy i niemy, patrzył na nią, dopóki drżący głos nie wyrwał go z zamyślenia. Słowa, jakie padły z jej ust, były wzruszającym dowodem braku doświadczenia w postępowaniu z mężczyznami.

- Nie zamierzałam cię rozzłościć - powiedziała, całkowicie opacznie tłumacząc sobie jego milczenie.

- Jestem zły na siebie, nie na ciebie. - Westchnął ciężko.

- Dlaczego? - Popatrzyła mu pytająco w twarz.

- Bo to mnie nie powstrzyma - burknął w odpowiedzi. - Bo nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia, że jeszcze tego nie robiłaś, nawet z kimś takim, kto cię kochał, kto

mógł z tobą zostać, gdybyś zaszła w ciążę. Teraz nic się dla mnie nie liczy... - westchnął, przybliżył usta do jej ust - tylko to...

Jednak jej niedoświadczenie miało znaczenie. Na tyle, by Zack przerwał pocałunek i starał się powstrzymać żądzę, by na nowo rozpocząć miłosną grę.

- Chodź do mnie - szepnął. Wziął ją w objęcia i ułożył twarzą do siebie, na boku, z głową opartą w zagłębieniu swego ramienia. Oddychał głęboko i czekał na uspokojenie się serca. Powoli, by dodać dziewczynie otuchy, gładził jej plecy. Pomyślał, że nawet gdyby miał umrzeć od niezaspokojonej żądz, sprawi, by jej było dobrze. Jakoś musi ją przygotować, starając się nie zwiększać swego podniecenia.

Julie leżała bez ruchu, oszołomiona zaskakującą zmianą jego nastroju, przerażona, pomimo jego zapewnień, że nie zniechęcił go do kochania się z nią. Nie mogła ani chwili dłużej znieść niepewności. Nie patrząc mu w oczy, zatrzymała wzrok na jego szyi.

- Z tego, że to mój pierwszy raz, nie zamierzam robić wielkiej sprawy. Próbowałam tylko spowodować, byś trochę zwolnił, a nie całkiem przestawał.

Zack rozumiał, jak ciężko przyszło jej wypowiedzenie tych słów, i targnął nim przyływ dawno nie odczuwanej tkliwości. Uniósł jej brodę.

- Nie pomniejszaj tego wydarzenia. Prawda jest taka, że nigdy nie byłem odpowiedzialny... nie miałem zaszczytu być pierwszym mężczyzną, więc także mnie przydarza się to pierwszy raz. - Odsunął z policzka Julie splątane włosy, powoli przeczesywał palcami i patrzył, jak opadają na jej prawe ramię. - Przez te wszystkie lata, przez które nie mogli dociec, jaka naprawdę jesteś, musiałaś doprowadzać chłopaków w Keaton do szaleństwa.

- O co ci chodzi?

- O to, że od wczoraj marzyłem o zatopieniu palców w tych cudownych włosach, a przecież oglądam je dopiero od dwóch dni. - Z uśmiechem popatrzył jej w oczy.

Słowa rozpały żarem ciało Julie, co Zack natychmiast wyczytał ze zmiany wyrazu jej twarzy, ze sposobu, w jaki rozluźniła się w jego ramionach. Teraz przypomniał sobie, że słowami można rozpalić kobietę równie dobrze i szybko, jak najbardziej wprawnymi pieszczotami. Zrozumiał, że może osiągnąć cel bez doprowadzenia swego pożądanego do granic wytrzymałości, o co byłoby w tej chwili nietrudno przy miłosnych gestach.

- Czy wiesz, o czym myślałem wczoraj podczas kolacji? - zapytał pełen czułości.

Pokręciła głową.

- Zastanawiałem się nad smakiem twoich ust, nad tym, czy twoja aksamitna skóra będzie równie delikatna w dotyku. - Gdy dotknął palcami jej policzka i powiedział: - Jest

delikatniejsza - Julie czuła się, jakby zapadała w głęboki, cudowny, zmysłowy sen. Nie spuszczać z niej wzroku, potarł kciukiem jej wargi. - A twoje usta... niebiańskie! - Jego dłoń nieubłaganie zsuwała się po szyi, na ramiona, potem wolno przykryła pierś; Julie spuściła wzrok na gęste, kręcone, czarne włosy porastające jego szeroką klatkę piersiową.

- Nie odwracaj oczu - szepnął. Posłusznie powędrowała spojrzeniem ku jego twarzy. - Masz piękne piersi - zachwycił się.

To mija się z prawdą, pomyślała Julie, więc pozostałe słowa... Zobaczył wąpiący wyraz jej twarzy i usta wykrzywił mu smutny uśmiech.

- Jeżeli to nieprawda - rzekł, przesuwając kciukiem tam i z powrotem po twardniejącej sutce - to dlaczego umieram z pragnienia patrzenia na nie, ich dotykania, całowania? - Pod jego dotykiem sutka uformowała się w twarde pączek; na Zacka spłynęła kolejna fala żądy. - Wiesz, że to prawda, Julie. Możesz wyczytać z mojej twarzy, jak bardzo cię pragnę.

Widziała to - widziała w jego palącym, ciężkim spojrzeniu. Z trudem powstrzymał się od pocałowania jej, głęboko westchnął. Musiał się hamować, gdy językiem muskał jej wargi.

- Jesteś taka słodka - szepnął. - Taka diabelnie słodka.

Rezerwa Julie prysnęła w jednej chwili. Cicho jęcząc, objęła go za szyję i pocałowała z narastającym w niej pożądaniem. Przytuliła się do niego całym ciałem i rozkoszowała dreszczem, jaki nim wstrząsnął, gdy natarła na jego wargi gwałtownym, namiętym pocałunkiem. Ze zrozumieniem, jakiego istnienia u siebie nie podejrzewała, wyczuwała jego zdesperowaną walkę, by pocałunek nie stał się zanadto erotyczny, i przepelniła ją bezgraniczna tkliwość. Potarła jego usta rozchylonymi wargami, by zmusić go do pogłębienia pocałunku, a gdy się nie udało, zaczęła sama całować go w sposób, w jaki on robił to wcześniej. Dotknęła językiem jego warg i od razu poczuła przyspieszony oddech; zachęcona pozwoliła, by jej język, na krótko, namiętnie zanurzył się w jego ustach, badając drogę...

I osiągnęła cel.

Rezerwa Zacka w jednej chwili prysnęła; z cichym jękiem przewrócił ją na plecy, całował z pożądlivym głodem, sprawiał, że poczuła się bardzo silna i bezradna zarazem. Jego ręce i usta ogarniały jej ciało, prześlizgiwały się po piersiach w dół i zaraz wracały. Przyłgął do jej warg, we włosy wbijał palce - brał w niewolę; całe ciało Julie zapłonęło pożądaniem.

- Otwórz oczy, maleńka - szepnął.

Posłuchała. Nad sobą zobaczyła muskularną, męską pierś pokrytą kręconymi, ciemnymi włosami i serce zabiło jej żywiej. Z ociąganiem oderwała wzrok, widziała, jak namiętność go zmienia. Mięśnie szyi pulsowały, napięta twarz pociemniała, oczy paliły



ogniem. Widziała, jak na jego wargach formują się słowa, za chwilę wyartykułował je zachrypniętym głosem:

- Dotknij mnie. - Zaproszenie, rozkaz, błaganie.

Odpowiedziała na każde. Uniosła rękę i przycisnęła do jego policzka, a wtedy on, nie spuszczać wzroku, utonął ustami we wrażliwym wnętrzu jej dłoni.

- Dotknij mnie - powtórzył.

Jej serce zaczęło bić jak szalone; koniuszkami palców przewędrowała od twardych policzków, przez napięte mięśnie karku do ramion, w końcu zatrzymała się na szerokiej klatce piersiowej. Skóra Zacka była w dotyku niczym oblekający granit atlas, gdy posmakowała jej ustami, mięśnie natychmiast naprężyły się. Oszołomiona swoją nowo odkrytą mocą, całowała jego małe sutki, potem wargami sunęła aż do pępka. Z ust mężczyzny wyrwał się ni to jęk, ni to śmiech. W jednej chwili położył ją na plecach i przytrzymując nad głową ręce, nakrył swym ciałem. Wtargnął w jej usta, ich języki splotły się; wyjmował i wpychał swój, przygotowując ją na to, co zamierzał czynić z jej ciałem - ogień rozpalający się w Julie buchnął palącym płomieniem. Uwolniła nadgarstki, opłotła go ramionami i odwzajemniając oszłamiające pocałunki, przywarła doń całym ciałem, gładziła ramiona i plecy; jęknęła z rozkoszy, gdy na piersiach poczuła gorące usta. Tak bardzo zatraciła się w pożądaniu, które umiejętnie wzniecał, że dopóki palcami nie zaczął pieścić jej intymnych miejsc, nie zauważyła, kiedy sięgnął między jej uda. Zacisnęła powieki; oparła się fali zażenowania, poddała rozkoszy.

Zack walczył z rozszalałym w nim pożądaniem, obserwował drgania jej cudownej twarzy pod tą niezwykłą dla niej pieśczołą. Każde westchnienie, każdy spazm rozkoszy przepełniał go przejmującą tkliwością. Otwierała się ku niemu, wilgotna i gorąca - rozpaczliwie zapragnął zanurzyć się w niej. Jeszcze chwila, powstrzymywał się w myślach; pochylając głowę, całował namiętnie, równocześnie głęboko sięgając palcem. Obejmowała go, drżała. A jemu przypomniały się wzruszające słowa: „Dobrze, że drżysz, to bardzo, bardzo dobrze”. Pod palcami wyczuwał, że jest niezwykle wąska i ciasna, i miał okropne uczucie, że robi się za duży, że Julie, bez bólu, nie pomieści jego erekcji.

Jej dłonie poczynały sobie coraz odważniej. Aż wstrzymał oddech, gdy wreszcie musnęła, a potem wzięła w dłoń jego sztywny członek. W chwili gdy palce zamykały się, jej oczy, otwarte jakby w szoku, zatrzymały się na jego twarzy. Gdyby sytuacja nie była tak ostateczna, tak nagląca, Zack roześmiałby się z jej miny. Ale teraz nie pora, pomyślał, by śmiać się czy wpadać w dumę z powodu wrażenia, jakie najwyraźniej zrobił na niej swym rozmiarem. W blasku padającym z kominka patrzyła na niego, jakby czekała na jego decyzję.

Jej palce doprowadzały do szaleństwa, niebezpiecznie zbliżał się do granicy eksplozji. Drugą ręką sięgnęła ku jego twarzy, pogładziła uspokajająco po brodzie, a słowa, które usłyszał, rozbroiły go ostatecznie.

- Byłeś wart czekania przez dwadzieścia sześć lat, panie Benedict.

Stracił nad sobą kontrolę. Z dłońmi po obu stronach rozplamionej twarzy Julie pochylił się, by ją całować, a z jego ust wyrwało się ochryple, pełne podziwu i zdumienia:

- Chryste...

W uszach zaszumiła krew, ale ani na chwilę nie zapomniał, jakie to dla Julie ważne przeżycie. Opadł na jej ciało, między nogi, i szukał do niej wejścia. Znalazł.

Wszedł w ciasny, wilgotny przedsionek i aż mu zaparło dech; jej ciało rozwierało się, by przyjąć w siebie, ogarniała go cudowność jej ciepła. Napotkał kruchą przeszkodę; w dłoniach uniósł szczupłe biodra, wstrzymał oddech i pchnął. Julie napięła się w ledwie wyczuwalnym spazmie bólu, ale nim zdążył zareagować, przyciągnęła go ramionami, a jej ciało otwierało się ku niemu niczym egzotyczny kwiat... przyjmowało, chowało w siebie. Starając się odwlec zbliżający się orgazm, poruszał się w niej coraz wolniej, ale ona przejęła rytm, kurczowo go do siebie przyciskając, a wtedy zniknęło całe jego opanowanie, chęć przedłużenia miłosnego aktu. Przywarł do jej ust w gwałtownym pocałunku i równie gwałtownie wchodził w nią, zmuszając, by poruszała się szybciej i szybciej.

Podążając ku szczytowaniu, rozkoszował się jej stłumionym jękiem; ona, cała drżąca, wbiła paznokcie w jego plecy. Podniósł jej biodra wyżej i przyciągnął, teraz uderzał mocniej, w jakiejś trudnej do opanowania potrzebie, by wejść w nią jak najgłębiej. Ekspłodował w jej wnętrzu z siłą, która wyrwała z jego ust cichy jęk. Nie przestawał się poruszać. Jak gdyby Julie mogła oczyścić go z całej goryczy przeszłości, rozjaśnić mroki przyszłości. Następny orgazm wybuchnął z mocą targającą każdym nerwem w jego ciele, wstrząsnął i pozostawił słabego. Nie pozostawił sobie nic.

Kompletnie wyczerpany opadł na ciało Julie i wciąż z nią połączony, przewrócił się na bok. Pozbawiony tchu trzymał ją w ramionach, głaskał po plecach. Daremnie czepiając się zanikającej euforii, próbował zapomnieć o rzeczywistości. Po kilku minutach poddał się. Teraz, gdy zaspokoił pożądanie, znowu odzywało się sumienie. Patrzył w migoczące płomienie i zaczynał widzieć swe czyny, motywy działania w ostatnich trzech dniach, w jaskrawym świetle prawdy: wziął bezbronną kobietę jako zakładniczkę, mierząc do niej z pistoletu, potem okłamał, że puści wolno po dotarciu do Kolorado, groził użyciem siły, jeżeli spróbuje mu się sprzeciwić; w obecności świadka zmusił do pocałunku i teraz media całego kraju nazywają ich współnikami.

Prawda zaś była taka, że od chwili zatrzymania dziewczyny brał pod uwagę możliwość kochania się z nią i by zrealizować swój zamiar, użył wszelkich dostępnych mu środków, od gróźb po flirt. A co gorsze, dopiął swego: uwiódł niewinną córkę pastora, słodką, uduchowioną osobę, która za całe jego okrucieństwo i bezwzględność odpłaciła mu uratowaniem życia!

„Uwiódł” to zbyt delikatne określenie na to, co uczynił, pomyślał z niesmakiem. Spojrzeniem powędrował na dywan. Wziął ją z niecierpliwością, właśnie tutaj, na tej przeklętej podłodze, nawet nie w łóżku! Sumienie ze wzmożoną siłą czyniło mu wyrzuty: z całą bezwzględnością wykorzystał ją, zmusił do przyjęcia jego dwóch orgazmów, wchodził w nią głęboko, z całą siłą, bez najmniejszego opanowania.

Nie krzyknęła, nie opierała się ani nie dała żadnego znaku bólu czy upokorzenia, ale to nie pomniejszało jego winy. W przeciwieństwie do niej wiedział przecież, że zasłużyła na więcej, niż otrzymała. Już jako nastolatek był rozpustny, jako dorosły mężczyzna zaliczył więcej kobiet, niż potrafił spamiętać. Dlatego teraz ponosi całkowitą odpowiedzialność za wniesione w życie Julie zamieszanie, za jej pierwszy kontakt z seksem. Pozostało mu więc mieć nadzieję, że dziewczyna nie zajdzie w ciążę. Nie trzeba geniusza, by domyślić się, że córka pastora nie weźmie pod uwagę aborcji. Albo doświadczy publicznego upokorzenia, nosząc w sobie nieślubne dziecko, przeniesie się do innego miasta, by tam je urodzić, albo zmusi do uznania za swoje „prawie narzeczonego”.

Zack przypuszczał, że zastrzelą go w ciągu kilku dni, a może nawet godzin po opuszczeniu kryjówki. Teraz nie mógł odżałować, że nie stało się tak, zanim wsiadł do jej samochodu. Przed pójściem do więzienia nigdy nie brałby pod uwagę wciągania niewinnej osoby w swoje problemy, o terroryzowaniu bronią czy narażeniu na ciążę nawet nie wspominając. W więzieniu najwyraźniej stał się istotą ułomną, pozbawioną sumienia i zasad moralnych.

Nie, śmierć od kuli to za mało dla takiego jak on!

Zagłębił się w myślach i dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że kobieta, którą trzyma w ramionach, płacze, a krople na piersi nie są jego potem, lecz jej łzami. Aż zaniemówił z wrażenia. Rozluźnił uścisk ramion i położył Julie na dywanie, ale ona wciąż tuliła się, kryła twarz na jego piersi.

Oparł się na łokciu i bezradny starał się ją pocieszyć, odsuwał zabłąkane pasemka włosów z jej mokrych policzków. By rozluźnić zduszone żalem gardło, przełknął ślinę.

- Julie - wyszeptał ochryple - gdybym mógł cofnąć to wszystko, co ci zrobiłem, uczyniłbym to. Do dzisiejszego wieczora moje postęпки przynajmniej wynikały z

rozpaczliwej konieczności, ale to ... - Przerwał, by znów przełknąć ślinę. Niezgrabnie odsunął loczek z jej skroni. Twarz przyciskała do jego piersi i nie mógł dojrzeć jej reakcji, ale musiała słuchać, bo całkowicie znieruchomiała. - To, co przed chwilą zrobiłem - ciągnął - jest nie do wybaczenia. Można wytłumaczyć, ale usprawiedliwić się nie da. Nie możesz być tak naiwna, by nie wiedzieć, że pięć lat dla mężczyzny to szmat czasu, za długi okres na obywanie się bez... - Przerwał gwałtownie. Uświadomił sobie, że do krzywdy, jaką jej wyrządził, dodaje jeszcze obelgę - jego słowa zabrzmiały, jakby w tym stanie seksualnego głodu każda kobieta mogła go zadowolić. - Ale nie dlatego tak postąpiłem. To tylko część przyczyn mojego zachowania. Przede wszystkim od samego początku pragnąłem cię, odkąd... - Wstręt do samego siebie nie pozwolił mu dalej mówić.

- Mów dalej - powiedziała miękko Julie po długim milczeniu.

Spojrzał w dół, starając się zwrócić w ocienioną twarz; na jego czole pojawiła się zmarszczka.

- Mówić dalej?

Skinęła głową; delikatnym policzkiem tuliła się do jego nagiego ciała.

- Tak. Właśnie miałeś przejść do tej dobrej części.

- Dobrej części? - powtórzył oszołomiony. Spojrzała na niego, a chociaż oczy wciąż miała wilgotne od łez, na twarzy ukazał się ujmujący uśmiech; serce Zacka zabiło żywiej.

- Zacząłeś nie najlepiej - szepnęła - mówiąc, że żałujesz tego, co zrobiliśmy. I jeszcze pogorszyłeś sprawę stwierdzeniem, że jestem naiwna, do tego dałeś do zrozumienia, że po pięciu latach abstinencji wystarczyłaby ci każda...

Patrzył na nią, ulga spłynęła na jego duszę niczym balsam. Wykręcił się tanim kosztem, ale skoro już, uchwycił się nieoczekiwanej szansy, niczym tonący powietrza.

- Tak powiedziałem?

- Mniej więcej. Nie potrafił obronić się przed jej zaraźliwym śmiechem.

- Zachowałem się nie po dżentelmeńsku?

- Bardzo - przyznała z udanym oburzeniem.

- Ledwie przed chwilą trzymała go na samym dnie rozpacz, nieco wcześniej zawiodła do miłostnego raj, teraz sprawiła, że miał ochotę się śmiać! Zackowi przez głowę przemknęła myśl, że jeszcze nigdy żadna kobieta tak na niego nie działała. Ale wolał nie zagłębiać się w przyczyny. Chciał pławić się w terażniejszości, zapomnieć, jak niewiele ma przed sobą przyszłości.

- W tych okolicznościach - szepnął i z uśmiechem pogładził ją grzbietem dłoni po policzku - co według ciebie powinienem był zrobić i powiedzieć?

- Cóż, jak już wiesz, nie mam w tych sprawach za dużo doświadczenia...

- Żadnego - zgodził się, nagle nie wiadomo dlaczego bardzo z tego powodu zadowolony.

- Ale czytałam w powieściach dużo opisów scen miłosnych.

- Nie jesteśmy bohaterami powieści.

- Masz rację, ale widzę pewne podobieństwa.

- Wymień choć jedno - drażnił, oszołomiony radością płynącą z jej bliskości.

Ku jego zaskoczeniu spoważniała, a w wyrazie zapatrzonych w niego oczu pojawił się błysk podziwu.

- Choćby to - szepnęła - że kobiety czują podobnie. Jak ja, gdy byłeś głęboko we mnie.

- A jak ty się czułaś? - Nie mógł się powstrzymać.

- Pożądana - powiedziała łamiącym się głosem. - I potrzebna. I bardzo, bardzo wyjątkowa. Czułam się... doskonała.

Serce Zacka ścisnęło uczucie tak intensywne, że niemal sprawiające ból.

- To dlaczego płakałaś?

- Bo czasem piękno tak na mnie działa - wyszeptwała.

Patrzył w jej błyszczące oczy; dostrzegał łagodne piękno i nieposkromionego ducha, jakie mogą przywieść mężczyznę do łez.

- Czy słyszałaś już - zapytał cicho - że uśmiechasz się jak Madonna Michała Anioła?

Otworzyła usta, by zaprotestować, ale ubiegł ją pocałunkiem.

- Zważywszy na to, co przed chwilą robiliśmy, czy nie sądzisz, że twoja uwaga graniczy ze świętokradztwem? - zapytała bez tchu.

Prychnął stłumionym śmiechem.

- Nie, ale biorąc pod uwagę to, co zaraz zrobimy... Opuściła głowę.

- Co takiego? Wstrząsnął nim niepohamowany, radosny śmiech, a usta zaczęły niespieszną drogę ku dołowi jej brzucha.

- Pokażę ci.

Julie wstrzymała oddech, pod namiętym atakiem jego dłoni i warg napięła biodra.

Śmiech utonął w duszy Zacka, zastąpiony jakże innym uczuciem.

## ROZDZIAŁ 32

Wsparta na górze puchowych poduszek, Julie leżała na olbrzymim łożu w głównej sypialni i błędziła wzrokiem po talerzach rozłożonych na stojącym przed kominkiem stoliku, przy którym zjedli późne śniadanie. Potem Zack wziął ją do łóżka i kochali się. Prawie całą noc nie dawał jej spać, jego namiętność, połączona z niezwykłą czułością, działała na Julie szalenie podniecająco. Po każdym razie tulił ją w ramionach i ciasno spleceni na chwilę zasypiali; i tak aż do południa. Siedziała obok, wtulona w niego. On obejmował ją ramieniem i delikatnie głaskał po rękę.

Niestety! W blasku dnia o wiele trudniej przychodziło jej wyobrazić sobie, że znalazła bezpieczną przystań w małej chatce, w ciepłym łóżku, w objęciach najzwyczajniejszego mężczyzny, gorąco w niej zakochanego. Teraz sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Ze smutkiem myślała, że ten mężczyzna, który pieścił ją tak czule i namiętnie, ledwie przed chwilą jęczał z rozkoszy w jej ramionach, sprawiał, że z trudem powstrzymywała krzyk i czuła się, jakby była jedyną kobietą, jaka kiedykolwiek potrafiła wzbudzić w nim tak gwałtowne uczucia, kochał się przecież z niezliczoną ilością filmowych gwiazd i piękności z wyższych sfer. To był jego świat - luksusowy, szalony, zamieszkiwany przez bogatych, pięknych, utalentowanych ludzi, czujących się tutaj jak w domu.

Tak wyglądało jego dawne życie, i chociaż wszystko stracił, po udowodnieniu swojej niewinności, co uda mu się na pewno, szczególnie teraz, gdy jest wolny i może na własną rękę rozpocząć poszukiwania prawdziwego zbrojcy - jeżeli możliwe, przy jej niewprawnej, ale gorliwej pomocy - będzie mógł wrócić i kontynuować błyskotliwą karierę w Hollywood. Teraz zwyczajnie jej potrzebował, a Bóg z jakiegoś powodu zechciał, by była tu, z nim i dla niego.

Mogła żyć jedynie chwilą obecną, rozkoszować się nią, zachować w pamięci na resztę swoich dni. A to znaczyło, że nie powinna prosić o więcej, niż może jej dać, tym bardziej obciążać balastem swych uczuć, tylko postarać się ocalić swe serce. Będzie musiała znaleźć sposób na utrzymanie pomiędzy nimi możliwie lekkiej, a nawet frywolnej atmosfery - żałowała, że nie jest światową, doświadczoną w obcowaniu z mężczyznami kobietą.

- O czym myślisz? - zapytał Zack.

Odwróciła głowę. Patrzył na nią ze zmarszczonym czołem.

- O niczym szczególnym. - Udało jej się przywołać na usta beztroski, sztuczny uśmiech. - O życiu, tak w ogóle.

- Opowiedz mi.

Chciała uniknąć dociekliwych pytań, wykręcić się od dalszej rozmowy. Na razie uwolniła się spod jego ramienia. Podciągnęła kolana pod brodę i otoczyła je rękami.

- Nie ma o czym.

- Może ja o tym zadecyduję?

- Czy ty nigdy nie ustępujesz? - Popatrzyła na niego ponuro.

- To jedna z moich mniej pociągających cech - odrzekł spokojnie, bez śladu skruchy. -

O czym konkretnie myślałaś?

Uniosła wzrok i roześmiała się. Ale gdy dalej patrzył na nią w wyczekującym milczeniu, poddała się. Oparła brodę na kolanie, opuściła wzrok, by nie patrzeć mu w oczy, i powiedziała:

- Myślałam o tym, jakie życie jest dziwne. Wszystko wydaje się poukładane, aż nagle, w jednej chwili, trwającej tyle, ile trzeba na podjęcie decyzji o zjechaniu z autostrady na kawę, staje na głowie.

Zack wsparł się na poduszce, przymknął oczy i odetchnął z ulgą. Przed chwilą obawiał się, że Julie rozpatruje oczywisty fakt - oto rujnuje jej życie.

Kątem oka Julie spojrzała na jego napiętą twarz i serce w niej zamarło. Śmiech, pogodny nastrój i namiętność były tym, czego potrzebował. Nie da mu się więcej wmanewrować w podobną dyskusję.

Westchnął głęboko i nie otwierając oczu, zapytał obojętnym tonem:

- Czy chcesz zostać tu ze mną, Julie?

- A jaki mam wybór? - drażniła się z nim. Za wszelką cenę musi utrzymać wesoły nastrój, pomyślała. Dostrzegła lekkie drgnięcie mięśni wokół jego szczęki i odniosła wrażenie, że nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

- Obawiam się, że żadnego - powiedział po dłuższej przerwie.

- Gdybyś pozwolił mi odejść, pobiegłabym na policję z wiadomością gdzie jesteś, tak uważasz?

- Nie. Jeżeli dałabyś słowo, że tego nie zrobisz, uwierzyłbym.

- No to o co chodzi?

- Nie sądzę, byś umiała stawić czoło bezpardonowemu przesłuchaniu glin. Jeżeli nawet opowiedziałabyś bajkę o zawiązywaniu ci oczu przed przyprowadzeniem tutaj, zadreżaliby cię pytaniami o szczegóły, udawali chęć pomocy w ich przypomnieniu i wcześniej czy później, nawet nie wiedziałabyś kiedy, wyciągnęliby z ciebie potrzebne informacje.

Julie starała się zachować równowagę między szczerością a potrzebą utrzymania pogodnego nastroju.

- W porządku. W takim razie będę musiała zostać w tej rozpadającej się chatce i spędzić kilka najbliższych dni w towarzystwie irytującego, apodyktycznego, humorzastego mężczyzny, którego spotkałam przypadkiem i który, jakby tego było mało, wykazuje trudne do zaspokojenia potrzeby seksualne. Skończy się tak, że wyjdę stąd niezdolna do poruszania się o własnych siłach.

Oczy wciąż miał zamknięte, ale usta wykrzywił mu niewyraźny uśmiech.

- Nie jestem humorzasty.

- Ale nieznośny, apodyktyczny i niemożliwy do zaspokojenia - odbiła piłeczkę. Parsknęła śmiechem, już panowała nad sytuacją i sobą samą. - Z tym powinieneś się zgodzić, a teraz chodźmy na dwór.

Zagłębienie wokół jego ust okazało się zaczątkiem pogodnego uśmiechu osoby zadowolonej z siebie.

- Nie ma mowy, wszystko ci przemarznie.

- Zamierzałam się najpierw ubrać - poinformowała surowym głosem, zaskoczona spokojem, z jakim przyjęła tę rubaszną uwagę. - Świeże powietrze i ruch... - zaczęła pośpiesznie, bo już ramiona Zacka trzęsły się ze śmiechu na widok jej zażenowania - ... uleczy prawie każdą dolegliwość.

- Poza odmrożeniami.

Zaskoczyła go, gdy miał zamknięte oczy, więc nie umknął uderzenia poduszki. Zaczęła wyplątywać nogi z pościeli.

- Czy zawsze do ciebie musi należeć ostatnie słowo?

- Najwyraźniej.

- No to będziesz musiał gadać do siebie, bo ja wychodzę. - Narzuciła szlafrok. - Lubię sybaryckie rozkosze, ale tylko czasem, do życia są mi potrzebne słońce i świeże powietrze. Gdybym teraz była w szkole, właśnie wyprowadzałabym moją klasę na południową przerwę.

- Sybaryckie rozkosze - powtórzył, parskając śmiechem. - Zabawne sformułowanie, podoba mi się.

- Nic dziwnego - zauważyła z uśmiechem i ruszyła w stronę swojego pokoju, by wziąć prysznic i ubrać się. Wskazał na przeszklone drzwi.

- Idź do tej łazienki, jest o wiele ładniejsza.



## ROZDZIAŁ 33

Stała w łazience, przed olbrzymim lustrem, w świetle migoczących mosiężnych lamp umocowanych w ramie, i suszyła włosy, z drugiej strony szklanej tafli golił się Zack. Zamiast, jak się spodziewała, pójść do drugiej, mniejszej łazienki w jej sypialni, tutaj dokonywał porannej toalety. Pomyślała, że wspólne używanie łazienki stwarza rodzaj intymnej więzi.

I nieistotne, że jest ona wielkości połowy jej domu w Keaton i zapewnia pełną swobodę, a każde z nich stoi po swojej stronie lustra. Rozbrzmiewające tu odgłosy - szum prysznic w kabinie obok, plusk wody spływającej do umywalki podczas golenia - nie pozwalały zapomnieć o obecności tego drugiego. W kabinie skromnie zasłoniła szklane drzwi wielkim, puchatym ręcznikiem, aby przechodzący Zack nie widział jej nagości.

Owinięta zielonym ręcznikiem ruszyła po dzinsy do swej sypialni. Niespodziewanie za jej plecami rozległ się głos Zacka:

- W garderobie znajdziesz jakieś szmatki.

Zaskoczona, bo nie odzywali się do siebie, odkąd razem wkroczyli do łazienki, obejrzała się. Z ręcznikiem owiniętym wokół szczupłych bioder stał przy umywalce, połowę twarzy zakrywał mu krem do golenia.

- Ani myślę. Zrobiłam to wczoraj wieczorem i nie sądzę, żebym postąpiła właściwie. - Oczarowana patrzyła na ukazującą się spod warstwy piany twarz.

- Spodziewałem się, że zaprotestujesz. - Wprawnie przesuwiał brzytwą po szyi i szczęce.

- Miło chociaż raz z tobą wygrać. - Uśmiechnęła się do niego, bardzo z siebie zadowolona.

Skierowała się do sypialni. Podeszła do krzesła, na którym wczoraj zostawiła ubranie. Zniknęło! Zdumiona wpatrywała się we wzorzyste obicie, jakby oczekiwała, że jej rzeczy za chwilę pojawią się na nowo. Potem energicznie odwróciła się na pięcie i pomaszerowała z powrotem do łazienki, jej oczy miały błyskawice.

- Nie zamierzam wkładać niczego, co znajduje się w tej garderobie!

Rzucił jej rozbawione spojrzenie i dalej, jak gdyby nic, sunął brzytwą po policzku.

- Żeby podniecać takiego nienasyconego samca jak ja - czyżbyś przez cały dzień zamierzała kręcić się tutaj całkiem naga?

- Posuwasz się za daleko, młody człowieku. - Przybrała swój belferski ton- chłodno- ostrzegawczy: - Naprawdę bardzo się staram, Zack, ale zaczynam tracić cierpliwość...

Z trudem powstrzymał się od wybuchnięcia śmiechem. Z tym swoim oburzeniem jest cudowna, pomyślał.

- Zack! - zawołała surowym, nie znoszącym sprzeciwu tonem. Podeszła bliżej. - Oczekuję, że oddasz moje rzeczy, gdziekolwiek je schowałeś, i to natychmiast!

Ramiona Zacka zadrgały od śmiechu. Pochylił się, splukał resztki kremu i wytarł twarz ręcznikiem otaczającym szyję.

- A jeżeli tego nie zrobię, panno Mathison, co wtedy? Zostanę za karę po lekcjach?

Julie miała dość doświadczenia w postępowaniu ze zbuntowanymi nastolatkami, by nie okazać frustracji i zachować przewagę. Wyniośle, stanowczym głosem powiedziała:

- Żadnych rokowań w tej sprawie.

Odrzucił ręcznik, odwrócił się w jej stronę - ostre rysy twarzy rozjaśnił czarujący uśmiech.

- Ciekawym językiem się posługujesz - powiedział ze szczerym podziwem. - A przy okazji, dlaczego nie zaciągasz jak wszyscy w Teksasie?

Julie ledwo go słyszała.

Całkowicie zaskoczona wpatrywała się w ten chodzący obraz uwodzicielskiego, obdarzonego charyzmą mężczyzny, którego przez całe lata oglądała na olbrzymich ekranach kin i mniejszych, telewizorów. Do tej chwili Zachary Benedict nie przypominał tamtego gwiazdora, więc łatwo było zapomnieć, kim naprawdę był. Pięć lat więzienia sprawiło, że rysy jego twarzy stwardniały, nerwowe napięcie wyrysowało wokół oczu i ust zmarszczki.

Ale w ciągu jednej nocy wszystko to się zmieniło. Teraz, gdy odpoczął, nasycił głód seksualny, ogolił się, podobieństwo do tamtego Zacka Benedicta stało się tak uderzające, że aż odsunęła się o krok, jakby odkryła obok siebie kogoś nieznanego.

- Dlaczego patrzysz na mnie tak, jakby wyrosły mi ośle uszy?

Głos był ten sam. Poczula się raźniej. W myślach przywołała się do porządku. Dość! Czas skończyć z idiotyczną grą wyobraźni, powrócić do poprzedniej rozmowy. Jeszcze bardziej zdeterminowana chęcią wygranej, skrzyżowała ręce na piersiach. Gniewnie, z uporem powiedziała:

- Oddaj moje rzeczy.

Oparł biodro o krawędź długiej, marmurowej lady toaletki i z uśmiechem powtórzył gest Julie.

- Nie ma mowy, najdroższa. Weź coś z garderoby.

Pełne czułości słowo z ust człowieka, który w jednej chwili ze skazańca przeobraził się w filmowego amanta, nie zrobiło na Julie wrażenia. Ze zdenerwowania i niepewności omal nie tupnęła.

- Do diabła, chcę moje...

- Wybierz coś z szafy, proszę - przerwał łagodnie. Już otwierała usta, by dalej protestować, gdy rozległo się ciche, bezbarwne: - Wrzuciłem twoje ubranie do kominka.

Zrozumiała, że została pokonana. Bezwzględność Zacka rozgniewała ją, raniła.

- Pewnie, filmowemu gwiazdorowi mogły wydawać się nikomu niepotrzebnymi szmatami, ale te rzeczy były moje! Pracowałam na nie, sama je wybrałam!

Odwróciła się na pięcie i skierowała do garderoby, nieświadoma, że ostatnia uwaga zrobiła na nim większe wrażenie, niż mogła się spodziewać. Weszła do środka. Nie zwracając uwagi na suknie i spódnice wiszące na długich wieszakach po obu stronach, chwyciła pierwsze z brzegu spodnie i sweter.

Przyłożyła je do siebie, by sprawdzić, czy pasują. Od biedy ujął, pomyślała. Włożyła je. Spodnie były z miękkiego, jasnozielonego kaszmiru, a dobrany do nich kolorem golf miał na długich rękawach wzór: delikatne fiołki z zielonymi liśćmi. Wypuściła sweter na spodnie. Wychodząc z garderoby, pochwyciła jeszcze zielony, skórzany pasek. Przystanęła, by go zapiąć, odwróciła się i... omal nie wpadła na Zacka.

Stał w drzwiach, z ręką wspartą wysoko o futrynę, tarasując wyjście.

- Przepraszam! - Unikając jego wzroku, spróbowała przejść bokiem.

Głos Zacka brzmiał równie nieugięcie, jak wyglądała jego postawa.

- Z mojej winy nosiłaś te same ciuchy przez całe trzy dni. Chciałem, byś włożyła coś innego, abym pozbył się wyrzutów sumienia, jakie ogarniają mnie za każdym razem, gdy popatrzę na twoje dzinsy. – Na wszelki wypadek wołał nie mówić, jak bardzo pragnął zobaczyć ją w czymś pięknym i eleganckim, godnym jej twarzy i figury. - Proszę, spójrz na mnie i pozwól wytłumaczyć.

Julie starczyłoby uporczywości i odwagi, by oprzeć się jego przekonującemu tonowi, ale zabrakło złości. Trudno było się z nim nie zgodzić, a bezsensowną kłótnią nie należało psuć tych wspólnych, pewnie ostatnich chwil.

- Nie znoszę, jak mnie ignorujesz i, jak teraz, patrzysz w podłogę - powiedział. - Sprawiasz, że czuję się wtedy, jakby mój głos liczył się tyle, ile karalucha kryjącego się przed nadeptaniem w szparze podłogi.

Julie zamierzała łaskawie unieść wzrok w chwili, którą wybierze sama. Ale nic z tego! Nie potrafiła oprzeć się porównaniu. Trzęsąc się ze śmiechu, opadła na poskładane na podłodze garderoby ubrania.

- Jesteś absolutnie niepoprawny. - Zachichotała i uniosła ku niemu pełne radości oczy.

- A ty wspaniała.

Serce Julie omal nie zatrzymało się na dźwięk powagi w jego głosie. Czyżby rzeczywiście tak uważał? Ale zaraz przyszła refleksja: przecież to aktor! Jeżeli uzna jego czułe słówka za wyznanie głębokiego uczucia, później w żaden sposób się nie pozbiera.

Więc milczała. Zack uśmiechnął się i skierował do sypialni. Przez ramię rzucił:

- Jeżeli dalej tego chcesz, włożmy kurtki i wyjdźmy na dwór.

Popatrzyła z niedowierzaniem. Rozłożyła ramiona, demonstrując, co ma na sobie.

- Tak?! Zwariowałaś? Te kaszmirowe portki musiały kosztować... przynajmniej dwieście dolarów!

Zack zapamiętał niektóre rachunki Rachel, więc cenę oszacowałby raczej na jakieś sześćset, wołał jednak tego nie mówić. Tak bardzo chciał wyjść z nią na dwór, sprawić jej przyjemność! Wsparł ręce na jej ramionach, lekko nią potrząsnął i wypowiedział słowa, jakich wcześniej nie zamierzał:

- Julie, te ubrania należą do kobiety, która ma całe magazyny pięknych szatek i nawet nie zauważyłaby, gdybyś ponosiła kilka z nich... - Zanim skończył, już wiedział: tę uwagę mógł sobie darować! Julie, zaskoczona, szeroko otworzyła oczy, jej myśli gorączkowo pracowały.

- To znaczy, że znasz właścicieli tego domu. Znalazłeś się tu za ich zgodą? Czy wiesz, na jakie narażasz ich ryzyko? Ukrywanie zbiegłego więźnia...

- Przestań! - nakazał tonem o wiele gwałtowniejszym, niż zamierzał. - Nic takiego nie powiedziałem!

- Próbuję tylko zrozumieć...

- Do diabła, daj sobie z tym spokój! - Nie powinienem wyładowywać poczucia winy, pomyślał, na osobie, która dostała się w wir wydarzeń wbrew swej woli. Przesunął dłonią po włosach i powiedział, tym razem okazując więcej cierpliwości: - Postaram się wyjaśnić tę sprawę najlepiej, jak potrafię. I życzę sobie, byśmy potem nie wracali do tematu. - Spojrzeniem dała mu do zrozumienia, że jego zachowanie i ton oburzają ją i zaskakują, ale milczała. Wepchnęła ręce w kieszenie spodni, skrzyżowała nogi w kostkach i, oparta plecami o ścianę sypialni, patrzyła na niego z intensywnością, która każdego wyprowadziłaby z równowagi.

- Jak wrócisz do domu - zaczął - policjanci będą wypytywać cię o wszystko, co mówiłem i robiłem podczas wspólnego pobytu, by od ciebie wyciągnąć, kto pomagał mi przy ucieczce i jakie mam zamiary. Każą ci bez końca powtarzać twoją opowieść, aż tak cię skołują, że utracisz jasność myśli. Zrobią to w nadziei, że przypomnisz sobie o czymś pozornie bez znaczenia, ale dla nich istotnym. Jak długo będziesz mówić im prawdę - a tak właśnie radziłbym postąpić - nie musisz niczym się martwić. Ale jeżeli, próbując mnie osłaniać, coś przed nimi zataisz, to po przyłapaniu cię na kłamstwie rozszarpią na sztuki. Zaczną uważać cię za moją współniczkę od samego początku i stosownie do tego potraktują. Proszę tylko o jedno drobne, nieskomplikowane kłamstwo, które pomoże nam obojgu, a ciebie nie wpędzi w kłopoty. Poza tym niczego przed policją nie ukrywaj. Powiedz im wszystko. Nie wiesz o niczym, co mogłoby zaszkodzić mnie czy osobom zamieszkanym w przygotowywanie ucieczki. I chcę, by tak pozostało dla mojego i twojego dobra - zakończył stanowczo. - Czy teraz rozumiesz, dlaczego nie chcę, byś za dużo wiedziała? - Zmarszczył brwi, bo zamiast przyznać mu rację, zadała pytanie.

- O jakie kłamstwo chodzi? - Rozluźnił się.

- Chcę, byś zeznała, że nie potrafisz wskazać miejsca, gdzie znajduje się ten dom. Powiesz im, że zawiązałem ci oczy po tym, jak na parkingu omal nie uciekłaś, i że przez pozostałą część drogi leżałaś na tylnym siedzeniu, więc nie mogłaś ponowić próby. To prawdopodobne i logiczne wyjaśnienie, więc je kupią. Będzie stanowić przeciwwagę opowieści tego przekłętego kierowcy ciężarówki o tym, co widział - jedynej podstawy do zakwestionowania twoich zeznań, podejrzewania cię o współudział. Za nic w świecie nie chciałbym prosić, byś dla mnie kłamała, ale to najlepszy sposób.

- A jeżeli odmówię?

W jednej chwili twarz Zacka przemieniła się w twardą, zaciętą maskę.

- To oczywiście zależy od ciebie - powiedział chłodnym, uprzejmym tonem.

Aż do chwili, kiedy pomyślał, że źle ulokował zaufanie, Julie nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zmiękł względem niej od wczorajszego dnia. Żartobliwa nonszalancja przeplatająca się z czułością nie były pozą, która umożliwiałyby wygodne i miłe spędzenie czasu razem - w jakiejś części okazały się prawdziwe.

Odkrycie to było tak słodkie, że prawie nie zwróciła uwagi na dalsze jego słowa:

- Jeżeli postanowisz przekazać policji, gdzie znajduje się ten dom, byłbym wdzięczny, gdybyś nie zapomniła dodać, że nie miałem klucza i dopóki go nie znalazłem, zamierzałem się włamać. Jeżeli tego nie podkreślisz, właściciele domu, całkowicie nieświadomi pomocy w

ucieczce, znajdują się w sieci takich samych niesprawiedliwych i upokarzających podejrzeń, w jakie zaplątałaś się ty z powodu zeznań kierowcy ciężarówki.

Martwi się o nich, nie o siebie, pomyślała. A to oznacza, że ich zna. Oczywiście musieli być jego przyjaciółmi...

- Zechciałabyś mi powiedzieć, co postanowiłaś? - zapytał tym swoim chłodnym, obojętnym tonem, którego nienawidziła. - A może chciałabyś się zastanowić?

W wieku jedenastu lat Julie przysięgła sobie, że już nigdy nie skłamie i przez następne piętnaście dotrzymała słowa. Ale teraz z czułością popatrzyła na mężczyznę, którego kochała, i powiedziała miękko:

- Uprę się, że miałam związane oczy. Jak mogłeś pomyśleć inaczej?

Wyraz napięcia zniknął z jego twarzy i Julie odetchnęła z ulgą. Ale on, zamiast powiedzieć coś miłego, rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Masz zaszczyt, Julie, być jedyną kobietą na świecie, której udaje się wprawić moje emocje w ruch tańczącego na sznurku u twojego palca jo-jo.

Julie zagryzła dolną wargę, by powstrzymać uśmiech. Działa na niego jak żadna inna, a to już coś! Nawet jeżeli nie jest tym zachwycony.

- Ja... przepraszam - rzekła nieśmiało i... nieszczerze.

Przejrzał ją na wylot.

- Akurat! - Ale nerwowość zniknęła z jego głosu, pojawiły się pierwsze nutki rozbawienia. - Nie udawaj, robisz, co możesz, żeby się nie roześmiać.

Omali nie zachichotała na widok jego zakłopotanej miny. Uniosła wskazujący palec i przyglądała mu się z uwagą, obracając w lewo i prawo.

- Wygląda całkiem zwyczajnie - zauważyła.

- Nie ma w tobie nic zwyczajnego, panno Mathison - powiedział głosem pełnym irytacji i rozbawienia równocześnie. - Niech Bóg weźmie w opiekę tego, kto się z tobą ożeni, bo biedak zestarzeje się i posiwieje o wiele za wcześnie!

Jego oczywiste i obojętne przekonanie, że ona znajdzie sobie kogoś innego - komu z góry współczuł - sprowadziło Julie na ziemię. Po raz kolejny przysięgła sobie traktować sprawę lekko i nigdy więcej nie doszukiwać się w jego słowach i czynach intencji, jakich tam nie było.

Z uśmiechem skinęła głową, plecami odepchnęła się od ściany i w beztroskim żargonie, rodem z tenisowych kortów, powiedziała:

- Uważam, że zdobyłeś ostatni punkt: gem, set, mecz. Przyznaję ci zwycięstwo w pojedynku słownym, we wszystkich innych też.

Pomimo okazywanej przez Julie bez troski, Zackiem owładnęło niemiłe przekonanie, że czymś ją zranił. Po chwili wyszedł z sypialni i przystanął w holu, obok wejścia do garderoby. Julie wciągała na siebie kombinezon do jazdy na skuterze śnieżnym, który miała na sobie poprzedniego dnia.

- Zapomniałam o nim, a to przecież idealny strój na wierzch, na ciuchy, które mam na sobie. Znalazłam drugi dla ciebie - dodała, wskazując głową na większy, wiszący na drzwiach.

Zack zaczął go wkładać. Pomyślał, że rozmowa, jaka odbyła się w sypialni, wymaga kilku uzupełnień.

- Słuchaj - zaczął spokojnie. - Nie chcę się z tobą kłócić ani przekomarzać, to ostatnia rzecz, jakiej bym pragnął. A na pewno nie zamierzam zanudzać cię moimi planami, tym bardziej obecnymi kłopotami. Staram się jak mogę nie martwić, po prostu rozkoszuję się darem od losu - twoją obecnością. Spróbuj zrozumieć: kilka następnych dni, w tym domu, razem z tobą, to ostatnie normalne chwile w moim życiu, przynajmniej w moim pojęciu tego słowa. Wiemy, że ta bajka wkrótce się skończy, ale i tak jestem wdzięczny losowi za te kilka dni idylli, do których będę mógł kiedyś wracać pamięcią. Nie chcę zepsuć nastroju rozmyślaniami o przyszłości. Czy rozumiesz, co próbuję powiedzieć?

Julie w serdecznym uśmiechu ukryła współczucie... i żal. Skinęła głową.

- A czy mogę wiedzieć, jak długo zostaniemy razem?

- Jeszcze nie zdecydowałem. Ale najwyżej tydzień.

Bardzo starała się nie myśleć, jak niewiele pozostało im czasu. Postanowiła zachowywać się dokładnie tak, jak prosił, ale nie potrafiła się powstrzymać od wypowiedzenia na głos pytania, nurtującego ją od wyjścia z sypialni:

- Zanim zapomnimy o całej tej rozmowie, policji i innych sprawach, chciałabym zapytać o jedno... raczej wyjaśnić.

Zack patrzył, jak cudowny rumieniec oblewa jej policzki. Julie pośpiesznie pochyliła głowę i w skupieniu upychała swoje gęste loki pod niebieską, zrobioną na drutach włóczkową czapkę.

- Mówiłeś, że chcesz, bym powiedziała policji wszystko. Chyba nie oczekujesz, bym... wyznała... że ty... i ja...

- Wymieniłaś prawie wszystkie zaimki - drażnił się Zack - może dorzuciłabyś do kompletu jakiś czasownik?

Naciągnęła rękawiczki, oparła dłonie na swych szczupłych biodrach i popatrzyła na niego z komicznie krytyczną miną.

- Ale pan dowcipny, panie Benedict.

- Muszę dotrzymywać ci kroku. Z udanym niesmakiem pokręciła głową i skierowała się w stronę tylnego wyjścia przy końcu krótszego korytarza. Szkoda czasu na słowną żonglerkę, pomyślał i ruszył za nią. Wyszła na zewnątrz. Niebo było jasne, oślepiająco błękitne. Panował chłód, ale już nie tak przenikliwy jak wczoraj. Świat dookoła, z uformowanymi przez wiatr wysokimi zaspami i głębokimi kraterami, przypominał arktyczną krainę czarów.

- Nie zamierzałem lekceważąco potraktować twojego pytania - wyjaśnił.

Zamknął za sobą drzwi. Wciągnął rękawiczki i ostrożnie wkroczył na utworzoną przez wiatr ścieżkę. Obok wznosiła się pięciostopowej wysokości zaspą. Julie odwróciła się i zaczęła, aż podejdzie bliżej. Na widok oblanej słońcem twarzy zapomniał słów przygotowanej przemowy. Z włosami ciasno upchniętymi pod czapką, bez makijażu poza odrobiną szminki, z tą swoją porcelanową cerą i olbrzymimi, jasnymi, przypominającymi klejnoty, szafirowymi oczami, obramowanymi ciemnymi rzęsami i pięknie zarysowanymi brwiami, wyglądała cudownie.

- Żartowałem, nie chciałem, byś im opowiedziała, jak blisko byliśmy ze sobą, to wyłącznie nasza sprawa. Ale oni ani na chwilę nie zapomnieli, za co zostałem skazany - dodał, odzyskując pewność siebie - za morderstwo. Ktoś taki nie zawaha się przed zmuszeniem dziewczyny do seksu. Znając obrzydliwą mentalność większości glin, można przewidzieć tok ich rozumowania. Jeżeli zaprzeczysz, że cię zgwałciłem, będą cisnąć, byś przyznała, że pragnęłaś, bym cię przeleciał, no i w końcu do tego doszło.

- Nie mów o tym tak! - Była oburzona niczym chodząca niewinność, jaką zresztą jest, pomyślał Zack.

- Tak będą myśleli - wyjaśnił. - Spróbują podejść cię na wiele sposobów. Na przykład poproszą o opisanie domu, w którym się ukrywałem, rzekomo po to, by go zlokalizować i przeszukać. Potem zaczną wypytywać o sypialnię i ich umeblowanie. Kto wie, jak do ciebie podejda, ale z chwilą, gdy okażesz się, jak na branke, zbyt dobrze poinformowana - albo zbyt przejęta - w sprawach mnie dotyczących, zaatakują. Gdy cię tu wiozłem, nie spodziewałem się, że dostarczę im tak dobrego powodu do uznania cię za współniczkę. I nigdy by do tego nie doszło, gdyby ten ciekawski kierowca nie...

Urwał i pokręcił głową.

- Tam na parkingu, gdy prawie uciekłaś, nie myślałem o niczym poza natychmiastową potrzebą złapania cię. Nie sądziłem, że ten szofer przyjrzy się nam tak dobrze, by później rozpoznać. No cóż, stało się i nie ma sensu dłużej się nad tym rozwodzić. Jeżeli gliny zapytają



cię o ten epizod, opowiedz dokładnie, co się wydarzyło. Będą uważać cię za bardzo odważną - taka byłaś. - Położył dłonie na jej ramionach i dodał: - Posłuchaj uważnie, bo za chwilę na dobre zostawimy ten temat. Chcę, byś mi coś obiecała. Gdy policjanci zaczną cię wypytywać o nas, a tobie wymknie się coś, co pozwoli im przypuszczać, że byliśmy ze sobą blisko...

- Co takiego? - przerwała Julie. Rozpaczliwie pragnęła zakończyć tę rozmowę, zanim całkiem popsują sobie nastrój.

- Chcę, byś opowiedziała, że cię zgwałciłem.

Zaskoczona, z otwartymi ustami, patrzyła na niego.

- Zostałem skazany za morderstwo - przekonywał - uwierz mi, nic nie jest w stanie bardziej popsuć mojej reputacji, a już na pewno oskarżenie o gwałt. Ale w ten sposób ty może uratujesz swoją, a jedynie to się dla mnie liczy. Rozumiesz, prawda? - zapytał. W odpowiedzi rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

Jej głos zabrzmiał miękko i bardzo, bardzo słodko.

- Tak, Zack - powiedziała z rzadką u niej uległością. - Rozumiem. Rozumiem, że... całkiem zwariowałeś! - Dłońmi pchnęła go mocno w ramiona, aż zaskoczony upadł do tyłu i leżał w wysokiej zaspie, rozpostarty niczym orzeł.

- A to, u diabła, za co!?! - zawołał. Gramolił się z głębokiej dziury powstałej pod jego ciężarem.

- Za to... - zaczęła z anielskim uśmiechem, stojąc z rękami na biodrach, na lekko rozstawionych nogach - ... że miałeś czelność sugerować, iż w jakichkolwiek okolicznościach zgodzę się oskarżyć cię o gwałt!

## ROZDZIAŁ 34

Zack podniósł się, strzepnął śnieg z włosów i kurtki. Rozpierało go uczucie radości z przebywania na dworze pod jasnym, błękitnym niebem, w cudownej zimowej krainie przykrytych czapami śniegu sosen, w towarzystwie młodej kobiety, której nagle zachciało się bawić jak dziecku. Rozpromieniony skończył otrzępywać się, potem powoli, zdecydowanym krokiem ruszył w jej stronę.

- To było absolutnie infantylne - powiedział z żartobliwą przyganą w głosie.

Cofała się przed nim, krok po kroku.

- Tylko nie próbuj. - Stłumiła śmiech. - Ostrzegam cię...

Rzucił się do przodu, wtedy zrobiła unik, uderzyła go stopą pod kolana, podrywając jego nogi mocno i wysoko. Ani się spostrzegł, a już padał w tył. Usiłując utrzymać równowagę, trzepotał ramionami jak trafiona w locie gęś. Wylądował u stóp Julie, płasko na plecach, czyniąc sporo hałasu, nad którym górował jeszcze niosący się wśród sosen jej perlisty śmiech.

- To tylko częściowa zapłata za wciśnięcie mi w twarz śniegu na tamtym parkingu - poinformowała, ogromnie z siebie zadowolona. Stała nad nim i czekała, by się podniósł, ale on, z dziwnie poważną miną, wzrokiem wbitym w jasne niebo nad ich głowami, leżał bez ruchu. - Nie... nie masz zamiaru wstawać? - wyjąkała zaniepokojona.

- A po co? - Popatrzył na nią.

- Chyba nic ci nie zrobiłam? - spytała nieśmiało.

- Moja duma legła w gruzach, Julie.

Wspomnienie tych wszystkich jego ról twardych facetów jak błyskawica przemknęło jej przez głowę i zrozumiała, dlaczego stracił humor. Ze sposobu, w jaki leżał, z napiętego głosu czuła, że tym razem nie udaje. Pewnie podobny do niego dubler załatwiał wszystkie sceny bójek, pomyślała, i zaraz zawstydziła się: jak mogła takim małostkowym rewanzem narazić go na dodatkową przykrość!

- Zachowałam się głupio, przepraszam. Zmrużył przed słońcem oczy i cicho zapytał:

- Czy jak wstanę, spróbujesz znowu zbić mnie z nóg?

- Nie, obiecuję, nigdy więcej. Masz całkowitą rację, to bardzo dziecinne zachowanie. -

Wyciągnęła dłoń, by pomóc mu wstać. Na wszelki wypadek zapała nogi mocniej - nie da mu się zaskoczyć. Ale on przyjął pomoc z wdzięcznością.

- Jestem za stary na takie zabawy - poskarżył się, pocierając nogę pod kolanem. Strzepnął ze spodni śnieg.

- Spójrz na to. - Julie wskazała na zaczętego wczoraj bałwana. Chciała jak najszybciej sprawić, by Zack zapomniał o swym zażenowaniu. Uśmiechnęła się do niego promiennie. - Wiatr uszkodził nieco moje dzieło, może pomógłbyś mi przy rekonstrukcji?

- Świetnie - zgodził się. Ku zachwytowi Julie, sięgnął po jej dłoń i przytrzymał. Dwoje kochanków, trzymających się za ręce, brnie przez zawieję, pomyślała. - Co to była za sztuczka, którą przed chwilą zademonstrowałaś? - zapytał z podziwem w głosie. - Karate czy judo? Te dwie dyscypliny zawsze mi się mylą.

- Judo - odpowiedziała zakłopotana.

- Dlaczego, u diabła, nie zastosowałaś tego numeru na parkingu, zamiast uciekać?

Popatrzyła na niego zmieszana.

- Mój brat, Ted, prowadzi kurs samoobrony, ale mnie ta umiejętność wydawała się zupełnie zbędna w takim miasteczku jak Keaton i nie chciało mi się chodzić na zajęcia. Tego chwytu nauczył mnie w domu, dawno temu. Jak mnie wtedy goniłeś, uciekałam w panice i nawet nie pamiętałam, że znam ten trick. Dzisiaj zaplanowałam akcję wcześniej, dlatego udało mi się tak łat... - Urwała w pół słowa, gorączkowo, choć poniewczasie, próbując nie urazić jego dumy.

Doszli do bałwana i tu wypuścił jej dłoń. Popatrzył na nią z pełnym podziwu uśmiechem.

- Czy znasz jeszcze inne? Znała kilka.

- Nie, nic więcej nie umiem - odrzekła. Wciąż uśmiechnięty, powiedział cicho i bardzo łagodnie:

- No to proszę pozwól, że cię nauczę... - Poruszał się niewiarygodnie szybko. Julie wydała zduszony krzyk i już koziołkowała do tyłu w śnieg. Została rzucona z precyzją pozwalającą na wylądowanie bez szwanku, w pozycji siedzącej, z wyprostowanymi przed sobą nogami.

Patrzyła na niego zdumiona, śmiejąc się bezradnie ze swej sromotnej klęski, potem wstała.

- Jesteś okropny - skarciła go oburzona. Pozornie zajęta otrzepywaniem się ze śniegu, gorączkowo myślała o rewanżu. Na moment odwróciła się do Zacka plecami, by za chwilę stanąć do niego twarzą. Z niewinnym uśmiechem ruszyła w jego stronę.

- Masz dosyć? - zapytał wesoło. Ręce trzymał luźno opuszczone wzdłuż ciała.

- Poddaję się, wygrałeś.

Zack dostrzegł błysk w tych czarujących, granatowych oczach.

- Kłamczucha. - Roześmiał się. Zaczęła powoli obchodzić go w koło, obmyślając, z której strony najlepiej przypuścić atak. Zack poszedł w jej ślady, teraz razem zataczali krąg - on zdecydowany nie dopuścić, by go zaskoczyła, ona z dokładnym planem, jak to zrobić.

- Czas minął. - Stała i udawała, że podciąga zamek błyskawiczny, który przed chwilą umyślnie rozpięła. - Nic dziwnego, że marznę jak diabli, to zapięcie jest do niczego.

- Chodź tu. - Zack natychmiast ofiarował pomoc, a na to właśnie liczyła. - Niech spróbuję. - Zdjął rękawiczkę z prawej ręki i przyglądał się zamkowi. W chwili gdy jego palce dotknęły suwaka, Julie wykonała ciałem ostry skręt, ramię wycelowała w jego pierś i natarła jak futbolowy *halfback*. Zrobił unik, a Julie uderzyła w próżnię z taką siłą, że przeleciała obok, głową w przód. Napędzana własnym rozpędem zaryła w śniegu za jego plecami, głowę zanurzyła aż po ramiona.

Próbowała uwolnić twarz i złapać oddech, wreszcie udało się. Odwróciła się i oparła plecami o zasnę, a wtedy Zack ze śmiechem zauważył:

- Nigdy dotąd nie widziałem, żeby ktoś z własnej woli pakował głowę w śnieg. Interesujący pokaz. Jak myślisz, moglibyśmy sprzedać ten gag jakiemuś producentowi?

Nie wytrzymała. Z radosnym okrzykiem osunęła się w śnieg u jego stóp, skręcając się ze śmiechu. Z trudem łapała oddech i patrzyła w jego pogodną twarz. Pochylał się nad nią, ręce wsparł na biodrach - uosobienie męskiej próżności.

- Jak już będziesz gotowa do zajęcia się poważnie bałwanem... - zaczął bardzo z siebie zadowolony - to...

Przechodził obok, a wtedy Julie wyciągnęła nogę. Potknął się, zachwiał i padł jak ścięte drzewo. Rycząc ze śmiechu, odturlała się na bok, zerwała na nogi i cofnęła poza zasięg jego ramion.

- Zawsze ktoś śmieje się ostatni... - zauważyła. Z chichotem przezornie cofała się, bo już wstawał.

Zbliżał się powoli. Uśmiechał się, ale w oczach czał się niebezpieczny blask.

- Za dużo tego dobrego - powiedział cicho - dograłaś się.

- Niczego nie rób, bo pożałujesz. - Wysunęła przed siebie dłoń, jakby chciała go odepchnąć, i śmiejąc się bezradnie, cofała. Przyśpieszył kroku. - Zack- wciąż się śmiała - nie ośmielisz się...! - Rzuciła się w stronę lasu, ale on natychmiast ruszył za nią. Zanim zdążyła zrobić krok, chwycił ją w pasie i rzucił w śnieg, przykrywając własnym ciałem, potem przewrócił na plecy i usiadł na niej. Kwitując śmiechem bezradne wysiłki uwolnienia się, jedną ręką przytrzymał jej nadgarstki nad głową.

- Poddajesz się, dzieciaku? - spytał czule. Julie, chichocząc jak szalona, wiła się w uścisku, próbując złapać oddech.

- Tak, tak, tak! - wykrztusiła.

- Powiedz: mam dosyć.

- Mam dosyć! - Wstrząsnął nią śmiech. - Dosyć!

- A teraz zamknij oczy i pocałuj mnie.

Opuściła powieki i po dziecinnemu wyduła wargi. Poczowała na całej twarzy pocałunek zimnego, mokrego śniegu. Prychała, śmiejąc się do łez. Wreszcie Zack wstał.

- Na pewno? - Z miną zadowolonego z siebie sułtana wyciągnął rękę.

- Tak - odparła ze śmiechem. Widziała szczęśliwą jak u młodego chłopca twarz, złagodniałą teraz, gdy nie myślał o niczym innym poza barszkowaniem w śniegu; zniknęły ostatnie ślady napięcia. Z czułością pomieszaną ze zdumieniem spostrzegła, że zwyczajna zabawa sprawia mu aż tyle radości. No tak, w Los Angeles nie ma śniegu, pomyślała, więc dla niego to urozmaicenie. Zrozumiała jedno: miał rację, gdy nalegał, by zajęli się wyłącznie terażniejszością i gromadzili wspomnienia na przyszłość. Najwyraźniej tego właśnie potrzebował.

Brnęli przez biały puch. Zack przytrzymał ją za ramię - już wiedział, co za chwilę będą robić.

- Teraz, gdy przekonałaś się o szaleństwie prowokowania kogoś o tyle większego, silniejszego i mądrzejszego od ciebie, skoro wreszcie wywalczyłem sobie należny mi szacunek, powinniśmy na serio zająć się bałwanem - oświadczył. Z rękami na biodrach stanął przed bezkształtną bryłą śniegu, która jeszcze wczoraj była bałwanem, i odwrócony do Julie plecami przyglądał się jej dziełu. - Oto mój plan...

Wielka śnieżna kula uderzyła go - z całkowitym brakiem szacunku - w tył głowy.

Wysoko, na odludnym szczycie Kolorado, tego długiego, zimowego popołudnia śmiech rozbrzmiewał jeszcze wiele razy. Wystraszone wiewiórki obserwowały z drzew, jak dwie ludzkie istoty zakłócają ciszę, brykają niczym dzieci, gonią się wokół sosen, wzajemnie obrzucają śnieżkami, wreszcie zabierają się do lepienia bałwana, który na koniec niewiele przypominał jakiegokolwiek innego postawionego dotychczas na całym świecie.

## ROZDZIAŁ 35

Siedzieli na sofie, z nogami wyciągniętymi przed sobą, ze stopami wspartymi na stoliku do kawy, przykryci kremowym, robionym na drutach wełnianym szalem. Julie wbiła wzrok w mrok za szklaną ścianą po przeciwległej stronie pokoju. Po dniu spędzonym na dworze, obfitym posiłku i namiętym kochaniu się na sofie czuła błogie zmęczenie. Nadal, choć od spełnienia upłynęła już długa chwila, Zack, pogrążony w myślach i wpatrzony w ogień na kominku, obejmował ją ramieniem i tulił, jakby ciągle było mu jej mało. Julie, ogrzewana ciepłem czułości kochanka, rozmyślała o śnieżnym stworze tuż za szklaną ścianą. W przygaszonym świetle lamp i pomarańczowym blasku żaru kominka ledwie mogła odróżnić ciemny, długi kształt. Zack jest niesłychanie twórczy, pełen wyobraźni, uśmiechnęła się do swoich myśli - zważywszy na jego dokonania w filmie, należałoby się dziwić, gdyby było inaczej. Ale bałwan powinien wyglądać jak śnieżny człowiek, a nie przypominać mutanta dinozaura o chytrym spojrzeniu.

- O czym myślisz? - zapytał, muskając wargami jej włosy.

Uniosła brodę, by spojrzeć mu w twarz.

- O twoim bałwanie. Czy nikt ci nie mówił, że powinien wzbudzać wesoły nastrój?

- Ten - powiedział z chłopcę dumą, spoglądając przez okno na swoje dzieło - to śnieżny potwór.

- Wygląda, jakby został stworzony przez Stephena Kinga. Ależ musiałeś mieć wykoślawione dzieciństwo! - zażartowała.

- Rzeczywiście - potwierdził Zack z uśmiechem. Mocniej objął ją ramieniem. Wciąż było mu jej mało, w łóżku, poza nim. Nie pamiętał, by kiedykolwiek z podobną intensywnością przeżywał chwile miłości.

Wtulona w zgięcie jego ramienia, wydawała się stworzona tylko dla niego; w łóżku okazywała się kusicielką, aniołem, kurtyzaną. Potrafiła doprowadzić go do wybuchu namiętności głosem, wyglądem, dotykiem. Poza łóżkiem była zabawna, fascynująca, dowcipna, inteligentna i... uparta. Umiała rozzłościć go jednym słowem, a potem rozbroić uśmiechem. Była intuicyjnie wyrafinowana, pozbawiona cienia pretensjonalności, pełna życia i miłości; chwilami prawie go hipnotyzowała - jak choćby opowieścią o swoich uczniach. Porwał ją, ona w rewanżu uratowała mu życie.

Więzienie nauczyło go niejednego, ona przecież potrafiła okazać dość sprytu, by uciec mu sprzed nosa. A potem wykonała nagły zwrot: oddała mu dziewictwo w sposób tak

cudownie słodki, że aż bolało, gdy o tym myślał. W obliczu jej odwagi, łagodności i dobroci odczuwał pokorę.

Był od niej dziewięć lat starszy i po tysiackroć bardziej zgorzkniały, a jednak przy niej łagodniał, co, o dziwo, spodobało mu się - uczucie zupełnie dla niego nowe. Zanim poszedł do więzienia, kobiety skarżyły się, że jest albo odległy i nieosiągalny, albo nieczuły i brutalny. Wielokrotnie słyszał, że jest jak maszyna, jedna z kochanek posunęła nawet tę analogię dalej: włącza się na seks, a potem wyłącza na wszystko, poza pracą. Podczas jednej z wielu kłótni Rachel zarzuciła mu, że byłby zdolny zakasować węża, bo jest zimniejszy od tych gadów.

W całym swym życiu nie spotkał kobiety - łącznie z Rachel - którą interesowałoby coś poza robieniem przy jego pomocy kariery. Gdy jeszcze dodać do tego najrozmaitszych oszustów i pochlebców, jacy tłumnie otaczali go w Hollywood, trudno się dziwić, że stał się cynicznym, pozbawionym złudzeń, nieczułym człowiekiem. Nie, pomyślał, przecież to nieprawda. Taki stał się na długo przed przybyciem do Los Angeles -wystarczająco gruboskórny i zimny, by zapomnieć o swym dawnym życiu, rodzinie, nawet nazwisku - a miał wtedy zaledwie osiemnaście lat!

Jak się okazało wystarczająco dużo, by wyrzucić przeszłość z pamięci i z nikim o niej nie rozmawiać, ani z licznymi kochankami, ani później z żoną. Podczas kręcenia pierwszego filmu z nim, odpowiedzialni w studio za reklamę narzekali, że muszą tworzyć całą jego przeszłość. Nazwisko i dzieciństwo pogrzebał nieodwracalnie siedemnaście lat temu.

- Zack?

Nawet zwyczajne brzmienie jej głosu działało magicznie; jego imię zadźwięczało jakoś wyjątkowo, inaczej.

- Tak?

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak niewiele o tobie wiem, mimo że...no... jesteśmy... - Julie urwała, niezbyt pewna, czy ma prawo użyć słowa „kochankami”.

W jej pełnym zażenowania głosie usłyszał nutę niepewności i uśmiechnął się. Sądził, że Julie szuka jakiegoś przyzwoitego i właściwego, a więc zupełnie nieodpowiedniego słowa na określenie tej szalonej namiętności, jaką wzajemnie przeżywali.

- Co byś wolała, słowo czy bardziej rozbudowany opis?

- Nie bądź taki przemądrzały. Wyobraź sobie, że prowadziłam wychowanie seksualne aż do poziomu młodszych klas szkoły średniej.

- No to w czym problem? - Zaśmiał się.

Jej odpowiedź zaparła mu dech, odebrała ochotę do śmiechu i zupełnie zmiękczyła serce.

- Jakoś - zaczęła, uważnie przyglądając się swym dłoniom złożonym na kolanach - ten kliniczny termin „stosunek seksualny” wydaje mi się niewłaściwy w przypadku czegoś... tak słodkiego, jak razem to robimy. I tak wzniosłego. I tak ważnego.

Zack opadł głową na oparcie kanapy i przymknął oczy. Starał się zapanować nad sobą, zastanowić, dlaczego ta dziewczyna do tego stopnia burzy jego zmysły. Po chwili udało mu się powiedzieć normalnym tonem:

- A co byś powiedziała na termin „kochankowie”? „

- Kochankowie?’ Dobrze - zgodziła się i kilka razy skinęła głową. - Staralam ci się właśnie wytłumaczyć, że chociaż nimi jesteśmy, tak naprawdę nic o tobie nie wiem.

- A co cię interesuje?

- Przede wszystkim, czy Zachary Benedict to twoje prawdziwe imię i nazwisko, czy pseudonim artystyczny.

- Na pierwsze imię mam Zachary, Benedict to drugie imię. Ale potem, gdy miałem osiemnaście lat, załatwiłem sprawę jak należy.

- Naprawdę? - Odwróciła głowę i delikatnym policzkiem potarła jego ramię. Nawet z zamkniętymi oczami wyczuwał jej spojrzenie, widział zdziwiony uśmiech. I prawie wiedział, o co zapyta. Ale wcześniej zadźwięczały w głowie jej słowa...

„Nigdy bym cię nie wydała, Zack!”

„Jak możesz sugerować, że mogłabym powiedzieć komukolwiek, iż mnie zgwałciłeś!”

„Termin «stosunek seksualny» wydaje mi się niewłaściwy w przypadku czegoś... tak słodkiego, jak razem to robimy. I tak wzniosłego. I tak ważnego”.

- Jakie nosiłeś nazwisko, zanim zmieniłeś je na Benedict? – Głos Julie przerwał wspomnienia.

Było to takie pytanie, jakiego się spodziewał i na jakie nigdy dotąd nikomu nie udzielił odpowiedzi.

- Stanhope.

- Jakie piękne! Dlaczego je zmieniłeś? - Zobaczyła, jak mięśnie na szczęce Zacka napinają się; surowością spojrzenia zaskoczył ją.

- To długa historia - odrzekł krótko.

- Och - westchnęła z żalem. Na razie postanowiła nie pytać o więcej, najwyraźniej odżywały w nim jakieś przykre wspomnienia. By go rozchmurzyć, poruszyła pierwszą



kwestię, jaka przysła jej do głowy: - Wiem wszystko o twojej młodości, bo moi bracia byli twoimi fanatycznymi wielbicielami.

Zack popatrzył na nią uważnie. Zdawał sobie sprawę, że z trudem oparła się chęci zapytania o „długą historię”. Wróciła fala czułości i przepędziła z serca chłód, jaki zakradł się tam na dźwięk nazwiska Stanhope.

- Coś takiego! - zażartował.

Julie odetchnęła z ulgą, zadowolona, że zmiana tematu tak szybko podziałała.

- Wciąż o tobie gadali, stąd wiedziałam, że wychowywałeś się bez rodziny, wędrowałeś po kraju z ekipą rodeo, przepędzałeś bydło, żyłeś na ranczu i ujeżdżałeś konie. Czy powiedziałam coś śmiesznego? - zaniepokoiła się.

- Rzykuję pozbawienie cię iluzji na mój temat, księżniczko - powiedział Zack rozbawiony - ale te historyjki to wytwór wybujałej wyobraźni pracowników działu reklamy naszego studia. Tak naprawdę wolałbym spędzić dwie doby w autobusie Greyhound niż dwie godziny na grzbiecie konia. A jeżeli na tym świecie nienawidzę czegoś bardziej od koni, to właśnie krów.

- Krowy! - Jej zaraźliwy śmiech zabrzmiał niczym muzyka i sprawił, że ciężar spadł mu z serca. Ona już przysunęła się bliżej. Przyciągając pod brodę kolana, patrzyła na niego zafascynowana.

- A ty? - zażartował. Sięgnął na stół po szklankę brandy. Aby nie usłyszeć następnego pytania, odezwał się: - Czy nazwisko Mathison nosisz od urodzenia? A może też je zmieniałaś?

- Urodziłam się bez nazwiska.

- Co takiego? - Zack omal nie zakrztusił się brandy.

- Porzucono mnie owiniętą w ręcznik, w kartonowym pudle, w pojemniku na śmieci stojącym przy bocznej uliczce. Stróż, który mnie znalazł, zaniósł do domu i wręczył żonie. Byłam u nich, dopóki nie ogrzałam się na tyle, by można było mnie zawieźć do szpitala. Uważał, że powinnam nosić imię po jego żonie, która zajęła się mną tamtego dnia. I tak zostałam Julie.

- Dobry Boże! - zawołał. Starał się nie okazać, jak wstrząsnęła nim ta historia.

- Miałam szczęście, bo mogłam trafić gorzej.

- Jak to? - Zack nawet nie zwrócił uwagi na błysk wesołości w zachwycających oczach dziewczyny.

- Jego żona mogła mieć na imię Matylda. Albo Gertruda. Albo Wilhelmina. Miewałam koszmarnie sny, że nadano mi właśnie to ostatnie.

Uśmiechnęła się promiennie. Serce Zacka zabiło żywiej, znów ogarnął go przypływ tkliwości.

- W każdym razie ta historia zakończyła się szczęśliwie - powiedział. Usiłował przekonać samego siebie o czymś, w co nie bardzo wierzył. - A więc zostałeś adoptowana przez Mathisonów? - Przytaknęła. - I dostali cudowną małą córeczkę - dodał.

- Niezupełnie.

- Co takiego? - Całkiem skołowany, znowu nie zrozumiał.

- Mathisonom dostała się jedenastoletnia dziewczyna, która próbowała już, na ulicach Chicago, wkroczyć na drogę przestępstwa. Usłudni chłopcy, niewiele od niej starsi, zademonstrowali jej pewne... sztuczki z samochodami. Teraz myślę, że przerwano mi wspaniałą karierę - dorzuciła wesoło. Rozpostarła swe długie palce. - Miałam bardzo zręczne dłonie - wytłumaczyła. - Lepkie.

- Kradłaś?

- Tak, i w wieku jedenastu lat zostałam zatrzymana.

- Za kradzież? - wyjąkał z niedowierzaniem.

- Ależ skąd! - Wyglądała na oburzoną. - Byłam na to o wiele za cwana. Zwinęli mnie przy okazji zgarniania lumpów.

Zack ze zdziwienia zaniemówił. Julie używa ulicznego slangu! Wspaniała wyobraźnia, dzięki której odniósł niejeden reżyserski sukces, już pracowała: widział ją taką, jaka wtedy była - drobna, chuda dziewczynka - pewnie z niedożywienia... z chłopięcą twarzą urwisa, olbrzymimi, błyszczącymi oczami... mała, uparta bródka... ciemne włosy... krótkie i zaniedbane... naburmuszona.

Gotowa stawić czoło twardemu, okrutnemu światu...

Gotowa rzucić wyzwanie zbiegłemu więźniowi...

Gotowa zmienić zdanie i zostać z nim, przecząc wszelkim zasadom, w jakich została wychowana, bo mu wierzyła...

Ogarniały go na przemian rozbawienie, tkliwość, zdumienie. Rzucił jej przeproszające spojrzenie.

- Wybacz, dałem się ponieść wyobraźni.

- Najwyraźniej - powiedziała z wszystkowiedzącym uśmiechem.

- Przy jakiej okazji cię zatrzymano?

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, rozbawiona.

- Kilku starszych chłopców łaskawie zgodziło się zademonstrować mi technikę, niesłychanie przydatną, choćby przy okazji spotkania z tobą. Ale wczoraj przy samochodzie okazało się, że nie bardzo pamiętam, jak to się robi.

- Co takiego? - Zack najwyraźniej nie rozumiał, o czym mówi Julie.

- Wczoraj próbowałam uruchomić blazera, łącząc przewody.

Śmiech Zacka poniósł się echem po suficie i zanim Julie zdążyła się odezwać, otoczył ją ramionami, przyciągnął do siebie i zanurzył roześmianą twarz w jej włosach.

- Niech mnie Bóg ma w swej opiece - szepnął - tylko mnie mogło się przytrafić porwanie córki pastora, do tego umiejaczej uruchamiać auta bez kluczyka.

- Jestem pewna, że poradziłabym sobie, gdybym tylko co kilka minut nie musiała przerywać, by stanąć pod twoim oknem - oświadczyła z pretensją w głosie, a on roześmiał się jeszcze głośniejsze.

- O Boże! Powinnam była zacząć od twoich kieszeni! - Klepnęła się w czoło. Następnym wybuch śmiechu Zacka prawie zagłuszył jej dalsze słowa. - Zrobiłabym to bez wahania, gdybym podejrzewała, że kluczyki trzymasz w kieszeni. - Niesłychanie zadowolona ze spowodowania takiego wybuchu wesołości Zacka, oparła głowę o jego pierś. Po jej następnych słowach spoważniał. - Teraz twoja kolej. Gdzie naprawdę się wychowałeś, jeżeli nie na ranchu ani w podobnych miejscach?

Zack powoli uniósł głowę, a palcami ujął Julie pod brodę.

- Ridgemont w Pensylwanii.

- I co dalej? - zabrzmiało z naciskiem. Miała dziwne wrażenie, że Zack przywiązuje dużą wagę do odpowiedzi na to właśnie pytanie.

- No więc... - zaczął, patrząc w jej niespokojne oczy. - Stanhope'owie są właścicielami olbrzymich zakładów produkcyjnych, od prawie stu lat podstawy gospodarki Ridgemont i kilku okolicznych miejscowości.

- Byłeś bogaty! - Z niesmakiem potrząsnęła głową. - Wszystkie te historie o dzieciństwie bez rodziny, o życiu kowboja, zupełnie mijają się z prawdą. A moi bracia wierzyli w te bzdury!

- Przykro mi z powodu wprowadzenia ich w błąd. - Na widok jej zde gustowanej miny nie mógł powstrzymać się od śmiechu. - Nie miałem pojęcia, co dział reklamy wysmaży na mój temat, dopóki nie przeczytałem ich dzieła w gazetach. A wtedy było za późno na protesty. Zresztą w tamtym czasie zbytnio nie liczone się z moim zdaniem. W każdym razie przed ukończeniem dziewiętnastu lat opuściłem Ridgemont i dalej radziłem sobie sam.

Chciała zapytać, dlaczego odciął się od rodziny, ale na razie - postanowiła- wyjaśnić podstawowe fakty.

- Masz rodzeństwo?

- Miałem dwóch braci i siostrę.

- Co oznacza ten czas przeszły?

- Chyba wiele - powiedział z westchnieniem. Ponownie położył głowę na oparciu kanapy. Bez patrzenia w stronę Julie czuł, że dziewczyna odsuwa się od niego i siada, jak przedtem, z nogami wyciągniętymi na stolik.

- Jeżeli z jakiegoś powodu nie chcesz o tym rozmawiać... - starała się wczuć w jego nastrój - ...to przecież nie musimy.

Zack wiedział, że opowie jej o wszystkim, ale wołał nie zastanawiać się, co go do tego popycha. Nigdy nie czuł potrzeby odpowiedzi na te same pytania stawiane przez Rachel. Ani z nią, ani z nikim innym nie poruszał bolesnych dla niego spraw. Julie dała mu już tyle... winien jej wyjaśnienia. Objął ją; przytuliła się i ukryła twarz na jego piersi.

- Choć pytano mnie tysiące razy, z nikim o tym nie rozmawiałem. To niezbyt interesująca historia. Ale jeżeli coś w mojej opowieści cię zaskoczy, nie dziw się. Czuję niesmak, rozmawiając o tym po raz pierwszy od siedemnastu lat.

Julie milczała, oszołomiona i dumna, że właśnie jej Zack zamierza się zwierzyć.

- Gdy miałem dziesięć lat - zaczął - moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Bracia, siostra i ja zostaliśmy z dziadkami, ale i tak większość czasu spędzaliśmy w szkole z internatem. Dzieliły nas niewielkie różnice wieku, nie większe niż jeden rok; najstarszy Justin, potem ja, dalej Elizabeth i wreszcie Alex. Justin był... - Zack przerwał, bezskutecznie szukając właściwych słów - ...wspaniałym żeglarzem i w odróżnieniu od innych starszych braci zawsze chętnie wszędzie brał mnie ze sobą. Dobry, łagodny... Gdy miał osiemnaście lat, popełnił samobójstwo.

- Mój Boże, dlaczego? - Przerażona Julie głęboko westchnęła.

Pierś Zacka falowała pod jej policzkiem, oddychał szybko.

- Był gejem. Nikt o tym nie wiedział. Mnie zwierzył się niecałą godzinę przed strzeleniem sobie w głowę.

- Czy nie mógł z kimś porozmawiać, otrzymać od rodziny psychicznego wsparcia? - zapytała drżącym głosem.

Zack roześmiał się krótko, zimno.

- Moja babka pochodziła z Harrisonów, długiej linii sztywniaków żyjących według niemożliwych do spełnienia wymagań wobec siebie i innych. Uznaliby Justina za zбочeńca,

wybryk natury, bez skrupułów odcięliby się od niego, i to publicznie, gdyby natychmiast nie obrał drogi „normalności”. Natomiast Stanhope'owie to lekkoduchy - nieodpowiedzialni, czarujący, uwielbiający zabawę, i pełni słabości. Ale ich najbardziej charakterystyczna cecha, przekazywana, bez wyjątków, przez męską linię, to uganianie się za kobietami. Nieustannie. Ich rozpusta stała się legendą w tej części Pensylwanii - ze swej jurności byli niesłychanie dumni. Dziadek okazał się godnym kontynuatorem rodzinnej tradycji. Jestem pewien, że mężczyźni Kennedych nie umywali się do Stanhope'ów, gdy szło o ilość romansów. Najłagodniejszy przykład: na dwunaste urodziny, moi bracia i ja, otrzymywaliśmy od dziadka prezent - dziwkę. Wydawał małe przyjęcie w domu, a pani, którą wybrał, udawała się na górę z solenizantem.

- A co na to twoja babcia? - spytała Julie z niesmakiem. - Gdzie się wtedy podziewała?

- Była gdzieś w domu, ale nie mogła niczemu zaradzić, niczego zmienić. Więc trzymała głowę dumnie uniesioną i udawała, że o niczym nie wie. Z rozpustą dziadka radziła sobie w ten sam sposób. - Zack ucichł i Julie sądziła, że wyczerpał ten wątek, ale nie. - Dziadek umarł rok po Justinie, ale zdążył jeszcze zostawić żonie w spadku upokorzenie: leciał do Meksyku własnym samolotem, gdy się rozbił, okazało się, że towarzyszyła mu piękna modelka. Harrisonowie są właścicielami ridgemońskich gazet, więc babce udawało się utrzymać skandal w tajemnicy; ale i tak nie zdało się to na wiele, bo wiadomość przeciekła do prasy największych miast, nie wspominając już o radiu czy telewizji.

- Dlaczego, jeżeli jej nie kochał, zwyczajnie nie rozwiódł się?

- Zadałem mu to samo pytanie w lecie przed pójściem do Yale. Razem oblewaliśmy początek mojej uniwersyteckiej kariery u niego w gabinecie. Nie zbył mnie uwagą, bym zajął się własnymi sprawami. Wypił wystarczająco, by powiedzieć mi prawdę, a nie aż tak dużo, by gadać od rzeczy. - Zack sięgnął po szklanekę z brandy. Wypił jednym haustem, jakby chciał zmyć przykry smak własnych słów, potem, nieobecny duchem, wbił wzrok w puste naczynie.

- Co ci powiedział? - przerwała milczenie.

Popatrzył, jakby na chwilę zapomniał o jej obecności.

- Usłyszałem, że babka jest jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochał. Powszechnie sądzono, że ożenił się, by połączyć fortunę Harrisonów z tym, co jeszcze mu zostało, zwłaszcza że babkę trudno byłoby nazwać piękną. Dziadek temu zaprzeczył i ja mu uwierzyłem. A babka z wiekiem stała się przystojną kobietą, o bardzo arystokratycznym wyglądzie.

Znów przerwał. Julie wtrąciła z oburzeniem:

- Jak mogłeś mu uwierzyć? Gdyby ją kochał, zachowywałby się inaczej.

Na ustach Zacka ukazał się ironiczny uśmiech.

- Inaczej mówiłabyś, gdybyś знаła moją babkę. Nikt nie mógł sprostać jej wysokim standardom moralnym, a już najmniej ten bon vivant, mój dziadek. Przestał próbować zaraz po ślubie, po prostu zrezygnował. Dla babki istniał tylko Justin. Uwielbiała go. Widzisz - tłumaczył z nutką autentycznego rozbawienia w głosie - był jedynym mężczyzną w całej rodzinie przypominającym jej własną. Miał, jak ona, jasne włosy; był średniego wzrostu, nie jak my wszyscy wysoki, wyglądem uderzająco przypominał jej ojca. Cała reszta nas, łącznie z moim ojcem, odziedziczyła rysy Stanhope'ow i ich wzrost – zwłaszcza ja. Byłem jak chodząca kopia dziadka, co oczywiście całkowicie dyskwalifikowało mnie w oczach babki.

Julie pomyślała, że Zack z pewnością ocenia babkę niesprawiedliwie, ale wolała zachować tę myśl dla siebie.

- Jeżeli naprawdę tak bardzo kochała Justina, na pewno zrozumiałaby go, pomogła, gdyby zwierzył się jej, że jest gejem.

- Nigdy w życiu! Pogardzała każdą słabością! Jego wyznanie wstrząsnęłoby nią, oburzyło. - Popatrzył na Julie chłodno i dodał: - Najwyraźniej wyszła za męża za niewłaściwego człowieka. Jak już wcześniej mówiłem, Stanhope'owie posiadli wszelkie możliwe słabości. Pili w nadmiarze, jeździli za szybko, trwonili majątki, a potem wżeniali się w rodziny, które mogły pomóc w odbudowaniu upadających fortun. Zabawa była ich głównym i chyba jedynym celem. Nigdy nie martwili się o jutro, nie troszczyli się o nikogo poza sobą - podobnie moi rodzice. Pędzili sto mil na godzinę po oblodzonej szosie. Posiadanie czwórki dzieci nie skłoniło ich do większej ostrożności.

- Czy Alex i Elizabeth są do nich podobni?

- Alex i Elizabeth mieli typowy dla naszej rodziny brak umiarkowania. - Odpowiedział rzeczowym, wypranym z emocji głosem. - W wieku szesnastu lat mieli już za sobą niejedno, a na pewno spore ilości narkotyków i alkoholu. Alex był dwa razy zatrzymany przez policję za prochy i hazard, i wypuszczony, oczywiście z czystą kartoteką. Gwoli sprawiedliwości należy przyznać, że nie było nikogo, kto mógłby wziąć ich w karby. Babka chętnie by tak postąpiła, ale dziadek o wzmożeniu dyscypliny nie chciał nawet słyszeć. W końcu wszyscy zostaliśmy uformowani na jego podobieństwo. A ona, nawet gdyby próbowała, niczego by nie zmieniła. W domu bywaliśmy jedynie gośćmi w czasie letnich wakacji. Dziadek życzył sobie, byśmy resztę roku spędzali w ekskluzywnych, prywatnych szkołach. A tam nikogo nie obchodziło, co robisz, dopóki jakąś większą wpadką nie naraziłeś ich na kłopoty.

- Chyba więc nie spełniali oczekiwań babki?

- Oczywiście, zresztą niechęć była wzajemna, możesz być pewna. Ale zawsze uważała, że mogliby wyjść na ludzi, gdyby w odpowiednim czasie poczuli twardą rękę.

Julie chłoneła każde słowo, od razu więc zauważyła zmianę w jego głosie. Chociaż wspominając o „słabościach” Stanhope'ow miał na myśli również siebie, w jego tonie wyczuła niesmak. Z mozaiki słów, a także domysłów, próbowała ułożyć obraz Zacka takiego, jaki wtedy był.

- A ty? Co czułeś do niej? - zapytała nieśmiało.

- Skąd przyszło ci do głowy, że moje uczucia wobec niej różniły się od tych, jakimi darzyli ją Elizabeth i Alex? - Zmarszczył czoło.

- Wyczuwam, że tak właśnie było. - Nie zmieszała się ani trochę.

Zaskoczony jej przenikliwością, w milczeniu skinął głową.

- Tak naprawdę, to podziwiałem ją. Prezentowała, jak na nas, przerażająco surowe normy moralne, ale przynajmniej je miała. Przy niej chciało się próbować stać się kimś lepszym. Oczywiście niemożliwe było spełnienie jej wymagań. Tylko Justinowi się udawało.

- Opowiedziałeś, co czuła do twoich braci i siostry. A jaka była wobec ciebie?

- Uważała, że jestem odbiciem dziadka.

- Tylko z wyglądu - od razu poprawiła Julie.

- A co za różnica? - zapytał ostro.

Julie miała wrażenie, że wdziera się na terytorium, na które nikt nie ma wstępu, ale nie potrafiła się powstrzymać.

- Chyba znasz różnicę, nawet jeżeli ona jej nie dostrzegała. Może wyglądałeś jak dziadek, ale ani trochę nie byłeś jak on. Byłeś podobny do niej. Justin przypominał ją wyglądem, poza tym niczym. To ty przejąłeś jej cechy charakteru.

Nachmurzoną miną nie udało mu się odwieść jej od wyrażenia do końca opinii, więc tylko, ironicznie skrzywiony, zauważył:

- Jak na dwudziestosześcioletnie dziecko jesteś zaskakująco pewna swojego zdania.

- Czego ty nie próbujesz! - Dostosowała się do jego tonu. - Jak nie udaje ci się mnie nabrać, obracasz wszystko w żart.

- Punkt dla ciebie - powiedział cicho. Pochylił się, by ją pocałować.

- A jeżeli - ciągnęła, trzymając głowę w taki sposób, żeby mógł sięgnąć jedynie policzka, a usta pozostawały nieosiągalne - wyśmiewanie się ze mnie nie daje spodziewanego efektu, starasz się mnie rozbawić.

Zduszonym śmiechem przyznał jej rację. Potem ujął ją za brodę i stanowczym ruchem przybliżył jej usta do swoich.

- Wiesz - rzekł z uśmiechem - jesteś niezwykle dociekliwa.

- Och, daj spokój, uciekanie się do komplementów nic ci nie pomoże! - Roześmiała się, udaremniając pocałunek. - Wiesz, że jestem całkiem bezradna, jak słyszę z twoich ust takie słowa. Dlaczego właściwie opuściłeś dom?

Objął wargami jej roześmiane usta.

- Cwaniara pierwszej klasy! - zdążyła jeszcze usłyszeć.

Poddała się. Dłońmi sięgnęła do jego ramion, uległa natarczywej perswazji pocałunku; włożyła weń całą duszę, czując, że obojętnie jak dużo mu daje, on dawał więcej.

Gdy wypuścił ją z objęć, myślała, że zaproponuje pójście do łóżka. Powiedział jednak:

- Nie mogę cię przechytryć, uznałem więc, że należą ci się te informacje. Potem chciałbym zostawić temat mojego pochodzenia i przeszłości. Teraz spróbuję zaspokoić twą ciekawość.

Julie nie wydawało się, by kiedykolwiek mogła dowiedzieć się o nim wystarczająco dużo, ale rozumiała niechęć Zacka do wspomniania przeszłości. Skinęła głową, a on rozpoczął opowieść:

- Dziadek zmarł, gdy byłem na pierwszym roku college'u i babce przypadła całkowita kontrola nad majątkiem. Pewnego dnia zażyczyła sobie naszej obecności: Alexa, wtedy szesnastoletniego, Elizabeth która miała siedemnaście lat i mojej - akurat przebywałem w domu w czasie letnich wakacji - i na tarasie urządziła rodzinne spotkanie we czworo. Nie będę rozwodził się nad tym, co się wydarzyło, w każdym razie mojemu rodzeństwu zakomunikowała, że koniec z nauką w prywatnej szkole. Mieli się uczyć na miejscu, z niewielkim kieszonkowym. Zapowiedziała jeszcze, że jeżeli złamią którykolwiek z warunków: żadnych narkotyków, żadnego alkoholu, żadnej rozpusty, natychmiast wyrzuci ich z domu, i to bez grosza. Żeby w pełni zrozumieć wagę tych gróźb, musisz wiedzieć, że do tej pory byliśmy przyzwyczajeni do korzystania z pieniędzy bez ograniczeń. Wszyscy rozbijaliśmy się drogimi, sportowymi samochodami, kupowaliśmy ubrania, jakich zapragnęliśmy. - Potrząsnął głową, na wargach błąkał się niewyraźny uśmiech. - Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Alexa ani Elizabeth tamtego dnia.

- A więc pogodzili się z losem?

- Oczywiście. Bo jaki mieli wybór? Bardzo lubili mieć i wydawać pieniądze, ale nie potrafiliby samodzielnie zarobić centa, o czym doskonale wiedzieli.



- A ty nie zamierzałeś się podporządkować i dlatego opuściłeś dom - próbowała odgadnąć.

Twarz Zacka upodobniła się do pozbawionej wyrazu, całkowicie obojętnej maski. Julie czuła się nieswojo za każdym razem, gdy tak wyglądał.

- To nie mnie zaproponowała takie warunki. - Po przeciągającej się chwili milczenia, dodał: - Kazała mi się wynosić i nigdy nie wracać. Bratu i siostrze zagroziła, że jeżeli kiedykolwiek spróbują się ze mną skontaktować albo dopuszczą, niby przypadkiem, do naszego spotkania, też ich wyrzuci. W jednej chwili straciłem rodzinę, dom. No więc oddałem kluczyki od samochodu - na jej żądanie - i podjazdem zszedłem ze wzgórza na szosę. Miałem około pięćdziesięciu dolarów na koncie w banku i ubranie, które nosiłem tamtego dnia. Kilka godzin później złapałem okazję - ciężarówkę, jak się okazało załadowaną rekwizytami przeznaczonymi dla „Empire Studio”, i tak wylądowałem w Los Angeles. Kierowca okazał się równym gościem. Zaprotegował mnie w firmie. Dostałem pracę przy załadunku i zdrowo się nauwijałem, dopóki reżyser, jakiś kretyn, w ostatniej chwili nie przypomniał sobie, że potrzebuje kilku dodatkowych statystów do sceny rozgrywającej się na podmiejskim podwórku. Tak wyglądał mój filmowy debiut. Potem wróciłem do college'u, a po dyplomie dalej kręciłem filmy. Koniec historii.

- Ale dlaczego babka potraktowała cię o wiele surowiej niż brata i siostrę? - Julie starała się nie zdradzić, jak bardzo jest przejęta.

- Musiała mieć swoje powody. - Wzruszył ramionami. - Pewnie przypominałem jej męża i całe zło, jakiego od niego doświadczyła.

- I nigdy potem... nigdy nie miałeś żadnej wiadomości od brata i siostry? Nie starałeś się po kryjomu porozumieć z nimi, a oni z tobą?

Czuła, że ze wszystkiego, o czym jej opowiedział, sprawa rodzeństwa doskwierała mu najmocniej.

- Przed ukazaniem się mojego pierwszego filmu posłałem do każdego z nich list zaopatrzonego w adres zwrotny. Miałem nadzieję, że...

Będą dumni, dopowiedziała sobie Julie w myślach, będą się cieszyć. Odpiszą...

Zimny, zmartwiały wyraz jego twarzy był najlepszą odpowiedzią. Ale musiała się upewnić. Z każdą minutą lepiej go rozumiała.

- Odpowiedzieli?

- Nie. I nigdy więcej nie próbowałem się z nimi skontaktować.

- A jeżeli twoja babka przejęła ich korespondencję i nie otrzymali listów od ciebie?

- Dostali je. Wtedy już mieszkali osobno, w wynajętym mieszkaniu. Chodzili do miejscowej szkoły.

- Ależ Zack! Byli tacy młodzi, a sam wspominałeś o słabości ich charakteru. Byłeś starszy i o wiele mądrzejszy. Dlaczego nie zaczekałeś, aż dorosną, nie dałeś im drugiej szansy?

Sugestia Julie zdawała się wyczerpać jego cierpliwość, bo zimnym, nie znoszącym sprzeciwu głosem powiedział:

- Nikt nie otrzymuje ode mnie szansy po raz drugi, Julie. Nie ma mowy!

- Ale...

- Dla mnie umarli.

- To idiotyczne! Tracisz tyle, ile oni. Nie możesz iść przez życie, pałac za sobą mosty, zamiast budować nowe. To samo destrukcyjna postawa i, w ostatecznym rozrachunku, uderzy w ciebie.

- Na dzisiaj wystarczy! - Wyglądał na solidnie rozeźlonego. W jego głosie zabrzmiała niebezpieczna nuta, ale Julie nie dała się zastraszyć.

- Na pewno jesteś o wiele bardziej podobny do babki, niż ci się wydaje!

- Moja cierpliwość się wyczerpuje, panienko.

Słyszac cierpki ton jego głosu, poddała się. Bez słowa wstała, zebrała puste szklanki i zaniósła do kuchni. Przeraził ją tą nowo ujawnioną cechą gwałtownej ostateczności, jaka pozwalała mu, bez spoglądania wstecz, wykreślać bliźnich ze swego życia. I nie tyle wstrząsnęły nią słowa, ile sposób, w jaki z zaciętym wyrazem twarzy je wypowiadał.

Po jej uprowadzeniu kierował się potrzebą osiągnięcia wyznaczonych celów, mimo to nigdy nie okazał brutalności. Aż do usłyszenia w jego głosie groźby, podkreślonej jeszcze mimiką, nie potrafiła zrozumieć, jak ktokolwiek mógł uznać Zacharego Benedicta za pozbawionego skrupułów mordercę. Teraz potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego takim go widziano. Z całą wyrazistością uświadomiła sobie, że choć w łóżku łączyła ich intymna bliskość, w sumie pozostali sobie obcy. Poszła do swojego pokoju po coś do spania. Zapaliła górne światło i przebrała się. Była tak wytrącona z równowagi, że zamiast natychmiast wrócić do Zacka, pogrążona w myślach opadła na łóżko.

Na dźwięk jego głosu, pobrzmiwającego ostrzeżeniem, aż podskoczyła i gwałtownie odwróciła głowę.

- To bardzo nierozsądna decyzja, Julie, radziłbym ci dobrze się zastanowić.

Stał w drzwiach, oparty o futrynę; ręce skrzyżował na piersi, jego twarz nie wyrażała nic. Julie nie miała pojęcia, o jaką decyzję mu chodzi, i chociaż nadal sprawiał wrażenie

kogoś odległego duchem, daleko mu było do pełnego grozy wyglądu sprzed chwili. Zastanawiała się nawet, czy tamto wrażenie nie było tylko wytworem jej wyobraźni, wzmocnionym jeszcze refleksami światła z kominka.

Wstała i powoli do niego podeszła. Niepewna, pytająco spoglądała mu w oczy.

- Czy według ciebie tak mają wyglądać przeprosiny?

- Nie wydaje mi się, bym miał za co. Arogancja była dla niego tak typowa, że Julie z trudem zachowała powagę.

- Powtarzaj słowo „szorstki” i zastanów się, kogo ci przypomina.

- Byłem szorstki? Nie miałem takiego zamiaru. Uprowadziłem, że ta rozmowa będzie dla mnie wyjątkowo nieprzyjemna. Ale ty się uparłaś.

Wyglądał na dotkniętego niesłuszną, jego zdaniem, krytyką, ale Julie nie myślała dać za wygraną.

- Aha, więc wszystko to moja wina. - Zatrzymała się tuż przed nim.

- Z pewnością. Cokolwiek to „to” ma znaczyć.

- Nie wiesz, o co chodzi, czy tak? Najwyraźniej nie zdajesz sobie sprawy, że przed chwilą mówiłeś do mnie tonem... - szukała właściwego słowa, ale w natłoku myśli nie wybrała najszcześliwiej - ...zimnym, niedelikatnym i nie w porę surowym.

Wzruszył ramionami z obojętnością, jak Julie podejrzewała, udawaną.

- Nie jesteś pierwszą, która zarzuca mi chłód. I jeszcze wiele innych niemiłych cech. Jestem skłonny zgodzić się z tobą - zimny, nieczuły, i... co jeszcze?

- Szorstki - dokończyła Julie, starając się powstrzymać uśmiech. Cała ta kłótnia wydawała jej się groteskowa. Zack ryzykował życie, by ją uratować, a gdy sądził, że mu się nie udało, chciał umrzeć. Tamte kobiety się myliły. Poczowała wyrzuty sumienia za to, co powiedziała, co powiedzieli sobie nawzajem.

A Zack zastanawiał się, czy Julie chce mścić się na nim za jakąś wymyśloną obrazę, śpiąc sama - co właśnie tak go rozzłościło - i wypróbować na nim idiotyczne kobiece sztuczki.

- Szorstki - powtórzył dobitnie. Marzył, by uniosła głowę i mógł zobaczyć jej minę teraz, od razu.

- Zack? - rozległo się gdzieś na poziomie jego brody. - Następnym razem, gdy jakaś kobieta zarzuci ci posiadanie którejś z tych cech, powiedz jej, by ci się lepiej przyjrzała. - Uniosła wzrok, ich oczy spotkały się. - Jeżeli to zrobi, zauważy, że charakteryzuje cię rzadko spotykana szlachetność i niezwykła delikatność.

Zupełnie zaskoczony, wolno rozprostowywał ramiona. Czuł, że serce w nim zamiera. Czy musi patrzeć na mnie w taki sposób? - pomyślał.

- Ale uważam cię także za apodyktycznego, władczego, aroganckiego, chyba rozumiesz... - Nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

- A ty i tak mnie lubisz... - przekomarzał się - ...pomimo wszystko. - Grzbietem dłoni musnął jej policzek. Poczul ogromną ulgę.

- Dopiszę jeszcze do mojej listy: próżny - zażartowała. W odpowiedzi przytulił ją do siebie.

- Julie - wyszeptał, pochylił głowę i pocałował ją w usta. - Idziemy!

- I do tego lubisz komenderować! - wydyszała mu w usta.

Wybuchnął śmiechem. Była jedyną kobietą, po której całowaniu ogarniała go trudna do pohamowania radość.

- Przypomnij mi, żebym nigdy więcej nie zbliżał się do dziewczyny mającej takie jak ty słownictwo! - Pocałował ją w ucho, jako że tej części ciała Julie nie mogła ukryć przed jego wargami. Językiem powędrował wokół konchy. Zadrżała, przywarła doń mocno i z trudem łapiąc oddech, wyszeptała:

- To jest niesamowicie seksowne... i bardzo, bardzo...

- A jednak nie istnieje nic wspanialszego od inteligentnej i spostrzegawczej kobiety - przyznał z uśmiechem.

## ROZDZIAŁ 36

Z miską prażonej kukurydzy w rękach wróciła do salonu, gdzie oglądali film na wideo. Ranek i popołudnie spędzili na rozmowie na wszystkie tematy poza tym jednym, nad wyraz dla Julie interesującym: jakie Zack zamierza podjąć działania, by ustalić, kto zamordował jego żonę i tym samym siebie oczyścić z podejrzeń. Gdy po raz pierwszy o to spytała, powtórzył słowa o niechęci do bezsensownego psucia ich terażniejszości martwieniem się o jutro.

Wy tłumaczyła, że chce mu pomóc na tyle, na ile będzie mogła, a wtedy żartobliwie nazwał ją sfrustrowaną Nancy Drew - detektywem w spódnicy. Julie, aby ocalić atmosferę obopólnej tkliwości, nie naciskała. Z chęcią przystała na propozycję obejrzenia którejś z kaset poustawianych w szafce. Zack nalegał, by to ona dokonała wyboru. Julie poczuła się nieswojo, bo wśród filmów ujrzała kilka z nim w głównej roli. Nie czuła się na siłach do oglądania Zacka z inną, w jednej z tych dyszących namiętnością scen, z których zasłynął. Wybrała film, którego, jak przypuszczała, nie oglądał, a była przekonana, że mu się spodoba.

Zdawał się całkowicie ukontentowany jej wyborem, przynajmniej dopóki film się nie zaczął, bo później z niepokojem odkryła, że to, co zapowiadało się jako bezproblemowe spędzanie czasu, dla Zacharego Benedicta, byłego aktora i reżysera, było czymś zupełnie innym. Ku jej konsternacji, Zack zdawał się traktować film jak dzieło sztuki, wymagające od niego zbadania, przeanalizowania, rozłożenia na czynniki pierwsze i oceny. W końcu nie wytrzymała krytycznych uwag i pod pretekstem przygotowania prażonej kukurydzy wymknęła się do kuchni.

Stawiając misę z kukurydzą na stole, spojrzała na olbrzymi ekran telewizora i odetchnęła z ulgą - film najwyraźniej dobiegał końca. Nie zauważyła, aby na Zacku nastrojowa, końcowa scena zrobiła jakieś wrażenie. W najistotniejszym momencie spojrzał na Julie i krzywiąc się zabawnie, powiedział:

- Uwielbiam popcorn. Posoliłaś?
- Aha.
- Mam nadzieję, że nie zapomniałaś o maśle.

Jedno spojrzenie na jego łobuzerską minę pozwoliło Julie zapomnieć, jak bardzo irytował ją ledwie przed chwilą.

- Można w nim popływać - zażartowała. - Zaraz idę po ręczniki i coś do picia.

Rozbawiony patrzył, jak Julie idzie do kuchni, podziwiał jej swobodny, naturalny chód, subtelny wdzięk modelki, z jakim się porusza. Tego popołudnia uległa jego namowom i wzięła z szafy jeszcze jeden komplet - bluzkę z białego jedwabiu o prostym kroju, z szerokimi rękawami, i czarne spodnie z wełnianej krepy. Gdy Zack po raz pierwszy zobaczył te rzeczy, jeszcze rozłożone na łóżku, był rozczarowany, że nie wybrała czegoś bardziej efektownego. Ale po ujrzaniu ich na Julie, z paskiem ze złotych kółek wokół szczupłej talii i złotą bransoletką na ręce, natychmiast zmienił zdanie.

W tym swobodnym stroju, z falą bujnych, lśniących włosów spływających lokami na ramiona, wyglądała świetnie. Zastanawiał się, jaka suknia wieczorowa najlepiej podkreśliłaby jej subtelną urodę. I zaraz zdał sobie sprawę, że nigdy nie będzie miał okazji zabrać jej na uroczystość wymagającą takiego stroju. Dni hollywoodzkich premier, kolacji z okazji wręczania Nagród Akademii skończyły się dla niego bezpowrotnie; nie rozumiał, jak mógł o tym zapomnieć. Nigdzie Julie nie zabierze - nigdy.

Ta myśl okazała się tak dojmująco przykra, że musiał ze sobą walczyć, by nie zepsuć im wspianego dnia. Nadzwyczajnym wysiłkiem woli zmusił się do myślenia wyłącznie o czekającym ich wspólnym wieczorze. Uśmiechnął się, gdy usiadła obok niego na sofie.

- Nie masz ochoty wybrać następnego filmu?

Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, było wysłuchiwanie kolejnej porcji krytycznych uwag. Zack najwyraźniej nie miał dosyć, ona pragnęła dotrzymać mu towarzystwa, niekoniecznie przy filmie. Jak sam wybierze, pomyślała, mniej będzie narzekał. Popatrzyła na niego z udanym przerażeniem.

- Daruj mi. Mogę ci krochmalić chustki do nosa, ale nie skazuj mnie znowu na mękę wyboru.

- A to dlaczego? - zapytał z niewinną miną.

- Dlaczego! - Wybuchnęła śmiechem. - Bo jesteś gorszy od najgorszego krytyka! Tamten film przenicowałeś na wszystkie strony.

- Tylko wskazałem kilka niedociągnięć. Mógłbym więcej...

- Na pewno! Podczas sceny śmierci tak się śmiałeś, że nic nie słyszałam.

- Bo to, chociaż nie miało, wyglądało na komedię - zauważył z wyniosłą miną. - Scenariusz i gra aktorów były takie słabe, że obraz chwilami bawił. Mam propozycję - dodał ugodowo. Wstał i podał jej dłoń.

- Następny wyszukamy razem.

Julie, z ociąganiem, uniosła się z miejsca. Podeszła do wbudowanej w ścianę szafki, w której znajdowało się ponad sto kaset, poczynając od klasyki do najnowszych.

- Czy masz jakieś specjalne życzenie? - zapytał.

Julie przeglądała tytuły i zażenowana wciąż wracała wzrokiem do kaset z filmami Zacka. Choćby przez grzeczność, jeżeli już nie z innych powodów, powinna zaproponować obejrzenie któregoś z nich. Ale zwyczajnie nie mogła się na to zdobyć. Nie na ekranie telewizora, pomyślała. Zbyt dobrze widziałyby każdy intymny szczegół miłosnych scen.

- Ja... nie potrafię się zdecydować - powiedziała po dłuższej chwili. - Zaproponuj kilka, wtedy zobaczę.

- W porządku. Jakich aktorów lubisz?

- Z dawniejszych filmów, Paula Newmana, Roberta Redforda i Stevea McQueena.

Zack nie odrywał wzroku od szafki z kasetami. Był zaskoczony, że nawet przez uprzejmość nie wymieniła jego nazwiska. Zaskoczony i nieco urażony. Chociaż, pomyślał, jego filmy trudno by było zaliczyć do tych dawnych. Skrętnie pominął te, w których grali „jej” aktorzy. Podał jej kilka kaset.

- Te są z ostatnich dziesięciu lat. Jakich młodszych aktorów lubisz?

Czekał, by wymieniła jego imię.

- No cóż... Kevina Costnera, Michaela Douglasa, Toma Cruise'a, Richarda Gere'a, Harrisona Forda, Patricka Swayzego. I Mela Gibsona - podała wszystkich, jakich pamiętała - i... Sylvestra Stallone.

- Swayze, Gibson, Stallone, McQueen... - powtórzył z niesmakiem, zupełnie irracjonalnie dotknięty, że nie dołączyła jego nazwiska do długiej przecież, listy swoich ulubieńców. - A tak przy okazji, od dawna masz słabość do mężczyzn niskiego wzrostu?

- Niskich? - Popatrzyła na niego zdziwiona. - To oni są niscy?

- No... może drobni - odpowiedział Zack niezupełnie zgodnie z prawdą.

- Steve McQueen był nieduży? - spytała, oczarowana jego znajomością niedostępnych dla niej informacji. - Nigdy bym nie przypuszczała! Jak byłam młodsza, wydawał mi się niesamowitym macho.

- Był nim, ale poza ekranem - zauważył szorstko, po czym wrócił do półek z kasetami, udając wielce zainteresowanego dokonywaną selekcją. - Niestety, nie umiał grać.

Julie ani na chwilę nie potrafiła przestać się martwić nieokazywaniem przez Zacka chęci ustalenia zabójcy żony, powrotu do dawnego życia. Przyszło jej do głowy, że delikatne przypomnienie o urokach tamtych dni sprowokuje go do podjęcia działań.

- Założę się, że znałeś też Roberta Redforda?

- Tak.

- Jaki jest?

- Niski.

- To nieprawda!

- Nie powiedziałem, że jest karłem, tylko kimś niezbyt wysokim. Pomimo jego zachowania, Julie nie zniechęciła się.

- Założę się, że wielu sławnych aktorów było twoimi bliskimi przyjaciółmi... tacy jak Paul Newman, Kevin Costner, Harrison Ford i Michael Douglas.

Nie doczekała się odpowiedzi.

- Byli?

- Czym?

- Twoimi bliskimi przyjaciółmi.

- Jeżeli o to chodzi, nie uprawialiśmy razem miłości.

Julie ledwo powstrzymała śmiech.

- Nie uwierzę, że tak zrozumiałeś moje słowa, i nie wiesz, o co mi chodzi!

Zack wyciągnął kilka kaset: z Costnerem, Swayzem, Fordem i Douglasem.

- Wybór należy do ciebie.

- Ta z samego wierzchu, „Dirty Dancing”. - Uśmiechnęła się z aprobatą. Ale, tak naprawdę, nie podobało jej się marnowanie czasu, jaki im pozostał, na oglądanie filmów.

- Nie uwierzę, że interesuje cię coś takiego - powiedział z przyganą w głosie, ale włożył kasetę do magnetowidu.

- Sam wybrałeś.

- Ale ty podsunęłaś propozycję. - Niezdarnie walczył o zachowanie obojętnego wyrazu twarzy. Przez lata kobiety doprowadzały go do pasji, przyprawiały o mdłości, gdy wieszając mu się na szyi, pełne zachwyty deklarowały, że jest ich ulubionym aktorem. Na przyjęciach urządzały na niego swoiste polowania; przeszkadzały w restauracjach, zaczepiały, goniły za jego samochodem, wsuwały w kieszeń klucze od hotelowych apartamentów. A teraz, gdy po raz pierwszy w życiu zapragnął, by kobieta podziwiała jego dzieła, ona zdawała się woleć od niego każdego innego aktora. Wcisnął guzik „start” na pilocie i w milczeniu czekał na pierwsze sceny.

- Chcesz trochę kukurydzy? - zapytała.

- Nie, dziękuję.

Julie obserwowała go ukradkiem, starając się zrozumieć, co mu jest. Czyżby zatęsknił za swym dawnym życiem? Jeżeli tak, nie wszystko stracone. Nie chciała sprawiać mu przykrości, ale powinna zmusić go przynajmniej do rozmowy o potrzebie udowodnienia niewinności i to nawet, jeżeli nie zamierzał wtajemniczać jej w szczegóły swego planu. Akcja



filmu rozkręcała się. Zack wyciągnął nogi i skrzyżował w kostkach, założył ręce na piersi i przybrał sceptyczną minę człowieka, który tylko czeka, by coś mu się nie spodobało.

- Nie musimy tego oglądać - podsunęła.

- Za nic w świecie nie pozbawiłbym się takiej przyjemności. Kilka minut później prychnął z niechęcią.

- Czy coś nie tak? - Ręka Julie zawisła nad miską z kukurydzą.

- Złe oświetlenie.

- Jakie znowu oświetlenie?

- Popatrz na cienie układające się na twarzy Patricka Swayzego. Spojrzała na ekran.

- Chyba tak właśnie powinien wyglądać. Jest noc. Rzucił jej pełne szyderstwa spojrzenie, ale nic nie powiedział. „Dirty Dancing” był jej ulubionym filmem. Uwielbiała muzykę, tańce, prostotę w ukazaniu historii miłosnej. Już dała się wciągnąć akcji, gdy rozległo się kpiące:

- Chyba mu wypomadowali włosy smarem maszynowym.

- Zack... - zaczęła ostrzegawczo - ...jeżeli znowu masz zamiar poddać film druzgocącej krytyce, wyłączam magnetowid.

- Już dobrze, ani słowa więcej. Będę milczał...

- Fajnie.

- I patrzył na fatalny montaż, słabą reżyserię, okropne dialogi...

- Tym razem przeholowałaś...

- Nie ruszaj się. - Powstrzymał ją, bo już wstawała. Zły na siebie za zachowywanie się niczym zazdrosny nastolatek, obgadywanie aktorów, z którymi kiedyś łączyła go przyjaźń, za ciągłe krytkowanie filmu, w swej kategorii bardzo dobrego, w przeproszającym geście położył dłoń na ramieniu Julie. - Nie powiem więcej nic, chyba że pochwalę. - Dotrzymał obietnicy i nie odezwał się aż do momentu, gdy Swayze i jego partnerka zaczęli tańczyć. - Przynajmniej ona potrafi się poruszać. Rola właściwie obsadzona - podsumował.

Blondynka na ekranie, piękna i utalentowana, prezentowała się doskonale. Julie dałaby wiele, by tak wyglądać. W sercu poczuła ukłucie zazdrości - niedorzecznej - ale przy wyjątkowo złym humorze Zacka tym bardziej przykrej. Poza tym uważała, że celowe pominięcie wręcz rzucającego się w oczy talentu tanecznego Swayzego było zagraniem nie fair. Już miała rzucić zgryźliwą uwagę, że w filmach, które oglądali, tylko wobec kobiet nie miał żadnych zastrzeżeń, ale zaraz ogarnęła ją refleksja: jemu też pewnie było przykro, gdy zachwycała się innymi aktorami. Popatrzyła na jego jakby wykuty z kamienia profil i wypaliła:

- Jesteś o niego zazdrosny?

- Ja miałbym być zazdrosny o Patricka Swayzego! - Rzucił jej miażdżące, pogardliwe spojrzenie.

Najwyraźniej lubi oglądać piękne kobiety, pomyślała i zaraz zrobiło jej się przykro, chociaż wiedziała, że nie ma do niego żadnych praw. Nie wyglądało, aby ten film przypadł mu do gustu. Starając się zachować pogodny wyraz twarzy, sięgnęła do sterty kaset na stole i spokojnie powiedziała:

- Może obejrzymy „Tańczącego z Wilkami”? Kevin Costner jest w nim fantastyczny, a fabuła powinna przypaść do gustu każdemu mężczyźnie.

- Już oglądałem, w więzieniu.

Jak powiedział jej wcześniej tego dnia, widział też większość z pozostałych, więc nie rozumiała, w czym rzecz.

- Nie podobał ci się?

- W środku akcja trochę siada.

- Czyżby? - zaprotestowała. Wyglądało na to, że tylko własne filmy mogły liczyć na jego uznanie, więc albo zmusi się, by je oglądać, albo inaczej musi poradzić sobie z jego humorami. - A co myślisz o zakończeniu?

- Kevin je zmienił. Powinien był zostawić takie jak w książce. -Bez słowa ruszył do kuchni, aby zrobić kawę. Starał się opanować. Był tak wściekły na siebie za wygadywanie niczym nieuzasadnionych, krytycznych uwag o obydwu filmach, że dozując kawę, pomylił się i musiał wszystko robić od początku. Patrick Swayze wyśmienie się spisał; Kevin to nie tylko przyjaciel - w „Tańczącym z Wilkami” rzetelnie zapracował na sukces, z czego, tak naprawdę, Zack się cieszył.

Pogrążony w myślach, dopóki z filiżankami kawy w rękach nie przeszedł znacznej części salonu, nawet nie zauważył, że Julie zmieniła kasetę. Zaskoczony, przez chwilę patrzył w ekran. Nie tylko zmieniła kasetę na film z Zackiem, ale jeszcze ustawiła na miłosne igraszki, a dźwięk wyciszyła!

Ze wszystkich damsko-męskich scen, w jakich grał, ta z „Intimate Strangers”, filmu sprzed siedmiu lat, najmocniej przemawiała do wyobraźni. I gdy tak stał, oglądając siebie z Glennem Close w łóżku, w filmie, którego nie widział od wejścia na ekrany, po raz pierwszy poczuł się nieswojo z powodu czegoś, co robił przecież tylko na niby. I nawet nie chodziło o jego wyczyny, ale o to, że z kamiennym wyrazem twarzy przyglądała się im Julie. I jeszcze jedno: choć udawała, że nie widziała żadnego z jego filmów, z tych znajdujących się w szafce, znała je na tyle dobrze, by bez trudu odszukać co pikantniejsze fragmenty. Przenosił

wzrok z jej twarzy - teraz chłodnej - na ekran telewizora i myślał, że przed dziesięcioma minutami, gdy walczył ze swą idiotyczną zazdrością, był w lepszej sytuacji. Postawił filiżanki na stoliku i wyprostował się. Nie wiedział dlaczego nagle straciła humor.

- Co to za pomysł, Julie?

- O co ci chodzi? - spytała z niewinną miną. Włączyła pilotem głos i ani na chwilę nie odrywała oczu od ekranu.

- Dlaczego to oglądasz?

- Co? - spytała z udaną obojętnością. Poczwała skurcz żołądka na widok dłoni Zacka wędrujących po ciele Glenn Close, ich ust spotykających się w namiętym pocałunku podobnemu do tych, jakimi obsypywał ją ostatniej nocy, jego opalonego torsu ostro kontrastującego z białym prześcieradłem, ledwie zakrywającym mu biodra.

- Wiesz dokładnie, co mam na myśli. Najpierw zachowywałaś się, jakbyś nigdy nie widziała żadnego z moich filmów i nie zależało ci na ich oglądaniu, a jak już postanowiłaś któryś zobaczyć, od razu zaczynasz od sceny łóżkowej.

- Oglądałam wszystkie - zakomunikowała ze wzrokiem wciąż utkwionym w telewizorze. Nie popatrzyła na niego, nawet gdy usiadł obok. - Większość mam na kasetach. Akurat ten oglądałam z pół tuzina razy. - Ruchem głowy wskazała na ekran. - A co teraz myślisz o oświetleniu?

Zack oderwał wzrok od jej napiętej twarzy, popatrzył na ekran.

- Nie najgorsze.

- A gra aktorów?

- Niezła.

- No tak, ale czy twoim zdaniem ten pocałunek wyszedł ci wystarczająco dobrze? Czy nie mogłeś pocałować jej mocniej, namiętniej? Chyba nie - odpowiedziała sobie z goryczą. - Twój język już był w jej ustach.

Ze słów Julie bez trudu mógł wywnioskować, co ją gryzie i teraz żałował wszystkiego, co powiedział, czym doprowadził ją do takiego stanu. Nigdy by nie przypuszczał, że zdenerwuje ją oglądanie czegoś, co dla niego było tylko filmem, rutyną, grą w obecności przynajmniej tuzina osób.

- Co czułeś, gdy odwzajemniała twój pocałunek?

- Było mi gorąco. - Gdy zachnęła się na dźwięk słowa, jakiego użył, pośpiesznie wyjaśnił: - Światła grzały mocno. Było za jasno, niepokoiłem się tym.

- Och, jestem pewna, że w takiej chwili nie myślałeś o oświetleniu. - Wskazała głową na ekran, jakby nim zahipnotyzowana. - Nie z dłońmi na jej piersiach.

- Jak sobie przypominam, miałem ochotę udusić reżysera za zmuszanie nas do kolejnego powtarzania tego samego ujęcia.

Całkowicie zignorowała jego słowa, pod sarkazmem ukryła urazę:

- Zastanawiam się, o czym myślała Glenn Close, gdy całowałaś jej piersi.

- Też zamierzała zamordować reżysera, i to z tego samego powodu.

- Naprawdę? - nie kryła ironii. - A co czuła, gdy tak ją ugniatałeś?

Zack wyciągnął rękę, ujął Julie pod brodę i łagodnie zmusił do uniesienia wzroku.

- Wiem, o czym myślała. Modliła się, żebym zabrał łokieć z jej brzucha, nim łaskotki przyprawią ją o atak śmiechu, psujący całe ujęcie.

Julie, przywołana do porządku jego szczerością i spokojem, poczuła się nagle jak prowincjonalna gęś.

- Przepraszam, zachowuję się jak idiotka - powiedziała z westchnieniem. - Udawałam, że nie interesują mnie twoje filmy, bo bałam się oglądania scen takich jak ta. Wiem, to głupie, ale czuję się... - urwała, by nie przyznać się do zazdrości; nie miała do niej prawa.

- Zazdrosna? - podsunął słowo, które wypowiedziane na głos zabrzmiało okropnie.

- To uczucie destrukcyjne, oznaka emocjonalnej niedojrzałości - zaprotestowała.

- Sprawia, że osoba nim ogarnięta postępuje irracjonalnie, a wtedy trudno z nią wytrzymać - przyznał.

Julie odmówiła w duchu modlitwę dziękczynną za ustrzeżenie się od użycia feralnego słowa i skinęła głową.

- Tak, oglądanie cię w tych wszystkich scenach powoduje... że wolałabym inny film.

- Świetnie, wybierz aktora, którego chcesz. - Już otwierała usta, by odpowiedzieć, ale usłyszała kategoryczne: - Byle nie Swayzego, Costnera, Cruise'a, Redforda, Newmana, McQueena, Forda, Douglasa ani Gere'a.

- A któż jeszcze pozostał? - Popatrzyła na niego zdumiona. Otoczył ją ramieniem, przyciągnął bliżej i wyszeptał we włosy:

- Mickey Mouse. Nie wiedziała, śmiać się czy zażądać wyjaśnień.

- Mickey Mouse! A to dlaczego?

- Bo - wyszeptał, przenosząc usta na jej skroń - chyba potrafiłbym znieść zachwyty nad Mickey i nie stałbym się „irracjonalnym” ani „niemożliwym” do zniesienia.

Próbując ukryć ogromną radość, jaką poczuła po tym wyznaniu, uniosła ku niemu twarz. Nie byłaby sobą, gdyby nie walczyła do końca.

- Jest jeszcze Sean Connery, wspaniały w „Polowaniu na Czerwony Październik”.

- W tej szafce jest jeszcze sześć moich filmów. - Zack zmarszczył brwi.

Teraz, po obróceniu w żart jego wyznania i wykręceniu się od przyznania do zazdrości, pożałowała swego tchórzostwa. Spoważniała. Spojrzała mu w oczy i drżącym głosem powiedziała:

- Oglądanie cię w objęciach Glenn Close było dla mnie ciężkim przeżyciem.

Poczuła na brodzie musnięcie jego długich palców, a potem, na wargach, namiętny, zapierający dech pocałunek - nagrodę za pełną odwagi szczerość.

## ROZDZIAŁ 37

Przez kuchenne okno podziwiała przez chwilę zachód słońca, potem odłożyła nóż do obierania jarzyn i weszła do salonu. Włączyła telewizor - dzisiejszych wiadomości jeszcze nie słyszała; antena satelitarna, ustawiona gdzieś wysoko w górach, pozwalała odbierać CNN.

Zack pracowicie spędził dzień, odśnieżając drogę w dół, aż do mostu, za pomocą olbrzymiego ciągnika wyprowadzonego z garażu. Śnieg wyrzucany z zamocowanej do pojazdu dmuchawy leciał wysokim na siedemdziesiąt stóp łukiem. Teraz Zack brał prysznic. Rano, gdy powiedział jej, co planuje, ogarnął ją obezwładniający strach, gdyż sądziła, że mają opuścić dom dzisiaj lub jutro. Jakby czytał w jej myślach, powiedział:

- Jak nadejdzie czas zbierania się stąd, dowiesz się dzień wcześniej. - Ale gdy usiłowała wyciągnąć z niego konkretną datę, wykręcił się od odpowiedzi, oświadczając, że jeszcze nie wie. Julie miała wrażenie, że Zack czeka, by coś się wydarzyło... albo by nawiązano z nim kontakt.

Miał rację - im mniej wiedziała, tym lepiej dla obojga - i absolutne prawo nalegać, by cieszyli się wspólnie spędzonymi chwilami, nie myśleli o tym, co nastąpi. Miał rację we wszystkim, ale co z tego, ona i tak nie potrafiła przestać martwić się o niego. Nie widziała sposobu na wykrycie przez Zacka, kto zabił jego żonę - gdziekolwiek się pokaże, zostanie natychmiast rozpoznany.

Wciąż się pocieszała: jest przecież aktorem i sztuka charakteryzacji nie ma przed nim tajemnic, z łatwością zmieni wygląd. To powinno zapewnić mu bezpieczeństwo, na to liczyła, ale równocześnie napawała ją przerażeniem myśl, że mu się nie uda.

Ekran telewizora zajaśniał. Julie, w drodze do kuchni, z roztargnieniem przysłuchiwała się psychologowi, gościowi programu CNN. Już prawie wyszła z salonu, gdy dotarło do niej, że to ona jest przedmiotem wypowiedzi eksperta. Natychmiast zawróciła. Podeszła do odbiornika i z ogromnymi z niedowierzania oczami wpatrywała się w ekran. Rozmówca, doktor William Everhardt, z olbrzymią pewnością siebie analizował poszczególne etapy zmian emocjonalnych, jakie przechodzi wzięta jako zakładniczka Julie Mathison.

„Przeprowadzono liczne badania z udziałem byłych zakładników. Jako współautor książki na ten temat mogę państwa zapewnić, że ta młoda dama przechodzi niesłychanie stresujące, przez naukę już dokładnie zdefiniowane, stadia udreki psychicznej”.

Julie przechyliła głowę na bok i zafascynowana słuchała, co przeżywa.

„Podczas pierwszego i drugiego dnia u ofiary dominuje strach - niemal paraliżujący. Zakładnik czuje się bezradny i jest zbyt przerażony, by myśleć o jakimkolwiek działaniu, ale wciąż nie traci nadziei, że zostanie uwolniony. Później, zazwyczaj od trzeciego dnia, daje się zaobserwować u niego napady wściekłości, bunt przeciwko niesprawiedliwości tego, co go spotyka i całkowitej zależności od napastnika”.

Z szyderczą miną Julie na palcach odliczała dni i porównywała własne przeżycia z głoszonymi przez „eksperta” mądrościami. Pierwszego dnia, po zaledwie kilku godzinach lęku, wpadła w gniew i zbuntowana próbowała zaalarmować sprzedawczynię w barze dla zmotoryzowanych. Drugiego, w czasie postoj, usiłowała uciec Zackowi - i niemal jej się udało. Trzeciego uciekła. Przez cały czas bała się trochę i była mocno zdenerwowana, ale nigdy nie ogarnęła jej apatia. Z niedowierzaniem słuchała ostatnich uwag doktora Everhardta.

„Obecnie panna Mathison osiągnęła zapewne stan, jaki nazywam syndromem wdzięczności i zależności. W porywacz zaczyna widzieć swego obrońcę, niemal sojusznika - bo jej do tej pory nie zamordował. Jak sądzimy, Benedict nie ma żadnego powodu, by tak uczynić. Dziewczyna jest teraz wściekła na policję za brak pomocy. Przedstawiciele władz zaczyna uważać za niezdolnych do skutecznego działania. Porywacz, przechytrzający wszystkich, staje się obiektem jej niechętnego podziwu. Do tego dochodzi głębokie uczucie wdzięczności za - paradoksalne - niewyrządzenie jej krzywdy. Benedict to inteligentny mężczyzna, umiejący oczarować kobietę, co sprawia, że panna Mathison jest całkowicie na jego łasce”.

Julie jak zahipnotyzowana wpatrywała się w brodatą twarz na ekranie. Nie wiedziała, śmiać się czy oburzać na te pompatyczne ogólniki użyte do scharakteryzowania jej osoby. Wsparła rękę na biodrach i posłała ekspertowi radę:

- Masz szczęście, że to nie show Larry'ego Kinga! Nie darowano by ci takich komunałów! - Jedyne co do tej pory ze słów eksperta się zgadzało, to inteligencja i wdzięk Zacka. Everhardt chyba sam nie wierzy w to, co mówi! W końcu nie została porwana w obcym kraju, przez gotowych na wszystko fanatycznych terrorystów, by od razu dotknęły ją te „zdefiniowane przez naukę stany emocjonalne”.

„Aby po tych koszmarach chwilach, jakie przeżywa, mogła całkowicie odzyskać równowagę psychiczną, będzie jej potrzebna intensywne pomoc psychologa; kuracja zapowiada się na długotrwałą, ale przy zaangażowaniu obydwu stron powinna się powieść”.

Julie nie wierzyła własnym uszom - ten bezczelny człowiek oznajmiał całemu światu, że będzie miała kłopoty psychiczne! Musi dopilnować, by Ted wniósł przeciw niemu sprawę do sądu!

„Oczywiście - wtrącił prowadzący - wszystkie nasze prognozy dotyczą sytuacji, jeżeli Julie rzeczywiście została wzięta jako zakładniczka i nie jest, jak przypuszczają niektórzy, współniczką Benedicta”.

Doktor Everhardt przez chwilę w zamyśleniu gładził brodę.

„Opierając się na tym, czego byłem w stanie dowiedzieć się o tej młodej kobiecie, nie przyłączyłbym się do zwolenników tej teorii”.

- Dziękuję - powiedziała na głos. - Ostatnia uwaga zaoszczędziła ci sprawy w sądzie.

Była tak pochłonięta tym, co usłyszała, że nie zarejestrowała szumu helikoptera, dopóki maszyna nie zawisła nad samym domem. Nawet jak już dotarł do niej ten dźwięk, zupełnie nie na miejscu w tej górskiej głuszy, nie czując strachu, zdziwiona wyjrzała przez okno - wtedy ogarnęło ją przerażenie.

- Zack! - krzyknęła. Odwróciła się i pobiegła w głąb domu. - Tam jest helikopter! Zszedł całkiem nisko... - krzyczała. Wybiegł z sypialni. Zderzyli się, niemal zabiła go z nóg. - Krąży! - Zamarła na widok broni.

- Wyjdź na dwór i ukryj się w lesie! - rozkazał. Popchnął ją korytarzem w stronę tylnych drzwi. Gdy przechodzili koło szafy, wyciągnął kurtkę i wcisnął jej w rękę. - Nie zbliżaj się do domu, dopóki cię nie zawołam. Albo razem ze mną odleca! - Przeładował pistolet. Szedł obok niej korytarzem, lufę uniósł w górę z biegiem osoby, która zna się na broni i zamierza jej użyć. Zaczęła otwierać drzwi. Odepchnął ją i pierwszy wyszedł na zewnątrz; spojrział w górę, chwilę nasłuchiwał, potem pchnął ją w stronę drzew. - Biegnij!

- Na miłość boską! - Zatrzymała się tuż za progiem. - Chyba nie zamierzasz zestrzelić tej maszyny! Musi być...

- Ruszaj się! - krzyknął wściekłym głosem.

Posłuchała, pobiegła wzdłuż ściany domu, nogi grzęzły w głębokim śniegu. Przystanęła dopiero przy drzewach - ze strachu i zmęczenia serce wyczyniało dziwne harce. Klucząc pomiędzy sosnami, przedostała się na drugą stronę domu. Teraz przez szyby w oknach od frontu widziała Zacka. Helikopter zatoczył koło i odleciał kawałek, potem zawrócił. Przez jedną przerażającą sekundę Julie zdawało się, że Zack unosi broń i mierzy do maszyny.

I wtedy poznała: trzyma w ręce lornetkę i patrzy, jak helikopter odlatuje i powoli znika w oddali. Kolana ugięły się pod nią, z westchnieniem ulgi osunęła się w śnieg - wciąż miała przed oczyma obraz Zacka z bronią przygotowaną do strzału. To nie była scena z pełnego przemocy filmu, ale rzeczywistość! Poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła, z całych sił starała się zatrzymać postępujący strach i... lunch.



- W porządku. - Zack zbliżał się do niej. Zauważyła pistolet zatknięty za pasek spodni.  
- To tylko rozbawieni narciarze, upili się i latali za nisko.

Uniosła głowę, ale nie miała sił się ruszyć.

- Podaj mi rękę - powiedział spokojnie.

Julie potrząsnęła głową. Starła się opanować paraliżujące uczucie przerażenia.

- Nic mi nie jest, nie przejmuj się mną.

- To nieprawda! - zaprotestował. Pochylił się, ujął ją pod rękę i pomógł wstać. -  
Wyglądasz, jakbyś zaraz miała zemdleć.

Zawroty głowy i mdłości w końcu minęły i Julie jakoś zmusiła się do uśmiechu. Zack zamierzał wziąć ją na rękę, ale powstrzymała go.

- Mój brat jest gliniarzem, zapomniałeś? Już zdarzało mi się oglądać broń. Tym razem nie byłam... przygotowana.

Poszli do domu. Ulga, jaką poczuła na wiadomość, że helikopter zjawił się całkiem przypadkowo, jak alkohol uderzała do głowy.

- Ted, podczas studiów w Akademii Policyjnej, miał zwyczaj ćwiczenia na naszym podwórku różnych sposobów zatrzymywania podejrzanych - próbowała żartować. - To było bardzo zabawne. No bo po co ćwiczyć coś takiego?

Nalał do szklanki brandy i podał jej.

- Wypij to. Wszystko! - polecił, gdy po przełknięciu łyku resztę chciała mu oddać.  
Upiła następny i odstawiała szklankę na ladę.

- Więcej nie chcę.

- W porządku - zgodził się. - A teraz marsz do łazienki! Weź długą, gorącą kąpiel.

- Ale...

- Nie spieraj się. Następnym razem... - zaczął ją instruować - ...postąpisz, jak ci polecę. - Szybko uprzytomnił sobie, że następnego razu nie będzie. Chociaż tym razem alarm okazał się fałszywy, niebezpieczeństwo i jej strach były jak najbardziej autentyczne. Nigdy nie zapomni widoku Julie, skulonej w śniegu, przerażonej i bladej.

Zapadł zmrok. Julie weszła do salonu wykąpana i przebrana w dżinsy i sweter. Zack stał przed kominkiem, wpatrzony w ogień, z twarzą jak wykutą w granicie.

Z jego miny, zachowania przed chwilą, całkiem prawidłowo wywnioskowała, że dręczy go poczucie winy spowodowane świadomością niebezpieczeństwa, na jakie ją naraża. A ona, gdy było już po wszystkim, nie myślała o sobie. Odczuwała wściekłość. Zack nie zasługiwał na takie życie! Była zdecydowana dowiedzieć się, co zamierza, by koszmar raz na zawsze się skończył. Przekona go, by pozwolił sobie pomóc, wtedy pokaże, co potrafi!

Nie poruszała od razu drażliwego tematu, poczeka z tym do końca kolacji. Przy niezwyklej zdolności Zacka do odsuwania zmartwień na drugi plan godzina czy dwie beztroskiego nastroju w zupełności powinny wystarczyć, by się rozpogodził. Podeszła do niego bliżej i rzuciła lekkim tonem:

- Usmażysz dla nas steki w tym luksusowym piecyku z grillem, czy ja mam się wszystkim zająć?

Odwrócił się i patrzył na nią przez chwilę, z twarzą zamyśloną i gniewną.

- Przepraszam. O co pytałaś?

- Zastanawiałam się nad podziałem obowiązków kucharskich. - Wcisnęła dłonie za pas spodni. - Łamiesz kartę praw zakładnika - zażartowała.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Zack. Z całych sił starał się przekonać samego siebie, że Julie nic nie grozi, z nim i tutaj... zapomnieć, jak wyglądała, przycupnięta pod drzewem, kurczowo przyciskająca kurtkę do piersi... wmówić sobie, że to tylko odosobniony incydent, który więcej się nie powtórzy.

Posłała mu jeden z tych swoich zapierających dech uśmiechów.

- Mówię o pracach kuchennych, panie Benedict! Według Konwencji Genewskiej więzień nie może być poddawany okrutnemu lub niesprawiedliwemu traktowaniu, a czymże innym jest zmuszanie mnie do gotowania przez dwa kolejne dni? Nie mam racji?

Zackowi udało się wykrzywić w uśmiechu usta, potakująco skinął głową. Niczego więcej nie pragnął, jak wziąć ją do łóżka, zatracić się w niej. Przez jedną czarowną godzinę nie pamiętał o tym, co się wydarzyło i o tym, co, jak wiedział, nieuchronnie musi się wydarzyć na pewno o wiele wcześniej, niż zaplanował.

## ROZDZIAŁ 38

Tym razem nadzieja Julie na szybką poprawę ponurego nastroju Zacka okazała się zbyt optymistyczna. Wprawdzie przez całą kolację zachowywał się z wyszukaną uprzejmością, ale zdawał się nieobecny duchem, pogrążony w myślach, jak przypuszczała niewesołych, więc zaraz po odniesieniu do kuchni talerzy uciekła się do sprawdzonego sposobu, dzięki któremu pomoże mu się rozluźnić: sięgnęła po wino. Zamierzała zadać mu kilka pytań i sądziła, że będzie miała większe szanse na szczerą odpowiedź, jeżeli Zack się odpręży - przestanie mieć się na baczności.

Pochyliła się nad stołem, uniosła butelkę, napełniła po brzegi jego kieliszek, już po raz czwarty tego wieczora, i podała mu, gratulując sobie sprytu.

Zack znad kieliszka popatrzył jej w twarz.

- Mam nadzieję, że nie próbujesz mnie upić - odezwał się oschłym tonem- bo jeżeli tak, wino nie jest do tego najlepszym trunkiem.

- Mam przynieść szkocką? - Stłumiła nerwowy śmiech.

Zatrzymał rękę w pół drogi do ust. Czyżby po to przez cały wieczór poila go, napełniała jeden kieliszek po drugim? I przez cały czas ta tajemnicza mina...

- Czy to konieczne?

- Nie wiem.

Niespokojnie czekał, co będzie dalej. Patrzył, jak Julie zmienia pozycję, opiera się na kanapie tak, by siedzieć do niego twarzą. Pierwsze pytanie zabrzmiało niewinnie:

- Czy nie sądzisz, że zasłużyłam na tytuł „wzorowego zakładnika”?

- Z całą pewnością - zgodził się. Jej humor działał zaraźliwie, zmuszał do przyjęcia zaproponowanej konwencji.

- I przyznasz, że jestem posłuszna, chętna do współdziałania, miła, zdyscyplinowana... a w kuchni robię więcej, niż do mnie należy?

- Zgoda na wszystko poza „posłuszna”.

Uśmiechnęła się.

- Jako wzorowy więzień, musisz przyznać, zasługuję na pewne... wyjątkowe przywileje.

- Co masz na myśli?

- Otrzymanie odpowiedzi na kilka pytań.

- Być może, zależy od pytania. - Z miny Zacka widać było, że budzi się w nim czujność.

Trochę zdenerwowana niezbyt zachęcającą odpowiedzią, brnęła dalej:

- Czy zamierzasz dowiedzieć się, kto zabił twoją żonę?

- Następne pytanie - odparł beznamiętnym tonem.

- Dobrze. Czy kogoś podejrzewasz?

- Może jakiś inny temat...

Pomimo szorstkości jego głosu, na którą, jak uważała, nie zasłużyła, i która wyprowadzała ją z równowagi, zachowała spokój. Miłość do Zacka uczyniła ją niesłychanie wrażliwą na wszystko, co się z nim wiązało, dawała prawo do wiedzy o niektórych sprawach.

- Nie zbywaj mnie tak, proszę - powiedziała spokojnie.

- No to zmień temat.

- Przestań zachowywać się nonszalancko, zacznij słuchać. Spróbuj mnie zrozumieć: w czasie twojego procesu byłam na praktyce uniwersyteckiej za granicą. Nie znam szczegółów sprawy i bardzo bym chciała, byś mnie oświecił.

- Wszystkie informacje znajdziesz w każdej bibliotece, w archiwum prasowym. Po powrocie do domu poszperaj w starych gazetach.

Sarkazm zawsze wyprowadzał Julie z równowagi.

- Do cholery, nie chcę czytać dziennikarskich sprawozdań, chcę od ciebie usłyszeć, co się wydarzyło!

- No to masz pecha. - Wstał, odsunął kieliszek i wyciągnął w jej stronę rękę.

Julie, tylko po to, by nie patrzył na nią z góry, też uniosła się z miejsca i podała mu dłoń w pojednawczym geście.

- Chodźmy do łóżka.

Mocno urażona, wyrwała rękę.

- Nie ma mowy! Proszę cię o tak niewiele w porównaniu z tym, czego ty żądałeś ode mnie, i to od chwili, gdyśmy się spotkali. Świetnie o tym wiesz!

- Nie zamierzam po raz kolejny opisywać z detalami tamtego dnia. Ani tobie, ani nikomu innemu - warknął. - Przed procesem musiałem przejść przez to setki razy. Słuchały gliny, słuchali adwokaci. Koniec, kropka.

- Ale ja chcę pomóc. Minęło już pięć lat i może przypomnisz sobie jakiś szczegół. Zacznijmy od zrobienia listy wszystkich obecnych na miejscu w chwili zbrodni. Opowiesz mi o każdym. Z żadną z tych osób, poza tobą, nie jestem emocjonalnie związana, niektóre sprawy widziałabym inaczej. Może pomogłabym ci przypomnieć sobie, co przeoczyłeś...

Dalsze jej słowa powstrzymał śmiech Zacka.

- Jakim cudem akurat ty mogłabyś mi pomóc?

- Spróbowałamby.

- Jesteś śmieszna! Wydałem ponad dwa miliony dolarów na obrońców i detektywów i żaden z nich nie potrafił wskazać innego niż ja podejrzanego.

- Ale...

- Daj spokój, Julie!

- Nie przestanę! Mam prawo do wyjaśnień!

- Do niczego - warknął. - A ja nie potrzebuję twojej pomocy.

Julie zeszywniała, jakby ją uderzył, ale skrzątnie ukryła gniew i upokorzenie.

- Rozumiem. - I zrozumiała, nie potrzebował od niej niczego poza jej ciałem. Nie miała prawa nad niczym się zastanawiać ani czegokolwiek odczuwać. Jej obowiązkiem było bawić go, gdy się nudził, i na każde zawołanie rozkładać nogi.

Położył dłonie na jej ramionach, przyciągnął do siebie.

- Chodźmy do łóżka.

- Zabierz ręce! - syknęła i uwolniła się z uchwytu. Trzęsła się z gniewu i żalu. Jak mogła być tak łatwowierna! Cofnęła się za kanapę i stolik, teraz miała wolną drogę do własnej sypialni.

- Co ty, u diabła, kombinujesz?

- Po prostu dotarło do mnie, jaki z ciebie zimny drań! - Złość na jego twarzy była niczym w porównaniu z malującą się na obliczu Julie furią. - Będziesz dalej się ukrywał, jak stąd odejdziesz, prawda? Nie masz najmniejszego zamiaru szukać mordercy.

- Nie!

- Chyba jesteś największym tchórzem świata! - szydziła, zbyt wściekła, by przejąć się widoczną na jego twarzy żądzą mordy. - Albo... sam ją zabiłeś! - Otworzyła drzwi do sypialni i przez ramię rzuciła: - Rano stąd odchodzę, a jeżeli będziesz chciał mnie zatrzymać, przygotuj broń!

Jego spojrzenie nie wyrażało nic poza pogardą.

- Zatrzymać cię? Jeszcze zaniosę ci bagaże do samochodu!

Ostatnie słowa Zacka zagłuszyło trzaśnięcie drzwiami. Walcząc ze łzami, Julie usłyszała jeszcze kroki mężczyzny idącego do swojego pokoju. Rozebrała się, z szuflady komody wyjęła koszulkę i włożyła ją. Dopiero gdy zgasiła światło, straciła nad sobą panowanie. Naciągnęła koc pod samą brodę, przewróciła się na brzuch i wcisnęła twarz w poduszkę. Płakała ze wstydu i gniewu, z powodu własnej głupoty i naiwności, z upokorzenia.

Płakała, dopóki starczyło łez, potem, wyczerpana, położyła się na boku i w milczeniu patrzyła na obłany światłem księżycą zimowy krajobraz za oknem.

Zack, u siebie w pokoju, ściągnął sweter. Starał się uspokoić i zapomnieć scenę, jaka rozegrała się w salonie, ale nadaremnie. Jej słowa uderzały weń z okrutną siłą, jeszcze bardziej dręczyło wspomnienie pełnego pogardy spojrzenia, gdy nazwała go mordercą i tchórzem. Wydawało mu się, że po procesie i pięciu latach w więzieniu uodpornił się na wszelkie ludzkie uczucia, ale jej jakoś udało się go zranić. Znienawidził ją, siebie także, za pozwolenie na to.

Rzucił sweter na łóżko, ściągnął spodnie. Dotarło do niego jedyne sensowne wytłumaczenie jej dziwnej reakcji. Jest... - zamarł bez ruchu - tak, to oczywiste, Julie wydaje się, że jest w nim zakochana. Stąd to jej prawo do poznania wszystkich jego tajemnic.

Pewnie sądziła, że on też ją kocha, potrzebuje jej.

Niech to szlag! Nie potrzebował Julie Mathison ani dodatkowego ciężaru winy i odpowiedzialności za tę naiwną nauczycielkę, która nie potrafi odróżnić zwyczajnej chuci od mglistych emocji zwanych miłością. Lepiej dla niej, jak go znienawidzi. Jemu też będzie lżej. Nie łączy ich przecież nic poza seksem, w końcu sprawiającym frajdę obojgu. A ona wzbraniała im tych uciech z infantylnej chęci postawienia na swoim!

Z niejasnym postanowieniem przekonania o tym wszystkim jej... i samego siebie, podszedł do drzwi sypialni i jednym szarpnięciem otworzył je na oścież.

Julie zastanawiała się właśnie, co zrobi jutro, jeżeli Zack odstąpi od obietnicy uwolnienia jej, gdy stanął w drzwiach, całkiem nagi. Wszedł do środka.

- Czego chcesz?

- Też pytanie! - zadrwił, odrzucając z niej koc. - Jest niemal tak samo idiotyczne jak twoja decyzja, by spać samej tylko dlatego, że ci się nie podporządkowałem.

Rozzłoszczona jego dość jednoznacznym zamiarem, Julie odsunęła się na drugą stronę łóżka i wstała, starając się znaleźć jak najbliżej drzwi. Pochwyił ją i przyciągnął do nagiej piersi.

- Puszczaj, do cholery!

- To, czego chcę - z opóźnieniem odpowiedział na jej pytanie - jest tym samym, czego pragniesz ty, ilekroć spojrzymy na siebie!

Julie odrzuciła w tył głowę. Zaprzestała walki, zbierała siły.

- Ty draniu! Jeżeli przyszło ci do głowy mnie zgwałcić, uważaj, zastrzelę cię z twojej własnej broni!

- Zgwałcić? - powtórzył z zimną pogardą w głosie. - Ani myślę. Za trzy minuty sama będziesz błagała, bym cię wziął.

Natarła, gdy poczuła jego wargi na swoich; uniosła kolano i z całą siłą uderzyła w krocze. Krzyknęła z rozczarowania - nie trafiła - i natychmiast wylądowała na plecach, przyciśnięta jego ciężkim ciałem.

Nie odpowiedział na atak brutalnym gwałtem, czego prawdę mówiąc się spodziewała. Poczula jego palce błądzące we włosach u szczytu ud, potem delikatne głaskanie i masowanie, z dobrze jej znaną biegłością. Nie zamierza jej zmuszać, uświadomiła sobie; chce pełnego współdziałania. Ale jeżeli odpowie na jego pieszczoty, czyż jej duma nie poniesie bardziej druzgocącej klęski, niż gdyby była tylko bezwolną ofiarą? Ciało wbrew jej woli już reagowało, wściekła na siebie chciała sprowokować go, zanim całkowicie skapituluje.

- Skończ już wreszcie, draniu!

Odpowiedź padła zimna jak jego serce:

- A to czemu? Abyś mogła nazwać mnie gwałcicielem, jak przedtem mordercą i tchórzem? Nie ma mowy. - Jego palce sięgnęły głębiej, poruszały się, wargi zacisnęły się na jej sutce, język krążył wokół. Z trudem zdławiła krzyk gniewnego protestu. Cofnęła biodra, ale on tylko roześmiał się cicho i wsunął palce głębiej - nie wytrzymała, napała na nie. Zamarła, wyętzając każdy mięsień ciała, by odeprzeć to, co z nią robił; on w milczeniu zmuszał jej zdradzieckie ciało do kapitulacji i ani na chwilę nie odrywał wzroku od twarzy.

- Jesteś całkiem wilgotna - powiedział, ale jego cynizm nie był w stanie powstrzymać przeszywających ciało spazmów pożądania. - Chcesz mnie, Julie?

Czekała na niego - w sobie - na szczytowanie, które mógł jej dać, pragnęła go tak bardzo - teraz, zaraz, natychmiast, umierała z pożądania.

- Niech cię piekło pochłonie! - wydyszała.

- Już tam jestem - szepnął. Napał ciałem i dopiero wtedy pocałował ją w usta, zmuszając do rozchylenia warg. Nagle pocałunek stał się łagodniejszy; powoli przyciągał jej biodra do sztywnego członka. - Powiedz, że mnie pragniesz - nalegał.

W pułapce obietnicy rozkoszy składanej przez jego podniecone ciało i natarczywość pocałunków, ogarnięta gorączką pożądania, drżała.

- Chcę cię... - wyrwało się z jej ust.

Czekał na te słowa; od razu wszedł w nią i mocno przyciskając biodrami, w kilka sekund doprowadził do szczytów orgazmu. Wycofał się równie gwałtownie, choć jej ciałem wciąż wstrząsały spazmy rozkoszy. Uwolnił się z jej ramion i wstał.

- Wystarczyły trzy minuty.

Drzwi zatrzasnęły się za nim z ostatecznością śmierci.

Leżała bez ruchu, zmrożona ogarniającym ją szokiem. Duszę, całe ciało, przejmował chłód. Podły, podły, podły... Czy w ten sposób musiał dowodzić swych racji? Emocjonalnie do cna wyczerpana, powoli przesunęła się w górę łóżka, podniosła z podłogi pled i okryła się nim. Zamknęła oczy. Ale spod jej powiek nie wydobyły się łzy - nigdy więcej z powodu Zacka ich nie uroni.

Siedział w swojej sypialni, w fotelu obok kominka, otoczony ciemnościami. Pochylił się do przodu, dłońmi objął głowę. O niczym nie myśleć, niczego nie czuć! Zrobił to, co zaplanował, a nawet więcej: dowiódł sobie i jej, że nie jest mu potrzebna, nawet w łóżku. Przekonał ją, by o nim zapomniała, o tym, że nie zasługuje na jej miłość.

Zrealizował swój cel perfekcyjnie, z brutalnością, w sposób ostateczny.

Nigdy nie czuł się bardziej zrozpaczony i zawstydzony.

Po dzisiejszej nocy nie będzie sobie już więcej wyobrazać, że się w nim zakochała, tego był pewny. Znienawidzi go. Ale nie tak bardzo jak on siebie. Pogardzał sobą za to, co jej zrobił. I za tę niezwykłą mu słabość, która sprawiała, że wręcz umierał z pragnienia pójścia do niej i błagania o wybaczenie. Wyprostował się w fotelu. Patrzył na łóżko, które niedawno dzielili, i wiedział, że nie zaśnie, gdy ona leży za ścianą, pełna nienawiści.



## ROZDZIAŁ 39

Wstała o świcie; w całym domu panowała niesamowita cisza. Kluczyki od blazera leżały na toalecie. Psychicznie obolała, ubierała się jak w półśnie. Musi jak najprędzej oddalić się z tego miejsca, nie wracać tu nawet w myślach. Raz na zawsze zapomnieć o tym, że go spotkała i była tak głupia, by pokochać. Jeżeli miłość to przede wszystkim wystawianie się na bolesne razy, nigdy więcej nie pokocha. Nikogo. Wyjęła z szafy torbę podróżną, wrzuciła do środka przybory toaletowe, zasunęła zamek i zarzuciła ją na ramię.

Przy drzwiach sypialni przystanęła i rozejrzała się. Po upewnieniu się, że wszystko zabrała, zgaszyła światło. Delikatnie nacisnęła klamkę i wkroczyła w mrok salonu; stanęła jak wryta, serce z przerażenia biło gwałtownie. W wodnistym świetle świtu przy oknie po drugiej stronie pokoju zobaczyła, niewyraźnie, postać Zacka. Stał odwrócony do niej plecami, lewą rękę trzymał w kieszeni spodni. Z trudem oderwała od niego wzrok i cicho, jak najciszej, ruszyła w stronę holu. Ale nim zrobiła krok, usłyszała:

- Lista wszystkich obecnych na planie w dniu morderstwa leży na stoliku.

Poczuła nagły ucisk w piersiach. Zrozumiała, że w końcu się poddał. Zmusiła się, by iść dalej.

- Nie odchódź! - powiedział ochryple. - Proszę.

W jego głosie brzmiała rozpacz... i zaraz poczuła w sercu znajomy ból. Zraniona duma głośno krzyczała, że tylko idiotka, bez honoru, do tego całkowicie pozbawiona rozsądku pozwoliłaby mu zbliżyć się do siebie po ostatniej nocy. Szła dalej. Sięgnęła do klamki drzwi wyjściowych, a wtedy pełen emocji głos rozległ się tuż za jej plecami:

- Julie, proszę, nie!

Ręka zatrzymała się w pół drogi, ramionami wstrząsnął cichy szloch.

Oparła o drzwi czoło. Torba zsunęła się z ramienia, po policzkach płynęły łzy. Płakała ze wstydu za brak woli, z żalu nad sobą, nad trudną miłością. Nie broniła się, gdy brał ją w ramiona i tulił do piersi.

- Przepraszam - szepnął rozedrganym głosem. Bezradnie starał się ją pocieszać, gładził po plecach i ramionach, przygarnął do siebie. - Wybacz mi!

- Jak mogłeś mi to zrobić, jak mogłeś! - łkała.

Przybliżył jej mokrą twarz ku swojej. Nie będzie się więcej krył za zasłoną mroku.

- Bo nazwałaś mnie mordercą i tchórzem, nie mogłem tego znieść, nie od ciebie, bo jestem zimnym draniem, dokładnie takim, jak powiedziałaś.

- Żebyś wiedział! - dławiła się łzami. - A najgorsze jest to, że i tak cię Kocham!

Objął ją mocno. Z całych sił powstrzymywał cisnące się na usta słowa, które, jak wiedział, chciała usłyszeć, a których on nie miał prawa wypowiedzieć. Tulił ją coraz mocniej, całował czoło, policzki. Potem oparł brodę na jej pachnących włosach i rozkoszował się słodyczą jej wyznania.

W wieku trzydziestu pięciu lat wreszcie odkrył, co znaczy być kochanym tylko dla siebie samego... gdy nie może ofiarować jej ani bogactw, ani sławy, ani choćby zapewnić powszechnego szacunku... bezwarunkowo, przez kobietę tak niezwyklej odwagi i lojalności. Teraz z całą pewnością wiedział, że jeżeli wyzna, co do niej czuje, przymioty charakteru każą jej czekać na niego... długo. Nie mógł pozwolić, by słodkie wyznanie umknęło bez echa. Potarł policzkiem jej włosy i z czułością powiedział:

- Nie zasługuję na twoje uczucie, Kochanie.

- Wiem, że nie... - niezdarnie próbowała zażartować, nie przyjmowała do wiadomości braku deklaracji, że też ją Kocha. Przecież usłyszała w jego głosie ból i rozpacz, gdy sądził, że odchodzi. Przecież gdy wyznawała mu miłość, poczuła drgnienie obejmujących ją ramion, gwałtowniejsze uderzenia jego serca. To jej wystarczyło. Musiało. Zamknęła oczy; ręka Zacka wśliznęła się pod włosy na karku Julie, długie palce gładziły pieszczotliwie szyję. Jego głos zabrzmiał śmiertelnym znużeniem:

- Nie zechciałabyś na kilka godzin wrócić ze mną do łóżka, a naszą rozmowę o morderstwie odłożyć, dopóki trochę się nie prześpię? Nie zmrużyłem oka przez całą noc.

Skinęła głową. Weszli do pokoju, którego, czego jeszcze przed chwilą była pewna, nie miała więcej oglądać.

Objął ją ramionami i z policzkiem przy jej piersi zasnął.

Julie obserwowała jego twarz, palcami bawiła się miękkimi włosami na skroniach. Sen nie złagodził napiętych rysów - czyżby nie przyniósł ukojenia? Patrzyła na brwi Zacka, ciemne i gęste, na atramentowo czarne rzęsy. By było mu wygodniej, przesunęła się nieco, ale on natychmiast przytrzymał ją mocniej. Ten nieświadomy gest - płynący z dziecięcego instynktu posiadania, wywołał na jej wargi uśmiech - nie miała najmniejszego zamiaru po raz kolejny się wymykać.

Przed laty natrafiła na cytat z Szekspira: życie to scena, na której każdy musi odegrać swą rolę. Od ukończenia college'u czuła się, jakby za kulisami z niecierpliwością czekała na kogoś, kto da jej sygnał do odegrania roli, do której została wyznaczona. Westchnęła głęboko i uśmiechnęła się smutno - nareszcie otrzymała ten znak. Teraz już wiedziała, na co czekała przez te wszystkie lata, po co została stworzona, komu przeznaczona. Pomimo usilnych

starań, by zasłużyć na powszechny szacunek, gdy przyszedł czas miłości, postąpiła zgodnie ze swą kobiecą naturą: bez oglądania się na konsekwencje pokochała renegata, czarną owcę; zuchwałego, cynicznego, nie przejmującego się przyszłością społecznego wyrzutka - pewnie dlatego, że przypominał tamtych chłopaków z ulic Chicago. Kochała go: z gwałtownie rozbudzoną opiekuńczością, sprawiającą, że czuła się mocna, mądra, macierzyńska; z zapamiętaniem czyniącym ją bezsilną, wątłą, całkowicie od niego zależną.

I nie żałowała żadnej z tych burzliwych emocji.

Przyszłość była niewiadomą, jeżyła się niebezpieczeństwami, zapowiadała potępienie. Ale Julie ogarnęło uczucie spokoju, harmonii z całym światem.

Położyła mu dłoń na policzku, potem opiekuńczo przygarnęła do piersi, wargami musnęła ciemną czuprynę.

- Kocham cię - wyszeptała - kocham...

## ROZDZIAŁ 40

Siedziała na podłodze, nogi podwinęła pod siebie. Przed nią, na stoliku, leżał ołówek i plik znalezionych w biurku karteluszków. Patrzyła na sporządzoną przez Zacka listę osób obecnych na planie „Przeznaczenia” w dniu zabójstwa jego żony. Obok nazwisk odnotował pełnioną w ekipie funkcję. Julie zapisywała każde na oddzielnej kartce, by potem, jak Zack zacznie opowiadać, robić stosowne zapiski.

Siedział tuż obok na kanapie i obserwował jej daremne - o czym był przekonany - wysiłki. No bo jak tu się nie roześmiać? Julie ma się powieść tam, gdzie nie dał rady zespół doświadczonych, nieprawdopodobnie drogich prawników i zawodowych detektywów? Ubrana w wiśniowe, wełniane spodnie i dobrany kolorem, obszerny, robiony na drutach sweter, z włosami zebranymi na karku i związanymi jaskrawą, czerwono-żółtą wstążką, bardziej przypominała pełną wdzięku uczennicę szkoły średniej niż nauczycielkę, tym bardziej nie detektywa, ani prawdziwego, ani wziętego z książki czy filmu. Przez szybę za jej plecami wpadały promienie słońca, dodając połyskującym włosom barwy rdzy i złota, rozświetlały lśniąca cerę i żywe kolory policzków. Zack nie potrafił się powstrzymać od podziwiania jej profilu. Ale nie dała mu wiele czasu. Uniosła swe szafirowe oczy i odezwała się zaskoczona:

- Widziałam „Przeznaczenie” - ostatnią scenę nakręcili z dublerami. Sądziłam, że przy takim filmie jak ten musi pracować o wiele więcej osób, niż podałeś.

- Masz rację, ale wtedy nie było ich w Dallas - przyznał Zack. Z niechęcią wracał do tamtej sprawy. - Gdy kręci się na wielu obiektach, bardziej opłaca się podzielić ekipę na kilka mniejszych zespołów, z każdym pracować w jednym miejscu. W ten sposób miejsce już czeka na aktorów i stałą ekipę. Osoby z tej listy należały do grupy przypisanej do Dallas. Pozostałych, gdy zrobili swoje, odesłałem do domu.

- Dlaczego tak postąpiłeś?

- Bo film przekroczył budżet o miliony dolarów i starałem się oszczędzać, na czym się dało. Zdjęcia dobiegały końca i nie przewidywałem, bym jeszcze kogoś potrzebował, więc zatrzymałem tylko stałą ekipę.

Na widok zafascynowania na twarzy Julie uśmiechnął się.

- Jeszcze jakieś wprowadzające pytania, zanim opowiem, co wydarzyło się tamtego dnia?

- Kilka - odparła trochę zdezorientowana. Patrzyła na funkcje podane przy każdym nazwisku. - Kto to taki „Best boy”? Zawsze się nad tym zastanawiałam, czytając czołówkę filmu.

- Pierwszy pomocnik mistrza oświetlenia.

Puściła do niego oko. Próbowwała sprawić, by się rozluźnił, uczynić łatwiejszą rozmowę o morderstwie, jak wiedziała, wyjątkowo dla niego nieprzyjemną. Musi pytać o wszystko, pomyślała, o każdy szczegół, nawet pozornie nieistotny.

- Bardzo pouczająca rozmowa, panie Benedict. A mistrz oświetlenia?

Sztuczka podziałała, roześmiał się na widok jej miny.

- Mistrz oświetlenia to prawa ręka operatora obrazu, i to we wszystkim. Kieruje pracą elektryków na planie, dyryguje ustawianiem świateł, od niego zależy soczystość barw.

- A dyżurni planu?

- Ci zajmują się rekwizytami i każdą zmianą w dekoracji. Główny dyżurny jest zarazem pierwszym pomocnikiem mistrza oświetlenia.

- Chyba mi nie powiesz, że główny dyżurny jest odpowiedzialny za przenoszenie kluczy\*?

Zack uśmiechnął się. Widok subtelnego rysunku jej ust, uroczo unoszących się w kącikach, wysiłki, zresztą udane, utrzymania lekkiego tonu rozmowy, choć na chwilę pozwalały zapomnieć, w jakiej znajduje się sytuacji.

- Główny pomocnik kieruje innymi.

- A czym zajmuje się asystent kierownika produkcji?

- To przede wszystkim goniec, wykonuje różne polecenia. Podlega asystentom reżysera.

Skinęła ze zrozumieniem głową.

- A producent?

- To prawdziwy wrzód na tyłku.

Jej perlisty śmiech zabrzmiał niczym dzwoneczki. Przy następnym pytaniu z trudem zachował powagę.

- Czy operator obrazu to to samo co kamerzysta, czy tylko nadzoruje pracę tamtego?

- Poradzi sobie z jednym i drugim. Dobry operator obrazu bierze udział we wszystkich elementach przygotowania planu. On i rekwizytor urzeczywistniają pomysły reżysera, a często się zdarza, że proponują własne.

---

\* Gra słów: *key grip* - główny dyżurny, *key* - klucz (przyp. tłum.).

Julie zajrzała do swoich zapisków. Czas na dokładniejsze informacje, pomyślała. Wybrała człowieka, którego Zack określił jako operatora obrazu.

- Czy Sam Hudgins jest dobrym specjalistą?

- Jednym z najlepszych. Pracowaliśmy razem przy kilku filmach, do współpracy przy „Przeznaczeniu” zaprosiłem go osobiście. Zmontowałem ekipę z osób, które już znałem. - Jej gładkie czoło zmarszczyło się. - Co się stało? - zapytał zaniepokojony.

- Zastanawiałam się, czy ktoś, z kim pracowałeś w przeszłości, mógł mieć do ciebie aż taki żal, by wrobić cię w morderstwo.

- Mało prawdopodobne - odrzekł zaskoczony. Był pod wrażeniem, że Julie doszła, z taką łatwością, do tego samego wniosku co jego prawnicy i wynajęci detektywi.

- Czy możliwe, byś tuż przed morderstwem powiedział lub zrobił coś, co mogłoby wywołać czyjąś nienawiść?

- A co takiego, twoim zdaniem, trzeba by zrobić, by zasłużyć na podobną zemstę? - zapytał chłodno.

- Rzeczywiście - kiwnęła głową - trudno sobie wyobrazić.

- Nie zapominaj, że celem nie byłem ja, lecz Austin lub Rachel, ja tylko okazałem się tym durniem, który dał się zamknąć.

Julie wzięła głęboki oddech i spokojnie powiedziała:

- Teraz chcę usłyszeć dokładną relację z przebiegu tamtego dnia. Albo lepiej zacznij od dnia, gdy zastałeś... - Zawahała się – przecież chciała być delikatna... - Jak ci mówiłam, w czasie gdy wydarzyło się morderstwo, przebywałam w Europie, ale widziałam nagłówki gazet na stoiskach i z nich wynikało...

Urwała i zmieszana zamilkła. Zack bez ogródek dokończył:

- ...że moja żona pieprzyła się z grającym z nami aktorem, i że zjawiłem się, jak już figlowali na całego.

Julie aż wzdrygnęła się, ale nie odwracała wzroku.

- Opowiedz mi wszystko, co zapamiętałeś. Powoli, będę robić notatki.

Opierając się na poprzednich doświadczeniach, Zack spodziewał się rozmowy trudnej, nieprzyjemnej, momentami poniżającej, prowokującej wybuchy furii - w przeszłości zawsze przesłuchiwali go ludzie powodowani wątpliwościami lub ciekawością. Opisywanie szczegółów morderstwa Julie, która wierzyła w każde jego słowo, okazało się czymś całkiem odmiennym, i gdy skończył, poczuł się niezwykle lekko.

- A czy nie był to po prostu wypadek? - spytała. - Myślę o człowieku, który miał załadować broń ślepymi nabojami - o Andym Stemple'u czy nie włożył tych opiłowanych przez pomyłkę, ale był zbyt wielkim tchórzem, by się przyznać?

Zack oparł łokcie na kolanach i potrząsnął głową.

- Stemple nie popełnił błędu, to specjalista od broni palnej. Po wypadku, jaki wydarzył się w czasie kręcenia „Strefy zmroku”, związek reżyserów postawił warunek: przy używaniu rekwizytów w postaci broni palnej należy zatrudnić specjalistę. Stemple doskonale znał swój fach. Na planie „Przeznaczenia” odpowiadał za ten wycinek działalności, a ponieważ brakowało nam ludzi, był także pomocnikiem dyżurnego. Sprawdził broń i załadował ślepkami właśnie tego ranka. A naboje ze spiłowanym szpicem nie dostały się do magazynka przypadkiem. Przed położeniem broni na stole wytarto z niej odciski palców - przypomniał Zack. - Ten drobny szczegół był podstawowym argumentem oskarżenia.

- Ale gdybyś to ty zrobił, nie byłbyś taki głupi, by zostawiać na niej własny odcisk.

- Był niepełny i tylko od spodu kolby. Prokurator przekonał przysięgłych, że przez nieuwagę pominąłem tę część broni.

- Ale - zamyśliła się - ślad mógł się tam pojawić, gdy poprawiałeś jej ułożenie, już na stole.

Nie było to pytanie. Powtarzała słowa Zacka z przekonaniem, jakby cytowała Biblię. Kochał ją za to.

- Dla prokuratora nie miało znaczenia, czy broń została wytarta, czy pozostał na niej ślad mojego palca. Przy jego braku powiedziała, że działałem w rękawiczkach. Więc nawet gdybym nie zmienił zdania w czasie kręcenia ostatniej sceny i zamiast Rachel zostałby zastrzelony Austin, dla niego i tak byłbym jedynym podejrzanym. Bo nie ulegało wątpliwości, że tylko ja miałem wystarczający powód do zabicia obojga. - Zack obserwował, jak Julie walczy, by na jej twarzy nie zagościł wyraz współczucia i gniewu. - Nie wystarczy udreki, jak na jeden dzień? Powinniśmy cieszyć się tymi godzinami, jakie nam pozostały. Już po piątej - rzucił z uśmiechem.

- Chyba masz rację - powiedziała zamyślona. Rozłożyła na stole kartki z notatkami. Cztery nazwiska w dolnym rzędzie to ludzie, którymi się zainteresowała - a może podejrzewała? - Jeszcze kilka minut, dobrze? - poprosiła, bo już otwierał usta, by zaprotestować. - Zack, jedna z tych kartek zawiera nazwisko osoby, która popełniła morderstwo, a potem spokojnie przyglądała się, jak za jej zbrodnię ciebie wysyłają do więzienia - dodała z rozpaczą w głosie.

No i co z tego, pomyślał. Ale przecież nie zabroni jej zabawy w detektywa. Cierpliwie czekał na następne pytania.

- Coś mi się nie zgadza z Dianą Copeland - zaczęła Julie. W zamyśleniu patrzyła gdzieś za Zacka. - Myślę, że kochała się w tobie.

- Skąd, na Boga, przyszło ci to do głowy? - Nie wiedział, śmiać się czy okazać irytację.

- To przecież oczywiste. - Oparła łokcie na stole, a podbródek na dłoniach. - Mówiłeś, że tego dnia powinna była wyjechać do Los Angeles już rano, a została w Dallas i zjawiała się na planie. Powiedziała ci, że została po usłyszeniu, co wydarzyło się w hotelu poprzedniego wieczora i chciałyby znajdować się blisko ciebie, gdybyś potrzebował moralnego wsparcia. Mogła cię kochać i chcieć pozbyć się Rachel.

- I pozwolić, by ukochany mężczyzna zapłacił za jej czyn? To nie trzyma się kupy. - Nie ukrywał, że nie traktuje serio jej przypuszczeń. - Poza tym skąd Diana mogła wiedzieć, że każe strzelać Tony'emu, a nie Rachel? Co więcej, masz absurdalnie naiwne wyobrażenie o miłości i hollywoodzkich związkach. Aktorki łakną ciągłego zapewniania, że wszyscy je kochają. Nie zakochują się tak łatwo, nie mają zwyczaju wszystkiego rzucać dla mężczyzny, tym bardziej z jego powodu popełniać zbrodnię. Interesują się tylko, jakie korzyści mogą wynieść z udanej znajomości. Żyją wstrząsane emocjami, ale wyłącznie tymi zaczynającymi się od „ego”.

- Chyba bywają wyjątki?

- Ja nie znam żadnego - odrzekł oschle.

- Cóż to za niezwykle świat, ten, w którym żyjeś, jeżeli nastawił cię tak cynicznie do ludzi, a zwłaszcza kobiet.

- Nie jestem cynikiem - zaprotestował, nie wiadomo dlaczego dotknięty brzmieniem w jej głosie dezaprobatą - tylko realistą! Ty natomiast wykazujesz niesłychaną naiwność w ocenie damsko-męskich związków.

- Naprawdę taka jestem, Zack? - spytała cicho. Patrzyła na niego spokojnie oczami przypominającymi dwa przejrzyste, błękitne kryształy.

Za każdym razem, gdy słyszał w jej ustach swoje imię, serce w piersi zaczynało bić gwałtowniej. Odkrywał, że ta naiwna dziewczyna, siedząca teraz na podłodze u jego stóp, jednym zaledwie rzuconym spod rzęs spojrzeniem potrafi nakłonić go do wycofania się z wypowiedzianych słów, proszenia o wybaczenie.

- Któreś z nas na pewno - powiedział zirytowany, a gdy dalej na niego patrzyła, jeszcze bardziej ustąpił pola. - Chyba byłem cyniczny, zanim zrobiłem pierwszy film. -



Zdenerwowany, że nie potrafi oprzeć się presji jej słodkiego spojrzenia, dodał: - Patrzysz na mnie, jakbyś oczekiwała, że przyznam się do wygadywania bzdur. Lepiej powiedz, kto jest twoim następnym podejrzanym.

W nagrodę posłała w jego stronę ten swój zaraźliwy uśmiech.

- Tommy Newton - powiedziała po przejrzeniu karteluszków.

- A dlaczego Tommy miałby sobie życzyć śmierci Rachel czy Austina?

- Może chciał pozbyć się ciebie i taką posłużył się metodą. Opowiadałeś, że pracowałeś z tobą przy kilku filmach jako asystent reżysera. Może miał już dość przebywania w cieniu wielkiego Zacharego Benedicta?

- Julie - powiedział znużonym głosem - po pierwsze, Tommy miał przed sobą wspaniałą karierę jako reżyser i świetnie o tym wiedział, a ja przy każdej okazji utwierdzałem go w tym przekonaniu. Bardzo cieszył się, gdy zaproponowałem mu współpracę przy „Przeznaczeniu”.

- Ale...

- Po drugie - ciągnął Zack nieubłaganie - był zakochany w osobie, która mogła stać się ofiarą strzelaniny, więc nie zamieniłby naboju.

- Ależ to zupełnie zmienia postać rzeczy! Nie mówiłeś, że kochał się w Rachel...

- Bo nie w niej.

- Ale dopiero co powiedziałeś...

- Kochał się w Austinie.

- Co takiego?

- Tommy to gej.

Przez chwilę zaskoczona milczała, potem z niesmakiem, bez słowa komentarza, wzięła następną kartkę z nazwiskiem trzeciej osoby.

- Emily McDaniels. Wspomniałeś, że była ci ogromnie wdzięczna za odświeżenie jej kariery, a potem za rolę w „Przeznaczeniu”. Znała cię od dawna, mówiłeś, że spędzaliście razem wiele czasu podczas pracy w tym samym filmie. Dzieci, zwłaszcza dorastające panienki, potrafią odczuwać silne przywiązanie do męskiego autorytetu. Może myślała, że jeżeli pozbędzie się Rachel, odwzajemnisz jej uczucia.

Zack prychnął szyderczo, ale gdy mówił o dziewczynce, głos mu złagodniał.

- Emily miała już szesnaście lat i ukochanego. Była - zaraz po tobie - najmilszą, najprzyzwoitszą istotą rodzaju żeńskiego, jaką kiedykolwiek znałem. Nie ma mowy, by to dziecko uczyniło cokolwiek, co mogłoby narazić mnie na kłopoty. Ale przypuśćmy, że masz rację: czuła do mnie słabość i była zazdrosna o Rachel. Jeżeli tak, to nie musiała zawracać

sobie głowy zabijaniem jej, bo wszyscy w studio wiedzieli, że moja żona wystąpiła o rozwód i zamierzała wyjść za Austina.

- Ale mogła zniechęcić Rachel za upokorzenie cię przez romans z Austinem, poczuć potrzebę wyrównania za ciebie rachunków.

- Te przypuszczenia nie mają sensu. Emily wiedziała przecież, że to Rachel ma wystrzelić pierwsza. Przynajmniej tak było w scenariuszu.

- No to dlaczego wykluczaliśmy Tony'ego Austina jako cel zamachu? Zaczniemy rozważania przy takim właśnie założeniu.

- Nie możemy. Jak ci już powiedziałem, sporządziłem notatki o zamierzonych zmianach w moim egzemplarzu scenariusza. Wiele osób mogło znaleźć skrypt, przeczytać o kolejności wystrzałów. Chociaż moi adwokaci odebrali oświadczenia w tej sprawie od aktorów i ekipy technicznej, wszyscy zgodnie twierdzili, że nie mieli pojęcia o moich zamiarach.

- Przypuśćmy jednak, że chodziło o Tony'ego Austina, a wtedy nadal nie możemy wykluczyć Emily. Mogła mieć na twoim punkcie taką obsesję, że zniechęciła Austina za przyprawianie ci rogow i upokorzenie cię...

- Emily McDaniels - przerwał kategorycznym tonem - nikogo nie zabiła. Kropka. Nie potrafiłaby, jak i ty. - Uświadomił sobie, że kartki z samego spodu zawierają nazwiska jej głównych podejrzanych. Pochylił się nad ostatnią i uśmiechnął z ulgą: rozmowa najwyraźniej dobiegała końca. - Czyje nazwisko umieściłaś na końcu? - zapytał.

Julie popatrzyła na niego z zażenowaną miną.

- Tony'ego Austina.

Wyraz rozbawienia zniknął z twarzy Zacka; potarł dłonią czoło, jakby chciał zetrzeć nienawiść, jaka eksplodowała w nim, ilekroć pomyślał o Austinie, o tym... mordercy.

- Myślę, że to on. - Popatrzył na Julie, zatopiony we własnych myślach. - Nie, ja wiem! Ten drań zrobił to, a później zacierał z radości ręce, gdy ja zostałem aresztowany. Pewnego dnia, jeżeli pożyczę dostatecznie długo...

Julie drgnęła, brutalność w jego głosie niemile ją zaskoczyła.

- Ale mówiłeś, że Austin nie miał grosza przy duszy - przerwała pośpiesznie. - Zabijając Rachel, która po rozwodzie mogła spodziewać się sporych pieniędzy, straciłby szansę wzbogacenia się.

- Jest zdrowo stuknięty. Kto może wiedzieć, co takiemu płacze się po głowie.

- Podobno miał kosztowny nałóg - narkotyki. Czyż nie interesowałby się, przede wszystkim, położeniem łapy na twoim majątku, by bez przeszkód móc sobie dogadzać?

- Ja już mam tego dość, naprawdę! - Ujrzał, jak twarz Julie blednie, i natychmiast pożałował wybuchu. Wstał, wyciągnął dłoń, by pomóc jej podnieść się i już łagodniejszym tonem dodał: - Na razie to zostawmy i zastanówmy się, co zrobić z resztą wieczoru.

W Julie natychmiast odezwała się potrzeba reakcji na ten wybuch. Tylko spokój, powiedziała sobie w myślach, nie pozwoli, by to, co wydarzyło się poprzedniej nocy, kiedykolwiek powtórzyło się.

## ROZDZIAŁ 41

Dziesięć minut później siedziała w kuchni na taborecie, rozbawiona, bo w żaden sposób nie mogli dojść do porozumienia w sprawie spędzenia wieczoru.

- Sporządę listę - zażartowała. Przysunęła do siebie brulion i ołówek. - Jak dotąd, zaproponowałeś jedynie kochanie się. - Opierając dłoń na jej ramieniu, z rozbawioną miną zaglądał do notatnika. - I kochanie się. I kochanie się.

- Tylko trzy razy? - zdziwił się ze śmiechem.

- Tak, a ja trzykrotnie się zgodziłam. Ale mieliśmy wymyślić, co będziemy robić wcześniej.

Już przedtem, gdy robiła notatki na karteluszkach, zwrócił uwagę na jej piękne, wyraźne pismo.

- Pisziesz tak porządnie, słowa wyglądają, jakby wychodziły spod maszyny do pisania.

- Nic dziwnego - odpowiedziała z uśmiechem - poświęciłam temu długie lata. Gdy inne trzynastolatki zachwycaly się twoimi filmami, ja siedziałam w domu i ćwiczyłam kaligrafię.

Oniemiał, słysząc o tak bezsensownej stracie czasu.

- Po co?

Julie powoli odwróciła się na stołku i popatrzyła mu w twarz.

- Bo prawie do dwunastego roku życia byłam analfaberką. Umiąlam przeczytać najwyżej kilka słów, a napisać tylko własne imię, i to nie najbardziej czytelnie.

- Z powodu dysleksji czy czegoś podobnego?

- Nie, za często wagarowałam. Gdy opowiadałam a o mojej młodości, ten fragment opuściłam.

- Celowo? - spytał.

Wstała i obeszła ladę, by wziąć szklanke wody.

- Być może, choć nie przypuszczam, bym robiła to świadomie. Śmieszne, prawda? Bez zmruczenia oka przyznałam się do kradzieży, a podświadomie broniłam przed wyznaniem, że byłam analfaberką.

- Nie pojmuję, jak mogło się to zdarzyć osobie tak rozgarniętej jak ty.

Rzuciła mu spojrzenie, które sprawiło, że zapragnął wziąć ją w ramiona, całować miękkie wargi.

- Dla pańskiej informacji, panie Benedict, to może przytrafić się każdemu, a inteligencja nie ma tu nic do rzeczy. W tym kraju jedna na pięć kobiet jest analfabatką. Opuszczały lekcje, gdy były małe, bo potrzebowano ich w domu do pomocy przy rodzeństwie albo ich rodziny wciąż zmieniały miejsce zamieszkania, albo jeszcze z innych powodów. Później nie potrafiły nadrobić zaległości, więc zaczynały uważać się za nierozgarnięte i rzucały szkołę. I obojętne jaka była przyczyna, rezultat łatwo można przewidzieć: są skazane na ciężką pracę fizyczną przez całe życie lub stają się podopiecznymi opieki społecznej; dają sobą pomiatać mężczyznom, z którymi się wiążą, obrzucać obelgami z byle powodu, bo czują się bezsilne, wydaje im się, że nie zasługują na lepszą egzystencję. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, co to znaczy żyć w świecie pełnym informacji znajdujących się poza możliwością twojej percepcji, ale ja pamiętam. Każda, najprostsza nawet sprawa, jak choćby odnalezienie drogi do właściwych drzwi, staje się problemem nie do przeskoczenia. Żyjesz w ciągłym strachu i wstydzie. Ciężko to znieść, więc wiele z nich udaje, że nie przejmują się swą... ułomnością.

- A ty, czy wstydziłaś się, choć byłaś jeszcze całkiem mała? - zapytał, zaskoczony tym nowym aspektem jej dzieciństwa.

Skinęła głową, wypila trochę wody i odstawiła szklanke.

- W szkole starałam się siadać w pierwszym rzędzie, by nie oglądać śmiejących się ze mnie dzieci. Przekonywałam nauczycieli, że źle widzę.

Zack z trudem radził sobie z rozszalałymi w nim emocjami. Wyobraził ją sobie jako dziecko, usiłującą jakoś przetrwać w obcym, obojętnym mieście.

- Powiedziałaś, że opuszczanie szkoły leżało u podstaw twoich problemów. Dlaczego nikt cię nie przypilnował?

- Byłam chorowitym dzieckiem, więc w pierwszej i drugiej klasie opuściłam dużo lekcji. Ale nauczyciele lubili mnie, dlatego otrzymywałam promocję. Nauczyciele nie powinni tak postępować, to idiotyczne i szkodliwe! Jednak zdarza się często, zwłaszcza w przypadku „grzecznych dziewczynek”. W trzeciej klasie już wiedziałam, że nie nadążę za resztą, więc zaczęłam wagarować i przestawać z dziećmi z ulicy. Moi zastępczy rodzice mieli pełne ręce roboty z innymi dziećmi, więc nie połapali się, że opuszczam szkołę, dopóki nie zatrzymano mnie za włóczęgostwo. Wtedy byłam już w czwartej klasie, beznadziejnie opóźniona.

- I zabrałaś się za „samochodowy interes” i drobne kradzieże, i gdyby nie Mathisonowie...

Uśmiechnęła się z zażenowaniem i skinęła głową.

- Kilka miesięcy temu przypadkowo odkryłam, że żona naszego woźnego nie umie czytać. Zaczęłam ją uczyć, ona przyprowadziła inną kobietę, ta z kolei następną. Jest ich teraz siedem, uczymy się w prawdziwej klasie. Gdy przyszły po raz pierwszy, nie wierzyły, że potrafię im pomóc. Były upokorzone, zrezygnowane i głęboko przekonane o swojej głupocie. Najtrudniej poszło z przekonaniem ich, że jest inaczej. - Zaśmiała się cicho i dodała: - Musiałam założyć się z Peggy Listrom, jedną z nich, że jeżeli do wiosny nie nauczy się odczytywać wszystkich napisów na ulicach i sklepach w Keaton, przez miesiąc będę zajmowała się jej dzieckiem.

- Bardzo ryzykowałam. - Ukrył w żarcie budzącą się w nim czułość.

- Nie tak znów bardzo. Przecież nie mogłam pozwolić, by wiodła życie takie jak dotychczas. Właściwie już wygrałam zakład.

- Czyta napisy na ulicach?

Skinęła głową. Patrzył w jej oczy rozświetlone podekscytowaniem.

- Och, Zack, nie możesz sobie wyobrazić, co czuję, gdy słyszę, jak zaczynają czytać! Bardzo długo nie przestają uważać się za nierozgarnięte, aż pewnego dnia udaje im się przeczytać krótkie zdanie. Są wtedy takie dumne! - Wyciągnęła w jego stronę rękę. - Móc je nauczyć...to jakby pochwycić cud.

Zack starał się zapanować nad wzruszeniem.

- Ty jesteś cudem, panno Mathison - zmusił się do lekkiego tonu.

Roześmiała się.

- Ja nie, ale mam wrażenie, że okaże się nim Debby Sue Cassidy. - Popatrzył z zaciekawieniem, więc dodała: - Ma trzydzieści lat i wygląd bibliotekarki - proste, brązowe włosy, inteligentną twarz. Pracowała jako służąca u pani Neilson od ukończenia szesnastego roku życia. Jest bystra, bardzo wrażliwa, pełna wyobraźni. Marzy o napisaniu książki. - Julie źle zrozumiała uśmiech Zacka. - Nie śmieję się, to całkiem możliwe. Już teraz, jak na kogoś, kto nie potrafi czytać i pisać, wykazuje zaskakującą umiejętność budowania fabuły. Przez cały czas słucha kaset z nagraniami książek, wypożycza je z biblioteki. Wiem, bo pani Neilson wspomniała o tym mojemu ojcu. Mówiła też, że gdy dzieci Neilsonów były małe, Debby Sue całymi godzinami opowiadała im zajmujące historyjki. Właśnie z powodu moich podopiecznych byłam w Amarillo w dniu, gdy spotkaliśmy się. - Julie wzięła do ręki brulion. - Pojechałam zabiegać o pieniądze na specjalne pomoce. Są nawet tanie, ale potrzeba ich dużo.

- Udało ci się?

Skinęła głową i przez ramię posłała Zackowi uśmiech.

Nie mógł powstrzymać się od dotknięcia jej. Położył dłoń na jej ramieniu i zartobliwie uszczyptał w ucho. Uśmiechnęła się, przechyliła głowę na bok i lekko potarła swym delikatnym policzkiem grzbiet jego dłoni.

Ten prosty, pełen miłości gest sprawił, że Zackowi zrobiło się nagle ciężko na duszy. Po dzisiejszym wieczorze będzie musiał zapomnieć o Julie. Powinien był pozwolić jej odejść dzisiejszego ranka. Ale nie potrafił, wtedy, gdy tak go nienawidziła. I im dłużej zatrzymuje ją przy sobie, tym cięższe czeka ich rozstanie. Odsyłanie jej jutro, przy ryzyku, że rozsypie się przy przesłuchaniu, oznaczało przyśpieszenie jego ucieczki z kraju co najmniej o tydzień. Ale warto, by mieć pewność, że nie zagrozi jej już helikopter, tym razem policyjny.

By odegnać ponury nastrój, poprosił:

- Cokolwiek zrobimy dziś wieczorem, postarajmy się o coś wyjątkowego. Odświętneho. - Musiał użyć całej woli, by zachować na twarzy uśmiech. Nie mogła się zorientować, że zamierza rozstać się z nią już rano.

Julie zamyśliła się przez chwilę, potem rozpromieniona spytała:

- A co byś powiedział na kolację przy świecach, potem tańce... jak na randce, tyle że tutaj? Na tę okazję włożę coś specjalnego - zaczęła przekonywać go, ale zaraz uświadomiła sobie, że to zbędne: już kiwał głową, zadowolony, że wpadła na ten fantastyczny pomysł.

- Wspaniale - powiedział. Spojrzał na zegarek. - Idę do łazienki w twoim pokoju i wpadnę po ciebie za jakieś półtorej godziny. Wystarczy ci tyle?

- Na to, co zamierzam, w zupełności wystarczy godzina. - Roześmiała się.

## ROZDZIAŁ 42

Po rzuceniu propozycji Julie czuła się zobowiązana olśnić Zacka i przygotowania zajęły jej ponad godzinę. Włosy były tym, czego miała w nadmiarze, a ponieważ Zack najwyraźniej zwracał na nie uwagę, umyła i wysuszyła je suszarką, potem ułożyła fryzurę z wymykającymi się tylko luźnymi kosmykami po bokach, i resztą gęstymi falami spadającą na plecy. Zadowolona ze swojego dzieła, zaczęła się ubierać. Zrzuciła szlafrok i włożyła miękką suknię z dzianiny, w żywym odcieniu kobaltowego błękitu, która wisząc na wieszaku, bardziej przypominała długi do kostek sweter - luźny dół, góra w stylu koszulowym z długimi rękawami zakończonymi białymi mankietami z satyny, z guzikami z błękitnego kryształu. Dopiero gdy sięgnęła do tyłu, jej ręce nie znalazły żadnego zapięcia. Chociaż suknia miała z przodu szeroki, wyrzucany kołnierz, plecy były nieosłonięte. Wprowadzająca w błąd prostota kroju, w połączeniu z brakiem dekoltu z przodu, a śmiałym z tyłu, czyniła całość nad wyraz atrakcyjną i Julie właśnie tak się poczuła. Ale odezwały się wątpliwości, cofnęła się od lustra. Czy ma wkładać ten prezentujący się wyjątkowo okazale, na pewno kosztowny strój do niej nie należący?

Nie miała jednak zbyt dużego wyboru. Potrzebowała stroju długiego do ziemi, bo pończoch nie zabrała - skąd mogła wiedzieć, że będą jej potrzebne? - a bielizny innej kobiety nie chciała w żadnym wypadku pożyczać. Poza tym strojem wszystkie pozostałe długie suknie w garderobie prezentowały się zanadto ekstrawagancko, co więcej, ich właścicielka była wyższa, a to jeszcze ograniczało wybór. Zagryzła wargi - spowije się w wyszukany błękit! I tylko w duszy przeprosiła nieznaną właścicielkę wspaniałej garderoby.

Szukała dalej, odkryła parę odpowiednich do wybranego stroju niebieskich, balowych pantofelków, wprawdzie o pół numeru za dużych, mimo to dobrze trzymających się na nodze. Zadowolona z siebie, poprawiła raz jeszcze włosy i rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro. Okazało się, że więcej czasu spędziła na przygotowaniach do tej „randki” niż do roli druhny na ślubie Carla i Sary. Ale warto było! Kosmetyki o obco brzmiących, zagranicznych nazwach, o wiele delikatniejsze i subtelniejsze, różniły się wyraźnie od tych tanich, kupowanych w aptece w Keaton. Pastelowe cienie i tusz do rzęs podkreślały oprawę oczu. Choć w mocniejszym niż zazwyczaj makijażu czuła się trochę dziwnie, odrobiną różu uwydatniła kości policzkowe i teraz zdawały się wyższe i wyrazistsze. Perspektywa zobaczenia Zacka i spędzenia z nim pogodnego wieczora podziałała na nią ożywczo: w oczach pojawiły się błyski, cera się zaróżowiła. Uznała, że jeszcze nigdy nie wyglądała tak



ładnie. Pochyliła się, nałożyła na wargi odrobinę szminki - własnej! - potem cofnęła się o krok i uśmiechnęła do swego odbicia. Była gotowa. Ustali adres tego miejsca, postanowiła, wyśle czek za użyte kosmetyki i na wypranie ubrania, które pożyczyła.

Weszła do salonu. Na stole paliły się świece, na kominku wesoło trzaskały płonące polana. Przy ladzie stał Zack i otwierał butelkę szampana. Z wrażenia aż zaparło jej dech, wyglądał tak przystojnie w pożyczonym granatowym garniturze, ciasno opinającym szerokie ramiona i wspaniale kontrastującym ze śnieżnobiałą koszulą i wzorzystym krawatem. Już chciała obdarzyć go komplementem, ale żal ścisnął jej gardło - już kiedyś widziała go ubranego odświętnie, tyle że we własne rzeczy. Na myśl, co utracił, poczuła przejmujący smutek. Widziała go wtedy w telewizji, podczas uroczystości rozdawania Nagród Akademii, gdy wręczał Oscara, a potem gdy sam stawał na podium i odbierał nagrodę dla odtwórcy najlepszej roli męskiej. Tamtego wieczora miał na sobie czarny smoking, białą, plisowaną koszulę i czarną muszkę. Pomyślała wtedy, cóż to za wspaniały mężczyzna, wysoki i elegancki. Nie przypominała sobie, o czym mówił w swym przemówieniu, zapamiętała tylko, że było krótkie i dowcipne, bo cała sala wybuchnęła śmiechem, który trwał jeszcze, gdy Zack schodził ze sceny.

Łzy napłynęły jej do oczu. Co za okrucieństwo losu, pomyślała, ukrywa się jak ścigane zwierzę, nie ma nawet własnego ubrania.

Ale on nigdy nie narzekał, uświadomiła sobie, a okazane przez nią współczucie tylko by go rozzłościło. A że ten wieczór miał być odświętny i radosny, dopilnuje, by takim się okazał. By dodać sobie animuszu, wsunęła dłonie do kieszeni ukrytych w szwach sukni.

- Witaj - rzuciła wesoło.

Zack uniósł wzrok i już nie mógł oderwać od niej oczu; szampan zaczął przelewać się przez brzegi kieliszka.

- Mój Boże! - powiedział pełnym zachwytu, zachrypniętym głosem, wzrokiem błędził po jej włosach, twarzy, całym ciele. - I ty byłaś zazdrosna o Glenn Close!

Wzrok Zacka mówił wszystko. Suknia była dokładnie tym, o czym marzyła. Makijażu i fryzury też nie wybrała przypadkowo. Próbowwała rywalizować z tą piękną kobietą, którą znał, widywał na co dzień.

- Rozlewasz szampana - powiedziała cicho. Szczęście spływało na nią falami.

Syknął, odstawił butelkę i sięgnął po ścierkę.

- Zack?

- O co chodzi? - rzucił przez ramię, wyraźnie czymś przygnębiony.

- Jak ty mogłeś być zazdrosny o Patricka Swayzego?

Błysk jasnego uśmiechu informował, że Zack jest równie jak ona zadowolony z komplementu.

- Sam nie wiem - odrzekł krótko.

- Jakich piosenkarzy wybrałeś? - zapytała, gdy po kolacji, którą zjedli przy świetle świec, wkładał kompakty do odtwarzacza. - Jeżeli to Mickey Mouse, nie zamierzam z tobą tańczyć.

- Nie wykręcisz się.

- Skąd ta pewność?

- Bo lubisz tańczyć, najbardziej ze mną.

Pomimo żartobliwej wymiany słów, Julie zdawała sobie sprawę, że humor Zacka pogarszał się. Mimo że to on prosił, by potraktowali ten wieczór odświętnie, na jego twarzy coraz wyraźniej malowało się napięcie i smutek. Przekonywała samą siebie, że to rozmowa o morderstwie wprawiła go w ten dziwny nastrój. Nie chciała przyjąć do wiadomości drugiego wyjaśnienia: Zack rozważa odesłanie jej. Pragnęła z nim pozostać, ale rozumiała, że nie do niej należy ostateczna decyzja. Bo mimo że go kochała, tak do końca nie wiedziała, co on czuje, no, może poza chęcią przebywania w jej towarzystwie. W tym domu.

Za nimi, na płycie, Barbra Streisand właśnie nuciła pierwsze takty niezwykle romantycznej melodii. Gdy Zack wyciągnął do Julie ramiona, natychmiast zapomniała o wszystkich smutkach.

- To z całą pewnością nie Mickey Mouse - powiedział. - Odpowiada ci?

- Streisand to moja ulubiona piosenkarka. - Zadowolona, skinęła głową.

- Moja także. - Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

- Gdybym miała taki głos, śpiewałabym tylko po to, by móc słuchać samej siebie - rzekła Julie - słowami, które rozpraszałyby smutek. Śpiewałabym przy otwieraniu drzwi i podnoszeniu słuchawki telefonu, zawsze...

- Jest niesamowita - przyznał. - Taka skala głosu zdarza się raz na tysiąc... wyjątkowa, nieporównywalna.

Poczuła jego dłonie, wędrujące po jej nagich plecach; ujrzała, jak iskry w oczach przemieniają się w płomienie, i w niej także budziło się już pragnienie, tęsknota za słodyczą jego pieszczoty, za natarczywością pocałunku, za cudowną rozkoszą, jaką sprawiało jego ciało dążące do posiadania jej. Jakże podniecająca była świadomość, że doświadczy tego wszystkiego, zanim minie noc, że on pragnie jej równie gorąco. Ale co z jutrem, co z następnymi dniami? Walczyła z wszechobecnym strachem.

- Znałeś ją?

- Barbrę? Skinęła głową.

- Tak, kiedyś.

- Czytałam, że nie jest najprzyjemniejsza dla współpracowników. Zamyślił się na chwilę, szukając odpowiednich słów.

- Ma talent jak nikt inny. Wie, jak go spożytkować i nie lubi, gdy inni uważają się za lepiej w tej materii poinformowanych. Krótko mówiąc, nie znosi głupców.

- Lubieś ją, prawda?

- Bardzo.

Wsluchiwała się we wzruszające słowa i zastanawiała, czy Zack zwyczajem innych mężczyzn słucha tylko muzyki, a ignoruje poezję słów.

- Piękna piosenka - powiedziała, bo bardzo chciała, by słuchał też słów, gdyż czuła, jakby pochodziły z głębi jej duszy.

- Cudowna poezja - przyznał. Starał się zachować równowagę ducha, powtarzał sobie, że jego uczucia odejdą wraz z nią. Spojrzał w twarz Julie; słowa piosenki Streisand jak strzały sięgały jego serca:

*Nasze jutro ukryło się głęboko w twoich oczach...*

*W świecie miłości, głęboko w twoich oczach...*

*Jeden, dwa pocałunki, i obudzę to, co drzemie w twoich oczach...*

*Przez całe życie...*

*Lato, zimę, wiosnę, jesień...*

*Będę pamiętać moje życie, zawsze przy tobie.*

Poczuł ulgę, gdy głos Streisand zamilkł i rozległa się piosenka duetu Whitney Houston-Jermaine Jackson. Julie wybrała tę właśnie chwilę, by oderwać policzek od jego piersi i popatrzeć mu w twarz; on spojrzał jej w oczy. Usłyszał słowa piosenki, a serce ścisnął mu żal.

*Jak światło świecy w ciemną noc*

*W twych oczach połyskuje miłość.*

*Płomieniem rozświetli nam drogę,  
jaśniejszym z każdym dniem.*

*Byłam słowem bez melodii,*

*Niezanuconą piosenką*

*Wierszem bez rymu, tancerką gubiącą rytm,*

*Ale pojawiłeś się,*

*Nikt mnie tak nie kocha...*

Gdy piosenka ucichła, Julie westchnęła głęboko.

- Jaką dyscyplinę sportu najbardziej lubisz? - zapytała. Zrozumiał: banalną rozmową próbuje strząsnąć z siebie czar.

Palcami ujął ją pod brodę.

- Moje ulubione zajęcie - powiedział drżącym, ochrypłym głosem, którego sam nie rozpoznawał - to kochanie się z tobą.

Oczy Julie pociemniały miłością, której nie zamierzała już przed nim kryć.

- A twoja ulubiona potrawa?

W odpowiedzi pochylił głowę i ustami delikatnie musnął jej wargi.

- Ty. - I w tym momencie pojął, że wyrzucenie jej jutro ze swego życia będzie gorsze od szczęki więziennej bramy, zatraskującej się za nim przed pięcioma laty. By odgonić tamto wspomnienie, ciasno objął ją ramionami i zanurzył twarz we włosach. Zacisnął mocno powieki.

Na twarzy poczuł dłoń Julie, jej palce kołysły napięcie.

- Zamierzasz jutro wysłać mnie do domu, prawda? - spytała rozedrganym głosem.

- Tak - zabrzmiało krótko i ostatecznie.

Wiedziała, protesty nie na wiele się zdadzą, ale nie potrafiła powstrzymać słów:

- Nie chcę stąd odchodzić!

Uniósł głowę i choć głos miał łagodny, odezwał się tonem pełnym zdecydowania.

- Nie utrudniaj rozstania.

Czy może być trudniej, pomyślała zrozpaczona, ale zaraz opanowała się i dała porwać teraźniejszości. Poszła z nim do łóżka, gdy o to poprosił, krzywiła twarz w uśmiechu na każde jego życzenie. Sprawił, że przeżyli wspaniałe chwile, i gdy wyczerpani leżeli obok siebie - ona w objęciach jego ramion - zwróciła ku niemu twarz i wyszeptała:

- Kocham cię, kocham...

Przycisnął palce do jej ust, uciszył słowa, które chciała powtarzać bez końca.

- Nic nie mów!

Oderwała wzrok od jego twarzy i pochyliła głowę. Pragnęła, by odpowiedział jej wyznaniem, nawet gdyby nie było prawdziwe. Chciała usłyszeć z jego ust te słowa, ale nie poprosiła. Wiedziała, że odmówi.

## ROZDZIAŁ 43

Silnik blazera pracował, z rury wydechowej wydobywały się kłęby ciemnego dymu i zaraz rozplywały się w mroźnym powietrzu świtu. Stali obok samochodu.

- W prognozie pogody nie wspomniano, by miały wystąpić opady śniegu - powiedział Zack. Spojrzał w niebo, na różowawą poświatę wschodzącego słońca; na siedzeniu pasażera położył termos z kawą. Popatrzył na Julie, twarz miał spokojną. - Aż do Teksasu drogi powinny być przejezdne.

Jeszcze w nocy przedstawił scenariusz rozstania - żadnych łez, gestów rozpacz - więc starała się wyglądać na spokojną.

- Będę uważała.

- Nie śpiesz się za bardzo - przestrzegł. Podciągnął zamek jej kurtki, postawił kołnierz. Ten zwyczajny gest omal nie przyprawił jej o łzy. - Jeździsz o wiele za szybko.

- Nie będę.

- Spróbuj oddalić się stąd jak najszybciej, nim cię rozpoznają - przypomniał po raz kolejny. Wyjął z dłoni Julie okulary przeciwsłoneczne i włożył jej na nos. - Zaraz za granicą Oklahomy zatrzymaj się na pierwszym napotkanym parkingu. Przez piętnaście minut pozostań na miejscu, potem podejdź do budki telefonicznej i zadzwoń do rodziny. Federalni będą się przysłuchiwali, więc postaraj się, by twój głos brzmiał nerwowo, tak jak to potrafisz. Powiedz, że zostawiłem cię na tym parkingu, na podłodze z tyłu, z zawiązanymi oczami. Gdzieś zniknąłem, a tobie po jakimś czasie udało się uwolnić. Powiedz im, że wracasz do domu. Jak już tam dotrzesz, trzymaj się ściśle tego, co ustaliliśmy.

Już rano wrzucił do samochodu szalik, znaleziony w domu, by sprawić wrażenie, że miała zawiązane nim oczy. Julie z westchnieniem skinęła głową - nie pozostało nic więcej do zrobienia, a powiedzieli sobie już wszystko.

- Jakieś pytania? Potrząsnęła głową.

- Dobrze. No to pocałuj mnie na pożegnanie. Wspięła się na palce, zaskoczyła ją żarliwa siła jego uścisku. Ale pocałunek trwał krótko, potem Zack delikatnie, ale stanowczo odsunął ją od siebie.

- Już czas - powiedział głosem pozbawionym wyrazu.

Skinęła głową, ale nie mogła zrobić kroku. Postanowienie, by uniknąć dramatycznych scen, jakby słabło.

- Napiszesz do mnie, prawda?

- Nie.

- Przecież mógłbyś dać znać, co u ciebie - powiedziała z rozpaczą - nawet jeżeli twoje miejsce pobytu pozostanie tajemnicą. Muszę wiedzieć, czy nic ci nie grozi! Sam mówiłeś, że nie będą wiecznie kontrolować mojej korespondencji.

- Jeżeli zostanę złapany, każda stacja poda tę wiadomość. Cisza będzie oznaczała, że jestem bezpieczny.

- Ale dlaczego nie możesz do mnie napisać? - upierała się. Natychmiast pożałowała swoich słów. Twarz Zacka stała się jeszcze bardziej odległa, obca.

- Żadnych listów, Julie! Gdy już odjedziesz, to koniec. Koniec z nami! - Chociaż mówił spokojnie, bezwzględne słowa uderzyły w nią jak bicz. - Jutro rano masz zacząć swoje dawne życie od miejsca, w którym je zostawiłaś. Udawaj, że nic się nie wydarzyło, a za parę tygodni o wszystkim zapomnisz.

- Może ty tak potrafisz, ale nie ja - odpowiedziała. Nienawidziła siebie za pełen łez, błagalny ton. Potrząsnęła głową, jakby chciała zaprzeczyć własnym słowom. Stała twarzą do auta i gniewnym gestem otarła ramieniem wilgotne oczy. - Odjeżdżam, zanim zrobię z siebie jeszcze większą idiotkę - wyrzuciła z siebie zdławionym głosem.

- Przestań. - Przytrzymał ją za ramię, nie pozwalając odejść. - Nie rozstawajmy się tak. - Spojrzała w jego pozbawione wyrazu oczy i po raz pierwszy tego ranka nie była pewna, czy rzeczywiście żegna się z nią z taką łatwością, jak jej się zdawało. Przyłożył dłoń do jej policzka, potem pogładził po włosach i z powagą powiedział: - Jedynym głupstwem, jakie zrobiłaś w tym tygodniu, to nadmierne przywiązanie się do mnie. Wszystko inne - czyny, słowa- było takie... jak należy. Idealne.

Zamknęła oczy, z całych sił powstrzymywała łzy. Ujęła jego dłoń, w jej wnętrze wtuliła usta. Naśladowała jego gesty - jeszcze chwilę temu całował ją tak.

- Kocham cię tak bardzo... - szepnęła.

Wyszarpnął rękę i głosem pobrzmiwającym rozbawieniem powiedział:

- Nie kochasz mnie, Julie. Jesteś naiwna i niedoświadczona, nie potrafisz odróżnić dobrego seksu od prawdziwej miłości. A teraz bądź grzeczną dziewczynką, wracaj do domu, gdzie twoje miejsce, i zapomnij o mnie. Tego od ciebie oczekuję.

Poczuła się, jakby ją spoliczkował; zraniona duma sprawiła, że uniosła brodę.

- Masz rację - powiedziała spokojnie, z godnością. Wsiadła do auta. - Czas powrócić do rzeczywistości.

Zack patrzył, jak samochód znika za zakrętem, pomiędzy wysokimi zwałami śniegu. Po jej odjeździe pozostał na miejscu jeszcze długo i dopiero przejmujący mróz przypomniiał

mu, że stoi na dworze w lekkiej kurtce. Zranił ją, bo musiał tak uczynić, przekonywał w myślach samego siebie. Nie mógł pozwolić, by marnowała następne, drogocenne chwile swego młodego życia na kochanie go, tęsknotę, oczekiwanie. Wyszycząc jej miłość, postąpił jak należało, przyzwoicie.

Wszedł do kuchni, apatycznym gestem uniósł dzbanek z kawą, sięgnął po garnuszek do kredensu, i wtedy zobaczył na stole ten, który Julie używała dziś rano. Powoli wziął go do ręki, uniósł i przycisnął do policzka.

## ROZDZIAŁ 44

Dwie godziny po opuszczeniu górskiej kryjówki Julie zatrzymała samochód na poboczu pustej szosy i sięgnęła po termos. Gardło i oczy piekły ją od wstrzymywanych łez, w głosie szumiało. Próbowała wyrzucić z pamięci bolesne słowa, jakie rzucił na pożegnanie:

„Nie kochasz mnie, Julie. Jesteś naiwna i niedoświadczona, nie potrafisz odróżnić dobrego seksu od prawdziwej miłości. Teraz bądź grzeczną dziewczynką i wracaj do domu, gdzie twoje miejsce, i zapomnij o mnie. Tego od ciebie oczekuję”.

Drżącą ręką naląła kawy do nakrętki termosa. Tak się pożegnać! - zupełnie niepotrzebne okrucieństwo, zwłaszcza że zaraz po powrocie do domu będzie musiała stawić czoło policji i dziennikarzom. Dlaczego nie mógł zignorować jej słów albo skłamać, że też kocha, miałyby co wspominać podczas czekającej ją udręki. O ileż łatwiej byłoby znieść wszystko, gdyby wyznał miłość...

„Nie kochasz mnie, Julie... A teraz bądź grzeczną dziewczynką i wracaj do domu, gdzie twoje miejsce, i zapomnij o mnie”.

Próbowała napić się kawy, ale gorący płyn nie chciał przejść przez ściśnięte gardło; ogarniały ją dręczące myśli, czyniąc ją jeszcze bardziej zagubioną i zrozpaczoną: Zack wyśmiał jej uczucia, chociaż doskonale wiedział, że są prawdziwe. Był przekonany, że może potraktować ją, jak zechce, a ona po powrocie do domu i tak go nie zdradzi. I nie mylił się. Mimo że dotknął ją do żywego, nigdy nie przyszłaby jej do głowy myśl o rewanżu. Zbyt go kochała, by zranić, a wiara w jego niewinność i pragnienie, by mógł dojść sprawiedliwości, od wczoraj nie osłabły.

Przemykający pickup opryskał błotem bok jej samochodu i zaraz przypomniała sobie ostrzeżenie: miała odjechać możliwie najdalej bez zwracania na siebie uwagi. Znużona wyprostowała się za kierownicą, wrzuciła bieg i po upewnieniu się w lusterku, że droga wolna, ruszyła przed siebie. Jechała z prędkością sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę, pamiętając słowa Zacka, by zbyt nie spieszyć. W ich sytuacji zatrzymanie Julie za nadmierną prędkość przedwcześnie przyciągnęłoby uwagę policji.

Julie dojechała do granicy Kolorado z Oklahomą o wiele szybciej, niż pokonała tę samą trasę w przeciwną stronę, w zamieci śnieżnej. Postępując zgodnie z instrukcjami Zacka, zatrzymała się na pierwszym parkingu po stronie Oklahomy i zatelefonowała.

Telefon odebrał jej ojciec.

- Tatusiu, to ja, Julie - powiedziała. - Jestem wolna i jadę do domu.



- Dzięki Bogu! - wybuchnął. - Och, dzięki Bogu! Przez te wszystkie lata nigdy nie słyszała w głosie ojca podobnego wzburzenia i od razu odezwały się w niej wyrzuty sumienia za to, na co go naraziła. Zanim zdążyli wymienić następne słowa, wtrącił się nieznany Julie głos:

- Tu agent FBI, Ingram. Gdzie teraz pani się znajduje, panno Mathison?

- Na parkingu w Oklahomie. Jestem wolna. On... zostawił mnie w samochodzie, z kluczykami... z zawiązanymi oczami. Teraz odszedł, jestem tego pewna. Nie mam pojęcia dokąd.

- Proszę słuchać uważnie - polecił głos. - Niech pani wraca do samochodu, zamknie drzwi na klucz i natychmiast stamtąd odejdzie. Proszę oddalić się z tego miejsca. Niech pani dotrze do jakiejś bardziej ludnej okolicy i stamtąd zadzwoni do nas ponownie. Poinformujemy lokalne władze, przyjadą po panią. Teraz proszę niezwłocznie zabierać się stamtąd, panno Mathison!

- Chcę wrócić do domu! - zaprotestowała z niekłamana rozpaczą w głosie. - Chcę zobaczyć moją rodzinę! Nie będę tkwić tu, w Oklahomie, i czekać. Niemożliwe! Chciałam po prostu, by ktoś wiedział, co się ze mną dzieje.- Odwiesiła słuchawkę i ruszyła do samochodu. Nim dojedzie do domu, więcej się nie zatrzyma!

Po dwóch godzinach helikopter, który najwyraźniej penetrował teren w poszukiwaniu zmierzającej do domu zakładniczki, wypatrzył ją na ciemnej autostradzie Teksasu i zawisł nad nią. Kilka minut potem samochody patrolowe z pulsującymi czerwonymi i niebieskimi światłami jeden po drugim zaczęły wypadać na autostradę z bocznych wjazdów i ustawiały się przed nią i za nią, jakby w honorowej eskorcie. Pewnie, pomyślała nerwowo, by uniemożliwić domniemanej współpracownicy Zacka Benedicta zmianę zdania i wymknięcie się przed przesłuchaniem.

Przeraziła się. Dotarło do niej, jak wielkie siły zaangażowano w pościg. Dopiero gdy wjechała do Keaton i zbliżyła się do domu rodziców, łaskawszym okiem spojrzała na towarzyszące jej radiowozy. Mimo że była druga po północy, tłumy reporterów okupowały ogródek i ulicę przed domem, błyski fleszów wręcz ją oślepiły. Dopiero trzej teksańscy policjanci, wraz z braćmi Julie, pomogli jej się przebić przez ciżbę, umknąć przed padającymi ze wszystkich stron pytaniami.

Dwaj agenci FBI czekali wewnątrz domu, ale rodzice wysunęli się przed nich, z wyciągniętymi opiekuńczo ramionami.

- Julie... - matka powtarzała jej imię, tuliła ją do siebie, płakała i śmiała się. - Moja Julie, moja maleńka.

Ojciec przytrzymał ją w niedźwiedzim uścisku i powtarzał bez końca:

- Dzięki Bogu, dzięki Bogu...

Czuła, jak łzy przesłaniają mgłą oczy - nigdy nie zdawała sobie sprawy, że kochają ją tak bardzo. Ted i Carl ściskali ją i próbowali żartować z przygody, ale twarze mieli wynędzniałe ze zmartwienia. Łzy, z którymi walczyła od ponad dwudziestu czterech godzin, popłynęły po policzkach. W ciągu ostatnich dziesięciu lat uroniła ich najwyżej kilka - i to w czasie oglądania smutnych filmów - ale w ostatnim tygodniu wylała ich jakby ocean. Koniec z mazgajstwem, pomyślała gniewnie, raz na zawsze! Rodzinne spotkanie zostało przerwane przez jasnowłosego agenta FBI, który wysunął się naprzód i powiedział spokojnym, nie znoszącym sprzeciwu głosem:

- Przepraszam, że przeszkadzam, panno Mathison, ale czas ma teraz wielkie znaczenie, a my chcielibyśmy zadać kilka pytań wymagających jak najszybszej odpowiedzi. Jestem David Ingram, rozmawialiśmy już przez telefon.- Wskazał na wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę obok. - To agent Paul Richardson, prowadzi sprawę Benedicta.

- Chodźmy do jadalni, przy stole zmieścimy się wszyscy - wtrąciła pani Mathison. Postanowiła zastosować wypróbowane lekarstwo na zmartwienia Julie. - Przyniosę mleko, kawę i trochę ciasteczek.

- Przykro mi, pani Mathison - odparł stanowczo Paul Richardson. - Obawiam się, że tę rozmowę z pani córką musimy odbyć na osobności. O swoich przeżyciach opowie wam rano.

Julie szła do jadalni, z Tedem i Carlem, ale po usłyszeniu słów agenta zatrzymała się. Starając się pamiętać, że ci dwaj nie są jej wrogami, a tylko wykonują swoją pracę, powiedziała ze spokojną stanowczością:

- Panie Richardson, zdaję sobie sprawę, jak panu pilno do zadawania pytań, ale moja rodzina jest równie niecierpliwa, a ma do mnie więcej praw niż pan. Jeżeli pan pozwoli, chciałabym, żeby byli obecni.

- A jeżeli nie? - Jego wzrost, kolor włosów, oczu boleśnie przypominały jej Zacka, w dodatku po wyczerpującej podróży nie miała już na nic sił. Zmęczony uśmiech, którym go obdarzyła, stał się niechcący pełen intymności.

- Proszę, niech się pan zgodzi, jestem całkiem wykończona i nie mam ochoty z panem walczyć.

- No cóż, myślę, że pani rodzina może być obecna - zmiękł. Rzucił swojemu partnerowi dziwnie gniewne spojrzenie, co umknęło uwadze Julie, ale nie Teda i Carla.

- A więc dobrze, panno Mathison - przejął inicjatywę agent Ingram. - Proszę zacząć od samego początku. - Julie poczuła przyływ niepokoju, gdy na stole pojawił się magnetofon. Tylko spokój, pomyślała, przecież przewidzieli z Zackiem taką sytuację.

- Od którego miejsca? - zapytała. Z uśmiechem wdzięczności przyjęła od matki szklankę z mlekiem.

- Wiemy już, że podobno wybierała się pani do Amarillo, na spotkanie z dziadkiem jednego z uczniów - zaczął Richardson.

- Co znaczy to „podobno”? - Julie energicznie pokręciła głową.

- Nie widzę potrzeby, by tak się denerwować - uspokajającym tonem wtrącił Ingram. - Opowie nam pani, co się wydarzyło od momentu spotkania Zacharego Benedicta.

Julie oparła skrzyżowane ręce na stole i starała się opanować.

- Zatrzymałam się na kawę w restauracji przy autostradzie. Nie pamiętam nazwy, ale chyba rozpoznałabym to miejsce. Gdy wyszłam na zewnątrz, padał śnieg, a wysoki, ciemnowłosy mężczyzna stał pochylony przy moim samochodzie. Złapałam gumę, on zaproponował pomoc przy zmianie koła...

- Czy w tym momencie zauważyła pani, że jest uzbrojony?

- Gdybym zobaczyła broń, z pewnością nie zaproponowałabym mu podwiezienia.

- Jak był ubrany? - Pytania padały jedno po drugim, szybko, bez końca, godzina za godziną...

- Panno Mathison, z pewnością potrafi pani przypomnieć sobie więcej o lokalizacji domu wykorzystanego przez Benedicta na kryjówkę! - Tym razem odezwał się Paul Richardson, który dotąd przyglądał się jej jak spreparowanemu owadowi pod mikroskopem. Mówił nie znoszącym sprzeciwu tonem, którym trochę przypominał Zacka, gdy ten był rozżłoszczony. W stanie kompletnego wyczerpania, w jakim się znajdowała, brzmienie głosu agenta bardziej sprawiało jej przyjemność, niż denerwowało.

- Powiedziałam już, miałam zawiązane oczy. I proszę mówić do mnie Julie - zabiera mniej czasu niż „panno Mathison”.

- Czy w którymś momencie, podczas przebywania z Benedictem, miała pani możliwość zorientowania się, dokąd zamierza się udać?

Julie potrząsnęła głową. Już o tym mówili, pomyślała.

- Stwierdził, że im mniej wiem, tym będzie bezpieczniejszy.

- Czy próbowała pani odgadnąć jego plany? Ponownie zaprzeczyła ruchem głowy. Tęgo pytania jeszcze nie było.

- Proszę odpowiadać głośno, do mikrofonu.

- Dobrze! - powiedziała krótko. Pomyślała, że Richardson w niczym nie przypomina Zacka - jest młodszy, gładszy w zachowaniu, a nawet przystojniejszy. Tylko bez jego ciepła. - Nie pytałam go, dokąd się wybiera, bo przecież powiedział, że im mniej wiem, tym lepiej dla niego.

- A pani chce, by nic mu się nie przytrafiło, czyż nie? - Wyraźnie domagał się odpowiedzi. - Nie chcesz, Julio, by go złapano, prawda?

To była właśnie ta chwila. Richardson czekał, stukał końcem pióra o stół, a Julie patrzyła przez okna jadalni na reporterów wciąż kłębiących się na podwórku i ulicy. Poczowała się niewiarygodnie znużona.

- Już wam mówiłam, próbował uratować mi życie.

- Nie widzę, by to cokolwiek zmieniało. Jest skazany za morderstwo i porwał panią.

Poprawiła się na krześle i spojrzała na agenta z niechęcią.

- Nie uwierzę ani przez chwilę, że on kogokolwiek zabił. A teraz ja chciałabym o coś zapytać, panie Richardson. - Nie zwracała uwagi na ostrzegawczy uścisk Teda na jej kolanie, reakcję na jej wojowniczy ton. - Proszę postawić się na moim miejscu i wyobrazić sobie, teoretycznie, że wzięłam pana jako zakładnika, a panu udało się uciec. Schował się pan, ale ja jestem przekonana, że wpadł do głębokiego, lodowatego potoku. Z ukrycia obserwuje pan, jak zbiegam po zboczu i nurkuję w przeraźliwie zimnej wodzie. Szukam i szukam, wołam po imieniu, a gdy nie mogę go znaleźć, widzi pan, jak zataczając się z wyczerpania, wychodzę na brzeg i padam w śnieg. Ale nie wsiadam na śnieżny skuter, nie wracam do ciepłego domu. Rezygnuję. Rozpinam przemoczoną koszulę, by zimno zabiło mnie szybciej, i leżę z zamkniętymi oczami, pozwalając, by śnieg przykrywał mi głowę i twarz... Gdy ucichła, Richardson uniósł brwi.

- No i czego to ma dowodzić?

- Jednego - powiedziała bez ogródek. - Czy po zobaczeniu czegoś takiego wierzyłby pan dalej, że zamordowałam z zimną krwią? Czy starałby się pan wyciągnąć ode mnie informacje, które mogłyby sprawić, że zostanę zastrzelona, zanim zdołam dowieść swej niewinności?

- Czy Benedict tak właśnie zamierza postąpić? - spytał, pochylając się do przodu.

- Na jego miejscu zachowałabym się właśnie w ten sposób - wykręciła się. - A pan nie odpowiedział na moje pytanie: czy wiedząc, że próbowałam uratować mu życie, a później, gdy sądziłam, że mi się nie udało, chciałam umrzeć, miałby pan sumienie wyciągać ze mnie informacje, umożliwiające ujęcie mnie, a nawet mogące spowodować moją śmierć?

- Czułbym się zobowiązany - odparował Richardson – wypełnić swój obowiązek i sprawić, by sprawiedliwości stało się zadość, i skazany za morderstwo, do tego porywacz, otrzymał to, na co zasługuje.

Przyjrzała mu się uważnie, a potem ze spokojem powiedziała:

- W takim razie nie pozostało mi nic innego, niż mieć nadzieję, że znajdzie pan dawcę serca, bo najwyraźniej brakuje panu własnego.

- Myślę, że na dzisiaj wystarczy - wtrącił się agent Ingram, głosem równie miłym jak uśmiech. - Od wczoraj, od pani telefonu, wszyscy jesteśmy na nogach.

Mathisonowie, każde w różnym stopniu oszołomione, wstali z miejsc.

- Julie... - zaczęła pani Mathison, powstrzymując ziewnięcie - będziesz spała dzisiaj u nas, w twoim dawnym pokoju. Wy też, Carl i Ted - dodała. - Nie ma sensu jeszcze raz przedzierać się przez tłum reporterów, poza tym Julie może was potrzebować.

Agenci Ingram i Richardson mieszkali w tym samym kompleksie budynków w Dallas. Byli też przyjaciółmi i razem pracowali. Zamyśleni, w milczeniu, jechali do hotelu za miastem, w którym już od tygodnia wynajmowali pokoje. Dopiero gdy stanęli pod oknami, Ingram zdobył się na wyrażenie swej opinii, tonem rozbrajająco miłym, na który dała się nabrać Julie - była przekonana, że uwierzył w każde jej słowo.

- Ona coś ukrywa, Paul.

Richardson skrzywił się. Jego wzrok zatrzymał się na łuszczącej się farbie wymalowanej na drzwiach numeru. Potrzęsnał głową.

- Nie sądzę, jest szczerą. Chyba powiedziała wszystko.

- No to może - zauważył Ingram z sarkazmem - zaczniesz myśleć głową, a nie częścią ciała, która zadziałała natychmiast, jak tylko popatrzyły na ciebie te ogromne, niebieskie oczy.

- Co, u diabła, sugerujesz? - Paul gniewnie uniósł głowę.

- Ano to - odrzekł Ingram z niesmakiem - że odkąd tu przyjechaliśmy i zacząłeś wypytywać o nią mieszkańców, na punkcie tej kobiety dostałeś jakiejś obsesji. Za każdym razem, gdy dowiadywałeś się czegoś nowego o tych jej szlachetnych uczynkach, coraz bardziej miękłeś; ile razy porozmawiałeś z jej uczniem - jakimś kalekim dzieckiem - którego rodzice uwielbiają ją, brało cię coraz mocniej. Cholera, jak jeszcze odkryłeś, że uczy kobiety nie umiejące czytać i pisać i śpiewa w kościelnym chórze, uznałeś ją za świętą. Dzisiaj wieczorem, ile razy się połapałeś, że nie podoba się jej twój głos czy pytanie, traciłeś grunt pod nogami. Byłeś do niej przychylnie usposobiony od chwili obejrzenia jej fotografii, a teraz, po zobaczeniu oryginału, twój obiektywizm legł w gruzach.

- Wygadujesz bzdury.

- Naprawdę? No to może powiesz mi, dlaczego tak uparcie chciałeś dowiedzieć się, czy spała z Benedictem? Dwa razy powiedziała ci, że jej nie zgwałcił ani w żaden sposób nie zmuszał do uprawiania seksu, a tobie to nie wystarczyło. Dlaczego nie spytałeś wprost, czy pozwoliła mu się pieprzyć? Jezu, nie wierzyłem własnym uszom - dodał z niesmakiem - gdy poprosiłeś, by opisała pościel na jego łóżku, abyśmy poprzez jej producenta mogli namierzyć właściciela tej kryjówki!

Richardson rzucił mu pełne zażenowania spojrzenie.

- Czy było to aż tak widoczne? - zapytał. Otworzył drzwi samochodu i wysiadł. - Myślisz, że jej rodzina także to zauważyła?

Ingram też wysiadł.

- Oczywiście! - warknął. - Miła, drobnutka pani Mathison chciała ugłaskać cię swoimi ciasteczkami. Rusz głową, Paul! Julie Mathison to nie anioł, jako nieletnia była notowana...

- Ale nigdy byśmy się o tym nie dowiedzieli, gdyby kopia raportu nie została w Illinois, w urzędzie do spraw rodzin zastępczych, choć powinni byli zniszczyć ją wiele lat temu... - przerwał mu Richardson. - Co więcej, jeżeli chcesz wiedzieć prawdę o tym raporcie, o jej drobnych wykroczeniach, skontaktuj się z doktor Theresa Wilmer z Chicago, tak jak ja zrobiłem, zobaczysz wtedy, jak ci zmyje głowę. Była pewna i dalej tak uważa, że Julie jest i zawsze była uczciwa. Powiedz szczerze, Dave, czy widziałeś kiedyś takie oczy jak Julie Mathison?

- No pewnie - zabrzmiało lekceważąco. - Bambi takie ma.

- Bambi to jelonek, jego oczy są brązowe. Ona ma niebieskie - jak przezroczyste, granatowe kryształy. Moja siostrzyczka bawiła się kiedyś lalką z identycznymi oczami.

- O czym my, na Boga, rozmawiamy! - zachnął się Ingram. - Żebyś mógł siebie usłyszeć!

- Spokojnie - westchnął Paul. Przeczesał palcami czuprynę. - Jeżeli masz rację i ona pomagała Benedictowi od samego początku albo da nam powód do przypuszczeń, że ukrywa jakieś ważne informacje, osobiście odczytam, jakie przysługują jej prawa. Chyba w to nie wątpisz?

- Wiem o tym - powiedział Ingram. Włożył do zamka klucz i otworzył drzwi swojego pokoju, Richardson postąpił tak samo z drugimi. - Ale wiesz, Paul?

- Tak? - Richardson wysunął głowę zza framugi.

- Co zrobisz, jeżeli jedyną jej winą okaże się spanie z Benedictem?

- Znajdę drania i własnoręcznie zastrzelę za uwiedzenie jej.

- A jeżeli nie była z nim w żaden sposób związana, co wtedy?

Na ustach Paula powoli ukazał się uśmiech.

- Wtedy będę musiał znaleźć sobie serce, jakie spodoba się jej i załatwić transplantację. Zauważyłeś, jak patrzyła na mnie na początku? Jakby mnie znała, jakbyśmy oboje się znali. I lubili...

- Są w Dallas kobiety, które znają cię w biblijnym sensie tego słowa i lubią twojego wspaniałego, wielkiego...

- Jesteś zwyczajnie zazdrosny, bo ta seksowna blondynka, była żona brata Julie, jak się zjawia w domu Mathisonów, nawet na ciebie nie spojrzy - przerwał Richardson z drwiącą miną.

- Jak na takie małe, rozkoszne miasteczko - z niechęcią przyznał Ingram - są tu niezwykle kobiety. Tylko trudniej o przyzwoity motel.

## ROZDZIAŁ 45

- Nie mogę uwierzyć, że musimy przechodzić przez to wszystko, żeby zapewnić sobie chwilę spokoju! - zawołała zdenerwowana Julie. Późnym popołudniem siedziała obok Teda, w jego wozie patrolowym, którym, po włączeniu świateł i syreny, wystartowali niczym rakietą sprzed domu rodziców, spod przewieszzonego nad Main Street transparentu: WITAJ W DOMU, JULIE. Za nimi w gorączkowym pościgu ruszyły samochody dziennikarzy. - Jak ja będę uczyć, gdy w poniedziałek wrócę do pracy? Wczoraj, zanim zdołałam przedrzeć się, reporterzy mało mnie nie stratowali. A i potem nie miałam chwili spokoju - telefony urywały się. Flossie i Ada Eldridge z powodu tego zamieszania w ich najbliższym sąsiedztwie są w siódmym niebie. Mają zapewnioną rozrywkę przez cały dzień i temat do plotek - dodała znużonym głosem.

- Jesteś tu od dwunastu godzin, a jeszcze nie złożyłaś żadnego oświadczenia. - Ted w lusterku obserwował samochody niestrudzenie podążające za nimi.

Aż dwanaście godzin, pomyślała. Tak długo i ani jednej wolnej minuty na wspomnienie Zacka, rozpamiętywanie tych słodko-gorzkich wspólnych chwil, na odzyskanie sił, uporządkowanie myśli. Wstała wymęczona, a agenci FBI już czekali w salonie, by ją przesłuchać, i skończyli dopiero przed dwoma godzinami. Katherine zadzwoniła z propozycją, by Julie zamieszkała u niej i właśnie tam teraz jechali. I ciągle nie mogła uwolnić się od niemiłego przeczucia, że w domu jej byłej szwagierki Ted i Carl zamierzają zadać pytania, których nie śmieli postawić w obecności rodziców.

- Dlaczego nie pozbędziesz się tych reporterów? - spytała poirytowana. - Za nami ciągną się ich chyba setki, nie wierzę, by nie naruszyli jakichś przepisów.

- Burmistrz Addelson mówił, że odkąd dowiedzieli się o twoim powrocie, zjawiają się tłumnie w ratuszu. Oczekują od ciebie czegoś w rodzaju oświadczenia. W pełni korzystają ze swych uprawnień, jakie daje im pierwsza poprawka, ale, jak mi wiadomo, nie łamią żadnych przepisów.

Julie obejrzała się. Kawalkada samochodów ani na metr nie pozostawała w tyle.

- Zjedź na pobocze i ukarż ich wszystkich mandatami za przekroczenie prędkości. Jedziemy dziewięćdziesiąt mil na godzinę, więc oni robią to samo. Ted - dodała, nagle osłabła ze znużenia - nie wiem, czy uda mi się pozostać przy zdrowych zmysłach, jeżeli ludzie nie zostawią mnie w spokoju chociaż na chwilę.



- Jak zostaniesz na noc u Katherine - powiedział, obserwując w lusterku drogę - będziesz miała dość czasu na sen... po kilku pytaniach, moich i Carla.

- Jeżeli zamierzacie urządzić następne przesłuchanie - oświadczyła trzęsącym się ze zdenerwowania głosem, gdyż domyślała się, że braci nie zadowolili odpowiedzi, jakich udzieliła agentom w jadalni poprzedniej nocy - uprzedzam, beze mnie.

- Tkwisz w tym po same uszy, moja panno! - rzekł ostrym tonem, jakiego nigdy wcześniej wobec niej nie użył. - Ja i Carl wiemy o tym, Ingram i Richardson domyślają się, tylko ty zdajesz się niedoinformowana. Postanowiłem, że porozmawiamy u Katherine, bo jej dom jako jedyny w Keaton ma elektronicznie otwieraną bramę i wysokie ogrodzenie, dzięki czemu nikt nas nie podsłucha. - W chwili gdy to mówił, nacisnął mocno hamulec i gwałtownie skręcił. Samochód patrolowy w poślizgu wpadł na prowadzący do domu Cahillów podjazd; pędzili pomiędzy drzewami ku bramie, która, sterowana z domu, już się otwierała. Jadące za nimi samochody z dziennikarzami pomknęły prosto, ale Julie zbyt była wyprowadzona z równowagi słowami Teda, by poczuć ulgę. Blazer Carla stał już zaparkowany na półkolistym podjeździe przed obszerną, zbudowaną z czerwonej cegły posiadłością Cahillów. Julie chciała już wysiadać, ale Ted położył jej dłoń na ramieniu.

- Myślę, że odbędziemy część naszej rozmowy na osobności, tutaj. -Zwrócił się do niej twarzą i położył ramię na oparciu siedzenia. - Jako twój obrońca nie będę musiał powtórzyć niczego, co usłyszę. Carl nie może korzystać z tego prawa, Katherine też nie.

- Obrońca? Zdałeś końcowe egzaminy?

- Jeszcze nie dostałem zawiadomienia - odpowiedział krótko. -Przyjmujemy, że tak, a brak wiadomości potraktujemy jako nieistotny szczegół.

Ogarniający ją zimny dreszcz nie miał nic wspólnego z wyłączeniem przez Teda silnika.

- Nie potrzebuję żadnego obrońcy!

- Myślę, że w najbliższej przyszłości przyda ci się.

- Dlaczego?

- Bo wczoraj nie powiedziałaś całej prawdy. Kiepsko kłamiesz, Julie, z pewnością z braku doświadczenia. Przestań patrzeć na mnie z takim oburzeniem, próbuję tylko pomóc.

Julie, by rozgrzać dłonie, wsunęła je w kieszenie swej wykończonej barankiem kurtki i zmieszana spuściła wzrok.

- No mów - nalegał - tę część nie dla uszu FBI.

Kochała Teda tak bardzo i od tak dawna, że nie mogła znieść potępienia malującego się na jego twarzy. Ale opanowała się, uniosła brodę i spojrzała mu w oczy.

- Czy dasz mi uroczyste słowo honoru, że nikomu nie zdradzisz tego, co ode mnie usłyszysz?

Na dźwięk udręki brzmiącej w jej głosie, odchylił w tył głowę i zaklął pod nosem:

- Siedzisz w tym głębiej, niż sądziłem!

- Nie wiem, co myślałeś, Ted. mam twoje słowo, czy nie?

- Oczywiście tak! - odrzekł gwałtownie. - Dla ciebie poszedłbym do samego piekła, Carl też! Chyba nie wątpisz.

Starła się zapanować nad wzruszeniem wywołanym słowami brata. Przypomniała sobie obietnicę, że nigdy więcej nie uroni łzy, i wzięła głęboki oddech.

- Dziękuję ci!

- Nie dziękuj, tylko mów, co nakłamałaś wczoraj FBI!

- Nie miałam zawiązanych oczu. Wiem, jak trafić do tego domu w Kolorado.

Widziała, ile wysiłku kosztowało go opanowanie się, nieokazywanie, co czuł.

- Co jeszcze?

- To wszystko.

- Naprawdę?

- Więcej nie kłamałam.

- A czego nie powiedziałaś? Co pominęłaś?

- Nic, co by nie było wyłącznie moją sprawą.

- Skończ te gierki ze swoim prawnikiem! Co opuściłaś? Muszę wiedzieć, by móc cię chronić, a jeżeli okaże się to dla mnie za trudne, znaleźć doświadczonego adwokata.

- Chcesz wiedzieć, czy z nim spałam? - Znużenie Julie nagle przemieniło się w gniew.

- Bo jeżeli tak, to przestań kluczyć jak Richardson, zapytaj wprost!

- Nie czepiaj się Richardsona - równie gniewnie odpalił Ted. - Tylko on powstrzymuje Ingrama od wyrecytowania ci twoich praw. Ingram wie, że coś ukrywasz... może nawet domyślać się bardzo dużo... ale Richardson jest tobą tak olśniony, że pozwala ci się owinać wokół małego palca.

- Richardson to gbur!

- A ty zdajesz się nie zauważać wrażenia, jakie robisz na mężczyznach. Richardson jest cały spięty - zauważył Ted - zupełnie stracił dla ciebie głowę. Biedny sukinsyn!

- Dziękuję za komplement! - burknęła Julie z ironią.

- Zamierzasz ciągnąć tę niepoważną zabawę czy wreszcie się dowiem, co ukrywasz przed FBI?

- A nie przyszło ci do głowy, że mam prawo do odrobiny prywatności i szacunku...

- Jeżeli się go domagasz, to nie pieprz się ze zbiegłymi więźniami...

Julie poczuła się jak po niespodziewanym uderzeniu w żołądek.

Bez słowa wysiadła z samochodu i trzasnęła drzwiami. Sięgała właśnie do dzwonka, gdy Ted przytrzymał ją za ramię.

- Co ty sobie właściwie wyobrażasz?

- Już ci powiedziałam o tej jedynej rzeczy, o której skłamałam, i która, gdyby wyszła na jaw, mogłaby narazić mnie na konsekwencje prawne - odrzekła Julie, przyciskając guzik dzwonka. - I zaraz opowiem tobie i Carlowi o tym, co tak was intryguje. Potem nie pozostanie już do powiedzenia nic.

Drzwi otworzył Carl.

Julie bez słowa przeszła obok niego do wyłożonego terakotą przedsiionka i odwróciła się gwałtownie. Nie zauważyła Katherine, która właśnie schodziła po schodach. Wściekłym wzrokiem obrzuciła zaskoczonego Carla i z goryczą powiedziała:

- Jak mówił mi Ted, obydwaj wykombinowaliście sobie, że kłamię we wszystkim. Uważa, że jeżeli pragnę szacunku i prywatności, nie powinnam pieprzyć się ze zbiegłymi więźniami. Trudno odmówić mu racji! No więc oto cała prawda: powiedziałam FBI, że Zack pod względem fizycznym nie skrzywdził mnie, w żaden sposób, i nie skłamałam. Zaryzykował życiem, by mnie ratować, i nawet wy dwaj, mocno do niego uprzedzeni, nie dacie rady wykorzystać tego przeciwko niemu! Nie zrobił mi nic złego, nie zgwałcił. Spałam z nim i robiłabym to do końca życia, gdyby tylko zechciał! Jesteście zadowoleni? Wystarczy? Musi, bo nie mam wam nic więcej do zakomunikowania! Nie wiem, gdzie Zack teraz się podziewa ani dokąd się wybiera! I żałuję...

Carl objął ją i gniewnie popatrzył na Teda.

- Co się z tobą, u diabła, dzieje! Żeby tak wyprowadzić ją z równowagi!

Ted był do tego stopnia oszołomiony, że proszącym wzrokiem popatrzył nawet na swą byłą żonę, jakby i ją prosił o pomoc, ale Katherine tylko potrząsnęła głową.

- Ted jest niezastąpiony w doprowadzaniu do łez kobiet, które go kochają. Nie chce tego, ale nie potrafi wybaczyć nam, gdy naruszymy którąś z jego zasad. Dlatego właśnie został gliną, dlatego będzie adwokatem. Lubi, jak wszystko się kręci według ustalonego porządku - jego porządku! Julie - wzięła eks-bratową pod ramię - chodźmy do biblioteki. Jesteś wyczerpana, czego twoi bracia nie raczą zauważyć.

Mężczyźni poszli za nimi.

- Nie zamierzałem jej denerwować, powiedziałem tylko, by niczego przede mną nie ukrywała! - Ted popatrzył na Carla z rozpaczą.

- Mogłeś spróbować postąpić taktownie, a nie sprawiać, by poczuła się jak jakaś dziwka! - rzucił gniewnie Carl. Weszli do biblioteki.

Julie opadła na fotel. Zdumiona przysłuchiwała się rodzinnej kłótni, toczącej się z coraz większą intensywnością, przy znaczącym udziale Katherine.

- Jak wy dwaj macie czelność włączyć z buciarami w osobiste życie Julie, jak możecie ją osądzać?! - rzuciła gniewnie. Podeszła do mahoniowego barku i nalała wina do czterech kieliszków. - Co za okropna hipokryzja! Zawsze udawaliście przed nią świętych, ale ja i tak wiem swoje! - Wzięła kieliszek Julie i własny, pozostałe dwa zostawiła na barku. - Ted, zerwałeś ze mnie ubranie właśnie w tym pokoju, zanim jeszcze odbyliśmy naszą pierwszą oficjalną randkę, a ja dopiero co skończyłam dziewiętnaście lat!

Julie jak automat przyjęła lampkę, a tymczasem Katherine kontynuowała oskarżycielską przemowę. Wskazała ręką na obitą skórą koloru burgunda kanapę i oburzona przypomniała:

- Rozebrałeś mnie i kochałeś się ze mną na tej sofie! I jak sobie przypominam, byłeś mile zaskoczony, gdy okazało się, że jestem jeszcze dziewicą. Godzinę później znowu kochałeś się ze mną, tym razem w basenie, a potem znów w...

- Pamiętam! - warknął Ted. Podeszedł do barku i zabrał pozostałe kieliszki. Jeden wcisnął w rękę Carla. - Wydaje mi się, że zaraz będziesz tego potrzebował. - Miał rację, bo Katherine zaatakowała teraz starszego z braci:

- A tobie, Carl, bardzo daleko do świętości! Zanim się ożeniłeś, sypiałeś z...

- Wyłącz z tego moją żonę - ostrzegł pełnym napięcia głosem.

- Nie zamierzałam wymienić Sary - powiedziała Katherine z chłodną pogardą. - Myślałam o Ellen Richter i Lisie Bartlesman, w ostatniej klasie, a potem Kaye Sommerfeld, gdy miałeś dziewiętnaście lat i...

Błagalna prośba Julie sprawiła, że wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę.

- Przestańcie, proszę! - powiedziała wręcz odrętwiała z wyczerpania - przestańcie. Jak na jeden wieczór rozwialiśmy wystarczającą ilość złudzeń.

Ted uniósł kieliszek i lekko ukłonił się w stronę Katherine.

- Jak zwykle udało ci się sprawić, że wszyscy obwiniają się wzajemnie i wściekają na siebie, a ty wychodzisz na osobę bez skazy.

Niechęć zdawała się od niej odpływać.

- Tak naprawdę, to ja najbardziej mam się czego wstydzić.

- Zapewne tego, że przestałeś ze mną sypiać? - powiedział Ted ze znudzoną miną.

- Nie - odparła cicho.

- No to o co chodzi?

- Przecież znasz odpowiedź.

- Chyba nie o nasze nieudane małżeństwo - zadrwił.

- Nie, dlatego, że rozpadło się przeze mnie.

Zacisnął szczęki, nie chciał przyjąć do wiadomości tej zdumiewającej spowiedzi.

- A po jakie lichy w ogóle zjawiłaś się znowu w Keaton? – zapytał gniewnie.

Katherine podeszła do tacy z trunkami i zaczęła otwierać następną butelkę.

- Spencer twierdzi, że odczuwam podświadomą potrzebę powrotu tutaj, zanim wyjdę za niego, stawienia czoła krytyce, jaka na mnie spadła po rozpadzie mojego małżeństwa. Uważa, że to jedyny sposób na odzyskanie szacunku do siebie.

- Spencer - powiedział Ted z pogardliwą miną - to idiota.

Ku jego zdumieniu ta zbuntowana była żona roześmiała się wdzięcznie i uniosła w jego stronę kieliszek.

- Co w tym takiego śmiesznego? - zapytał.

- Spencer - zaczęła Katherine nieco niepewnie - zawsze mi ciebie przypominał...

Julie odstawiła nietknięte wino i wstała.

- Dalej będziecie musieli kłócić się beze mnie, idę do łóżka.

## ROZDZIAŁ 46

Włożyła pożyczony od Katherine szlafrok i cicho zeszła na dół. Bratową, oglądającą wieczorne wiadomości, znalazła w bibliotece. Była dziesiąta.

- Nie spodziewałam się ciebie aż do rana - powiedziała Katherine. Uśmiechnęła się i wstała. - Na wszelki wypadek zostawiłam ci kolację. Zaraz przyniosę.

- Czy podawali coś ważnego? - zapytała Julie. Nie potrafiła opanować niepokoju.

- Nic o Zacharym Benedykcie - zapewniła Katherine. - Tematem lokalnych i ogólnokrajowych wiadomości stałaś się ty, twój powrót do domu, całość i zdrowej.

Julie tylko wzruszyła ramionami, wtedy Katherine ujęła się pod boki i zażartowała:

- Masz pojęcie, jaka stałaś się sławna?

- Chciałaś powiedzieć, osławiona. - Julie wpadła w ich dawny styl przyjaznych przekomarzań. Od razu poczuła się różniej.

Katherine ruchem głowy wskazała na stertę dzienników i magazynów na stoliku z lampą, obok fotela Julie.

- Zbierałam je dla ciebie, na wypadek gdybyś przymierzała się do napisania wspomnień. Przejrzyj sobie, ja tymczasem pójdę do kuchni. A może już czytałaś?

- Przez cały tydzień nie miałam w rękach gazety. - Sięgnęła po czasopismo z samego wierzchu. Zaczęła przewracać strony. - O Boże! - wybuchnęła. Rozdzierana między gniewem i rozbawieniem, patrzyła na własną twarz na okładce „Newsweeka”, pod dramatycznym nagłówkiem: „Julie Mathison - współniczka czy zakładnik?” – Odrzuciła magazyn i wzięła się do pozostałych. Zaskoczył ją widok własnej fotografii na pierwszych stronach przynajmniej tuzina gazet o zasięgu ogólnokrajowym.

Katherine wróciła z tacą z jedzeniem i postawiła ją na stole.

- Całe miasto walczyło o twoje dobre imię. - Rzuciła okiem na okładkę „Newsweeka”. Burmistrz Addelson napisał nawet artykuł wstępny do „Keaton Crier”, przypominający wszystkim, że nieważne, co mówią o tobie gazety z wielkich miast, bo my znamy cię lepiej i wiemy, że nigdy nie związałaś się z kryminalistą jak Zachary Benedict - chyba tak właśnie napisał.

Uśmiech zniknął z twarzy Julie, gdy odkładała gazetę.

- Ale ty przecież już wiesz. Sama słyszałaś, jak powiedziałam Tedowi i Carlowi, że związałam się z nim.

- Burmistrz Addelson przez cały czas odpierał zarzuty kierowcy ciężarówki, który twierdził, że jak na zakładniczkę Benedicta byłaś zbyt radosna, ta zabawa w śniegu i tak dalej. Julie - zapytała z wahaniem - chcesz o tym ze mną porozmawiać... o nim?

Julie popatrzyła na przyjaciółkę i pomyślała o tajemnicach, jakie powierzały sobie przez te wszystkie lata. Były w podobnym wieku, bliskimi przyjaciółkami zostały niemal od pierwszej chwili po przedstawieniu ich sobie przez Teda. Po rozpadzie małżeństwa, Katherine wróciła do college'u, potem przeniosła się do Dallas. Aż do obecnej chwili wzbraniała się przed powrotem do Keaton, ale Julie, na gorącą prośbę przyjaciółki, często odwiedzała ją w Dallas. Ich przyjaźni nie zaszkodził czas ani odległość.

- Muszę z tobą o nim porozmawiać - przyznała Julie po chwili. - Może wtedy potrafię wyrzucić go z pamięci i będę mogła na nowo pomyśleć o przyszłości. - Po wyznaniu tylko i aż tyle, uniosła dłonie w bezradnym geście. - Nawet nie wiem, jak zacząć.

Katherine przycupnęła na sofie i, jakby miały nieograniczoną ilość czasu, zapytała:

- Jaki jest Zachary Benedict naprawdę?

- Jaki? - głośno rozmyślała Julie, kolana nakryła robionym na drutach wełnianym pledem. Przez chwilę błędziła wzrokiem za plecami Katherine i zastanawiała się, które cechy charakteru Zacka uznać za najistotniejsze. - Jest twardy, bardzo. Ale też łagodny. Słodycz tego, co robił i mówił, aż bolała. - Zadumana, urwała, po chwili mówiła dalej: - Przez pierwsze dwa dni serio brałam pod uwagę, że jeżeli mu się przeciwstawię, może mnie zabić. Trzeciego udało mi się uciec na znalezionym w garażu skuterze śnieżnym...

Trzy godziny później Julie kończyła opowieść. Powiedziała Katherine wszystko, no może poza opisem najintymniejszych chwil, których wprawdzie nie zamierzała ukrywać, ale też nie chciała opisywać z detalami.

Catherine słuchała z uwagą, przerywała tylko, by wyjaśnić szczegóły, śmiała się w momentach zabawnych, jak na przykład podczas opisu walki na śnieżki, zdumiewała się, słysząc o zazdrości Zacka o Patricka Swayzego, czasem marszczyła brwi - raz ze współczuciem, raz z dezaprobatą.

- Co za historia! - wykrzyknęła po skończeniu przez Julie opowieści. - Gdyby ktoś inny mi to opowiedział, nie uwierzyłabym w ani jedno słowo. Czy mówiłam ci, że miałam bzika na punkcie Zacharego Benedicta? Później myślałam o nim tylko jak o mordercy. Ale teraz... - Urwała, jakby niezdolna wyrazić słowami myśli. - Nic dziwnego, że nie możesz o nim zapomnieć, ta historia nie ma zakończenia, jest jakby zawieszona w próżni. Jeżeli on jest niewinny, to wszystko zakończy się happy endem, a prawdziwy morderca trafi do więzienia. Benedict nie może spędzić reszty życia na ucieczce, jak ścigane zwierzę.

- Niestety - powiedziała Julie ponuro - to prawdziwe życie, nie film, koniec może być właśnie taki.

- Taki finał jest beznadziejny - upierała się Katherine. - Czy powiedziałaś mi wszystko? Wczoraj wstaliście o świcie, odprowadził cię do samochodu i odjechałaś. Tylko tyle?

- Chciałabym, żeby to było „tylko tyle”. Zack chciał pożegnać się w taki sposób, wiedziałam o tym. Niestety - dodała, starając się zachować opanowany ton - okazało się, że nie potrafię trzymać się do samego końca. Nie tylko zaczęłam płakać, ale jeszcze pogorszyłam sytuację swoim wyznaniem. Nie chciał słyszeć tych słów. Gdy wyrwały mi się poprzedniego wieczora, zignorował je. Nie tylko upokorzyłam się, wyznając miłość, ale on... on... - Głos Julie załamał się ze wstydu.

- Co zrobił? - zapytała łagodnie Katherine.

Julie zmusiła się do popatrzenia na przyjaciółkę i pozbawionym emocji głosem odparła:

- Uśmiechnął się jak dorosły do rozkapryszonego dziecka i zakomunikował mi, że wcale go nie kocham, a tylko mi się tak wydaje, bo nie potrafię odróżnić miłości od seksu. Kazał mi wracać do domu i zapomnieć o sobie. I właśnie tak zamierzam postąpić.

Katherine nie kryła zdziwienia.

- Co za obrzydliwe zachowanie - powiedziała ostro - zupełnie zaskakuje w wydaniu mężczyzny, którego opisałaś.

- Też tak myślałam - przyznała ze smutkiem Julie. - Zwłaszcza że okazywał, iż mu na mnie zależy. Chwilami w jego oczach widziałam coś takiego, jakby... - Urwała z pogardą dla własnej naiwności i już gniewnie dodała: - Gdybym mogła przywrócić wczorajszy ranek i scenę pożegnania, udawałabym, że jestem bezgranicznie szczęśliwa z powodu odjazdu. Podziękowałabym mu za wspaniałą przygodę, a potem jak gdyby nic odjechałabym i zostawiła go tam, przed domem. Tak powinnam była... - Zamyśliła się. Wyobraziła sobie wymyśloną scenę, potem powoli potrząsnęła głową, jakby oświeciła ją myśl, która sprawiła, że poczuła się lepiej.- To by było idiotyczne i niewłaściwe - oświadczyła.

- Dlaczego? Zaoszczędziłabyś sobie upokorzenia - zaprotestowała Katherine.

- No tak, ale resztę życia spędziłabym na zastanawianiu się, czy on przypadkiem mnie nie kochał. Dręczyłaby mnie niepewność: może gdybyśmy wyznali sobie, jak wiele dla siebie znaczymy, przekonałabym go, by zabrał mnie ze sobą, i razem znaleźlibyśmy prawdziwego mordercę. I w końcu - mówiła spokojnym tonem - pewnie znienawidziłabym siebie za to, że nie wyznałam mu miłości, nie próbowałam dopisać innego zakończenia tej historii. Ze



świadomością, że mnie nie kochał, trudno mi się pogodzić, to boli, ale gdybym postąpiła inaczej, bolałoby jeszcze bardziej i o wiele, wiele dłużej.

Katherine popatrzyła na nią zaskoczona.

- Zadziwiasz mnie, Julie. Masz słuszość we wszystkim, co powiedziałaś. Ja, gdybym znalazła się na twoim miejscu, dopiero po latach umiałabym tak obiektywnie spojrzeć na tę sprawę. Wybaczyć, co ci zrobił, porwał, wykorzystał po tym, jak uratowałaś mu życie, a potem, gdy wyznałaś miłość, zlekceważył i odesłał do domu, wydając na pastwę FBI i mediów. Ze wszystkich bezwzględnych, brutalnych...

- Proszę, przestań - powiedziała Julie, ze śmiechem unosząc dłoń w obronnym geście - bo znowu się wścieknę i zapomnę, że mam być obiektywna. Poza tym - dodała - nie wykorzystał mnie.

- Z tego, co opowiadałaś, jest dla mnie oczywiste: uwiódł cię za pomocą tego swojego superczaru.

Julie zatrzymała wzrok na pustym palenisku kominka i potrząsnęła głową.

- Sama chciałam zostać uwiedziona, i to bardzo.

Po chwili odezwała się Katherine:

- Gdyby powiedział, że cię kocha, czy naprawdę odwróciłabyś się od rodziny, porzuciłabyś pracę, wszystko, w co wierzysz? Ukrywałabyś się razem z nim?

- Tak. - Julie popatrzyła Katherine w oczy.

- Ale zostałabyś jego współniczką, jak określają kogoś, kto przyłączy się do przestępcy!

- Nie sędzę, by żonę można było karać za lojalność wobec męża.

- Na Boga! - zdumiała się Katherine - ty mówisz poważnie, wyszłabyś za niego!

- Dla ciebie nie powinno to być takie trudne do zrozumienia - powiedziała Julie z ironią.

- O co ci chodzi? - zaperzyła się Katherine.

Julie popatrzyła na przyjaciółkę ze smutnym, wyrozumiętym uśmiechem.

- Dobrze wiesz, o co. Teraz twoja kolej na spowiedź.

- O czym?

- O waszym małżeństwie. Od roku przekonujesz mnie, że chcesz porozmawiać z Tedem i wyjaśnić pewne sprawy. A dzisiaj w ogóle nie zareagowałaś na tę jego nieprzyjemną uwagę. Dlaczego?

## ROZDZIAŁ 47

Katherine, pod przenikliwym spojrzeniem Julie, poruszyła się niespokojnie, nerwowo sięgnęła po dzbanek z herbatą i nalała letniego płynu do filiżanki. Gdy podniosła ją do ust, jej ręka lekko drżała. Julie zauważyła to.

- Nie protestowałam przeciwko sposobowi, w jaki mnie potraktował, bo nie zasłużyłam na nic innego po tym, jak zachowywałam się w czasie naszego małżeństwa.

- Inaczej myślałaś trzy lata temu, gdy występowałaś o rozwód -przypomniała Julie. - Powiedziałaś mi wtedy, że rozwodzisz się z Tedem, bo jest bezdusznym, pełnym ciągłych wymagań, nieznośnym egoistą, i jeszcze o wielu innych zarzutach.

- Trzy lata temu - zaczęła Katherine ze smutkiem - byłam zepsutą smarkulą, żoną mężczyzny, którego jedyną winą było oczekiwanie, że zachowam się jak żona, a nie niemądre dziecko. Wszyscy w Keaton, poza tobą, świetnie wiedzieli, że żaden ze mnie materiał na żonę. Zasady lojalności względem przyjaciółki nie pozwalały ci dostrzec tego, co rozgrywało się niemal pod twoim nosem, a ja nie miałam dość odwagi, nie byłam na tyle dojrzała, by przyznać się do winy. Ted szybko mnie przejrzał. Zbyt rycerski, by zniszczyć naszą przyjaźń, twoją wiarę we mnie, utrzymywał w tajemnicy, jaka jest ze mnie żona. Jedną z niewielu spraw, co do których się zgodzaliśmy, było ukrywanie przed tobą, że nam się nie układa.

- Katherine - przerwała Julie łagodnie - wciąż jeszcze go kochasz, prawda?

Całe ciało Katherine zeszywniało na dźwięk tych słów; utkwiała wzrok w olbrzymim diamencie w kształcie perły, błyszczący na palcu jej lewej ręki. Powstrzymując nerwowy śmiech, powiedziała:

- Jeszcze tydzień temu zanim twoje zniknięcie zmusiło Teda do rozmowy ze mną, odpowiedziałabym: nie.

- A teraz?

Katherine odetchnęła głęboko i spojrzała przyjaciółce w oczy.

- Tak jak to ładnie powiedziałaś o Zacharym Benedykcie, sypiałabym z twoim bratem przez resztę życia, gdyby tylko zechciał.

- Jeżeli tak właśnie czujesz - naciskała Julie - to co ma oznaczać pierścionek innego mężczyzny na twoim palcu?

- Już do mnie nie należy.

- Co takiego?

- Wczoraj zerwałam nasze zaręczyny, ale Spencer prosił, by jeszcze przez kilka tygodni nie rozgłaszać tego. Uważa, że dają się ponieść dawnym sentymentom, które odżyły, gdy znów zobaczyłam Teda.

Julie powstrzymała się od okazania radości i z uśmiechem zapytała:

- W jaki sposób zamierzasz odzyskać Teda? -I już z powagą dodała: - To nie będzie łatwe. Od rozwodu zmienił się; jest nadal przywiązany do rodziny, ale śmieje się o wiele rzadziej niż dawniej. Stał się daleki... jakby wokół niego wyrósł mur, nie do pokonania nawet przez Carla czy mnie. Sprawia wrażenie, jakby zależało mu tylko na zdaniu egzaminów prawniczych i rozpoczęciu własnej praktyki. - Zastanawiała się, jak w łagodnej formie przekazać prawdę. - On za tobą nie przepada, Katherine, czasami zdaje się wręcz cię nienawidzić - wypaliła bez ogródek.

- Też to zauważyłaś? - Katherine próbowała żartować, ale głos trochę jej drżał. - Ma ku temu powody - przyznała z powagą.

- Nie wierzę. Czasem dwojgu wspaniałych ludzi po prostu nie udaje się utrzymać małżeńskiego związku, chociaż żadne nie jest temu winne. To się nieraz zdarza.

- Gdy wreszcie zebrałam się na odwagę, by powiedzieć ci prawdę, ty próbujesz zrobić ze mnie anioła - odparła Katherine roztrzęsionym głosem. - A prawda jest taka, że rozwód nastąpił z mojej winy. Wysłałam za Teda z miłości, ale byłam taka zepsuta i niedojrzała, że nie rozumiałam, iż kochanie to również poświęcenie. To, co teraz powiem, zabrzmii dziwnie: uważałam, że mam prawo związania Teda małżeństwem ze mną, a potem do przerwy, do spędzenia kilku lat jako osoba niezależna, dopóki nie będę gotowa ustabilizować się. Już miesiąc po naszym ślubie zauważyłam - mówiła głosem pełnym pogardy dla samej siebie - że wszyscy moi przyjaciele wracają do college'u na jesienny semestr. A ja nie! Poczułam się męczennicą - dwudziestolatka, a już związana, pozbawiona radości studenckiego życia. Ted zarabiał wystarczająco dużo, by studiować i jeszcze opłacać moje czesne, wystąpił więc z najlepszą dla nas propozycją: mieliśmy sobie ułożyć zajęcia tak, by jeździć do Dallas razem. Ale mnie to nie odpowiadało. Wiesz, chciałam wrócić na Wschód i mieszkać z koleżankami, a z mężem spędzać tylko lato i ferie.

Julie walczyła z sobą, by nie okazać zaskoczenia tak dziwnym układem małżeńskim, ale Katherine była zbyt pochłonięta obwinianiem siebie, by cokolwiek zauważyć.

- Ted wskazał na niepraktyczną stronę takiego związku i dodał, że gdyby nawet chciał tak żyć, nie stać by go było na sfinansowanie mojego pobytu w Brooklinie. A więc z prośbą o pieniądze pobiegłam do tatusia, chociaż Ted wyraźnie mi tego zabronił, zapowiadał przecież, że nie weźmie centa od mojego ojca. Tatusz oczywiście powiedział Tedowi, że z

przyjemnością opłaci moje studia, ale dumny Mathison odmówił. A to wprawiło mnie w furję. Od tego dnia rewanzowałam mu się, nie interesując się zupełnie domowymi zajęciami. Przestałam gotować, nie zajmowałam się praniem. Sam robił zakupy, przygotowywał posiłki, odwoził nasze rzeczy do pralni Kealingów, więc po mieście poszła fama, jaka to ze mnie beznadziejna żona. Mimo to - ciągnęła dalej Katherine - Ted przez cały czas nie tracił nadziei, że się opamiętam i zacznę zachowywać jak dorosła kobieta, a nie smarkula. Wiesz, czuł wyrzuty sumienia - Katherine popatrzyła w oczy Julie - że ożenił się ze mną, chociaż byłam taka młoda i nie miałam okazji poznać życia naprawdę. W każdym razie, jedynym małżeńskim obowiązkiem, który wypełniałam przez cały pierwszy rok naszego związku, było kochanie się, co - dodała z miłym uśmiechem - z twoim bratem nie było znowu takie straszne.

Katherine przerwała i milczała tak długo, że Julie sądziła, iż wyznanie dobiegło końca. Ale była bratowa po głębokim westchnięciu mówiła dalej:

- Po jakimś czasie tatuś, który wiedział, jaka jestem nieszczęśliwa, bo bez przerwy wysłuchiwał moich narzekań, wpadł na doskonały, jego zdaniem, pomysł: własny, wspaniały dom uczyni ze mnie szczęśliwą żonę. Byłam taka dziecinna! Własny dom, z basenem i kortem tenisowym wydawał mi się najlepszym lekarstwem na wszelkie kłopoty. Ale tatuś martwił się, gdyż Ted zdawał się nieprzejednany w kwestii przyjęcia od niego jakiegokolwiek pomocy. Ja natomiast, idiotka, wierzyłam, że jeżeli postawimy Teda przed faktem dokonanym, nie pozostanie mu nic innego niż zaakceptowanie naszego pomysłu. A więc tatuś kupił ziemię na Wilson's Ridge. Potajemnie spotykaliśmy się z architektem, opracowując plany wymarzonego domu. Wszystko było moje, zastanawiałam się nad każdym szczegółem, każdą szafką, każdym kredensem. Zaczęłam nawet gotować Tedowi i zajmować się praniem; on wyobrażał sobie, że w końcu zdecydowałam się zostać prawdziwą żoną. Widział moją radość - cieszył się, choć nie znał przyczyny. Sądził, że dom rodzice budują dla siebie, by mieć coś skromniejszego, a ja nie wyprowadzałam go z błędu. Zresztą tak myśleli wszyscy w Keaton.

Tym razem Julie nie zdołała ukryć zaskoczenia. Przy Wilson's Ridge wznosił się olbrzymi, wspaniały dom, z basenem i kortami.

- To prawda - powiedziała Katherine, obserwując, jakie wywarła wrażenie. - Dom, w którym mieszkają doktorostwo Delorik, miał być mój.

- I co się stało? - zapytała Julie.

- Gdy dom był już na ukończeniu, zawieźliśmy tam Teda i tatuś wręczył mu klucz. - Katherine przeszedł dreszcz na wspomnienie tamtego dnia. - Jak możesz przypuszczać, Ted

wpadł we wściekłość. Złościł się z powodu całej tej tajemnicy, oszukiwania go, z powodu niedotrzymania przeze mnie słowa, przed ślubem obiecywałam przecież, że w zupełności wystarczą mi jego pobory. Powiedział mojemu ojcu, zresztą całkiem uprzejmie, żeby poszukał kogoś, kogo stać będzie na utrzymanie posiadłości, i zostawił nas tam, przed bramą.

Ponieważ zdarzyło się to zaledwie kilka miesięcy przed początkiem procesu rozwodowego, Julie przypuszczała, że odmowa Teda przyjęcia tak hojnego daru stanowiła ostatni cios zadany ich małżeństwu.

- I pewnie ta sprawa - wtrąciła - wywołała dalsze kłótnie i w rezultacie rozpad waszego związku.

- Jeszcze nie, z powodu tej sprawy wyгнаłam Teda z mojego łóżka, ale i tak było już za późno.

- Co masz na myśli?

Katherine zagryzła wargi i opuściła głowę. Gdy znów się odezwała, głos jej drżał.

- Kilka dni później wydarzyło się coś, po czym Ted i ja rozstaliśmy się na dobre: miałam paskudny upadek podczas konnej przejażdżki, pamiętasz?

- Naturalnie - powiedziała Julie - złamałaś rękę.

- I serce mojego męża. Zniszczyłam także nasze małżeństwo.

Wzięła głęboki oddech i zwróciła twarz ku Julie. Jej oczy przykryła mgła łez.

- Byłam w ciąży, Julie, od dwóch miesięcy. Dowiedziałam się już po tym, jak Ted nie przyjął klucza do naszego domu. Strasznie się rozziłościłam, bo znajdował się tam cudowny pokój dziecienny, a jeszcze bardziej, bo wiedziałam: Ted dostanie coś, czego gorąco pragnie - dziecko. Następnego dnia jeździłam konno, nie był to tylko spacer, mimo że Ted prosił, bym tego nie robiła. Galopowałam wzdłuż potoku, przeskakiwałam płoty i koń mnie zrzucił... Przerwała, ból ścisnął jej gardło.

- I straciłaś dziecko - dokończyła Julie.

Katherine skinęła głową.

- Ted był nie tylko zrozpaczony, ale i... wściekły. Myślał, że wszystko zrobiłam specjalnie, by poronić, i trudno mu się dziwić, bo miał świeżo przed oczami, co wyprawiałam po dowiedzeniu się, że jestem w ciąży. A najzabawniejsze - głos Katherine się załamał - że to jedyna okropna sprawa w naszym małżeństwie, za którą nie ponoszę winy, a przynajmniej umyślnej. Zawsze jeździłam jak wariatka, gdy coś mnie dręczyło, i zawsze potem dochodziłam do siebie. Tego dnia, gdy wyprowadzałam ze stajni Groma, nie przyszło mi nawet do głowy, że ryzykuję życie dziecka. Od wielu lat skakałam przez przeszkody, a z tym koniem nigdy nie miałam najmniejszego kłopotu. Niestety, tego dnia, o czym nie wiedziałam,

nastawiano mu zwichnięcie i był jeszcze obolały. Widzisz - dodała drżącym głosem - Grom zrobiłby dla mnie wszystko. Ani przez chwilę nie okazywał, że go boli przednia noga, dopiero gdy przeskakiwaliśmy przez ostatni płot, zawiódł. Znalazłam się na ziemi, trochę przyciśnięta jego brzuchem. Tatus i ja próbowaliśmy wytłumaczyć Tedowi, co się stało, ale on nie chciał nam uwierzyć. Po tym, jak oszukaliśmy go w sprawie domu, czego można było się spodziewać? Zresztą czy rozsądna kobieta, godna miana żony, ryzykowałaby życie swojego dziecka? - W głosie Katherine brzmiał wstyd i hamowany płacz. - To nie ja postanowiłam się rozwieść, Julie. Gdy wróciłam ze szpitala do domu, jego walizki już stały spakowane. Do końca zachował się jak dżentelmen - dodała ze smutnym uśmiechem. - Miał złamane serce, był rozczarowany i wściekły, ale pozwolił, bym to ja się z nim rozwiodła. I nigdy nikomu nie wspomniał o dziecku, które - Ted wciąż w to wierzy - miałam utracić specjalnie. Tego dnia, gdy zobaczyłam w holu jego bagaże i uświadomiłam sobie, co tracę, w jednej chwili dorosłam. Ale było już za późno. Resztę znasz. Wróciłam na Wschód, do college'u, i zrobiłam dyplom, potem podjęłam pracę w muzeum w Dallas.

Julie wstała. Szybkim krokiem przeszła przez hol do łazienki i wróciła z garścią papierowych chusteczek.

- Myślałam - Katherine sięgnęła po chusteczkę i otarła oczy - że poszłaś na górę spakować się i odejdziesz, nie mogąc znieść mojej obecności.

Julie przytuliła ją mocno i szepnęła:

- Wciąż jesteś moją najlepszą przyjaciółką. - Potem wypuściła Katherine z objęć, przeszła na drugi koniec kanapy i sama wytarła nos.

Po kilku minutach dziewczęta patrzyły na siebie z zażenowanymi uśmiechami na twarzy i wycierały z kącików oczu pozostałość łez.

- Zdrowo narozrabialiśmy! - odezwała się Julie.

Katherine wytarła nos.

- Za słabo powiedziane! - Z niepewną miną dodała: - Myślę, że nam obu dobrze zrobiłyby dwa tygodnie w domu moich rodziców, w St. Barts. Mogłabyś wytłumaczyć się wyczerpaniem po przeżytej przygodzie i poprosić pana Duncana o krótki urlop. Będziemy pławić się w słońcu, zapomnimy o mężczyznach. Co o tym myślisz?

Julie podciągnęła kolana pod brodę.

- Według mnie, jeżeli chcesz odzyskać Teda, lepiej będzie, jak zostaniesz tutaj, dopóki nie jest za późno. Spotyka się często z Grace Halvers. Wiedziałaś o tym?

Katherine skinęła głową, jakże by mogła zapomnieć o rudowłosej piękności.

- Dowiedziałam się od pana Kealinga, jak w zeszłym tygodniu, po awarii pralki u rodziców, odwoziłam do niego bieliznę. Wiesz, co powiedział? - Julie pokręciła przecząco głową. - Spojrzał na mnie, jak bym była jakimś niedorozwiniętym dzieckiem i zapytał: Ilu mężów potrzebujesz, by nauczyć się używać pralki? Założę się, że Grace Halvers nie każe Tedowi zajmować się ani praniem, ani zakupami, ani gotowaniem, oczywiście, jeżeli go złapie. Sue Ellen też nie, jeżeli wygra rywalizację z Grace.

Julie skrzywiła się i potrzęsnęła głową.

- Mimo tego, co powiedziałam przed chwilą o Tedzie i Grace, nie wydaje mi się, by on jeszcze chciał się ożenić.

Słowa Julie, zamiast podnieść Katherine na duchu, obudziły w niej jeszcze większe wyrzuty sumienia.

- Ted powinien mieć żonę, nawet jeżeli nie będę to ja. Był takim seksownym, czułym mężem, o jakim większość kobiet może tylko pomarzyć. Ktoś taki musi ożenić się jeszcze raz. Nie da sobą manipulować, nie można go zdominować, co doprowadzało mnie do szaleństwa, gdy byłam młodsza, ale był też niewiarygodnie łagodny, i w tych nielicznych przypadkach, gdy miałam dość rozsądku, by prosić, zamiast żądać, dawał się lepić jak wosk, pozwalał na wszystko. - Wyglądała na zdziwioną, jakby własne odkrycie zaskoczyło ją. - W wielu sprawach zupełnie nie zgadzaliśmy się ze sobą. Ale przecież zakochaliśmy się od pierwszego wejrzenia.

- To coś między wami nadal istnieje. Obserwowałam was dziś wieczorem i spokojnie mogę powiedzieć, że wciąż stanowicie piorunującą mieszankę. - Julie starała się żartem pocieszyć przyjaciółkę. - Biedny Carl - prychnęła - wyglądał, jakby chciał skryć się w mysiej norze, jak wy dwoje zaczęliście starcie słowne, I wiesz co? - dodała poważnie. - Jeśli Ted tak mocno na ciebie reaguje, choćby w negatywnym sensie, musi do ciebie jeszcze coś czuć.

- O tak, pogardę - westchnęła Katherine. Potem ze smutkiem dodała: - Jeżeli nawet nic mi się z Tedem nie uda, zanim zrezygnuję i wrócę do Dallas, muszę zdobyć jego przebaczenie. Nie wiem, jak to sprawię, bo unika mnie jak zarazy.

Julie uśmiechnęła się z miną spiskowca. Wstała i zaczęła zbierać na tacę talerze.

- W tym względzie chyba będę mogła coś zrobić. Pomogłabyś mi w szkole, przy nadprogramowych zajęciach sportowych z kalekami dziećmi? Potrzebuję ochotników, którzy bez szemrania znosiliby potrącanie przez fotele na kółkach i ciągłe potykanie się o kule.

- To niezupełnie zgodne z moim dyplomem z nauk humanistycznych, ale brzmi zachęcająco - zażartowała Katherine. Wzięła tacę i poszła za Julie do kuchni. - Przyjmuję ofertę na pomysł na przeszkodzenie Tedowi w unikaniu mnie?

- Właśnie go przedstawiłam. Ted pracuje z tymi dziećmiakami dwa razy w tygodniu, czasem częściej. I jeszcze mogłabym wykorzystać twoją wiedzę przy uczeniu moich pań czytania. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie daje to zadowolenie.

W olbrzymiej kuchni Julie postawiła tacę na obitej nierdzewną stalą ladzie, potem rozejrzała się po rozmaitych urządzeniach, wykorzystywanych zapewne podczas słynnych przyjęć wydawanych przez starszych Cahillów. Zajęta, nie zauważyła, że Katherine stoi tuż za nią.

- Julie? - usłyszała swoje imię wypowiedziane prawie szeptem. Odwróciła się i znalazła w serdecznym uścisku. - Tak bardzo za tobą tęskniłam - szepnęła Katherine, przytulając ją mocniej. - Dziękuję ci za podtrzymywanie naszej przyjaźni, za listy, telefony, za wizyty w Dallas. Tak bardzo chciałam wyznać ci prawdę o moim małżeństwie z Tedem, ale za każdym razem rezygnowałam, bo bałam się, że mnie znienawidzisz.

- Nigdy bym nie potrafiła - powiedziała Julie i uściśniła przyjaciółkę.

- Jesteś najlepszą, najśłodszą osobą, jaką kiedykolwiek znałam.

- Żebyś wiedziała! - Julie odsunęła się i żartobliwie uniosła wzrok.

- A jesteś - upierała się Katherine. - Kiedyś pragnęłam stać się taka jak ty.

- Masz szczęście, że ci się nie udało. - Julie pomyślała o Zacku i jej twarz spoważniała. - Gdyby twoje marzenia ziściły się, wypaliłabyś dzisiaj wieczorem, jak bardzo kochasz Teda, a wtedy on podeptałby twoje serce i z pełną elegancją odesłał cię do domu. - Katherine chciała jakoś pocieszyć przyjaciółkę, jednak Julie, niebezpiecznie bliska łez, powstrzymała ją. - Za kilka dni mi przejdzie. Teraz jestem zmęczona i całkiem rozbita, ale niedługo zapomnę o nim i wszystko będzie jak dawniej, zobaczysz. Na dzisiaj dajmy już spokój tym niewesołym rozważaniom.



## ROZDZIAŁ 48

Katherine wsunęła do piekarnika blachę pełną drożdżowych ciasteczek. Zdziwiona popatrzyła na umieszczony na kuchennej ścianie sygnalizator domofonu z bramy wjazdowej, który ani na chwilę nie przestawał dzwonić. Wytarła ręce w ścierkę i przycisnęła guzik.

- Tak?

- Czy panna Cahill? Złośliwie zignorowała pytanie.

- Kto to?

- Paul Richardson - rozległ się zniecierpliwiony męski głos. - Czy Julie Mathison jest u pani?

- Panie Richardson - odrzekła niechętnie - jest siódma trzydzieści rano! Julie i ja wciąż mamy na sobie szlafroki. Proszę odejść i wrócić o bardziej cywilizowanej porze, powiedzmy o jedenastej. Myślałam, że FBI uczy swoich agentów lepszych manier - dodała. Zdumiona patrzyła na głośnik domofonu, bo wydawało jej się, że dobiega z niego stłumione parsknięcie śmiechu.

- Mniejsza o maniery, nalegam na rychłe spotkanie z Jul... panną Mathison.

- A jeżeli nie otworzę? - upierała się Katherine.

- Obawiam się, że w takim przypadku będę musiał przestrzelić zamek moim niezawodnym, służbowym rewolwerem - zażartował.

- W takim razie - odparowała Katherine i z irytacją nacisnęła przycisk zwalniający bramę - lepiej niech pan trzyma rewolwer gotowy do strzału, bo jak się pan tu pojawi, znajdzie się pod lufami dwu strzelb z arsenału mojego ojca.

Uprowadzając ewentualną odpowiedź, puściła przycisk i pośpiesznie poszła holem do biblioteki, gdzie Julie, skulona na fotelu, oglądała poranne wiadomości. Na ekranie ukazała się podobizna Zacka Benedicta. Wyraz czułości i tęsknoty na twarzy Julie sprawił, że serce Katherine ścisnęło się boleśnie.

- Czy nic mu się nie stało? - zapytała.

- Nie mają najmniejszego pojęcia, gdzie go szukać - oświadczyła Julie z nieskrywaną radością. Potem, już chłodniej, dodała: - Nie wiedzą także, co sądzić o mnie, czy nadal podejrzewać o współudział. Próbują stworzyć wrażenie, że dla FBI moje milczenie oznacza przyznanie się do winy. Mogę ci pomóc przy omletach?

- Oczywiście - powiedziała Katherine pogodnie - ale mamy nieproszonego gościa, zapewne zechce dołączyć do nas przy śniadaniu. Dla takiego prostaka nie musimy się

wysilać, stroić i szczotkować włosów - dorzuciła, gdy Julie z powątpiewaniem popatrzyła na jej długi, zielony szlafrok.

- Kto to?

- Paul Richardson. A przy okazji - myśli o tobie jako o „Julie”. Wyrwało mu się, co zaraz próbował zatuszować sakramentalnym „panna Mathison”.

Długa rozmowa poprzedniego wieczora i sen przywróciły Julie zwykłą pogodę ducha.

- Dobrze przynajmniej, że jeszcze nie wyobraża mnie sobie z numerem na piersi - ząrtowała na dźwięk dzwonka. - Otworzę. – Wstała i mocniej zawiązała pasek szlafroka.

Bez dalszych ceremonii otworzyła drzwi. Zaskoczona cofnęła się, bo Paul Richardson podniósł ręce i zabawnym dyszkantem wyszeptał:

- Proszę nie strzelać.

- Wyśmienity pomysł! - Zagryzła usta, by się nie roześmiać. - Mogę pożyczyć pański rewolwer?

Uśmiechnął się. Obrzucił spojrzeniem jej lśniące, spadające na ramiona kasztanowe włosy, zauważył błyszczące oczy i serdeczny uśmiech.

- Noc odpoczynku w spokoju świetnie pani zrobiła - zauważył. Potem uniósł brwi i stanowczym tonem powiedział: - Proszę nie wymyślać następnego zniknięcia. Przez cały czas muszę wiedzieć, gdzie się pani się znajduje!

Telewizyjne wiadomości podniosły ją na duchu - Zack wciąż jest bezpieczny, to najważniejsze. Reprimendę przyjęła bez słowa protestu.

- Przyszedł mnie pan pouczać czy aresztować? - zapytała pogodnie. Nie miała wątpliwości, przy doskonałym humorze agenta mogło chodzić tylko o to pierwsze. Odwróciła się i poprowadziła go przez hol.

- A naruszyła pani jakieś przepisy prawa? - odparował. Weszli do kuchni.

- Zamierza pan zostać na śniadaniu? - wykręciła się od odpowiedzi Podeszła do stojącej pośrodku kralnicy.

Paul Richardson patrzył to na Katherine, rozbijającą do miski jajka, to na Julie, która z nożem w ręce zabierała się do krojenia zielonej papryki. Obie kobiety, choć nieumalowane, w szlafrokach i piżamach, jeszcze nieuczesane, wyglądały ślicznie, niewinnie i niesłychanie powabnie.

- Jestem zaproszony? - zapytał z uśmiechem.

Julie spojrzała na niego. Wielkie, ciemnoniebieskie oczy patrzyły z intensywnością, jakby chciały przebić się przez powłokę cielesną i zajrzeć w głąb duszy. I nagle pożałowała, że nie ma w nim więcej dobroci i łagodności.

- A chce pan zostać zaproszony?

- Tak!

Po raz pierwszy uśmiechnęła się do niego szczerze, bez wewnętrznego napięcia, i tak promiennie! Serce zabiło żywiej w jego piersi.

- W takim razie proszę usiąść przy stole, a my przygotujemy specjalność zakładu, omlet. Wspólnie nie robiłyśmy ich już przeszło rok, więc proszę nie oczekiwać zbyt wiele.

Richardson zdjął marynarkę i krawat, odpiął górny guzik koszuli i usiadł przy stole. Julie postawiła przed nim filiżankę kawy i wróciła do poprzedniego zajęcia. W milczeniu obserwował dziewczęta, przysłuchiwał się ich żartobliwym przekomarzaniom. Czuł się jak w królestwie spokoju, rządzonego przez piękne wróżki z fryzurami w nieładzie, w długich szlafrokach o pastelowych kolorach.

Uroda Katherine Cahill zapierała dech, ale to Julie Mathison, tylko ładna, jak magnes przyciągała jego spojrzenie. Patrzył, jak wpadające przez okno promienie słońca rozświetlają jej włosy, poddawał się urokowi uśmiechu, podziwiał delikatną cerę, zdumiewającą bujność wywijających się w górę rzęs.

- Panie Richardson? - odezwała się cicho. Podniosła wzrok znad krojonego na drobne kawałeczki ząbka czosnku.

- Proszę mówić do mnie Paul.

- Paul - poprawiła się. Jej głos brzmi uroczo, pomyślał.

- Tak?

- Dlaczego się we mnie tak wpatrujesz? Zmieszał się i wypowiedział pierwszą myśl, jaka przyszła mu do głowy.

- Zastanawiałem się, co kroisz. - Patrzył na niewielką, białą kostkę, która, jak się teraz zorientował, była okrojonym ząbkiem czosnku.

- O to ci chodzi? - zapytała. Uniosła głowę i rzuciła mu rozbawione spojrzenie, po którym poczuł się jak uczeń przyłapany na oczywistym kłamstwie.

- Tak - zablefował. - Właśnie, co to jest?

- To cykuta - padła pełna słodocy odpowiedzi.

- Dziękować Bogu, bo obawiałem się, że to zwykły czosnek. Jej śmiech zabrzmiał jak muzyka, a gdy ucichł, popatrzyli na siebie z życzliwością.

- Masz piękny uśmiech - powiedział cicho.

Spojrzała na niego spod gęstych rzęs i zażartowała:

- Chociaż tym jednym powinnam odróżniać się od ponurych gęb przestępców z rejestru FBI, nie sądzisz?

Uśmiech zamarł na twarzy Paula.

- Czy Benedict kontaktował się z tobą? To dlatego wymknęłaś mi się wczoraj i przyjechałaś tutaj? Dlatego dzisiaj rano dwa razy wspomniałaś o możliwości aresztowania cię?

- Masz zbyt bujną wyobraźnię. - Popatrzyła na niego i roześmiała się.

- Do cholery! - Zanim uprzytomnił sobie, co robi, wstał i zaczął iść w jej stronę. - Nie baw się ze mną w kotka i myszkę, Julie! Jak zadaję pytanie, oczekuję odpowiedzi. - Spojrzał przez ramię na Katherine. - Czy mogłabyś zostawić nas samych? - warknął.

- Oczywiście. Czyżbyś naprawdę wierzył, że Julie pomagała temu człowiekowi w ucieczce z więzienia? - spytała oburzona.

- Nie - rzucił ostro - chyba że da mi powód, bym sądził inaczej. Ale nie jestem do końca przekonany, czy nie chroniłaby Benedicta przed nami, gdyby pojawiła się taka możliwość.

- Chyba nie aresztujesz jej za coś, czego jeszcze nie zrobiła! - nie ustępowała Katherine.

- Nie mam zamiaru jej aresztować! Co więcej, uczyniłem wszystko, co w mojej mocy, by nikomu innemu nie przyszło to do głowy.

Na głos Julie odwrócił się. W jej pytaniu usłyszał wdzięczność i zaskoczenie.

- Naprawdę to zrobiłeś?

Paul zawahał się, czuł, że na widok tych oczu opuszcza go złość, potem skinął głową.

- Tak.

Przez chwilę pławił się w ciepłe jej uśmiechu. Potem Julie zwróciła się do Katherine:

- Odwołujemy cykutę! - Paul nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

Jeszcze nigdy nie jadłem śniadania w tak przyjemnej atmosferze, pomyślał. Pełen błógiego zadowolenia wstał, nalał sobie do filiżanki kawy, a w tym czasie Julie i Katherine wkładały naczynia do zmywarki. Jakże niezwykle miłe chwile, myślał, i doskonale wiedział, dlaczego tak się czuł. Jak odkrył, ku swemu zachwytowi, Julie Mathison, gdy wreszcie uznała, że kogoś lubi, hojnie obdarowywała taką osobę uczuciem bezwarunkowej przyjaźni. Od chwili gdy dowiedziała się, że czynił, co mógł, by nie została aresztowana, traktowała go z serdecznością, uśmiechała się, gdy powiedział coś wesołego, a gdy stawał się oficjalny i zaczynał zachowywać jak typowy agent FBI, obracała jego słowa w żart. I jeszcze sprawiła mu dużą przyjemność pytaniem o radę.

- Wczoraj - wyjaśniała - rozmawiałam z dyrektorem naszej szkoły, panem Duncanem. Zgodził się, bym jutro wróciła do pracy, ale tylko pod warunkiem, że starający się mnie

dopaść dziennikarze nie zakłóca lekcji. Katherine uważa, że jedynym sposobem, by temu zapobiec i pozbyć się ich raz na zawsze, jest zwołanie wszystkich i złożenie przeze mnie szczegółowego sprawozdania z tego, co się wydarzyło, a potem udzielenia wyczerpujących odpowiedzi na ich pytania. Co o tym myślisz?

- Ma absolutną rację. Między innymi to właśnie chciałem zasugerować, zjawiając się tu dzisiaj rano.

Wyprowadzona z równowagi perspektywą tłumaczenia się przed kimkolwiek, Julie otworzyła szafkę i wstawiła do niej omlet.

- Nawet nie wiesz, jak mnie mierzi, że tłum obcych uzurpuje sobie prawo do wypytywania mnie o sprawy, które nie mają z nimi nic wspólnego.

- Potrafię to zrozumieć, ale masz do wyboru tylko dwie możliwości: albo teraz, na własnych warunkach, ułożysz się z prasą, albo pozwolisz, by drukowali o tobie zmyślane i krzywdzące informacje, i jeszcze próbowali dopaść na każdym kroku.

- Dobrze, zrobię tak, ale chyba wolałabym stanąć przed plutonem egzekucyjnym. - Julie westchnęła.

- Chciałabyś, bym ci pomógł?

- Zrobiłbyś to dla mnie?

Czyby to dla niej zrobił? - pomyślał z ironią. Dla niej uczyniłby znacznie więcej; pokonałby smoka... złapał lwa za grzywę... przeniósł górę. Na Boga... nawet wytarłby patelnię!

- Choćby dlatego, że to właśnie obecność FBI sprowokowała najazd prasy - podszedł do zlewu ze ścierką w ręce - powinienem tak postąpić.

- Nie wiem, jak ci dziękować - powiedziała Julie z prostotą. Starła się nie myśleć, jak bardzo przypominał Zacka, tego w dobrym humorze, pełnego uroku.

- Może podziękujesz mi dotrzymaniem towarzystwa w środę przy kolacji?

- W środę? - wykrzyknęła przerażona. - To wtedy jeszcze tu będziecie?

Smok, którego zamierzał zabić, uniósł łeb i ugryzł go w tyłek, lew zaniósł się rechetem nad jego głupotą, góra wynurzyła się ogromna i nie do ruszenia.

- Postaraj się nie okazywać aż takiego entuzjazmu - odparł zgryźliwie.

- Źle mnie zrozumiałeś - wyjaśniła przepaszającym tonem, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Naprawdę. Tylko nie znoś, jak ktoś mnie śledzi i indaguje, nawet ty.

- A czy przyszło ci do głowy, że Benedict może przybyć tu za tobą, zagrozić ci? - Pod wpływem szczerych przeprosin, jeszcze bardziej serdecznego gestu, topniał w oczach. - Benedict to morderca, a jak sama przyznałaś, nie sprawiałaś mu żadnych kłopotów po tym,

jak próbował uratować ci życie. A jeżeli zateśkni za twoim towarzystwem, za miłym poczuciem bezpieczeństwa, jakie zapewniałaś mu jako zakładniczka? A może uzna, że nie jesteś wobec niego lojalna i postanowi się zemścić, jak na swojej żonie?

- A może patelnia, którą wycierasz, postanowi zmienić się w lustro i zawiśnie na ścianie? - odparowała Julie. Pokręciła głową na sugestie, które najwyraźniej uważała za absurdalne.

W tej chwili Paul gorąco pragnął, by Benedict przyspieszył tempa i uczynił jakiś krok przeciwko Julie. Wtedy uratowałby ją przed tym draniem i za jednym zamachem udowodniłby, że miał rację. Nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego intuicja z uporem podpowiadała mu, że Benedict zjawi się tutaj po nią. Albo przynajmniej spróbuje się z nią skontaktować. Niestety! Dave Ingram zupełnie nie podzielał tej opinii i, ku zażenowaniu Paula, o jego przeczuciach wyrażał się pogardliwie: własne zauroczenie osobą Julie każe mu wierzyć, że to samo przytrafiło się Benedictowi.

- No to co będzie z tą naszą środową kolacją? - zapytał. Sięgnął po drewniane kopystki i łyżki i je także wytarł do sucha.

- Nie mogę - powiedziała Julie. - W środowe i piątkowe wieczory uczę czytania dorosłych.

- W porządku, to może w czwartek?

- Byłoby miło - zgodziła się. Starła się odegnać nieprzyjemną myśl, że FBI tak długo zamierza sprawować nad nią kuratelę. - Czy mogę zabrać ze sobą Katherine?

- Dlaczego?

- Zaczynam czuć się tu osobą wysoce niepożądaną - od drzwi, ze śmiechem zauważyła Katherine.

Paul przechylił głowę i zamknął oczy. Na poczekaniu starał się wymyślić wytłumaczenie swego braku taktu.

- Zazwyczaj nie zachowuję się tak prostacko. Wiem, że jeżeli pojawisz się ty, Katherine, Dave Ingram będzie nalegał, byśmy spędzili wieczór we czworo, a nie mam specjalnej ochoty na jego towarzystwo. - Otworzył oczy i ujrzał rozbawione twarze obydwu kobiet, najwyraźniej ucieszonych jego konsternacją.

- Chyba mu wybaczymy - powiedziała Katherine.

- Też tak uważam - przystała Julie. Paul już dziękował Bogu za naiwność dziewcząt, gdy Katherine bez ogródek dodała:

- Kłamie jak z nut.

- Oczywiście - zgodziła się Julie i popatrzyła na niego z wszytkowiedzącym uśmiechem.

- A co do konferencji prasowej - Katherine z powagą zwróciła się do Paula o radę - gdzie ma się odbyć i kogo należy zaprosić?

- Który z budynków w okolicy pomieści największe tłumy? - spytał rzeczowym tonem.

- Szkoła średnia, aula - odpowiedziała Julie.

Po krótkiej wymianie zdań postanowili, że spotkanie z dziennikarzami odbędzie się o trzeciej po południu. Katherine zaproponowała, że zadzwoni do dyrektora szkoły i poprosi o udostępnienie auli oraz do burmistrza, by zajął się powiadomieniem dziennikarzy i innymi sprawami organizacyjnymi.

- Zapewnijcie sobie pomoc brata Julie, Teda - dodał Paul, wkładając marynarkę. - Poproście, by powiadomił innych funkcjonariuszy z biura szeryfa, aby pomogli w uchronieniu Julie przed stratowaniem - sam mogę nie dać rady. - Teraz zwrócił się do Julie: - Jeżeli szybko się ubierzesz, odwiozę cię do domu i będziesz miała dość czasu na przygotowanie sobie notatek. Przydadzą się, gdy za pośrednictwem satelity i prasy staniesz twarzą w twarz z całym światem.

- Przerażasz ją - karcącym tonem odezwała się Katherine.

- Nic podobnego. - Julie zaskoczyła wszystkich, włącznie z sobą. -Sytuacja jest idiotyczna, ale daleko jej do przerażającej. Nie dam się tak łatwo zastraszyć ani wprawić w zakłopotanie.

Paul uśmiechnął się z aprobatą, ale powiedział tylko:

- Rozgrzeję silnik, a ty w tym czasie się ubierz. Katherine – dodał z uśmiechem - dziękuję za wspaniały poranek i fantastyczne śniadanie. Zobaczymy się na konferencji.

Gdy zamknęły się za nim drzwi wyjściowe, Katherine bez obwijania w bawełnę zwróciła się do Julie:

- Skoro sama tego nie zauważasz, muszę zwrócić twoją uwagę, jaki to wyjątkowy mężczyzna. A do tego zupełnie zwariowany na twoim punkcie, poza tobą każdy to widzi. - Zrobiła do Julie oko. - Wysoki brunet, przystojny i bardzo, bardzo męski...

- Przestań - przerwała Julie - nie chcę tego słuchać.

- Dlaczego?

- Bo przypomina mi Zacka - powiedziała szczerze. - Od samego początku. - Zająła fartuszek i ruszyła do przedpokoju.

- Jest pomiędzy nimi zasadnicza różnica - zauważyła idąca za nią po schodach Katherine. - Paul Richardson nie jest kryminalistą i zbiegłym więźniem, nie próbuje złamać ci serca, ale robi wszystko, by cię chronić.

- Wiem - przyznała Julie z westchnieniem. - Masz rację we wszystkim, oprócz jednego: Zack nie jest kryminalistą i zanim o nim zapomnę raz na zawsze, z pomocą dziennikarzy i telewizji zrobię coś dla niego.

- Co takiego? - zaniepokoiła się Katherine. Poszła za Julie do sypialni.

- Chcę, by cały świat dowiedział się, że on nikogo nie zabił. Może dzięki dzisiejszej konferencji nacisk opinii publicznej skłoni władze do wznowienia sprawy!

- Dalej chcesz mu pomagać, mimo że tak cię zranił? - zdziwiła się Katherine.

Julie popatrzyła na nią z promiennym uśmiechem i energicznie kiwnęła głową.

Katherine odwróciła się, by wyjść z pokoju, ale na odchodnym powiedziała jeszcze:

- Jeżeli zamierzasz dzisiaj zostać rzecznikiem prasowym Zacharego Benedicta, radziłabym, byś postarała się wyglądać jak najatrakcyjniej. To niesprawiedliwe! Ludzie, bardziej niż chcą się do tego przyznać, dają się omamić kobiecej urodzie.

- Dziękuję. - Julie, zaabsorbowana swoim celem, zupełnie zapomniała o zdenerwowaniu. W myślach już robiła remanent strojów, by wybrać najlepszy. - Co jeszcze mi doradzisz?

Katherine pokręciła głową.

- Wypadniesz wspaniale. Jesteś szczerą, wierzysz w to, co mówisz. Przekonasz wszystkich, jak zawsze.

Julie niewiele słyszała - obmyślała najskuteczniejszą strategię do osiągnięcia celu. Przyszło jej do głowy, by zyskać przychylność mediów poprzez stworzenie lekkiej atmosfery. O strojach niemal zapomniała. Na początek poważne, oficjalne sprawozdanie, dzięki któremu spróbuje nastawić dziennikarzy przyjaźniej do Zacka, dopiero jak już zacznie odpowiadać na pytania, postara się mówić swobodnie, z uśmiechem.

Z uśmiechem. Swobodnie. Z lekkim sercem.

To Zack był aktorem!! Nie wiedziała, jak wypadnie, jaki obrót przybierze spotkanie. Ale jakoś sobie poradzi - musi!



## ROZDZIAŁ 49

Z okien chicagowskiego penthousu dawny sąsiad Zacka, drużba na jego weselu, Mathew Farrell, podziwiał Lake Shore Drive. Nie kontemplował widoku zbyt długo, bo do pokoju wpadła i usadowiła mu się na kolanach córeczka Marissa, za nią nadeszła jej matka. Jedwabiste, jasne włosy Marissy i błękitne oczy czyniły ją tak podobną do Meredith, że Matt, patrząc na swoje dwie dziewczynki, aż się uśmiechnął.

- Myślałem, że to pora spania - zwrócił się do córki.

Popatrzyła na lśniący prospekt akcji, który przeglądał. Najwyraźniej wzięła go za jedną ze swoich książeczek.

- Najpierw, tatusiu, opowiedz mi historyjkę, proszę.

Spojrzał pytająco na Meredith. Prezeska Bancroft & Company, wielkiej sieci ekskluzywnych domów towarowych, założonych jeszcze przez jej przodków, uśmiechnęła się bezradnie.

- To przecież niedziela - powiedziała. - Myślę, że w taki dzień popołudniowa drzemka może trochę poczekać.

- Mamusia się zgadza. - Wygodnie sadowiąc córkę na kolanach, zastanawiał się, co jej opowiedzieć. Meredith usiadła na fotelu naprzeciwko obojga, w oczach męża dostrzegła błysk rozbawienia. Jak tylko otworzył usta, zrozumiała przyczynę jego wesołości.

- Dawno, dawno temu - zaczął poważnym głosem - była sobie piękna księżniczka, która zasiadła na tronie w Bancroft and Company.

- Mamusia? - zaszczębiotało dziecko.

- Mamusia - przyznał. - Księżniczka była nie tylko piękna i wspaniała, ale także wyjątkowej mądrości. Niestety, pewnego dnia - ciągnął, nadal zachowując powagę - bardzo zły bankier namówił ją do zainwestowania pieniędzy w firmę, która...

- Wujek Parker? - zapytała z rezerwową miną Marissa.

Meredith z trudem stłumiła śmiech, słysząc słowa, jakimi Matt opisuje jej byłego narzeczonego i pośpiesznie wtrąciła:

- Tatuś żartuje. Wujek Parker nie jest zły.

- To historia mojego autorstwa - zaprotestował Matt i kontynuował: - I zdarzyło się tak, że mąż księżniczki, który akurat wie dość dużo o inwestowaniu pieniędzy, poradził jej, by nie słuchała bardzo złego bankiera. Ale nic nie pomogło, księżniczka uparła się. Co więcej - dodał głębokim, podkreślającym wagę słów głosem - była tak przekonana o słuszności

swego postępowania, że założyła się z mężem, iż akcje pójdą w górę. Ale tak się nie stało, w piątek spadły o dwa punkty. A wiesz, co się dzieje, gdy księżniczka przegrywa zakład z mężem?

Dziecko pokręciło głową, uśmiechając się do wykrzywionej wesołością twarzy ojca.

- Musi za karę odbyć dzisiaj ze swoim mężem bardzo długą drzemkę. - Rzucił żonie wymowne spojrzenie.

- Mamusia idzie spać! - Marissa zaklaskała w dłonie.

- Tata jest tego samego zdania - powiedział Matt.

Meredith wstała, wzięła Marissę za rękę, ale jej ciepły uśmiech przeznaczony był dla Matta.

- Mądra mamusia - tłumaczyła córeczce - zakłada się tylko wtedy, gdy przegrana jest przyjemna. - Sielską atmosferę zakłóciło pojawienie się Joego O'Hary, rodzinnego ochroniarza i szofera w jednej osobie, który uważał się - i tak był traktowany - za członka rodziny.

- Matt - powiedział z zatroskaną miną - właśnie widziałem w telewizji Julie Mathison, tę kobietę, którą Zack wziął jako zakładniczkę. Jej konferencja prasowa właśnie się zaczyna.

Meredith nigdy nie poznała Zacharego Benedicta.

Gdy spotkała Matta, aktor siedział już w więzieniu, ale wiedziała, że obydwu mężczyzn łączyła głęboka przyjaźń. Spojrzała na Matta włączającego z ponurą miną telewizor.

- Joe, możesz zaprowadzić Marissę do łóżka?

- Naturalnie. Chodź, kochanie. - Odeszli, trzymając się za ręce, olbrzymi mężczyzna z małą dziewczynką - dziecko z dużym misiem.

Zbyt zdenerwowany, by usiąść, Matt wepchnął ręce w kieszenie spodni i w napięciu patrzył na ładną, młodą kobietę, z długimi ciemnymi włosami upiętymi na karku, ubraną w prostą, białą, wełnianą sukienkę ze złotymi guziczkami przy kołnierzyku i mankietach, wchodzącą na pełne mikrofonów podium.

- Niech Bóg ma go w swojej opiece - powiedział. - Dziewczyna wygląda jak Królowa Śnieżka, teraz wszyscy będą domagać się jego krwi.

Ale gdy burmistrz Keaton zakończył swe prośby do dziennikarzy o grzeczne potraktowanie Julie, a dziewczyna zaczęła opowiadać, co spotkało ją z rąk porywacza, zmarszczka na czole Matta powoli wygładziła się, a na jego twarzy ukazał się pełen niedowierzania uśmiech. Wbrew oczekiwaniom, ofiara Zacka opisywała spędzony z nim tydzień jak dobrą przygodę, mówiła o kurtuazji porywacza, opisywała jako niezwykle

delikatnego, nie wspominając ani słowem „o strasznych chwilach na łasce bezwzględnego mordercy”.

Gdy opowiedziała, jak naprawdę wyglądała jej próba ucieczki na parkingu i o sprytnym wybiegu Zacka, wśród zebranych rozległ się szmer tłumionego podziwu. A gdy jeszcze opisała swoją ucieczkę na skuterze śnieżnym i wysiłki Zacka, by ją ratować ze strumienia, udało jej się przedstawić go jako pełnego wrażliwości bohatera.

Gdy kończyła oświadczenie, sala eksplodowała rzucanymi ze wszystkich stron pytaniami. Matt w napięciu oceniał ich ostrość.

- Panno Mathison - zawołał reporter CBS - czy Zachary Benedict groził pani bronią?

- Wiedziałam, że jest uzbrojony - odpowiedziała spokojnie, z uśmiechem- i to wystarczyło, by odwieść mnie, przynajmniej z początku, od jakichkolwiek prób kłótni czy krytykowania jego filmów.

Śmiech, który wybuchł, przerwał kolejne pytania:

- Panno Mathison! Gdy Benedict zostanie ujęty, wniesie pani przeciwko niemu skargę o porwanie?

Z drwiącym uśmiechem potrząsnęła głową.

- Nie sędzę, by zapadł skazujący wyrok. Gdyby wśród sędziów przysięgłych znalazły się kobiety, uniewinniłyby go natychmiast po usłyszeniu, jak na równi ze mną zajmował się gotowaniem i zmywaniem.

- Czy zgwałcił panią?

Uniosła wzrok z rozbawioną, pełną niedowierzania miną.

- Przecież dopiero co opisałam ze szczegółami, co działo się w ciągu tego tygodnia i podkreślałam, że ani razu nie użył wobec mnie przemocy fizycznej. Chyba nie zapomniiałabym, gdyby próbował popełnić coś tak odrażającego.

- Czy obraził panią słownie? Skinęła z powagą głową, ale w oczach błysnęły iskiereki wesołości.

- No tak, rzeczywiście...

- Może to pani opisać?

- Oczywiście. Jednego wieczora był głęboko urażony, gdy nie wymieniłam jego nazwiska wśród moich ulubionych aktorów filmowych.

Zebrani wybuchnęli śmiechem, ale reporter, który zadał pytanie, zdawał się nie rozumieć żartu.

- Czy wtedy groził pani? - naciskał. - Co dokładnie i jak powiedział?

- Cóż, mocno wzburzony spytał, czy mam słabość do niskich mężczyzn.

- Czy w którymkolwiek momencie bała się pani?

- Jego broni, pierwszego dnia - powiedziała ostrożnie - ale gdy nie zastrzelił mnie po próbie przekazania wiadomości w samochodowym barze ani wtedy, gdy usiłowałam uciec, zrozumiałam, że nie zamierza zrobić mi krzywdy, choćbym nie wiem jak go prowokowała.

Matt nie mógł oderwać wzroku od ekranu. W skupieniu słuchał, jak Julie, zgrabnie omijając rafy, odparowuje pytania dziennikarzy, jak udaje jej się zaszczepić wrogiemu Zackowi audytorium pewną dozę przychylności.

Po trzydziestu minutach nieprzerwanych pytań tempo ich zadawania zaczynało jakby słabnąć. Teraz zabrał głos reporter CNN.

- Panno Mathison, czy chce pani, by Zachary Benedict został ujęty?

Zwróciła twarz w jego stronę.

- Jak ktoś przy zdrowych zmysłach mógłby pragnąć, by złapano i ponownie uwięziono niesprawiedliwie skazanego człowieka? Nie rozumiem, jak ława przysięgłych mogła uznać go za winnego morderstwa, ale wiem dobrze, że do dokonania takiego czynu nie jest zdolny bardziej ode mnie. Gdyby było inaczej, nie stałabym tu dzisiaj. Przecież przed chwilą opowiedziałam wam, jak kilkakrotnie próbowałam storpedować jego plany. Chciałabym też, byście pamiętali, że gdy sądził, że zostaliśmy odkryci przez helikopter, jego największą troską było moje bezpieczeństwo, nie własne. Oczekuję przerwania tego polowania i wznowienia sprawy - dokończyła stanowczym, ale uprzejmym tonem. - Jeżeli, panie i panowie, nie macie więcej pytań, zakończmy naszą rozmowę i szczęśliwie powróćmy do naszych domostw. Jak powiedział pan burmistrz Addelson, miasto Keaton pragnie powrotu do normalności - ja także. Dlatego nie będę udzielać więcej wywiadów ani odpowiadać na żadne pytania. Nasze miasto jest zachwycone napływem waszych pieniędzy, ale jeżeli zostaniecie u nas dłużej, to uprzedzam, nadaremnie tracicie czas...

- Tylko jedno pytanie! - zawołał reporter „Los Angeles Times”. - Jest pani zakochana w Zacharym Benedikcie?

Spojrzała na niego, zmarszczyła piękne brwi i odpowiedziała pogardliwym tonem:

- Takiego pytania spodziewałabym się pręcej po „National Enquirer”, ale żeby „Los Angeles Times”... - Próba wykręcenia się od odpowiedzi, poparta śmiechem zebranych, tym razem nie powiodła się, bo odezwał się reporter „Enquirer”:

- W porządku, panno Mathison, a więc my zadajemy to pytanie: Jest pani zakochana w Zacharym Benedikcie?

Tylko ten jeden raz Matt usłyszał w głosie Julie drżenie. Jego serce wypełniło się współczuciem, gdy patrzył, jak dziewczyna walczy o zachowanie beztróskiego uśmiechu -

zdradziło ją spojrzenie olbrzymich, ocienionych długimi rzęsami szafirowych oczu, pociemniałych i spowazniałych od uczucia, jakim mogła być czułość.

Współczucie Matta sięgnęło szczytu - zrozumiał, że dziennikarze w końcu ją osaczyli. Ale Julie od razu zmieniła taktykę. Dobrowolnie, z pełną świadomością, weszła w zastawioną pułapkę, tak śmiało, że aż zapierało dech.

- Większość kobiecej populacji naszego kraju na jakimś etapie życia prawdopodobnie wyobrażała sobie, że jest zakochana w Zacharym Benedikcie. Teraz, po bliższym poznaniu go - dodała lekko załamującym się głosem - uważam, że wykazały wspólną znajomość rzeczy. On... - zawahała się, wyraźnie szukając właściwych słów -... jest mężczyzną, którego każda może bez trudu pokochać.

Julie odwróciła się od mikrofonów. Natychmiast pojawiło się przy niej dwóch mężczyzn - Matt był pewien, agentów FBI - i kilku policjantów w mundurach, którzy sprowadzili ją z podium.

Wyłączył pilotem telewizor w chwili, gdy reporter CNN przeszedł do podsumowania wywiadu, potem popatrzył na żonę.

- Co o tym myślisz?

- Uważam - powiedziała Meredith spokojnie - że jest niesamowita.

- Czy udało jej się zmienić twoją opinię o Zacku? Ja oczywiście trzymam jego stronę, ale ty go nie znałaś, więc z twojej reakcji można wnioskować o nastrojach ogółu.

- Nie sądzę, bym była tak obiektywna, jak mówisz. Dla mnie jesteś mistrzem w ocenie charakterów, a nie kryłeś, że uważasz go za ofiarę pomyłki sądowej. Jeżeli ty wierzysz w jego niewinność, jestem skłonna podzielić twoje zdanie.

- Dziękuję za wyrazy uznania dla mojej przenikliwości. - Z czułością pocałował żonę w czoło.

- A teraz ja chcę cię o coś zapytać - odezwała się Meredith. Matt od razu wyczuł, czego będzie dotyczyło pytanie. - Julie Mathison powiedziała, że została zabrana do domu na odludziu, w górach Kolorado. Czy chodzi o nasz dom?

- Nie jestem pewien - powiedział i uśmiechnął się na widok jej powątpiewającej miny - ale chyba tak. Zack bywał tam kilkakrotnie, choć zawsze odbywaliśmy podróż drogą powietrzną. Za każdym razem ponawiałem zaproszenie... Zapewne uważały się za uprawnionego do skorzystania z tego miejsca, oczywiście bez wplątywania mnie w...

- Ależ ty już zostałeś zamieszany w tę sprawę! - wybuchnęła nieco histerycznie Meredith. - Ty...

- Nie mam nic wspólnego z ucieczką Zacka, nie pozwoliłbym sobie na narażenie na niebezpieczeństwo ciebie czy mnie. - Popatrzył na jej wciąż niepewną minę i spokojnym głosem ciągnął dalej: - Zack przed pójściem do więzienia udzielił mi pełnomocnictwa do zajmowania się jego finansami, co czynię nadal. Taka działalność jest legalna i nie kryję się z nią przed władzami. Zanim uciekł, kontaktowaliśmy się regularnie.

- Ale co teraz, Matt? - Popatrzyła pytająco na męża. - Co się stanie, jeżeli spróbuje się z tobą skontaktować?

- W takim przypadku... - obojętnie wzruszył ramionami, co zaniepokoiło ją jeszcze bardziej - ...postąpię jak przestrzegający prawa obywatel, o czym zresztą Zack doskonale wie: powiadomię władze.

- Jak szybko?

Roześmiał się z kolejnego dowodu jej przenikliwości, otoczył ramieniem i zdecydowanym gestem powiódł w stronę sypialni.

- Wystarczająco, by uniknąć oskarżenia o zмовę - obiecał. - Ale ani chwili wcześniej.

- A co ze sprawą korzystania z naszego domu? Podzielisz się z policją swymi podejrzeniami?

- To wyśmienity pomysł - powiedział po chwili namysłu. - Będzie następnym dowodem mojej niewinności, wykaże wolę współpracy z władzami.

- I gestem - dodała chłodno jego żona - który w żaden sposób nie może zaszkodzić twojemu przyjacielowi, bo według słów Julie Mathison, opuścił Kolorado kilka dni temu.

- Jesteś bardzo mądra, kochanie - przyznał z uśmiechem. - A teraz włącz do łóżka, na naszą małą drzemkę, i zaczekaj, aż zadzwonię do miejscowego biura FBI.

Skinęła głową. Położyła mu dłoń na ramieniu i spytała:

- Gdybym cię poprosiła, byś nigdy więcej nie miał nic wspólnego z czymkolwiek, co wiąże się z Zacharym Benedictem... - Nie pozwolił jej dokończyć.

- Zrobiłbym dla ciebie wszystko, dobrze o tym wiesz - powiedział głosem nabrzmiałym emocjami - ale wolałbym, Meredith, byś mnie o to nie prosiła. Musiałbym z tym żyć i byłoby mi bardzo ciężko, gdybym odwrócił się od Zacka.

Meredith zawahała się.

Zdumiała ją lojalność okazywana przez męża temu człowiekowi. Powszechnie uznawany za świetnego, choć dość bezwzględnego biznesmena Matt miał setki znajomych, ale ani zbytnio im nie ufał, ani nie darzył prawdziwą przyjaźnią. Z tego, co wiedziała, właśnie Zachary Benedict był tym jedynym, uważanym przez Matta za godnego zaufania.

- To musi być niezwykle człowiek, skoro decydujesz się dla niego na tak wiele.

- Polubiłabyś go - powiedział z przekonaniem, uśmiechając się pod nosem.

- Skąd ta pewność? - By podtrzymać żartobliwy nastrój, przyjęła lekki ton.

- Jestem pewien, bo przecież szalejesz na moim punkcie.

- Czyżbyś chciał powiedzieć, że jesteście do siebie podobni?

- Wielu tak uważało, i to niekoniecznie musiał być komplement. Ale tak naprawdę... - spoważniał - ...jestem wszystkim, co Zackowi pozostało, jedynym, któremu może ufać. Po aresztowaniu pochlebcy i fani Zacka, przez całe lata oblegający go na każdym kroku, odsunęli się jak od zadżumionego, zachowywali się tak, jakby jego upadek stanowił dla nich nie lada frajdę. Byli inni, ci pozostali mu wierni nawet po uwięzieniu. Ale od nich odciął się, nie chciał nawet odpisywać na listy.

- Pewnie się wstydził.

- Na to wygląda.

- W jednym się mylisz - powiedziała łagodnie - oprócz ciebie ma jeszcze innego sprzymierzeńca.

- Kogo?

- Julie Mathison. Jest w nim zakochana. Sądziś, że dzisiaj oglądał ją albo słyszał w radio?

Mat potrząsnął głową.

- Wątpię w to. Musi być daleko, niekoniecznie w kraju. Byłby głupcem, pozostając w Stanach, a z pewnością nim nie jest.

- Chciałabym, by ją mógł słyszeć - powiedziała Meredith. Jej serce, pomimo troski o bezpieczeństwo męża, przepełniało współczucie dla Zacka. - Może jakimś trafem dowiedział się, co ona próbowała zrobić.

- W życiu osobistym Zack nigdy nie miał szczęścia.

- Myślisz, że zakochał się w Julie Mathison?

- Nie - odpowiedział z przekonaniem. - Oprócz niej miał wiele pilniejszych spraw na głowie, poza tym w Hollywood zdążył uodpornić się na kobiety. Dawały mu satysfakcję seksualną, ale niezbyt je szanował, co specjalnie nie dziwi, zważywszy na towarzystwo, w jakim się obracał. Gdy robił nad wyraz szybko aktorską karierę, Ignęły do niego jak osy do miodu, a gdy został reżyserem rozdającym barwne role, opadły go niczym piękne, połyskliwe piranie. Zadręczały go. Zawsze miał słabość do dzieci i właśnie taki był powód jego małżeństwa z Rachel. Obiecała urodzić mu całą furę i zaraz po ślubie wycofała się z tej obietnicy, zresztą ze wszystkich innych też. - Potrząsnął głową i zakończył opowiadanie: -

Zack nie zakochałby się w ładniutkiej nauczycielce z małego miasteczka, do tego w kilka dni - miesięcy też byłoby za mało.



## ROZDZIAŁ 50

Promienie wschodzącego słońca zaczynały już przygrzewać. Drogą ze wsi do przystani szedł mężczyzna, zapadając się niemal po kostki w piachu, pod pachą trzymał kilka czasopism; za towarzysza miał jedynie własny cień. Kierował się prosto ku molo. Nie zatrzymał się przy żadnym z rybaków rozładowujących połów czy naprawiających sieci, do nikogo nie zagadał, oni także zachowywali obojętność, milczeli. Kilka par ciekawskich oczu odprowadziło nieznanego do jego łodzi, czterdziestojednostopowej Hatteras ze świeżo wymalowaną niebieską farbą nazwą „Julie”. Poza imieniem łodzi, uwidocznionym zgodnie z morskim prawem na rufie, nic więcej w tej jednostce nie przyciągało uwagi. Z daleka wyglądała jak tysiące innych, pływających tutaj, przy wybrzeżu Ameryki Południowej, niektóre wyczarterowane przez łowców dla sportu, znakomita większość ciężko pracująca na utrzymanie właściciela. Wszystkie wypływały o świcie, nim słońce zgasiło gwiazdy; brzemienne połowem wracały pod wieczór.

Tak jak i łódkę, jej właściciela, który właśnie długimi krokami przemierzał keję, wyróżniało niewiele. Zamiast szortów i wełnianej koszuli, ulubionych przez kapitanów innych kutrów, miał na sobie ubranie prostego rybaka - białą koszulę z szorstkiej bawełny, o szerokich rękawach, spodnie koloru khaki. Na nogi włożył buty o miękkich podeszwach, na czoło głęboko nasunął ciemną, wełnianą czapkę.

Na opalonych słońcem policzkach widniał czterodniowy zarost, ale gdyby ktoś przyjrzał się nieznanemu z bliska, zauważyłby, że jego twarz była mniej ogorzała niż innych; także wyposażenie łodzi wyglądało na bardziej przydatne w czasie rejsu niż połowów. Ale nikt nie zaprzętał sobie nim głowy. W porcie na wyspie roiło się od konkurujących ze sobą rybaków, a „Julie” była zaledwie jedną z tysięcy zawijających tu łodzi, często z ładunkiem, o którym należało mówić szeptem.

Z drugiej strony przystani dwóch rybaków na „Diabolo” na chwilę uniosło głowy, gdy właściciel „Julie” wchodził na jej pokład. Cicho zamruczał generator, na łodzi zabłyśły światła.

- Urządzenie pracuje przez połowę nocy - zauważył jeden z nich. - Po jaką cholere tak długo?

- Czasami, przez zasłony, widać jego cień przy stole. Pewnie siedzi i czyta.

Drugi rybak wskazał znacząco wzrokiem na pięć anten górujących wysoko nad mostkiem.

- Ma na tej łajbie wszelki ekwipunek, łącznie z radarem. I nigdy nie łowi ani nie szuka chętnych do przejażdżki. Wczoraj stał na kotwicy w pobliżu Calvary Island, a nawet nie zanurzył wędek.

- Bo to nie żaden rybak, turystów też nie wozi - zauważył z niesmakiem pierwszy.

- Może narkotyki?

- A co by innego? - Jego kolega z obojętną miną wzruszył ramionami.

Nieświadomy, że w tej ruchliwej przystani jego osoba budzi jakiekolwiek emocje, Zack studiował leżące przed nim na stole mapy, uważnie wyznaczał kurs, jakim być może popłynie w przyszłym tygodniu. Gdy kończył, była już trzecia rano, ale wiedział: choć wyczerpany, i tak nie zaśnie. W ciągu ostatnich siedmiu dni sen niemal całkiem go opuścił i to nie z powodu napięcia spowodowanego ucieczką.

W Stanach, dzięki powiązaniom Enrico Sandiniego i pół milionowi dolarów, wszystko poszło gładko. W ustalonym terminie, na polanie oddalonej 200 jardów od jego górskiej kryjówki w Kolorado wylądował niewielki, wynajęty helikopter. Lądowisko istniało w tym miejscu od dawna, tyle że przeznaczone dla właścicieli domu i ich gości. Zack, z nartami na ramieniu, w stroju narciarskim i zakrywających pół twarzy goglach, wszedł na pokład maszyny i po godzinie lotu znalazł się w pobliżu małej stacji narciarskiej. Pilot nie zadawał żadnych pytań ani nie okazał zdziwienia. Bogaci narciarze często używali tego rodzaju transportu, by zimową porą bez kłopotu przemieszczać się w leśnej głuszy.

Na parkingu przed narciarskim domkiem oczekiwał już na niego wynajęty samochód. Po ujechaniu sporego kawałka na południe, Zack znalazł się u kresu samochodowego etapu: na dobrze zamaskowanym pasie startowym stał, zgodnie z planem, gotowy do startu samolot. Pilot helikoptera nie miał pojęcia, kogo wiezie, nie był wtajemniczony w cały spisek, czego nie dało się powiedzieć o pilocie samolotu. Trasa lotu, przerywanego jedynie lądowaniem w celu uzupełnienia paliwa, różniła się znacznie od tej zgłoszonej kontroli powietrznej. Niewielki samolot kierował się na południowy wschód, potem jeszcze bardziej wykręcił na południe.

Wkrótce po opuszczeniu przestrzeni powietrznej Stanów Zjednoczonych Zack usnął, budził się tylko w czasie tankowania. Od znalezienia się w miejscu przeznaczenia sen gdzieś odpłynął i nie udało mu się przespać naraz więcej niż kilka godzin.

Wstał i poszedł do kuchni. Nalał sobie brandy, z nadzieją, że alkohol pomoże mu zasnąć, potem zabrał szklankę do saloniku, służącego mu w tym małym pływającym domku za pokój dzienny i jadalnię. Zgasił główne światło w kabinie, zostawił tylko zapaloną małą

mosiężną lampkę na stole obok sofy, by oświetlała podobiznę Julie, tę wydartą z pierwszej strony gazety sprzed tygodnia, którą w ramach zawiesił na ścianie.

Za pierwszym razem wydało mu się, że to fotografia z uroczystości odbierania dyplomu. Dzisiaj, pociągając brandy, przyjrzał jej się dokładnie. Zdjęcie zostało zrobione raczej w trakcie wesela lub przyjęcia z innej okazji. Julie, ubrana w brzoskwińową suknię ze skromnym wycięciem pod szyją, odsłaniającym naszyjnik z pereł, zwróciła jego uwagę przede wszystkim uczesaniem, włosami upiętymi w taki sam sposób jak podczas ich randki.

Zadręczał się, ale nic nie mógł na to poradzić. Wziął ramkę z podobizną Julie do ręki i położył na kolanach. Powoli przesuwając kciukiem po ustach dziewczyny i zastanawiał się, czy po powrocie do domu znów śmieje się tak bez troski. Miał taką nadzieję, ale gdy patrzył na zdjęcie, przypominał sobie jej twarz z chwili pożegnania - bolesny wyraz oczu, gdy wyśmiał jej wyznanie. Wspomnienia nie dawały mu spokoju, rozdzierały serce, dołączyły do długiej listy trosk, z tą najważniejszą dotyczącą jej - czy nie jest w ciąży. Torturował się myślami o tym, co by przeżywała, zmuszona do aborcji albo do urodzenia nieślubnego dziecka w małym miasteczku.

Było tyle spraw, o których chciał jej powiedzieć, tyle rzeczy, które pragnął wyznać. Dokończył brandy. Odezwała się pokusa napisania następnego listu. Codziennie pisał jeden, choć wiedział, że nigdy ich nie wyśle. Musi przestać, pomyślał.

Musi zapomnieć o niej, zanim postrada zmysły...

Musi się trochę przespać...

Odruchowo sięgnął po papier i długopis.

Czasami „donosił” jej, co robi, pisał o sprawach, które, jak sądził, powinny ją zainteresować: o wyspach na horyzoncie, o zwyczajach miejscowych rybaków. Ale nie dzisiaj. Wyczerpanie i brandy sprawiły, że wyrzuty sumienia urosły do monstrualnych rozmiarów. Według starej amerykańskiej gazety, którą kupił rano we wsi, Julie była podejrzana o współudział i pomoc w jego ucieczce.

Przyszło mu do głowy, że do obrony przed natarczywością policji i FBI, przed oskarżeniami o współudział, tylko po to, by po zastraszeniu zmusić ją do wygodnych dla władz zeznań, powinna wziąć prawnika. Musi zatrudnić adwokata z prawdziwego zdarzenia, a nie jakiegoś tam prowincjonalnego głąba. No i będzie potrzebowała pieniędzy, dużych. Nowe wyzwanie odeгнаło nastrój beznadziejności i rozpacz, w jakim tkwił od rozstania z nią. Gorączkowo zastanawiał się nad rozwiązaniem sprawy, wynajdował wciąż nowe przeciwności, i zaraz wymyślał sposoby uporania się z nimi.

Z wolna wstawał świt. Zack wyprostował się w fotelu, niesłuchanie znużony i całkowicie przegrany. Przegrany, bo wiedział, że wysłał ten list. Musi! Dlatego, że znalazł dla niej radę, bo rozpaczliwie pragnął, by poznała jego uczucia. Teraz już rozumiał, że prawdą nie sprawi jej tyle bólu, ile wyrządził kłamstwem. To będzie ich ostatni kontakt, ale przynajmniej naprawi to paskudne zakończenie najcudowniejszych dni i nocy jego życia.

Przez zasłony saloniku przebijały się promienie słońca. Spojrzał na zegarek. Pocztę zabierano z wyspy tylko raz w tygodniu, w poniedziałek rano. A to oznaczało, że nie zdąży przepisać nagryzmołonego byle jak listu. Musi jeszcze napisać do Matta, wytłumaczyć, czego od niego oczekuje.

## ROZDZIAŁ 51

- Ta m w dole, po prawej, to Keaton, panie Farrell - powiedział pilot, gdy lśniący learjet wyszedł spod pokrywy chmur i rozpoczął podejście do lądowania. - Zanim usiądziemy, przeleć nad pasem startowym, by sprawdzić, w jakim jest stanie. Matt sięgnął po przycisk interkomu.

- Dobrze, Steve - powiedział w zamyśleniu. Popatrzył na zatroskaną twarz Meredith. - Co się stało? - zapytał cicho. - Przecież mówiłem ci, że w doręczeniu listu adresowanego do mnie, a przeznaczonego dla Julie Mathison, nie ma nic nielegalnego. Władze doskonale wiedzą o udzielonym mi przez Zacka pełnomocnictwie. Przekazałem im już kopertę, w której przesłał swoje instrukcje, więc mogą go próbować namierzyć. Tyle że nie zda im się to na wiele - dodał, tłumiąc śmiech. - List przyszedł z Dallas, gdzie z pewnością Zack ma kogoś zaufanego, kto odbiera korespondencję, przepakowuje w nową kopertę i przesyła do mnie.

Meredith wiedziała, jak mocno jej mąż jest zaangażowany w to, co robi, więc skrzątnie skryła niepokój.

- Dlaczego tak postępuje, skoro bez zastrzeżeń ci ufa?

- Abym mógł przekazywać policji każdą kopertę, jaką dostanę, nie zdradzając miejsca jego pobytu. Tym sposobem chroni nas obu. Widzisz, jak dotąd, dokładnie trzymałem się przepisów prawa.

Meredith odchyliła głowę na oparcie obitej białą skórą kanapy, królującej w kabinie samolotu, i na pół ze śmiechem, na pół z westchnieniem, zauważyła:

- No pewnie! Nie wspomniałeś FBI, że razem z informacją do ciebie dołączył list dla Julie Mathison ani o zamiarze doręczenia go.

- Wiadomość dla niej znajduje się w czystej, zapieczętowanej kopercie - odparował lekko. - Skąd mam wiedzieć, od kogo pochodzi? Może zawierać choćby kucharskie przepisy. Mam nadzieję - powiedział z udanym oburzeniem - że nie sugerujesz, bym otworzył kopertę i zajrzał, co w niej jest. Coś takiego to naruszenie prawa federalnego, przestępstwo. Co więcej, kochanie, żaden przepis nie nakazuje mi informowania władz o każdej próbie Zacka kontaktu ze mną.

Meredith, trochę wystraszona, wbrew swej woli dała się rozbawić nonszalancją męża. Patrzyła na tego przystojnego mężczyznę, w którym - wówczas dwudziestopięcioletnim robotniku zakładów metalowych - zakochała się jako niewinna, osiemnastoletnia panią z dobrego domu, i którego krótko później utraciła. Po odejściu z fabryki, w ciągu następných

dziesięciu lat, dzięki zdolnościom i ryzykownym posunięciom zbudował imperium finansowe. Pomimo wyrafinowanych manier, szytych na miarę eleganckich ubrań, pomimo posiadanych jachtów i samolotów, w głębi serca pozostał nieprzejednanym bojownikiem.

Kochała go za to. Uwielbiała tę jego brawurę, wewnętrzną siłę, chociaż rozumiała, że to właśnie z tego powodu lekceważy ewentualne konsekwencje swych działań. Wierzył w niewinność Zacharego Benedicta i to wystarczało, by robił, co postanowił. Choć wiedziała, że nie zdoła odwieść go od raz podjętej decyzji, nalegała na dotrzymanie mu tego popołudnia towarzystwa - w końcu musiała mieć pewność, że zbyt nie się wychyli.

- Dlaczego się uśmiechasz? - zapytał Matt.

- Bo cię kocham - przyznała z kwaśną miną. - A ty, czemu?

- Bo mnie kochasz - szepnął czule. Objął żonę ramieniem i przytulił twarz do jej szyi.

- A także - przyznał - z powodu tego... - Z kieszeni na piersi wyjął list Zacka.

- Mówiłeś, że to tylko lista instrukcji dotyczących Julie Mathison. Co w tym śmiesznego?

- Właśnie to - lista. Gdy Zack szedł do więzienia, posiadał olbrzymi majątek zamrożony w inwestycjach na całym świecie. Wiesz, ile poleceń otrzymałem od niego razem z pełnomocnictwem?

- Nie, ile?

- Jedno. - Z uśmiechem uniósł wskazujący palec. - Powiedział: postaraj się nie doprowadzić mnie do bankructwa.

Meredith śmiechem skwitowała słowa męża. Matt popatrzył przez okno samolotu. Maszyna zniżala się nad pasem startowym, słońce zamigotało na skrzydłach.

- Jest Joe z samochodem - powiedział. Ich szofer wcześniej przyleciał z Dallas regularną linią i wynajął nie rzucający się w oczy samochód. Teraz wyjechał na ich spotkanie. Matt pragnął, by ich pobyt w Keaton i późniejszy odjazd nie został przez nikogo zauważony, nie mogli więc wsiąść do taksówki, nawet gdyby w miasteczku takie były.

- Jakież kłopoty, Joe? - zapytał, gdy usadowili się na tylnym siedzeniu.

- Nie - pogodnie odpowiedział O'Hara. Nacisnął pedał gazu i pomknęli jak zwykle, jakby brali udział w wyścigu samochodowym. - Jestem w miasteczku od godziny, zdążyłem zlokalizować dom Julie Mathison. Przed ogródkiem stoi cały tłum dziecięcych rowerów.

Meredith przytrzymała się ramienia męża. O'Hara pokonywał zakręty z szaleńczą brawurą. Gdy wyskakiwali na autostradę, spod kół samochodu z impetem wystrzeliwał żwir.

- Jakie to instrukcje, dotyczące Julie Mathison, przekazał ci Zack? - kontynuowała wątek rozmowy podjętej jeszcze w samolocie.

Matt wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę i spojrzął na pierwsze linijki.

- Między innymi mam dobrze przyjrzeć się, jak wygląda, upewnić, czy nie schudła i czy nie cierpi na bezsenność.

Niecodzienna troska Zacka Benedicta o byłą zakładniczkę nie uszła uwagi Meredith i jej opinia o bezwzględny porywacz natychmiast złagodniała.

- Jak masz to ocenić? Przecież nie wiesz, jak wyglądała, zanim spędziła z nim ten tydzień.

- Domyślam się tylko załamania, jakie w końcu dopadło Zacka. -Matt zmusił się do ukrycia, jak mocno jest przejęty, i lekkim tonem kontynuował: - Spodoba ci się następny punkt. Mam ustalić, czy przypadkiem nie jest w ciąży.

- Patrząc na nią? - wykrzyknęła Meredith. Joe wjeżdżał właśnie w ulicę pełną domów, obrośniętą po obu stronach drzewami.

- Nie, mam zapytać wprost i dlatego jestem zachwycony, że zechciałaś ze mną tu przyjechać. Jeżeli zaprzeczy, mam powiadomić Zacka, czy jej uwierzyłem.

- Ona sama nie może jeszcze tego wiedzieć, chyba że poddała się próbie wczesnego wykrywania ciąży. W końcu, od ich rozstania, minęły dopiero trzy tygodnie. - Meredith naciągnęła na dłonie rękawiczki, bo Joe, ze zgrzytem hamulców, zatrzymywał samochód przed schludnym, jednopiętrowym domkiem, spod którego mali chłopcy rozjeżdżali się na rowerach. - Jeżeli tak tym się przejmuje musi mu naprawdę na niej zależeć.

- Czuje się winny. - Matt wysiadł z auta. - I odpowiedzialny. Zack zawsze poważnie traktował swe zobowiązania. - Ruszyli chodnikiem w stronę domu. Dwóch małych chłopców na wózkach inwalidzkich, piszcząc z uciechy, wyjechało z bocznych drzwi i dalej podjazdem na drogę. Za nimi wybiegła młoda, ładna kobieta.

- Johnny! - zawołała ze śmiechem - oddaj mi to! - Chłopiec wymachiwał notatnikiem i gwałtownymi skrętami wózka umykał przed dziewczyną, nie pozwalając wyszarpnąć sobie z ręki trofeum. Jego kolega blokował jej drogę własnym wózkiem. Matt i Meredith przyglądali się tej szalonej zabawie, bezskutecznym wysiłkom roześmianej Julie Mathison uporania się z połączonymi siłami chłopców.

- W porządku - zawołała w końcu Julie. Wsparła dłonie na biodrach, nadal nie widziała pary nieznanomych. - Wygraliście, potwory, jutro nie będzie żadnego testu! A teraz oddajcie mi dziennik. - Johnny wydał okrzyk triumfu i wręczył jej notatnik. - Dziękuję. - Julie żartobliwie naciągnęła chłopcu na oczy włóczkową czapkę, co tamten przyjął ze śmiechem. Teraz pochyliła się nad drugim i zaciągnęła zamek kurtki pod samą brodę, potem

rozczochnała jego rude włosy. - Coraz lepiej wykonujesz bloki, Tim. Nie zapomnij o nich podczas meczu w następną sobotę, dobrze?

- Ma się rozumieć, panno Mathison.

Julie patrzyła za wyjeżdżającymi na drogę chłopcami. Dopiero teraz dostrzegła elegancko ubranych mężczyzn i kobietę, stojących na chodniku przed domem. Ruszyli w jej stronę. Julie skrzyżowała ręce na piersiach, broniąc się przed podmuchami zimnego wiatru. Z uprzejmym uśmiechem czekała, aż podejdą - w zapadającym zmroku ich twarze wydały jej się znajome.

- Panno Mathison - mężczyzna odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech - jestem Mathew Farrell, a to moja żona, Meredith. - Przyjrzała się im z bliska. Meredith i Mathew Farrell stanowili piękną parę, ona jasnowłosa, on ciemny brunet, obydwójce uśmiechali się przyjaźnie.

- Jest pani sama? - zapytał mężczyzna i popatrzył w stronę domu. Julie, nagle podejrzliwa, zeszywniała.

- Jesteście dziennikarzami? Jeżeli tak, ja...

- Jestem przyjacielem Zacka - przerwał cicho. Serce Julie zabiło mocniej.

- Proszę, wejdźcie do środka - powiedziała podekscytowana, niemal ogłuszona zaskoczeniem.

Poprowadziła ich tylnymi drzwiami, przez kuchnię z wiszącymi na ścianach miedzianymi rondlami, do salonu.

- Ślicznie tu - zauważyła Meredith Farrell. Zdjęła płaszcz i rozejrzała się po przestronnym, przewiewnym pokoju, po białych meblach z wikliny, poduszkach w żywą, zielono-niebieską kratę, donicach z drzewkami i kwiatami, rozmieszczonych w kątach.

Julie próbowała przywołać na twarz uśmiech, ale ledwie Matt zdążył zdjąć płaszcz, wybuchnęła rozpaczliwym pytaniem:

- Czy z Zackiem wszystko w porządku?

- O ile mi wiadomo, tak.

Trochę się odprężyła, ale trudno jej było zachowywać się jak uprzejma pani domu. Tak bardzo chciała wiedzieć, z czym się pojawili, tak gorąco pragnęła przedłużyć ich wizytę! Obecność Matta Farrella sprawiała, że Zack zjawiał się tu, w jej domu.

- Macie państwo ochotę na szklanekę wina albo kawę? - zapytała. Odwiesiła płaszcze gości do szafy, a oni tymczasem usiedli na kanapie.

- Kawa byłaby najlepsza - powiedziała kobieta, jej mąż przytaknął ruchem głowy.



Nastawiła ekspres w rekordowym tempie, potem z filiżankami i talerzykami na tacy pędem wróciła do salonu. Na jej widok goście uśmiechnęli się, doskonale zdawali się rozumieć jej pośpiech. Na stoliku przed nimi postawiła tacę, dłońmi przeciągnęła po udach.

- Z jakiegoś powodu stałam się okropnie nerwowa - wyznała. - Ale jestem bardzo zadowolona z waszego przybycia. Kawę podam, jak tylko będzie gotowa.

- Nie dostrzegłem w pani zachowaniu żadnych oznak nerwowości - przyznał Matt Farrell z uznaniem - gdy stała pani przed kamerami i próbowała, z sukcesem, przeciągnąć media na stronę Zacka.

Ciepło w jego spojrzeniu i głosie sprawiało, że poczuła się, jakby wykonała wspaniałą, wymagającą nie lada odwagi robotę.

- Mam nadzieję, że wszyscy przyjaciele Zacka przyjęli moje wystąpienie podobnie.

- Nie ma ich już zbyt wielu - powiedział bezbarwnym głosem. - Z drugiej strony - dodał z lekkim uśmiechem - przy takim poparciu jak pani, nie potrzebuje nikogo więcej.

- Od jak dawna się znacie? - zapytała Julie. Usiadła w fotelu bokiem do kanapy.

- Meredith nigdy go nie spotkała, ale ja znam go od ośmiu lat. W Carmel, w Kalifornii, jesteśmy sąsiadami. - Julie lekko pochyliła się, skupiając na nim całą uwagę. Matt niemal fizycznie wyczuwał chęć dziewczyny dowiedzenia się o kochanku jak najwięcej, więc szybko dodał: - Jesteśmy także partnerami w wielu przedsięwzięciach finansowych. Zack, przed pójściem do więzienia, dał mi pełnomocnictwo czyniące mnie odpowiedzialnym za jego sprawy majątkowe.

- Cudownie, że się pan tego podjął - powiedziała z wdziękiem. Matt dostrzegł w jej oczach błysk naturalnego ciepła, którego Zackowi musiało tak bardzo brakować. - Z pewnością bezgranicznie panu ufa, jeżeli bez zastrzeżeń mu zawierzył.

- Darzymy się podobnymi uczuciami - odrzekł zmieszany, zastanawiając się, w jaki sposób przejść do celu wizyty.

- I dlatego przyjechał pan aż z Kalifornii - próbowała pomóc - żeby, jako przyjaciel Zacka, przekazać, że spodobało mu się moje wystąpienie?

Matt, wciąż niezdecydowany, w jaki sposób przejść do sedna sprawy, potrząsnął głową.

- W Carmel spędzamy tylko wakacje - wyjaśnił. - Na stałe mieszkamy w Chicago.

- Myślę, że wolałabym Carmel, choć nigdy tam nie byłam. - Julie wyczuła zakłopotanie gościa, dlatego kontynuowała rozmowę na nic nieznaczące tematy.

- Mieszkamy w Chicago, bo Meredith jest prezesem Bancroft and Company, która właśnie tam ma centralę.

- Bancroft! - wykrzyknęła Julie, pod wrażeniem tej informacji.

Nieraz słyszała o sieci ekskluzywnych domów towarowych.

- Byłam w waszym sklepie w Dallas, jest cudowny - z uśmiechem zwróciła się do Meredith. I jak na moją kieszeń, o wiele za drogi, pomyślała. Uniosła się z miejsca. - Pójdę po kawę, pewnie jest już gotowa.

Gdy wyszła, Meredith dotknęła rękawa męża i cicho powiedziała:

- Ona wyczuwa, że przyjechałeś tu w określonym celu i im dłużej będziesz zwlekał, tym większy stres będzie przeżywała.

- Masz rację, nieśpieszno mi - przyznał Matt. - Ale ciężko mi zapytać od drzwi, czy jest w ciąży i wręczyć czek. Chcesz, bym, zachowując subtelność, powiedział: panno Mathison, przywiozłem czek na ćwierć miliona dolarów, bo Zack obawia się, że po zajściu w ciążę jest pani w potrzebie. Czuje się winny i aby pani lepiej mogła radzić sobie z prasą i władzami, przesyła ten skromny podarek.

Meredith zaczęła sugerować bardziej taktowny sposób załatwienia sprawy, ale zanim skończyła, Julie wróciła z porcelanowym dzbankiem i zaczęła napełniać filiżanki.

Matt odchrząknął i odezwał się pełnym zażenowania głosem:

- Panno Mathison...

- Proszę nazywać mnie Julie - przerwała. Wyprostowała się, czuła napięcie w jego głosie.

- Julie - zgodził się z niepewnym uśmiechem. - Tak naprawdę nie przyjechałem tu z powodu twojej konferencji prasowej. Jestem, bo Zack mnie poprosił.

Jej twarz rozjaśniła się jak wychodzące zza chmur słońce.

- Naprawdę? Czy powiedział, dlaczego?

- Chce, bym się dowiedział, czy jesteś w ciąży.

Julie wiedziała, że nie jest. Zaskoczona i zmieszana nieoczekiwanym pytaniem już miała przecząco potrząsnąć głową, ale nim zdążyła, pośpieszyła jej z pomocą Meredith.

- Matt ma dla ciebie list, który pewnie o wiele lepiej wytłumaczy to, co próbuje przekazać mój niezręczny mąż - powiedziała łagodnie.

Julie patrzyła, jak Matt sięga do kieszeni swej sportowej marynarki. Świat dookoła zawirował! Ujęła podaną kopertę i drżącym głosem spytała:

- Czy mogę przeczytać na osobności?

- Ależ oczywiście! My w tym czasie zajmujemy się kawą.

Julie skinęła głową, potem odwróciła się i wyszła z salonu, kierując się do swojego pokoju. Nie zastanawiała się nad tym, że wciąż jest widoczna dla swoich gości.

Niecierpliwymi ruchami rozerwała kopertę. Przygotowywała się na nieprzyjemny list od Zacka, krytykujące go przykładanie przez nią zbytnej wagi do niepoważnej w końcu miłości, ale gdy rozprostowała złożone strony i zaczęła czytać czułość i radość, jakie eksplodowały w jej sercu, uleczyły wszystkie rany świat wokół przestał istnieć, liczyły się tylko te nieprawdopodobne słowa, jakie miała przed oczami, i mężczyzna, który je napisał. Słowa których nigdy nie miała czytać...

*Moja kochana Julie! Wiem, że nigdy nie przeczytasz tego listu ale codzienne pisanie do ciebie pomaga, sprawia, że jesteś blisko- Boże, jak ja za Tobą tęsknię! Wciąż jesteś przy mnie. Dlaczego musiałem Cię poznać! Nie, to nieprawda. Czym byłoby życie bez wspomnień o Tobie, bez uśmiechu.*

*Wciąż myślę, czy jesteś szczęśliwa. Chcę, by tak było. Byś miała wspaniałe życie. To dlatego, gdy byliśmy razem, nie mogłem powiedzieć Ci tego, co pragnęłaś usłyszeć. Bałem się, że czekałabyś na mnie przez wiele, wiele lat. Wiedziałem, chciałaś, by padło z moich ust: Kocham cię. Niewypowiedzenie tych słów było moim jedynym niesamolubnym czynem w czasie naszego wspólnego pobytu. A teraz żałuję milczenia.*

*Kocham Cię, Julie, Chryste, jak bardzo. Oddałbym całe życie za jeden rok z Tobą. Za sześć miesięcy, za trzy. Za chwilę.*

*W ciągu kilku dni, Kochanie, skradłaś mi serce, ale w zamian dałaś swoje. Wiem, że tak było... widziałem to w Twoich oczach, za każdym razem, gdy na mnie patrzyłaś.*

*Teraz nie żałuję już utraty wolności, nie szaleję z wściekłości na myśl o niewinnie spędzonych za kratami latach. Teraz żałuję tylko, że nie mogę mieć Ciebie. Jesteś młoda i wiem, wnet o mnie zapomnisz i pójdziesz własną drogą. I tak powinnaś postąpić. Musisz. Chcę tego Julie.*

*Jakież to beznadziejne kłamstwo. Przecież tak naprawdę pragnę Cię znowu zobaczyć, trzymać w ramionach, kochać i kochać tak długo, aż zawładnę każdą cząstką Ciebie i nikt, nigdy, poza mną, nie będzie się dla Ciebie liczył. I tak już pozostanie - na zawsze. Zanim Cię spotkałem, nie myślałem o stosunku seksualnym jako o „kochaniu się” „, nie wiedziałaś o tym.*

*Na myśl, że możesz być w ciąży, oblewam się zimnym potem. Powinienem nalegać, byś usunęła moje dziecko. Myślałem o tym już w Kolorado, ale i wtedy nie chciałem, byś tak postąpiła.*

*Zaczekaj - chyba znalazłem rozwiązanie, jakie wcześniej nie przyszło mi do głowy. Wiem, nie mam prawa prosić, byś je urodziła, ale jeżeli tylko będziesz chciała, jest to możliwe: weź urlop i wyjedź, ja dopilnuję, by po utracie pracy nie zabrakło Ci na nic pieniędzy. Gdy dziecko urodzi się, chcę, byś zawiozła je do mojej babki. Jeżeli jesteś w ciąży i*

zgadzasz się ze mną, napiszę do niej i wszystko wytłumaczę. Pomimo swoich wad ta kobieta nigdy w życiu nie unikała odpowiedzialności, na pewno postara się, by nasze dziecko zostało należycie wychowane. Rozporządza olbrzymim majątkiem, także tym, co powinno mnie przypaść w spadku. Niewielka część wystarczy aż nadto na utrzymanie dziecka i jego wykształcenie.

Miałaś rację, gdy mówiłaś, że nie powinienem był odciąć się od rodziny, palić za sobą mostów. Są sprawy, które mogłem wyjaśnić babce, nawet po opuszczeniu domu, one przycisnęłyby jej nienawiść. Miałaś rację, w okresie dorastania kochałem ją i podziwiałem. Miałaś rację we wszystkim i gdybym teraz mógł zmienić przeszłość, uczyniłbym to.

Mimo wcześniejszych postanowień wysyłam Ci ten list. Robię błąd. Wiem o tym, jednak nie potrafię się powstrzymać. Muszę Ci powiedzieć, jak masz postąpić, gdybyś zaszła w ciążę. Nie mogę znieść myśli, że mogłabyś nie dostrzec innego wyjścia poza aborcję.

Policja pewnie będzie przeglądała wysyланą przeze mnie pocztą korespondencję, postaram się więc, by ten list doręczono Ci do rąk własnych. Człowiek, który Ci go wręczy, to przyjaciel. Naraża się dla mnie, podobnie jak ty. Zaufaj Mattowi, tak jak zaufałaś mnie. Powiedz mu, czy jesteś w ciąży i co zamierzasz. On przekaże mi wiadomość. Jeszcze jedno, zanim pobiegnę do wsi, by zdążyć przed cotygodniowym opróżnianiem skrzynki pocztowej. Musisz mieć trochę pieniędzy na swoje potrzeby. Te, które wręczy Ci Matt, należą do mnie, więc nie ma najmniejszego sensu odmawiać ich przyjęcia. Będzie działał zgodnie z moimi poleceniami, więc nie rób mu, kochanie, trudności. Mam mnóstwo pieniędzy, nie zabraknie mi.

Szkoda, że nie miałem dość czasu na lepszy list ani że nie zachowałem żadnego z tych, jakie pisałem do Ciebie wcześniej - teraz mógłbym ci je wysłać. Tamte miały więcej sensu. Ten list jest ostatni, więc nie oczekuj następnych. Sprawilyby, że zaczęlibyśmy mieć nadzieję, odżyłyby marzenia, a wtedy umarłbym chyba z tęsknoty za Tobą.

Zanim zakończę... przeczytałem w gazecie, że nowy film Costnera wchodzi właśnie na ekrany w Stanach. Jeżeli po zobaczeniu go zaczniesz znowu marzyć o Kevinie, będę Cię straszyć do końca życia.

Kocham Cię, Julie! Kochałem Cię w Kolorado, kocham Cię tu... gdzie jestem. Będę Cię kochał zawsze, wszędzie.

Julie chętnie przeczytałaby list jeszcze raz, ale nie mogła przebić wzrokiem strumieni łez spływających z jej oczu, zapisane kartki wypadły z rąk. Zakryła twarz dłońmi, odwróciła się do ściany i płakała. Płakała z radością w sercu, i z gorzkiej tęsknoty, i z bezradnego

gniewu; płakała nad niesprawiedliwością losu, czyniącego z niego uciekiniera, i nad własną głupotą, która kazała jej zostawić Zacka samego tam w Kolorado.

W salonie Meredith spokojnie rozmawiała z Mattem. Sięgała właśnie po dzbanek z kawą, gdy jej spojrzenie pobiegło ku drzwiom jadalni: przeraziła się na widok wstrząsanych płaczem pleców Julie.

- Matt, popatrz! - Szybko wstała i pośpieszyła w stronę dziewczyny. - Julie - powiedziała cicho, wchodząc do jadalni. Przestraszona rozdierającym szlochem dziewczyny, uspokajająco położyła dłonie na jej ramionach. - Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Tak! - odparła Julie załamującym się głosem. - Przeczytaj ten list i powiedz, jak ktokolwiek mógł uwierzyć, że ten człowiek jest zdolny do popełnienia morderstwa!

Meredith niepewnie sięgnęła po rozrzucone na podłodze kartki i popatrzyła na stojącego w drzwiach męża.

- Matt, może nalałbyś wszystkim wina?

Kilka minut zajęło mu znalezienie butelki, odszukanie korkociągu, wreszcie otworzenie jej. Wyjmował kieliszki z kredensu, gdy do kuchni weszła Meredith. Popatrzył na żonę przez ramię. Zamierzał podziękować jej za przybycie z nim do Keaton, ale na widok ściągniętej zmartwieniem twarzy zapomniał o wszystkim.

- Co się stało? - zapytał z niepokojem. Bezskutecznie usiłował odczytać prawdę z jej pięknych rysów.

- Ten list... - szepnęła, w jej oczach zabłyśły łzy. - Rany boskie, Matt... co za list!

Mimo woli zły na Zacka za zdenerwowanie żony, objął ją ramieniem i przytulił. Wyjął kartki z jej ręki i zmrzywszy oczy, zaczął czytać. Stopniowo jego irytacja przeobrażała się w zaskoczenie, potem niedowierzanie, wreszcie smutek. Właśnie skończył ostatnie zdanie, gdy w drzwiach ukazała się Julie. Próbowała się uśmiechnąć i palcami otrzeć łzy. Meredith wzięła od Matta chusteczkę i podeszła do niej.

- Ten wieczór - powiedział Matt głosem ciężkim od żalu i współczucia - nie tak miał wyglądać. - Popatrzył w zapłakane oczy Julie. - Wiem, że Zack nie zamierzał cię unieszczęśliwić.

Po raz ostatni Julie zrobiła w myślach rachunek wszystkiego, co utraci, jeżeli wprowadzi w życie swój naprędce opracowany plan. Ale decyzję podjęła już wcześniej, zaraz po przeczytaniu listu.

- Gdy Zack się z tobą skontaktuje, Matt, bądź uprzejmy przypomnieć mu - starała się mówić spokojnym głosem - że zostałam porzucona przez własną matkę i nie pozwolę, by

moje dziecko czekał podobny los. - Ze smutnym uśmiechem dodała: - Jeżeli naprawdę chce tego dziecka - ja oczekiwałabym go z radością - musi zgodzić się, bym do niego dołączyła.

Ostatnie słowa eksplodowały niczym pocisk. Na twarzy Matta Farrella ukazał się wyraz zdumienia, za chwilę podziwu, jednak słowa, jakie dobrał, cechowała ostrożność.

- Nie mam pojęcia kiedy, i czy w ogóle, Zack znowu skontaktuje się ze mną.

Julie roześmiała się histerycznie.

- Na pewno, i to bardzo prędko! - powiedziała z przekonaniem. Teraz wiedziała, że instynkt nigdy jej nie zawiodł i gdyby tylko posłuchała jego podszeptów, pewnie opuściliby Kolorado razem. - Porozumie się z tobą niezwłocznie, by poznać moją odpowiedź.

Matt uśmiechnął się pod nosem - miała rację.

- Czy jest jeszcze coś, co mam mu przekazać?

Skinęła energicznie głową.

- O tak. Powiedz mu, że ma najwyżej... cztery tygodnie na ściągnięcie mnie do siebie... zanim podejmę inne kroki. I powiedz mu... - Wzbraniała się przed przekazaniem Zackowi wyrazów miłości przez osobę trzecią. Ale zaraz pomyślała: nic się nie liczy, byle tylko on się dowiedział. Drżącym z emocji głosem oznajmiła: - Przekaż mu, że ja także umieram z tęsknoty. I jeżeli nie pozwoli mi połączyć się z nim, to wydam jego pieniądze na dwadzieścia pięć tysięcy kaset wideo z nowym filmem Kevina Costnera i resztę życia spędzę na zachwycaniu się tym mężczyzną!

- Myślę, że ta wiadomość wystarczy - odezwała się Meredith, z trudem powstrzymując śmiech - i zgodzi się natychmiast. - Potem zwróciła się do męża: - Zapamiętasz, czy mam zapisać?

Matt rzucił na żonę zaskoczone spojrzenie. Zachowywała się tak, jakby gorąco pragnęła uwikłać go w sprawy Zacka, choć jeszcze przed dwoma godzinami prosiła, by trzymał się od nich z daleka. Nalał do lampek wina.

- Myślę, że jest okazja do wzniesienia toastu.. - Wybaczenie, ale zupełnie nie wiem, co powiedzieć.

- A ja, tak - odezwała się Meredith. Uniosła kieliszek i z serdecznym uśmiechem popatrzyła na Julie. - Zdrowie wszystkich kobiet, które kochają tak mocno jak my. - Zwróciła twarz w stronę męża i dodała: - I za tych dwóch, których kochamy.

Julie patrzyła, jak Matt z czułością i nie skrywaną dumą uśmiecha się do żony. I w tym momencie pokochała oboje. Są jak Zack i ja, pomyślała; uosabiają miłość, poświęcenie, jedność.

- Proszę, zostańcie na kolacji. Nie jestem najlepszą kucharką, ale możemy już nigdy się nie spotkać, a tak bardzo chciałabym dowiedzieć się więcej o... o wszystkim.

Obydwoje prawie jednocześnie skinęli głowami, a Matt z udaną powagą zapytał:

- O wszystkim? No cóż, chyba zacznę od analizy sytuacji na rynku światowym. Mam pewne teorie co do przyczyn spadku... - Roześmiał się na widok przerażenia na twarzy Julie. - A może porozmawiamy o Zacku?

- Niezły pomysł - zażartowała jego żona. - Mógłbyś opowiedzieć nam, jak spędzaliście razem dni jako sąsiedzi.

- To ja zajmę się kolacją - wtrąciła Julie. Gorączkowo rozmyślała, co przygotować, by stracić jak najmniej drogiego czasu, który mogli przecież wykorzystać na rozmowę.

- O nie - zaprotestowała Meredith. - Poślemy Joego po pizzę.

- Kto to taki? - zaciekała się Julie. Już łapała za słuchawkę, by przez telefon złożyć zamówienie.

- Oficjalnie nasz szofer, nieoficjalnie członek rodziny.

Pół godziny później cała trójka wygodnie rozsiadła się w salonie.

Matt starał się właśnie zaspokoić ciekawość kobiet mocno ocenianą opowieścią z kawalerskich czasów swoich i Zacka, gdy rozległ się dzwonek przy drzwiach.

Otworzyła Julie. Spodziewała się ujrzeć aroganckiego szofera w eleganckim uniformie i została mile zaskoczona widokiem olbrzyma z czarującym uśmiechem na przeraźliwie brzydkiej twarzy. W wyciągniętych rękach trzymał pudła z pizzą.

- Proszę dołączyć do nas, niepotrzebnie siedział pan w samochodzie.

- Też tak pomyślałem - zażartował, ale popatrzył na Matta, by sprawdzić, czy ten nie ma nic przeciwko jego obecności. Dopiero gdy Matt skinął głową, Joe wszedł do środka i zdjął płaszcz.

- Zjedzmy w jadalni, tu jest najwięcej miejsca - zawołała Julie. Rozstawiła talerze na stole.

- Pójdę po wino. - Meredith podniosła się z miejsca.

Joe O'Hara wszedł do jadalni i przyjrzał się młodej kobiecie, która publicznie odważyła ująć się za Zackiem. Z ciemnymi włosami związanymi ma karku wstążką bardziej wyglądała jak ładna studentka niż nauczycielka. W niczym nie przypominała tych lalek, które przy każdej okazji wieszały się na Zacku, czym od razu zyskała sympatię Joego. Rzucili niepewne spojrzenie Mattowi. W odpowiedzi na to niewypowiedziane pytanie Matt skinął głową, a Joe wyciągnął oczywiste wnioski.

- A więc to ty jesteś panią Zacka - powiedział.

Przerwała rozkładanie serwetek i uniosła swe błękitne oczy.

- To był najmiłszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałam. - Ku zdziwieniu Julie szyja olbrzymiego mężczyzny wokół kołnierzyka poczerwieniała. - Ty też znasz Zacka? - spytała. Chciała dać mu czas na odzyskanie równowagi ducha.

- No pewnie - odparł z uśmiechem. Farrelowie zajęli miejsca przy stole. - Mógłbym ci o nim opowiedzieć historie, których nie zna nikt, nawet Matt.

- Zamieniam się w słuch - powiedziała Julie z entuzjazmem.

O'Hara nałożył sobie spory kawałek pizzy i przez chwilę zastanawiał się.

- W porządku, mam jedną. Pewnego wieczora Matt przyjmował niezapowiedzianego gościa i wysłał mnie do domu Zacka, bo zabrakło nam Stoli... wódki - wyjaśnił. Julie ze zrozumieniem skinęła głową. Joe, zanim zaczął mówić dalej, nałożył sobie następny kawałek. - Było koło północy, w domu Zacka świeciło się światło, ale nikt nie odpowiadał na dzwonek. Usłyszałem jego głos na tyłach domu, górujący nad piskami kobiet, więc tam poszedłem. Zack stał nad basenem, jeszcze w smokingu, w którym właśnie wrócił z przyjęcia.

Julie, zafascynowana, wsparła brodę na dłoni.

- Co robił? - spytała, gdy O'Hara zajął się następnym kęsem pizzy.

- Przeklinał - odrzekł Joe zwięźle.

- Kogo?

- Trzy nagie kobiety w basenie, jego wielbicielki. Jakoś znalazły adres i wpadły na pomysł, że gdy zobaczy u siebie w basenie trzy nagie nimfy, dołączy do nich i zrobią sobie nielichą orgietkę.

- O'Hara! - ostrzegawczo zawołał Matt.

- Nie, ta historia jest w porządku, naprawdę. Julie nie będzie zazdrosna o coś takiego. Prawda? - zapytał z niepewną miną.

Ze śmiechem potrząsnęła głową. Zack kocha ją, teraz o tym wiedziała. Nie miała żadnego powodu do zazdrości.

- Nie będę - obiecała.

- Wiedziałem - powiedział Joe i z zadowoleniem popatrzył na swych chlebodawców. - W każdym razie - ciągnął - Zack wściekł się nie na żarty. A muszę ci powiedzieć, czego może nie wiesz, pod pozornie chłodną, spokojną powierzchnią kryje temperament, jakiego byś się nie spodziewała. Gdy kobiety nie chciały wyjść z basenu, jak im polecił, kazał sobie pomóc. Całkiem ubrany wszedł do basenu i zanim się zorientowałem, już jakaś dziewczucha, mniej więcej dwudziestolatka, wyturlała się na brzeg i zatrzymała u moich stóp - całkiem naga. Potem wyszedł z wody Zack z dziewczyną pod każdym ramieniem.



Julie starała się wyglądać na zupełnie nieporuszoną tą historią.

- I co z nimi zrobiliście?

- To, co Zack zapowiedział. Był tak wściekły, że nawet nie pozwolił im się ubrać. Zanieśliśmy je, wrzeszczące, błagające o ubranie, do miejsca, w którym zostawiły samochód. Potem Zack wpełznął dwie na tylne siedzenie, a ja moją na przednie. Otworzył drzwi, włączył stacyjkę i wrzucił bieg. „Wynoście się stąd i żebym was tu więcej nie widział!” - wrzasnął.

Kobiety, najwyraźniej podziwiając zasady moralne Zacka, wymieniły nad stołem zadowolone spojrzenia.

- Nigdy mi o tym nie opowiadałaś. - Zaskoczony Matt zmarszczył czoło.

- Próbowałem przecież, ale ta kobieta, którą gościłaś, właśnie usiłowała cię rozebrać, zostawiłem więc Stoliczną na barze i poszedłem spać.

Julie taktownie utkwiała wesołe spojrzenie w pizzę, Meredith oparła brodę na splecionych dłoniach i zmierzyła męża rozbawionym wzrokiem. Matt chłodno popatrzył na swego kierowcę, ten uniósł dłonie w przeproszającym geście.

- Meredith się uśmiecha, Matt, przecież wie, że nie miałaś pojęcia, że wciąż jesteś jej mężem.

Julie zakrztusiła się winem.

- Może wytłumaczysz, o co chodzi - powiedział Matt z irytacją; wymienili z żoną spojrzenia - inaczej Julie pomyśli, że Zack zaufał kompletnemu imbecylovi.

- Sądziłem, że wszyscy znają tę historię, było o niej głośno w gazetach - powiedział Joe, ale gdy Julie nadal wyglądała na zdziwioną, wyjaśnił: - Widzisz, Matt i Meredith pobrali się i rozwiedli, gdy ona miała osiemnaście lat, nikt o tym nie wiedział, nawet ja. Dwanaście lat później Meredith odkryła, że rozwód przeprowadził podający się za sędziego oszust i dalej są małżeństwem. Zaprosiła więc Matta na lunch, by przekazać mu tę wiadomość, widzieli się wtedy po raz pierwszy od „rozwodu”. Jezu, ale Matt się wściekł! Meredith była już zaręczona z innym facetem. Zaraz opadli ich dziennikarze - całą trójką udzielili wywiadu i jeszcze starali się wyglądać na dobrych przyjaciół. Matt próbował obrócić wszystko w żart...

- Znam tę historię - przerwała Julie. Nagle wszystko zaczęło jej się układać. - Gdy was zobaczyłam, obydwójce wydaliście mi się znajomi. Oglądałam w telewizji ten wywiad. - Przeniosła zaskoczony wzrok na Matta Farrella. - Pamiętam, jak ty i narzeczony Meredith żartowaliście z całego zamieszania. Wyglądaliście wtedy na przyjaciół. A potem... zaledwie kilka dni później, uderzyłeś go! W gazetach było zdjęcie tego incydentu.

- Teraz już się przyjaźnimy - powiedział Matt. Lekko uśmiechnięty popatrzył na zamyśloną Julie.

Było już po jedenastej, gdy z żalem zaczęli się żegnać. Julie przeprosiła gości i wyszła na chwilę do sypialni. Wróciła z zielonym swetrem i spodniami, które miała na sobie w drodze powrotnej z Kolorado. Joe O'Hara był już w samochodzie i grzał silnik. Matt i Meredith czekali przy drzwiach.

Meredith szepnęła do męża, że chce porozmawiać z Julie na osobności. On z uśmiechem pożegnał się.

- Poczekam w samochodzie z Joe.

Julie wspięła się na palce i pocałowała Matta, a on mocno ją ucisnął. Ze strachem myślał o niepewnej przyszłości tych dwojga.

- Może ta wiadomość sprawi, że poczujesz się lepiej - powiedział, choć wcześniej nie miał takiego zamiaru. - W skład mojej korporacji wchodzi agencja detektywistyczna o zasięgu międzynarodowym. Na moje zlecenie od trzech tygodni detektywi sprawdzają wszystkich, którzy pracowali w Dallas przy filmie Zacka.

Zamiast okazać entuzjazm, Julie spytała:

- Dlaczego nie zrobiłeś tego wcześniej? - Dopiero teraz zorientowała się, jak zabrzmiały jej słowa. - Wybacz, to było z mojej strony niegrzeczne i niewdzięczne.

Z uśmiechem potrząsnął głową - podziwiał jej przywiązanie do Zacka.

- Zabrzmiało z rozpaczą i troską, ale ani trochę niegrzecznie. Odpowiedź jest prosta: Zack zapłacił agencji, równie dobrej jak ta, by jeszcze przed rozpoczęciem procesu sprawdziła wszystko. Nie znaleźli niczego, co mogłoby mieć znaczenie. Zack powiedział wtedy, że nie oczekuje ode mnie pomocy poza tym, co już zrobiłem. Rozgłos towarzyszący sprawie był mu wstrętny, zgodziłem się więc nie podejmować działań mogących jeszcze go zwiększyć.

- Czy twoi detektywi - zaczęła Julie niecierpliwie, chwytając się wątlej nitki nadziei, jaka, zdawało jej się, zabrzmiała w jego głosie - odkryli coś nowego?

Matt po krótkiej chwili wahania zdecydował, że nic złego się nie stanie, jeżeli poinformuje Julie o postępach w sprawie, zwłaszcza że postanowiła dzielić los jego przyjaciela.

- Część dotyczy Tony'ego Austina... - zaczął, ale Julie przerwała mu.

- On zabił Rachel?

- Tego nie powiedziałem - zaprzeczył szybko. - Gdyby znalazły się jakieś nowe dowody, nie byłoby mnie tutaj. Poinformowałbym o nich media, aby zmusić władze do podjęcia stosownych kroków.

- No to co odkryliście?

- Tony Austin złożył fałszywe zeznania. W czasie procesu powiedział, że jego romans z Rachel Evans ciągnął się od miesięcy i że byli „w sobie do szaleństwa zakochani”. Jak się teraz okazało, miał równocześnie romans z inną kobietą.

- Kim była? - zapytała bez tchu Julie. - Przecież to ona, z zazdrości o Rachel, mogła załadować strzelbę ostrą amunicją.

- Nic o niej nie wiemy. Dwa tygodnie przed morderstwem chłopiec hotelowy, który późnym wieczorem dostarczał szampana do apartamentu Austina, słyszał tam kobiecy głos. Ten sam boy zaniósł w tym dniu kolację do pokoju Zacka. Drzwi otworzyła mu Rachel, więc to nie ona była w sypialni Austina. Ale sposób działania sprawcy raczej nie wskazuje na kobietę, bardziej podejrzewałbym Austina.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo Zack zawsze go podejrzewał i w końcu udzieliło mi się jego przekonanie - powiedział z głębokim westchnieniem. - Gdyby sąd nie przyznał jej po rozwodzie znacznej części majątku Zacka i przyszło im żyć z Austinem z pieniędzy Rachel, nie pociągnęliby długo. A przecież, dopóki Zack nie pokierował jej karierą, zarabiała raczej kiepsko. W dodatku od chwili, gdy prasa dowiedziała się, że oszukuje męża, jej notowania u publiczności, a tym samym zdolność zarobkowania, obniżyły się dramatycznie.

- Natomiast romans Austina z inną kobietą w dużym stopniu przeczy jego zeznaniu o tej ich „szalonej” miłości. Pozostaje więc możliwość, że jego zainteresowanie Rachel było wyłącznie natury finansowej i gdy po przyłapaniu jej przez męża plany wzięły w łeb, kochanek postanowił się jej pozbyć. Możliwe także, że nigdy nie zamierzał ożenić się z Rachel i zabił ją, bo zbyt mocno na niego naciskała - kto wie. Co więcej, Austin był jedyną osobą rzeczywiście posiadającą kontrolę nad bronią podczas sceny, którą filmowali. Nawet gdyby Zack nie zmienił scenariusza i Rachel, a nie Austin, oddała pierwszy strzał, aktor był wystarczająco silny, by w momencie wystrzału skierować strzelbę w jej stronę.

Julie wyobraziła sobie tę makabryczną scenę i przeszedł ją dreszcz.

- Czy Zack o tym wszystkim wie?

- Tak.

- Co powiedział? Czy poruszyła go ta wiadomość? Czy się cieszy?

- Cieszy? - powtórzył Matt z gorzkim śmiechem. - Gdybyś została skazana za zbrodnię popełnioną przez kogoś innego i nie miała żadnego wpływu na swą sytuację, byłabyś szczęśliwa, znajdując potwierdzenie, że to podejrzewana przez ciebie osoba, którą w dodatku pogardzasz najbardziej na świecie i która przyczyniła się do twego uwięzienia, jest sprawcą? I jeszcze coś - dodał. - Zdobyliśmy nowe informacje o obecnych na planie w Dallas, mogące wskazywać na niego a nie Austina.

- Jakiego rodzaju?

- Na przykład Diana Copeland, przed laty związana z Austinem -romans prawdopodobnie dawno wygasł - a jednak wciąż była zazdrosna o Rachel, i to na tyle, by po jej śmierci okazać zadowolenie. Z zazdrości mogła przyczynić się do śmierci rywalki. Mamy też Emily McDaniels, którą, po morderstwie, trzeba było na cały rok odesłać na medytację, by przyszła do siebie. Załamanie raczej przesadne jak na kogoś, kto był tylko świadkiem zbrodni. Asystent reżysera w tamtym filmie, Tommy Newton, także przez długi czas po zbrodni nie mógł wziąć się do żadnej pracy. I wszyscy wiedzą, co czuł do Austina. A więc widzisz - dodał ponuro - nowe dowody są zbyt słabe, wskazują na zbyt wiele osób, by okazać się użyteczne.

- Przecież nie może tak być! Policja, prokurator czy ktokolwiek, kto zajmuje się sprawą, powinien sprawdzić wiarygodność tych śladów.

- Władze sądownicze - powiedział pogardliwie - zdecydowały, że Zack jest winny, doprowadziły do aresztowania i osądzenia go. Nie chciałbym pozbawiać cię nadziei, ale to ostatni ludzie, którzy by chcieli wznowienia sprawy. Zrobiliby z siebie głupców, przyznając się do pomyłki. Gdybyśmy znaleźli niepodważalny dowód winy Austina czy kogoś innego, to aby zapobiec zatuszowaniu sprawy, zanim przekazalibyśmy materiał władzom, poszedłbym do prawników Zacka i mediów. Kłopot w tym, że nie mamy wielu szans na odkrycie czegoś ponadto, co dotychczas znaleźliśmy. Wykorzystaliśmy każdy sposób, by ustalić, kim była ta kobieta u Austina. On zaprzeczał jej istnieniu. Powiedział, że boy się pomylił, że głos pewnie pochodził z telewizora. - Matt ściszył głos, jakby w ten sposób mógł złagodzić cios, jaki zaraz zada. - Zack wie, że jest prawie pewne, iż to Austin jest mordercą. Ale poznał także nasz wymiar sprawiedliwości. Dopóki nie przedstawimy stuprocentowych dowodów, a obawiam się, że takie nie istnieją, nikt w tej sprawie nawet nie kiwnie palcem. Ważne, byś to zrozumiała. Opowiedziałem ci o wszystkim, bo postanowiłaś dołączyć do Zacka. Te informacje mogą ci pomóc, gdybyś zaczęła wątpić w jego niewinność.

Fatalizm Marta drażnił Julie.

- Nigdy nie przestanę mieć nadziei. Będę się modlić i zanudzać Boga tak długo, aż twoi ludzie odnajdą potrzebny dowód.

Wyglądała, jakby dla Zacka była gotowa walczyć z całym światem. Matt odruchowo przytulił ją mocno do piersi.

- Zackowi nareszcie dopisało szczęście - powiedział serdecznie. - Dobrze, módl się - dodał, wypuszczając ją z objęć - przyda się każda pomoc. - Sięgnął do kieszeni, wyjął pióro i wizytówkę i na odwrocie napisał dwa numery telefoniczne oraz adres. - To są nasze domowe telefony w Chicago i Carmel. Jeżeli nie znajdziesz nas pod żadnym, zadzwoń do mojej sekretarki, numer jest na wizytówce. Zostawię u niej informację, gdzie jesteśmy i jak się z nami można skontaktować. Adres na odwrocie to adres naszego domu w Chicago. Zack chciał także, bym ci przekazał ten czek.

Julie potrząsnęła głową.

- Napisał w liście, na co mają być przeznaczone te pieniądze - nie będę ich potrzebowała.

- Przykro mi, że nic więcej nie mogę zrobić - powiedział Matt łagodnym tonem. - Bardzo współczuję i tobie, i Zackowi.

Julie znów pokręciła głową.

- Byłeś wspaniały, dziękuję za poinformowanie mnie, czego dokonałeś.

Gdy wyszedł, by poczekać w samochodzie z O'Harą, podała Meredith ubranie, to przywiezione z Kolorado.

- Zauważyłam, że Matt jest tego samego wzrostu i budowy co Zack, a ja o dwa cale od ciebie niższa. Domyślałam się, że to twoje... zgadłam? - Gdy Meredith skinęła głową, Julie mówiła dalej: - Musiałam je nosić, potem oddałam do pralni chemicznej. Zamierzałam przesłać je pocztą do tamtego domu, ale nie miałam skąd wziąć adresu.

- Zatrzymaj je - powiedziała wzruszona Meredith - dla wspomnień. Julie przytuliła szmatki do piersi.

- Dziękuję.

Meredith poczuła ucisk w sercu na widok tego wszystko mówiącego gestu.

- Masz rację, Zack na pewno bez chwili zwłoki skontaktuje się z Mattem. Ale czy ty jesteś pewna, że chcesz przechodzić przez to wszystko? Złamiesz prawo i od tej chwili znajdziesz się na liście poszukiwanych. Nawet jeżeli dopisze wam szczęście i tak przez resztę życia będziecie musieli się ukrywać.

- No to odpowiedz mi... - patrzyła Meredith prosto w oczy - ...gdyby to Matt był gdzieś tam, daleko, opuszczony, ale pełen miłości do ciebie, gdyby to on napisał ten list, jak

byś postąpiła? Powiedz szczerze - prosiła, czując, że jej nowa przyjaciółka może próbować wykręcić się od odpowiedzi.

Meredith oddychała pośpiesznie.

- Wsiadłabym do pierwszego samolotu, na statek, do samochodu, choćby ciężarówkę, byle znaleźć się przy nim. - Objęła Julie mocno i szepnęła: - Nawet skłamałabym, że jestem w ciąży, by pozwolił mi do siebie przyjechać.

Julie zaniepokoiła się.

- Skąd przyszło ci do głowy, że nie spodziewam się dziecka?

- Z wyrazu twojej twarzy, gdy Matt spytał o to. Zresztą, zanim zdążyłaś się powstrzymać, zaprzeczyłaś ruchem głowy.

- Nie powiesz Mattowi, prawda?

- Nie mogę - rzekła z westchnieniem Meredith. - Nigdy nie miałam przed nim tajemnic, ale jeżeli powiem, on poinformuje Zacka. Zrobi to, by chronić was oboje. Mimo że świetnie to ukrywa, strasznie się boi skutków tego, co zamierzasz. Ja także.

- No to dlaczego mi pomagasz?

- Bo nie wyobrażam sobie, jak moglibyście spędzić życie z dala od siebie- powiedziała Meredith z prostotą. - A także - dodała z uroczym uśmiechem - bo wierzę, że na moim miejscu zrobiłabyś to samo.

Julie z werandy pomachała im na pożegnanie i wróciła do domu. Wzięła do rąk list Zacka. Usiadła i przeczytała go ponownie, pozwalając, by słowa natchnęły ją entuzjazmem i odwagą.

*Kocham Cię, Julie. Chryste, jak bardzo. Oddałbym całe życie za jeden rok z Tobą. Za sześć miesięcy, za trzy. Za chwilę... Zanim Cię spotkałem, nie myślałem o stosunku seksualnym jako o „kochaniu się”... Ten list jest ostatni, więc nie oczekuj następnych. Sprawiłoby, że zaczęlibyśmy mieć nadzieję, odżyłyby marzenia, a wtedy umarłbym chyba z tęsknoty za Tobą.*

Znów pomyślała o jego słowach tam, w Kolorado, o okazanym jej pogardliwym rozbawieniu, gdy wyznała mu miłość: „Nie kochasz mnie, Julie, nie potrafisz odróżnić dobrego seksu od prawdziwej miłości. Teraz bądź grzeczną dziewczynką i wracaj do domu, gdzie twoje miejsce”. Potem porównała je z uczuciami wyrażonymi w liście.

*Kocham Cię, Julie! Kochałem Cię w Kolorado, kocham Cię tu... gdzie jestem. Będę Cię kochał zawsze, wszędzie.*

Z podziwem potrząsnęła głową.

- Jakże się różnimy! Nic dziwnego - szepnęła czule - że zdobyłeś Nagrodę Akademii. - Wstała, pogasiła w salonie światła, ale list, by móc go czytać bez końca, zabrała do sypialni. - Zadzwoń, Zack - prosiła całym sercem - wydobądź nas z dna rozpacz. Zadzwoń szybko, kochanie.

W domu obok bliźniaczki Eldridge wciąż jeszcze, co o tak późnej porze było dla nich niezwykle, nie kładły się spać.

- Mówił, by do niego zatelefonować - przekonywała Ada Eldridge siostrę.- Pan Richardson nalegał, by dzwonić do niego do Dallas, niezależnie od pory dnia i nocy, gdybyśmy zauważyły obcych lub coś niezwykłego w domu Julie Mathison. A teraz daj mi kartkę z numerem rejestracyjnym samochodu, zaparkowanego tam przez pół nocy, bym mogła mu podać.

- Ależ, Ado - zaprotestowała Flossie, ukrywając w dłoni kawałek papieru.- Nie sądzę, byśmy powinny szpiegować Julie. Nawet dla FBI.

- Nie szpiegujemy! - Ada obeszła Flossie i wyrwała jej z ręki karteluszek.- Pomagamy tylko chronić Julie przed... tym nikczemnym potworem, który ją porwał. Te jego obrzydliwe filmy! - dodała. Podniosła słuchawkę.

- Wcale nie są obrzydliwe! To dobre filmy i uważam, że Zachary Benedict jest niewinny. Julie też tak sądzi. Powiedziała mi to w zeszłym tygodniu, w telewizji też tak mówiła. Nie zrobił jej nic złego, więc nie widzę powodu, dlaczego miałby próbować teraz. Myślę - zauważyła Flossie - że Julie jest w nim zakochana.

Ada na chwilę przestała wystukiwać numer kierunkowy do Dallas.

- Jeżeli tak - powiedziała z niesmakiem - to jest taką samą romantyczną idiotką jak ty. Zmarnuje życie dla takiego nic niewartego aktora filmowego, tak jak ty dla tego beznadziejnego Hermana Henklemana, który nie jest wart nawet godziny twojego czasu. Nigdy nie był!

## ROZDZIAŁ 52

Cztery dni później, w miejscu zupełnie niespodziewanym, Julie odebrała telefon, na który z takim utęsknieniem czekała.

- Och, Julie -zawołała sekretarka dyrektora, gdy dziewczyna pod koniec dnia weszła do gabinetu z dziennikami. - Jakiś pan Stanhope dzwonił do ciebie dzisiaj po południu. - Julie zastanowiła się przez ułamek sekundy, zanim skojarzyła nazwisko z osobą, wtedy zamarła.

- Co powiedział? - zapytała, przerażona rozpaczą we własnym głosie.

- Wspomniał, że chce zapisać syna do twojej klasy dla dzieci kalekich. Zakomunikowałam mu, że już nie mamy wolnych miejsc.

- Dlaczego, na Boga, powiedziałś mu coś takiego?

- Bo słyszałam, Jak pan Duncan wspominał o przeladowaniu klas. W każdym razie pan Stanhope oświadczył, że sprawa jest pilna, dlatego zadzwoni do ciebie dzisiaj, o siódmej wieczorem. Przekonywałam go, że to nie ma sensu, bo nasi nauczyciele nie pracują o tak późnej porze, ale on się uparł.

Zack najwyraźniej obawiał się dzwonić do niej do domu, bo telefon mógł być na podsłuchu, dlatego próbował złapać ją tutaj, w szkole. Po nieudanej próbie może już więcej nie zadzwonić! Z trudem udało jej się zapanować nad wybuchem gniewu na tę leniwą, wścibską babę.

- Jeżeli powiedział, że to pilne - rzuciła z niezwykłą dla niej gwałtownością - dlaczego mnie nie zawołałaś?

- Nauczycielom nie wolno prowadzić prywatnych rozmów w godzinach lekcji. Zarządzenie pana Duncana. Jak podkreślał, bardzo zależy mu na jego przestrzeganiu.

- Przecież to nie była sprawa osobista - powiedziała Julie. Zaciśnęła dłonie, paznokcie wbiły się w ciało. - Czy mówił, gdzie zadzwoni, tutaj czy do domu?

- Nie.

O szóstej czterdzieści pięć Julie siedziała w sekretariacie szkoły. Wszyscy poszli już do domu. Wpatrywała się w aparat na biurku, na którym, w przypadku połączenia, zaświeciłby się sygnalizator. Jeżeli zadzwoni do niej do domu, a nie tutaj... wołała się nad tym nie zastanawiać. Może pomyśleć, że zmieniła zdanie i więcej nie zadzwonić. Na zewnątrz szklanych ścian, otaczających sekretariat, korytarze były ciemne i puste. Gdy w drzwiach ukazała się twarz woźnego, skoczyła jak oparzona.



- Strasznie długo dzisiaj pani pracuje - powiedział Henry Rucheart, w uśmiechu ukazując szczerbę w uzębieniu górnej szczęki.

- Tak. - Julie pośpiesznie wzięła leżący przed nią pusty notatnik i uniosła długopis. - Muszę napisać takie... specjalne sprawozdanie. Czasem łatwiej jest myśleć tu niż w domu.

- Coś słabo idzie, przed chwilą widziałem, jak patrzyła pani przed siebie - powiedział.  
- Myślałem, że czeka pani na telefon...

- Nie, skądże znowu.

Aparat przy jej łokciu odezwał się przenikliwym dzwonkiem.

Chwyciła słuchawkę i wcisnęła guzik.

- Halo?

- Cześć, siostrzyczko - rozległ się głos Carla. - Dzwoniłem i dzwoniłem do ciebie do domu, w końcu postanowiłem spróbować w szkole, no bo gdzie miałem cię szukać? Jadłś już kolację?

Julie przeczesła palcami włosy. Zastanawiała się, co zrobi Zack po usłyszeniu sygnału „zajęte”.

- Mam dzisiaj mnóstwo roboty - powiedziała. Rzuciła zniecierpliwione spojrzenie w stronę Henry'ego, który akurat teraz postanowił wejść do środka i opróżnić kosze na śmieci.  
- Usiłuję napisać takie tam sprawozdanie i jakoś ciężko mi idzie.

- Czy wszystko u ciebie w porządku? - dopytywał się. - Przed chwilą spotkałem w mieście Katherine, mówiła, że w tym tygodniu zamierzasz spędzać każdy wieczór w samotności.

- Wszystko idzie świetnie, fantastycznie! Rzuciłam się w wir pracy, tak jak mi radziłeś, pamiętasz?

- Nie przypominam sobie.

- No to może ktoś inny, myślałam, że ty. Dziękuję za telefon, muszę kończyć. Kocham cię - powiedziała na koniec i odwiesiła słuchawkę. - Henry! - wybuchnęła. - Nie możesz sprzątać biura na samym końcu? Nie jestem w stanie myśleć, jak strzelasz tymi kosztami - dodała, nieco wyolbrzymiając hałas, jaki robił.

Posmutniał.

- Przepraszam, panno Julie. No to skończę zmiatać hol. Mogę?

- Oczywiście. Wybacz, Henry. Jestem trochę... zmęczona - powiedziała z uśmiechem, który miał wyglądać promiennie, a wypadł niezbyt przekonująco. Patrzyła, jak woźny idzie na drugi koniec holu i po drodze włącza światła. Tylko spokój, pomyślała rozgorączkowana, nie mówić ani nie robić rzeczy mogących wzbudzić podejrzenia.

Punktualnie o siódmej zadzwonił telefon. Sięgnęła po słuchawkę.

Głos Zacka wydawał się jeszcze niższy niż zwykle, był chłodny i szorstki:

- Jesteś sama, Julie?

- Tak.

- Czy jest coś takiego na świecie, czym mógłbym odwieść cię od tego szalonego pomysłu?

Nie to chciała usłyszeć, nie takim tonem. Skupiła się na słowach, jakie napisał. Nie pozwoli zepchnąć się do defensywy!

- Owszem, jest coś takiego - odparła cicho. - Powiedz mi, że w liście napisałeś same kłamstwa.

- Świetnie - zgodził się - kłamstwa co do jednego.

Julie ścisnęła w dłoni słuchawkę, opuściła powieki.

- Teraz chcę usłyszeć, że mnie nie kochasz, kochanie.

Usłyszała, jak Zack bierze głęboki oddech. Jego głos zabrzmiał rozpaczliwym błaganiem:

- Nie nalegaj, proszę.

- Tak bardzo cię kocham - zapewniła żarliwie.

- Nie rób mi tego, Julie...

Palce zaciskające się na słuchawce poluzowały uchwyt. Uśmiechnęła się, wiedziała, że zwyciężyła.

- Nie mogę... - powiedziała z czułością - nie potrafię przestać cię kochać. Jest tylko jedno rozwiązanie, na które się zgadzam, już ci je proponowałam.

- Jezu, to nie jest...

- Oszczędź modlitwy na później, kochanie - szepnęła żartobliwie. - Kolana będą ci potrzebne, gdy się tam pojawię. Będziesz modlił się, bym lepiej nauczyła się gotować, bym dała ci choć trochę w nocy się przespać, bym przestała rodzić ci dzieci...

- Och, Julie... nie. Na Boga, nie.

- Nie, co?

Odetchnął głęboko i milczał przez tak długą chwilę, że już przestała liczyć na odpowiedź. W końcu wybuchnął żarliwą prośbą:

- Nie przestawaj mnie kochać... nigdy!

- Mogę ci to przyrzec w obecności księdza, mułty, a nawet buddyjskiego mnicha.

Te słowa sprawiły, że się roześmiał. Wspomnienie jego olśniewającego uśmiechu wywołało w sercu ból.

- Czy mówimy o małżeństwie? - usłyszała z oddali.

- Ależ oczywiście, kochanie.

- Powinienem był się spodziewać, że będziesz nalegała. Szorstki ton zupełnie mu nie wyszedł. Julie dalej prowadziła tę grę - musiała przecież poprawić jego nastrój.

- Czyżbyś nie zamierzał się ze mną ożenić?

- Ponad wszystko - odpowiedział poważnie.

- W takim razie powiedz mi, jak do ciebie trafić i podaj rozmiar obrączki.

Chwila milczenia, jaka nastąpiła, wystawiła jej nerwy na poważną próbę. Potem nie istniało już nic poza jego słowami i cudownym uczuciem uniesienia.

- W porządku, dokładnie za osiem dni, wieczorem, będę czekał na ciebie na lotnisku w Mexico City. We wtorek wczesnym rankiem wsiądź w auto i jedź do Dallas. Tam wynajmij samochód na własne nazwisko i udaj się do San Antonio. Ale nie zwracaj go, zostaw na parkingu przy lotnisku - w końcu go znajdą. Przy odrobinie szczęścia spokojnie doleczysz na miejsce spotkania, tak szybko nie zaalarmują lotnisk. Podróż autostradą do San Antonio zabierze ci nie więcej niż kilka godzin. Bilet na nazwisko Susan Arland, na lot do Mexico City o czwartej, będzie na ciebie czekał na stanowisku Meksykańskich Linii Lotniczych. Masz jakieś pytania?

Julie uśmiechnęła się: Zack najwyraźniej oczekiwał takiego zakończenia rozmowy, bo pomyślał o wszystkim.

- Jedno. Dlaczego nie możemy spotkać się wcześniej?

- Muszę załatwić kilka spraw. Gdy we wtorek rano będziesz opuszczać dom, nie bierz ze sobą niczego. Nie pakuj walizki, niech nikt nie zauważy, że szykujesz się do podróży. W czasie jazdy co pewien czas popatrz w lusterko i upewnij się, czy ktoś za tobą nie jedzie. Jeżeli zauważysz, że jesteś śledzona, wstąp do kilku sklepów. Wracaj do domu i czekaj na wiadomość ode mnie. Od teraz dokładnie sprawdzaj skrzynkę pocztową. Przeglądaj wszystko, nawet reklamy. Jeśli w naszych planach nastąpi zmiana, ktoś się z tobą skontaktuje. Albo pocztą, albo osobiście. Nie możemy korzystać z twojego domowego telefonu, jestem pewien, że założono podsłuch.

- Kto się u mnie zjawi?

- Nie mam pojęcia, ale gdy ta chwila nastąpi, nie sprawdzaj posłańcowi dokumentów.

- Nie będę. - Julie skrzętnie notowała polecenia Zacka. - Nie sądzę, by mnie śledzono.

Obydwaj agenci FBI, Paul Richardson i David Ingram, chyba się ode mnie odczepili, bo jeszcze w zeszłym tygodniu wrócili do Dallas.

- Jak się czujesz?

- Cudownie.

- Żadnych porannych mdłości?

Poczuła wyrzuty sumienia. By nie uciekać się do kłamstwa, odpowiedziała wymijająco:

- Jestem bardzo zdrową kobietą, myślę, że moje ciało zostało stworzone do macierzyństwa. A dla ciebie na pewno.

Przełknął ślinę na tę przesiąkniętą erotyzmem aluzję.

- Dręcz mnie, dręcz, później ci odpłacę.

- Obiecujesz?

Roześmiał się gardłowym śmiechem, czym sprawił, że ogarnęła ją fala gorąca. Następne słowa poruszyły ją jeszcze bardziej:

- Tęsknię za tobą, Julie, o Boże, jak bardzo! - I jakby chciał sprowadzić ją na ziemię, dodał: - Nie będziesz mogła pożegnać się z rodziną, wiesz o tym. Możesz zostawić im list, który znajdą dopiero siedem dni po twoim odjeździe. Potem już nigdy nie będziesz mogła się z nimi kontaktować.

- Wiem. - Zamknęła oczy.

- I jesteś na to przygotowana?

- Tak.

- Dość smutny początek wspólnego życia. - W głosie Zacka słyszała napięcie. - Zrywanie wszelkich więzów, doprowadzenie rodziny do rozpacz. To jakby wystawianie się na przekleństwo losu!

- Nie mów takich rzeczy! - Julie wstrząsnął dreszcz. - W liście postaram się im wszystko wytłumaczyć. Poza tym, opuszczanie rodziców, by podążyć za mężem, ma wymiar niemal biblijny. - Nie chcąc dopuścić, by wziął górę ponury nastrój, zapytała: - Co w tej chwili robisz, stoisz czy siedzisz?

- Jestem w pokoju hotelowym, siedzę na łóżku i rozmawiam z tobą.

- Zatrzymałeś się w hotelu?

- Nie. Wynająłem pokój, by z dala od ciekawskich uszu móc spokojnie porozmawiać. No i mieć gwarancję przyzwoitego połączenia ze Stanami.

- Gdy będę dzisiaj zasypiać, pragnę mieć przed oczami to co ty. Opisz swoją sypialnię, ja ci opowiem, jak wygląda moja.

- Julie - powiedział ochryłym głosem - doprowadzasz mnie do szczytów pożądania.

Nie miała takich intencji, ale jego słowa sprawiały przyjemność.

- Potrafię?

- Wiesz, że tak.
- Samym wspomnieniem sypialni?
- Czegokolwiek.

Roześmiała się szczerze, naturalnie, co od początku znajomości przychodziło jej bez trudu.

- Podaj wreszcie rozmiar.
- Sypialni?
- Palca, na którym nosisz pierścionek. Wzięła głęboki oddech.
- Chyba pięć i pół, a twój?
- Nie wiem, duży.
- A jaki jest kolor?
- Palca?
- Nie - parsknęła śmiechem - twojej sypialni.

- Spryciara! - przyznał. Ale zaraz jego głos spowaźniał. – Znajduje się na łodzi, ściany z tekowego drewna, mosiężna lampa, szafka, a nad łóżkiem twoje wycięte z gazety zdjęcie.

- To właśnie masz przed oczyma, gdy zasypiasz?
- Ja nie śpiam, Julie, tylko leżę i rozmyślam o tobie. Lubisz łodzie?

Julie znów odetchnęła głęboko. Starła się zapamiętać każdy szczegół, jaki wymienił.

- Uwielbiam na nich przebywać.
- A jaka jest twoja sypialnia?

- Cała w koronkach. Białe koronki na kapie przykrywającej łóżko, na zasłonach i na toaletce. Na nocnym stoliku stoi twoje zdjęcie.

- Skąd je masz?
- Ze starego czasopisma, z biblioteki.
- Ściągnęłaś gazetę z biblioteki i pocięłaś? - zapytał zaskoczony.
- Ależ skąd. Mam zasady, przecież wiesz. Zgłosiłam, że ją zniszczyłam i zapłaciłam

karę. Zack - starała się nie okazywać paniki - za szklaną ścianą sekretariatu krząta się woźny. Nie sądzę, by mógł mnie usłyszeć, ale zachowuje się podejrzanie.

- Zaraz odwieszę słuchawkę. Mów do telefonu, jakby rozmowa trwała dalej. Spróbuj wprowadzić go w błąd jakimiś niewinnymi uwagami.

- W porządku. Zaczekaj! Odchodzi. Pewnie brał jakąś miotłę.

- Lepiej już się rozłączmy. Jeżeli masz coś do załatwienia przed wyjazdem, zrób to w przyszłym tygodniu.

Skinęła głową, nie mogła znaleźć słów, by opisać żal, jaki ogarnie ją po zakończeniu rozmowy.

- Jest jeszcze... - dodał cicho.

- Tak?

- Każde słowo, które napisałem, jest prawdą.

- Wiem. - Wyczuła, że Zack zaraz się rozłączy, więc szybko dodała: - Co myślisz o informacjach, jakie Matt zdobył o Austynie? Chociaż twój przyjaciel nie uważa, by na ich podstawie dało się przedsięwziąć kroki prawne, musi być przecież sposób...

- Nie mieszaj się - ostrzegł Zack lodowatym tonem. - Austina pozostaw mnie. Istnieją inne sposoby... bez wplątywania Matta.

- Jakie?

- Nie pytaj. Jeżeli w drodze do mnie napotkasz trudności, nie proś go o pomoc. To, co robimy, jest nielegalne i nie chcę, by wikłał się w sprawę jeszcze bardziej.

Julie, na dźwięk jego złowieszczonego tonu, zadrżała.

- Zanim się rozłączysz, powiedz coś miłego - poprosiła.

- Coś miłego - powtórzył, już łagodniej. - A co byś chciała usłyszeć?

Zrobiło jej się trochę przykro, że sam się nie domyślił, ale zaraz usłyszała ten znajomy, gardłowy śmiech.

- Dokładnie za trzy godziny idę do łóżka - bądź tam ze mną. Gdy zamkniesz oczy, znajdziesz się w moich ramionach.

- Uwielbiam to. - Głos Julie przeszedł w drżący szept.

- Od naszego rozstania przytulałem cię każdej nocy. Dobranoc, kochanie.

- Dobranoc.

Odwiesił słuchawkę. I wtedy przypomniała sobie, że ma prowadzić beztruską rozmowę. Zamiast udawać - mogłaby wypaść nieprzekonująco - zadzwoniła do Katherine i przez pół godziny rozmawiały o wszystkim i niczym. Po skończeniu podała kartkę z instrukcjami Zacka. Zaraz przypomniała sobie oglądany w telewizji kryminał, w którym sprawę wyjaśniono dzięki przebitce pisma na bloczku do pisania, więc też go zniszczyła.

- Dobranoc, Henry - wesoło pożegnała woźnego.

- Dobranoc, panno Julie - rozległo się z końca korytarza.

Julie opuściła szkołę bocznymi drzwiami. Henry poszedł w jej ślady, ale dopiero trzy godziny później - po rozmowie z Dallas.

## ROZDZIAŁ 53

Julie wrzuciła weekendową walizeczkę na tylne siedzenie samochodu. Popatrzyła na zegarek, by upewnić się, czy ma dość czasu do południowego lotu i wróciła do domu. Gdy wsadzała do zmywarki naczynia po śniadaniu, zadzwonił wiszący na ścianie telefon. Ujęła słuchawkę.

- Cześć, ślicznotko - głos Paula Richardsona brzmiał serdecznie i szorstko zarazem; dziwna kombinacja, pomyślała. - Wiem, że to niespodziewana propozycja, ale bardzo chciałbym, byśmy w ten weekend się spotkali. Mógłbym przylecieć z Dallas i zabrać cię jutro na kolację walentynkową. A może jeszcze lepiej - przyleć do mnie, sam coś przygotuję.

Julie pomyślała, że jeżeli ją obserwują, taki niewinny weekend uśpiłby czujność jej prześladowców, jednak miała inne plany.

- Nie mogę, Paul, za pół godziny wyjeżdżam na lotnisko.

- Dokąd się wybierasz?

- Czy pytasz służbowo? - Przycisnęła słuchawkę brodą do ramienia i równocześnie wycierała szklanekę.

- Jakby tak było, czy nie powiedziałbym wprost?

Sympatia i zaufanie, jakie w niej wzbudził, walczyły z ostrożnością wywołaną telefonem Zacka. Zanim wsiądzie do samochodu, by na zawsze opuścić Keaton, pomyślała, powinna, jeśli to możliwe, trzymać się prawdy.

- Skąd mam wiedzieć?

- Co mam zrobić, Julie, byś mi zaufała?

- Rzuć pracę!

- Musi istnieć jakieś łatwiejsze rozwiązanie.

- Przed wyjazdem mam jeszcze coś do załatwienia. Porozmawiamy, jak wrócę.

- Skąd i kiedy?

- Jadę do małego miasteczka w Pensylwanii, do Ridgmont, odwiedzić babkę przyjaciela. Wracam jutro, późnym wieczorem.

Westchnął.

- W porządku. Zadzwonię do ciebie w przyszły weekend, wtedy się umówimy.

- Niech będzie - odpowiedziała z roztargnieniem. Nalała płynu do zmywarki, zatrzasnęła drzwiczki.

U siebie w biurze Paul Richardson odłożył słuchawkę. Wybrał następny numer i niecierpliwie bębniąc palcami o blat biurka, czekał na odpowiedź. Po pierwszym sygnale podniósł słuchawkę, usłyszał w niej kobiecy głos:

- Panie Richardson, Julie Mathison ma rezerwację na samolot z Dallas do Ridgemont w Pensylwanii, z międzylądowaniem w Filadelfii - lot według rozkładu. Potrzebne jeszcze jakieś informacje?

- Nie - odrzekł z westchnieniem ulgi. Wstał, podszedł do okna i ze zmarszczonymi brwiami obserwował, niewielki w weekend, ruch na bulwarze.

- No i ? - spytał wychodzący z pomieszczenia obok David Ingram. - Co ci powiedziała o tej walizce w samochodzie?

- Prawdę, do cholery! Bo nie ma nic do ukrycia.

- Bzdura. Wolisz nie pamiętać o tym telefonie z Ameryki Południowej, który odebrała w szkole, tamtego wieczora.

Paul odwrócił się gwałtownie.

- Z Ameryki Południowej? Udało ci się go namierzyć?

- Tak, pięć minut temu otrzymałem potrzebne dane. Rozmowa przeszła przez centralę w Santa Lucia Del Mar.

- Benedict! - Paul gniewnie zacisnął usta. - Pod jakim nazwiskiem się zameldował?

- Jose Feliciano - odpowiedział Ingram. - Ten bezczelny drań zarejestrował się jako Jose Feliciano.

- Używa paszportu na to nazwisko? - Paul popatrzył z niedowierzaniem.

- Recepcjonistka nie żądała dokumentów, wzięła Benedicta za miejscowego. Czemu nie, ma ciemną karnację, podał hiszpańskie nazwisko i mówi po hiszpańsku, umiejętność w Kalifornii bez wątpienia przydatna. A teraz jeszcze nosi brodę.

- Przypuszczam, że już sprawdziłeś te informacje?

- Oczywiście. Zapłacił za jedną noc z góry, pokój zwolnił następnego ranka. Łóżko było nieruszone.

- Może znowu tam się pojawić, by telefonować. Weź hotel pod obserwację.

- Już się tym zajęto.

Paul wrócił za biurko i opadł na krzesło.

- Rozmawiała z nim przez dziesięć minut - zauważył Ingram. - W sam raz na zrobienie planów.

- Także wystarczająco długo, by przekazać wyrazy współczucia i upewnić się, że wszystko w porządku. Dziewczyna ma miękkie serce i wierzy, że ten drań padł ofiarą



fatalnego zbiegu okoliczności, nie zapominaj o tym. Gdyby chciała z nim zostać, razem opuściliby Kolorado.

- Może nie zgodził się.

- Masz rację - powiedział Paul z ironią. - A teraz, po tygodniach niewidzenia, do tego stopnia oszalał na jej punkcie, że naraził się na zdradzenie miejsca pobytu, byleby tylko mieć ją przy sobie.

- Wygadujesz bzdury - rzucił ostro Ingram - sam nie postąpiłbyś inaczej. Już dość się naraziłeś szefowi ciągłym chronieniem tej kobiety, a nic nie zmadrzałeś. Jak opowiadała o tym, co działo się w Kolorado, kłamała jak z nut. Powinniśmy byli od razu wyrecytować jej formułkę i zgarnąć...

Paul całym wysiłkiem woli starał się pamiętać, że gniew Ingrama bierze się wyłącznie z troski o niego.

- Nie znaleźliśmy żadnych dowodów uzasadniających nasze podejrzenia - przypomniał chłodno przyjacielowi.

- Od pięciu minut, od otrzymania wiadomości o tej rozmowie telefonicznej, już je mamy.

- Jeżeli się nie mylisz, dziewczyna zaprowadzi nas prosto do Benedicta. Niczego nie tracimy.

- Zanim tu wszedłem, Paul, poleciłem, by obserwowano ją przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Richardson zacisnął zęby, z trudem powstrzymywał się od krytyki działań Dave'a - sam nie postąpiłby inaczej. Ale nie darował sobie uwagi:

- Czy mogę ci przypomnieć, że dopóki mnie nie zdejmą, ja prowadzę tę sprawę? Dlatego, zanim wykonasz następny ruch, bądź łaskaw uzgodnić go ze mną. Zrozumiano? - warknął.

- Zrozumiano! - niemniej gniewnie rzucił Dave. - Dowiedziałeś się czegoś więcej o samochodzie parkującym w zeszłym tygodniu przed jej domem?

Paul pchnął w stronę partnera kartkę z raportem.

- Został wynajęty w Dallas u Hertza, przez niejakiego Josepha A. O'Hare. Adres chicagowski. Nie figuruje w rejestrze skazanych, czysty jak nowo narodzone dziecko. Pracuje w Collier Trust jako kierowca i ochroniarz.

- Czy to bank?

- Jest Collier Bank and Trust w Houston, z filiami w całym kraju.

- Czy przyszło ci do głowy spytać tę panienkę o jej gości z Chicago? Przed chwilą z nią rozmawiałeś.

- I tym samym ostrzec, że jest pod obserwacją, byś znów mógł oskarżyć mnie o stosowanie wobec niej taryfy ulgowej?

Ingram westchnął ciężko i rzucił raport o O'Harze na biurko kolegi.

- Słuchaj no, Paul, przykro mi, ale nie chcę patrzeć, jak narażasz swoją karierę z powodu jakiejś dziewczyny, nawet takiej z ogromnymi, błękitnymi oczami i wspaniałymi nogami.

Paul wygodniej rozparł się na krześle i z ponurą miną powiedział:

- Któregoś dnia będziesz musiał błagać ją na kolanach o wybaczenie, inaczej nie pozwolimy ci zostać chrzestnym naszego pierwszego dziecka.

- Mam nadzieję, że taki dzień nadejdzie. Naprawdę, Paul, uczciwie tak myślę. - Ingram westchnął znowu, tym razem jeszcze ciężiej.

- To dobrze, dlatego trzymaj oczy z daleka od jej nóg.

Julie skończyła sprzątać kuchnię. Wyjęła z szafy płaszcz i już miała wyjść do samochodu, gdy rozległo się pukanie do drzwi frontowych. Z płaszczem pod pachą otworzyła. Stała jak wryta na widok Teda i Katherine.

- Już dawno nie widziałam was razem - zauważyła z zadowoloną miną.

- Katherine powiedziała mi, że wyjeżdżasz do Pensylwanii w roli ambasadora dobrej woli czy czegoś w tym stylu, z powodu tego przekłętego Zacka Benedicta. Co to za pomysł, Julie? - Wszedł do domu. Katherine, z miną winowajczyny, cicho wsunęła się za nim.

Julie odłożyła płaszcz i spojrzała na zegarek.

- Nie mam nawet pięciu minut na wytłumaczenie ci całej sprawy. Myślałam, że wczoraj w wystarczający sposób opisałam ją Katherine. - Normalnie Julie bardzo rozgniewałaby się z powodu mieszania się w jej życie, teraz wiedziała: za kilka dni opuści ich na zawsze. To po wstrzymało wybuch gniewu. - Chociaż uwielbiam oglądać was razem wolałabym, byście przyszli tu z innego powodu niż wspólna akcja przeciwko mnie.

- To moja wina - pośpiesznie tłumaczyła się Katherine. - Rano spotkałam Teda w mieście, pytał o ciebie. Nie mówiłaś, że ten wyjazd to tajemnica... - Głos jej się załamał.

- Bo nie jest.

- No to wytłumacz mi, po co jedziesz - wtrącił się Ted, twarz miał ściągniętą troską i niepokojem.

Julie zamknęła drzwi, odruchowo odrzuciła z czoła kosmyk włosów. Zastanawiała się, co im powiedzieć. Nie mogła przyznać się do przesadnego niepokoju wywołanego uwagą

Zacka o ich małżeństwie: zranią wiele serc, dlatego zawisnie nad nimi klątwa. Z drugiej strony, chciała powiedzieć im choć trochę prawdy, by później łatwiej mogli ją zrozumieć, i wybaczyć jej. Spojrzała na zmartwioną twarz Katherine, potem na gniewną Teda i łamiącym się głosem zaczęła:

- Znacie powiedzenie: „jaki początek, taki koniec”? - Katherine i Ted z zaskoczonymi minami wymienili spojrzenia, więc wyjaśniła: - Wierzycie, że sprawy, które rozpoczną się pod złą gwiazdą, nieuchronnie zmierzają do nieszczęśliwego końca?

- Ja tak - powiedziała Katherine.

- A ja nie - ponuro odezwał się Ted. - Czasami coś, co zaczyna się pięknie, ma smutne zakończenie. - Pewnie opiera swe sądy na małżeństwie z Katherine, pomyślała Julie.

- Chcesz mieszać się w moje życie - twoja sprawa. Ale w ten sposób dajesz mi prawo do wypowiadania się o twoim małżeństwie. Cały problem w tym, że ono nigdy tak naprawdę się nie skończyło. Katherine to wie, ty nie dopuszczałaś do siebie tej myśli. A teraz, by odpowiedzieć ci na pytanie o cel mojej podróży do Pensylwanii - mam jeszcze minutę: Zack został wychowany przez babkę, z którą rozstał się w bardzo nieprzyjemnych okolicznościach. Od tamtego czasu w sprawach osobistych nic mu się nie układało. Teraz, opuszczony przez wszystkich, próbuje rozpocząć nowe życie. Pragnę, by wreszcie spotkało go szczęście, by odnalazł spokój. I jestem przekonana - możesz nazwać to babskimi przesadami - że jeżeli uda się mi odbudować mosty spalone przez Zacka przed laty, powie mu się. - W głuchej ciszy, jaka nastąpiła, widziała, jak jedno i drugie wpada w zadumę, zapewne szukając argumentów, które mogłyby ją powstrzymać. Milczeli, więc ruszyła w stronę drzwi. - Zapamiętajcie moje słowa. - By ukryć wagę następnej prośby, starała się mówić głosem zupełnie wypranym z emocji. - Świadomość, że rodzina dobrze ci życzy, pomaga... nawet jeżeli robi się rzeczy, których nie akceptuje. Gdy cię znienawidzi, czujesz się jak obłożony klątwą.

Po chwili drzwi za Julie zamknęły się. Ted popatrzył z irytacją na Katherine.

- Co, u diabła, miała na myśli?

- Mnie wydawało się to oczywiste. - Katherine zaniepokoiło dziwne napięcie w głosie przyjaciółki. - Mój tata też jest trochę przesądny, ja również. Chociaż słowo klątwa zabrzmiało chyba za mocno.

- Nie o to chodzi. Co miała na myśli, mówiąc, że nasze małżeństwo nigdy się nie skończyło, że ty o tym wiesz?

W ciągu ostatnich tygodni Katherine podziwiała odwagę, z jaką Julie stawiała czoło FBI i reszcie świata, otwarcie wyznając swą wiarę w niewinność Zacka Benedicta. A przecież

odrzuć jej miłość i tak okrutnie zranił! Ostatnio Katherine z tuzin razy udało się znaleźć w bezpośredniej bliskości Teda, w czasie zajęć z gier sportowych z uczniami Julie, ale nie ujawniała swych uczuć, tylko starała się stopniowo przełamywać jego wrogość.

Początkowo przekonywała samą siebie, że najlepszym sposobem postępowania z Tedem jest zastosowanie strategii „krok po kroku” - żadnego gwałtownego wyznawania uczuć. Ale teraz, gdy patrzyła na mężczyznę, którego kochała, zrozumiała, że to obawa, by jej uczucia nie zostały podeptane, by nie wyrwać się z niewczesnymi deklaracjami, by raz na zawsze nie stracić nadziei, dyktowała jej, jak postąpić. Wiedziała o jego częstych spotkaniach z inną kobietą - odkąd wróciła do Keaton nawet jakby częstszych - i szybko pojęła: stan obecny pomiędzy nią a Tedem jest zaledwie rozejmem, jego uczucia względem niej nie zmieniły się ani na jotę; ciągłą obecnością zmusiła go, by krył pogardę pod chłodną maską uprzejmości.

Przeżywała rozterki: czy powinna natychmiast wyznać mu wszystko - inaczej oszaleje! - czy powstrzymać się, aby swoim niepohamowaniem nie narazić się na utratę tego, co dotychczas osiągnęła.

- Zastanawiasz się nad odpowiedzią czy kontemplujesz kształt mojego nosa? - zapytał poirytowany.

Ku swemu przerażeniu Katherine poczuła, że kolana uginają się pod nią, dłonie poca, ale odważnie podażyła wzrokiem na spotkanie chłodnego błękitu jego spojrzenia.

- Julie uważa, że nasze małżeństwo jeszcze się nie rozpadło, bo ja wciąż cię kocham.

- Skąd wzięła ten idiotyczny pomysł?

- Ode mnie - powiedziała łamiącym się głosem.

Brwi Teda zbiegły się w stromy łuk i aż zadrżała pod pełnym potępienia spojrzeniem.

- Powiedziałaś jej, że wciąż jesteś we mnie zakochana?

- Tak, także o tym, jaką byłam beznadziejną żoną i jak... jak straciłam nasze dziecko.

Nawet teraz, po latach, wspomnienie dziecka, którego, jak sądził, pozbyła się rozmyślnie, wyprowadziło Teda z równowagi do tego stopnia, że musiał walczyć z chęcią spoliczkowania jej; intensywność własnej furii przeraziła go.

- Żebyś nigdy ani mnie, ani nikomu innemu nie ważyła się wspominać dziecka, bo, na Boga, ja...

- Co zrobisz? - rozpaczliwie wybuchnęła Katherine. - Znienawidzisz mnie? Nie dasz rady bardziej niż ja siebie za to, co się stało. Rozwiedziesz się ze mną? Już to zrobiłeś. Nie uwierzysz, że doszło do wypadku? - ciągnęła histerycznym głosem. - To był wypadek! Koń, na którym jechałam, okułał...

- Do cholery, przestań! - zawołał. Ścisnął boleśnie ramiona Katherine i próbował usunąć ją na bok, żeby wyjść. Ale ona nie zwracała uwagi na ból; przycisnęła się mocno do drzwi, blokowała drogę.

- Nie mogę! - krzyczała. - Chce cię zmusić, byś zrozumiał. Od trzech lat staram się zapomnieć, co nam wyrządziłam! Od trzech lat zastanawiam się, jak odpokutować to wszystko, kim byłam, kim nie chcę być.

- Nie zamierzam dłużej tego słuchać! - Usiłował ją odepchnąć, zrobić sobie przejście. Ale ona przywarła do futryny i nie zwracała uwagi na palce wbijające się w jej ciało.

- Co ty, u diabła, ode mnie chcesz? - zapytał. Nie mógł oderwać jej od drzwi bez użycia brutalnej siły.

- Byś uwierzył. To był wypadek! - Rozpłakała się.

Ted walczył ze sobą. Starał się nie zwracać uwagi na jej słowa, na mokrą od łez, piękną twarz. Przecież, odkąd ją znał, nigdy nie widział, by płakała! Była zepsuta, dumna, samowolna, ale nigdy nie uroniła jednej łzy. Pewnie potrafiłby jej się oprzeć, gdyby nie uniosła ku niemu wilgotnych oczu i nie wyszeptwała rozpaczliwie:

- Przez te wszystkie lata oboje mieliśmy nieraz ochotę zapłakać nad smutnym końcem naszego małżeństwa; przytul mnie i chociaż pozwól dokończyć.

Wbrew swej woli rozluźnił uścisk na jej ramionach, ona przytuliła twarz do jego piersi, i już ją obejmował, a ona płakała. Ogarnął go słodki ból, gdy znów poczuł jej ciało - prawie skapitulował.

- To już skończone, Katherine, między nami koniec - usłyszała jego spokojny głos. Jeszcze nie dawał za wygraną.

- Pozwól mi chociaż powiedzieć słowa, z powodu których wróciłam do Keaton, abyśmy rozstali się jak przyjaciele, a nie wrogowie. - Przestał gładzić ją po plecach. Spodziewając się odmowy, wstrzymała oddech, ale gdy milczał, popatrzyła mu w oczy. - Czy naprawdę nie potrafisz uwierzyć, że rozmyślnie nie zabiłam naszego dziecka? - Zanim zdążył zaprzeczyć, dodała z bolesną otwartością: - Jeśli wrócisz pamięcią do przeszłości, to przyznasz, że w żadnym wypadku nie miałabym odwagi zaryzykować własnym życiem. Byłam takim tchórzem, bałam się krwi, pajaków, węży...

Teda, teraz starszego i mądrzejszego, uderzyła logika słów Katherine. W jej oczach dostrzegł prawdę; wściekłość i pogarda, jakie nagromadził w sobie przez tyle lat, odpływały. Owładnęło nim uczucie ogromnej ulgi.

- Bałaś się nawet moli.

Przytaknęła ruchem głowy. Widziała, jak wyraz wrogości nareszcie znika z twarzy Teda.

- Nawet nie wyobrażasz sobie, jak żałuję tego nieodpowiedzialnie egoistycznego wybryku, który kosztował nasze dziecko życie. Żałuję, że zniszczyłam nasze małżeństwo, że przez ten cały czas, gdy byliśmy razem, czyniłam z twojego życia koszmar...

- Nie było aż tak źle - zaprotestował - przynajmniej nie cały czas.

- Nie udawaj, by mnie pocieszyć. Dorosłam, nauczyłam się dostrzegać prawdę i jakoś sobie z nią radzić. A jest ona taka, że byłam beznadziejną żoną. Nie dość, że zachowywałam się jak zepsute, rozkapryszone, wciąż czegoś domagające się dziecko, to jeszcze nie było ze mnie żadnego pożytku. Nie gotowałam, nie sprzątałam, a gdy nie chciałeś spełniać moich zachcianek, nie spałam z tobą. Latami zbierałam się, by ci wyznać: nasze małżeństwo nie zakończyło się klęską ani ty jej nie poniosłeś - zawiodłam ja.

Ku jej zdumieniu z westchnieniem pokręcił głową.

- Zawsze byłeś dla siebie tak diabelnie twarda. I to się nie zmieniło.

- Jak to? - zapytała Katherine, z trudem tłumiąc śmiech. - Stroisz sobie ze mnie żarty albo miałeś już wcześniej taką roztrzępaną żonę! Jakby ci się myliło: ja byłam tą, która omal cię nie otruła przy tych nielicznych okazjach, gdy łaskawie postanowiła gotować. To ja, już w pierwszym tygodniu po ślubie, wypaliłam żelazkiem dziury w trzech twoich koszulach do munduru. To ja, zamiast na przodzie, zaprasowałam ci kanty na szwach spodni tak, że nogawki rozszerzały się na boki.

- Z tym truciem wcale tak nie wyglądało!

- Ted, nie przekonuj mnie! Po ślubie faceci w biurze szeryfa żartowali sobie z twoich żołądkowych przypadłości, sama słyszałam.

- Mieli rację! Jak cukierkami zajadałem się pastylkami na nadkwasotę. Nie umiałem uszczęśliwić żony i to zżerało mnie od środka.

Katherine tak długo czekała na wyznanie swych wad, błaganie go o wybaczenie, że nie zamierzała pozwolić, by rycerskością, zupełnie nie na czasie, jej przeszkodził.

- To nieprawda, dobrze o tym wiesz! Mój Boże, twoja matka dała mi nawet przepis na twoje ulubione danie, a ty, gdy wreszcie je ugotowałam, nie mogłeś przełknąć kęsa. Nie zaprzeczaj! - powiedziała gwałtownie, bo już kręcił głową. - Sama widziałam, jak po moim wyjściu z kuchni wyrzucałeś gulasz do śmieci. Z pewnością w ten sam sposób pozbywałeś się wszystkiego co upichciłam. I wcale nie mam ci tego za złe.

- Nieprawda, Jadłem wszystko, co przygotowałeś - odparł gniewnie - poza gulaszem. - Przykro mi, że widziałeś, jak się go pozbywałem, ale tego dania wręcz nie znoszę!

Twarz Katherine spochmurniała.

- To miał być twój przysmak!

- Nie mój, Carla! Matce zawsze się myliło.

Nagle uderzyła ich niedorzeczność kłótni; Katherine z chichotem oparła się o drzwi.

- Dlaczego mi wtedy o tym nie powiedziałeś?

- Nie uwierzyłybyś - Westchnął głęboko. Oparł rękę obok ramienia Katherine i spróbował jeszcze raz wytłumaczyć jej to, czego nie był w stanie, gdy miała dwadzieścia jeden lat. - W jakimś momencie swego młodego życia, jako piękna i mądra córka Dilliona Cahilla, ubzdurałaś sobie, że wszystko musisz robić idealnie, lepiej niż inni. Gdy ci się nie udawało w czymś celować, wściekałaś się i nie trafiały do ciebie żadne argumenty. Uważałaś, że życie to jak haft na płótnie, tutaj każdy ścieg musi zostać wykonany dokładnie, w odpowiedniej kolejności, inaczej całość jest do niczego. Kathy - powiedział cicho. Dźwięk zdrobniałego imienia - tylko on ośmielał się tak do niej mówić - jak i sposób, w jaki wierzchem dłoni odsunął włosy z jej ramienia, rozkleiły ją na dobre. - Po ślubie chciałaś pójść do college'u nie z egoizmu ani dla kaprysu. Uważałaś, że zakłóciłaś właściwy porządek rzeczy, wychodząc za mnie przed ukończeniem studiów w tej ekskluzywnej szkole na Wschodzie. A gdy pragnęłaś tej przeklętej willi, którą twój ojciec zbudował dla nas, to nie dlatego, by kłuć w oczy całe miasto. Wierzyłaś, że odzyskamy w niej nasze szczęście... bo posiadanie takiego domu wydawało się naturalną kolejną rzeczą w życiu Katherine Cahill. Oparła się o drzwi i westchnęła ze smutkiem i rozbawieniem.

- Jak po naszym rozwodzie wróciłam do college'u, przez cały rok, raz w tygodniu, chodziłam do psychoanalityka i próbowałam zrozumieć, dlaczego każde moje działanie kończy się klęską.

- I czego się dowiedziałaś?

- Mniej niż od ciebie w ciągu dwóch minut. Wiesz, co zrobiłam?

- Nie mam pojęcia, a co takiego? - Z uśmiechem potrząsnął głową.

- Pojechałam do Paryża na kurs Cordon Bleu.

- Jak ci poszło?

- Nie najlepiej - przyznała ze smutnym uśmiechem. - To jedyny raz, gdy nie udało mi się zabłysnąć, i to na zajęciach, które sama wybrałam. - Uniesieniem brwi wyraził zdziwienie.

- Zaliczyłaś?

- Wołowinę - zażartowała. Jego uśmiech sprawiał, że serce Katherine zabiło mocniej. - Ale oblałam cielęcinę.

Przez dłuższą chwilę w milczeniu uśmiechali się do siebie, po raz pierwszy od wielu lat w zgodzie.

- Pocałuj mnie - powiedziała cicho.

- Nie ma mowy. - Wyprostował się, odsunął od drzwi.

- Boisz się?

- Odczep się, do diabła! Już kiedyś spróbowałaś tej uwodzicielskiej sztuczki - nic nowego, nie zadziała.

Zignorowała cios zadany jej dumie, skrzyżowała ramiona na piersiach i patrzyła na niego z uśmiechem.

- Jak na syna pastora, nieprzyzwoicie często przeklinasz.

- Już to od ciebie słyszałem. Wyjaśniłem ci wtedy, że nie ja jestem pastorem, tylko mój ojciec. Co więcej - dodał rozmyślnie, by ją do reszty zniechęcić - gdy miałem mniej lat, byłaś dla mnie bardzo pociągająca, teraz sam wybieram sobie kobiety.

Zraniona ambicja kazała Katherine cofnąć się z przejścia. Wzięła z krzesła niedbale rzucony płaszcz i złowieszczym szeptem rzuciła:

- Czyżby?

- Żebyś wiedziała! A teraz posłuchaj dobrej rady i wracaj pędem do Dallas, do tego Haywarda Spencera czy Spencera Haywarda, czy jak mu tam. Pozwól, by wykurował twoje obolałe ego pięćdziesięciokaratowym, brylantowym naszyjnikiem, dobranym do tego niewiarygodnie wulgarnego pierścionka, jaki nosisz.

Nie zaatakowała, jak dawniej, tylko z zagadkowym spojrzeniem powiedziała:

- Już nie potrzebuję twoich pouczeń. Zapewne zdziwi cię to, ale ostatnio różne osoby, nawet Spencer, proszą mnie o radę.

- A to w jakiej dziedzinie? - zakpił. - W sprawie treści oświadczenia w kronice towarzyskiej?

- Tego już za wiele! - wybuchnęła. Rzuciła płaszcz z powrotem na krzesło. - Możesz mi dokuczać, gdy na to zasługuję, ale niech mnie diabli, jak pozwolę, byś odgrywał się za swoje seksualne zahamowania.

- Za moje co? - wrzasnął.

- Byłeś bardzo miły, całkiem na luzie, dopóki nie poprosiłam, byś mnie pocałował. Wtedy zacząłeś swoje idiotyczne pretensje. A teraz albo mnie przeproś, albo pocałuj. Albo przyznaj, że się boisz.

- Przepraszam - powiedział pośpiesznie i tak nieszczerze, że Katherine roześmiała się.

- Dziękuję - odparła słodko. Sięgnęła po płaszcz. - Przeprosiny zostały przyjęte.



W przeszłości podobna wymiana słów zakończyłaby się wielką kłótnią. Ted został wręcz porażony jej niezwykłym spokojem; wreszcie zrozumiał - ona rzeczywiście się zmieniła.

- Katherine - rzekł łagodnie - przepraszam za ten atak, naprawdę.

Skinęła głową. By się nie zdradzić, wołała nie patrzeć mu w oczy.

- Wiem. Prawdopodobnie nie zrozumiałeś, o jaki pocałunek proszę. Myślałam tylko o przypieczeniem naszej zgody.

Spojrzała na niego. Mogłaby przysiąc, że w jego oczach dostrzegła błysk rozbawienia. Ku jej całkowitemu zaskoczeniu skapitulował. Dłonią ujął ją pod brodę i zamruczał:

- Dobrze, pocałuj mnie, ale szybko. - Katherine uśmiechnęła się, kąciki jego ust uniosły się; ich wargi zetknęły się po raz pierwszy od trzech lat. -Przestań chichotać - rzucił ostrzegawczo.

- A ty przestań się uśmiechać - odpała. Ich oddechy połączyły się i to wystarczyło, by na nowo rozniecić płomień namiętności, który przez te lata ledwie przygasł. Dłonie Teda powędrowały ku jej talii; przytulił ją mocniej, jeszcze mocniej. Przywarła do niego gwałtownie.

## ROZDZIAŁ 54

Kierując się wskazówkami otrzymanymi od człowieka z wypożyczalni samochodów przy małym lotnisku w Ridgemont, nie miała żadnych kłopotów z odnalezieniem domu, w którym Zack spędził dzieciństwo. Umieszczona na wysokim wzgórzu rezydencja, jakby przeniesiona z czasów Tudorów, nadal zamieszкана przez Margaret Stanhope, była, według słów człowieka z wypożyczalni, punktem orientacyjnym w okolicy. Julie rozglądała się za fantastycznego kształtu kolumnami z cegły, które, jak jej powiedziano, miały stać u wlotu na drogę dojazdową. Zobaczyła je po lewej stronie i zaraz skręciła z szosy.

Teraz jechała szeroką aleją, wspinającą się pośród drzew na sam szczyt wzgórza i rozmyślała nad słowami Zacka o dniu, w którym opuścił to miejsce. „Od tej chwili byłem wydziedziczony. Oddałem kluczyki od samochodu i zszedłem ze wzgórza na szosę”. Miał długą drogę, pomyślała ze smutkiem. Rozglądała się wkoło, starała się wyobrazić sobie, co czuł i co miał przed oczyma tamtego dnia.

Po pokonaniu ostatniego zakrętu wjechała w szeroki łuk drogi prowadzącej na sam szczyt. Mijała tereny, latem pokryte pewnie starannie przystrzyżoną trawą, olbrzymie drzewa, teraz pozbawione liści. Płaski, obszerny dom z kamienia przytłaczał surowością. Zaparkowała na ceglany podjeździe przed schodami frontowymi. Nie zadzwoniła wcześniej, bo nie chciała wyjawiać celu wizyty przez telefon i tym samym dać babce Zacka możliwość wykręcenia się od przyjęcia niechcianego gościa.

Wiedziała, że sprawy delikatne lepiej załatwiać osobiście. Zabrała rękawiczki i torebkę i wysiadła z samochodu. W uwagę przyglądała się domowi- jak mogła odwlekała moment spotkania. Zack dorastał tutaj, to miejsce najwyraźniej wyryło ślad na jego osobowości; wspaniałe, dumne, solidne, wywierające wrażenie - w jakiś sposób przypominało go.

Od razu poczuła się lepiej. Odważnie wkroczyła na schody prowadzące do zwieńczonych łukiem drzwi frontowych. Starła się nie dopuszczać do siebie tkwiącego gdzieś w głębi duszy przecucia klęski, powtarzała sobie, że przybyła tu z wielce spóźnioną, ale pokojową misją. Ujęła ciężką, miedzianą kołatkę i zastukała.

Drzwi otworzył stary lokaj o przygarbionych wiekiem plecach, w ciemnym garniturze, z zawiązanym pod szyją fularem.

- Jestem Julie Mathison - poinformowała. - Chciałabym zobaczyć się z panią Stanhope.

Krzaczaste, białe brwi uniosły się nad rozszerzającymi się nagle brązowymi oczami, gdy usłyszał jej nazwisko. Ale wnet, opanowany, cofnął się w głąb przepaścistego, ciemnego holu, z podłogą wyłożoną zielonymi płytkami.

- Zobaczę, czy pani Stanhope zechce panią przyjąć. Proszę tu poczekać. - Wskazał antyczne, sprawiające wrażenie niezbyt wygodnego krzesło z wysokim oparciem, stojące obok stolika po lewej stronie przedpokoju. Julie usiadła, torebkę trzymała na kolanach. W tym przytłaczającym, sztywnym, nieprzyjaznym miejscu czuła się trochę jak petent, i pewnie za takich właśnie mieli się uważać nieproszeni goście. Skupiła się na słowach, które zamierzała przekazać starszej pani. Patrzyła na niemiecki landszaft, wiszący w ozdobnej ramie na ścianie naprzeciwko, gdy do holu wszedł lokaj.

- Madame może poświęcić pani dokładnie pięć minut - oświadczył.

Nie dając się zniechęcić tym niezbyt obiecującym wstępem, Julie podążyła za nim przez szeroki hol, a potem, gdy otworzył drzwi i wskazał jej gestem drogę, minęła go i weszła do obszernego pokoju. W masywnym, kamiennym kominku palił się ogień, orientalny dywan przykrywał ciemną, błyszczącą, drewnianą podłogę. Dwa krzesła o wysokich oparciach, z wyblakłą tapicerką, stały przodem do kominka.

Julie nie widziała nikogo, przyjęła więc, jak się okazało mylnie, że jest w pomieszczeniu sama. Podeszła do stolika zastawionego fotografiami w srebrnych ramkach. Miała zamiar przyjrzeć się twarzom krewnych i przodków Zacka i wtedy na ścianie po lewej ujrzała sporej wielkości portrety. Zafascynowana ruszyła w ich stronę. Zack nie przesadził - pomiędzy mężczyznami Stanhope'ow istniało zdumiewające podobieństwo! Za jej plecami rozległ się ostry, władczy głos:

- Właśnie zmarnowała pani jedną z tych pięciu minut, panno Mathison.

Zaskoczona odwróciła się w stronę miejsca, z którego padły słowa i podeszła do krzesła. Tam doznała kolejnego zaskoczenia - osoba, która właśnie podnosiła się z miejsca, wsparta na hebanowej lasce ze srebrną rączką, nie była skurczoną staruszką, w postawie i zachowaniu podobną, jak się spodziewała, do starego lokaja. Ta, którą ujrzała, była od niej kilka cali wyższa. Stojąc, trzymała się prosto, rysy jej pozbawionej zmarszczek twarzy były jak wyciosane z kamienia, nieprzyjazne.

- Panno Mathison? - rozległ się ostry głos. - Proszę usiąść albo stać, ale w końcu zacząć mówić. Dlaczego pani tu przyszła?

- Bardzo mi przykro - powiedziała Julie i szybko usiadła na krzesło naprzeciwko babki Zacka, by ta nie czuła się w obowiązku stać. - Pani Stanhope, jestem przyjaciółką...

- Wiem, kim pani jest, widziałam panią w telewizji - chłodno przerwała stara kobieta i z powrotem zajęła miejsce. - Wziął panią jako zakładniczkę, a potem uczynił z niej swoją rzeczniczkę.

- To niezupełnie zgodne z prawdą - powiedziała Julie. Zauważyła, że ta kobieta robi wszystko, by nie wymienić imienia Zacka. Jak zwykle, gdy przygotowywała się do stawienia czoła trudnej sytuacji, potrafiła zachować pozory spokoju, którego, prawdę mówiąc, wcale nie czuła, ale obecna sytuacja okazała się bardziej napięta i nieprzyjemna, niż mogła przewidzieć.

- Pytałam panią, czemu tu przybyła.

Nie dała się wyprowadzić z równowagi czy onieśmielić starszej kobiecie, tylko uśmiechnęła się pogodnie i pełnym spokojem głosem oznajmiła:

- Jestem tutaj, pani Stanhope, bo gdy przebywałam z pani wnukiem w Kolorado...

- Mam tylko jednego - wybuchnęła tamta - i mieszka w Ridgemont.

- Pani Stanhope - Julie zachowywała spokój - dała mi pani tylko pięć minut. Proszę nie marnować ich na kwestie formalne, bo obawiam się, że będę musiała opuścić to miejsce, zanim zdążę wyjawić cel mego przybycia, powie pani to, co jak sądzę, z pewnością zechce usłyszeć. - Białe brwi kobiety zmarszczyły się, usta ściągnęły w wąską kreskę, ale Julie odważnie brnęła dalej. - Wiem, że nie uznaje pani Zacka za swojego wnuka i o tym, że miała pani jeszcze jednego, który zmarł tragicznie. Wiem także, że rozdźwięk pomiędzy panią i Zackiem utrzymał się przez tyle lat z powodu jego uporu.

Twarz kobiety przybrała pełen pogardy wyraz.

- Tak pani powiedział?

Julie skinęła głową, próbując zignorować nieoczekiwany sarkazm rozmówcy.

- W Kolorado mówił mi o wielu sprawach. Takich, o których nigdy wcześniej nikomu nie wspomniał. - Czekwała na jakąś oznakę zaciekawienia, ale pani Stanhope spoglądała na nią z obojętnym wyrazem twarzy. Julie nie miała wyboru, musiała mówić dalej. - Między innymi powiedział mi, że gdyby mógł rozpocząć życie na nowo, dawno temu pogodziłby się z panią. Bardzo panią podziwia i ko...

- Proszę się wynosić!

Julie jak automat wstała, ale zaczynała tracić już cierpliwość. Całym wysiłkiem woli starała się opanować.

- Zdaniem Zacka, pani i on jesteście do siebie bardzo podobni, gdy chodzi o upór, i ja się z nim zgadzam. Próbuję pani przekazać, że jej wnuk żałuje nieporozumień pomiędzy wami i kocha panią.

- Proszę wyjść, nie powinna pani być w ogóle przychodzić!

- Najwyraźniej - przyznała Julie sztywno i sięgnęła po leżącą obok krzesła torebkę. - Nie miałam pojęcia, że dorosła kobieta, pod koniec swego życia, może wciąż podsycać w sobie żal do najbliższego krewnego za coś, co zrobił, gdy był jeszcze chłopcem. Jak straszny musiał to być czyn, skoro nie potrafi pani mu wybaczyć!

- Ty biedna idiotko! Ciebie też nabrał, prawda? - Stara dama roześmiała się z goryczą.

- Co takiego?

- Czy to on cię tu przysłał? Niemożliwe, nigdy by się na to nie odważył.

Czując, że przeczącą odpowiedzią wzmocni nienawistne nastawienie tej kobiety do Zacka, Julie odrzuciła dumę i podjęła ostatnią próbę trafienia do jej serca.

- Nie prosił mnie o przyjście tutaj, o przekazanie, co do pani czuje. Zrobił coś, co jeszcze bardziej świadczy o jego szacunku i miłości. - Julie wzięła głęboki oddech, starała się nie zwracać uwagi na zimny wyraz twarzy pani Stanhope. - Nie miałam z nim kontaktu, dopiero półtora tygodnia temu otrzymałam list. Napisał do mnie, bo obawiał się, że jestem w ciąży. Błaga, bym w takim przypadku nie poddawała się aborcji i prosi, bym dziecko oddała pani na wychowanie, bo, jak twierdzi, nigdy nie wykręcała się pani od obowiązków i tym razem także nie postąpi inaczej. Powiedział, że w liście do pani wytłumaczy...

- Jeżeli jest pani w ciąży i ma jakieś pojęcie o genach – przerwała gniewnie babka Zacka - podda się pani zabiegowi! Niezależnie od tego, co pani zrobi, nie przyjmę tego bękarta pod mój dach!

Julie wstrząsnęły pełne nienawiści słowa.

- Cóż z pani za potwór!

- To on nim jest, panno Mathison, a pani jego ofiarą. Już dwie osoby, które go kochały, umarły gwałtowną śmiercią. Ma pani szczęście, że nie została trzecią.

- Swojej żony nie zabił, nie rozumiem, o kim jeszcze...

- O jego bracie! Tak jak Kain Abla, ten zdeprawowany potwór zabił Justina. Po jakiejś sprzeczce strzelił mu w głowę.

Julie straciła panowanie. Trzęsącym się z wściekłości głosem powiedziała:

- Pani kłamie! Dokładnie wiem, jak i dlaczego umarł Justin! Jeżeli wygaduje pani o Zacku takie rzeczy, by usprawiedliwić swoją obojętność do jego dziecka, to szkoda czasu! Nie jestem w ciąży, a nawet gdybym była, nie zostawiłabym mojego maleństwa z panią w tym domu! Nic dziwnego, że mąż w końcu przestał panią kochać i zainteresował się innymi. O tak, wiem wszystko! - wybuchnęła, gdy w oczach starszej pani pogardę zastąpił wyraz zaskoczenia. - Zack mi opowiedział! O wyznaniu dziadka, że była pani jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochał, choć powszechnie sądzono, że ożenił się dla pieniędzy. Pani mąż

powiedział Zackowi, jak to nie będąc w stanie przestrzegać jej surowych norm moralnych, zaraz po ślubie zrezygnował z wysiłków przystosowania się do nich. Ja natomiast nie mogę dociec - zakończyła Julie z pogardą w głosie - za co mąż kochał panią, a Zack podziwiał! Nic dziwnego, że biedny Justin bał się pani wyznać, że jest gejem! To nie Zack jest potworem - ale pani!

- A pani - odpaliła starsza dama - pionkiem w rękach potwora! -I jak gdyby brak opanowania Julie stał się zaraźliwy, surowy wyraz zniknął z twarzy starszej pani, a w nie znoszącym sprzeciwu głosie zabrzmiały nutki zmęczenia. - Proszę usiąść, panno Mathison!

- O nie, odchodzę!

- Jeżeli tak pani postąpi - rzuciła tonem wyzwania madame Stanhope - to znaczy, że obawia się prawdy. Zgodziłam się na tę wizytę, bo oglądałam panią w telewizji i byłam ciekawa, co właściwie ją tu przywiodło. Wzięłam panią za oportunistkę, za wszelką cenę próbującą błyszczeć w świetle reflektorów, która zjawiała się tu, by zrealizować korzystny dla siebie zamysł. Teraz widzę przed sobą młodą, odważną, pewną swych racji kobietę, przypuszczam więc, że przywiodło tu panią źle zrozumiane poczucie sprawiedliwości. Szanuję odwagę, panno Mathison, zwłaszcza u niewiast, na tyle, by rozmawiać o sprawach wciąż dla mnie bolesnych. Dla pani własnego dobra proponuję, by do końca mnie wysłuchała.

Zaskoczona gwałtowną zmianą jej tonu, Julie zawahała się, ale wołała nie siadać.

- Z pani miny wnioskuję, że tak łatwo nie uwierzy mi na słowo. - Pani Stanhope mierzyła Julie badawczym wzrokiem. - Świetnie. Gdybym to ja była tak otumaniona, a do tego tak lojalna jak pani, też bym nie uwierzyła. - Uniosła dzwonek leżący na stole obok jej krzesła. Po chwili w drzwiach ukazał się lokaj.- Wejdz, Foster - poleciła i odwróciła się w stronę Julie. - Jak pani sądzi, jak umarł Justin?

- Ja wiem, jak - odpowiedziała gwałtownie.

- A skąd może pani wiedzieć?

Julie już otwierała usta, by odpowiedzieć, ale zawahała się. Dopiero teraz pomyślała, że to przecież stara kobieta, a ona nie ma prawa niszczyć jej wspomnień o Justinie tylko po to, by przestała nienawidzić Zacka. Z drugiej strony Justin od dawna nie żył, a Zack wciąż jeszcze miał szansę.

- Proszę pani, nie chcę pani zranić więcej niż to konieczne, ale prawda będzie bolesna.

- Prawda nie może mnie dotknąć — szyderczo rzuciła stara dama.

Drwina w głosie pani Stanhope pozbawiła Julie resztek opanowania.

- Justin zabił się sam - powiedziała stanowczo. - Strzelił sobie w głowę, bo był homoseksualistą i nie potrafił z tym żyć. Godzinę przed śmiercią przyznał się Zackowi.

Szare oczy starej kobiety nie zmieniły wyrazu; patrzyła na Julie ze współczuciem zmieszonym z pogardą. Sięgnęła po fotografię stojącą w ramkach na stole.

- Niech pani patrzy - rzekła. Julie, nie mając wyboru, wzięła do ręki zdjęcie uśmiechniętego chłopca o jasnych włosach, stojącego przy sterze na żagłowie. - To Justin - oznajmiła pani Stanhope głosem nie zdradzającym żadnych uczuć. - Czy on, pani zdaniem, wygląda na homoseksualistę?

- Naprawdę dziwaczne pytanie. Wygląd mężczyzny nic nie mówi o jego seksualnej orientacji...

Przerwała, bo pani Stanhope odwróciła się i podeszła do dużego, antycznego kredensu, stojącego po drugiej stronie pokoju. Z ręką wspartą na lasce pochyliła się i otworzyła drzwi, odsłaniając półki pełne kryształowych kieliszków. Mocno pociągnęła za najwyższą, ta odskoczyła, a wraz z nią płytką w tylnej ścianie mebla. Za nią ukazały się drzwiczki sejfu. Julie patrzyła - czuła się trochę niezręcznie - jak pani Stanhope kręci tarczą zamka, otwiera sejf i wyciąga z niego dużą, brązową teczkę, opasaną tasiemką. Z kamiennym wyrazem twarzy starsza pani rozwiązała ją i rzuciła tackę na kanapę, przed Julie.

- Ponieważ nie chce mi pani uwierzyć na słowo, tu jest raport koronera i wycinki z gazet.

Julie patrzyła na wysypujące się z teczki kartki. Jej spojrzenie zatrzymało się na fragmencie pierwszej strony gazety, ze zdjęciami osiemnastoletniego Zacka, Justina oraz nagłówkiem: ZACHARY STANHOPE PRZYZNAJE SIĘ DO ZASTRZELENIA BRATA JUSTINA.

Nie mogła zapanować nad drżeniem dłoni. Sięgnęła po resztę wycinków. Według przedstawionej w nich wersji, Zack przebywał w sypialni Justina, rozmawiał z nim i oglądał broń z jego kolekcji - automatycznego remingtona, o którym myślał, że nie jest nabity. Padł przypadkowy strzał; Justin, trafiony w głowę, zginął na miejscu. Julie czytała i rejestrowała słowa, ale serce podpowiadało jej inne rozwiązanie. Oderwała wzrok od wycinków i przeniosła pełne wyrzutu spojrzenie na panią Stanhope.

- Nie wierzę w ani jedno słowo! Gazety wciąż drukują rzeczy, które nie mają z prawdą nic wspólnego!

Pani Stanhope popatrzyła na nią z uwagą. Jej twarz, wciąż chłodna, nie zdradzała żadnych uczuć. Wyjęła z teczki kopertę i rzuciła przed Julie.

- No to czytaj tę jego prawdę! Julie popatrzyła na kopertę, ale jej nie dotknęła. Poczwała strach.

- Co to takiego?

- Odpisy z akt śledztwa. - Julie otworzyła kopertę. Złożone przez Zacka wyjaśnienia, zanotowane przez stenografistę w czasie rozprawy, zawierały dokładnie to, co napisały gazety. Kolana ugięły się pod nią, usiadła na kanapie i czytała dalej; po skończeniu protokołów wzięła się za wycinki. Szukała wytłumaczenia: dlaczego Zack przekazał jej inną wersję wydarzeń od podanej w sądzie.

Gdy wreszcie uniosła oczy znad dokumentów i spojrzała na panią Stanhope, nie miała wątpliwości: albo Zack okłamał ją... albo w sądzie, pod przysięgą, złożył nieprawdziwe zeznania. Gorączkowo szukała wyjaśnienia, pozwalającego uniknąć potępienia go. Głosem pełnym płynących z głębi serca emocji, z całą siłą, na jaką jeszcze było ją stać, powiedziała:

- Nie wiem, dlaczego Zack twierdzi, że Justin zastrzelił się sam, ale i tak nie widzę jego winy. Z akt wynika, że doszło do wypadku. Zack właśnie tak zeznał.

- Żaden wypadek! - rzuciła z mocą pani Stanhope. Kostki jej dłoni aż zbieleły, gdy wsparła się na lasce. - Nie możesz udawać, że nie widzisz prawdy, jeżeli masz ją czarno na białym. Okłamał cię, a wcześniej, na rozprawie, wszystkich innych!

- Niech pani przestanie! - Julie zerwała się z miejsca i odrzuciła teczkę na kanapę, jakby parzyła ją w dłonie. - Musi istnieć jakieś wytłumaczenie, jestem pewna! Zack nie kłamał, tam, w Kolorado, wiedziałabym, gdyby było inaczej! - Rozpaczliwie szukała wytłumaczenia, aż wreszcie znalazła. - Justin popełnił samobójstwo - powiedziała cała roztrzęsiona. - Był gejem, do czego przyznał się bratu tuż przed śmiercią... Zack wziął na siebie winę, by nikt nie szukał motywu...

- Ty idiotko! - krzyknęła pani Stanhope, gniew w jej głosie walczył ze współczuciem. - Justin i Zack pokłócili się i za chwilę padł strzał. Ich brat Alex słyszał podniesione głosy, słyszał je Foster. - Zwróciła twarz w stronę lokaja. - Powiedz tej biednej, omamionej kobiecie, o co się kłócili.

- O dziewczynę, panno Mathison! - rzekł Foster bez chwili wahania. - Justin zaprosił pannę Amy Price na bożonarodzeniowy bal w klubie, a Zack zamierzał pójść właśnie z nią. Justin chciał się wycofać, ale nic nie pomogło - Zack się wściekł.

Julie poczuła ucisk w żołądku. Już sięgała po torebkę, ale jeszcze próbowała bronić Zacka.

- Nie wierzę żadnemu z was.

- Wierzysz człowiekowi, który, już to wiesz, okłamał albo cię, albo sędziego i dziennikarzy?

- Tak! - Pragnęła jak najszybciej odejść z tego domu. - Do widzenia, pani Stanhope. - Szła tak szybko, że Foster musiał podbiec, by otworzyć jej drzwi.



Obcasy głośno zastukały po kafelkach holu, ale głos pani Stanhope, wołającej ją po imieniu, osadził ją w miejscu. Odwróciła się i z chłodnym wyrazem twarzy patrzyła na babkę Zacka, jakby postarzałą o dwadzieścia lat w ciągu tej minuty, którą zajęło jej dogonienie Julie.

- Jeżeli znasz miejsce pobytu Zacharego - powiedziała pani Stanhope - jeżeli masz choć trochę sumienia, natychmiast powinnaś zawiadomić policję. Wbrew temu, co sądzisz, lojalność względem Zacharego kazała mi przemilczeć fakt jego kłótni z Justinem, nie powiadomić o niej władz, co, teraz widzę, powinnam była uczynić.

Julie uniosła brodę, ale głos jej drżał.

- Dlaczego tak pani uważa?

- Bo aresztowaliby go i otrzymaliby pomoc psychiatryczną! Zachary zabił brata, a potem żonę. Gdyby się leczył, może Rachel Evans nie leżałaby teraz w grobie. Czuję się winna jej śmierci, nawet nie potrafię powiedzieć, jak bardzo. Gdyby od samego początku nie było oczywiste, że Zachary zostanie skazany, nie miałabym wyboru i ujawniłabym prawdę o śmierci Justina. - Zamilkła, na jej twarzy widać było walkę o odzyskanie panowania nad sobą.

- Dla własnego dobra, wydaj go. Inaczej pewnego dnia znowu ktoś zginie, a ty do końca życia będziesz dźwigać ciężar winy, jak ja.

- On nie jest mordercą! - krzyknęła Julie.

- Czyżby?

- Nie!

- Ale nie możesz zaprzeczyć, że jest kłamcą - nie ustępowała pani Stanhope. - Okłamał ciebie albo władze, innej możliwości nie ma. Musisz się z tym zgodzić.

Julie nie odpowiedziała. Nie potrafiła zmusić się do przyznania babce Zacka racji.

- Jest kłamcą - oświadczyła pani Stanhope dobitnym głosem. - I to dobrym. Znalazł sobie odpowiednie zajęcie, aktorstwo. - Już odwracała się, ale jeszcze przez ramię rzuciła zmęczonym głosem pokonanej osoby, bardziej przerażającym od poprzedniego, przesyconego złością:

- Być może Zachary naprawdę wierzy we własne kłamstwa, dlatego jest taki przekonujący. Być może identyfikował się z bohaterami, których grał - dlatego był tak utalentowanym aktorem. Wcielał się w ludzi, którzy mordowali bez żadnego powodu, a potem udawało im się uniknąć kary. Może zdawało mu się, że po zamordowaniu żony, jako idola filmowego, nie spotkają go żadne konsekwencje. Być może - powiedziała z naciskiem - nie potrafi już odróżnić fantazji od rzeczywistości.

Julie walczyła z ogarniającymi ją mdłościami. Przycisnęła torebkę mocno do piersi.

- Chce pani powiedzieć, że jest obłąkany?

Ramiona pani Stanhope przygarbiły się, głos zamienił w szept, jakby mówienie stało się nagle zbyt dużym wysiłkiem.

-Tak, panno Mathison, dokładnie to mam na myśli. Zachary jest obłąkany.

Julie nie słuchała dalej.

Bez słowa odwróciła się i wyszła. Uciekać! Pośpiesznie podeszła do samochodu. Uciekać jak najszybciej i jak najdalej z tego tchnącego atmosferą zła domu, od jego tajemnic; ale ziarno przeraźliwych wątpliwości, jakie tutaj zasiano w jej sercu, wzeszło. Wcześniej zamierzała zatrzymać się na noc w motelu i zwiedzić miejsca, w których Zack spędził dzieciństwo; teraz pojechała prosto na lotnisko. Zwróciła wypożyczony samochód i wsiadła do pierwszego odlatującego samolotu, byle dalej od Ridgemont!

## ROZDZIAŁ 55

Tommy Newton uniósł wzrok znad scenariusza. Do salonu weszła siostra, która u niego w mieszkaniu, w Los Angeles, spędzała weekend.

- Coś się stało? - zapytał.

- Właśnie odebrałam telefon do ciebie. Jakiś głupi żart. - Roześmiała się nerwowo. - A przynajmniej mam taką nadzieję.

- Los Angeles jest pełne świrów opowiadających przez telefon najrozmaitsze świństwa - uspokajał ją. - W południowej Kalifornii to zwykła rzecz. Tutaj każdy czuje się wyalienowany, nie wiedziałaś o tym? - zażartował. - Dlatego to miasto jest rajem dla psychiatrów.

- Ten telefon nie był świński, Tommy.

- A jaki?

Potrząsnęła głową, na jej czole ukazała się zmarszczka.

- Ten człowiek przedstawił się jako Zachary Benedict.

- Zack? - powtórzył Tommy i roześmiał się ironicznie. - Co za bzdura. Mówił coś jeszcze?

- Tak... zamierza cię zabić. I o tym, że wiesz, kto zamordował Rachel. Groził zemstą za niewyjawienie prawdy.

- Chyba zwariował!

- Nie sprawiał takiego wrażenia, Tommy, raczej kogoś śmiertelnie poważnego. - Przeszedł ją dreszcz, gdy dotarło do niej znaczenie słów. - Powinieneś zawiadomić policję.

Tommy przecząco pokręcił głową.

- Kimkolwiek był, na pewno zwariował.

- W jaki sposób ktoś chory psychicznie zdobyłby zastrzeżony numer?

- Najwyraźniej - próbował żartować - jakiś znajomy wariat.

Kobieta uniosła słuchawkę aparatu stojącego na stoliku obok kanapy.

- Dzwoń na policję. Jeżeli nie dla własnego bezpieczeństwa, spełnij obowiązek.

- Dobrze - zgodził się z westchnieniem - ale roześmieją mi się w twarz.

W swoim domu w Beverly Hills Diana Copeland wysunęła się z objęć kochanka i sięgnęła po słuchawkę stojącego obok kanapy telefonu.

- Diana! - jęknął. - Niech odbierze pokojówka.

- Ktoś dzwoni na mojej prywatnej linii - wyjaśniła mężczyźnie o twarzy równie znanej miłośnikom kina jak jej własna. - Może chodzić o zmiany na jutrzejszym planie. Halo? - zawołała do telefonu.

- Tu Zack, Dee Dee - zabrzmiał głęboki głos. - Wiesz, kto zabił Rachel, a pozwoliłaś mi iść do więzienia. Już jesteś martwa.

- Zack, zaczekaj - wybuchnęła, ale w słuchawce panowała cisza.

- Kto to był?

Diana wstała i przerażona, niewidzącym wzrokiem popatrzyła na kochanka.

- Zack Benedict...

- Co takiego? Jesteś pewna?

- On... nazwał mnie Dee Dee. Jest jedyną osobą, która tak do mnie mówiła. - Weszła do sypialni, ujęła słuchawkę i wybrała numer. - Tony? - odezwała się drżącym głosem. - Właśnie miałam telefon od... Zacka Benedicta.

- Ja też. To jakiś świr, a nie Zack.

- Nazwał mnie Dee Dee! Tylko on zwracał się do mnie w ten sposób. Powiedział, że wiem, kto zabił Rachel, a pozwolił mi iść do więzienia. Groził mi śmiercią.

- Uspokój się, to jakaś bzdura! Świr, a może reporter, który chce odświeżyć zapomnianą historię.

- Dzwonię do glin.

- Jak chcesz, zrób z siebie idiotkę, ale mnie w to nie mieszaj! Ten gość nie był Zackiem.

- Mówię ci, że to on!

W Benedict Canyon, w obszernej posiadłości swego męża, doktora Richarda Grovera, Emily McDaniels wyciągnęła się na leżaku obok basenu. Od dnia ślubu, przez ostatnie pół roku, jej życie przypominało bezustanny miesiąc miodowy. Obok niej, w wodzie, mąż bez najmniejszego wysiłku pokonywał długości basenu. Po kolejnym nawrocie skręcił i wynurzył się przy krawędzi, tuż obok niej.

- Kto dzwonił? - zapytał. Dłońmi o długich palcach, którymi wykonywał skomplikowane operacje neurologiczne w centrum medycznym Cedars-Sinai, odsunął włosy z czoła. - Tylko nie mów, że moja sekretarka - powiedział żartobliwie błagalnym tonem. Skrzyżował ramiona na krawędzi basenu i patrzył na przygnębioną twarz żony.

- Nie.

- Świetnie. - Wyciągnął rękę, chwycił ją za szczupłe kostki nóg i rzucił jej karykaturalnie pożądlive spojrzenie. - Skoro moi pacjenci są na tyle taktowni, by nie

zakłócać nam sobotniego wieczora, pakuj swoje słodkie ciało do wody i udowodnij, że wciąż mnie kochasz.

- Dick - jej głos zabrzmiał napięciem - właśnie dzwonił mój ojciec.

- Co się stało? - W jednej chwili spoważniał i wyszedł na brzeg.

- Powiedział, że odebrał telefon od Zacka Benedicta.

- Benedicta? - powtórzył Dick pogardliwym tonem. Zaczął wycierać ramiona. - Jeżeli ten drań kręci się w pobliżu Los Angeles, jest nie tylko mordercą, ale i wariatem. Gliny złapią go w mgnieniu oka. A czego chciał?

- Mnie. Zack powiedział ojcu - wyjaśniała drżącym głosem - że wiem, kto zabił Rachel. Chce, bym o tym poinformowała dziennikarzy, inaczej zabije każdego, kto tamtego dnia przebywał na planie. - Potrząsnęła głową, a gdy znów się odezwała, w jej głosie nie usłyszała strachu. - To musiał być wariat! Zack nigdy by mi nie groził, nie mówiąc już o zrobieniu krzywdy. Obojętne, co myślisz - on nie jest draniem. Po tobie był najcudowniejszym człowiekiem, jakiego znałam.

- Ze swoją opinią nie należysz raczej do większości.

- Ale ja to wiem! Niezależnie od tego, co usłyszałeś w czasie procesu, prawda jest zupełnie inna. Rachel Evans była mściwą, cwana suką, zasługującą na śmierć! Jedynym złem w tym wszystkim jest zamknięcie Zacka w więzieniu.- Z ponurą miną mówiła dalej: - Nikt nie uważał Rachel za dobrą aktorkę, ale grała świetnie - tak dobrze, że nikt nie podejrzewał, co kryło się za jej uśmiechem. Robiła wrażenie bardzo miłej, wytwornej, opanowanej damy. Ale naprawdę była całkiem inna, najbardziej przypominała podwórkową kotkę.

- Puszczalska?

- To też, ale myślałam o czymś innym - powiedziała Emily. Sięgnęła po mokry ręcznik, który mąż zostawił na stoliku z lampą. - Była jak włóczący się po uliczkach kot, grzebiący w śmietnikach, żywiący się resztkami po innych, którzy nawet tego nie zauważają.

- Barwne porównanie - zażartował jej mąż - ale niezbyt jasne.

Emily poprawiła się na leżaku.

- Gdy Rachel zauważyła, że komuś na czymś zależy - na roli w filmie, mężczyźnie, foteliku na planie - wychodziła z siebie, by udaremnić jego zamiary, nawet jeżeli sama tego wszystkiego nie potrzebowała. Na przykład biedna Diana Copeland kochała się w Zacku - tak naprawdę - ale nigdy nie ujawniała swych uczuć. Tylko ja o tym wiedziałam, odkryłam całkiem przypadkowo.

Zamilkła i wpatrywała się w odbijające się na powierzchni wody światła.

- Nigdy nie chciałaś rozmawiać o Benedykcie ani procesie, ale skoro sama zaczęłaś, chętnie wysłucham twojego zdania o sprawach, o których w żadnej gazecie nie znalazłem nawet wzmianki. Choćby o Dianie Copeland i jej miłości do Benedicta - odezwał się Dick Grover.

Emily skinęła głową.

- Postanowiłam nigdy z nikim nie rozmawiać o tej sprawie, bo nie mogłam nikomu zaufać, nawet mężczyznom, z którymi się umawiałam. Mogli wygadać się przed jakimś reporterem, ten przekreśliłby wszystko i cała afera rozhulałaby się na nowo. - Uśmiechnęła się do męża, marszcząc nos. - Myślę, że dla ciebie mogę zrobić wyjątek, przecież przyrzekałeś szanować mnie i chronić.

- Chyba tak. - Uśmiechnął się.

- Odkryłam uczucie Diany dopiero kilka miesięcy po procesie, gdy Zack siedział już w więzieniu. Wysłałam do niego list, ale wrócił z nakreślonym jego pismem: „zwrócić nadawcy”. Kilka dni później zjawiła się u mnie Diana. Chciała, bym przesłała Zackowi list, ale w kopercie ode mnie, bo poprzednie wracały z taką samą adnotacją. Poinformowałam ją, że nie odbierał także korespondencji od Harrisona Forda ani Pata Swayzego. Zanim się zorientowałam, Diana już wypłakiwała mi się na piersi.

- Co się stało?

- Właśnie wróciła z Teksasu, zamierzała zrobić Zackowi niespodziankę swymi odwiedzinami. Gdy zobaczył ją po drugiej stronie szyby, odwrócił się i poprosił strażnika, by go wyprowadził. Powiedziałam jej, że na pewno wstydzi się i nie chce, by dawni przyjaciele przychodzili go odwiedzać. Wtedy rozplakała się. Więzienie, brudne i plugawe, okazało się jednym gigantycznym koszmarem... do tego ten więzienny uniform!

- A co ona sobie wyobrażała, że ubiorą go w garnitur od Brooks Brothers?

Anemiczny uśmiech ukazał się na twarzy Emily.

- Oglądanie go w takim stroju bardzo ją przygnębiło. Zaczęła płakać i wyznała mi, że go kocha. By być bliżej niego, zmieniła plany i przyjęła drugoplanową rolę w „Przeznaczeniu”. Rachel domyśliła się wszystkiego. Pewnego dnia kpiła nawet z jej nieudanych zakusów na Zacka. Diana nie zaprzeczyła. Potem Rachel wieszła się na Zacku, gdy tylko Diana pokazała się w pobliżu. Nie zapomnij, że Rachel miała już romans z Tonym Austinem i za kilka dni zamierzała wnieść pozew rozwodowy. W tym samym tygodniu, w którym zginęła, kilka osób słyszało, jak prosiła Zacka, by nie obsadzał Diany w swym następnym filmie.

- I nigdy go nie nakreślił...

- Rachel była jak piękna, zawistna dziwka - mówiła dalej Emily. -Nie mogła znieść cudzego szczęścia. Gdy zdołała odkryć, czego pragniesz, choćby nie wiem jak nieistotnego drobiazgu, robiła wszystko, by ci to ukraść.

Przez dłuższą chwilę mąż spoglądał na nią w milczeniu, potem powiedział cicho:

- Czy tobie też coś skradła, Emily? Kiwnęła głową.

- Tony'ego Austina.

- Żartujesz!

- Chciałabym, żeby tak było - powiedziała ze smutkiem. - Trudno znaleźć wytłumaczenie dla głupoty młodości. Zupełnie zwariowałam na jego punkcie.

- Ależ to narkoman i pijak! Jego kariera właśnie się kończyła...

- Wiem o tym - przyznała Emily. Wstała. - Ale wtedy myślałam, że potrafię go uratować. Dopiero po latach zrozumiałam, na czym polega czar, jakim Tony miał kobiety. Na pozór seksowny i opanowany, robił wrażenie takiego, co to obroni cię przed całym światem. Dopiero po jakimś czasie odkrywało się w nim niezwykle wrażliwą naturę i nagle pragnęło się go chronić. To pewnie dlatego biedny Tommy Newton kochał się w nim. Zack to przeciwieństwo Tony'ego - nie potrzebował nikogo, czuło się to od razu.

Dick zignorował ostatnie zdanie.

- Tommy Newton - powtórzył z niesmakiem - gość, który reżyserował twój ostatni film, kochał się w Tonym Austynie? - Gdy Emily przytaknęła, potrząsnął głową i powiedział:  
- Ten świat, w którym tkwisz od dzieciństwa, przypomina kloakę.

- Czasem taki jest - roześmiała się Emily - ale najczęściej to zwyczajny biznes. Mnóstwo ludzi przez cztery, pięć miesięcy ciężko haruje, potem rozchodzi się, każde w swoją stronę, by spotkać się przy następnym filmie.

- Chyba masz rację, ten wasz świat nie może być całkiem zły - przyznał - jeżeli żyłaś w nim tak długo, a wyrosłaś na najbardziej uczciwe i słodkie stworzenie, jakie kiedykolwiek znałem. Wróćmy do poprzedniego tematu - powiedział zamyślony. - Zdumiewające, że to wszystko o tobie, Tonym, Rachel i Dianie nie zostało ujawnione podczas procesu.

Emily wzruszyła ramionami.

- Policja nie szukała innych podejrzanych ani motywów. Widzisz, wiedzieli, że to Zack włożył do strzelby naboje, które zabiły Rachel, wiedzieliśmy wszyscy. Poza tym, że poprzedniego wieczora groził jej i miał powody, natury emocjonalnej i finansowej, by życzyć jej śmierci, był jedynym z nas zdolnym do wcielenia w czyn swych gróźb.

- Może i miał dość ikry, ale musiał być arogancki jak diabli, by sądzić, że uda mu się uniknąć konsekwencji.

- Niewątpliwie - przyznała Emily. Na jej twarzy ukazał się pełen sentymentu uśmiech, w głosie zadźwięczał podziw.

- Zack był jak... jak nieodparta siła, jak wiatr pędzący z wielu kierunków naraz. Nigdy nie wiedzieliśmy, które ukaże oblicze; szalenie dowcipny, serdeczny, rycerski i dobry, w razie potrzeby wykwinny i wyrafinowany.

- Opisujesz niedościgniony ideał.

- Potrafił także zachować się brutalnie, zimno i bezlitośnie...

- Nietuzinkowa, złożona osobowość - powiedział Dick poważnie.

- Skomplikowany - przyznała Emily. -I bardzo niezależny. Robił to, co i kiedy chciał, nie przejmował się, co myśleli inni. Miał wielu wrogów, ale nawet ci go podziwiali. Nic sobie nie robił z ludzkiej nienawiści, nie zabiegał o uznanie. Dla niego liczyła się tylko praca. Zdawał się nie potrzebować innych... nikogo nie dopuszczał do siebie blisko... oprócz mnie. Pewnie dlatego poznałam go lepiej niż ktokolwiek.

- Tylko nie mów, że kochał się w tobie. Jak na jedno zabójstwo wystarczy tych trójkątów!

Emily wybuchnęła śmiechem.

- Dla niego byłam zaledwie dzieckiem, dlatego dopuścił mnie do siebie tak blisko. Rozmawiał ze mną o sprawach, z których z pewnością nie zwierzał się Rachel.

- O jakich?

- Och, nie pamiętam dokładnie... na przykład, o swym zainteresowaniu astronomią. Pewnego razu, gdy mieliśmy plan na ranchu niedaleko Dallas, usiadł obok mnie i pokazywał gwiazdy, opowiadał, skąd konstelacje brały imiona. Wyszła Rachel i spytała, co robimy, a gdy jej powiedziałam, była zdumiona.

- No to jak wytłumaczysz mi, dlaczego dzwonił do twego ojca z pogrozkami?

Spuściła nogi z leżaka.

- Sądzę, że to był wariat, a ojciec się myli. Tato mówił także, że widział mężczyznę podobnego do Zacka, kręcącego się na ulicy w pobliżu jego mieszkania.

Miejsce troski na twarzy męża zajęła irytacja.

- Czy ojciec, jak do ciebie dzwonił, przypadkiem nie był pijany?

- Nie wiem... może. Nie bądź dla niego taki surowy. - Wsunęła mu dłoń pod ramię. - Odkąd go opuściłam, czuje się samotny. Byłam całym jego życiem, a potem zostawiłam go... dla ciebie.

- Nie opuściłaś go! Jesteś jego córką, nie żoną.

Objęła męża w pasie, położyła głowę na jego ramieniu.



- Wiem o tym, on też. - Gdy wchodzili do domu, dodała: - Kilka minut temu chwaliłeś mnie, że mimo lat spędzonych w filmowym biznesie pozostałam miła i uczciwa. Staraj się pamiętać, że udało mi się wyłącznie dzięki jego kurateli. Poświęcił dla mnie własne życie.

- Wiem. - Mąż pocałował ją w czoło.

## ROZDZIAŁ 56

Gdy Julie zatrzymała się na podjeździe przed domem, była już północ. Przez całe siedem godzin podróży, po opuszczeniu babki Zacka, zmagła się z rozterkami, walczyła z cisnącymi się zewsząd wątpliwościami; brnęła przez gmatwaninę myśli, jakie ogarnęły ją w tamtym domu. W końcu udało jej się wrócić do jakiejś takiej równowagi ducha, poczuła się lepiej. Otworzyła frontowe drzwi, włączyła w salonie światła i patrzyła na wesoły, przytulny pokój. Tutaj myśl, że Zack jest niepoczytalny, wydała jej się absurdalna. Jak mogła w to uwierzyć! Przypomniała sobie, że właśnie w tym pokoju Matt i Meredith Farrell spędzili z nią cudowny wieczór, przy pożegnaniu życzyli szczęścia. Mathew Farrell roześmiałby się pani Stanhope w twarz. Powinna była zachować się dokładnie tak!

Z dezaprobatą dla samej siebie pokręciła głową, weszła do sypialni i usiadła na łóżku. Z szuflady nocnej szafki wyjęła list Zacka. Przeczytała każde z tych pięknych, pełnych miłości słów. Czuła potrzebę oczyszczenia, zatarcia wszelkich śladów pobytu w jego domu. Odłożyła list, ściągnęła sweter i spódnice. Weszła do łazienki i wzięła prysznic.

Splukiwała ciało i włosy, jakby zostały skażone niedobłą atmosferą ponurej sterty kamieni, którą Zack nazywał kiedyś swoim domem. Nie znalazła tam żadnego ciepła, ani w budynku, ani w zamieszkujących go osobach. Jeżeli ktoś cierpi na omamy, to jego babka! I jej lokaj! I brat Zacka, Alex!

Jednak, zaprotestował rozum, babka bardziej robiła wrażenie przygnębionej niż mściwej, przynajmniej przy końcu wizyty. A lokaj, nieco zagubiony, pod wyraźnym jej wpływem, był przecież pewny swoich słów. Dlaczego oboje mieliby kłamać, relacjonując kłótnię Zacka z Justinem?

Na razie starczy pytań! Wyłączyła suszarkę z gniazdka, ciasniej zawiązała pasek szlafroka i weszła do salonu. Myślami wracała jednak do tamtej rozmowy. Może zwyczajną wymianę uwag pomiędzy braćmi wzięli za kłótnię? Nastawiła telewizor na CNN, by posłuchać nocnych wiadomości.

Ale było coś, czemu nie mogła zaprzeczyć: Zack okłamał ją co do okoliczności śmierci Justina.

Albo ją, albo policję, dziennikarzy i sąd.

Próbowała wyrzucić z myśli tę zagadkę. Powiodła wzrokiem po pokoju, w poszukiwaniu czegoś znajdującego się nie na swoim miejscu, co mogłaby poprawić. Nic z tego! Jej zawsze schludny dom teraz był wręcz aseptycznie czysty. Przez ostatnie pięć dni

przygotowywała go na spodziewane najście policji i dziennikarzy, po tym, jak zniknie. Na roślinie w doniczce dostrzegła pożółkły liść, sięgnęła i zerwała go. Nagle zrobiło jej się cieplej na sercu na wspomnienie Kolorado, zauważenia przez Zacka jej niewinnej słabości. „Czy ten twój zwyczaj porządkowania rzeczy, jak czujesz się niepewnie, to nerwowe?” Sama myśl o jego leniwym uśmiechu i błysku rozbawienia w oczach dodała jej otuchy. Musi skupić się na tych wspomnieniach, pomyślała, one są prawdziwe. On też. I czeka teraz na nią w Meksyku.

Nakłamał wszystkim innym o śmierci Justina, jej nie. Nie mógłby. Nie chciałby. W głębi serca była tego pewna. Gdy spotkają się, wyjaśni jej, czemu musiał tak postąpić. Telewizja nadawała program poświęcony Chinom. Julie, zbyt podekscytowana, by usnąć, postanowiła zająć się listem do rodziny. Poczekaj na ostatnie wiadomości, może w nich usłyszysz nowe informacje o Zacku. Powiedział jej, że przygotuje wszystko w ciągu tygodnia, ósmego dnia ma być gotowa. Minęło już pięć.

Wstała, poszła do sypialni po napisany w części list, potem usiadła w bujanym fotelu i sięgnęła do wyłącznika lampy. Z dźwiękami programu o gospodarczej przyszłości Chin w tle, przeczytała jeszcze raz, co napisała:

*Kochana Mamusiu i Tatusiu, Kochani Carlu i Tedzie.*

*Gdy czytacie ten list, już wiecie: odjechałam połączyć się z Zackiem. Nie spodziewam się Waszych pochwał ani wybaczenia, chcę jedynie wyjaśnić, co kieruje moim postępowaniem, byście, pewnego dnia, spróbowali zrozumieć.*

*Kocham go.*

*Tak bardzo chciałabym podać Wam więcej i lepszych powodów. Szukam i nie znajduję, pewnie w ogóle nie istnieją. Może dlatego, że nic więcej tak naprawdę się nie liczy.*

*Mamusiu, Tatusiu, Carlu, Tedzie - wiecie, co to miłość, życie w niej, wiem, że tak jest. Tatusiu, pamiętam, jak wiele razy długo w noc nie szedłeś spać, siadałeś na kanapie obok Mamy, otaczałeś Ją ramieniem. Pamiętam Wasz śmiech, wzajemne czułości. Dobrze zapamiętałam dzień, gdy po powrocie od lekarza Mama powiedziała o ujawnionym w Jej piersi zgrubieniu. Tego wieczora wyszedłeś na podwórko i płakałeś. Wiem o tym, Tatusiu, bo stałam tuż za Tobą. Chcę dzielić z Zackiem wszystkie chwile - te dobre, ciche, szczęśliwe i te smutne. Pomyśl o nich, proszę! Jak los Tobie i Mamusi wyznaczył życie razem, tak mnie jest pisane być z Zackiem. Wierzę i wiem to, w każdej chwili, z każdym oddechem. Nie wiem czemu właśnie on. Sama nigdy nie wybrałabym takiej drogi. Ale tak się stało i nie żałuję.*

*Carl! Masz cudowną, słodką Sarę. Uwielbiała Cię, odkąd poszliście do szkoły podstawowej - nie jestem pewna, czy zdajesz sobie sprawę z jej przywiązania. Latami czekała,*

*byś zwrócił na nią uwagę. Potem, w szkole średniej, robiła najdziwniejsze rzeczy, byś tylko ją zauważył: zeskakiwała z drzewa, jak akurat obok przejeżdżałeś, upuszczala podręczniki u twoich stóp. Sara i ja uczyłyśmy się razem tego wieczora, gdy zaprosiłeś Jenny Stone na twój bal promocyjny. Zraniłeś ją bardzo, płakała, teraz ja zadam ci ból, odchodząc z Zackiem. A Sara kochała Cię mimo wszystko... gdy już rana się zablizni, znajdź dla mnie w sercu trochę ciepła, przynajmniej spróbuj.*

*Ted! Myślę, że Ty najbardziej rozżościsz się na mnie za to, co zrobiłam. Uplynie sporo czasu, nim mi darujesz ten „wybryk”. Sam jeszcze nie rozgrzeszyłeś się z odwrócenia się od swego małżeństwa, Katherine też nie chcesz wybaczyć. Nie możesz wybaczyć, nie potrafisz zapomnieć, zaplątałeś się we własne sieci. A najzabawniejsze, że z nas wszystkich właśnie Ty i ja kochamy jak szaleni, bez umiaru, pozwalamy miłości kierować każdą chwilą naszego życia. Kochasz mnie, wiem o tym. Powiedziałeś, że dla mnie poszedłbyś do samego piekła, a teraz przeze mnie przejdziesz przez nie - nienawidzę się za to. Ale nie mam wyboru. Nie mogę przecież postąpić tak, jak Ty z Katherine - odwrócić się od Zacka, który kocha i potrzebuje mnie, i spędzić resztę życia w nienawiści do siebie za to, czego nie zrobiłam.*

*Po moim wyjeździe usłyszycie o Zacku mnóstwo okropnych plotek i mściwych wymysłów. Dziennikarze, ludzie, którzy nigdy go nie znali, a nawet policja, będą prześcigać się w wygłaszaniu o nim najrozmaitszych głupstw. Tak bardzo żałuję, że go nie poznaliście! Ponieważ to niemożliwe, zostawiam list, który choć trochę pozwoli Wam zrozumieć, jakim jest człowiekiem, kopię bardzo intymnego listu do mnie. Niewielki fragment zamażę, nie zawiera nic, co mogłoby zmienić Wasze nastawienie, a tylko wzmiankę o osobie, która zrobiła dla nas obojga wiele dobrego. Po przeczytaniu słów Zacka zrozumiecie, że mężczyzna, który je napisał, będzie mnie kochał, opiekował się mną. Pobierzemy się, jak tylko się spotkamy.*

Tyle napisała do tej pory i wciąż wydawało jej się mało. Ujęła pióro i nasłuchując dochodzącego z telewizora głosu spikera, zaczęła:

*Carl, chciałabym, byście wzięli z Sarą ode mnie wszystko, co przyda Wam się w nowym domu. Podlewając moje roślinki, pomyślcie czasem o mnie.*

*Ted! W górnej szufladzie mojej komody znajdziesz obrączkę, która należy do Ciebie. Rozpoznasz ją. Rzuciłeś nią w chwili rozstania z Katherine. Powinna znajdować się na Twoim palcu, mój kochany, niemądry Braciszku. Przymierz... choćby w imię dawnych czasów. Niech będzie, dla mnie. W żadnej innej nie poczujesz się tak dobrze, wiesz o tym. Was dwoje razem, znowu raniących się słowem przy każdej okazji! Ale uwierz, żyjąc bez siebie, będziecie cierpieć o wiele bardziej. I...*

Julie uniosła głowę, bo spiker właśnie mówił: „Przerywamy nasz reportaż o Chinach, by poinformować o przebiegu obławy na Zacka Benedicta. Według policji w Orange County, w Kalifornii, Benedict, który uciekł z więzienia stanowego w Amarillo, gdzie odbywał karę czterdziestu pięciu lat więzienia za zamordowanie żony, był widziany w Los Angeles przez dawnego znajomego. Człowiek ten - jego tożsamości nie podano - powiedział, że nie ma wątpliwości, iż widział Benedicta. Po tej informacji, jak i wiadomości, że w dniu dzisiejszym Benedict dzwonił do członków ekipy pracującej przy filmie «Przeznaczenie» na planie w dniu zabójstwa jego żony i groził im śmiercią, wzmożono poszukiwania. Policja z Orange County ostrzega wszystkich, którzy przebywali na planie «Przeznaczenia», by podjęli wszelkie możliwe środki ostrożności, bo jak wiadomo, Benedict jest uzbrojonym, niebezpiecznym przestępcą”.

Pióro i papier upadły na podłogę, Julie zerwała się, wpatrzona w ekran telewizora. Starła się zapanować nad sobą, odrzuciła z czoła włosy. Podniosła z ziemi list. Mistyfikacja, powtarzała, oszustwo! Jakiś maniak podaje się za Zacka, by trafić do wiadomości.

Mistyfikacja, pomyślała trochę uspokojona. Zgasła telewizor i poszła do łóżka.

Ale gdy wreszcie usnęła, sen zapełniły kryjące się w mroku postacie bez twarzy, miotające na przemian ostrzeżenia i groźby.

Gdy przebudziła się, słońce stało już wysoko. Bojąc się na nowo zasnąć, wstała, poszła do kuchni i nalała sobie do szklanki soku pomarańczowego. Wypiła, nie czując smaku, potem, z opuszczoną głową, wsparła dłonie na ładzie.

- Och, Zack - szepnęła - co teraz robisz? Zadzwoń i powiedz, że to kłamstwa. Proszę... nie skazuj mnie na taką torturę.

Zamierzała pójść do kościoła, a resztę dnia spędzić w szkole, na papierkowej robocie, na wypadek gdyby Zack postanowił zadzwonić i wszystko wyjaśnić. Do domu nie mógł telefonować, na pewno spróbuje złapać ją w szkole. Domyśli się, że jeżeli coś się wydarzy, czeka tam na wiadomość od niego, nawet w niedzielę.

## ROZDZIAŁ 57

- Julie, kochanie, wszystko w porządku? - Flossie Eldridge zastukała w przednią szybę samochodu. - Od prawie pół godziny siedzisz tu po ciemku, z włączonym silnikiem.

Julie spojrzała na pulchną, zatroskaną twarz i sięgnęła do stacyjki. Pośpiesznie wysiadła.

- Nic mi nie jest, panno Flossie, naprawdę. Rozmyślałam o szkolnych sprawach i zupełnie zapomniałam, gdzie jestem.

Drżąc z zimna pośród mroźnej nocy, Flossie ciasniej otuliła się płaszczem.

- Przeziębisz się na śmierć!

Julie zmartwiła aż tak mocna utrata poczucia rzeczywistości. Wzięła teczkę z tylnego siedzenia i spróbowała uśmiechnąć się do starszej sąsiadki.

- Miałam włączone ogrzewanie - tłumaczyła się, ale tak naprawdę nie była tego pewna.

- Nic podobnego - oburzyła się Flossie. - Spójrz, szyba jest zamarznięta. Strasznie długo pracujesz, do tego w niedzielę! - Wskazała wzrokiem na aktówkę.

- W szkole jest zawsze mnóstwo pracy - powiedziała Julie. - Odprowadzę panią. - Wzięła pannę Flossie pod rękę i powoli przeszły przez trawnik oddzielający ich domy. - Ostrożnie, w tych ciemnościach nic nie widać, nie chcę, by się pani pośliznęła.

- Julie - Flossie wchodziła w żółty krąg światła padającego z werandy - czy wszystko w porządku? Wyglądasz na bardzo czymś poruszoną. Możesz powiedzieć mi prawdę, nie powtórzę Adzie. Tęsknisz za Zacharym Benedictem?

Stan letargicznego roztargnienia, w jakim Julie znajdowała się przez cały dzień, na dźwięk imienia Zacka w jednej chwili przemienił się w czujność.

- Skąd przyszło pani coś podobnego do głowy? - zapytała ze śmiechem, który nawet w jej uszach zabrzmiał sztucznie.

- Ponieważ - powiedziała Flossie takim tonem, jakby uważała odpowiedź za oczywistą - siedziałas w samochodzie na podjeździe, ze wzrokiem utkwionym w pustkę. Gdy byłam młodą dziewczyną i umierałam z tęsknoty za Her... za kimś, robiłam to samo.

- To znaczy - Julie próbowała obrócić słowa Flossie w żart - wjeżdżała pani na podjazd przed domem i siedziała w aucie przez pół godziny?

- Oczywiście, że nie. - Flossie zachichotała, w kącikach jej oczu pojawiły się zmarszczki. - Nigdy nie nauczyłam się prowadzić samochodu. Po prostu wpatrywałam się w przestrzeń, jak ty dzisiaj.

Julie nie chciała kłamać, a że nie mogła wyznać prawdy, wykręciła się wypowiedzianą stanowczym tonem uwagą:

- Nie popieram usychania z tęsknoty za czymkolwiek, panno Flossie. Jeżeli nie mogę spełnić marzeń, staram się raz na zawsze wyrzucić ich przedmiot z pamięci i radzić sobie dalej, najlepiej jak umiem.

Zamiast przyjąć odpowiedź lub dalej wypytywać o Zacka, czego Julie prawdę mówiąc oczekiwała, panna Flossie położyła jej dłoń na ramieniu.

- Co byś zrobiła, gdybyś całe życie pragnęła czegoś, z czego rezygnowałaś z lęku przed ośmieszeniem się i z braku pewności, czy nie będziesz żałować, jak już to zdobędziesz, a miała obiekt nadal w zasięgu ręki?

Tym razem śmiech Julie zabrzmiał szczerze. Potrząsnęła głową.

- Trudne pytanie - przyznała. - Gdybym nie była szczęśliwa bez tej rzeczy, pewnie zaryzykowałabym.

- Ale to mężczyzna, nie rzecz - wyznała Flossie.

Julie od samego początku ich rozmowy domyślała się prawdy.

- O kogo chodzi? - zapytała, na wypadek gdyby Flossie czuła potrzebę zwierzenia się.

- No, proszę powiedzieć!

- Och, to tajemnica.

Wcale nie, pomyślała Julie z melancholią, a ponieważ nie miała nic do stracenia, natomiast Flossie wiele do zyskania, powiedziała bez ogródek:

- Myślę, że Herman Henkleman potrzebuje przyzwoitej kobiety, która by w niego uwierzyła, podtrzymywała go na duchu, a on mógł być z niej dumny. Oczywiście - ciągnęła dalej, nie zważając na zmieszanie Flossie - Herman nigdy nie odważy się zwrócić do tej, którą kiedyś kochał, z prośbą o szansę, nie po tym, co zrobił ze swym dotychczasowym życiem. Kobieta będzie musiała pierwsza uczynić krok, a to wymaga sporo odwagi.

Julie, wiedziona impulsem, pochyliła się i pocałowała Flossie w policzek.

- Dobranoc - powiedziała. Zegnaj, dodała w myślach. Minęło sześć z ośmiu dni, które dał jej Zack.

Weszła na werandę, poszukała w torebce kluczy i otworzyła drzwi. Gdy sięgała do kontaktu, rozległ się męski głos:

- Nie włączaj światła. - Okrzyk przerażenia zamarł jej na ustach, bo mężczyzna szybko dodał: - W porządku, jestem przyjacielem Zacka.

- Dlaczego miałabym ci uwierzyć? - Głos Julie drżał, tak samo jak jej dłoń.

- Bo przyszedłem tu - rozległ się pogodny głos Dominica Sandiniego - rozejrzeć się trochę i upewnić, czy możesz, bez kłopotu, wybrać się w krótką podróż, gdybyś przypadkiem coś takiego zamierzała.

- Do licha, aleś mnie wystraszył! - wybuchnęła Julie ze śmiechem, ale trochę rozgniewana. Oparła się o drzwi.

- Przykro mi.

- Jak dostałeś się do środka? - Czuła się nieswojo, rozmawiając z człowiekiem, którego twarzy nie mogła dostrzec w ciemnościach.

- Pokręciłem się trochę i wszedłem kuchennymi drzwiami. Masz ogon, paniusiu.

- Co takiego?

Julie była tak zaskoczona, że sięgnęła do tyłu, by upewnić się, czy ze spódnicy nie zwisa odpruty obrąbek.

- Śledzą cię - wyjaśnił z uśmiechem. - Niebieska półciężarówka zaparkowana po drugiej stronie ulicy pilnuje domu, a czarny pick-up jeździ za tobą, gdziekolwiek się ruszysz. Z pewnością FBI. Używają samochodów niewartych kradzieży, ale w śledzeniu są lepsi od miejscowych kmiotków. Samochody - dodał z dumą - to moja specjalność. Na przykład twój - silnik o pojemności 1,5 litra, prawdopodobnie fabrycznie montowane radio, bez telefonu-rozebrany na części wart jakieś dwieście pięćdziesiąt dolarów.

- Czyżbyś zajmował się sprzedażą używanych aut? - zapytała Julie. Sprawę FBI odsunęła na drugi plan, bo znajdowała niezwykłą przyjemność w przebywaniu z przyjacielem Zacka.

- No, niezupełnie - odparł, tłumiąc śmiech. - Ale gdy je sprzedawałem, nie posiadałem tytułu własności, jeżeli ci o to chodzi.

- Ty... ty je kradłeś? - Julie zrobiło się nieprzyjemnie.

- Tak, ale już z tym skończyłem. - Uśmiechnął się szeroko. - Teraz jestem zresocjalizowany.

- Świetnie! - Ucieszyła się. Nie najlepszy początek, pomyślała, gdyby przyjaciel Zacka okazał się złodziejem samochodów. Ale jej gość, o niewidocznej twarzy, mógł rozwiać inne jej obawy, więc pośpiesznie zapytała: - Zacka nie ma w Los Angeles, prawda? To nie on straszy tych ludzi?

- Nie mam pojęcia, gdzie jest ani co robi, naprawdę.



- Ależ musisz wiedzieć! Z pewnością z nim rozmawiałeś...

- O nie. Zack by się wpier... bardzo by się gniewał - poprawił się pośpiesznie - gdyby wiedział o mojej wizycie. Ale pomyślałem, że to jedyna szansa na obejrzenie jego Julie. Musisz go bardzo kochać.

Zamilkł.

- To prawda - powiedziała szeptem. - Dla ciebie też musi znaczyć wiele, skoro zaryzykowałeś przyjazd tutaj.

- Ależ... żadne ryzyko - zabrzmiało zuchowato. - Nie robię niczego niezgodnego z prawem. Po prostu zatrzymałem się, by odwiedzić przyjaciółkę przyjaciela, a prawo nie zabrania wejścia kuchennymi drzwiami i czekania na nią w ciemnościach. Nawet naprawiłem zamek w drzwiach, tamten nie powstrzymałby dziecka. Czyż to nie jest postępowanie godne przestrzegającego prawo obywatela? - zażartował.

Powiedział, że przybył, by upewnić się, czy Julie może bez przeszkód udać się w podróż, i właśnie zamierzała zapytać, jak to sobie wyobraża, gdy z ciemności doszedł ją jowialny głos:

- Zack chciał, byś miała nową gablotę, na wypadek gdybyś nagle postanowiła wybrać się w daleką podróż - więc ofiarowałem się z pomocą w jej dostarczeniu. No i jestem.

Julie pomyślała, że jeśli za dwa dni wyjedzie z Keaton samochodem Sandiniego, łatwiej uwolni się od funkcjonariuszy FBI.

- Powiedz, że nie jest skradziony. - Surowy ton Julie rozbawił go.

- Ależ skąd. Mówiłem już, że się wycofałem. Zack kupił samochód, ja postanowiłem dostarczyć prezent, to wszystko. Nie ma prawa zabraniającego zbiegłemu więźniowi kupna auta swojej dziewczynie, za własne, ciężko zarobione pieniądze. A co ona z nim robi, nie mój interes.

- Nie zauważyłam przed domem żadnego wozu.

- Ma się rozumieć! - powiedział z udanym oburzeniem. - Nie mogłem przecież naruszyć jakichś miejscowych przepisów, zabraniających hałasowania po nocy. Zostawiłem auto na parkingu w centrum, przed budą z napisem Kelton's Dry Goods.

- Dlaczego? - Julie nic nie rozumiała.

- Interesujące pytanie. Nie mam pojęcia, jak wpadłem na ten zwariowany pomysł. - Sandini w jakiś sposób przypominał Julie jej uczniów - czarujących, ośmioletnich łobuziaków. - Pomyślałem, że jeżeli pewnego ranka zaparkujesz własny samochód przed tym sklepem, może zechcesz wejść do środka, porozglądać się, a potem wyjść tylnymi drzwiami i zabrać nowy wóz na niewielką jazdę próbną. Oczywiście, śledzący cię chłopcy trochę się

zdenerwują. Trudno przyjdzie im ustalić, w którą stronę odjechałaś i jakim samochodem... i jak jesteś ubrana... bo może cię ogarnąć niespodziewana chęćka przebrania się w inne ciuchy, które przypadkowo znajdą się w twojej aktówce. Zrozumiałaś chyba, o co mi chodzi.

W ciemnościach skinęła głową, dwuznaczność jego słów przerażała.

- Zrozumiałam - potwierdziła z nerwowym śmiechem.

Bujane krzesło zatrzeszczało. Wstał.

- Miło się z tobą rozmawiało. - Musnął dłonią jej ramię. - Zegnaj, Julie Zacka. Mam nadzieję, że wiesz, na co się porywasz.

Z westchnieniem skinęła głową.

- Nie zapalaj światła, dopóki nie zniknę.

Słuchała jego niespiesznych kroków. Chyba utyka, pomyślała.

## ROZDZIAŁ 58

Tony Austin usłyszał za plecami dziwny odgłos. Sięgnął do lampy na stoliku obok. W tym samym momencie zasłony na przeszklonych drzwiach lekko zafalowały.

- Nie włączaj światła! - rozkazał głos, cień odsunął się od drzwi. -Stąd widzę cię doskonale!

- Po ciemku też rozpoznam twój głos! Dlaczego, u diabła, nie wszedłeś frontowymi drzwiami? - Austin cofnął rękę. Maskował zdenerwowanie pogardliwym tonem. - Zostawiłem je otwarte specjalnie dla ciebie.

- Czy zdajesz sobie sprawę, od jak dawna marzę o zgładzeniu cię?

- Zmarnowałeś szansę pięć lat temu. Gdzie pieniądze?

- Jesteś jak wampir, wysysasz krew do ostatniej kropli.

- Zamknij się i dawaj forszę - warknął Austin.

Cień przy zasłonie uniósł rękę, Tony ujrzał rewolwer.

- Nie bądź głupcem! Jeżeli mnie zabijesz, gliny w ciągu dwudziestu czterech godzin ustalą, kto był sprawcą.

- Nic podobnego! Zack Benedict wy dostał się na wolność, nie słyszałeś? Wręcz zięje wściekłością. - Przerażliwy śmiech mroził w żyłach krew. - Dzwoni do ludzi, grozi im. Policja sądzi, że do mnie też. Postarałem się o to. Dla wszystkich zabójcą będzie on. Tak długo czekałem na tę chwilę... - Rewolwer powędrował w górę...

- Nie bądź idiotą! Jeżeli mnie zabijesz...

Padł strzał. Kula zrobiła w piersi Tony'ego Austina niewielką dziurkę, tuż przy obojczyku, ominęła serce, ale nie miało to znaczenia. Tępe uderzenie spiłowanego pocisku poszarpało wnętrze klatki piersiowej. Nie mógł przeżyć.

## ROZDZIAŁ 59

- Cudownie widzieć was wszystkich znowu razem - powiedziała pani Mathison. Julie zerwała się, by pomóc matce posprzątać stół po kolacji. - Nie powinniśmy czekać na specjalne okazje.

Julie zebrała szklanki i uśmiechnęła się do matki. Tak, to spotkanie jest wyjątkowe, ostatnie... Rano wyjeżdża dołączyć do Zacka.

- Na pewno nie chcesz, byśmy z Carlem zostali i pomogli posprzątać? - spytała Sara. - Carl ma wprawdzie trochę pracy przy przygotowaniu oferty przetargowej na budowę centrum rekreacyjnego, ale nic się nie stanie, jak zrobi to za godzinę.

- Nie, nie trzeba - odparła Julie, wchodząc do salonu. Uścisnęła serdecznie Sarę, potem brata. Przytrzymała ich w objęciach dłużej niż zwykle i jeszcze pocałowała jedno i drugie w policzek. Przecież to pożegnanie! - Dbajcie o siebie - szepnęła.

- Mieszkamy zaledwie półtorej mili stąd - zauważył Carl, trochę zdziwiony. Julie patrzyła za nimi i starała się utrwalić w pamięci tę chwilę. Zamknęła drzwi. Ojciec z Tedem rozsiedli się w salonie przed telewizorem i czekali na wiadomości, Katherine pomagała pani Mathison uprzątnąć ze stołu.

- Sara to taka słodka dziewczyna - powiedziała matka do Julie, gdy znalazły się w kuchni same. - Carl miał szczęście, że trafił właśnie na nią. - Spojrzała przez ramię w stronę jadalni, gdzie krzątała się Katherine. - Ted i Katherine chyba na nowo się odnaleźli, prawda? - szepnęła. - Ona była taka młodziutka! Ostatnio dorosła i ustatkowała się. Ted bardzo ją kochał i nigdy nie przestał.

Julie uśmiechnęła się smutno. Włożyła przyniesione przez Katherine talerze do zmywarki.

- Nie rób sobie zbytnej nadziei, Katherine na dzisiejszy wieczór zaprosiłam ja, nie on. Wciąż spotyka się z Grace Halvers - pewnie próbuje zapomnieć o Katherine.

- Julie, czy coś się stało? Wydajesz się dzisiaj taka roztargniona.

Julie przywołała na twarz wesołą minę, wzięła ścierkę i zaczęła wycierać zlew.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo woda leje się z kranu, talerze stoją brudne, a ty bierzesz się za wycieranie blatów.

- Zawsze była z ciebie panna porządnicka - zauważyła z żartobliwą przyganą - ale trochę przesadzasz. - Julie pośpiesznie odłożyła szmatkę i wróciła do naczyń. - Wciąż myślisz o Zacharym Benedikcie, prawda? - spytała pani Mathison.

Znalazła wspaniałą okazję do przygotowania matki na to, co przeczyta w liście, nie mogła z niej nie skorzystać.

- Co byś powiedziała, gdybym wyznała, że w Kolorado zakochałam się w nim?

- Bez sensu. Idiotyczne, bolesne, bez żadnych perspektyw.

- A gdybym nie potrafiła sobie z tym poradzić?

- Zaleciłabym kurację czasem, kochanie, to najlepsze lekarstwo. Dlaczego nie możesz zakochać się w Paulu Richardsonie? - spytała ni to żartobliwie, ni poważnie. - Ma dobrą pracę, szaleje na twoim punkcie. Nawet ojciec to zauważył.

Julie nie zamierzała marnować ostatnich godzin z rodziną na rozważania o Paulu i zmywanie naczyń. Odłożyła ścierkę.

- Chodźmy do salonu - wzięła matkę pod rękę - zmywanie skończę później. Chcecie coś z kuchni? - zawołała w stronę salonu.

- Tak, kawę - poprosił Ted.

Katherine, która właśnie pojawiła się, by pomóc przy zmywaniu, sięgnęła po filiżanki i talerzyki, ale Julie potrząsnęła głową.

- Idź i posiedź trochę z Tedem. Przyniosę kawę, jak będzie gotowa.

Za chwilę Julie z filiżankami na tacy wchodziła do salonu. Zdażyła jeszcze usłyszeć przeznaczony dla Teda szept ojca:

- Wyłącz telewizję, Julie nie musi tego słuchać.

- Czego nie mam słyszeć? - zapytała przestraszona widokiem brata rzucającego się w popłochu do telewizora. - Zostaw, Ted - dodała ostro. Domyśliła się, że informacje dotyczą Zacka. - Mają go, prawda? - Trzęsła się gwałtownie, filiżanki na tacy zadzwięczały. - Odpowiedzcie mi! - Przed sobą widziała cztery wystraszone twarze.

- Nie jego - rzucił Ted z sarkazmem. - To on dopadł następną ofiarę! - Reklama akurat skończyła się i Julie ujrzała na ekranie nosze, a na nich ciało nakryte białym prześcieradłem. W panującej w pokoju ciszy słyszała wyraźny głos spikera: „Powtarzamy wiadomości z ostatniej godziny: Tony Austin, który występował razem z Rachel Evans i Zacharym Benedictem w «Przeznaczeniu», został dzisiaj znaleziony martwy w swym domu w Los Angeles. Przyczyną zgonu była rana postrzałowa klatki piersiowej. Ze wstępnych ustaleń wynika, że pocisk spiłowano, podobnie jak ten, którym zabito żonę Benedicta, Rachel Evans. Koroner określił czas zgonu w przybliżeniu na godzinę dziesiątą zeszłego wieczora. Policja w Orange County potwierdza, że tego dnia Austin otrzymał telefon z pogrózkami od Zacharego Benedicta. Właśnie Benedict był widziany w okolicy bezpośrednio przed zbrodnią. Innych

członków ekipy «Przeznaczenia», którzy także odebrali od Benedicta telefony z pogrozkami, ostrzeżono i poproszono o zachowanie szczególnej ostrożności”.

Dalsze słowa utonęły w brzęku rozbijającej się porcelany; Julie upuściła tacę i zakryła dłońmi twarz. Starła się usunąć z pamięci widok wnoszonego do karetki, zawiniętego w prześcieradło ciała, zapomnieć pobrzmiwający w zaułkach świadomości zimny głos Zacka.

„Zostaw Austina mnie. Są inne sposoby poradzenia sobie z nim”.

- Julie! - Wokół rozległy się głosy, wyciągały się ku niej dłonie. Ale ona cofnęła się, niewidzącym wzrokiem wiodła od matki i Katherine, zbierających z podłogi rozbitą porcelanę, do ojca i Teda, którzy stali obok i spoglądali na nią wyraźnie skonsternowani.

- Proszę! - wykrztusiła. - Chcę być teraz sama. Tatusiu - dodała łamiącym się głosem, z trudem, opanowując histerię - zabierz mamę do domu. Nie powinna martwić się mną. Musi pamiętać o swoim ciśnieniu.

Odwróciła się, weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Nie wiedziała, jak długo siedziała w ciemnościach. Gdzieś w domu zadzwieczał telefon, ale w głowie Julie głos pani Stanhope wciąż krzyczał: „Zachary zamordował brata i żonę. W filmach grał rolę mężczyzn zabijających bez powodu i unikających konsekwencji... On już nie potrafi oddzielić fantazji od rzeczywistości... Zachary jest obłąkany”.

„Gdyby w porę otrzymał pomoc, Rachel Evans nie leżałaby w grobie... Dla własnego dobra, wydaj go. Inaczej będzie następna ofiara, a ty resztę życia spędzisz targana poczuciem winy, jak ja...”

Dobrze znana, urokliwa twarz Tony'ego Austina stanęła jej przed oczami. Jego czarujący, pełen seksu uśmiech. Już nigdy się nie uśmiechnie. Był martwy. Podobnie jak Rachel Evans i Justin Stanhope. Zamordowany.

Usłyszała głos Matta Farrella: „Znaleźliśmy dowody wskazujące na Dianę Copeland... Emily McDaniels... Tommy'ego Newtona”.

Julie sięgnęła do szuflady komody, wyjęła list Zacka i przytuliła do piersi; nie musiała czytać - znała na pamięć każde słowo. Pochyliła się, ramiona wsparła na brzuchu, kołysała się tam i z powrotem, rozpaczliwie, bez jednej łzy. Przytulała list, powtarzała w ciemności jego imię.

Z salonu dobiegły ją przytłumione głosy. Powoli wydobywała się z przepaści, w której nie istniało nic poza udręką. Zmusiła się, by wstać. Już wyraźniej słyszała głosy, głosy bliskich. Oni nie zawiodą... zrozumieją... poradzą... pomogą...

## ROZDZIAŁ 60

Widok wchodzącej do salonu Julie ojciec przerwał rozmowę z Tedem i Katherine. Poruszała się sztywno, jak w odrętwieniu, list, który zamierzała im zostawić, kurczowo ścisnęła w ręce.

- Matkę posłałem do domu - usłyszała słowa ojca.

Skinęła głową.

- To dobrze. - Jeszcze przez chwilę mięła w dłoniach kartkę, potem podała mu. Rozpostarł list tak, by Ted także mógł czytać. - Ja... miałam się jutro z nim spotkać... na zawsze - wyjąkała Julie.

Ted obrzucił siostrę gniewnym, potępiającym spojrzeniem.

- To prawda - potwierdziła, zanim zdążył otworzyć usta.

Ruszył w jej stronę. Gdy dotknął jej ramienia, gwałtownie odskoczyła.

- Zabierz ręce! - krzyknęła histerycznie. Kurczowo przytrzymała się oparcia krzesła. - Nie dotykaj mnie! - Przeniósła wzrok na posępną twarz ojca, smutniejącą w miarę czytania. Skończył, odłożył list i wstał. - Pomóż mi! - prosiła załamującym się głosem. - Proszę, pomóż. Zawsze wiedziałeś, jak należy postąpić. Muszę wybrać właściwą drogę. Niech mi ktoś pomoże! - zawołała w stronę walczącej ze łzami Katherine, potem błagalnie spojrzała na Teda.

Nagle znalazła się w ramionach ojca. Dłonie uspokajająco gładziły jej plecy, jak wtedy, gdy jako mała dziewczynka szukała u niego pociechy.

- Ty już wiesz - powiedział szorstko. - Tego człowieka trzeba powstrzymać. Ted, jesteś przecież prawnikiem - zwrócił się do syna. Do głębi wstrząśnięty, zdawał się odzyskiwać panowanie. - Wymyśl jak, bez narażania Julie, najlepiej załatwić tę sprawę.

Ted zawahał się.

- Najlepszy będzie Paul Richardson. Mogę do niego zatelefonować i spróbować jakoś się dogadać. Julie wyda Benedicta, a Richardson dopilnuje, by nie oskarżono jej o współudział. Żadnych dociekliwych pytań.

Julie otrząsnęła się z odrętwienia. W jej głosie zabrzmiało przerażenie:

- Powiedz Paulowi, że nie wyjawię, kto przekazał mi wiadomość, gdzie mam się spotkać z Zackiem, kto mi pomagał! - Pomyślała o Farrellach i o roześmianym młodym człowieku, który przyprowadził samochód. Wszyscy tak lojalni wobec Zacka, a on zawiódł ich zaufanie! Bo jest chory, bo nie może się opanować. - Jeżeli do niego zadzwonisz -

powtórzyła, starając się mówić spokojnym głosem - musi się zgodzić, że nie przekaże innych informacji poza miejscem spotkania. Nikogo więcej nie wmieszam, nie ma mowy!

- Tkwisz w tym po uszy, a martwisz się, jak chronić innych! - wybuchnął Ted. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak Richardson mógłby z tobą postąpić? Od razu zakuć w kajdanki!

Julie już otwierała usta, ale wołała odejść bez słowa. Nie miała siły na dalsze rozważania o konsekwencjach swojego postępowania. Poszła do kuchni i ciężko opadła na krzesło. Nie chciała być obecna przy telefonicznej rozmowie z Richardsonem, potwierdzającej jej judaszowy czyn. Ramionami Julie wstrząsnął cichy szloch, zakryła dłońmi twarz, łzy, z którymi tak długo walczyła, popłynęły gorącymi strugami.

- Wybacz mi, kochanie - płakała rozpaczliwie - nie chciałam...

Katherine wcisnęła jej w dłoń chusteczkę, potem usiadła naprzeciwko, milczącą obecnością dodając otuchy.

Nim do kuchni wszedł Ted, Julie udało się nieco pozbierać.

- Richardson zgodził się, będzie tu za trzy godziny. - Na dźwięk wiszącego na ścianie telefonu Ted odwrócił się, gwałtownie chwycił słuchawkę.- Tak, jest tutaj, ale nie odbiera telefonów... - Zmarszczył czoło i słuchał w milczeniu, potem zakrył dłońią mikrofon i powiedział do Julie: - Jakaś Margaret Stanhope, mówi, że to pilne.

Julie skinęła głową, wyciągnęła rękę..

- Dzwoni pani, by sztydzić, pani Stanhope? - zapytała gorzko.

- Nie - odpowiedziała kobieta. - Dzwonię, by cię prosić, błagać, byś go wydała, zanim zginie następny niewinny człowiek!

- Niech pani przestanie nazywać swojego wnuka „on”, ma na imię Zack! - gwałtownie wybuchnęła Julie.

Jej rozmówczyni głęboko westchnęła. Gdy znów odezwała się, w jej głosie zabrzmiała rozpacz, podobna do tej, jaką odczuwała Julie.

- Jeżeli wiesz, gdzie jest Zack - poprosiła błagalnym tonem - zaklinam cię, powstrzymaj go.

Na dźwięk udręki w tym dumnym głosie wrogość Julie zniknęła.

- Dobrze, zrobię tak - szepnęła.



## ROZDZIAŁ 61

- W imieniu załogi lotu 614 dziękuję państwu za skorzystanie z usług Aero-Mexico - powiedziała stewardesa. - Proszę pamiętać - dodała wesoło - jesteśmy linią, z którą przylatujecie na miejsce dwadzieścia minut przed podaną godziną. - Dalej mówiła już profesjonalnym tonem. - Proszę pozostać na miejscach i nie rozpinąć pasów do zatrzymania się maszyny przy terminalu.

Julie siedziała pomiędzy Tedem a Paulem, w tylnym rzędzie załoczonego samolotu. Kurczowo ścisnęła dłoń brata, jej żołądek protestował przeciwko gwałtownemu hamowaniu maszyny. Za chwilę podstawiono trap. Serce Julie krzychało, że popełnia błąd, ale sumienie upierało się: postępujesz właściwie. W tym krzyżowym ogniu czuła się zupełnie zagubiona. Paul Richardson zauważył gwałtowne falowanie jej piersi, krótki oddech. Ujął jej drugą rękę.

- Spokojnie, kochanie - powiedział niskim, uspokajającym głosem. - Już prawie po wszystkim. Na lotnisku obstawiono każde wyjście.

Julie oderwała wzrok od wstających i zbierających manatki pasażerów.

- Nie mogę tego zrobić, nie potrafię! Zaraz zwymiotuję. Paul mocniej ścisnął jej wilgotną dłoń.

- Oddychaj głęboko - poradził. Zmusiła się do posłuchania go.

- Nie pozwól zrobić mu krzywdy! - rzuciła rozpaczliwym szeptem. - Obiecałeś.

Pasażerowie powoli opuszczali samolot. Paul położył dłoń na ramieniu Julie i delikatnym uściskiem przypomniał, by wstała. Odsunęła się.

- Obiecaj mi jeszcze raz, że nie pozwolisz, by spotkało go coś złego!

- Nikt nie zamierza go krzywdzić, Julie - mówił jak do wystraszonego dziecka. - Po to tu jesteś. Chciałaś upewnić się, że nic mu się nie stanie, a Benedict, z obawy o ciebie, nie będzie taki skory do stawiania oporu.

Potrząsnęła głową. Paul, holując ją za łokieć, przesuwał się do przodu.

- No to wspaniale - powiedział. - Od tej chwili Ted i ja będziemy trzymać się krok za tobą. Moi ludzie obstawili cały dworzec lotniczy, są też na zewnątrz, a twoje bezpieczeństwo jest dla nich najważniejsze. Jeżeli Benedict zacznie strzelać, osłonią cię własnymi ciałami.

- Zack nigdy by mnie nie skrzywdził! - oburzyła się.

- On nie jest normalny, nie wiesz, co robi, gdy zrozumie, że go oszukałaś. Dlatego, obojętne, co się wydarzy, dopóki nie zostanie ujęty, będziesz udawać, że jesteś po jego

stronie. Rozmawialiśmy już o tym. - Odsunął się lekko, gdy dochodzili do stojącej przy wyjściu stewardesy, przystojnej brunetki. - Czy wszystko jasne?

Julie miała ochotę krzyknąć, że dla niej nic nie jest jasne, ale wbiła paznokcie we wnętrze dłoni i jakoś udało jej się zmusić do kiwnięcia głową.

- W porządku, dalej radzisz sobie sama. - Zatrzymał się w drzwiach, delikatnie zdjął płaszcz z ramion Julie i przewiesił jej przez rękę. - Za pięć minut będzie po wszystkim. Myśl o tym przez cały czas, jeszcze tylko pięć minut! I pamiętaj, nie rozglądaj się, sam cię znajdzie.

Przystanął i patrzył, jak Julie powoli oddała się, odczekał chwilę, by odeszła kawałek, potem, razem z Tedem, ruszyli za nią. Gdy oddalili się od załogi samolotu na tyle, by móc porozumiewać się swobodnie, Ted syknął:

- Nie miałeś prawa zmuszać jej do brania w tym udziału. Sam mówiłeś, że na lotnisku roi się od FBI i Federales. Mogłeś się obejść bez niej!

Paul rozpiął guziki marynarki, poluzował węzeł krawata - swobodnie ubrany biznesmen przyjeżdża z przyjacielem na kilka dni do Mexico City, w interesach i na chwilę rozrywki. Wsunął rękę do kieszeni i ze sztucznym uśmiechem powiedział:

- Nalegała na przyjazd, chciała mieć pewność, że Benedictowi nic się nie stanie. Przez radio wezwałem lekarza, będzie na nas czekał, i już po wszystkim da jej zastrzyk uspokajający.

- Gdybyś był choć w połowie taki sprytny, jak ci się wydaje, twoi ludzie już by go mieli, a tak nie jest, prawda? Poszedłeś do kabiny pilotów, by upewnić się przez radio, nie myłę się?

Paul uśmiechał się, ale jego słowa nie dodawały otuchy.

- To prawda. Jakoś udało mu się obok nich prześliznąć albo wcale się nie pojawił. FBI nie ma uprawnień do działań w Meksyku. Dopóki nie przewieziemy Benedicta przez granicę, możemy tylko „pomagać” meksykańskiej policji w czasie operacji, a oni nie są najlepsi w takich sprawach.

Julie z nerwów aż cała się trzęsła. Niepewnie wkraczała w gwar za barierką, za którą rodziny i przyjaciele witali pasażerów. Rozpaczliwie rozglądała się za wysokim, ciemnowłosym mężczyzną, który, dla niepoznaki, mógł wmieszać się w rozradowany tłum. Gdy nie zobaczyła znajomej twarzy, zrobiła kilka kroków do przodu i, sparaliżowana uczuciem ulgi i strachu jednocześnie, zatrzymała się.

- Przepraszam, panienko! - zawołał jakiś Meksykanin, najwyraźniej śpieszący do swego samolotu. Przepychał się obok niej, za rękę ciągnął niedużego chłopca, w drugiej trzymał walizkę.

- Przepraszam! - zawołał inny, potrącając ją mocno. - Był wysoki i śniady, jego twarzy nie widziała. - Zack! - szepnęła przerażona. Patrzyła nic nierozumiejącym wzrokiem, jak człowiek podbiega do wyjścia, przy którym tłoczyli się opuszczający lotnisko pasażerowie. Trzej Meksykanie, oparci o ścianę, popatrzyli na nią, potem na mężczyznę, w tej samej chwili ujrzała ciemną twarz tamtego - nie był to Zack.

Głos z megafonów zdawał się eksplodować jej w uszach: „Samolot 620 z Los Angeles właśnie ląduje przy wyjściu A-64. Samolot 1152 z Phoenix ląduje przy wyjściu A-23. Lot 134...”

Julie trzęsła się coraz mocniej. Drżącą ręką odsunęła kosmyk włosów z czoła. Nie widziała nic. Mieć to już za sobą, jak najszybciej, pomyślała. Jeszcze cztery minuty! Jeżeli pójdzie prosto, bez rozglądania się na boki, zza któregoś filaru wyłoni się Zack i ruszy za nią do wyjścia. Tam nastąpi koniec wszystkiego.

Boże, spraw, by to stało się szybko, odmawiała litanię w rytm swych pośpiesznych, długich kroków. Niezatrzymywana wyszła za barierę. Nie daj wyrządzić mu krzywdy. Niech to stanie się szybko. Nie daj wyrządzić mu krzywdy. Niech to stanie się szybko.

Pośpiesznie minęła grupę pasażerów idącą od punktu kontroli bezpieczeństwa. Nie zatrzymywała się, szła dalej. Nad głową ukazała się strzałka wskazująca kierunek do wyjścia. Julie zawróciła i poszła w tę stronę. Nie daj wyrządzić mu krzywdy... Nie daj wyrządzić mu krzywdy... Spraw, by go tu nie było, powtarzała rozpaczliwie w myślach. Jeszcze dwie minuty. Przed nią znajdowało się wyjście na dobrze oświetlony postój; taksówki czekały już z włączonymi światłami. Spraw, by go tu nie było. Spraw, by go tu nie było. Spraw, by go tu nie było...

Nie było go.

Julie zatrzymała się. Nie zwracała uwagi na potrącających ją, roześmianych, zagłębionych w ożywionej rozmowie pasażerów, śpieszących do terminalu. Powoli odwróciła się, poszukała spojrzeniem Paula Richardsona - stał razem z Tedem, rozmawiali... Przeniosła wzrok na grupę zbliżających się, rozbawionych Meksykanów... na starszego mężczyznę, wysokiego i przygarbionego, o szpakowatych włosach, ze spuszczoną głową, niósł walizkę... na matkę z... Zaraz, zaraz! Ten stary człowiek! Julie natychmiast powróciła do niego wzrokiem, on powoli uniósł głowę, oczy... te ciepłe, śmiejące się, złociste!

W myślach krzyczała ostrzegawczo; zrobiła krok, dwa, zaczęła biec, przepychać się przez tłum, by własnym ciałem osłonić go. Wtem męski głos zawołał:

- Stój, Benedict, nie ruszaj się!

Zack znieruchomiał, agenci już go chwyтали, rzucili na ścianę. Ale jego wzrok wciąż więził spojrzenie Julie, ostrzegał, by trzymała się jak najdalej. Rozpętało się istne pandemonium: krzyki pasażerów usiłujących zejść z drogi Federales, którzy nadbiegali z wyciągniętymi pistoletami. Julie usłyszała własny głos przekrzykujący wszystko:

- Nie róbcie mu krzywdy! Nie róbcie mu krzywdy!

Paul Richardson złapał ją, pociągnął do tyłu.

- Oni go biją! - krzyknęła. Szarpała się, próbowała uwolnić z uścisku, dojrzeć, co dzieje się za tłumem mężczyzn otaczających Zacka. - Biją go!

- Już po wszystkim! - zawołał Paul. Starał się ją powstrzymać, uspokoić. - Już w porządku, po wszystkim!

Jego słowa dotarły w końcu do Julie. Zamarła. Niezdolna uwolnić się ani odwrócić wzroku, sparaliżowana rozpaczą patrzyła, jak otaczają i przeszukują Zacka, pod nadzorem elegancko ubranego, niskiego mężczyzny o przeredzonych włosach, który uśmiechem obserwował poczynania Federales. Teraz usłyszała jego głos.

- Wracamy do domu, Benedict, i będziemy razem przez długie, długie lata... - Urwał, bo policjant znalazł coś w kieszeni Zacka. - Co tam masz?

Tamten podał mu zdobycz. Julie poczuła chłód w całym ciele na widok obrzydliwego uśmiechu mężczyzny, gdy przenosił wzrok z zawartości swej dłoni na nic niewyrażającą twarz Zacka.

- O, jak słodko! - rzucił z pogardą i nagle ruszył w stronę Julie.

- Jestem dyrektor Hadley - przedstawił się. Wyciągnął dłoń. - Założę się, że to było przeznaczone dla pani.

Julie nie zareagowała, nie mogła się poruszyć, bo Zack popatrzył na nią tak ciepło, że zapragnęła umrzeć. Spojrzeniem mówił, jak bardzo ją kocha; prosił o wybaczenie, żegnał się z nią.

Wciąż myślał, że ujęto go przypadkiem.

- Weź to! - wrzasnął Hadley.

Wstrząśnięta, odruchowo wyciągnęła dłoń.

Przedmiotem, który upadł na jej rękę była wąska, ślubna obrączka.

- Och, nie... - jęknęła. Przycisnęła ją do piersi, łzy płynęły po policzkach.- Nie, nie...

Nie patrząc w jej stronę, Hadley zwrócił się do meksykańskich policjantów:

- Zabierzcie go stąd! - rzucił rozkazująco. Wskazał głową w kierunku wyjścia. Na ulicy ze dwanaście policyjnych samochodów w ciszy migotało światłami. Gdy Federales prowadzili Zacka w tamtą stronę, Hadley przypomniał sobie nagle... - Zaczekajcie chwilę - dodał ostro, a potem zwrócił się do Julie, stojącej przy Zacku. Pełnym fałszu tonem powiedział: - Panno Mathison, zachowałem się bardzo niegrzecznie. Nie podziękowałem za współpracę. Gdyby nie pani pomoc, pewnie nieprędko złapalibyśmy Benedicta.

Zack poderwał głowę, przeniósł wzrok na ściągniętą poczuciem winy twarz Julie. Z rozpaczą dostrzegła w jego oczach niedowierzanie. A potem nienawiść, tak głęboką, że mięśnie jego twarzy ułożyły się w maskę furii. Ogarnięty szałem uwolnił się i rzucił w stronę wyjścia.

- Trzymajcie drania! - krzyknął Hadley. Panika w jego głosie sprawiła, że Federales, wyciągając gumowe pałki, pobiegli za więźniem.

Julie usłyszała trzask kości. Widziała, jak Zack z wykrzywioną bólem i wściekłością twarzą pada na kolana, policjanci znowu unieśli nad nim pałki. Wyrwała się Paulowi, rzuciła na Hadleya. Zrozpaczona, paznokciami rozorała mu twarz, w szale nienawiści kopała. Richardson odciągał ją. Hadley uniósł pięść, ale powstrzymało go wściekłe ostrzeżenie:

- Ty sadystyczny draniu! Spróbuj ją tknąć, a skręcę ci kark! – Paul uniósł głowę i zawołał do swoich ludzi: - Przyprawdźcie tego cholernego lekarza! - Potem wskazał na Hadleya. - A tego zabrać mi stąd.

Ale już nie patrzył, czy dojdzie do następnej, nierównej walki - miał inne zmartwienie. Julie, nieprzytomna, powoli osuwała się na ziemię.

## ROZDZIAŁ 62

Doktor Delorik wyszedł z sypialni Julie, w ręce trzymał swoją czarną walizeczką. Pocięszająco uśmiechnął się do zaniepokojonych członków rodziny i Katherine, którzy zebrani w salonie oczekiwali na diagnozę.

- To mocna dziewczyna. Fizycznie przyjdzie do siebie w ciągu dwudziestu czterech godzin - orzekł. - Jeżeli macie ochotę, możecie wejść i życzyć jej dobrej nocy. Znajduje się pod działaniem silnych środków uspokajających, więc nie zorientuje się, że mamy już rano, może nawet nie zareaguje na słowa ani was nie rozpozna, ale i tak pomożecie jej odzyskać spokój. Zanim poczuje się na tyle dobrze, by wrócić do pracy, minie kilka dni.

- Zadzwoń do jej dyrektora i wszystko wytłumaczę - szybko zaofiarowała się pani Mathison. Wstała i z niepokojem spojrzała na drzwi, za którymi leżała Julie.

- Nie będzie potrzeby wyjaśniania czegokolwiek jemu czy komuś innemu - powiedział doktor Delorik. - Pewnie jeszcze nie zdążyliście włączyć telewizora, więc nie wiecie, że to, co się wydarzyło wczoraj wieczorem w Meksyku, pokazują na okrągło we wszystkich porannych wiadomościach, włącznie z kasetami wideo dostarczonymi przez turystów, którzy filmowali zatrzymanie Benedicta. Dziennikarze przedstawiają Julie niemal jako bohaterkę, współpracującą z policją w zastawieniu pułapki na bezwzględnego mordercę; brutalność meksykańskich Federales - uchwyconą na filmie - pozostawiają bez komentarza.

Sześć par oczu wpatrywało się w niego ze skupieniem, więc ciągnął dalej:

- Przez następne dwadzieścia cztery godziny należy pełnić przy niej dyżur, by nie obudziła się sama, w pustym domu.

- My zostaniemy - oświadczył James Mathison i objął żonę ramieniem.

- Posłuchajcie lepiej mojej rady i idźcie do domu trochę się przespać - powiedział stanowczo doktor Delorik. - Wyglądasz na wyczerpaną, Mary, nie mam ochoty przyjmować cię do szpitala, by zreperować twoje serce po tym stresie.

- On ma rację - powiedział Ted nieznośnym sprzeciwu głosem. - Wracajcie do domu i odpocznijcie. Carl i Sarah, jeżeli chcecie, możecie tu zajrzeć po pracy. Ja mam wolne przez dwa następne dni, więc i tak zostanę.

- Nie ma mowy! - oburzył się Carl. - Nie spałeś od dwóch dni, poza tym masz bardzo twarde sen. Możesz nie usłyszeć, jak Julie będzie cię wołała.

Ted już otwierał usta, by zaprotestować, ale znalazł lepszy pomysł.

- Katherine - zwrócił się do eks-żony - zostaniesz ze mną? Inaczej Carl i Sarah stracą pół dnia na kłótnię. A może masz coś innego do roboty?

- Zostanę - odrzekła po prostu.

- No to załatwione. - Wielebny Mathison odetchnął z ulgą. Cała rodzina pośpieszyła korytarzem do sypialni Julie, tylko Katherine poszła do kuchni, przygotować dla Teda śniadanie.

- Julie, kochanie, to ja, tatuś. Mama też jest przy tobie.

Nawet pogrążona w ciężkim, męczącym śnie, poczuła na czole lekkie dotknięcie, potem z bardzo, bardzo daleka dobiegł ją szept ojca:

„Kochamy cię. Wszystko będzie dobrze. Śpij spokojnie”. Za chwilę rozległ się przepełniony łzami, czuły głos matki: „Jesteś dzielna, kochanie. Zawsze taka byłaś. Śpij słodko”. Coś ukłuło ją w policzek, sprawiło, że drgnęła i odwróciła głowę, a wtedy basowy śmiech Carla zabrzmiał tuż przy jej uchu. „Nie powinnaś tak traktować swojego ulubionego brata tylko dlatego, że nie zdążył się ogolić... Kocham cię, złotko”. A potem dotarł do niej żartobliwy głos Teda: „Carl chyba przesadził, przecież to ja jestem twoim ukochanym bratem! Przez cały czas będziemy z Katherine blisko ciebie. Jak się zbudzisz, zawołaj tylko”. Na koniec włączył się delikatny szept Sary: „Ja też cię kocham, Julie, śpij spokojnie”.

A potem głosy oddaliły się, rozpląnęły w ciemnościach, zmieszały z innymi, obcymi dźwiękami. Podświadomość wypełniły postacie biegnących ludzi, popychających się i krzyczących w migotliwym świetle; w ich rękach dostrzegła rewolwery; lodowate spojrzenie żółtych oczu przeszywało jak sztylet; i zewsząd ryk silników samolotu...

Katherine właśnie kładła na tacy grzanekę, stawiała dżem i sok pomarańczowy, gdy do jej uszu dobiegł trzask frontowych drzwi.

Tego ranka Ted, zgodnie z obietnicą, zadzwonił do niej po powrocie z Julie z Meksyku. Od razu pobiegła do domu przyjaciółki, ale na miejscu zastała już rodzinę w komplecie, więc wszystkim, co usłyszała o wydarzeniach w Mexico City, była złagodzona wersja przedstawiona przez Teda zaniepokojonym rodzicom.

Z tacą w rękach weszła do salonu i przystanęła obok Teda, skulonego na sofie, z łokciami wspartymi na kolanach i twarzą ukrytą w dłoniach. Jego postawa wyrażała tak bezgraniczną rozpacz, że Katherine od razu pojęła, iż sprawy nie ułożyły się dobrze.

- Czy w Mexico City poszło aż tak źle? - zapytała cicho.

- Gorzej - powiedział. Przetarł dłońmi twarz. Usiadła na sofie, tacę postawiła na stoliku. Ted wsparł łokcie na kolanach i odwrócił twarz w stronę Katherine. - To był koszmar - rzekł łamiącym się głosem. - Na szczęście Julie wpadła w taką histerię, że nie zauważyła

nawet połowy z tego, co się tam rozgrywało. Wiele zawdzięczamy Paulowi, udało mu się trzymać ją z daleka. Ale ja - dodał ponuro - miałem miejsce w łoży z widokiem na scenę i nie wpadłem w histerię. Jezu, poszło gorzej, niż mogłem przypuszczać w najczarniejszych snach...

Zdawał się nie wiedzieć, od czego zacząć. Z pomocą pośpieszyła Katherine.

- Benedict zachował się gwałtownie? Próbował rzucić się na nią, zrobić jej krzywdę?

- Gwałtownie? - powtórzył gorzko. - Zrobić jej krzywdę? Niemal żałuję, że nie próbował, o ileż byłoby to dla niej lepsze!

- Nie rozumiem.

Westchnął ciężko i ze wzrokiem wbitym w sufit opadł na oparcie sofy. Na koniec roześmiał się ponuro.

- O nie, nic podobnego. Gdy zorientował się, co się dzieje, zamarł w bezruchu, nie próbował uciekać. Tylko stał i patrzył na Julie, i mimiką, ruchem głowy dawał jej znak, by uciekała. Nie mrugnął nawet okiem, gdy zakładali mu kajdanki, pchnęli pod ścianę, by przeszukać. Federates - policjanci meksykańscy- bez skrępowań używają siły nie współmiernej do osiągnięcia celu, jak my to określamy. Byli bardzo brutalni w trakcie przeszukania. Jeden uderzył go pałką w nerki, drugi zadał cios pod kolana. Benedict nie wydał jęku, nie wrywał się, nie wykonał jednego obronnego gestu. Nigdy w życiu nie widziałem, żeby ktoś, pomimo bezwzględного traktowania, zachowywał się przy aresztowaniu tak spokojnie. Benedict sprawiał wrażenie osoby, która nie chce zaognić sytuacji. Zachowywał się tak, jakby to, co się z nim wyczynia, dotyczyło kogoś innego. Julie nie widziała nawet części, a już krzyczała, by dali mu spokój.

Katherine podała mu szklankę z sokiem.

- Wypij, zanim opowiesz resztę. - Wyprostował się z uśmiechem wdzięczności, jakby od dawna odczuwał pragnienie, ale nie miał sił sięgnąć po napój. - Czy to już koniec tej historii? - zapytała, gdy wypił do dna.

Pokręcił przecząco głową i znowu usiadł jak przed chwilą: pochylony do przodu, z łokciami wspartymi na kolanach. Utkwił wzrok w obracanej w dłoniach szklance.

- To była dopiero ta lepsza część.

- A jak wyglądała gorsza? - spytała Katherine głosem rozedrganym z przerażenia.

- Nastąpiła kilka chwil później, gdy wyprowadzali Benedicta z hali przylotów. Hadley, dyrektor więzienia w Amarillo - wyjątkowo sadystyczny drań - zatrzymał się, by „podziękować” Julie.

- Co w tym sadystycznego?



- By zrozumieć, musiałybyś widzieć ten uśmiech. W obecności Benedicta Hadley przedstawił to tak, jakby cały pomysł, łącznie ze spotkaniem w Meksyku, był autorstwa Julie.

Katherine odruchowo przycisnęła dłonie do piersi; Ted ze zrozumieniem kiwnął głową.

- Sama widzisz, nic dziwnego, że Benedict też uwierzył. Jezu, ten wyraz jego twarzy! Wyglądał... jak ogarnięty żądzą mordy - nic innego nie przychodzi mi do głowy na opisanie jego miny, a nawet to słabo oddaje obraz prawdy. Zrobił krok w stronę Julie - może chciał się odwrócić - nie wiem, w każdym razie Federales wykorzystali to jako pretekst do bezlitosnego pobicia go. Julie jak szalona rzuciła się na Hadleya. Dzięki Bogu zaraz zemdlą.

- Dlaczego Paul Richardson ich nie powstrzymał?

Ted zmarszczył czoło i odstawił szklankę.

- Miał związane ręce. Dopóki byliśmy po meksykańskiej stronie, musiał przymykać oczy na ich metody. Zresztą FBI nie paliło się zbytnio do tej sprawy, a musieli się nią zająć tylko z powodu zarzutu o przestępstwo federalne - porwanie. Nadspodziewanie gładko rząd meksykański wyraził zgodę na współpracę, ale dopóki nie przekażą Benedicta stronie amerykańskiej, cała władza nad nim znajduje się w rękach Federales.

- Jak długo potrwa ta sytuacja?

- W tym przypadku sprawa rozstrzygnie się szybko. Zazwyczaj Meksykanie odstawiają zatrzymanego do granicy samochodem, ale Paul namówił ich, by przetransportowali więźnia samolotem. Odlecieliśmy z Mexico City niemal równocześnie. Jeszcze zanim opuściliśmy lotnisko, Federales przypomnieli sobie nagle o czymś takim jak opinia publiczna - dodał z sarkazmem. - Obchodzili teren i konfiskowali każdy film, jaki wpadł im w łapy. Paul zdobył kilka taśm, które przeoczyli. Nie dlatego, by tak dbał o opinię meksykańskiej policji, ale nie chciał, by oglądano Julie. Widziałem jeden film: kamera, przez prawie cały czas, była skierowana na Benedicta - miejmy nadzieję, że bohaterem pozostałych także jest on.

- Spodziewałam się, że Paul przyjedzie tu razem z Julie.

Ted potrząsnął głową.

- Musiał poczekać na granicy i odebrać Benedicta od Meksykanów, potem przekaze go Hadleyowi.

Katherine przez chwilę badawczo spoglądała mu w twarz.

- Czy to wszystko?

- Niezupełnie - powiedział pełnym napięcia głosem - jest jeszcze jeden bolesny dla niej szczegół.

- Co takiego?

- To! - Sięgnął do kieszeni koszuli. - Benedict miał przy sobie obrączkę. Odebrał mu ją Hadley i oddał - wydawało się, z wielką przyjemnością - Julie. - Rozprostował zaciśniętą pięść i rzucił pierścionek na dłoń Katherine. Patrzył, jak jej oczy rozszerzają się, potem napęniają łzami.

- O, mój Boże! - szepnęła. Wpatrywała się w połyskującą na jej dłoni, wysadzaną brylantami obrączkę. - Najwyraźniej chciał ofiarować jej coś niezwykłego, pięknego.

- Robisz się sentymentalna - rzucił Ted, ale jego głos też zadrżał wzruszeniem. - Nie zapominaj, to szaleniec i morderca.

- Wiem. - Z westchnieniem skinęła głową.

Powędrował spojrzeniem od obrączki do olbrzymiego brylantu na palcu lewej dłoni Katherine.

- W porównaniu z tą bryłą, jaką nosisz, jest niepokazna.

Roześmiała się przez łzy.

- Wielkość to nie wszystko, a zresztą nie mógłby pozwolić jej na noszenie takiego pierścienia, natychmiast przyciągaliby uwagę wszystkich, gdziekolwiek by się pokazali. Więc kupił właśnie taką - rozmyślała na głos.

- Zwykła obrączka wysadzana brylancikami - próbował zbagatelizować Ted.

Katherine pokręciła przecząco głową.

- Nie ma w niej nic pospolitego. Jest z platyny, no i jeszcze te zdobiące ją wkóło kamyki.

- I co z tego? Są drobne - wypalił Ted. Odetchnął z ulgą, bo choć na chwilę oderwali się od męczącego tematu.

- Wielkość to nie wszystko - powtórzyła, obracając obrączkę w palcach. - Te kamienie są wyjątkowo piękne, o niespotykanymi szlifie.

- Kwadratowe.

- Prostokątne. Ten szlif nazywa się „promienisty”. - I już ciszej dodała: - On ma doskonały gust.

- To obłąkany morderca!

- Masz rację - zgodziła się. Odłożyła obrączkę na stół. Uniosła głowę - przed sobą widział kobietę, której uroda kiedyś wręcz go poraziła, pozbawiła zdolności rozsądnego myślenia. Teraz Katherine była inna... starsza, łagodniejsza, słodsza... zatroskana innymi, nie tylko sobą. I o wiele bardziej godna pożądania. - Nie zaczynaj winić siebie za to, że Julie cierpi - powiedziała łagodnie. - Uratowałeś ją od życia w piekle. Ona o tym wie.

- Dziękuję - rzekł cicho. Wyciągnął ramię wzdłuż oparcia sofy, z zamkniętymi oczyma odchylił głowę. - Taki jestem zmęczony, Kathy. - Jego ciało, jakby bez aprobaty wyczerpanego umysłu, zareagowało na wspomnienia. Dłoń zaczęła krążyć wokół jej ramienia, przyciągnął ją bliżej. Dopiero gdy policzkiem przywarła do jego piersi, przytuliła się, uświadomił sobie jej bliskość- jeszcze niewinną.

- Mieliśmy tyle szczęścia, ty i ja - szepnęła. - Poznaliśmy się, zakochaliśmy w sobie od pierwszego wejrzenia, wzięliśmy ślub. A potem wszystko zmarnowaliśmy.

- Wiem. - Bolesny żal, jaki usłyszał we własnym głosie, sprawił, że popatrzył na Katherine gniewnym wzrokiem. Z jej poważnej twarzy wyczytał, że pragnie, aby ją pocałował.

- Nie - powiedział twardo i zamknął oczy.

Potarła policzkiem o jego pierś. Opór Teda zaczynał słabnąć.

- Przestań! - rzucił. - Bo wstanę i pójdę spać do drugiego pokoju. - Natychmiast znieruchomiała, ale nie oderwała się od niego, nie wybuchnęła gniewem! Jeszcze przed chwilą był odrętwiały ze zmęczenia, teraz, choć jego umysł nadal pozostawał w marazmie, ciało ożywało, słowa padały jakby wbrew woli. - Albo wstawaj - rzucił z zamkniętymi oczami - albo zdejmij ten pierścionek.

- Czemu?

- Bo niech mnie szlag, jeżeli będę się kochał z tobą, gdy masz na palcu prezent od innego...

Diament sprzed bilionów lat, wyceniony na jedną czwartą miliona dolarów, bezceremonialnie rzucony uderzył o blat stolika. Głos Teda przypominał ni to śmiech, ni jęk:

- Jesteś jedyną kobietą na świecie, Kathy, która tak traktuje piękne klejnoty.

- Jedyną, przeznaczoną tobie. - Ted odchylił głowę i przymknął oczy. Starał się zignorować prawdę tych słów, ale dłonią już otulał jej kark, palce wślizgiwały się we włosy, unosiły jej twarz. Otworzył oczy i spojrzał na nią. Myślał o miesiącach wspólnego życia - wspólnego piekła... i tej zimnej pustce... bez niej. Ujrzał łzę zbierającą się w kąciku jej oka.

- Wiem, że tak jest - szepnął. Pochylił głowę, językiem zagarnął słoną kroplę.

- Jeżeli jeszcze raz pozwolisz, udowodnię ci - obiecała gwałtownie.

- Wiem - szepnął, scałował następną łzę.

- Dasz mi jeszcze jedną szansę?

Uniósł jej brodę, spojrzał w oczy - był zgubiony.

- Tak.

## ROZDZIAŁ 63

Obudziła się z bólem głowy. Wciąż trochę oszołomiona środkami, jakie dwadzieścia cztery godziny wcześniej zaaplikował jej doktor Delorik, z dłonią przyciśniętą do czoła, niepewnym krokiem przeszła z sypialni do kuchni. Widok, jaki ujrzała, wydał jej się niewiarygodny: Ted i Katherine stali obok zlewu, ciasno przytuleni do siebie. Lekarstwa i sen na chwilę usunęły z pamięci Julie dramatyczne wydarzenia; teraz uśmiechała się ciepło.

- Woda cieknie z kranu - powiedziała, zaskakując wszystkich, z sobą włącznie, skrzeczącym, bezbarwnym głosem.

Ted uniósł głowę i uśmiechnął się do siostry porozumiewawczo, ale Katherine podskoczyła jak oparzona i zaraz uwolniła się z jego ramion.

- Przepraszam! - wyjąkała.

- Za co? - spytała Julie. Podeszła do kredensu, wyjęła szklanę i nalała do niej wody. Wypiła, próbowała ugasić palące pragnienie.

- Za to, że pozwoliłam, byś nas przyłapała.

- No to co? - Julie znowu napełniła szklanę. W jej głowie zaczynało się rozjaśniać, wracały wspomnienia.

- Bo przecież - brnęła Katherine - nie powinniśmy się tak zachowywać, tylko pomagać ci w uporaniu się z tym, co wydarzyło się w Meksyku... - Urwała przestraszona. Szklanka wysunęła się z dłoni Julie i z brzękiem rozbiła na podłodze.

- Przestań! - wybuchnęła Julie. Oparła się dłońmi o ladę. Z pamięci próbowała wyrzucić wspomnienie wścieklej twarzy Zacka, doskakujących doń policjantów, odgłos, z jakim jego ciało legło u jej stóp. Zaczęła się trząść i już nie potrafiła opanować drżenia, mocno zacisnęła powieki, by przegonić ten obraz. W końcu udało jej się opanować. - Nigdy nie wspominajcie o tym przy mnie - powiedziała z naciskiem. - Nic mi nie jest - dodała bardziej z determinacją niż w zgodzie z prawdą. - Już po wszystkim, jeżeli pozwolicie mi zapomnieć, poradzę sobie. Teraz muszę zatelefonować - oznajmiła. Popatrzyła na zegar wiszący nad zlewem, wybrała numer Paula Richardsona i podała sekretarce swoje nazwisko.

Czuła się wyczerpana, ogarnął ją lęk. Uświadomiła sobie, że jest na granicy załamania nerwowego. Patrzyła na swe roztrzęsione dłonie. Nie może dłużej poddawać się wyrokom losu. Przecież zdobycie recept na środki uspokajające i zamienienie się w bezwolną kukłę nie jest wyjściem. Musi stawić czoło wyzwaniu, postępować spokojnie, rozsądnie. Czas pomoże. Żadnych łez więcej, przysięgła sobie - żadnych hysterii. Są tacy, którzy polegają na niej -

uczniowie, kobiety z mozołem uczące się czytać. Nie może ich zawieść! Musi pokazać im, jak walczyć z przeciwnościami.

Ma lekcje w klasach, treningi z drużyną softballu. Wróci do szkoły, wypełni czas pracą. Koniec z mazgajstwem!

- Paul, muszę go zobaczyć, wytłumaczyć... - zaczęła lekko drżącym głosem, gdy wreszcie podniósł słuchawkę.

- Teraz nie będzie to możliwe. Przez jakiś czas, w Amarillo, nie wolno go odwiedzać - zabrzmiało łagodnie i współczująco, i zarazem stanowczo.

- Amarillo? Obiecywałeś, że pójdziesz do szpitala dla umysłowo chorych, na badania i leczenie.

- Powiedziałem, że będę się starał i załatwię to, ale takie sprawy trwają i...

- Tylko mi nie mów, że potrzeba czasu - rzuciła ostro, ale nie traciła nad sobą panowania. - Ten dyrektor więzienia to potwór, sadysta. Chyba zauważyłeś w Meksyku. Każe bić Zacka, dopóki...

- Nie tknie go palcem - przerwał łagodnie Paul - tyle mogę ci przyrzec.

- Skąd pewność? Muszę ją mieć!

- Powiedziałem Hadleyowi, że chcemy przesłuchać Zacka w związku z zarzutem o porwanie i oczekujemy, że więzień będzie w doskonałym stanie. Hadley wie, że go nie lubię i w razie czego nie będę się cackał. Nie spróbuje żadnych sztuczek z FBI, zwłaszcza teraz, gdy władze więzienne prowadzą dochodzenie w związku z buntem w jego ośrodku, w zeszłym miesiącu. Ceni sobie pracę... i własną skórę.

- W żadnym wypadku nie przyłożę ręki do oskarżenia Zacka o porwanie - oświadczyła Julie stanowczo.

- Wiem o tym - zgodził się Paul. - Chciałem tylko trzymać Hadleya z daleka od Benedicta, ale i bez tego jest wystarczająco wystraszony, wie, że przełożeni badają jego zachowanie, przyglądają mu się.

Julie odetchnęła z ulgą.

- Dzisiaj zdajesz się być w lepszej formie. Odpoczywaj, przyjadę do ciebie w ten weekend - dorzucił.

- Nie sądzę, by to był dobry...

- Przyjadę, chcesz czy nie - przerwał stanowczo. - Możesz się martwić o Benedicta, ale mnie chodzi o ciebie. To morderca, zrobiłaś, co należało, dla siebie i innych. Nigdy nie myśl o tym inaczej.

Julie skinęła głową. Ma rację, pomyślała.

- Nic mi nie będzie - zapewniła.

Odłożyła słuchawkę i popatrzyła na Teda i Katherine.

- Pozbieram się - obiecała - zobaczcie. To miłe - dodała z niepewnym uśmiechem - że coś dobrego wyniknęło z tego koszmaru - wy znowu razem.

Zjadła wmuszone w nią śniadanie, potem wstała i znowu sięgnęła po telefon.

Tym razem zadzwoniła do Matta Farrella, na jego prywatny numer w Chicago, z mocnym przekonaniem, że mający wiele znajomości przemysłowiec pomoże umieścić Zacka w szpitalu dla umysłowo chorych. Sekretarka połączyła ją, ale gdy podniósł słuchawkę, jego reakcja przeszła najgorsze oczekiwania Julie:

- Ty fałszywa, pokrętna suko! - Głos Matta ział nienawiścią. - Powinnaś zostać aktorką! Nie mogę uwierzyć, że byłem aż tak głupi, by dać się nabrać i pomóc ci wciągnąć Zacka w pułapkę! - Rozłączył się.

Julie wpatrywała się w trzymaną w ręce, głuchą słuchawkę. Matt Farrell najwyraźniej nie wierzył w winę przyjaciela! Nie rezygnowała - musi osiągnąć swój cel, jakoś się przed nimi wytłumaczyć. Zadzwoniła do Chicago, połączyła się z Bancroft & Company i poprosiła Meredith Bancroft. Sekretarka nalegała na podanie nazwiska, więc Julie spodziewała się usłyszeć trzask odkładanej słuchawki.

Z oddali dochodził głos Meredith - chłodny i pełen rezerwy, ale przynajmniej chciała rozmawiać.

- O czym mogłybyśmy mówić?

Julie nie potrafiła powstrzymać się od błagalnego tonu.

- Proszę, wysłuchaj mnie. Przed chwilą dzwoniłam do twojego męża, by spytać, czy może użyć swych wpływów do umieszczenia Zacka w szpitalu dla nerwowo chorych, ale zanim zdążyłam cokolwiek wytłumaczyć, rzucił słuchawkę.

- Nie jestem zaskoczona. On cię nienawidzi.

- A ty? - zapytała Julie. Oddychała głęboko. - Czy wierzysz jak on, że tego wieczora, gdy byliście u mnie, planowałam wciągnięcie Zacka w pułapkę i wydanie go?

- A czy było inaczej? - spytała Meredith. Julie usłyszała w jej głosie wahanie i uchwyciła się tej szansy.

Zdesperowana mówiła dalej:

- Jak możesz wierzyć w coś podobnego! Po waszej wizycie pojechałam odwiedzić jego babkę, ona powiedziała mi prawdę o śmierci Justina. Zack go zastrzelił! Troje ludzi, którzy wywołali jego gniew, nie żyje! Nie mogłam pozwolić, by skrzywdził następnych, musisz w to uwierzyć, zrozumieć mnie...

Setki mil dalej Meredith odchyliła głowę na oparcie fotela i potarła skronie. Przypomniła sobie atmosferę radości i miłości panującą w jadalni Julie.

- Ja... ja ci wierzę - powiedziała wreszcie. - Tej nocy, gdy z Mattem byliśmy u ciebie, nie mogłaś grać. Kochałaś Zacka i zastawianie pułapki, by z powrotem wpakować go do więzienia, nie przyszłoby ci do głowy.

- Dziękuję - wyszeptała Julie. - Żegnaj.

- Czy wszystko w porządku? - dopytywała się Meredith.

- Ja już nie pamiętam, co oznaczają słowa „w porządku” - rzekła z gorzkim śmiechem Julie. Potem otrząsnęła się z nastroju rozczulania się nad sobą. - Nic mi nie będzie, poradzę sobie.

## ROZDZIAŁ 64

Przez następne tygodnie Julie radziła sobie w jedyny znany jej sposób: przestała słuchać radia i oglądać telewizję, i zagłębiła się w pracy. Każdy dzień, co do minuty, wypełniały jej zajęcia, wieczorem, wyczerpana, padała na łóżko. Wzięła dodatkowe godziny korepetycji, podjęła się prowadzenia kościelnej wenty, a także przewodnictwa w Komitecie obchodów dwusetnej rocznicy powstania Keaton, zaplanowanych na ostatni tydzień maja. Uroczystości miały być huczne, z pokazami ogni sztucznych, tańcami w parku i bale maskowym. Nikt nie miał wątpliwości co do przyczyn zapału Julie.

Ale miasto żyło swoimi sprawami, coraz rzadziej obrzucano ją ukradkowym, współczującym spojrzeniem, jej osoba schodziła na dalszy plan. Mieszkańcy Keaton nigdy nie byli do tego stopnia pozbawieni serca, by gratulować jej odwagi wydania mężczyzny, którego kochała.

Dni przechodziły w tygodnie, mijały na gorączkowych przygotowaniach. Julie z wolna, bardzo powoli, odzyskiwała dawną równowagę ducha. Zdarzały jej się dni, w trakcie których przez cztery, pięć godzin nie myślała o Zacku, noce, gdy przed snem po raz tysięczny nie czytała jedyne listu, jaki od niego dostała, ranne przebudzenia bez wpatrywania się w sufit niezdolnymi do łez oczyma, bez wspominania ich zwariowanej walki na śnieżki czy lepienia śnieżnego potwora, niskiego timbre głosu, gdy czule szeptał, kochając się z nią.

Paul spędzał każdy wolny weekend w Keaton. Z początku zatrzymywał się w motelu, potem, na zaproszenie rodziców Julie, w ich domu. A całe miasto plotkowało o agencji FBI, który przybył aresztować Julie, a zakochał się w niej. Ale ona wolała nie przyjmować do wiadomości celu jego wizyt, nie mówić mu, że marnuje czas, potrzebowała jego obecności. Bo Paul potrafił pobudzić ją do śmiechu i wyglądem przypominał jej Zacka. A więc spędzali wiele czasu we czwórkę - z Tedem i Katherine - potem on odprowadzał ją do domu i za każdym razem coraz namiętniej całował na dobranoc. Podczas szóstego weekendu jego cierpliwość i opanowanie zdawały się słabnąć. Tego wieczora z Tedem i Katherine wybrali się do kina, potem Julie zaprosiła całą trójkę do siebie na kawę. Po wyjściu brata z Katherine Paul ujął Julie za dłonie i uniósł z miejsca.

- Spędziłem cudowny weekend - powiedział. - Nie skarzę się nawet na zmuszenie mnie do gry w piłkę nożną z bandą dzieciaków na wózkach, po której jestem do cna wyczerpany.

Na widok jej pogodnej miny twarz mu złagodniała.



- Uwielbiam patrzeć, jak się do mnie uśmiechasz - szepnął. - Żeby mieć pewność, że uśmiechasz się, ile razy o mnie pomyślisz, przyniosłem ci prezent. - Sięgnął do kieszeni, wyjął płaskie, obite aksamitem pudełko i podał jej. Patrzył w zaskoczoną twarz, czekał na reakcję. Otworzyła. W środku znajdowała się złota figurka maleńkiego clowna, z oczami z szafirów, zawieszona na długim, pięknym łańcuszku. Julie ostrożnie wyjęła klejnocik, a wtedy nóżki i rączki poruszyły się i zadźwięczały. Roześmiała się.

- Jest śliczny - powiedziała - i taki zabawny.

- Cieszę się. - Zauważył cieniutkie pasemko złota pod kołnierzykiem jej sukienki. - Zdejmij łańcuszek i przymierz ten. Julie odruchowo podniosła rękę ku szyi, ale było za późno. Paul już go zdejmował, razem ze ślubną obrączką, tą odebraną Zackowi w Meksyku.

Zaklął i mocno chwycił ją za ramiona.

- Dlaczego? - zapytał. Z widocznym wysiłkiem powstrzymywał się od potrząśnięcia nią. - Dlaczego torturujesz się wspomnieniami? Postąpiłaś właściwie!

- Wiem - szepnęła i popatrzyła mu w twarz.

- No to, do cholery, zapomnij wreszcie o nim! Jest w więzieniu i pozostanie tam przez resztę swojego życia. Ty masz własne. Powinnaś je wypełnić mężem i dziećmi. Wiesz - głos Paula złagodniał, puścił ją - potrzeba ci mężczyzny, który weźmie cię do łóżka i sprawi, że zapomnisz o tamtym. - Popatrzył w jej gniewne oczy. - Kochałaś się z nim, Julie, wiem, ale teraz nie ma to znaczenia.

Uniosła brodę.

- Dopiero gdy dla mnie przestanie to mieć znaczenie - powiedziała z godnością - będę gotowa na kogoś innego, nie wcześniej.

Paul, rozzłoszczony, ale i rozbawiony, dotknął kciukiem jej brody.

- Boże, jaka ty jesteś uparta. A co zrobisz - spytał żartem - gdy wyjadę i nigdy tu nie wrócę?

- Będę tęskniła.

- Widzę, że na razie muszę się tym zadowolić - powiedział zirytowany.

W odpowiedzi uśmiechnęła się serdecznie i skinęła głową.

- Masz bzika na punkcie smakołyków mojej matki. Przyciągnął ją do siebie.

- Mam bzika na twoim punkcie. Przyjadę w przyszły weekend.

## ROZDZIAŁ 65

- To musi być pomyłka - powiedziała Emily. Niespokojnie przeniosła wzrok z męża na księgowego. - Ojciec nigdy nie tknąłby żadnych akcji, a tym bardziej nie inwestowałby w przedsięwzięcie, którym zarządzał Tony Austin.

- Fakty mówią co innego, panno McDaniels - delikatnie przerwał Edwin Fairchild. - Przez pięć lat ulokował ponad 4 miliony dolarów, wybranych z pani funduszu powierniczego, w TA Productions, której właścicielem był właśnie pan Austin. Całkowicie legalna transakcja, oczywiście, choć nieroztropna. Nie przyniosła zysku, bo Austin najwyraźniej wydał te pieniądze na własne potrzeby. Nie sugeruję, że w działaniach pani ojca było coś złego - zapewnił Emily, gdy na jej czole pojawiła się zmarszczka. - Pani ojciec zakupił akcje TA Productions i są one nadal jej własnością. Zwróciłem uwagę na tę sprawę tylko dlatego, że jako pani nowy doradca finansowy uważam, iż nadszedł czas, by odsprzedać akcje spadkobiercom Austina - jeżeli kupią - albo oddać je im za symbolicznego centa, aby przy zeznaniach podatkowych wykazać straty.

Emily z wysiłkiem starała się zebrać myśli.

- A co mówi ojciec o tych inwestycjach?

- Nie jestem upoważniony do nagabywania go ani do oceny jego poczynań. Wiem, że zajmował się pani funduszem powierniczym aż do pani zamążpójścia i sposób, w jaki wtedy inwestował pieniądze, był wyłącznie jego sprawą. Teraz, jako doradca finansowy pani męża, zainteresowałem się tym przy okazji waszego wspólnego rozliczenia podatkowego.

- Ojciec z pewnością nie zdawał sobie sprawy, że to Austin stał za TA Productions - stanowczo oświadczyła Emily.

Białe brwi Fairchilda uniosły się z powątpiewaniem.

- Jeżeli chce pani w to wierzyć...

- To nie kwestia przekonania. - Uśmiechała się z widocznym wysiłkiem. - Przypuszczenie, że mój ojciec dał się nakłonić do zakupu udziałów w firmie należącej do Tony'ego, jest... śmieszne. On nienawidził tego człowieka.

- Nie rozumiem, jak mógł zostać... nabrany - odezwał się ostrożnie jej mąż; nie zapominał, jaka jest wrażliwa na punkcie swego ojca. - Rozmawialiśmy o tym dzisiaj z Edwinem już wcześniej, przez telefon. Najwyraźniej twój ojciec kupił akcje bezpośrednio od Austina.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo TA nie jest notowana na giełdzie. Jak przed chwilą wspomniał Edwin, to niewielka spółka, zarządzana osobiście przez Austina, więc udziały mógł nabyć albo od niego, albo od pełnomocnika.

- A miał pełnomocników? - Emily patrzyła to na męża, to na księgowego.

Edwin Fairchild pokręcił przecząco głową. Włożył okulary, by przeczytać fotokopię dokumentu.

- Z pewnością nie opłacał nikogo, by go reprezentował lub dla niego pracował, w jakimkolwiek charakterze. Według statutu TA Productions, o czym w Sacramento powszechnie wiadomo, Austin był zarazem udziałowcem i dyrektorem firmy, nie zatrudniał nikogo. - Zdjął okulary, popatrzył na ciężkiego roleksa na przegubie dłoni. - Widzę, że już po szóstej. Nie chciałem trzymać państwa tak długo, ale przynajmniej omówiliśmy wszystkie aspekty sprawy. Jeżeli zamierza pani sprzedać akcje spadkobiercom Austina, należy się śpieszyć, bo niedługo cała uwaga rodziny skupi się na toczących się w sądzie sprawach spadkowych. Jak tylko otrzymam od pani wiadomość, będę mógł zakończyć opracowywanie prognozy podatkowej na przyszły rok.

Dick skinął głową i Fairchild pojednawczym tonem zwrócił się do Emily:

- Proszę się nie denerwować, panno McDaniels. Nawet jeżeli pani ojciec utopił 4 miliony w firmie Austina, będziemy mogli odliczyć tę sumę od zysków z innych inwestycji. Zwroty podatkowe obniżą stratę do mniej niż trzech milionów.

- Nie znam się na finansach ani podatkach - powiedziała Emily. - Tymi sprawami zawsze zajmował się ojciec.

- A więc z nim powinna pani pomówić o akcjach TA. W ciągu ostatnich pięciu lat dokonał prawie dwudziestu transakcji. Z pewnością miał jakiś plan osiągnięcia zysku, o którym my nic nie wiemy. Powie pani, czy rozsądniej będzie zachować te akcje trochę dłużej.

Emily wyciągnęła rękę.

- Dziękuję, panie Fairchild, tak właśnie postąpię. - Wzięła męża pod ramię.

- Zanim odejdziecie - dodał Fairchild - chciałbym, abyście wiedzieli, że we wszystkich innych sprawach zarządzanie funduszem przez pani ojca było bez zarzutu. Rozsądnie inwestował pieniądze, rozliczał się z każdego centa wydanego w ciągu piętnastu lat, także wykazał kwoty zainwestowane w TA Productions.

Rysy twarzy Emily w jednej chwili stężały.

- Nie potrzebuję ani pana, ani nikogo innego, by mnie przekonywał, że ojciec chciał mojego dobra. Zawsze.

Za chwilę podziwiała, jak jej mąż, zręcznie manewrując lśniącym BMW, przebija się przez korki godziny szczytu.

- Byłam wobec niego nieuprzejma, prawda? - zapytała.

Gdy zatrzymali się pod czerwonym światłem, Dick zwrócił twarz w jej stronę.

- Jak tylko sprawa dotyczy twojego ojca, przyjmujesz postawę obronną. Zawsze tak postępujesz.

- Wiem - przyznała - ale mam po temu powody.

- Kochasz go, a on poświęcił dla ciebie swoje życie - wyrecytował za nią.

Emily przeniosła wzrok z jego dłoni na drążek zmiany biegów.

- Jest jeszcze inna przyczyna. Jak powszechnie wiadomo, w tamtych czasach, w przeciwieństwie do mojego ojca, który wykazywał się rzadko spotykaną uczciwością, wielu rodziców dzieci aktorów podkradało zarobione przez nie pieniądze. I chociaż teraz prawo nie pozwala na podobne praktyki, wielu ludzi wciąż traktuje ojca, jakby żył z moich zarobków, i to nieźle.

- Ci, którzy tak sądzą, najwyraźniej nie widzieli jego mieszkania, bo natychmiast zmieniliby zdanie - powiedział Dick. Wrzucił trzeci bieg, bo samochody znów przyspieszyły.

- Nie malował ścian już z dziesięć lat, przydałyby mu się nowe meble. Dzielnica, w której mieszka, schodzi na psy, za kilka lat zrobi się tam niebezpiecznie.

- Wiem, ale on nie znosi wydawać pieniędzy. - Emily powróciła do poprzedniego tematu. - Nie masz pojęcia, co spotykało go tylko dlatego, że jest moim ojcem. Pamiętam, jak jakieś pięć lat temu wybrał się kupować samochód. Sprzedawca byłby szczęśliwy, gdyby udało mu się wcisnąć tatusiowi najtańszego chevroleta, przynajmniej dopóki nie pojawiłam się ja, by pomóc w wyborze koloru. Gdy ten facet uświadomił sobie, kim jestem, natychmiast odezwał się obrzydliwym, przesłodzonym tonem: „To wszystko zmienia, panie McDaniels! Jestem pewien, że córka wolałaby sprawić panu tego ostrego seville'a, którego oglądał pan z takim zainteresowaniem. Czy nie mam racji, kochanie?”

- Jeżeli twój ojciec tak przejmował się opinią innych - powiedział Dick, zapominając na chwilę, że powinien przynajmniej przed żoną ukrywać niechęć do teścia - mógł znaleźć sobie jakąś posadę i zająć się czymś poza załatwianiem spraw swej małej Emily. Wtedy może mniej by pił i rozczulał się nad sobą, bo jego córeczka dorosła i wyszła za mąż. Przepraszam - dodał - najwyraźniej jestem zazdrosnym wariatem, który nie potrafi znaleźć wytłumaczenia dla niespotykanej bliskości kontaktów ukochanej żony z ojcem. Wybaczysz mi?

Skinęła głową. Potarła policzkiem o grzbiet jego dłoni, ale jej śliczna twarz pozostawała zamysłona.

- Widzę, że te przeprosiny nie wystarczyły. - Starał się żartem wydobyć ją z niecodziennej powagi. - By przebłagać swoją żonę – zawahał się - wezmę ją dziś wieczorem do Anthony'ego i zamówię najdroższą kolację w Los Angeles. I bez słowa protestu zniosę spojrzenia, jakimi inni będą ją obrzucać.

Uśmiechnęła się do niego, słynne dołeczki w policzkach jeszcze się pogłębiły. Musnął dłonią jej twarz i cicho rzekł:

- Kocham cię, Emily. Pomimo tych śmiesznych zagłębień na buzi. Żaden inny facet nie byłby zdolny zapomnieć o tak poważnym defekcie urody, ja potrafię.

Roześmiał się. Patrzył na nią z pogodnym wyrazem twarzy, ale zaraz spochmurniał, gdy z jej ust padło pytanie:

- Czy kochasz mnie na tyle, by zawieźć, przed kolacją, do ojca?

- Po co? - zapytał poirytowany.

- Muszę porozmawiać z nim o pieniądzach zainwestowanych u Tony'ego. Nie mogę tego pojąć, dostaję szału.

Dick wrzucił kierunkowskaz i zmienił pas, by skręcić do dzielnicy teścia.

- Chyba kocham cię wystarczająco.

Emily nacisnęła dzwonek przy drzwiach mieszkania ojca. Po dłuższej chwili otworzył, w ręce trzymał szklanekę z whisky.

- Emily, dziecinko, co u ciebie? - wybełkotał. Spoglądał na nią przekrwionymi oczami. Wyglądał tak, jakby nie golił się od trzech dni.

- Nie wiedziałem, że się do mnie dzisiaj wybierasz. - Zupełnie ignorując zięcia, otoczył ją ramieniem i wprowadził do środka.

Jest pijany, pomyślała Emily z niepokojem i smutkiem. Nie w sztok, ale wystarczy. Kiedyś nie brał alkoholu do ust, ale w ostatnich kilku latach pijackie ciągi występowały coraz częściej. Patrzyła na ponure wnętrze mieszkania.

- Czemu nie włączysz światła? - spytała z łagodną przyganą i zapaliła jedyną w salonie lampę.

- Lubię ciemność. - Sięgnął do kontaktu, w pokoju zapanował półmrok. - Jest bezpieczna i rozkoszna.

- Wolałbym jednak, by było trochę jaśniej, bo jeszcze Emily potknie się na czymś i nie daj Bóg zrobi sobie krzywdę. - Dick ponownie włączył światło.

- Co cię sprowadza? - McDaniels zwrócił się do córki, zięcia zdawał się nie dostrzegać. - Nigdy tu nie przychodzisz - powiedział z wymówką w głosie.

- W zeszłym tygodniu byłam dwa razy - przypomniła Emily. - Ale dobrze, jeżeli jesteś w formie, przyszedłam porozmawiać o interesach. Księgowy Dicka ma kilka pytań, na które chce uzyskać odpowiedź, zanim przygotowuje zeznanie podatkowe.

- Oczywiście, kochanie, nie ma sprawy. Chodźmy do gabinetu, tam trzymam wszystkie papiery.

- Muszę zadzwonić w kilka miejsc - oznajmił Dick. - Porozmawiaj z ojcem, ja tymczasem skorzystam z aparatu w... - Rozglądał się za telefonem, ale w salonie go nie znalazł.

- W kuchni - wyjaśniła. Skinął głową i poszedł w tamtą stronę.

Emily podążyła za ojcem na górę, do sypialni, którą przed laty zamienił w swój gabinet. Usiadł za biurkiem, jedyną wolną powierzchnią w tym domu. Na ustawionych pod ścianami kredensie i szafkach z aktami w każdym wolnym miejscu stały fotografie Emily - jako niemowlę, dalej czteroletni pędrak, na następnych w baletkach, w przebraniu na Halloween, w stroju z pierwszej roli na scenie; Emily w wieku trzynastu lat, z włosami związanymi w koński ogon; piętnastoletnia, z pierwszym bukietem kwiatów od chłopaka. Teraz, gdy patrzyła na te zdjęcia, uświadomiła sobie, że na prawie każdym był z nią ojciec. I coś jeszcze - światło lampy stojącej na zakurzonego biurku odbijało się jasno od szklanych szybek we wszystkich ramkach, jak gdyby niedawno je wyczyszczono.

- Co chcesz wiedzieć, kochanie? - zapytał. Pociągnął ze szklanki łyk.

Emily zastanowiła się, czyby nie wspomnieć o potrzebie leczenia jego nałogu, ale zrezygnowała. Ostatnio dwukrotnie napomknęła o tym i za każdym razem kończyło się tak samo: najpierw okazywał skruchę, a potem wpadał we wściekłość. Zebrała się na odwagę i delikatnie przystąpiła do wyłuszczenia sprawy.

- Wiesz, tatusiu, jaka jestem ci wdzięczna za inwestowanie moich pieniędzy w fundusz powierniczy i zarządzanie nimi przez wszystkie lata? - Skrzyżował ramiona, wzrok utkwił gdzieś za nią.

- Zbierałem każdego centa i chronilem jak oka w głowie. Nigdy nie brałem dla siebie nic poza dwudziestoma dolarami za godzinę, i to dopiero pod wpływem twoich nalegań. Taka byłaś rezolutna tamtego dnia - powiedział w zadumie. - Miałeś szesnaście lat, a zachowałeś się jak dorosła. Przyszedłeś do swojego staruszka i oświadczyłeś, że jeżeli nie zwiększy sobie pensji, zwolnisz go.

- Zgadza się. - Emily z roztargnieniem kiwnęła głową. - Nie chcę więc, byś przy następnym pytaniu choć przez chwilę myślał, że wątpię w twoją uczciwość. Próbuje tylko zrozumieć intencje. W ogóle nie mam pretensji o pieniądze, które straciłam.

- Jakie? - zapytał gniewnie. - Co, u diabła, masz na myśli?

- Cztery miliony, które w ciągu ostatnich pięciu lat zainwestowałeś w studio Tony'ego Austina. Te akcje są bezwartościowe. Dlaczego tak postąpiłeś, tatusiu? Nienawidziłam go, a miałam wrażenie, że ty nawet bardziej.

Przez chwilę nie ruszał się, potem wolno uniósł głowę; jego oczy świeciły jak żarzące się węgle. Emily odruchowo wcisnęła się głębiej w fotel.

- Austin... - powiedział cicho. Uśmiech z mściwego przeszedł w pełen zadowolenia. - Już więcej nie musisz się martwić, kochanie. Zająłem się nim. Koniec z kupowaniem bezwartościowych papierów. Ten mały sekret niech pozostanie między nami.

- Ale dlaczego w ogóle musieliśmy je kupować? - Emily przerażał wyraz twarzy ojca, jego głos, ponura atmosfera słabo oświetlonego pokoju.

- Nie miałem wyboru. Nie chciałem. A teraz on nie żyje...

- Jakim sposobem mógł zmusić cię do zainwestowania czterech milionów wbrew twojej woli? - zapytała ostrzej, niż zamierzała.

- Nie tym tonem, panienko! - warknął w nagłym przypływie wściekłości. - Bo poczujesz moją rękę!

Emily była tak zaskoczona nieoczekiwaną groźbą ze strony człowieka, który nigdy nie podniósł na nią głosu, że aż uniosła się z miejsca.

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej, gdy będziesz w lepszej formie.

- Zaczekaj! - Zaskakująco szybko sięgnął przez biurko i chwycił ją za ramię. - Nie odchodź, kochanie. Boję się. Nie śpię od wielu dni. Wiesz przecież, że nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy.

Wyglądał na naprawdę przerażonego, co wstrząsnęło Emily. Poklepała go po dłoni, jakby to on był jej dzieckiem.

- Nie bój się, tatusiu, nie odejdę. Powiedz mi, co się stało, postaram się zrozumieć.

- Zatrzymasz to dla siebie, przysięgasz?

Skinęła głową, zaskoczona nutą dziecięcej prośby.

- Austin zmuszał mnie do kupowania tych akcji... szantażował nas. Przez długie pięć lat ten drań wyciągał od nas pieniądze.

- Nas? - wybuchnęła z niedowierzaniem pomieszanym z irytacją.

- Ty i ja tworzymy zespół. Co przydarzy się jednemu, dotyka drugie, nieprawdaż?

- Chyba tak - odpowiedziała niepewnie. Starła się nie okazywać nurtującego ją niepokoju. - Dlaczego Tony szantażował... nas?

- Bo wiedział, że zabiliśmy Rachel. - Głos ojca przeszedł w konspiracyjny szept.

Emily podniosła się z fotela. Stała jak wryta i spoglądała na niego ze zdumieniem.

- To szaleństwo! Chyba jesteś aż tak pijany, że masz halucynacje! Jakież mógłbyś mieć powód do zamordowania żony Zacka?

- Żadnego. Emily oparła dłonie na biurku.

- Dlaczego mówisz w ten sposób? To obłąd.

- Nigdy nie używaj przy mnie tego słowa! Tak właśnie powiedział on - kłamał! Boję się, nie potrafisz tego zrozumieć. - Jego głos przeszedł w skamlenie.

- Kto powiedział, że jesteś obłąkany, tatusiu? I dlaczego się boisz? - pytała cierpliwie, jakby zwracała się do zagubionego, otumanionego alkoholem osiemdziesięcioletniego staruszka.

- Austin, tej nocy, gdy go zabiłem.

- Tony'ego Austina pozbawił życia Zachary Benedict - rzekła stanowczo.- Wie to każdy.

Jego przerażone oczy nabrały dzikiego wyrazu. Wypił resztę ze szklanki.

- Nie każdy! - krzyknął. Uderzył szkłem o blat biurka. - Mężczyźni... prywatni detektywi... dwa razy nachodzili mnie od tamtej nocy. Chcą wiedzieć, gdzie wtedy byłem. Ktoś ich wynajął, ale nie mówią kto. Podejrzewają mnie, kochanie, nie rozumiesz? Domyślili się, że Austin mnie szantażował, wkrótce wykombinują dlaczego. A wtedy zrozumieją, że zabiłem i jego, i Rachel Evans.

Emily starała się, by jej głos brzmiał spokojnie, choć każdy mięsień ciała drżał z przerażenia.

- Dlaczego miałbyś zabijać Rachel?

Przeciągnął palcami po włosach.

- Nie udawaj głupiej, zamierzałem uśmiercić Austina! Chciałem, by zginął on, ale ten kretyn Benedict zmienił w scenariuszu kolejność strzałów.

Emily ciężko westchnęła.

- Dlaczego chciałeś śmierci Tony'ego?

- Dobrze wiesz! - Opadł na krzesło, z jego oczu popłynęły łzy. - Dawał mojemu maleństwu narkotyki, wpędził ją w ciążę. Myślałaś, że nie wiem, ale domyśliłem się wszystkiego. - Głos, jaki wydobywał się z niego, przypominał skrzek. - Miałś poranne mdłości, zadzwoniłem więc do twojego lekarza w Dallas, by dowiedzieć się, co ci dolega. No i pielęgniarka powiedziała mi. Gdy się przedstawiłem, wzięła mnie za twojego męża. - Przetarł dłonią oczy i wykrztusił ze szlochom: - Miałś zaledwie szesnaście lat, a on zrobił ci dziecko i zostawił z kłopotem samą; później dowiedziałem się o aborcji. I równocześnie miał



romans z tą dziwką Rachel. Śmiali się za twoimi plecami. Po twoim ślubie Austin zagroził, że opowie Dickowi o ciąży... i reszcie.

Emily oderwała ręce od oparcia krzesła. Jej dłonie pozostawiły mokre ślady na skórzanym obiciu.. Zanim wydobyła z siebie głos, musiała dwa razy odchrząknąć, a słowa, jakie padły z jej ust, nie miały nic wspólnego z szaleństwem myśli.

- Dick zawsze wiedział, co mi się przydarzyło. Kilka tygodni temu powiedziałam mu nawet, że chodziło o Tony'ego. Tobie nic nie mówiłam, bo nie chciałam cię zranić, spowodować, byś się mnie wstydził.

- Ktoś wie, co zrobiłem. - Ukrył twarz w dłoniach, jego plecami wstrząsał szloch. - Zabiję go, muszę tylko dowiedzieć się, kto to. - Uniósł głowę, wzrokiem podążył ku drzwiom, ręką sięgnął do szuflady biurka.

- Zaczynij ode mnie - rozległ się od drzwi głos męża Emily. Do pokoju wszedł Dick. Szarpnięciem podniósł żonę z krzesła. - Bo teraz ja też wiem.

Zamiast zareagować przestachem, George McDaniels spojrzał na córkę i konspiracyjnym szeptem powiedział:

- On ma rację, Emily, obawiam się, że będziemy musieli zabić twojego męża. - Wstał; w blasku światła ujrzała w dłoni ojca rewolwer.

- Nie! - Emily próbowała osłonić męża własnym ciałem, on starał się odsunąć ją na bok.

- Odsuń się, kochanie - rozległ się rozkazujący głos ojca. - Nie będzie go bolało, nic nie poczuje. Umrze, nim upadnie na podłogę.

- Tatusiu! - krzyknęła. Pchnęła Dicka do tyłu, w stronę drzwi, rozpostarła ramiona. - Naprzód będziesz musiał strzelić do mnie, a tego chyba nie chcesz.

Głos Dicka brzmiał dziwnie spokojnie, choć palce wbijały się w ramiona żony. Odsunął ją na bok.

- Odłóż broń, George! Jeżeli mnie zastrzelisz, będziesz musiał zabić Emily, by powstrzymać ją od pójścia na policję. A jej przecież nie chcesz skrzywdzić, próbujesz chronić!

Mężczyzna zawahał się, a Dick łagodnym głosem mówił dalej:

- Odłóż broń. Pomogemy ci wytłumaczyć, że tylko chroniłeś córkę.

- Jestem zmęczony tym ciągłym strachem. - George jęknął. - Nie mogę spać.

Emily wymknęła się z pokoju i w sypialni chwyciła słuchawkę telefonu. Wystukała 911.

Doktor Grover powoli zbliżał się do uzbrojonego szaleńca. Wyciągnął rękę.

- Zostaw broń, lekarze dadzą ci pigułki, byś mógł zasnąć - uspokajał.

- Nabierasz mnie, ty draniu! - wrzasnął McDaniels. Dick skoczył i sięgnął po rewolwer akurat w momencie, gdy tamten mierzył mu prosto w pierś.

Z sypialni doszedł Emily stłumiony odgłos wystrzału, potem ciężkie uderzenie ciała o podłogę. Rzuciła słuchawkę, biegiem wróciła do gabinetu i wpadła w ramiona męża.

- Nie wchodź tam! - ostrzegł. Objął ją ramieniem i bezwolną powiódł z powrotem do sypialni. Sięgnął po telefon.

- Tatusiu! - krzyknęła rozpaczliwie.

- Nic mu nie będzie! - powiedział Dick. Starał się opanować histerię żony i równocześnie wezwać karetkę. - Uderzył głową w biurko i teraz krwawi jak zarzynane prosię!

## ROZDZIAŁ 66

Trzech prawników niemal równocześnie wstało od stołu konferencyjnego. Ten stojący najbliżej Emily ujął jej wilgotną dłoń.

- Wiemy, przez co pani przeszła, panno McDaniels. W swoim i kolegów imieniu chciałbym przekazać, jak bardzo doceniamy trud, jaki zadała sobie pani dzisiaj rano, by ustalić, kto reprezentuje Zacka Benedicta, a potem bez zwłoki do nas przyjść.

- Trafiłam do was bez kłopotu - powiedziała pełnym bólu głosem. - Pamiętałam, która firma reprezentowała go w czasie procesu i gdy tylko do nich zadzwoniłam, skierowali mnie do panów.

- Po oskarżeniu pana Benedicta o zamordowanie Tony'ego Austina jego bliski przyjaciel uznał, że najlepiej będzie, jeżeli tym razem my zajmiemy się sprawą.

Emily uwolniła rękę z uścisku i złączyła dłonie.

- Czy możecie już dzisiaj wyciągnąć go z więzienia?

- Obawiam się, że to niemożliwe. Jednak jeżeli zechce pani pójść z nami na policję i tam powtórzyć swoje zeznanie, na pewno o wiele przyspieszymy jego zwolnienie.

Emily skinęła głową. Dręczyło ją wspomnienie starego filmu, na którym prowadzili Zacka w kajdankach przed oblicze sędziego, i całkiem nowego, który oglądała w ostatnich tygodniach kilka razy, ze sceną pobicia Zacka w Meksyku... wszystko za zbrodnię, jakiej nie popełnił... do jakiej mimo woli się przyczyniła.

- Nie rozumiem, dlaczego nie mogą wypuścić go już dzisiaj. - Walczyła, by z poczucia winy i wstydu nie rozplakać się. - Usiądziemy w poczekalni.

Gdy wraz z mężem wyszła, John Seiling popatrzył po swych uśmiechających się partnerach i sięgnął po telefon.

- Susan - rzucił sekretarce - połącz mnie z kapitanem Jorgenem, potem z Mattem Farrellem w Chicago i powiedz, że sprawa jest pilna. Następnie odzyskaj Williama Wesleya z biura prokuratora w Amarillo, w Teksasie. A na koniec zarezerwuj dla nas trzech lot do Amarillo, na jutro rano.

Po pięciu minutach sekretarka przełączyła zamiejscową rozmowę do sali konferencyjnej.

- Kapitan Jorgen na linii.

- Dziękuję - odpowiedział Seiling. Rozpoczął rozmowę na linii numer jeden. - Kapitanie Jorgen - zaczął jowialnie - jakby się panu spodobała wiadomość znacząco

zwiększająca pana szanse na stanowisko komisarza policji, przy równoczesnym wykreowaniu na bohatera mediów? - Twarz prawnika rozjaśnił szeroki uśmiech. - Wszystko, czego mi trzeba, to kogoś, kto przyjmie zeznanie dotyczące śmierci Tony'ego Austina i Rachel Evans i da słowo, że zachowa sprawę w tajemnicy, dopóki za dzień lub dwa nie zwolnię go z tego obowiązku. - Przez chwilę słuchał. - Wiedziałem, że zwracam się do właściwej osoby. Będziemy u pana za trzy kwadranse.

Gdy odkładał słuchawkę, dwa następne światełka jaśniały już na aparacie. Przez interkom rozległ się głos sekretarki:

- Pan Farrell czeka na drugiej linii, a William Wesley, prokurator z Amarillo, na trzeciej.

Seiling przełączył aparat na drugą linię.

- Panie Farrell - powiedział pełnym szacunku tonem - prosił pan, by go informować o poczynionych ustaleniach, dzwonię więc, by przekazać, że dziś rano w sprawie Zacharego Benedicta nastąpił niespodziewany zwrot.

W swym biurze w Chicago Matt odwrócił się plecami do siedzących wokół jego biurka dyrektorów.

- Jakiego rodzaju?

- Zeznania Emily McDaniels. Wczoraj wieczorem jej ojciec przyznał się do zamordowania Rachel Evans i Tony'ego Austina. McDaniels wylądował w miejscowym szpitalu i przechodzi badania psychiatryczne. Podtrzymuje swe wyjaśnienia, Emily też złożyła zeznanie w sprawie broni użytej przy zabójstwie Austina.

- Szczegóły poda mi pan później. Jak szybko możemy uzyskać zwolnienie Zacka?

- Jutro pójdziemy do prokuratora stanowego w Teksasie i przedstawimy mu zeznanie Emily McDaniels. Powołamy się na przepis mówiący o ochronie przed bezpodstawnym uwięzieniem i przekonamy go do bezzwłocznego przedstawienia sprawy sędziemu pierwszej instancji. Jeżeli będziemy mieć szczęście i nakaz zostanie podpisany szybko, wtedy udamy się do władz nadrzędnych w Austin, by zdobyć podpis sędziego sądu apelacyjnego. Pan Benedict zostanie zwolniony za kaucją.

- Za kaucją? - powtórzył Matt niskim, jadowitym tonem. - Z jakiego powodu?

Seiling drgnął na dźwięk głosu, który sprawiał, że przeciwnicy Farrella oblewali się zimnym potem.

- Winny czy nie, ucieczką z więzienia w Teksasie złamał prawo. Formalnie popełnił przestępstwo przeciwko społeczeństwu. Musimy mieć szczęście i być bardzo przekonujący, bo prokurator w Amarillo może, i prawdopodobnie tak postąpi, zażądać czasu na zapoznanie

się ze sprawą. Podkreślimy, że to dotkliwe pobicie w Mexico City, o którym trąbiły media, jest wystarczającą karą. Zależnie od humoru prokurator może się zgodzić z naszą argumentacją i zasugerować sędziemu wyznaczenie kaucji bądź uprzeć się przy innym rozwiązaniu.

- No to wprawmy go w dobry humor albo przygotujmy środki perswazji.

- Oczywiście - zgodził się Seiling.

- Jeżeli nie dojdziemy do natychmiastowego porozumienia z władzami, chcę, by media dowiedziały się o wszystkim. Bez chwili wahania rzucają się na sprawę.

- Zgadzam się. Moi partnerzy i ja jedziemy do Amarillo jutro z samego rana.

- Dzisiaj wieczorem - powiedział Matt nieznoszącym sprzeciwu głosem. - Spotkamy się na miejscu. - Rozłączył się, zanim Seiling zdążył zaprotestować. Wcisnął klawisz interkomu. - Eleonor, odwołaj wszystkie moje spotkania przewidziane na najbliższe dwa dni.

W Los Angeles Seiling odłożył słuchawkę. Uniósł brwi i zwrócił się do dwóch pozostałych mężczyzn.

- Jeżeli kiedykolwiek zastanawialiście się, co Benedict i Farrell mają ze sobą wspólnego, odpowiedź brzmi: to dwa zimne skurczybyki.

- Ale świetnie płacą - przypomniał z uśmiechem jeden z prawników.

Seiling skinął głową.

- No to bierzmy się do zarabiania, panowie. - Teraz połączył się z kolejnym rozmówcą. - Panie Wesley - powiedział, starając się, by jego głos brzmiał stanowczo i zarazem uprzejmie - wiem, że to pana poprzednik, Alton Peterson, oskarżał przed pięcioma laty w sprawie Zacka Benedicta, więc nie dostrzegam żadnej pańskiej winy. Ale doszło do poważnej pomyłki sądowej. Potrzebuję pomocy biura prokuratora, by naprawić ją możliwie szybko. Media z pewnością potrafią docenić energię, z jaką pan podejmie działania. Niezależnie od decyzji, Zachary Benedict wyjdzie ze sprawy jako męczennik i bohater. Opinia publiczna zapragnie krwi za wyrządzoną mu niesprawiedliwość, a nie chciałbym, by utoczono pańskiej. - Przerwał i słuchał. - O tym właśnie mówię! O szczegółach porozmawiamy przy kolacji o siódmej.

## ROZDZIAŁ 67

Katherine naciśnęła hamulec. Jej wóz z piskiem opon zatrzymał się przed domem Julie. Na widok stojącego w ogródku roweru ze zniecierpliwieniem westchnęła, bo oznaczało to, że przyjaciółka znów ma lekcję. Zostawiła torebkę w samochodzie, podbiegła kawałek chodnikiem i bez pukania weszła frontowymi drzwiami. W jadalni, przy stole, siedziała Julie z trzema uczniami.

- Muszę z tobą porozmawiać - wydyszała Katherine bez tchu - w salonie.

Julie odłożyła książkę i uśmiechnęła się do chłopców.

- Zaraz wracam. Willie, czytaj dalej.

Wyczuwając, że dzieje się coś niezwykłego, Willie Jenkins czytał, dopóki nauczycielka mogła go słyszeć, potem mrugnął do kolegów.

- Coś się kroi - zniżył głos do szeptu. Przechylił się na krześle, by lepiej widzieć, co dzieje się w salonie.

Johnny Everett popatrzył przez ramię. Ustawił swój fotel na kółkach bokiem, by bez przeszkód oglądać, co też robi ich pani. Tim Wimple, z nogą amputowaną na wysokości kolana, obrócił swój wózek i skinął głową.

- Coś ważnego, założę się.

Willie wziął na siebie funkcję sprawozdawcy. Na palcach podszedł do drzwi.

- Panna Cahill włącza telewizor... - relacjonował przez ramię kolegom. Ponownie zwrócił twarz w stronę salonu.

- Katherine - odezwała się Julie roztrzęsionym głosem. Z napięcia malującego się na twarzy przyjaciółki, z gorączkowego sposobu, w jaki szukała kanału, domyśliła się, że chodzi o Zacka. - Powiedz wreszcie, co się stało! Coś z Zackiem, prawda? Czy wydarzyło się coś niedobrego?

Katherine zaprzeczyła ruchem głowy i odsłoniła ekran.

- Mówią o tym we wszystkich programach. Przerwywają regularne audycje, by ogłosić tę rewelację. NBC podała, że jest w posiadaniu taśmy wideo, którą wyemituje o czwartej trzydzieści. - Spojrzała na zegarek. - To już.

- O co chodzi? - wybuchnęła Julie.

- Dobra wiadomość - powiedziała Katherine z bolesnym uśmiechem - albo zła, zależy jak na nią spojrzeć. Julie, on jest... - Wskazała na telewizor, skąd dobiegał głos spikera

informującego o przerwaniu programu z powodu wiadomości z ostatniej chwili. Na ekranie ukazała się twarz Toma Brokawa.

„Dobry wieczór, panie i panowie. Przed godziną więzienie stanowe w Amarillo w Teksasie opuścił Zachary Benedict, odbywający karę czterdziestu pięciu lat więzienia za zabicie żony, Rachel Evans. Prawnicy Benedicta uzyskali jego zwolnienie w wyniku zeznania złożonego przez Emily McDaniels, znanej między innymi z roli w «Przeznaczeniu», w którym to filmie występowała obok Benedicta, Evans i Tony'ego Austina”.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Julie sięgnęła po dłoń Katherine i ścisnęła mocno. A Brokaw mówił dalej: „NBC dowiedziało się, że zaprzysiężone zeznanie panny McDaniels zawiera oświadczenie, iż dwa dni temu jej ojciec, George McDaniels, przyznał się do zamordowania Rachel Evans, a także Tony'ego Austina, którego zwłoki odkryto w domu w Los Angeles dwa miesiące temu”.

Z piersi Julie wyrwał się jęk radości, przygaszonej dręczącym poczuciem winy. Obiema rękami przytrzymała się oparcia krzesła i patrzyła, jak na ekranie ukazuje się brama więzienia w Amarillo, a w niej Zack, ubrany w ciemny garnitur, w krawacie, w otoczeniu adwokatów zmierzający w deszczu w stronę oczekującej go limuzyny.

Tymczasem Brokaw mówił: „Benedict opuścił więzienie jako wolny człowiek, w towarzystwie swych kalifornijskich prawników. W limuzynie czekał na niego wieloletni przyjaciel, przemysłowiec Matt Farrell, którego niezachwiana wiara w niewinność Benedicta nie była tajemnicą dla prasy ani władz. Z boku stała też młoda kobieta, o twarzy znajomej, choć w tym momencie nie było widać w jej policzkach sławnych dołeczków; najwyraźniej nie chciała rzucać się w oczy, a przyszła, by asystować przy zwolnieniu Benedicta”. Julie patrzyła, jak Zack idzie do samochodu, zatrzymuje się i spogląda w stronę, gdzie Emily McDaniels, z twarzą zamienioną w maskę smutku, przystanęła wraz z mężem pod parasolem, a potem wolno do niej podchodzi.

Łzy płynęły po policzkach Julie, gdy patrzyła, jak Zack bierze Emily w ramiona, potem oddaje ją mężowi i znika w limuzynie, a ta natychmiast odjeżdża. Głos zabrał Brokaw.

„Po uzyskaniu wiadomości o zwolnieniu Benedicta reporterzy z Amarillo pośpieszyli na lotnisko w nadziei na oświadczenie. Rozczarowali się, bo aktor nie zatrzymał się ani na chwilę, tylko opuścił miasto prywatnym odrzutowcem Farrella. NBC dowiedziało się, że samolot obrał kurs na Los Angeles, gdzie przemysłowiec ma dom, ostatnio wynajęty wprawdzie gwiazdorowi filmowemu Paulowi Restermanowi i jego żonie”.

Połykając łzy, Julie popatrzyła na Katherine.

- Matt Farrell nigdy nie przestał wierzyć w Zacka - powiedziała ochryplym głosem. -  
Chociaż jeden przyjaciel go nie zawiódł.

- Nie zaczynaj na nowo się zadręczać - rzuciła Katherine, ale jej głosu, przepełnionego  
wzruszeniem, Julie i tak nie usłyszała. Wpatrzona w ekran telewizora, słuchała słów  
Brokawa: „William Wesley, prokurator z Amarillo, zaraz złoży oświadczenie...”

Kamera skierowała się na podest schodów przed sądem. Zza drzwi wyłonił się  
ciemnowłosy mężczyzna około trzydziestki i zwrócił do tłumu reporterów, ze wszystkich  
stron wyciągających mikrofony.

„Proszę powstrzymać się od pytań - uprzedził, wkładając okulary - dopóki nie złożę  
oświadczenia, potem postaram się wyjaśnić wątpliwości”. Gdy wrzawa przycichła, uniósł  
kartkę papieru i zaczął czytać: „Wczoraj kalifornijscy adwokaci Zacharego Benedicta zjawili  
się w moim biurze w Amarillo. Dostarczyli mi zaprzysiężone zeznanie panny Emily  
McDaniels, stwierdzające, że jej ojciec, George Anderson McDaniels, przyznał się do  
zamordowania Rachel Evans i Anthony'ego Austina. Panna McDaniels złożyła zeznanie  
przed kapitanem policji Johnem Jorgenem w Orange County w Kalifornii oraz dostarczyła  
rewolwer kaliber 45, własność jej ojca. Wstępne badania balistyczne, wykonane dzisiaj rano,  
potwierdziły, że pociski, które zabiły pana Austina, zostały wystrzelone z tej właśnie broni.  
Natychmiast po spotkaniu prawnicy Benedicta powołali się w tutejszym sądzie na *habeas  
corpus*, domagając się zwolnienia ich klienta z więzienia stanowego w Amarillo. Nakaz  
podpisał, bez sprzeciwu ze strony mojego biura, sędzia Wolcott i przedłożył, w celu  
zatwierdzenia, sędziemu sądu apelacyjnego w Austin. Podpis został złożony dzisiaj rano i  
Zachary Benedict mógł opuścić więzienie. Istnieją jeszcze pewne wątpliwości, co uczynić, od  
strony prawnej, ze sprawą jego ucieczki, niewątpliwie naruszającej prawo stanu Teksas.  
Jednak w opinii biura prokuratora pan Benedict, nad wyraz brutalnie potraktowany przez  
meksykańską policję, zapłacił wysoką cenę za swoją krótkotrwałą, acz nielegalną wolność,  
nie wspominając o pięciu latach spędzonych w więzieniu za przestępstwo, którego, jak się  
wydaje, nie popełnił. Jakies pytania?” Było całe mnóstwo, ale jedno przebiło się przez ogólną  
wrzawę:

„A co z porwaniem Julie Mathison? Czy Benedict stanie za to przed sądem?”

„Wszystko zależy od tego, czy panna Mathison zechce złożyć przeciwko niemu  
oskarżenie w sądzie kryminalnym lub wytoczyć sprawę w sądzie cywilnym. W naszym biurze  
takie postępowanie się nie toczy”.



Stojący w drzwiach Willie oderwał wzrok od zrozpaczonej twarzy swej nauczycielki i powrócił do kolegów siedzących przy stole w jadalni, którzy nie mogli słyszeć ani widzieć programu telewizyjnego.

- To ten świr, Benedict - szepnął gniewnie. - Wyszedł z więzienia, a ona znów przez niego płacze. - Zebrał książki i zaczął upychać do torby. - Możemy całkiem spokojnie spakować się i wynosić. Panna Mathison nie będzie chciała, byśmy widzieli ją płaczącą, a sądząc ze szloch, nie zanosi się, by wnet doszła do siebie.

Chłopcy pośpiesznie postąpili zgodnie z sugestią przywódcy. Johnny Everett chciał zrozumieć więcej. Uniósł piegowatą, zmartwioną twarz i spojrzał na Williego.

- Dlaczego oglądanie Benedicta w telewizji przyprawia ją o łzy?

Willie pochwycił torbę i wziął się za popychanie wózka Tima.

- Moja mama mówi, że złamał jej serce i że całe miasto aż o tym huczy.

- To świr - przyznał Tim.

- Wielki świr - zgodził się Johnny. Odjechał wózkiem od stołu. Kierował się w stronę kuchni, skąd specjalnie skonstruowana rampa prowadziła do podjazdu.

Na chodniku przed domem chłopcy zatrzymali się i przez odsłonięte okna patrzyli na swoją nauczycielkę, wycierającą nos, i na pannę Cahill, pocieszająco poklepującą ją po ramieniu. Katherine uniosła wzrok i dostrzegła ich. Uśmiechnęła się, pomachała im ręką i kiwnięciem głowy pochwaliła ich decyzję.

Skonsternowani, bezradnie spojrzeli przed siebie.

- Nienawidzę Zacharego Benedicta - oświadczył Johnny.

- Ja też - zadeklarował Tim.

- I ja - zabrzmiał głos Williego, idącego obok swego roweru. Troskliwym, pełnym rozsądku głosem dodał: - Johnny, ty i ja pójdziemy jutro do szkoły wcześniej rano. Uprzedzimy dzieciaki z naszej klasy, by przez jakiś czas miały względy dla panny Mathison. Żadnego plucia gumą, żadnych wagarów, niczego podobnego. Ty, Tim, nie musisz przejmować się swoją klasą, bo panna Mathison u was nie uczy. Twoim zadaniem jest rozpuszczenie wieści wśród chłopaków w drużynach, z którymi trenuje. Powiedz wszystkim, żeby zachowywali się przyzwoicie.

- Będą chcieli wiedzieć, dlaczego - powiedział Tim, zgrabnie objeżdżając wózkiem suchą gałąź, zajmującą prawie całą szerokość chodnika.

- Powiedz im, że Benedict znów złamał serce pannie Julie, przyprawił ją o łzy. To żaden sekret, jeżeli dorośli w całym mieście o tym gadają.

## ROZDZIAŁ 68

- Witamy w domu, panie Benedict! - rozległ się wesoly głos menedżera Beverly Hills Hotel. - Dałem panu najlepszy domek, a cały personel jest do pana dyspozycji, panie Farrell - zwrócił się do Matta, który podpisywał się obok nazwiska Zacka. - Pańska sekretarka anonsowała, że zostanie pan tylko na dzisiejszą noc. Proszę dać mi znać, gdybym ja lub mój personel mógł służyć pomocą.

Zgromadzeni w saloniku goście zaczęli zwracać na nich uwagę. Z szumu głosów, przypominającego poruszone przez wiatr liście, Zack łowił swe imię.

- Proszę mi przysłać dużą butelkę szampana - polecił recepcjoniście, w unizonym geście podsuwającemu książkę gości. - A o ósmej kolację dla dwóch osób. Jeżeli ktoś do mnie zadzwoni, proszę powiedzieć, że tu nie mieszkam.

- Tak jest, panie Benedict.

Zack lekko skinął głową, odwrócił się i niemal wpadł na piękną blondynkę i towarzyszącą jej oszałamiającej urody brunetkę, które już wyciągały w jego stronę kartki i długopisy.

- Panie Benedict - powiedziała blondynka radośnie - możemy prosić o autograf?

Z anemicznym uśmiechem, który nie sięgał oczu, Zack spełnił prośbę. Gdy przyszła kolej brunetki, w rogu karteluszka zobaczył napisany numer pokoju, a w dłoni poczuł nie dający się z niczym pomylić kształt klucza. Złożył na kartce zamaszty podpis i wręczył ją dziewczynie.

Kącikiem oka Matt obserwował powtarzającą się w przeszłości setki razy scenę.

- Rozumiem - powiedział z przekąsem - że dzisiejszą kolację zjem sam. - Ruszyli za kierownikiem hotelu w stronę rozmieszczonych wokół recepcji domków.

Zack spojrział na klucz trzymany w dłoni i rzucił go w kępę krzaków. Popatrzył na zegarek.

- Jest czwarta. Daj mi ze dwie godziny na kilka telefonów, potem na całego zaczniemy świętować.

Dwie godziny później Matt wchodził do domku przyjaciela. Zack przebierał się właśnie w nową koszulę i spodnie, ledwie przed chwilą dostarczone przez osobistego krawca. Mistrz igły opuścił domek ze łzami w wyblakłych oczach, mając w kieszeni zamówienie na dwa tuziny garniturów, wiele koszul, spodni i ubrań sportowych. Miejscowy dealer rolls royce'a także ucieszył się z powrotu Zacka: natychmiast kazał dostarczyć na hotelowy parking

trzy samochody do wyboru. O siódmej, gdy Zack wreszcie odwiesił słuchawkę po długiej rozmowie, w trakcie której udało mu się przekonać wynajmujących jego dom w Pacific Palisades do zwolnienia go w zamian za solidną odprawę, głos zabrał Matt.

- Zbytnio nie wierzę, byś dał się namówić, ale spróbuję przekonać cię do spędzenia kilku dni w szpitalu, gdzie gruntownie by cię przebadano. Moja żona upiera się, że powinieneś tak postąpić.

- Masz rację, nic z tego - uciął Zack chłodno. Podeszedł do barku przygotować drinki. Popatrzył na baterię butelek i z uśmiechem zapytał: - Szampan czy coś mocniejszego?

- Wolę mocniejszy trunek.

Zack skinął głową, włożył kostki lodu do dwóch kryształowych szklanek, nalał szkockiej, dodał wody i jedną podał Mattowi. Po raz pierwszy od chwili zwolnienia poczuł się całkowicie odprężony. W milczeniu patrzył na przyjaciela. Wreszcie dotarła do niego świadomość wolności i tego, jak wiele zawdzięcza Mattowi.

- Powiedz mi... - zaczął poważnym tonem.

- A co chciałbyś wiedzieć?

- Ponieważ nie widzę sposobu odwdzięczenia się za twoją lojalność i przyjaźń, chciałbym usłyszeć, co mógłbym ci ofiarować na spóźniony prezent ślubny - żartem próbował maskować wzruszenie.

Przyjaciele popatrzyli na siebie; obydwaj rozumieli wagę chwili. Jako mężczyźni szybko uznali jednak rozczulanie się za przejaw słabości. Matt pociągnął spory łyk alkoholu i zmarszczył brwi, jakby poważnie rozważał tę kwestię.

- Biorąc pod uwagę kłopoty, jakie przez ciebie miałem, myślę, że ładna wyspa na Morzu Egejskim byłaby w sam raz...

- Już masz tam jedną - przypomniał Zack.

- Racja. W takim razie po powrocie do domu muszę naradzić się z Meredith.

Zack widział, jak przy imieniu żony twarz przyjaciela łagodnieje, słyszał, jak przy słowie „dom” głos lekko drży. Matt popatrzył w szkło i wypił następny łyk. I jakby odgadł myśli Zacka.

- Ona bardzo chce cię poznać.

- Ja także nie mogę się doczekać. W więzieniu śledziłem wszystkie aktualności związane z... dramatycznymi wydarzeniami towarzyszącymi twoim zalotom do własnej żony.

- Zack spoważniał. - Nigdy nie wspominałeś o ślubie z nią przed piętnastu laty.

- Opowiem ci prawdziwą historię... tę, której nie udało się wyniuchać prasie... ale kiedy indziej. Jak już nacieszysz się wolnością, przywiozę tu Meredith i Marisę i razem spędzimy trochę czasu.

- Może za sześć tygodni? Tyle powinno starczyć mi na załatwienie wszystkich spraw, powrót do normalności. Wydam przyjęcie - myślał głośno. - Odpowiada ci dwudziesty drugi maja?

- Sześć tygodni, nie za mało?

Zack wskazał głową na stolik obok telefonu.

- Tu leżą te wszystkie pilne sprawy, jakie panienki z centrali uznały za godne mojej uwagi. Spójrz tylko.

Matt sięgnął po kartki i przejrzał je pobieżnie. Były tam wiadomości od dyrektorów czterech głównych wytwórni filmowych, kilka od niezależnych producentów i dwie od byłego agenta Zacka. Matt odłożył zapiski na bok.

- Wszystkie mówią to samo: Witaj w domu, wiemy, że jesteś niewinny, mamy więc propozycję nie do odrzucenia - powiedział z rozbawioną miną.

- Nielojalne skurczybyki! - W głosie Zacka nie było urazy. - Dziwne, do więzienia nie przysyłali mi takich miłosnych bilecików. Teraz obdzwaniają hotele w mieście i w każdym zostawiają podobne wiadomości.

Matt parsknął śmiechem, a potem spoważniał.

- A co zamierzasz w sprawie Julie Mathison? Jeżeli ona oskarży cię o... - Ta sprawa nurtowała go od chwili zwolnienia przyjaciela.

W jednej chwili uśmiech zniknął z twarzy Zacka, spojrzenie kłuło jak sople lodu.

- Nigdy więcej nie wymawiaj przy mnie jej imienia - rzucił ostro. - Nigdy.

Matt uniósł brwi, ale powstrzymał się od uwag. Później tego wieczora, od siebie z domku, zadzwonił do Meredith. Powiedział, że rano wraca do domu, nie omieszkął wspomnieć o sprawach Zacka.

- Już dostał mnóstwo ofert z Hollywood, bez przerwy do niego dzwonią. Dwudziestego drugiego maja chce wydać przyjęcie. Jeżeli termin nam odpowiada.

Meredith okręciła sznur telefonu wokół palca i ostrożnie wspomniała o kimś, kogo Matt znenawidził.

- A co z Julie Mathison?

- Ona nie zostanie zaproszona - odpowiedział z sarkazmem. Po chwili, już łagodniej, dodał: - Jeżeli uważasz moją reakcję za irracjonalną, żałuj, że nie słyszałaś Zacka.

- Czy któryś z was zadał sobie trud zastanowienia się, co w tej chwili czuje ta dziewczyna? - nie ustępowała Meredith.

- Z pewnością jest rozczarowana, bo wizerunek heroiny właśnie się rozpadł!

- Ona go kochała, Matt! Czułam to.

- Rozmawialiśmy już o tym, kochanie, i zapamiętaj, przy Zacku to temat tabu. On zniechęcił Julie Mathison, chyba na zawsze. Jak tam Marissa?

- Tęskni za tobą.

- A mamusia Marissy? - W jego głosie zabrzmiała czułość.

- Tęskni jeszcze bardziej - odpowiedziała z uśmiechem Meredith.

## ROZDZIAŁ 69

- Panie Benedict, chcielibyśmy zrobić panu zdjęcie z panną Copeland! - wołała reporterka „Los Angeles Daily News”, przekrzykując muzykę i wrzawę pięciuset gości zebranych na wspaniałym weekendowym przyjęciu w domu Zacka. Nie usłyszał jej. Wzruszyła ramionami i podeszła do grupy dziennikarzy.

- Ale przepych! - Ruchem głowy wskazała na jednego z pięćdziesięciu ubranych w smokingi kelnerów, podsuwających przekąski i drinki tym gościom, którym nie chciało się zachodzić do olbrzymiego białego namiotu, gdzie częstowano homarem, kawiozem i innymi wyszukаныmi smakołykami. Za nimi olbrzymi basen, otoczony rzymskimi kolumnami, wypełnił się amatorami kąpeli- często kompletnie ubranymi - rozwrzeszczanymi i tęgo popijającymi.

- Jest na wolności dopiero od sześciu tygodni, a patrzcie no tylko! - nie przestawała perorować rozbawiona dziennikarka. Wzięła kieliszek szampana Dom Perignon z tacy usłużnie podsunętej przez kelnera. - Znów jest na fali, jeszcze bardziej popularny niż przedtem. Zebrali się tu chyba wszyscy ważni przemysłu filmowego, gotowi na każde jego skinienie wystąpić z propozycją kontraktu, szczęśliwi, że mieli zaszczyt zostać zaproszeni na przyjęcie z okazji powrotu do domu. - Upiła łyk i, by podtrzymać rozmowę z dziennikarską bracią, zwierzyła się z rewelacji, o której większość już wiedziała. - Jego agent opowiada, że Paramount, Universal i Fox prześcigają się w podsuwaniu mu scenariuszy, a propozycje budżetu jego następnego filmu sięgają dwudziestu milionów. On upiera się przy dwudziestu pięciu i wyższych tantiemach.

- Jak na faceta, który wypadł z tego biznesu na całe pięć lat, nieźle - parsknął reporter CBS, podobnie jak dziennikarka „Daily News” wystrzegający się słowa „więzienie”. I to nie dlatego, by okazywali rzadkie wycucie taktu, powód był zgoła prozaiczny: rzecznik Zacka nie ukrywał przed dziennikarzami mającymi szczęście otrzymać zaproszenie na przyjęcie, że są trzy tematy, których nie wolno im poruszać, gdyż natychmiast wylądują za bramą i nigdy więcej nie otrzymają szansy przeprowadzenia wywiadu z Zackiem. Te zastrzeżone kwestie to jego uwięzienie, nieżyjąca żona i Julie Mathison.

Reporter NBC spojrzął na zegarek i poszukał wzrokiem swojego kamerzysty. Dostrzegł go nad basenem, zawzięcie flirtującego z gwiazdką filmową ubraną w elastyczną sukienkę mini z głębokim dekoltem.

- Najwyższa pora na spełnienie obietnicy - zauważył. - Jego rzecznik zapowiadał, że załatwi dwuminutowy wywiad i pozowanie do kilku zdjęć, jeżeli podczas przyjęcia będziemy trzymać się z daleka od bohatera wieczoru. Muszą się pośpieszyć, bo inaczej nie zdążymy z materiałem do wiadomości o dziesiątej.

Jakby nagle uświadomiwszy sobie ich potrzeby, Sally Morrison, zajmująca się od lat kontaktami Zacka z mediami, nakazała dziennikarzom zebrać się, potem przebiła się przez tłum do miejsca, gdzie stał gospodarz przyjęcia w towarzystwie trzech producentów, starających się, jeden przez drugiego, skupić na sobie jego uwagę. Obok stała Diana, trzymała go pod rękę. Sally szepnęła coś do Benedicta. On skinął głową, popatrzył w stronę reporterów, przeprosił osoby stojące obok i z Dianą u boku ruszył naprzeciw dziennikarzom.

## ROZDZIAŁ 70

- Co za fantastyczny wieczór - powiedziała Katherine z entuzjazmem. Siedzieli w restauracji we czworo: ona, jej mąż, Julie i Paul Richardson. Sobotnie wypadły do kina, kończące się wizytą na kolacji w Mandillos, w ciągu ostatnich sześciu tygodni stały się rytuałem. Julie rzuciła się w wir życia z gwałtownością bardziej niepokojącą niż cieszącą jej bliskich. - Czyż nie mam racji? - Katherine spoglądała w trzy uśmiechnięte twarze.

- Cudowny - przyznał Ted.

- Wspaniały - zgodził się Paul. Objął Julie ramieniem.

- A jak ty uważasz? Określiłabyś cotygodniowe spotkanie naszej czwórki mianem fantastycznego, cudownego czy wspaniałego? - zażartował.

- Jest super - orzekła Julie. - A zauważyliście, jakie mamy dzisiaj rześkie powietrze? Maj był zawsze moim ulubionym miesiącem.

W ciągu sześciu tygodni od zwolnienia Zacka zmieniła się nie tylko pogoda. Przed miesiącem Ted i Katherine pobrali się. Ślub tym razem odbył się skromny, w salonie Cahillów, celebrowany przez wielbionego Mathisona.

Z Dallas do Keaton przyjechał na tę okazję Paul Richardson, co tylko ugruntowało zwyczaj wspólnego spędzania weekendów. Od tamtej pory ojciec Julie napomykał, że chętnie udzieliłby jeszcze jednego ślubu - jak Julie i Paul się zdecydują. Paul był gotowy, ale Julie nie. Wesołość i ożywienie manifestowała jedynie na zewnątrz. W skrytości ducha osiągnęła stan błogiej narkozy, chroniący ją przed głębszymi emocjami. Odpowiadało jej to. Starła się całkowicie wymazać z pamięci przeszłość. Teraz mogła śmiać się, pracować, bawić i czuć... całkiem nieźle.

Ale nic poza tym. Starannie wypracowana równowaga ducha była tak mocna, że Julie podczas ślubu Teda i Katherine nie uroniła jednej łzy, choć była bardzo, ale to bardzo szczęśliwa. Łzy, co do jednej, wylała z powodu Zacka; znalazła się w cudownym kokonie spokoju, którego nic ani nikt nie był w stanie naruszyć.

Kelnerka przecisnęła się pomiędzy zajętymi przez licznych gości stolikami i wyciągnęła notatnik.

- To co zwykle? - zapytała. - Cztery steki New York, średnio wysmażone, z pieczonymi ziemniakami?

- Brzmi cudownie, Millie - powiedział Ted. Julie zapytała kelnerkę o męża.

- Jak Phil sobie radzi w tej nowej pracy w Oakdale's Garage?



- Idzie mu doskonale. Dzięki za szepnięcie za nim słówka. Phil mówi, że praktycznie zmusiłaś ich, by dali mu tę posadę.

- Jest świetnym mechanikiem - przypomniała Julie. - Przez wiele lat utrzymywał mój wóz na chodzie. To Oakdale's zrobiłam przysługę, nie jemu.

W Mandillos stała szafa grająca, w rogu sali znalazł miejsce niewielki parkiet. Po przeciwnej stronie znajdował się bar, nad którym królował olbrzymi telewizor, oblegany zwłaszcza podczas sezonu futbolowego. Stoliki ustawiono pośrodku.

- Mam kilka ćwierćdolarówek. - Paul sięgnął do kieszeni. - Pomożesz mi wybrać piosenki?

Julie skinęła głową i wstała z uśmiechem. Całe dziesięć minut zabrało im przejście obok stolików, przy których siedzieli na ogół znajomi. Co chwilę przystawała, by porozmawiać. Wybranie piosenek trwało moment.

- Szafa jest wyłączona, bo gra telewizor - zauważył Paul. Wrócili na swoje miejsca, do stolika stojącego we wnęce w kształcie litery U. - Powiem Millie, żeby go wyłączyła. - Rozejrzał się za kelnerką.

- Poczekaj chwilę - powiedział Ted. - Akurat podają wiadomości, chciałbym poznać wynik meczu.

Cała czwórka w milczeniu patrzyła na ekran.

„Zanim przejdziemy do wiadomości sportowych - rozległ się głos spikera - przekażemy relację Amandy Blakesly spędzającej weekend w Pacific Palisades, w urządzonej z wręcz królewskim przepychem rezydencji Zachary'ego Benedicta...”

Imię Zacka uciszyło gwar w restauracji, goście rzucali spojrzenia pełne niepokoju i współczucia w stronę miejsca, gdzie siedziała Julie. Za chwilę rozmowy rozgorzały ze zdwojoną siłą, jakby próbowano zagłuszyć padające z telewizora słowa. Gdy Ted, Katherine i Paul zaczęli rozmawiać z nienaturalnym ożywieniem, Julie tylko machnęła ręką.

- Mnie już to niewiele obchodzi - powiedziała. By podkreślić, że tamta sprawa to zamierzchła przeszłość, wsparła brodę na dłoni i ze znudzonym uśmiechem wbiła wzrok w ekran. Bez zmruczenia oka patrzyła na Zacka prowadzącego rozmowę z grupą reporterów, z taką samą obojętnością przyjęła widok uśmiechniętej do niego, cudownie pięknej Diany Copeland. Zack trzymał szklankę szampana w dłoni... tej samej, która kiedyś pieściła i odkrywała każdy centymetr jej ciała. Leniwy uśmiech był tak samo pociągający jak wtedy, w Kolorado, może nawet bardziej, bo teraz bił z opalonej twarzy.

- W smokingu wygląda doskonale - zauważyła Julie obojętnie - nie sądzicie?

- Niespecjalnie. - Paul skrzywił się. Obserwował, jak twarz Julie traci resztki kolorów.

- Każdy mężczyzna wygląda dobrze w smokingu - pośpiesznie powiedziała Katherine.  
- Spójrz na innych, wszyscy prezentują się wspaniale, nawet Jack Nicholson.

Julie powstrzymała uśmiech, rozbawiła ją ta zupełnie niepotrzebna próba zbagatelizowania osoby Zacka. Patrzyła dalej, na roztańczony, roześmiany tłum, gęsto przetykany znanymi twarzami. Nie czuła nic, nawet wtedy, gdy w telewizorze ktoś zawołał:

- Może przywitałabyś go pocałunkiem, Diano?

Nie opuściła wzroku, gdy Zack posłusznie objął Dianę ramieniem, a aktorka całowała go długo i namiętnie, co zebrani na przyjęciu przyjęli śmiechem i oklaskami. Spoglądała na ekran bez emocji, ale gdy Zack pochylił głowę, szepnął coś do Diany... wargami skubnął jej ucho - nie wytrzymała. Żartobliwy, czuły gest uczynił wyrwę w emocjonalnej barykadzie.

Drań, pomyślała w przyływie gniewnego bólu, który jednak natychmiast stłumiła. Nie miała prawa być zazdrosna. Powinna cieszyć się jego szczęściem, chociaż przez niego jest martwa... w środku. Nie chciała niczego odczuwać, w końcu dokonała wyboru, bardzo wygodnego...

Zack zostawił Dianę i odszedł na bok, co zakończyło krótki wywiad. Ale reporterka nie zamierzała odejść w cień. Gdy kamera zbliżyła jej twarz, zakomunikowała widzom z konfidencyjnym uśmiechem: „Wśród gości krążą plotki o małżeństwie Zachary'ego Benedicta i jego wieloletniej przyjaciółki, Diany Copeland”.

- Właściwy wybór - powiedziała pogodnie Julie i popatrzyła po twarzach przy stoliku.  
- O, jest kolacja.

Pół godziny później Julie i Katherine wstały i ruszyły w stronę toalet. Julie z ożywioną twarzą wymieniała uwagi ze znajomymi przy stolikach. Paul oderwał od niej zmartwione spojrzenie.

- Jak myślisz - odezwał się do Teda - ile straciła na wadze?

- Za dużo. Ale wciąż nie traci humoru - odrzekł tamten z przekąsem.

- Ma bardzo silną wolę.

- O tak. Pracuje z pasją, bawi się na całego.

- To chyba dobry objaw? Ted westchnął gniewnie.

- Chyba tylko próbuje uciec od wspomnień.

- Dlaczego tak uważasz?

- Julie jest w stresie, więc wszystko dokoła siebie porządkuje. W ciągu ostatnich sześciu tygodni, jakby jej było mało, oprócz nauczania w szkole, pracy z kalekami dziećmi, prywatnych lekcji, udzielania się społecznie w mieście i kościele, zajęć przy uroczystościach dwusetlecia Keaton, wytapetowała każde pomieszczenie w domu, uporządkowała każdą

szufladę w kredensie. Nawet garaż odmalowała, dwa razy. Teraz przystąpiła do układania żywności w spizarnce według porządku alfabetycznego.

- Co takiego? - Paul stłumił śmiech.

- Słyszałeś. - Ted zachowywał powagę. - Nic w tym zabawnego. Ona żyje w stresie, na granicy załamania. Muszę cię o coś zapytać. - Nachylił się w stronę Paula. - Razem wpędziliśmy ją w ten koszmar, tak długo przekonywaliśmy ją o winie Benedicta, aż w końcu udało nam się. Uwierzyła. Zmusiłeś ją, by pojechała do Mexico City, ja nie przeszkodziłem w tej eskapadzie. Część winy spada na mnie, czy dostrzegasz swoją?

Paul odsunął talerzyk z deserem i kiwnął głową.

- Tak.

- No to proponuję, byśmy, ja i ty, pomyśleli, jak pomóc jej wydostać się z dołka!

- Porozmawiamy o tym później, jak odprowadzę Julie do domu.

## ROZDZIAŁ 71

Ponieważ Paul nie mógł spędzić nawet całkiem niewinnej nocy w domu Julie bez wywołania burzy plotek w mieście, już i tak huczącym o jej nieszczęśliwym romansie z Benedictem, ile razy przybył do Keaton, korzystał z zaproszenia Teda i Katherine i zatrzymywał się u nich. Gdy po odprowadzeniu Julie dotarł do ich nowego domu, frontowe drzwi zastał otwarte. Ted już czekał w salonie na zapowiedzianą rozmowę.

- Ta sprawa między Benedictem a Julie musi zostać jakoś wyjaśniona - powiedział na widok Paula. - Osobiście nie miałbym nic przeciwko temu, by pochłonęła go ziemia, ale Katherine uważa, że Julie nie zazna spokoju, dopóki nie dojdzie z nim do porozumienia. I między wami się nie ułoży. A chyba ci na niej zależy?

Paul, zaskoczony i trochę zirytowany obcesowością Teda, po krótkim wahaniu skinął głową.

- Jestem w niej zakochany.

- Katherine tak właśnie uważa. Powiedziała też, że sumienie Julie zdręczy ją na śmierć. A przecież jeżeli którekolwiek powinno czuć się winne, to ten drań, Benedict. Julie nie zrobiła nic poza zaproponowaniem podwiezienia w rewanżu za pomoc przy zmianie koła. A dwieście milionów ludzi w tym kraju, którzy oglądali na filmie baty, jakie dostał w Mexico City, obarcza winą ją. Ci sami, którzy uznali za słuszną pomoc Julie przy ujęciu Benedicta, teraz uważają ją za wiedźmę intrygami przywodzącą niewinnego mężczyznę do zguby. Przynajmniej mieszkańcy Keaton trzymają jej stronę, a to już coś. Niewielka pociecha, ale zawsze. Prasa nie przestaje na nią polować, żurnaliści dręczą ją pełnymi jadu pytaniami.

Z sypialni, w szlafroku i pantoflach, wyszła Katherine i usiadła na oparciu fotela Teda.

- Gdy Zack był w więzieniu - włączyła się do rozmowy - Julie wysyłała do niego listy, ale wracały nieotwierane. Jak wyszedł na wolność, pisała do jego prawników - prosto, uprzejmie, tym razem z pytaniem, jak ma zwrócić samochód - żadnej odpowiedzi. Dopóki ona lub ktoś inny nie przekona go, że prawie do samego końca miała zamiar dołączyć do niego w Meksyku i nie planowała wciągnięcia go w pułapkę, nie pokocha ciebie ani nikogo innego. Nie pozwoli sobie na luksus miłości - karze siebie w ten sposób.

Paul popatrzył na nią zaskoczony.

- Czyżby jedynie to powstrzymało ją od rozpoczęcia życia ze mną? Potrzebuje rozgrzeszenia Benedicta?

- Jak mi wiadomo... - wykręcała się od odpowiedzi.

- Świetnie - powiedział po chwili. - Jeżeli tak, wyjaśnię sprawę, nie będzie musiała czekać następnych sześciu tygodni ani nawet sześciu dni. - Wstał z miną człowieka ożywionego świadomością stojącego przed nim zadania. - Załatwię to w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Powiedz Julie, że w związku z pracą musiałem skrócić weekend.

Katherine zwróciła się twarzą w jego stronę i patrzyła, jak idzie do gościnnej sypialni.

- Ależ Paul, on nie chce nawet z nią rozmawiać!

- Ze mną będzie musiał! - rzucił przez ramię.

- Skąd masz pewność, że ci się powiedzie? - zapytał Ted. Paul wyłonił się z gościnnego pokoju, w ręce trzymał torbę podróżną.

- A stąd. - Podsunął Tedowi pod nos swoją odznakę, potem sięgnął do szafy po płaszcz.

- To ułatwi ci wstęp do jego domu, ale nie sprawi, by uwierzył.

- Ten skurczybyk nie musi mi wierzyć na słowo. Kto ma list, który Julie zamierzała wam zostawić przed ucieczką z Benedictem?

- Ja. - Katherine wstała. - Ale tym go nie przekonasz. Nie da się ustalić, kiedy został napisany. - Wyszła do sypialni i za chwilę wróciła z kopertą w ręce, którą następnie wręczyła Paulowi. - Pamiętaj, on jest teraz bogaty i sławny, będzie podwójnie uczulony na wszystko, co może wyglądać na próbę pogodzenia się, podjętą przez Julie ze zwykłej interesowności.

- Być może. Ale w biurze w Dallas mam argument, którym go przekonam!

- Co takiego?

- Kasety wideo. - Sięgnął po odznakę. - Film z konferencji prasowej, podczas której próbowała usposobić do niego przychylnie opinię publiczną.

- Za mało. Weźmie ją za umyślnie spreparowaną, by łatwiej wpaść w zastawioną pułapkę.

- Jest tam także - Paul wcisnął krawat do kieszeni płaszcza i uniósł torbę podróżną - skonfiskowana taśma ukazująca, co naprawdę wydarzyło się w Mexico City - reakcję Julie na brutalne potraktowanie Benedicta. Kto potrafi oglądać ten film bez wzruszenia, musi być o wiele twardszy ode mnie. Jeżeli jeszcze się nie domyśliłeś - dodał chłodno, chwytając za klamkę - jadę do Dallas po argumenty. Rano polecę do Los Angeles. Gdzieś w aktach mamy jego kalifornijski adres.

- Chyba nie zamierzasz wpakować się na jego przyjęcie? - Ted skrzywił się ironicznie.

- Mam je gdzieś. Przez całe miesiące mieszał w moim i Julie życiu. Wystarczy! Jeżeli mi się nie uda - dodał - jeżeli wciąż nie będzie chciał mnie słuchać ani zapoznać się z dowodami, jakie mu przedstawię, proponuję, byście wystąpili z powództwem cywilnym o

odszkodowanie za narażenie Julie na udramę psychiczną, z której do obecnej chwili nie może się otrząsnąć; przyciśniesz go w sądzie i zapłacisz okrągłą sumkę!

- Dziękuję, Paul - powiedziała Katherine i pocałowała go w policzek - żegnaj. - Ted wyciągnął na pożegnanie dłoń. - Zadzwoń do nas po spotkaniu z Benedictem - dodała jeszcze. Przez chwilę patrzyła za Paulem, potem zamknęła drzwi. Ted przyglądał jej się z dziwnie zamyśloną miną.

- Przy pożegnaniu wyglądałaś na bardzo smutną - jakbyś rozstawała się z nim na zawsze. Dlaczego?

- Bo jestem naprawdę okropna, nie zasługuję na miłość takiego wspaniałego mężczyzny jak ty - odparła ze skruszoną miną.

- Wy tłumacz mi! - poprosił zaskoczony.

- Jest coś, o czym nie wspomniałam ani tobie, ani Paulowi - przyznała. - Julie może sobie wyobrażać, że wystarczy jej przebaczenie Zacka, ale w rzeczywistości pożąda go jako mężczyzny. Zawsze tak było, od samego początku. Jeżeli Paulowi się uda, Julie nie tylko dostąpi spokoju ducha, dostanie Zacka Benedicta.

- Ten facet znowu stał się modnym gwiazdorem filmowym. Widziałaś go dzisiaj w telewizji? Tłum bab nie odstępował go ani na chwilę. Widziałaś rezydencję, w której mieszka. Niekoniecznie zadowolony z zwykłą Julie Mathison.

- Czytałam list, który jej wysłał - powiedziała Katherine. - Jest przepełniony miłością. Przynajmniej ja tak uważam. - Spojrzała na męża z uśmiechem. - Jeżeli naprawdę ją kocha, powinien mieć nadzieję, że ta „zwykła” Julie Mathison wciąż go chce. Ona aż kipi gniewem, Ted. W głębi duszy jest wściekła nie na żarty na niesprawiedliwość, jaka ją spotkała. Obwinia się za utratę wiary w Benedetta, ale również wini jego o to wszystko, czego od niego doświadczyła, poczynając od porwania, potem kłamstwa co do okoliczności śmierci brata i wreszcie odmowę przeczytania listu czy zobaczenia się z nią, gdy zjawiała się w więzieniu.

- Ale przecież wygląda na zadowolony z życia - upierał się Ted, nie chciał do siebie dopuścić niepokojącej prawdy słów Katherine.

- Ona naprawdę jest wściekła. Marzę, by być obecna przy tym, jak porządnie zmyje mu głowę. Jeżeli to zniesie... no cóż, zorientujemy się, jakie są jego zamiary.

- A jeżeli nie będzie chciał zawracać sobie nią głowy?

- Wtedy Julie wreszcie o nim zapomni i odzyska spokój. Paul na nią czeka...

Ted podniósł się i wyłączył lampę.

- Na kogo stawiasz, Richardsona czy Benedicta? - zapytał.

- Na Julie.

## ROZDZIAŁ 72

Zack siedział w solarium. Z uwagą przeglądał dostarczone mu przez Matta wykazy akcji, by na ich podstawie zorientować się w swoim stanie posiadania. Na zewnątrz, za ścianami z matowego szkła, ktoś zawołał jego imię. Zack uniósł głowę; nie zamierzał odpowiadać, chciał zwyczajnie rozkoszować się znajomym widokiem. Nareszcie w domu!

Po drugiej stronie szkła znajdował się soczystej zieleni trawnik, po którym schodziło się do olbrzymiego, pełnego zakoli basenu, otoczonego kolumnami i marmurowymi posągami w stylu rzymskim. Na skraju posiadłości znajdowały się pawilony, wzniesione w tym samym, klasycznym stylu co główny budynek, teraz pełne gości. Podnajmujący od Zacka dom zatrudnili starego ogrodnika, a rezultaty jego starań widoczne były na każdym kroku: wręcz kłuły w oczy cudowne kolory kwiatów, kwitnących pod starannie przyszyżonymi krzewami i w cieniu drzew.

Gęsta trawa rosnąca wokół solarium jak dywan wyciszała odgłosy zabawy rozkręcającej się na całego zaledwie o kilka kroków dalej; jedni goście dokazywali w basenie, inni grali w tenisa, jeszcze inni opalali się. Dalsze trzysta osób wróci tu dzisiaj wieczora na drugą noc imprezy. Na skraju trawnika pracownicy firmy wynajętej w celu zapewnienia kulinarnych uciech rozstawiali już biały namiot.

- Gdzie się podziewa Zack Benedict? - zawołała do swych przyjaciół kobieta w skąpym, zielonym bikini. Nawet nie przypuszczała, że Zack słyszy ją i widzi. - Jestem tu już cały dzień, a jeszcze go nie widziałam. Pewnie jest tylko legendą, nie mężczyzną z krwi i kości. - Nie mogła go spotkać, wstęp do prywatnego zacisza mieli jedynie Matt i Meredith. Tylko oni gościli u Zacka w domu, tylko im wolno było wstąpić do wnętrza sanktuarium. Dlatego skrzywił się, gdy usłyszał następny damski głos, wołający tuż zza ściany solarium: „Hej, czy ktoś widział Zacka?”. Będzie musiał się pokazać, inaczej ta śpiewka, coraz częściej powtarzająca się przynajmniej od godziny, nie ustanie.

Za jego plecami zabrzmiał rozbawiony, delikatny i kulturalny głos Meredith Farrell:

- Czy ty przypadkiem nie widziałeś Zacka Benedicta?

- Niestety nie - zażartował. Na jej widok uprzejmie wstał.

- Wszyscy go szukają - ciągnęła tym samym żartobliwym tonem; ujęła jego wyciągniętą dłoń.

Zack pochylił się i pocałował podsunięty policzek. Sympatia, jaką od pierwszej chwili poczuł do żony przyjaciela, wciąż go zaskakiwała. Dopóki nie spotkał jej przed dwoma

dniami, niezbyt poważnie przyjmował zachwyty Matta nad żoną, traktując je jako efekt niezwykłego zadurzenia, ale gdy poznał Meredith, całkowicie zmienił zdanie. Urodę pani Bancroft, w połączeniu z elegancją, od dawna podkreślały kroniki towarzyskie. Zacka zaskakiwał u niej brak chłodnej arogancji, jakiej się spodziewał; przeciwnie, odznaczała się łagodnością i serdecznością, które wzruszały go i zupełnie rozbroiły.

- Słyszałem, że ten Benedict to odludek, który nie przepada za hucznymi przyjęciami, a przynajmniej nie za tym.

- Naprawdę, dlaczego? - Spoważniała i spojrzała mu w oczy.

- Chyba nie jestem w nastroju. - Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

Meredith zastanawiała się, czy nie wspomnieć o Julie Mathison - tę możliwość, przez ostatnie dwa dni, dość często rozważała - ale Matt nie tylko prosił, wręcz zabronił wymieniania imienia Julie.

- Przeszkadzam ci w pracy? - zapytała. Wskazała wzrokiem na grube teczki.

- Ależ skąd, swoją obecnością sprawiasz mi przyjemność. - Rozejrzał się za jej czarującą, dwuletnią córeczką. Miał nadzieję, że mała zaraz wpadnie do solarium i jak zwykle zażąda, by ją uściskał. - Gdzie Marissa?

- Przed drzemką je podwieczorek u Joego.

- Ta mała flirciara - popatrzył na antyczną porcelanę z Sevres, którą przed chwilą kazał gospodyni wystawić na stolik do kawy - obiecała dotrzymać mi towarzystwa przy podwieczorku.

- Lepiej schowaj przed nią te cacuszka - ostrzegła Meredith. - Ostatnio wbiła sobie do głowy, że po wypiciu kawy czy herbaty należy rozbić filiżankę o podłogę.

- Robi tak, bo powiedziałem jej, że jest księżniczką. - Wchodzący do pomieszczenia Matt usłyszał ostatnie słowa żony. - A czyż nią nie jest? Gdzie Joe? - zapytał. - Muszę go wysłać...

Wspomnienie dobrodusznego szofera wyczarowało go - Joe O'Hara stanął w drzwiach solarium. Twarz miał poważną.

- Zack, twoja gospodyni właśnie zatrzymała mnie w holu. Najwyraźniej masz gościa, który mignięciem odznaką przyprawił ją o zawrót głowy. Czeka w bibliotece. Jakiś Paul Richardson z FBI.

Zack wzdrygnął się na myśl o rozmowie z agentem FBI. Lepiej mieć to już za sobą, pomyślał, i ruszył do drzwi.

- Zack? - zawołał za nim Matt. - Wolisz rozmawiać w czyjejs obecności?

Zack zawahał się.



- Świadkowie mogą się przydać, jeżeli nie macie nic przeciwko temu.

- Jesteś gotowa na spotkanie, cokolwiek będzie dotyczyło? - zapytał Matt żony.

Skinęła potakująco głową. We trójkę ruszyli przez długi hol, do biblioteki wyłożonej mahoniową boazerią.

Zack w milczeniu patrzył na wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, który przyglądał się grzbietom książek na półkach. Począł, aż Matt i Meredith usiądą w fotelach i zajął miejsce za biurkiem.

- Proszę o legitymację - rzucił ostro. Agent FBI, którego Zack poznał już w Mexico City, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki legitymację w skórzanej oprawce i podsunął pod nos Zackowi. Ten rzucił okiem na zdjęcie, potem na twarz agenta. - Nie najlepsza fotografia, ale pewne podobieństwo istnieje.

- Dajmy sobie spokój z tymi gierkami - powiedział Paul równie nieuprzejmie, najwyraźniej uznając ten sposób traktowania przeciwnika za najlepszy. - Od pierwszej chwili wiedziałeś, kim jestem. Znasz mnie przecież z Mexico City.

Benedict wzruszył ramionkami.

- Mniejsza z tym. Bez obecności moich prawników nie zamierzam rozmawiać z tobą czy kimkolwiek z FBI.

- Moja wizyta jest nieoficjalna, przyjechałem w sprawie osobistej. Nie musisz odezwać się słowem, mówił będę ja.

Zack lekkim ruchem głowy wskazał krzesło po drugiej stronie biurka. Paul, tłumiąc irytację z powodu obrotu, jaki przyjęło spotkanie, usiadł na wskazanym miejscu, potem położył aktówkę na podłodze i otworzył zamki.

- Wolałbym porozmawiać na osobności... - Spojrzał na obserwujących go z sofy mężczyznę i kobietę, których rozpoznał od pierwszego wejrzenia... - Bez pana i pani Farrell.

- Nie interesuje mnie, co byś wolał - odezwał się gburowato Benedict. Odchylił się w swym obitym skórą fotelu, ujął złote pióro leżące na biurku obok notatnika i obracał w palcach. - No to słucham...

Paul ukrył narastający w nim gniew pod chłodną uprzejmością.

- Zacznę od przypomnienia, że twoja sytuacja, po porwaniu Julie Mathison, nie wygląda najciekawiej. Jeżeli postanowi wnieść oskarżenie, istnieje duża szansa, że za to, co jej wyrządziłeś, z powrotem powędrujesz za kratki. Z czysto osobistych powodów - dodał lekkim tonem - z wielką przyjemnością sam zająłbym się tą sprawą.

Richardson, gdy na pozbawionej wyrazu twarzy Zacka nie dostrzegł żadnej reakcji, zupełnie spuścił z tonu.

- Słuchaj, w zamian za moją osobistą gwarancję, że ona nie wniesie oskarżenia, proszę, byś mi dał pięć minut i wysłuchał tego, co mam do powiedzenia.

- Czy słowa, jakie przed chwilą usłyszałem, mogę potraktować jako tę uprzejmą prośbę?

- Tak. - Paul z trudem powstrzymał chęć uderzenia Zacka w twarz. Benedict rzucił okiem na zegarek.

- W takim razie masz jeszcze cztery minuty i pięćdziesiąt sekund.

- Słowo, że pozwolisz mi skończyć?

- Jeśli wystarczy ci cztery minuty i pięćdziesiąt sekund. - Zack z wyraźną niecierpliwością uderzał złotym piórem o notatnik, i Paul, bez chwili zwłoki, przystąpił do rzeczy:

- Abyś nie wątpił w moją prawdomówność ani wagę informacji, które usłyszysz, musisz wiedzieć, że to ja, od początku, zajmowałem się twoją sprawą. Ja przyjechałem do Keaton, gdy ona była z tobą w Kolorado, to mnie zastała po powrocie do domu. To ja zarządziłem jej stałą obserwację po naszym wyjeździe z Keaton, bo miałem przeczucie, że będzie starała się z tobą skontaktować... albo ty z nią. To do mnie zatelefonowała wieczorem w przeddzień waszego spotkania w Mexico City. A teraz - Paul, zbliżając się do sedna, mówił z naciskiem - pomimo tego, co sądzisz, i co przekazały media, wiem z całą pewnością, że Julie nie dlatego postanowiła dołączyć do ciebie w Meksyku, by wciągnąć cię w pułapkę. Aż do tamtego wieczora my nic nie wiedzieliśmy o waszym spotkaniu. Ale w końcu nie wytrzymała i zadzwoniła do mnie, a to z dwóch powodów: trzy dni przed planowaną ucieczką odwiedziła twoją babkę, Margaret Stanhope, z romantycznej potrzeby załagodzenia rodzinnej waśni. Celu nie osiągnęła, a jeszcze otrzymała dowód, że przyznałeś się do zastrzelenia, przypadkiem, swojego brata. Następnie twoja babka poinformowała ją o swym przekonaniu, że brata, jak i później żonę, zamordowałeś z premedytacją.

Paul spodziewał się, że ta bomba wywoła jakąś reakcję, ale twarz Benedicta drgnęła tylko przy wzmiance o krewnej. Agent mówił więc dalej z zawziętością w głosie:

- Julie wróciła z Ridgemont i tego samego wieczora dowiedziała się, że ekipa pracująca przy „Przeznaczeniu” otrzymuje telefony z pogrózkami, rzekomo od ciebie, ale jeszcze nie zamierzała cię wydać. Dopiero w przeddzień planowanej ucieczki, gdy znaleziono ciało Tony'ego Austina, poinformowała nas w końcu o waszych planach. - Znów przerwał, a gdy siedzący bez ruchu Benedict spojrzął na niego z pogardą, stracił cierpliwość. - Słyszałeś, do cholery, co powiedziałem? Ta pułapka nie była przygotowywana od samego początku! Czy to jasne?

Twarz Benedicta wykrzywił grymas gniewu, ale głos porażał spokojem.

- Jeszcze raz odezwiesz się podobnym tonem, a wyrzucę cię na zbity pysk. Czy to jasne? - rzucił ironicznie.

Paul przypomniał sobie, po co tu przyjechał i ostatkiem woli opanował się.

- Przestańmy zachowywać się jak dwóch rozsierdzonych nastolatków. Nie lubimy się, ale w tej chwili to bez znaczenia. Przybyłem tutaj nie po to, by dowodzić swoich racji, ale z zamiarem dostarczenia dowodu, że Julie nie zamierzała, od samego początku, brać udziału w zastawianiu na ciebie pułapki. To, co tam zobaczyła, w połączeniu z nieodpowiadaniem przez ciebie na listy, zabolalo ją mocniej, niż możesz sobie wyobrazić. Jej rodzina martwi się o nią... ja też.

- Ty? - Zack roześmiał się arogancko. - A to dlaczego?

- Bo w przeciwieństwie do ciebie czuję się odpowiedzialny za rolę, jaką odegrałem w Meksyku, i za wstrząs, jaki przeżyła. - Paul sięgnął po aktówkę i wyciągnął z niej sporych rozmiarów kopertę. Zatrzasnął zamek i wstał. Z wyrazem niesmaku na twarzy rzucił kopertę na biurko Zacka. - I dlatego, że kocham Julie.

Benedict nawet nie spojrział na biurko.

- Jakoś mnie nie zaskoczyłeś - powiedział drwiąco.

- Może jesteś jasnowidzem - warknął Paul. - W każdym razie w tej kopercie znajdziesz dowody: dwie kasety wideo i list. Nie musisz wierzyć mi na słowo, Benedict, zobacz sam. A potem, jeżeli masz w sobie choć trochę przyzwoitości, postaraj się ulżyć jej cierpieniom.

- Jak myślisz, ile mnie będzie kosztować to łagodzenie cierpień? - zapytał Zack z druzgocącą ironią. - Milion wystarczy? Dwa? A może więcej, bo przecież zamierzacie podzielić się łupem.

Paul oparł dłonie o blat biurka, pochylił się i gwałtownie powiedział:

- Powinienem był pozwolić, by Federales, w drodze do granicy Teksasu, skatowali cię do nieprzytomności.

- Naprawdę? A czemu tego nie zrobiłeś?

Richardson wyprostował się i obrzucił Benedicta pogardliwym spojrzeniem.

- Bo Julie, zanim cię wydała, kazała mi przyrzec, że nie pozwolę, by cię skrzywdzono. Okłamała cię tylko w sprawie ciąży. Powiedziała tak, bo chciała, byś pozwolił jej przyjechać do siebie. Musiała być niespełna rozumu, gdy wydawało się jej, że jest w tobie zakochana, ty zimny, arogancki draniu.

Na te słowa Benedict podniósł się i wyszedł zza biurka.

- Spróbuj tylko! - Paul w prowokacyjnym geście zacisnął dłonie w pięści i wyciągnął przed siebie ramiona. - Spróbuj no, ty gwiazdorze filmowy. Tylko zacznij, skończę ja.

- Wystarczy! - zagrmiał Matt Farrell i pochwycił Zacka za ramię. - Richardson, twoje pięć minut się skończyło. O'Hara! - zawołał - odprowadź pana Richardsona.

Joe O'Hara natychmiast stanął w drzwiach, za którymi najwyraźniej podsłuchiwał.

- Cholera, właśnie zaczynało się rozkręcać - powiedział z żalem. Patrzył na Richardsona z niejakim podziwem. Przesadnie unizonym gestem wskazał drogę. - Nigdy nie spotkałem człowieka prawa, z tych w garniturkach, który by miał ochotę wychylić się z za swej odznaki i wyciągnąć pięści. Proszę pozwolić, że odprowadzę do samochodu.

Jego humor nie zdołał rozładować napięcia. Po ich wyjściu w pokoju na chwilę zapanowało głucho milczenie.

- Myślę, że powinniśmy sobie pójść - odezwał się Matt.

- A ja uważam - sprzeciwiła się Meredith, zaskakując obydwu mężczyzn - że powinniśmy poczekać, aż Zack zapozna się z zawartością koperty. - Zwróciła się w stronę Benedicta. - Myślę także, że nadszedł czas, bym ci powiedziała, co o tym wszystkim myślę: Julie kochała cię naprawdę. I wierzę w każde słowo Richardsona.

- Jeżeli tak uważasz - odpowiedział Zack z kąśliwym sarkazmem - to sugeruję, byś zabrała te dowody i sama je obejrzała. Potem możesz je spalić.

Twarz Matta zbieleła z gniewu.

- Daję ci pięć sekund na przeproszenie mojej żony.

- Wystarczą mi dwie - powiedział Zack chłodno, a Meredith uśmiechnęła się, jeszcze zanim Matt zdążył się rozpogodzić, bo słuchała słów, a nie tonu przyjaciela. Zack wyciągnął ku niej dłoń i uśmiechnął się niepewnie. - Przepraszam, zachowałem się niewybaczalnie niegrzecznie.

- Nie było tak źle. - Patrzyła w jego oczy, jakby czegoś w nich szukała. - Ale przyjmę twoją propozycję i zabiorę kopertę, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Skoro twój mąż wciąż rozważa, czy ma mnie uderzyć, na co zasłużyłem - powiedział Zack chłodno - nie sądzę, bym powinien ryzykować odmową.

- Tak będzie najrozsądniej - zgodziła się. Przeniosła wesołe spojrzenie na męża. Wzięła kopertę z biurka i wsunęła dłoń pod ramię Matta. - Kiedyś wspomnienie mojego imienia przyprawiało cię o podobną furię - przypomniała łagodnie. Starła się załagodzić napięcie między mężczyznami.

Grymas gniewu na twarzy Matta przeszedł w zakłopotany uśmiech.

- Naprawdę byłem takim bałwanem jak Zack? Roześmiała się.

- Odpowiedź na to pytanie mogłaby mnie skłócić z którymś z was. Matt z czułością rozburzył włosy żony i przyciągnął ją do siebie.

- Przebierzemy się i spotkamy na przyjęciu - rzuciła przez ramię, gdy wychodzili z pokoju.

- Świetnie.

Zack patrzył za nimi, zamyślony nad bliskością, jaka połączyła tych dwoje, i zmianą, jaka zaszła w przyjacielu. Kiedyś, nie tak dawno temu, wyobrażał sobie, że razem z Julie... Podszedł do okna i rozsunał zasłony. Ogarniała go wściekłość na siebie za myśl o Julie. Nie był pewien, czym bardziej pogardzał - jej perfidią czy własną naiwnością.

Miał trzydzieści pięć lat, a ona sprawiła, że pisał pełne naiwności listy miłosne i godzinami wpatrywał się w jej zdjęcie, nie wspominając o ryzykowaniu głową, by kupić odpowiedni pierścionek ślubny u jednego z najbardziej znanych jubilerów Ameryki Południowej. Wstyd i pogarda dla siebie dorównywały upokorzeniu wywołanemu świadomością pobicia, dzięki telewizji, na oczach połowy świata. Za to też była odpowiedzialna. I każdy posiadacz telewizora dowiedział się o jego ślepym, szaleńczym zadurzeniu w nauczycielce z małego miasteczka, o tym, że ryzykował życiem, by się z nią połączyć.

Wreszcie zdołał wyrzucić ją z myśli. Wyjrzał przez okno na rosnący tłum gości, przybywających na popołudniową zabawę. Glenn Close rozmawiała z Julie Roberts, a gdy uniosła głowę, ujrzała go w oknie i pomachała do niego ręką.

Zack odwzajemnił pozdrowienie. Na trawniku jego posiadłości, gotowe zareagować na skinienie palca, znalazły się najpiękniejsze kobiety świata. Zack oparł się o framugę okienną i szukał wzrokiem takiej, która by się czymś wyróżniała, podzielała na niego: wyjątkowymi oczami, romantycznym wykrojem ust, gęstwą lśniących, zdrowych włosów... kogoś pełnego ciepła, inteligentnego, mającego cele i ideały... kogoś, kto stopiłby w nim lód. Odsunął się od okna i ruszył w głąb mieszkania, aby zmienić ubranie.

Na całym świecie nie było takiej, która jak pochodnia zdołałaby ogrzać go i sprawić, by poczuł się jak w Kolorado. A nawet gdyby... nigdy już nie pozwoli pokierować się szczeniackim uczuciom. Zachowanie zakochanego uczniaka to nie dla niego, w Kolorado musiał chyba zwariować. Bez wątplenia zadziałała kombinacja czasu i miejsca. W normalnych warunkach nigdy nie zapalałby taką namiętnością do żadnej kobiety.

Musi więcej uwagi poświęcić swoim gościom. Nie wiedział dlaczego, ale po sześciu zaledwie tygodniach wolności jego radość z powrotu do filmowego światka zaczynała słabnąć. Wyczerpanie nadmiarem wrażeń, pomyślał, rozpinając guziki koszuli. W ciągu

sześciu krótkich tygodni poza spotkaniami z sześcioma producentami, pięcioma dyrektorami studiów i niezliczonymi biznesmenami przeczytał także z tuzin scenariuszy, z ludźmi wynajmującymi jego oba domy omówił warunki ich opuszczenia, zatrudnił nowych pracowników i przywrócił do pracy połowę dawnych, kupił dwa samochody i złożył zamówienie na samolot. Teraz potrzebował odpoczynku, czasu na smakowanie sukcesu, który znowu należał do niego. Rzucił koszulę na łóżko. Za nim otworzyły się drzwi. Z dłońmi na pasie spodni, odwrócił się.

- Wszędzie cię szukałam, Zack! - Rudowłosa piękność obdarzyła go zachęcającym uśmiechem i podeszła bliżej; piersi prowokująco wychyliły się z wycięcia bluzki. Kołysała biodrami opiętymi długimi, jedwabnymi spodniami; na palcach i przegubach rąk błyszcząły klejnoty. - I znalazłam cię akurat w momencie, gdy się rozbierasz. Czyż to nie zdumiewający zbieg okoliczności?

- Zdumiewający - skłamał. Próbował sobie przypomnieć, z kim, u diabła, ma do czynienia. - No, ale w końcu sypialnie po to są, prawda?

- Nie tylko - szepnęła i dłońmi przeciągnęła po jego piersi.

Łagodnie powstrzymał jej ręce.

- Później - powiedział. Odwrócił ją i lekko pchnął w kierunku drzwi. - Muszę wziąć prysznic. No i wyjść do gości.

## ROZDZIAŁ 73

- Ale przyjęcie, Zack! - szepnął mu do ucha głos, który rozpoznałby zawsze i wszędzie. - Skąd wytrzasnąłeś tyle małą chętnych do roli przebierańców?

Z uśmiechem odwrócił się od grupy gości, z którymi rozmawiał, objął kobietę ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Liczyłem na twoją obecność.

- Miałaś nadzieję, że pomogę ci pokonać nudę? - Obserwowała gości. Zabawa, choć dochodziła dopiero pierwsza po południu, już sięgała apogeum.

Zrobiła ruch, jakby chciała się oddalić, wtedy objął ją ciasniej.

- Nie porzucaj mnie - poprosił. - Irwin Levine właśnie zbliża się do nas, zaraz zaatakuję o film dla Empire. Proszę, zostań przy mnie przez resztę dnia.

- Niezdara z ciebie, zaraz pokażę ci, jak załatwia się takie sprawy. - Nie zwracając uwagi na ostrzegawczy uścisk Zacka, wyciągnęła przed siebie dłoń o długich, pomalowanych paznokciach. - Irwin, kochanie - zamruczała, całując nowo przybyłego w policzek - Zack chce, byś sobie poszedł i pozwolił mu w spokoju cieszyć się przyjęciem.

- Jak zawsze cięta, Barbra - usłyszeli rzuconą zirytowanym głosem odpowiedź.

- Nieźle - zauważył z uznaniem Zack, gdy Irwin, najwyraźniej urażony, oddalił się. - Podobnie reagują na mojego agenta, gdy tylko zaczniesz mówić o pieniądzach.

- Mniejsza o niego! Lepiej powiedz, dlaczego nie odpowiadałeś na moje listy, chyba nie sądzisz, że każdemu wysyłałabym paczki do więzienia!

- Było mi głupio i nie chciałem, by się nade mną litowano. A zresztą daj spokój, lepiej zanuć mi do ucha jakąś miłą melodię.

Roześmiała się, objęła go ramieniem w pasie i cicho zamruczała: „Szczęśliwi są ci, którzy potrzebują innych...”

## ROZDZIAŁ 74

- Wystarczy! - Meredith zerwała się z sofy w salonie, gdzie razem z Mattem i Joem oglądali filmy wideo przywiezione przez agenta FBI. Otarła łzy z kącików oczu i zapakowała kasety z powrotem do koperty. - Zmuszę Zachary'ego Benedicta do popatrzenia na to, choćbym przedtem miała go związać!

- Meredith. - Matt ujął żonę za rękę. - Nie myliłaś się co do Julie, teraz wiem. Ale znam Zacka. Nie zmusisz go do obejrzenia tych filmów, dopóki sam nie zechce.

Zawahała się, ale zaraz uśmiech rozświetlił jej pełną zdecydowania twarz.

- Właśnie że tego dokonam, nawet wiem jak! Podniósł się z miejsca.

- Jeżeli tak, pójdę z tobą i przytrzymam go, byś mogła go związać.

- Lepiej nie - orzekła Meredith. - Tylko się zdenerwujesz. Najbardziej mi pomożesz, jeżeli cię tam nie będzie.

- Nie wydaje mi się.

- Pozwól mi spróbować. - Pochyliła się i pocałowała go w czoło. -W razie potrzeby zawołam cię.

Zanim zdążył zaprotestować, co najwyraźniej zamierzał, Meredith rozsunęła drzwi patio i wyszła na trawnik. Zack stał nad basenem, otoczony przez aktorów i bossów wytwórni. Zdecydowanym gestem uniosła brodę i ruszyła w jego stronę. Gdy przeciskała się między kelnerami w białych kurtkach i grupami rozplotkowanych gości, jej włoskie sandaalki delikatnie uderzały o gołe pięty.

Zack śmiał się właśnie z jakiegoś dowcipu. Na widok Meredith, nadchodzącej przez trawnik, z dużą kopertą w ręce, gwałtownie spowaźniał.

- Przepraszam na chwilę - zwrócił się do Barbry. Zmrużonymi oczami obserwował Meredith.

- Zastanawiałem się, gdzie się podziewacie, ty i Matt - powiedział z wyszukanie czarującym uśmiechem. - Widzę, że się jeszcze nie przebrałaś.

- Oglądaliśmy film na wideo. - Zauważył, że Meredith wygląda, jakby przed chwilą płakała. - Mogę z tobą porozmawiać na osobności? - zapytała.

- Jest przyjęcie. - Wskazał głową w stronę gości, wyraźnie wykręcał się od odpowiedzi. - Chodź, przedstawię cię Kevinowi Costnerowi, prosił o to jeszcze wczoraj wieczorem.

- Później - uparła się. - To naprawdę coś ważnego.



Zack nie miał wyboru, skinął głową i poszedł za nią do domu, a następnie korytarzem do biblioteki. Wsparł się o krawędź biurka.

- O co chodzi? - zapytał szorstko. Włączył światło, bo Meredith zasunęła zasłony i w pokoju zrobiło się całkiem ciemno.

Odeszła od okna i stanęła przed nim.

- O zawartość koperty.

- Prosiłem, byś ją zniszczyła.

- Zgadza się. A teraz ja cię o coś poproszę.

- O co?

- Czy poczuwasz się do rewanzu za to, co dla ciebie zrobił mój mąż, gdy siedziałeś w więzieniu?

Zrezygnowany skinął głową.

- Doskonale. Matt nie zamierza tego wykorzystywać.

- Ale ty tak.

- Trafiłeś w sedno. W zamian za lata lojalności i pomoc proszę, w jego imieniu, o przysługę. Chcemy, byś spokojnie usiadł i obejrzał te kasety, a potem przeczytał list, który znajduje się w tej kopercie.

Zack gniewnie zacisnął usta, ale skinął głową.

- Zrobię to później. - Wyprostował się.

- Nie, teraz. Posłał jej wściekłe spojrzenie, ale nic nie wskórał.

- To niewielka przysługa - nalegała. - Pół godziny twojego czasu, nie więcej.

- Dobrze - warknął. - Mogę zostać sam, czy wolisz sprawdzić, że dotrzymałem słowa?

Już dopięła swego, więc z rozbijającą słodyczą powiedziała:

- Wierzę ci. Dziękuję. - Podeszła do magnetowidu, włożyła kasetę i podała Zackowi pilota. - Na pierwszym filmie zobaczysz konferencję prasową Julie, jaka odbyła się dzień czy dwa po jej powrocie z Kolorado. Widziałeś już?

- Nie - uciął krótko.

- Świetnie, przeżyjesz szok. Drugi film, z aresztowania cię w Mexico City, najwyraźniej został nakręcony przez przypadkowego widza. Podczas oglądania nie spuszczaaj wzroku z Julie.

Po wyjściu Meredith Zack nacisnął klawisz start, ale zaraz podszedł do barku. Już samo wspomnienie Julie Mathison i jego idiotycznej naiwności sprawiło, że zapragnął znaleźć zapomnienie w alkoholu. Na myśl, że będzie musiał oglądać ją znowu, do tego w swoim domu, kłął długo i dosadnie. Wrzucił kostki lodu do szklanki i napełnił ją wódką z

najbliżej stojącej karafki. Za jego plecami, na monitorze, burmistrz tej zapadłej dziury, w której mieszkała Julie Mathison, zapowiadał konferencję prasową i prosił, by traktowano dziewczynę z szacunkiem.

Zack z pogardliwą miną wrócił do biurka, oparł biodro o blat i skrzyżował ramiona na piersi. Mimo iż wiedział, co nastąpi, drgnął na widok tej niemożliwej do zapomnienia twarzy, ciemnych włosów związanych na karku w węzeł. Teraz zaskoczyła go opanowanym głosem w obecności przynajmniej dwustu dziennikarzy.

Po kilku minutach odstawił szklankę i słuchał z niedowierzaniem. Pomimo że przed odesłaniem jej do domu zrobił wszystko, by zniszczyć uczucia, jakie mogła do niego żywić, starała się przedstawić swe uwięzienie jako dobrą przygodę, a Zacka jako pełnego dowcipu bohatera, który sprytnie pokrzyżował jej ucieczkę na postoju ciężarówek, a potem, przy drugiej próbie, ryzykował życiem, usiłując wyratować ją z topieli.

Przy końcu relacji, gdy ze wszystkich stron zasypano Julie pytaniami, z jej twarzy nadal nie zniknął uśmiech, i wciąż unikała oskarżenia Zacka, składając oświadczenia, jak wiedział prawdziwe, ale co najmniej niekompletne. Od odpowiedzi na pytanie, czy Zack groził jej bronią, wykręciła się żartem: „Wiedziałam, że jest uzbrojony, i to wystarczyło, by odwieść mnie, przynajmniej z początku, od jakichkolwiek prób kłótni czy krytykowania jego filmów”.

Z trudem udało mu się nie roześmiać z jej dowcipu i powtarzał sobie, że te słowa miały tylko posłużyć łatwiejszemu wciągnięciu go w pułapkę, gdyby ją usłyszał, a na to pewnie liczyła. Po chwili, gdy zapytano ją, czy zamierza wysunąć przeciwko Zackowi Benedictowi zarzut o porwanie, widział, jak z rozbajającym uśmiechem wykręca się od odpowiedzi na pytanie dotyczące przecież przestępstwa federalnego: „Nie sądzę, by zapadł wyrok skazujący. Gdyby wśród sędziów przysięgłych znalazły się kobiety, uniewinniłyby go natychmiast po usłyszeniu, jak na równi ze mną zajmował się gotowaniem i zmywaniem”.

Sięgnął po drinka, ale jej odpowiedź na następne pytanie sprawiła, że odstawił szklankę, a jego brwi ściągnęły się w wyrazie niedowierzania.

„Panno Mathison, czy chce pani, by Zachary Benedict został ujęty?”

„Jak ktoś przy zdrowych zmysłach mógłby pragnąć, by złapano i ponownie uwięziono niesprawiedliwie skazanego człowieka? Nie rozumiem, jak ława przysięgłych mogła uznać go za winnego morderstwa, ale wiem dobrze, że do dokonania takiego czynu nie jest zdolny bardziej ode mnie. Gdyby było inaczej, nie stałabym tu dzisiaj. Przecież przed chwilą opowiedziałam wam, jak kilkakrotnie próbowałam storpedować jego plany. Chciałabym też, byście pamiętali, że gdy sądził, iż zostaliśmy odkryci przez helikopter, jego największą troską

było moje bezpieczeństwo, nie własne. Oczekuję przerwania tego polowania i wznowienia sprawy”.

Chwycił pilota z zamiarem cofnięcia taśmy i wysłuchania jeszcze raz ostatniej odpowiedzi. Musi doszukać się w jej twarzy rysu chytryści czy fałszu! Ale następne pytanie sprawiło, że palce zamarły bez ruchu, jeszcze zanim nacisnął guzik. „Panno Mathison, czy jest pani zakochana w Zacharym Benedikcie?”

Widział, jak Julie waha się, a potem unosi oczy do kamery i odpowiada z łagodnym uśmiechem: „Większość kobiecej populacji naszego kraju na jakimś etapie życia prawdopodobnie wyobrażała sobie, że jest zakochana w Zacharym Benedikcie. Teraz, po bliższym poznaniu go, uważam, że wykazały wspaniałą znajomość rzeczy. On... jest mężczyzną, którego każda kobieta może bez trudu pokochać”.

Energicznie wcisnął klawisz przewijania i wysłuchał jej dwóch ostatnich wypowiedzi. Patrzył na ekran, badał twarz i intonację głosu, szukał śladu nieszczerości, na jaki, był pewien, natrafi. Nie znalazł niczego. Widział i słyszał tylko pełne odwagi opanowanie i to wszystko, czym wywarła na nim takie wrażenie w Kolorado.

Powtarzał sobie, że coś przeoczył, jakiś ukryty powód takiego zachowania w obecności milionów widzów. Wyjął z pudełka następną kasetę. Tym razem usiadł za biurkiem, przygotowując się do obejrzenia sceny, której nie zdoła nigdy zapomnieć: rzucony na kolana, zostaje poniżony przed całym światem. I wszystko dlatego, że stracił głowę dla tej fałszywej dziewczuchy...

...która przed całym światem przyznała, że go kocha...

...mimo że ją porwał...

...i przed odesłaniem z Kolorado powiedział jej, że nie potrafi odróżnić dobrego seksu od miłości.

Był tak pogrążony w myślach, że dopiero po chwili spostrzegł, co rozgrywa się na ekranie telewizora. Mięśnie jego twarzy napięły się na widok rzucających go na ścianę i zakuwających w kajdanki Federales. Tłum wrzeszczał, a człowiek filmujący wydarzenie podążał kamerą do miejsca, z którego dochodził głos kobiety krzyczącej, że komuś dzieje się krzywda.

Zack pochylił się do przodu i z niedowierzaniem patrzył, jak Julie usiłuje przedrzeć się przez szpaler policjantów.

- Nie róbcie mu krzywdy! - krzyczała. Widział, jak Richardson chwyta ją za ramiona i odciąga do tyłu, widział płacz Julie.

Kamera wróciła do Zacka i Hadleya. Po kilku chwilach uświadomił sobie, że akurat w tym momencie naczelnik dostał do ręki obrączkę znaną w kieszeni więźnia. Teraz kamera prowadziła Hadleya, idącego w stronę Julie. Posłuszna jego żądaniu wyciągnęła dłoń, popatrzyła na przedmiot, który znalazł się w jej ręce i przyciskając pierścionek do piersi, zaniosła się histerycznym płaczem.

Na widok jej udreżonej twarzy Zack poderwał się z krzesła, potem zmusił się, by z powrotem usiąść i patrzeć dalej. Było dokładnie tak, jak zapamiętał... Ciągący go Federates, potem Hadley zatrzymuje go, gdy znaleźli się tuż obok Julie. Filmujący nabral śmiałości i zbliżył się jeszcze bardziej, teraz nawet dźwięk stał się wyraźniejszy. Zresztą Zack nie musiał słuchać słów, to, co powiedział Hadley, na zawsze pozostanie mu w pamięci. „Panno Mathison, zachowałem się bardzo niegrzecznie. Nie podziękowałem za współpracę. Gdyby nie pani pomoc, pewnie nieprędko złapalibyśmy Benedicta”.

Zapamiętał szok, który nim wstrząsnął; teraz na filmie widział swą twarz, pełną rozpacz i wściekłości, i jak szarpnięciem próbuje zmusić swych oprawców, by go stąd zabrali...

A potem na filmie rozpętało się piekło - dokładne odbicie wydarzeń na lotnisku. Bity pałkami, znalazł się na kolanach... Tyle że działo się coś jeszcze, co dostrzegł na skraju kadru. Podniósł się i podszedł do telewizora, by widzieć dokładniej: Julie, jak oszalała, zaatakowała Hadleya, próbując paznokciami sięgnąć jego twarzy; biła pięściami w pierś, a gdy Richardson odciągał ją, dwa razy, z całej siły, kopnęła Hadleya w krocze. Zemdlała; Richardson wołał o lekarza. W tym czasie więźnia wyprowadzono z lotniska.

Serce Zacka waliło jak młotem, mocnymi, bolesnymi uderzeniami, przewinał film i obejrzał na nowo, ale tym razem ani na chwilę nie odrywał oczu od jej twarzy. To, co widział, sprawiało, że w żołądku poczuł chłodny ucisk. Trzęsącymi się rękami wyjął z koperty list i rozprostował go.

*Kochana Mamusiu i Tatusiu, Kochani Carlu i Tedzie.*

*Gdy czytacie ten list, już wiecie: odjechałam połączyć się z Zackiem. Nie spodziewam się waszych pochwał ani wybaczenia, chcę jedynie wyjaśnić, co kieruje moim postępowaniem, byście, pewnego dnia, spróbowali zrozumieć.*

*Kocham go.*

*Tak bardzo chciałabym podać Wam więcej i lepszych powodów. Szukam i nie znajduję, pewnie w ogóle nie istnieją. Może dlatego, że nic więcej tak naprawdę się nie liczy...*

*Po moim wyjeździe usłyszycie o Zacku mnóstwo okropnych plotek i mściwych wymysłów. Dziennikarze, ludzie, którzy nigdy go nie znali, a nawet policja, będą prześcigać*

*się w rozgłaszaniu 6 nas najrozmaitszych głupstw. Tak bardzo żałuję, że nie poznaliście go. Ponieważ to niemożliwe, zostawiam list, który choć trochę pozwoli Wam zrozumieć, jakim jest człowiekiem, kopię bardzo intymnego listu do mnie. Niewielki fragment za-mażę, nie zawiera nic, co mogłoby zmienić Wasze nastawienie, a tylko wzmiankę o osobie, która zrobiła dla nas obojga wiele dobrego. Po przeczytaniu słów Zacka zrozumiecie, że mężczyzna, który je napisał, będzie mnie kochał, opiekował się mną. Pobierzemy się, gdy tylko się spotkamy.*

Zack opadł na oparcie krzesła i zamknął oczy. Cierpiał i równocześnie spływała nań ogromna czułość. W wyobraźni przesuwały się sceny meksykańskiego koszmaru, widział jej zrozpaczoną twarz, gdy nakładano mu kajdanki. Słyszał jej łagodny głos z ich jedynej telefonicznej rozmowy.

„Nie mogę... nie potrafię przestać cię kochać... Oszczędź modlitwy na później. Kolana będą ci potrzebne, gdy się tam pojawię... Będiesz się modlił, bym dała ci choć trochę w nocy się przespać, bym przestała rodzić dzieci...” Już wiele tygodni temu domyślił się, że okłamała go, mówiąc, iż jest w ciąży, ale wtedy uważał, że to kłamstwo miało posłużyć zwabieniu go w pułapkę.

A teraz wszystko poza tym jednym okazało się prawdą...

Julie w Kolorado, przewracająca go w śnieg... w jego ramionach nocą, oddająca mu się tak zupełnie; on ze wszystkich sił pragnący dać jej rozkosz. Julie, jej oczy błyszczą, dźwięczy śmiech. Julie, wstydliwie dobierane słowa i zaraz pogodny uśmiech.

I jeszcze wspomnienie dotyku jej ciała, gdy ostatniej nocy odpoczywała w jego ramionach; jej dłoń rozpostarta na jego sercu; wyznanie miłości... I jej oczy rozszerzone współzuciem, po wysłuchaniu idiotycznej historyjki o nauczycielce, która odmówiła mu tańca.

Pamiętał, jak cała jej twarz rozświetlała się, gdy opowiadała o kobietach, które uczyła czytać... „Móc je nauczyć... to jakby pochwycić cud!”

Teraz zrozumiał, że gdyby nie szalony pomysł odwiedzenia jego mściwej babki, nie ugięłaby się pod ciężarem śmierci Tony'ego Austina. Richardson powiedział, że pierwszy cios zniosła dzielnie, nie zrezygnowała ze swych planów. Załamała się po drugim.

Była autentyczna... i... jego. Kochała go, choć nie miał nic do zaoferowania poza życiem z człowiekiem wyjętym spod prawa.

Przyciskała obrączkę do piersi i rozpaczliwie płakała, jakby rozdzierało się w niej serce.

Wszystko to prawda! Ale zaraz uderzyło go, że Richardson nie wspomniał ani słowem o uczuciu Julie do niego, Zacka. Mówił tylko o jej poczuciu winy za wydarzenia w Mexico

City. Powoli zaczynało docierać do niego więcej: Richardson w ciągu ostatnich trzech miesięcy najwyraźniej spędził z nią dość czasu, by się zakochać. Zacka znała tylko tydzień i zdążył zamienić jej życie w piekło. Ogarnięty potrzebą natychmiastowego działania, przerażony, podniósł się z miejsca.

## ROZDZIAŁ 75

Na widok Zacka wchodzącego do salonu z walizką w ręce Matt i Meredith z zadowoleniem uśmiechnęli się do siebie. Matt rozparł się wygodnie na sofie, wyciągnął przed siebie nogi i z domyślną miną popatrzył na granatowy garnitur Zacka.

- W Kalifornii, na przyjęcie, nikt nie wkłada garnituru, Zack, tego się po prostu nie robi.

- Zupełnie zapomniałem o tej przeklętej imprezie - odpowiedział Zack i z niechęcią popatrzył przez okno na tłum gości. - Możesz mnie zastąpić? Powiesz, że wypadło mi coś pilnego. Mogę wypożyczyć twojego pilota? - dodał. Odstawił walizkę i wiązał krawat.

- Tylko pilota? - zapytał Matt, spoglądając na Meredith, która wyciągnęła rękę na oparciu kanapy i wsparła dłoń na ramieniu męża. - A samolotu nie potrzebujesz?

Zack usunął się z przejścia - do salonu pośpiesznie wkroczyła gospodyni z dwiema torbami, o których przygotowanie poprosił.

- Twój samolot i twojego pilota - poprawił niecierpliwie.

- Zależy, dokąd się wybierasz.

Zack, po upewnieniu się, że spakowano wszystko, czego będzie potrzebował przez następne kilka dni, zwrócił się do przyjaciela.

- A jak, u diabła, sądzisz?

- Skąd mam wiedzieć? Bo jeżeli do Keaton, w Teksasie, to może powinieneś uprzedzić Julie telefonicznie.

- Nie wiem, jak zareaguje. Nie chcę, by gdzieś wyjechała, ukryła się przede mną. A lot zwykłymi liniami potrwałby znacznie dłużej.

- Skąd taki pośpiech? Pozwoliłeś jej czekać całe sześć tygodni, z Richardsonem u boku, który pewnie trzymał ją za rękę i służył swym krzepkim ramieniem, by mogła się na nim wypłakać. A prywatne samoloty to dość kosztowne zabawki...

- Nie mam czasu na te pie... - Zack, ze względu na Meredith, zmełł w ustach przekleństwo. Podeszedł, by pocałować ją na pożegnanie. W miejscu osadził go głos Joego O'Hary:

- Przed domem stoi gotowy do drogi samochód, Matt. I rozmawiałem już ze Stevem przez telefon. Mówił, że samolot jest zatankowany może lecieć w każdej chwili. Za ile będziesz gotowy, Zack?

- Myślę, że już jest - powiedział Matt ironicznie.

Zack rzucił przyjacielowi zniecierpliwione spojrzenie i przytulił Meredith.

- Dziękuję ci - rzekł z pogodną szczerością.

- Proszę bardzo - odparła naprawdę uradowana. - Pozdrów ją ode mnie.

- A ode mnie przekaz gorące przeprosiny - dodał Matt. Wstał i wyciągnął do Zacka dłoń, teraz już z poważną miną. - Życzę szczęścia.

Gdy tylko za Zackiem zamknęły się drzwi, Meredith popatrzyła na Matta wymownie.

- Ten człowiek kocha ją tak bardzo, że nie obchodzi go, iż wielu będzie uważało go za idiotę, bo chce ją nadal po tym, co wydarzyło się w Mexico City. Dla niego ważne jest tylko, czy jeszcze go kocha.

- Wiem - powiedział Matt. Z powagą patrzył w jej zamglone oczy. - Pamiętam to uczucie.



## ROZDZIAŁ 76

- Hej, Herman, możesz skoczyć po gościa, który za dwadzieścia minut ląduje na lotnisku? - Skrzeczący głos, dochodzący z krótkofalówki, utonął w hałasie panującym w sali gimnastycznej szkoły średniej, gdzie stu siedemdziesięciu pięciu obywateli Keaton odbywało próbę kostiumową przedstawienia z okazji dwusetlecia miasta, mającego się odbyć jutro, zaraz po paradzie. Herman odsunął zwisającą mu u pasa szablę, sięgnął po krótkofalówkę i przysunął do ust.

- Oczywiście, Billy, Julie Mathison właśnie pochwaliła mnie za świetne opanowanie roli.

Herman, dumnie wyprostowany w swym kostiumie, rozejrzał się za Julie, która zajęta reżyserowaniem widowiska, przenosiła się z miejsca na miejsce. Zauważył ją obok brata i bratowej, z uwagą patrzących na scenę.

- Cześć Ted, cześć Katherine - rzucił przeciskając się przez tłum. -Przepraszam, Julie. Billy Bradson daje mi ostatnio, w weekendy, pojeździć swoją taksówką. Muszę zabrać kogoś z lotniska, facet ląduje za kilka minut.

- Oczywiście, jedź - zgodziła się Julie. Nie zwróciła uwagi na pośpieszne, pytające spojrzenie, jakie Katherine rzuciła Tedowi. - Prawie skończyliśmy, a poza tym, ty już opanowałeś rolę.

- Wiem powiedział z dumą. - Zapamiętałem świetnie: „Atakować, wróg nadciąga!”

- Wspaniale! - Roześmiała się.

Zawahał się, popatrzył na drugi koniec sali, na stojącą tam Flossie Eldridge, potem pochylił się do Julie.

- Jeżeli Flossie o mnie zapyta, mogłabyś jej powiedzieć, że miałem coś bardzo ważnego do załatwienia.

Julie rozmyślnie dała mu w przedstawieniu rolę wymagającą stałego kręcenia się w pobliżu leciwej bliźniaczki, a ta przy każdym jego słowie rumieniła się jak uczennica.

- Sam jej to powiedz - szepnęła - właśnie na ciebie patrzy.

Herman zebrał się na odwagę i po drodze do wyjścia zatrzymał się przed Flossie i Adą, ubranymi w podobne balowe suknie, z identycznymi fryzurami typu „burza loczków”.

- Muszę jechać na lotnisko za Billy'ego Bradsona - zwrócił się do Flossie.- Ostatnio pomagam mu w czasie weekendów, oczywiście poza robotą elektryka.

- Uważaj na siebie, Herman - powiedziała nieśmiało.

- Tylko nie wysadź mu samochodu w powietrze - dodała Ada złośliwie.

Herman poczuł, jak parzy go kołnierzyk. Już odchodził, ale ogarnięty furją, wrócił.

- Ada - odezwał się do niej po raz pierwszy od dziesiątek lat - jesteś pozbawioną serca, złośliwą, złą kobietą. Zawsze taka byłaś! Powiedziałem ci to przed laty - nic się nie zmieniło.

- A ty - odpaliła, gwałtownie czerwieniejąc - jesteś nic niewartym nieudacznikiem!

Włożył na głowę swój generalski kapelusz i ze złowieszczą miną wsparł na biodrach dłoń.

- Inaczej myślałaś, gdy jako dziewczyna uganiałaś się za mną i starałaś się poróżnić mnie z Flossie! - Odszedł. Flossie wpatrywała się w rozzłoszczoną siostrę, a na jej twarzy ukazał się wyraz bolesnego zrozumienia.

Katherine zaczekała, aż Julie wejdzie na podwyższenie, aby zebrać dzieci przed próbą chóru, i wtedy, z miną pełną nadziei i napięcia, mocno ścisnęła dłoń Teda.

- Jak myślisz, czy to Benedict ląduje na lotnisku?

Ted potrząsnął głową.

- Niemożliwe. Wczoraj wieczorem podali w wiadomościach, że wydaje u siebie przyjęcie weekendowe, nie pamiętasz?

Jej twarz posmutniała, Ted pocieszająco poklepał ją po ręce.

- To pewnie Larraby przylatuje z Dallas na comiesięczną inspekcję budowy fabryki w Lynchville.

- Zapnij się, trzymaj mocno i zmów modlitwę - żartował przez interkom pilot. W zapadającym zmierzchu lear nurkował ku betonowej wstążce w dole, pod nimi. - Gdyby ten pas był o sześć cali krótszy, nie zdołalibyśmy na nim usiąść, a w przypadku ciemności musielibyśmy lecieć do Dallas - w nocy najwyraźniej go nie oświetlają. Popatrz, taksówka już czeka.

Nie odrywając wzroku od taśm wideo, tych z Julie, które wziął ze sobą do samolotu, Zack zapiął pas. Uniósł głowę dopiero w chwili, gdy samolot dotykał ziemi, a pilot ostro nacisnął hamulce. Maszyna płynęła w długim ślizgu i z piskiem zatrzymała się na samym skraju pasa startowego.

- Po dwóch takich lądowaniach będą potrzebne nowe hamulce - powiedział pilot nieco roztrzęsionym głosem, z wyrazem ulgi na twarzy. - Jakie plany na dzisiaj, panie Benedict? Mam się zatrzymać na noc w motelu czy od razu wracać?

Zack sięgnął do przycisku interkomu na konsoli między siedzeniami, ale zawahał się i pomyślał o tym, o czym starał się zapomnieć w drodze tutaj. Nie miał najmniejszego pojęcia, co czuje do niego Julie; może go nienawidzić, i to bardziej, niż przedtem kochała. Nie

wiedział, jak go przyjmie i ile czasu zabierze mu przekonywanie, by razem wrócili do Kalifornii, jeżeli oczywiście w ogóle zdoła ją do tego namówić. Wcisnął guzik.

- Zostań na noc, Steve. Odeślę ci taksówkę.

Zanim pilot zdążył wyłączyć silniki, Zack pośpiesznie zbiegł po schodkach. Taksówkarz stał przy zapraszająco otwartych drzwiach wozu. Na sobie miał najbardziej absurdalnie nieautentyczny strój z czasów wojny domowej, jaki Zackowi kiedykolwiek zdarzyło się oglądać, zakładając oczywiście, że ubiór miał reprezentować właśnie ten okres historii. Zack wcisnął się na tylne siedzenie, a torbę położył na podłodze.

- Wiesz, gdzie mieszka Julie Mathison? - zapytał. - Jeżeli nie, potrzebna mi będzie książka telefoniczna, bo zapomniałem wziąć adres.

- Pewnie, że wiem, gdzie mieszka - odpowiedział kierowca i uważnie przyjrzał się Zackowi. Wyraz jego twarzy zmienił się gwałtownie, gdy rozpoznał pasażera. Ze złością usiadł za kierownicą i o wiele za mocno trzasnął drzwiami. - Nazywasz się Benedict? - zapytał po chwili. Jechali obok szkoły podstawowej, przez centrum miasta i rynek, który otaczały sklepy i restauracje.

- Tak - mruknął Zack, zajęty obserwowaniem miejsc, w których dorastała Julie.

Ujechali z pół mili. Taksówka zatrzymała się przed schludnym, jednopiętrowym budynkiem ze starannie utrzymanym trawnikiem, ocienionym koronami olbrzymich drzew. Serce Zacka zabiło niecierpliwie, gdy sięgał do kieszeni.

- Ile jestem winien?

- Pięćdziesiąt dolców.

- Chyba żartujesz.

- Każdego innego przejazd tą trasą kosztuje pięć dolarów, ale skunksa takiego jak ty pięćdziesiąt. A teraz, jeżeli chcesz, bym zawiózł cię tam, gdzie znajdziesz Julie, a nie zostawił tu, gdzie na pewno jej nie ma, będzie cię to kosztowało siedemdziesiąt pięć.

Rozdzierany między gniewem, zaskoczeniem i narastającym napięciem, Zack zignorował obelgę.

- Gdzie ona jest?

- W szkole, prowadzi próbę przedstawienia.

Zack przypomniał sobie, że przejeżdżali obok budynku z zatłoczonym parkingiem. Zawahał się. Rozpaczliwie pragnął ją zobaczyć, wyjaśnić nieporozumienia, wziąć ją w ramiona. Jeżeli pozwoli... Głosem pełnym ironii zapytał:

- A może wiesz przypadkiem, jak długo to potrwa?

- Może całą noc - skłamał Herman z czystej złośliwości.

- W takim razie wieź mnie do niej. Kierowca kiwnął głową i flegmatycznie odjechał od krawężnika.

- Nie rozumiem, dlaczego tak ci do niej spieszo. - Z lusterka jego oczy spoglądały na Zacka ze złością. - Po tym, jak ją porwał i zabrał do Kolorado, sama musiała stawiać czoło glinom i reporterom. Jak wyszedłeś z więzienia, też do niej nie przyjechałeś. Znadto byłeś zajęty tymi swoimi luksusowymi kobietami i przyjęciami, żeby zawracać sobie głowę taką słodką dziewczyną jak Julie, która nigdy w życiu nikogo nie skrzywdziła! Narobiłeś jej wstydu przed całym światem, przed całym miastem! Ludzie spoza Keaton nienawidzą jej, choć zrobiła to, co należało. Chociaż potem okazało się, że postąpiła niewłaściwie. Mam nadzieję - dodał mściwie, gdy zatrzymali się przed wejściem do szkoły - że jak cię zobaczy, napluje ci w twarz! Gdybym był jej ojcem, wyciągnąłbym strzelbę i jak tylko dowiedziałbym się, że jesteś w mieście, już bym na ciebie dybał. Mam nadzieję, że tak właśnie postąpi.

- Prawdopodobnie spełnią się obydwa twoje życzenia - powiedział Zack spokojnie. Wyciągnął z kieszeni studolarowy banknot i podał kierowcy. - Wracaj na lotnisko po mojego pilota. On nie jest skunksem, więc może dwadzieścia pięć wystarczy.

Jakiś ton w jego głosie sprawił, że Herman zawahał się.

- Zamierzasz wreszcie się z nią pogodzić? Po to tu przyjechałeś?

- Spróbuję.

Wrogość zniknęła z twarzy Henklemana.

- Twój pilot będzie musiał poczekać, bo ja muszę to zobaczyć. Po za tym, przyda ci się w tym tłumie jakiś przyjaciel.

Zack nie słyszał. Wszedł do środka i ruszył korytarzem w stronę, skąd zza podwójnych drzwi dobiegał gwar licznych głosów.

## ROZDZIAŁ 77

Julie wyłowił wzrokiem z tłumu niemal natychmiast. Drzwi sali gimnastycznej zatrzasnęły się z hukiem za jego plecami. Dziewczyna dyrygowała chórem dzieci ubranych w najrozmaitsze kostiumy; niektóre siedziały w fotelach na kółkach. Miejsce przy fortepianie, na scenie, zajęła akompaniorka.

Wsluchany w słodki dźwięk jej głosu, stał jak sparaliżowany i z czułością, która aż bolała, patrzył na jej cudowny uśmiech. W dzinsach i szkolnej bluzie, z włosami ściągniętymi w koński ogon, wyglądała ponętnie i... mizernie. Pod ogromnymi oczami kości policzkowe rysowały się jeszcze wyraźniej, niż zapamiętał. Poczul się winny, tak bardzo schudła. I to przez niego! Taksówkarz powiedział, że zawstydził ją wobec miasta; musi to naprawić. Nie zwracając uwagi na zaskoczone spojrzenia i coraz głośniejsze szepty, ruszył w kierunku sceny. Wszędzie zauważono jego obecność, rozpoznawano twarz.

- No dobrze, dzieci, o co chodzi? - zapytała Julie, gdy kilkoro starszych przestało śpiewać i szepcząc, wskazywało na coś palcami. Za plecami niemal wyczuwała powiew szeptów przebiegających przez olbrzymią salę, słyszała stukot męskich butów na drewnianej podłodze, ale, zatroskana późną już porą i niespodziewanym brakiem dyscypliny uczniów, nie zwracała na nic więcej uwagi. - Willie, tak bardzo chciałeś dostać się do chóru, więc uważaj! - rzuciła ostro. Ale chłopiec, wskazując za jej plecy, z ożywieniem rozprawiał z Johnnym Everettem i Timem Wimple'em. - Panno Timmons! - Popatrzyła na pianistkę z wyrzutem, bo ta przestała grać i z otwartymi ustami także patrzyła za plecy Julie. - Panno Timmons, zaczynamy jeszcze raz! - Ale gdy znów popatrzyła na dzieci, część z nich właśnie opuszczała szereg i podążała za Williem Jenkinsem. - Dokąd to? - wybuchnęła Julie.

Odwróciła się i zamarła.

Piętnaście stóp od niej stał Zack, ręce trzymał sztywno po obu stronach ciała. A więc nareszcie przeczytał list, pomyślała, i przyjechał zabrać samochód. Stała nieruchomo, bała się odezwać, poruszyć. Patrzyła w tę męską, przystojną twarz, która nawiedzała jej sny, wypełniała udręką dni.

Willie Jenkins zrobił krok do przodu. Jego głos brzmiał chłodno i wojowniczo.

- Ty jesteś Zack Benedict?

Zack skinął w milczeniu głową, a wtedy kilku chłopców wysunęło się do przodu - niektórzy w fotelach na kółkach - odgradzając go murem od Julie. Wszyscy byli gotowi bronić jej przed potworem, który zjawił się tak niespodziewanie, pomyślał z goryczą.

- Lepiej zrób w tył zwrot! - rzucił ostrzegawczym tonem ten o żabim głosie i wysunął zaczepnie brodę. - Panna Mathison przez ciebie płakała.

Poważne spojrzenie Zacka zatrzymało się na twarzy Julie.

- Ja przez nią też.

- Faceci nie płaczą - padło pogardliwie z ust chłopca.

- Czasami tak, jeżeli ktoś, kogo bardzo kochają, wyrządzi im krzywdę.

Willie spojrział na twarz ukochanej nauczycielki i ujrzał łzy spływające po jej policzkach.

- Popatrz, znowu płacze! - wybuchnął. - Czy po to tu przyjechałeś?

- Przyjechałem - odrzekł Zack - bo nie potrafię bez niej żyć.

Całe audytorium patrzyło na znanego z filmowych ról twardziela, który upokarzał się, w ich obecności, zadziwiającym wyznaniem. Julie nie zwracała na nic uwagi, przedzierała się przez tłum dzieci, biegła... rzuciła się w ramiona, już gotowe na jej przyjęcie.

Zamknęły się wokół niej z gwałtowną siłą; dłoń tuliła spłakaną twarz dziewczyny do piersi, zasłaniała przed oczami widzów; chylił ku niej głowę i ochryple szeptał: kocham cię. Jej ramionami wstrząsał szloch; otaczała dłońmi jego szyję, kryła na piersi twarz, przytrzymywała go mocno.

Na drugim końcu sali Ted objął Katherine i przytulił.

- Kiedy zrobiłaś się tak piekielnie sprytne? - szepnął.

Herman Henkleman był bardziej praktycznego, choć także romantycznego ducha. Mrugnął do Flossie i zawołał:

- Koniec próby! - Potem przycisnął kontakt, i gdy w sali zapanowały ciemności, wymknął się po taksówkę.

Gdy ktoś z powrotem włączył światło, Zacka i Julie już nie było.

- Wskakujcie! - Herman generalskim kapeluszem wytwornie zamiótł przed nimi chodnik, gdy trzymając się za ręce, wybiegli ze szkoły. - Zawsze marzyłem o udziale w szalonej ucieczce - dodał. Nacisnął gaz i samochód ruszył z piskiem opon. - Dokąd? Julie nie mogła zebrać myśli.

- Do twojego domu? - zapytał Zack.

- Jeżeli szukacie samotności, to nie - powiedział Herman. - Całe miasto się tam zjedzie, telefony będą się urywać.

- Gdzie jest najbliższy hotel?

Julie popatrzyła na niego zażenowana, ale Herman wypalił wprost:

- Chcesz całkiem zniszczyć jej reputację?

Zack bezradnie popatrzył w jej twarz, rozpaczliwie pragnął, by zostali sam na sam. Jej oczy mówiły, że chce tego samego.

- Do mojego domu - zdecydowała wreszcie. - Odłożymy słuchawkę telefonu, a w razie potrzeby odłączymy dzwonek przy drzwiach.

Po chwili znaleźli się przed domem Julie. Zack sięgnął do kieszeni.

- Ile tym razem się należy? - spytał chłodno.

Herman odwrócił się zza kierownicy i z miną urażonej godności wręczył Zackowi studolarowy banknot.

- Pięć za całość, razem z podwiezieniem pilota. To specjalna cena - uśmiechnął się zaskakująco chłopięcym uśmiechem - dla człowieka, który przed całym miastem nie bał się przyznać, że kocha Julie.

Zack, wzruszony, podał mu dwadzieścia dolarów.

- W samolocie zostawiłem walizkę i torbę, czy mógłbyś je tu przywieźć, jak już odwieziesz pilota do motelu?

- Oczywiście. Nie będę przeszkadzał, postawię pod drzwiami.

## ROZDZIAŁ 78

Julie weszła do salonu i zapaliła lampę. Zack ujął jej dłoń, a wtedy bez słów padła mu w ramiona. Całowała go w milczeniu, równie jak on spragniona, tuliła do siebie, przywierała wargami do jego ust; dłońmi wędrowała po ciele ukochanego. Zack przyciągnął ją do siebie, ustami miażdżył jej wargi, niecierpliwe dłonie na nowo odkrywały cudowny zarys jej ciała.

Zaskoczył ich ostry dzwonek stojącego tuż obok telefonu. Drżącą ręką Julie sięgnęła po słuchawkę.

Patrzył, jak podnosi ją do ucha. Uśmiechnął się na widok jej skromnie zamykających się oczu, gdy zdejmował marynarkę.

- Tak, to prawda, pani Addelson, tak, jest tutaj. - Przysłoniła słuchawkę dłonią i z wyrazem bezradności na twarzy zapytała: - Burmistrzostwo Addelson chcieliby wiedzieć, czy ty... my będziemy mogli zjeść dzisiaj z nimi obiad.

Zack zdjął krawat i rozpiął guziki koszuli. Przecząco potrząsnął głową. Policzki Julie oblał rumieniec.

- Niestety, nie możemy. Nie, nie wiem, jakie ma plany. Tak, zapytam i dam państwu znać.

Julie odłożyła słuchawkę, potem pośpiesznie ją uniosła i wsunęła pod poduszkę kanapy. Wyprostowała się i nerwowo potarła dłońmi uda. Patrzyła na niego. Pytania, jedno po drugim, cisnęły jej się do głowy, ogarniały wątpliwości, walczyły ze sobą niepewność i nadzieja, ale nad wszystkim górowało poczucie cudownej nierealności: on tu jest, w tym pokoju, i patrzy na nią łagodnym, rozbawionym wzrokiem, równocześnie pełnym pożądania.

- Nie mogę uwierzyć, że ze mną jesteś - szepnęła. - Kilka godzin temu życie wydawało mi się takie...

- Puste? - podsunął swym głębokim, czarującym głosem, za którym tak bardzo tęskniła. - Bez znaczenia? - dodał, idąc w jej stronę.

Skinęła głową.

- I beznadziejne, Zack, ja... muszę ci tak wiele wytłumaczyć... jeżeli pozwolisz. Ale ja... - Głos Julie załamał się. Wtulona w Zacka, drżącymi palcami gładziła jego twarz. - O Boże, jak ja za tobą tęskniłam!

Zareagował natychmiast. Rozchylił wargami jej usta; z włosów zerwał przepaskę i wbił palce w tę bujną gęstwę, której wspomnienie nawiedzało jego sny, tam, w Ameryce Południowej, a w więzieniu budziło zlanego potem. Oderwał się od jej warg.



- Pokaż mi swój dom - powiedział ochryplym, nieswoim głosem.

Tak naprawdę chciał, by poszli do sypialni.

Skinęła głową, bezbłędnie rozumiała znaczenie jego słów - poprowadziła go prosto tam, gdzie chciał. Widok białych, giętych mebli, zielonych drzewek w donicach i pieniających się na łóżku i toaletce koronek, zupełnie go zaskoczył - pokój był tak podobny do tego, jaki sobie wyobrażał, że stanął jak wryty. Jak gdyby czytała w jego myślach, odezwała się z wahaniem:

- No i jak się spisałam?

- Wygląda tak jak wtedy, gdy...

Julie widziała napięte mięśnie jego twarzy i pełnym smutku głosem dokończyła:

- Gdy leżałeś na łóżku w swojej łodzi i wyobrażałeś sobie mnie tutaj, w tym pokoju, bo poprosiłam cię o to przez telefon. I wciąż myślałeś, że będę tam z tobą - ciągnęła z brutalną szczerością - i nie przyszło ci do głowy, że mogę wciągnąć cię w pułapkę, wydać FBI, sprawić, że zostaniesz pobity i odesłany do więzienia.

Popatrzył na nią; posępny uśmiech błędził w kąciakach jego oczu i ust.

- I to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Opadła na łóżko i zwróciła ku niemu twarz, spoglądając na niego uczciwymi, pytającymi oczami.

- Możemy chwilę poleżeć i porozmawiać?

Zack zawahał się. Z jednej strony pragnął zapomnieć o przeszłości, spędzić czas kochając się z nią na tym pełnym koronek, panińskim łóżku pod baldachimem, które, w jej obecności, stawało się zaskakująco podniecające, z drugiej była tak wyprowadzona z równowagi, że nie mieli co myśleć o miłości przed rozprawieniem się z przeszłością.

- Tylko chwilę - zgodził się.

Spiętrzyła poduszki przy oparciu łóżka i wsparta na nich usadowiła się tuż przy Zacku, a on wyciągnął ramię, by wygodniej mogła ułożyć głowę. Zaraz, z dłonią na jego piersi, wtuliła się weń. Tak jak w Kolorado - wspomnienie tamtych pełnych czułości poranków wywołało na jego twarzy uśmiech.

- Zapomniałem już, jak świetnie do siebie pasujemy.

- Pomyślałeś o porankach w Kolorado, prawda? Stwierdzenie, nie pytanie, uśmiechnął się pod nosem.

- Zapomniałem także, jaka jesteś spostrzegawcza.

- Ależ nie, po prostu myślałam o tym samym. - Uśmiechnęła się. - Nie wiem, od czego zacząć - powiedziała niepewnie. Z lękiem wracała do niedawnej przeszłości. - Nawet nie wiem, co cię tutaj przywiodło.

Zack zmarszczył brwi w wyrazie zdziwienia.

- Richardson. Nie wiedziałaś, że wybierał się do mnie? - Popatrzyła zaskoczona. - Dzisiaj rano zjawił się w moim domu w Kalifornii, w tym swoim garniturze od Brooks Brothers, krawacie Armaniego i z najprawdziwszą odznaką FBI.

- Paul przyjechał do ciebie?! - zapytała zaskoczona. - Paul Richardson? Mój Paul?

Zack zeszywniał.

- Tak, twój Paul. - Teraz przypomniał sobie, że w chwili gdy wyznał jej miłość, ona przyznała się ledwie do tęsknoty. Ze sztuczną obojętnością zauważył: - Nie wiem, dlaczego przyszło mi do głowy, że pragniesz mej obecności z jeszcze innych powodów niż chęć pogodzenia się. Do takiego właśnie wniosku doszedłem po obejrzeniu kaset. - Stał się bardzo oficjalny, próbował zabrać ramię spod jej pleców. - Myślę, że dalszą rozmowę powinniśmy przeprowadzić w salonie, a może jeszcze lepiej jutro, w recepcji hotelu, w którym się zatrzymam.

- Zack! - Głos Julie zabrzmiał nutą hysterii, z całej siły wbiła palce w jego ramię. - Żebyś się nie ważył opuszczać tego łóżka! Jeżeli kiedykolwiek jeszcze ode mnie odejdziesz, nie dając możliwości wytłumaczenia się, nie wybaczę ci nigdy. Paul jest moim przyjacielem. Nie opuścił mnie, gdy byłam bardzo nieszczęśliwa i samotna.

Opuścił głowę na poduszkę i mocno objął Julie ramieniem, miejsce chłodu w głosie zajęły ironia i... ulga.

- Jest w tobie coś takiego, że kompletnie głupieję. Przez ciebie w Kolorado zachowywałem się jak zakochany uczeń, teraz znów się to powtarza.

Wrócił do poprzedniego tematu.

- Przyjechałem tu dlatego, bo dziś rano wpadł do mojego domu Richardson, pomachał odznaką i rzucił przede mną na biurko kopertę z dwoma kasetami wideo i listem. - Szarpiąca go nadal zazdrość o Richardsona sprawiła, że jego głos zadźwięczał sarkazmem: - W przerwie między kwestionowaniem mojego pochodzenia a próbą sprowokowania mnie do walki na pięści udało mu się przekazać, że w przeciwieństwie do tego, o czym chciał mnie przekonać Hadley w Mexico City, twój pomysł połączenia się ze mną nie miał na celu wciągnięcia mnie w pułapkę. Wytłumaczył mi także, że to wizyta u Margaret Stanhope, w połączeniu ze śmiercią Austina, podziałały tak na ciebie.

- Co takiego było na tych filmach i w liście?

- Na jednym konferencja prasowa, którą zwołałaś po powrocie z Kolorado. List, to przesłanie do rodziny, napisane, gdy zamierzałaś dołączyć do mnie. Druga kasetka pochodziła z archiwum FBI - my obydwój na lotnisku w Mexico City, dokładnie widać, co się tam wydarzyło.

Julie, wtulona w jego ramiona, zadrżała na tamto wspomnienie.

- Tak mi przykro - wyszeptała, z twarzą wtuloną w pierś Zacka. - Tak mi przykro. Nie wiem, czy zdołamy zapomnieć. - Zack widział jej reakcję i już powziął decyzję, ale jeszcze na kilka minut powstrzymał się. Palcami ujął Julie pod brodę. - Co, na Boga, skłoniło cię do odwiedzenia Margaret Stanhope?

Rozległ się dzwonek do drzwi, ale zignorowali go.

- W liście napisałaś, że żałujesz, iż nie pogodziłaś się z nią już przed laty- wyjaśniła z westchnieniem. - I jeszcze wspomniałaś, bym oddała jej na wychowanie nasze dziecko. A przez telefon powiedziałaś, że pozostawianie za sobą tak wielu nieszczęść to prowokowanie klątwy. Więc zdecydowałam się zobaczyć z nią i wytłumaczyć, że ją kochałaś i zawsze żałowałaś rozstania.

- A ona roześmiała ci się w twarz.

- Gorzej. Jakoś wyłoniła się sprawa Justina i nim się obejrzałam, już mi mówiła, jak to zamordowałaś brata po kłótni o dziewczynę. Potem wręczyła mi teczkę pełną wycinków z gazet, z twoim przyznaniem się do zastrzelenia go. I wtedy - oddychała głęboko - uświadomiłam sobie, że nie powiedziałeś mi prawdy. Starłam się wmówić sobie, że okłamałaś ją, nie mnie, ale po śmierci Tony'ego Austina wyglądało, że troje ludzi, z którymi się pokłóciłaś, zginęło z twoich rąk. Pomyślałam... jak twoja babka zaczęłam wierzyć, że jesteś obłąkany. Zdradziłam cię... dla twojego dobra.

- Nie okłamałem cię co do Justina - rzekł Zack z głębokim westchnieniem. - Nie powiedziałem prawdy policji w Ridgemont.

- Ale dlaczego?

- Bo poprosił mnie o to dziadek, bo samobójstwo pociąga za sobą dochodzenie, wyjaśnia się jego powody, a my chcieliśmy uchronić tę ziejącą jadłem starą kobietę przed koniecznością przyjęcia do wiadomości homoseksualizmu Justina. Nie powinienem był tym się przejmować - dodał sztywno. - Trzeba było pozwolić jej nurzać się w tym, co uznałyby za hańbę. Justinowi nie wyrządziłbym już krzywdy.

- I wiedząc, co o tobie myśli, zamierzałaś pozwolić jej na sprawowanie opieki nad naszym dzieckiem?

Uniósł brwi i rozbawionym głosem zapytał:

- Jakie dziecko, Julie?

Zaraźliwy uśmiech, który w Kolorado rozjaśniał mu dni, pojawił się na twarzy dziewczyny, a jego atrakcyjność wzmagają jeszcze próby maskowania nim poczucia winy.

- Wymyślone, byś pozwolił mi do siebie przyjechać.

- Ach, o to dziecko chodzi.

- Czekam na odpowiedź! - Rozpięła górny guzik jego koszuli i ucałowała w szyję.

- Postępuj tak dalej, a doczekasz się prawdziwego dziecka, a nie odpowiedzi na pytanie.

Ze śmiechem oparła łokcie o jego pierś, ale jej oczy, przysłonięte powiekami, pozostały jak pogrążone we śnie.

- Jestem strasznie łapczywa, Zack, pragnę i ciebie, i jego. Z czułością ujął jej twarz w dłonie, głaskał policzki.

- Naprawdę, kochanie, chcesz mojego dziecka?

- Bardzo!

- Popracujemy nad tym dzisiaj, jeżeli tylko czujesz się na siłach.

- O ile sobie przypominam, chodzi raczej o twoją gotowość. - Zagryzła wargi, ramionami wstrząsał śmiech.

- Co takiego, masz wątpliwości? - Ta wymiana seksualnych aluzji sprawiała mu wielką przyjemność, podniecało go, typowe dla Julie, połączenie śmiechu i miłości.

Kiwnęła głową.

- Jestem w pełnej gotowości od samego rana, od przeczytania twojego listu. Dowód znajduje się w zasięgu ręki.

Ponownie rozległ się dzwonek u drzwi i znowu nie zareagowali. Ale dłoń Julie, którą zaczynała poszukiwać „dowodu”, cofnęła się.

- Odpowiesz wreszcie na moje pytanie? - domagała się zniecierpliwiona.

- Tak - westchnął. - Jak sobie przypominasz, zaznaczyłem w liście wyraźnie, że skontaktuję się z nią, zanim pojedziesz tam z dzieckiem. Zresztą naprzód napisałbym do Fostera, nie do niej.

- Fostera, tego starego kamerdynera?

Zack skinął głową.

- Dziadek i ja nakazaliśmy mu, by milczał jak grób. Był przecież w holu, kiedy u Justina padł strzał, potem widział, jak biegłem tam z mojego pokoju. Zwolniłbym Fostera z przysięgi i kazał opowiedzieć prawdę chlebodawczyni.

- Nie mów tak o niej, Zack, to twoja babka. Myślę, że kochała cię bardziej, niż przypuszczasz. Gdybyś ją teraz zobaczył, porozmawiał z nią, dostrzegłbyś, jak bardzo czas...

- Ona dla mnie umarła, Julie - przerwał ostro. - Od dzisiejszego wieczora nie chcę już słyszeć o tej kobiecie, nie chcę, byś ją kiedykolwiek wspominała.

Julie otworzyła usta, by zaprotestować, ale zaraz zmieniła decyzję i zamilkła.

- Nikomu nie dajesz szansy drugi raz, prawda? - powiedziała po chwili z uśmiechem.

- Zgadza się - odrzekł twardo.

- Poza mną.

- Poza tobą - przyznał. Musnął palcami jej gładki policzek.

- Ile dostanę szans?

- A ilu potrzebujesz?

- Obawiam się, że całe mnóstwo - rzekła z takim głębokim westchnieniem, że wybuchnął serdecznym śmiechem i pochwycił ją w ramiona. Gdy zwolnił uścisk, cienki, srebrny łańcuszek zabłysnął nad kołnierzykiem, na szyi dziewczyny. - Co tam masz? - zaciekał się.

- Zostaw, proszę.

Zack zmrużył oczy na widok jej niepokoju, znów poczuł wzmagające się uczucie zazdrości.

- Co to? - Starał się, by jego głos brzmiał spokojnie. - Dowód sympatii od ostatniego wielbiciela?

- Można tak powiedzieć, teraz przestanę go nosić.

- No to zobaczmy... - Wyciągnął rękę.

- Nie pozwalam.

- Mężczyzna ma prawo co nieco wiedzieć o guście poprzedników.

- Miał bardzo dobry gust, spodobałby ci się jego wybór. A teraz przestań!

- Jesteś okropną kłamczucha, Julie! Co tam jeszcze dołączyłaś? - Nie zwracając uwagi na protesty, odsunął jej rękę i sięgnął po łańcuszek.

Platynowa obrączka błysnęła w dłoni, brylanty zamigotały w mroku.

- Dlaczego nie chciałaś, bym ją zobaczył? - Ogarnęła go fala czułości, przyciągnął Julie do piersi.

- Bałam się wszystkiego, co mogło przypomnieć ci Mexico City. Nie sądzę, bym kiedykolwiek potrafiła zapomnieć twoje spojrzenie, zanim uświadomiłem sobie, że nie przez przypadek sprowadziłam na ciebie policję - mówiła drżącym głosem - ani wyrazu twojej

twarzy, gdy dotarło do ciebie, że cię zdradziłam. Nigdy nie zdołam. Zawsze będę się bała, że znów napotkam to spojrzenie.

Zack z żalem odsunął ją od siebie. Podniósł się z łóżka.

- No to załatwmy tę sprawę raz na zawsze.

- Co takiego? - Wpadła w panikę. - Dokąd idziesz?

- Czy masz w domu magnetowid? Jej strach przeszedł w zaskoczenie.

- W salonie.

## ROZDZIAŁ 79

- Co chcesz zrobić? - zapytała, gdy Zack usiadł obok niej i włączył magnetowid. - Mam nadzieję, że to „Dirty Dancing”, a nie jakaś ociekająca seksem scena z któregoś z twoich filmów - zażartowała nerwowo. Objął ją ramieniem i cicho powiedział:

- To film, który oglądałem dzisiaj wiele razy, skonfiskowany przez FBI. Pokazuje nas w Meks...

Gwałtownie kręciła głową, starała się odebrać mu pilota.

- Nie chcę więcej tego widzieć! Nie dzisiaj, nigdy!

- Obejrzymy to razem, Julie, ty i ja. Potem już nic nie zdoła nas rozdzielić ani sprawić nam bólu, już nigdy więcej nie będziesz musiała się bać.

- Nie każ mi tego oglądać! - krzyknęła. Drżała. Głosy z wideo, dźwiękowa ilustracja scen na lotnisku, wypełniły pokój. - Nie zniosę tego!

- Patrz na ekran. - Był nieubłagany. - Byliśmy tam razem, ale ja aż do dzisiaj nie wiedziałem, jak się zachowywałaś, gdy mnie aresztowano, a przypuszczam, że i ty dobrze nie pamiętasz.

- Mylisz się! Pamiętam dokładnie, co z tobą wyprawiali! I o tym, że się do tego przyczyniłam!

Dłonią zwrócił jej twarz w stronę ekranu.

- Zwróć uwagę na siebie, nie na mnie. Patrz, a zobaczysz to samo, co ja - kobietę, która cierpi bardziej ode mnie. - Julie z trudem zmuszała się do patrzenia w telewizor, przez łyż oglądała scenę, którą na zawsze chciałyby wyrzucić z pamięci. Widziała siebie, krzyczącą, by nie robili mu krzywdy, Paula, odciągającego ją, wołającego, że już po wszystkim. Potem Hadleya, podchodzącego do niej i ze złośliwą miną rzucającego pierścionek w jej dłoń. Na koniec widziała siebie, jak z płaczem ściska obrączkę.

Dotychczas pełen napięcia głos Zacka zabrzmiał czułością.

- Julie - szepnął, tuląc ją mocno - patrz na siebie, a zobaczysz to, co ja. Zwyczajny pierścionek, kawałek metalu, z kilkoma kamykami, a tak wiele dla ciebie znaczył.

- To ślubna obrączka, o którą się dla mnie wystarałeś - powiedziała gwałtownie - dlatego płakałam.

- Naprawdę? - zażartował. - A ja myślałem, że płakałaś z powodu mizernej wielkości kamyków.

Z jej ust wyrwał się histeryczny chichot, mruganiem odpędzała łzy napływające jej do oczu.

- Patrz teraz. - Uśmiechnął się i objął ją ciaśniej ramieniem. – To mój ulubiony fragment. Nie na mnie - powiedział szybko na widok uniesionych pałek Federales - ale na to, co robisz z Hadleyem, o tam, w prawym rogu ekranu. Masz fantastyczny prawy sierpowy, moja pani - dodał z podziwem.

Julie zaskoczyła przyjemność, z jaką oglądała siebie, atakującą tę kreaturę.

- Zupełnie tego nie pamiętam - szepnęła.

- Założę się, że Hadley dobrze zapamiętał to, co nastąpiło potem. Richardson cię odciągał, więc nie mogłaś dosięgnąć Hadleya pazurami ani ręką...

- Kopnęłam go! - wykrzyknęła Julie, zachwycona tym, co zobaczyła.

- I to dokładnie tam, gdzie należało - powiedział Zack z dumą i roześmiał się na widok trzymającego się za krocze Hadleya, z trudem łapiącego powietrze.- Nawet nie wiesz, jak wielu mężczyzn chciałoby zrobić to samo!

Julie tylko potrząsała głową i patrzyła na zakończenie filmu. Nastąpiła scena finałowa: lekarz wbijał igłę w jej ramię, a Paul podtrzymywał ją. Zack nie przerywał filmu i taśma bezgłośnie przesuwała się w kasecie.

- Dopilnuję, by Hadley otrzymał wszystko, co mu się należy. - Z powagą spojrzał na Julie. - Za dwa tygodnie mam wyznaczone spotkanie z Teksą Radą Penitencjarną. Gdy z nim skończę, dołączę do swych podopiecznych.

- To diabeł.

- A ty - powiedział Zack, ujmując ją pod brodę - jesteś aniołem. Wiesz, co czułem za każdym razem, gdy patrzyłem na ten film?

Potrząsnęła głową.

- Że jestem kochany. Niewiarygodnie, całkowicie, bezwarunkowo. Nawet wtedy, gdy uważałaś mnie za obłąkanego mordercę, współczułaś mi, walczyłaś o mnie. - Zbliżył usta do jej warg i szepnął: - Nigdy nie znałem kobiety tak odważnej jak ty... - Pocałował kącik jej oka, potem powędrował do ust. -I mającej tak wiele miłości do ofiarowania. - Dłońmi wślizgiwał się pod jej bluzę, potem niżej, za pasek dzinsów. - Daj mi siebie, kochanie... - szepnął - ...teraz. - Wargami rozchyłał wargi, językiem powoli wchodził w usta, dłońmi gładził delikatną, nagą skórę; ona drżącymi palcami rozpiniała mu koszulę, rozsuwała na boki, a wtedy z jego piersi wyrwał się cichy jęk.



Ale nad wszystkim górował dochodzący od drzwi dzwonek, a uderzenia, jakie rozbrzmiewały w jego głowie, okazały się stukaniem do drzwi. Zaklął. Podniósł się, by zaprowadzić Julie do sypialni. Wyciągnął w jej stronę dłoń...

- Julie! - Głosowi Teda towarzyszył akompaniament łomotania w drzwi.

- To mój brat!

- Nie możesz mu powiedzieć, żeby sobie poszedł i wrócił jutro?

Już miała skinięciem głowy zgodzić się z kochankiem, gdy zza drzwi zabrzmiał rozbawiony głos Teda:

- Otwieraj, dla własnego dobra. Wiem, że tam jesteś.

Pośpiesznie wepchnęła bluzkę do spodni, próbowała przygładzić włosy.

- Lepiej zobaczę, czego chce.

- Zaczekam w kuchni - powiedział Zack, palcami przeczesując włosy.

- Jak już tu jest, chciałabym, byś go poznał.

- Mam się z nim spotkać - spojrzał w dół - tak, jak stoję?

- Może lepiej zaczekaj w kuchni. - Cudownie się zarumieniła. - Ruszyła w stronę drzwi, a on w przeciwnym kierunku.

Julie otworzyła drzwi akurat w chwili, gdy Ted unosił dłoń, by ponownie zastukać. Obrzucił ją domyślnym, rozbawionym spojrzeniem.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Gdzie Benedict?

- W kuchni.

- No pewnie... - Zaśmiał się.

- Czego chcesz? - zapytała zażenowana, ale zaraz uśmiechnęła się do brata serdecznie, bo domyśliła się, że to on dał jej list Paulowi.

- Równie dobrze mogę od razu wyjawić wam obojgu, z czym przychodzę.- Ruszył korytarzem. Przystanął, by rzucić okiem do sypialni; najwyraźniej był w doskonałym humorze.

Przy zlewie Zack pił wodę ze szklanki.

- Zack, to mój brat Ted - zawisło w powietrzu.

Benedict, zaskoczony ich cichym nadejściem, odwrócił się i zatrzymał wzrok na znajomej mu twarzy.

Ted skinął głową.

- Nie mylisz się, byłem z Julie w Mexico.

- Miło mi spotkać cię w przyjemniejszych okolicznościach. - Zack otrząsnął się z zaskoczenia i wyciągnął dłoń.

- Ale może niekoniecznie w tym momencie - zażartował Ted, odwzajemniając uścisk dłoni. Zack od razu poczuł sympatię do młodego mężczyzny. - Na twoim miejscu - ciągnął Ted z uśmiechem - napiłbym się czegoś mocniejszego. - Popatrzył na zaskoczoną Julie i wyjaśnił: - Tato chce widzieć was w domu. Natychmiast - podkreślił komicznie surowym tonem. - Katherine jest tam teraz z mamą i pomaga jej w przekonaniu ojca, by cierpliwie zaczekał, a nie przyjeżdżał tutaj, co postanowił po nieudanych próbach dodzwonienia się.

- Dlaczego chce nas zobaczyć koniecznie teraz? - zapytała Julie.

Ted oparł się o ścianę, wcisnął dłonie do kieszeni spodni i spod uniesionych brwi wymownym wzrokiem popatrzył na Zacka.

- Chyba wiesz, czemu ojciec Julie jest... zdeterminowany chęcią porozmawiania z tobą. Zjawiając się w mieście, zaskoczyłeś wszystkich.

- Domyślam się. - Zack dopił wodę i napełnił szklankę na nowo.

- Julie - Ted zwrócił się z uśmiechem do siostry - idź, przyczesz włosy i postaraj się nie wyglądać na tak cudownie rozczochraną... Zadzwoń do ojca, że zaraz tam będziemy.

Julie odwróciła się i pobiegła do swojego pokoju, wołając po drodze przez ramię, że słuchawka telefonu w salonie jest odłożona.

Ted, po rozmowie, wrócił do kuchni. Zack golił się w łazience, po kilku minutach dołączył do niego, uczesany, w świeżej koszuli. Ted przerwał przeszukiwanie kredensów.

- Pewnie nie wiesz, gdzie Julie tym razem schowała wódkę.

- Tym razem? - zapytał trochę zdziwiony Zack. Myślni był już przy spotkaniu z przyszłym teściem.

- Julie ma taki dziwaczny zwyczaj - wyjaśnił Ted, zaglądając pod zlew. - Gdy dręczy ją jakaś sprawa, wszystko porządkuje... układa przedmioty w jej tylko znanym porządku.

Czuły uśmiech pojawił się wokół ust Zacka; przypomniał sobie, że widział ją już przy takiej czynności w Kolorado.

- Wiem.

- A więc nie jesteś zaskoczony. - Ted bez powodzenia kontynuował poszukiwania. - Jak chcesz wiedzieć, odkąd wypuścili cię z więzienia, uporządkowała na nowo każdą szafkę, każdy kredens. Pomalowała nawet garaż, dwa razy. Zajrzyj do lodówki. Słoiki i butelki ustawiła od lewej, od największej do najmniejszej. A na następnej półce akurat w odwrotnym porządku, jak się domyślam, z powodów artystycznych. W zeszłym tygodniu zdecydowały kolory. To ci dopiero był widok!

- Przypuszczam! - Zacka rozbawiły słowa Teda, ale równocześnie poczuł żal z powodu stania się przyczyną rozterek Julie.

- To jeszcze nic - dodał Ted. - Popatrz tutaj. - Otworzył szafkę i wskazał na puszkę i pudełka stojące na półkach. - Żywność ułożyła w porządku alfabetycznym.

- Co takiego? - Zack z trudem zachował powagę.

- Sam zobacz. Zack zajął mu przez ramię. Puszki, słoiki i pudełka stały w łańcuch w wojskowym szyku, przez całą szerokość kredensu. - Buraki, galaretki, kalafior, mąka, sok jabłkowy, sos, szparagi - mruczał z niedowierzaniem - fasolka... - spojrzał na Teda - ...fasola nie stoi na swoim miejscu.

- Właśnie że tak - zabrzmiał pełen nonszalancji głos Julie. Weszła do kuchni. Mężczyźni popatrzyli na nią z rozbawieniem. - Jest pod W.

- W? - Zack starał się nie roześmiać. Zmieszana zajęła się strzepywaniem nitki ze swetra.

- W jak warzywa - poinformowała. Zack wybuchnął śmiechem, wziął ją w ramiona i zatopił twarz w jej włosach - rozkoszował się jej bliskością.

- Gdzie jest wódka? - szepnął jej do ucha. - Ted jej szuka.

- Za jarzynami. - Odchyliła głowę, oczy zabłyśły wesołością.

- A co, u diabła, tam robi? - zapytał Ted, przedstawiając puszki fasolki.

- Pod P, jak płyny - udało się wykrztusić Zackowi, jego ramionami wstrząsał śmiech.

- A gdzież by indziej? - Julie zachichotała.

- Szkoda, że nie mamy czasu na jednego - powiedział Ted.

- Poradzę sobie bez tego! - oświadczył Zack.

- Jeszcze będziesz żałował.

Przy krawężniku czekał wóz patrolowy Teda. Zack niechętnie wśliznął się na tylne siedzenie. Twarz miał napiętą.

- Co się stało? - zapytała. Dostroila się do niego tak dobrze, że natychmiast wyczuwała nawet najdrobniejszą zmianę tonu głosu czy mimiki.

- Po prostu nie jest to mój wymarzony środek lokomocji.

Zack zobaczył, jak jej oczy pociemniały współczuciem. Ona jednak zaraz otrząsnęła się i, by rozładować nastrój, zażartowała:

- Ted - powiedziała, nie spuszczać wesołych oczu z Zacka - powinieneś być przyjechać blazerem Carla. Zack zdążył się do niego przyzwyczaić.

Zaśmiali się obydwaj.

## ROZDZIAŁ 80

Piętnaście minut później Zackowi nie było już do śmiechu; siedział naprzeciw ojca Julie, w jego niewielkim gabinecie, i w pokorze słuchał, jak wielebny Mathison, gniewnie przemierzając pokój tam i z powrotem, zmywa mu głowę. Był przygotowany na tę burzę - należała mu się reprimenda - jednak spodziewał się zupełnie czegoś innego: niedużego, łagodnego człowieczka, monotonnym głosem wygłaszającego długie kazanie na temat naruszonych przez Zacka przykazań. Tymczasem ojciec Julie okazał się pełnym witalnych sił, wysokim mężczyzną, zdolnym do wygłoszenia miażdżącej, jadowniciej tyrawy, a jego elokwencja zawstydziłaby nawet George'a C. Scotta.

- Nie mogę usprawiedliwić ani darować ci niczego, żadnego z postępków!- Jim Mathison zakończył wreszcie i opadł na obity skórą, stojący za biurkiem fotel. - Gdybym był człowiekiem gwałtownym, użyłbym bata. I wciąż mam na to ochotę! Naraziłeś moją córkę na chwilę grozy, publiczną krytykę, rozpacz! W Kolorado uwiodłeś ją, dobrze wiem, chyba nie zaprzeczysz?!

Zack, choć mogło wydać się to absurdem, podziwiał ojca Julie; takiego sam chciałby mieć, takim zostać pewnego dnia - troskliwym, przestrzegającym zasad moralnych, nieskazitelnie uczciwym, oczekującym tego samego od swych najbliższych. Wielebny chciał zawstydzić Zacka i osiągnął cel.

- Czy możesz zaprzeczyć, że uwiodłeś moją córkę? - gniewnie powtórzył pastor.

- Nie - przyznał Zack.

- A potem rzuciłeś ją na pastwę dziennikarzy, zmusiłeś, by broniła cię przed całym światem. Po takim pokazie tchórzostwa i nieodpowiedzialności masz jeszcze czelność pokazywać się tutaj, mnie i Julie?

- Odesłanie Julie było moim jedynym przyzwoitym postępkiem. - Zack po raz pierwszy spróbował przeciwstawić się druzgocącej krytyce.

- Mów dalej, chcę usłyszeć, co masz na swoją obronę.

- Wiedziałem, że jest we mnie zakochana. Nie zgodziłem się, by pojechała ze mną do Ameryki Południowej i odesłałem do domu, nie dla własnej wygody, a dla jej dobra.

- W poczuciu przyzwoitości trwałeś dość krótko, prawda? Kilka dni później już knułeś, jak ją do siebie ściągnąć.

Zamilkł, milczeniem wymuszając odpowiedź. Zack, choć niechętnie, poddał się presji.

- Myślałem, że jest w ciąży i nie chciałem, by poddała się aborcji ani jako panna urodziła dziecko i naraziła się na potępienie całego miasta.

Zack wyczuwał, że wrogość jego rozmówcy nieco zelżała, choć sądząc z następnej chłodnej uwagi, nie było to takie oczywiste.

- Gdybyś zachował się przyzwoicie i w Kolorado powściągał żądzę, nie musiałbyś martwić się o jej ciążę, czyż nie mam racji?

W tej samej chwili Zacka ogarnęło uczucie gniewu i zażenowania, pomieszanego z rozbawieniem, bo słowo „żądza” brzmiało w ustach Mathisona w iście biblijnym znaczeniu. Spod uniesionych brwi spojrzął na pastora.

- Grzeczniej byłoby odpowiedzieć, młody człowieku.

- Odpowiedź jest chyba oczywista.

- A teraz - ciągnął Mathison gniewnie, odchylając się w fotelu - przylatujesz prywatnym samolotem, wpadasz jak wichur do miasta i znowu robisz z niej publiczne widowisko. A dlaczego? Żeby jeszcze raz złamać jej serce! Nasłuchałem się i naczytałem o tobie dość, jeszcze zanim poszedłeś do więzienia, a i potem, jak wyszedłeś na wolność! Wiem, jak rozpustne, amoralne i powierzchowne życie wiodłeś w Kalifornii - szalone przyjęcia, nagie kobiety, pijaństwo, filmy pornograficzne. I co teraz masz do powiedzenia?

- Nigdy w życiu nie zrobiłem filmu pornograficznego - oburzył się Zack. Pozostałe zarzuty wołał pominąć milczeniem.

Twarz Jima Mathisona nieco się rozpuściła.

- Przynajmniej nie jesteś kłamcą. Czy zdajesz sobie sprawę, że Paul Richardson kocha się w niej? Chce się żenić, prosił mnie o błogosławieństwo. To wspaniały, przyzwoity mężczyzna, z zasadami. Szuka żony na całe życie, a nie tylko do chwili pojawienia się następnej seksownej filmowej blond gwiazdy, która zawróci mu w głowie. Pragnie mieć dzieci. Jest gotowy do poświęceń dla Julie - nawet wybrał się do ciebie, do Kalifornii. Pochodzi z kochającej się rodziny, jak Julie. Mogliby wieść cudowne życie. Co na to powiesz?

Zack, choć ogarnęła go zazdrość, rozumiał, że Jim Mathison użył Richardsona, by lepiej określić wady jego, Zacka, jako kandydata na męża Julie. Z premedytacją, zgrabnie wmanewrował go w położenie bez wyjścia, i teraz musi albo wyłożyć karty na stół, oświadczając się, albo odejść. Mimo że za sprawą ojca Julie czuł się nieswojo, podziwiał go coraz bardziej. Poprawił się na fotelu. Postanowił bronić swojej pozycji.

- Richardson, ten chodzący ideał, kocha Julie, ale ja także. A Julie mnie. Nie obchodzą mnie żadne blondynki, tylko Julie. Na zawsze. Pragnę dzieci, i to tak szybko, jak zechce Julie.

Dla niej zrezygnuję ze wszystkiego, co okaże się konieczne. Nie dam rady odmienić życia, jakie dotychczas wiodłem, mogę tylko od tej chwili żyć inaczej. Nic nie poradzę na brak serdeczności w mojej rodzinie, ale chcę, by Julie nauczyła mnie, jak ją okazywać. Jeżeli nie otrzymam od pana błogosławieństwa, chciałbym przynajmniej uzyskać, choćby niechętnie, przyzwolenie.

Mathison skrzyżował ręce na piersi i spojrzał Zackowi prosto w oczy.

- Nie usłyszałem jeszcze słowa „małżeństwo”.

- Myślałem, że to oczywiste. - Zack uśmiechnął się.

- Dla kogo? Czy Julie wyraziła zgodę, po tym, jak się tu pojawiłeś?

- Nie mieliśmy czasu na taką rozmowę. Mathison uniósł brwi.

- Nawet w czasie tej godziny, kiedy odłożyliście słuchawkę? A może byłeś zbyt zajęty przekonywaniem jej do założenia rodziny, której podobno tak pragniesz?

Zacka ogarnęło okropne uczucie, że zaraz zarumieni się jak uczeń.

- Wygląda na to - kontynuował Mathison chłodno - że masz wypaczone pojęcie tego, co przyzwoite. W twoim świecie pary łączy seks, potem przychodzą dzieci. Na małżeństwo znajdują czas na samym końcu. To nie jest porządek przyjęty w świecie Julie ani Boga. Ani moim.

Zack walczył z potrzebą poprawienia się w fotelu.

- Zamierzałem dzisiaj poprosić Julie o rękę - powiedział wprost. - Myślałem, że jutro, w drodze do Kalifornii, moglibyśmy zatrzymać się nad Jeziorem Tahoe i tam wziąć ślub.

Mathison aż wychylił się z fotela.

- Co takiego? Znaliście się zaledwie siedem dni, a ty chcesz, by wszystko rzuciła i odeszła z tobą, do tego po byle jakim, cywilnym ślubie! Ona ma pracę, rodzinę i przyjaciół. Co ty sobie wyobrażasz, uważasz ją za bezwolne, oswojone zwierzątko, które można wziąć na smycz i zabrać do Disneylandu? Gdzie twoje poczucie przyzwoitości! Po przemowie, jaką przed chwilą wygłosiłeś, spodziewałem się po tobie czegoś więcej.

- Nie rozumiem. Czego pan po mnie oczekuje? - Zack pakował się prosto w sidła.

Mathison natychmiast postarał się, by linka się zadzierzgnęła.

- Że będziesz się zachowywał jak dżentelmen, że zrezygnujesz z kilku spraw. Mówiąc krótko, liczę, że przyszły mąż Julie spędzi tu trochę czasu, pozna ją lepiej i zgodnie z wolą Boga będzie traktował z szacunkiem należnym naszym niewiastom. Potem poprosi ją o rękę. Zakładając, oczywiście, że Julie wyrazi zgodę, po odpowiednio długim narzeczeństwie weźmiecie ślub. A miesiąc miodowy - zakończył bezlitośnie - następuje po weselu. Tylko

jeżeli przystaniesz na te wszystkie warunki, otrzymacie moje błogosławieństwo i udzielię wam ślubu, a dopiero wtedy - jestem pewien - Julie poczuje się naprawdę szczęśliwa. Czy to jasne?

- Aż nadto. - Zack zmarszczył brwi.

Jim Mathison dostrzegł zmarszczkę na czole przyszłego zięcia i gwałtownie powiedział:

- Jeżeli to drobne wyrzeczenie się osobistej wygody i fizycznego zadowolenia to dla ciebie za dużo...

- Tego nie powiedziałem - przerwał Zack, z rezygnacją pomyślał, że Julie z pewnością chciałyby, by to jej ojciec udzielił im ślubu.

- A więc zrozumieliśmy się, Zack. - Po raz pierwszy ten starszy mężczyzna zwrócił się do niego po imieniu. Z uśmiechem, teraz serdecznym i ciepłym, Jim Mathison dodał: - No to wszystko postanowione.

Zack oderwał się od rozmyślań. Dostrzegł uśmiech pastora i od razu pojął, że został wmanewrowany w układ, na który absolutnie nie może przystać.

- Nie całkiem - zaprotestował pośpiesznie. - Zostanę w mieście, jak długo będę mógł, ale nie widzę powodu, byśmy poznawali się z Julie całymi tygodniami, zanim poproszę ją o rękę. Nie zamierzam też zbyt długo odwlekać ślubu. Natychmiast poproszę ją, by za mnie wyszła. Jeżeli się zgodzi, to jakbyśmy byli zaręczeni.

- Będziesz narzeczonym dopiero po włożeniu pierścionka na jej palec. Tradycja i przestrzeganie form mają swoje uzasadnienie, młody człowieku. Tak jak i seksualna wstrzeźliwość przed ślubem, przydają temu wydarzeniu specjalnej rangi.

- Wyśmienicie - powiedział Zack, nieco rozdrażniony.

- Kiedy chcesz się ożenić? - Mathison uśmiechnął się.

- Tak szybko, jak to możliwe, najdalej za kilka tygodni. Porozmawiam z Julie.

- Na pewno nie potrzebujesz, pomocy, mamusiu? - zawołała Julie. Patrzyła, jak matka kładzie tacę z ciasteczkami na stole w jadalni.

- Nie, kochanie. Wy, dzieci, zostańcie w salonie i porozmawiajcie sobie. Tak miło widzieć was szczęśliwych, całą trójkę.

Julie była niemal tak zdenerwowana jak szczęśliwa. Popatrzyła na zamknięte drzwi gabinetu ojca, potem na Teda i Katherine, którzy objęci siedzieli na kanapie i serdecznie docinali jej, nawiązując do przemowy Zacka w sali gimnastycznej.

- Co oni tam, u licha, robią? - zastanawiała się na głos.

Ted spojrział na zegarek i wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Przecież wiesz. Tato wygłasza przysłemu panu młodemu to swoje słynne przedmażeńskie kazanie.

- Właściwie Zack nie poprosił mnie ponownie, bym za niego wyszła.

- Po tych wszystkich wspaniałych słowach, wygłoszonych dzisiaj w obecności połowy miasta, nie masz chyba wątpliwości! - Katherine popatrzyła na szwagierkę z niedowierzaniem.

- No... nie. Ale tato coś go za długo trzyma.

- Staruszek odczuwa ojcowską potrzebę rozerwania go na strzępy, za porwanie cię i... - powiedział Ted, nie kryjąc zadowolenia.

- Zack wycierpiał aż nadto za to, co mi zrobił - rzekła Julie z przejęciem.

- Będzie cierpiał bardziej, jeżeli połknie haczyk i jak wszyscy przystanie na postawione mu warunki. - Katherine stłumiła chichot i pociągnęła łyk coca-coli.

- To znaczy? - Julie nie zrozumiała.

- No wiesz, takie tam: tradycja najważniejsza... najlepsze długie narzeczeństwo... Tato próbuje nabrać na to wszystkich narzeczonych.

- A, o to chodzi! - Julie roześmiała się. - Zack nigdy się nie zgodzi. Jest starszy, mądrzejszy i bardziej światowy od mężczyzn, z jakimi tatuś miał dotychczas do czynienia.

- Zgodzi się - powiedział Ted ze śmiechem - bo jaki ma wybór? Tato jest nie tylko mądrym duchownym, który udzielił wam ślubu, ale także twoim ojcem, a Zack dobrze wie, że zapracował u niego na grubą krechę. Dlatego przystanie na wszystko, dla ciebie i w imię rodzinnej harmonii.

- Mówisz tak, bo sam się zgodziłeś - wtrąciła Katherine.

- Przestań, zawstydzasz Julie. - Ted pochylił się i żartobliwie skubnął wargami jej ucho.

- Twoja siostra się śmieje, rumienisz się ty.

- Dlatego, moja ty gadatliwa żonko, bo pamiętam ten najdłuższy, najbardziej dotkliwy miesiąc w życiu, a także naszą noc poślubną, po miesiącu abstynencji.

Katherine popatrzyła na niego i na chwilę zapomniała o obecności Julie.

- Była cudowna - zaprotestowała. - Wyjątkowa, jak nasz pierwszy raz. Myślę, że to właśnie powód, dla którego twój ojciec prosi narzeczonych, by poczekał do nocy poślubnej, nawet jeżeli wcześniej już ze sobą byli.

- Czy ktoś zauważył, że ja słyszę to wszystko? - Julie próbowała żartować drżącym głosem.



Drzwi gabinetu otworzyły się i wszyscy popatrzyli w tę stronę. Wielebny wyglądał na wielce z siebie zadowolonego, Zack na oszołomionego i rozdrażnionego. Ramionami Teda wstrząsnął śmiech.

- Dał się wziąć! - wykrztusił. - Ma tę samą ogłupiałą i rozzłoszczoną minę, jak oni wszyscy! Mój ekranowy bohater! - Kręcił z niedowierzaniem głową. - A ja trzymałem w pokoju plakaty z tym człowiekiem! W rękach tatusia okazał się zwykłym śmiertelnikiem, miękkim jak wosk, niczego nie podejrzewającym naiwniakiem. Więzienie go nie złamało, ale tatuś sobie poradził!

Zack rzucił zamyślane spojrzenie w stronę rozbawionej grupy i ruszył, by do nich dołączyć. Ale zatrzymała go matka Julie, zapraszając do jadalni na ciasteczka. Odwrócił się.

- Nie, dziękuję, pani Mathison - popatrzył na zegarek - jest późno. Muszę jeszcze znaleźć hotel.

Pytająco popatrzyła na męża, ten uśmiechnął się i skinął głową.

- Bardzo byśmy chcieli, by został pan u nas - powiedziała.

Zack pomyślał o licznych telefonach, jakie musi załatwić w czasie pobytu w Keaton, o zamieszaniu, jakie wprowadziłyby do tego domu. Przecząco potrząsnął głową.

- Dziękuję, ale chyba będzie lepiej, jeżeli zatrzymam się w hotelu. Przywiozłem ze sobą całą masę pracy, a doślą mi jeszcze więcej papierzysk, przewiduję też zebrania w interesach - dorzucił na widok jej szczerze zmartwionej miny. - Myślę, że apartament hotelowy bardziej nada się do tych celów - tłumaczył.

Nie zauważył niespokojnego spojrzenia, jakie posłała mu Julie na wzmiankę o apartamencie. Z niecierpliwością oczekiwał chwili, gdy w hotelu zamówi szampana, a potem weźmie ją w ramiona i z pełną pompą oświadczy się.

- Odwieszysz mnie? - zapytał.

## ROZDZIAŁ 81

Pół godziny później zajechali pod jedyny w Keaton motel.

- Nasz najlepszy - powiedziała Julie. - Wcześniej Ted i Katherine podrzucili ich do domu Julie, skąd Zack zabrał bagaże. Dalej pojechali jej samochodem.

Zack z niedowierzaniem patrzył na długą rudere, straszącą rozmieszczonymi co dwanaście stóp czarnymi drzwiami, przypominającymi zepsute zęby, na pusty basen położony tuż obok szosy. Uniósł wzrok i na głos odczytał neon nad budynkiem:

- „Motel Zatrzymaj Się Na Chwilę”. Chyba znajdzie się w okolicy coś lepszego?

- Niestety - powiedziała, ledwie powstrzymując śmiech.

Stary mężczyzna, w stetsonie na głowie, z policzkami wydętymi przeżuwaniem tytoniem, siedział na metalowym krześle przed drzwiami recepcji i rozkoszował się wieczornym, przesyconym żywicą powietrzem.

- Witaj, Julie - zawołał. Wystarczyło mu jedno spojrzenie rzucone spod runda kapelusza, by ją rozpoznać.

Zack porzucił wszelką nadzieję na znalezienie godnego kochanków, anonimowego, romantycznego miejsca. Do biura wchodził w całkiem już podłym humorze.

- Mogę zatrzymać na pamiątkę? - zapytał właściciel, gdy Zack podsunął mu formularz z nazwiskiem.

- Oczywiście.

- Zack Benedict - odczytał tamten z szacunkiem, uniósł kartę i przyglądał się podpisowi.

- Zack Benedict w moim hotelu, kto by pomyślał, że to możliwe!

- Ja z pewnością nie - zauważył Zack chłodno. - Chyba nie macie apartamentu?

- Są pokoje dla nowożeńców.

- Żartujesz, człowieku! - Zack obejrzał się na szpetny budynek, potem zarejestrował obraz Julie, z łobuzerskim uśmiechem na twarzy, opartej o drzwi biura, i humor od razu mu się poprawił.

- Apartament nowożeńców jest wyposażony w kuchenkę - zachwalał właściciel.

- Jakie romantyczne, biorę - powiedział Zack. Za plecami usłyszał stłumiony śmiech Julie. Sam też się uśmiechnął.

- Chodźmy. - Poprowadził ją w stronę drzwi apartamentu, a człowiek z recepcji wyszedł na zewnątrz i patrzył za nimi. - Czy mi się wydaje - zapytał Zack, wpuszczając Julie do środka - że ten gość filuje, czy wejdiesz?

- Nie tylko, jeszcze czy zamkniemy drzwi i jak długo u ciebie zostanę. Jutro całe miasto będzie znało odpowiedź na każde z tych pytań.

Zack nacisnął kontakt na ścianie, spojrzął na pokój i natychmiast zgasił światło.

- Ile czasu możemy spędzić u ciebie w domu bez wywołania plotek?

Julie zawahała się. Pragnęła znów usłyszeć zapewnienia miłości, dowiedzieć się, jakie ma plany.

- Wszystko zależy od twoich intencji... - powiedziała niepewnie.

- Są uczciwe, ale usłyszysz o nich dopiero jutro. Nie powiem na ten temat słowa więcej w pokoju z łóżkiem w kształcie serca, pokrytym czerwonym pluszem, i krzesłami obitymi purpurowym materiałem.

Julie ogarnęła błoga ulga. Zack wziął ją w ramiona. W ciemnościach gładził jej twarz, całował; cichł, gdy odwzajemniała jego pocałunek.

- Kocham cię - wyszeptał. - Sprawiasz, że jestem szczęśliwy. Ukrywanie się w Kolorado zamieniłaś w dobrą zabawę. Dzięki tobie ten apartament z piekła rodem wygląda jak paniński buduar. W więzieniu, nawet wtedy, gdy cię nienawidziłem, śniłem, jak na wpół zamrożonego ciągnęłaś mnie do domu, jak ze mną tańczyłaś i kochałaś się. Budziłem się ogarnięty pożądaniem.

Musnęła jego wargi opuszkami palców, policzkiem potarła o pierś.

- Kiedyś, niedługo, zabierzesz mnie na swoją łódź, do Ameryki Południowej. Śniętam o pobycie tam z tobą.

- Nie jest zbyt okazała, dawniej miałem duży jacht. Kupię dla ciebie nowy i popłyniemy w długi rejs.

Potrząsnęła głową.

- Wolałabym, byśmy znaleźli się na tamtej łodzi, jak planowaliśmy, choćby tylko przez tydzień.

- Zrobimy jedno i drugie.

Niechętnie wypuścił ją z objęć i odprowadził przed drzwi.

- W Kalifornii jest o dwie godziny wcześniej i muszę załatwić przez telefon kilka spraw. Kiedy się znów zobaczymy?

- Jutro?

- Oczywiście, o której najwcześniej?

- Jak tylko chcesz. Od jutra hrabstwo zaczyna świętować. Będzie wielka parada, wesołe miasteczko, piknik, najrozmaitsze pokazy -wszystko z okazji dwusetlecia. I tak przez cały tydzień.

- Brzmi zachęcająco - powiedział i sam był zdziwiony, bo naprawdę tak pomyślał. - Przyjedź po mnie o dziewiątej, zafunduję ci śniadanie.

- Znam takie miejsce. Dają tam najlepsze jedzenie w mieście.

- Naprawdę, gdzie?

- McDonalds - zażartowała. Roześmiała się na widok jego przerażonej miny. Pocałowała go w policzek, wsiadła do auta i odjechała.

Wciąż uśmiechnięty, zamknął drzwi i włączył światło, podszedł do łóżka i, przełamując niechęć, położył na nim torby. Wyjął telefon komórkowy. Zadzwoił do Farrellów, którzy, jak wiedział, niecierpliwie czekali na informację o wyniku jego podróży. Chwilę czekał, aż Joe O'Hara odszukał Matta i Meredith wśród gości.

- No i? - zabrzmiał pełen oczekiwania głos Matta. - Meredith stoi przy mnie, też cię słyszy. Jak się ma Julie?

- Jest cudowna.

- Już po ślubie?

- Nie. - Zack z irytacją pomyślał o obietnicy danej ojcu Julie. - Nie śpieszymy się.

- Co takiego? - wyrwało się Meredith. - Myślałam, że o tej porze dotrzecie już do Tahoe.

- Wciąż jestem w Keaton.

- Och!

- W motelu „Zatrzymaj Się Na Chwilę”. Tym razem Meredith nie wytrzymała, usłyszał tłumiony chichot.

- W apartamencie dla nowożeńców. Teraz śmiech zabrzmiał głośniejsz.

- Jest tu nawet kuchenka. Meredith aż zapiszczała z radości.

- Wasz pilot też tu utknął, biedaczek, muszę zaprosić go na pokera.

- Uważaj - ostrzegł Matt - oskubie cię.

- Nie będzie nawet w stanie dostrzec, co ma w kartach, bo oślepi go czerwone, pluszowe łóżko w kształcie serca i purpurowe krzesła. Jak przyjęcie?

- Poinformowałem zebranych, że zostałeś wezwany w pilnej sprawie. Meredith zajęła się służbą i udaje gospodynię. O nic się nie martw, radzimy sobie.

Zack zawahał się, pomyślał o zaręczynowym pierścionku, jaki niezwłocznie potrzebował, i od razu stanęły mu przed oczami wspaniałe klejnoty z ekskluzywnych butików Bancroft & Company.

- Meredith, czy mogę prosić cię o przysługę?

- Co tylko zechcesz - zapewniła.

- Potrzebny mi natychmiast zaręczynowy pierścionelek, jeżeli to możliwe, na jutro rano. Tego, czego szukam, nie znajdę w okolicy. A w Dallas nie mogę się pokazać - zaraz mnie rozpoznają. Chcę, jak długo się da, trzymać dziennikarzy z dala od Keaton.

Zrozumiała od razu.

- Powiedz, o co ci chodzi. Jutro rano, jak tylko w Dallas otworzą sklepy, zadzwonię do kierowniczkę działu biżuterii i każę jej wybrać kilka pierścionków. Steve może zabrać je już o dziesiątej piętnaście i ci podrzucić.

- Jesteś aniołem. Oto, czego chcę...

## ROZDZIAŁ 82

Następnego dnia Zack zrozumiał, że w teksańskim mieście uroczystości dwusetlecia to poważna sprawa. Tydzień starannie przygotowanych imprez: parada na głównej ulicy miasta, zawody sportowe, pokazy zwierząt hodowlanych i inne najrozmaitsze rozrywki poprzedziło pełne patosu przemówienie burmistrza.

Stali na skraju parku w centrum miasteczka i starali się nie zwracać na siebie uwagi. Julie wskazała głową na wysokiego mężczyznę koło pięćdziesiątki, dziarsko kroczącego w stronę pawilonu ozdobionego, jak wymagały okoliczności, czerwonym, białym i niebieskim płótnem.

- Oto burmistrz Addelson. Kobieta w żółtej, lnianej sukience, to jego żona Marian. - Skinęła w stronę ładnej, elegancko ubranej kobiety, siedzącej pomiędzy honorowymi gośćmi na trybunie zbudowanej wzdłuż pawilonu i obserwującej męża przygotowującego się do wystąpienia. - Burmistrz owdowiał wiele lat temu - wyjaśniła Julie. - Marian pracowała w Dallas jako dekoratorka wnętrz i tam właśnie dwa lata temu spotkali się. Przywiózł ją, ślubu udzielił im tatuś. Budują nowy dom, na wzgórzu, a za miastem wspaniałe ranczo. Są bardzo mili.

Zack, od tyłu, przyciągnął do siebie jej jędrne pośladki i szepnął:

- Twój dotyk jest bardzo przyjemny.

Poczuła pulsującą twardość i cofnęła biodra.

- Twój też.

Zack przełknął ślinę, próbował skupić uwagę na słowach Addelsona. Burmistrz miał gęste włosy niezwykłego koloru - blond z pieprzem - spotykanego jakby częściej u mieszkańców Teksasu. Najwyraźniej cechowało go upodobanie wszystkich polityków do pompatycznych przemów - przez prawie pół godziny słuchali o bitwie stoczonej w okolicach Keaton, o historii miasta, o losach jego założycieli. Zack w myślach ważył zalety i braki scenariusza, który przeczytał jeszcze w zeszłym tygodniu, dopóki nie spostrzegł, że oficjalna część przemowy dobiegła końca, a burmistrz mówi o nim.

- Zanim wystrzeli działo i rozpoczną się uroczystości, chciałbym poświęcić kilka słów niezwyktemu gościowi, który zawitał do naszego miasta. Wszyscy wiedzą, że jest z nami Zack Benedict, że przyjechał do Julie Mathison; nie jest też tajemnicą, że wspaniały stan Teksas w przeszłości nie zachował się wobec niego zbyt przyjaźnie. Wielu z was na pewno ma nadzieję go poznać, wszyscy chcielibyśmy, by zmienił opinię o naszej ziemi. Ale,

kochani, najlepszym sposobem będzie pozostawienie mu swobody. Wiemy, przez co przeszedł, wiemy też, jak tłumy natarczywych wielbicieli potrafią uprzykrzyć życie gwiazdom filmowym, zadręczać prośbami o autograf. Na całym świecie nie ma pewnie miejsca, w którym Zack Benedict mógłby czuć się swobodnie, być traktowany jak każdy z nas. Pokażemy mu, co znaczy pochodzić z naszego miasteczka: tutaj los drugiego nie jest nikomu obojętny.

Apel burmistrza spotkał się z powszechnym aplauzem. Z miejsca dla orkiestry rozległy się werble, przyjaźnie uśmiechnięci ludzie, jeden przez drugiego, machali do Zacka, on odpowiadał uprzejmym skinieniem głowy.

Ku zaskoczeniu Zacka, mieszkańcy miasta zastosowali się do prośby burmistrza. Pierwszy raz od piętnastu lat udało mu się spędzić w publicznym miejscu tak wspaniały, spokojny dzień. Jak innym, udzielił mu się świąteczny nastrój - typowo amerykańska atmosfera. Gdy dzień dobiegał końca, Zack miał za sobą wiele cudownych chwil, jakie znajdował w zupełnie prostych przyjemnościach: odwiedzanie kramików z domowymi wyrobami, od ciastek począwszy, na ozdobionej koronkami pościeli skończywszy, objadanie się hot dogami, obficie posmarowanymi musztardą, żarty z Tedem i Katherine, czy aby konkursów nie przygotowano tak, by wygrywał każdy. Odkrył to już w Kolorado - przy Julie, nawet najbardziej błahe zajęcia urastały do rangi przygody.

Najwyraźniej była ulubienicą mieszkańców miasta, a ich sympatia, po złożonej wczorajszego wieczora w sali gimnastycznej deklaracji, że postąpi „jak należy”, zdawała się obejmować także i jego osobę. Zapragnął udowodnić im szczerą swych intencji, włożyć na palec Julie zaręczynowy pierścionek, który wybrał dzisiejszego ranka, i tylko czekał na stosowny moment - był zdecydowany zatrzeć ponure wrażenie z tamtego dnia w Mexico City; zaręczyny muszą pozostawić wspomnienie pogodne, promienne.

Teraz, gdy szli przez rozbrzmiewający gwarem, jasno oświetlony teren wesołego miasteczka, ścisnął w kieszeni dziesięciokaratowy diament o promienistym szlifie. Czuł na sobie zaciekawione spojrzenia rozbawionych, radośnie uśmiechniętych obywateli Keaton, z pewnością zastanawiających się, kiedy on wreszcie się oświadczy. Od czasu do czasu ktoś, dyskretnie, robił im zdjęcie.

- Wsiadamy na diabelskie koło? - zapytał, gdy zatrzymali się pod olbrzymią machiną. Julie zadarła głowę i patrzyła na zawieszony w górze ławeczki.

- Jeżeli obiecasz, że nie będziesz kołysał. - Odłamała kawałek długiej, różowej krówki i podała mu wprost do ust.

- Słowo skauta - skłamał. Wbił zęby w lepłą masę. - Julie, to smakuje okropnie! Jak możesz jeść coś takiego? Ale daj mi jeszcze trochę.

Roześmiała się i ułamała następny kawałek. Obydwoje uśmiechnęli się do przechodzącej obok pary, która przyjaźnie kiwnęła im głowami.

- O tym kołysaniu mówiłam całkiem poważnie - ostrzegła. On już sięgał do kieszeni po pieniądze. - Trochę boję się jazdy karuzelą.

- Ty? - zapytał z niedowierzaniem. - Kobieta, która kilka minut temu nieomal doprowadziła do katastrofy, wprawiając w ruch wirowy kapsułę rakiety?

- To co innego, byliśmy zamknięci w środku. Diabelskie koła - popatrzyła w górę - są otwarte i... straszne.

Zack już miał iść do kasy po bilety, gdy za plecami usłyszał:

- Przyjdź do nas i wygraj najprawdziwszy pozłacany pierścionek ze sztucznym kamykiem. Trafisz pięć kaczek, zdobędziesz dla swojej dziewczyny pierścionek, dziesięć - olbrzymiego, pluszowego misia!

Zack odwrócił się, spojrzał na poruszane mechanizmem kaczki, wędrujące w niekończącym się szeregu, na wsparte o ładę wiatrówki i tacę pierścionków z wielkimi, błyszczącymi kamieniami w kolorach od jaskrawożółtego po rubinowy. Olśniło go.

- Myślałam, że chcesz się przejechać na kole - zdziwiła się Julie, gdy wziął ją pod ramię i zawrócili w stronę strzelnicy.

- Idziemy, chcę zdobyć dla ciebie najprawdziwszy pozłacany pierścionek, ze sztucznym kamieniem.

- Ile strzałów? - zapytał mężczyzna zza lady. Gdy spojrzał Zackowi w twarz, głos mu drgnął. - Wyglądasz mi znajomo, koleś. - Nie odrywając oczu od Zacka, podał mu wiatrówkę, potem zwrócił się do Julie: - Twój chłopak wygląda całkiem jak... ten... jak mu tam... aktor. Wiesz... - upierał się. Zack nie zwracał na niego uwagi, tylko uniósł broń i sprawdzał, czy muszka pokrywa się ze szczerbinką. - Wiesz, o kogo mi chodzi.

Julie odpowiedziała na uśmiech Zacka zalotnym, rzuconym spod rzęs spojrzeniem.

- Taki przystojny? - zapytała. - Męska twarz, ciemne włosy?

- Tak, ten.

- Steven Segal! - zażartowała, a Zack z wrażenia nie trafił do celu. Popatrzył na nią z wyrzutem. Wycelował ponownie.

- Nie, nie o tego mi chodzi - powiedział obsługujący strzelnicę. - Tamten jest wyższy, przystojniejszy, starszy. - Zack uśmiechnął się do Julie z zadowoleniem.

- Warren Beatty! - krzyknęła, i Zack znowu spuścił broń.



- Julie - mruknął ostrzegawczo, jego ramionami wstrząsał śmiech. - Chcesz w końcu ten pierścionek?

- Nie - powiedziała z zadowoloną z siebie miną. - Misia.

- No to przestań żartować i pozwól mi ustrzelić te przeklęte kaczki, bo niedługo zejdzie się tu cały tłum.

Rozejrzała się wokół i zobaczyła, że nie wszyscy zastosowali się do prośby burmistrza o pozostawienie Zacka w spokoju. Wielu mieszkańców przystawało, by popatrzeć, jak prawdziwy Zack Benedict na żywo odtwarza scenę strzelaniny ze swoich filmów, tyle że tym razem celuje do metalowych kaczek, a nie morderców z mafii, szpiegów czy innego autoramentu złoczyńców.

Trafił do ośmiu kaczek. Rozległy się skąpe oklaski, ale zaraz zamilkły.

- Odwróć się, kochanie - powiedział do Julie. – Denerwujesz mnie.

Gdy posłuchała, sięgnął do kieszeni, mrugnął do człowieka za ladą i szybko położył pierścionek zaręczynowy pomiędzy tymi na tacy, potem strzelił jeszcze dwa razy, celowo pudłując.

- W porządku, a teraz wybierz sobie pierścionek.

Julie odwróciła się.

- Co, nie dostanę misia? - Nie dostrzegła zdumionej miny obsługującego strzelnicę mężczyzny, z rozdziawionymi ustami wpatrującego się w tacę.

- Przykro mi, dwa ostatnie strzały spudłowałem. Który wybierzesz?

Przed jej oczyma przewijała się tęcza różowych, żółtych, czerwonych i ciemnoniebieskich olbrzymich kamieni w tandetnych oprawkach. A potem zobaczyła brylant. O wiele większy od wszystkich szkiełek, błyszczał, odbijał migocące światła diabelskiego koła. Rozpoznała szlif - taki sam miały brylanciki w obrączce. Spojrzała w pełne powagi, czułe oczy ukochanego.

- Podoba ci się? - zapytał.

Widzowie wyczuwali, że dzieje się coś niezwykłego. Może dostrzegli zdumiony wzrok obsługującego strzelnicę. Podchodzili bliżej.

- Podoba mi się - powiedziała Julie cicho, drżącym głosem.

- A teraz poszukamy odpowiedniego miejsca do włożenia ci go na palec, dobrze?

Bez słów skinęła głową. Zack wziął z tacy pierścionek i odwrócili się, by odejść. Nadchodzące osoby dostrzegły radość na jego twarzy i też uśmiechnęły się.

- Tam! - Wskazał i pociągnął Julie w stronę szczelnie osłoniętej ławeczki na diabelskim kole. - Uciekajmy - dodał ze śmiechem. A człowiek na strzelnicy wołał do tłumu zdumionym głosem:

- Ten gość, ten, co wygląda jak Warren Beatty, przed chwilą wyjął z kieszeni pierścionek z olbrzymim brylantem i dał go swojej dziewczynie!

Niedaleko od karuzeli wielebny i pani Mathison rozmawiali z burmistrzem, obok z jego żoną rodzice Katherine, przybyli do Keaton specjalnie na uroczystości. Niespodziewanie nadbiegł Ted z żoną, za nimi grupka przyjaciół.

- Stało się - powiedział ze śmiechem. - Julie i Zack zaręczyli się. - Umyślnie, by nabrać ojca, dodał: - Dał jej pierścionek, który wygrał na strzelnicy.

- To wygląda niezbyt poważnie. - Wielebny zmarszczył brwi.

- Żartowałem tato, pierścionek był prawdziwy.

Wszyscy się odwrócili i szukali wzrokiem szczęśliwej pary, by złożyć gratulacje.

- Gdzie oni się podziiali? - spytała rozpromieniona pani Mathison.

Katherine wskazała na diabelskie koło - właśnie zatrzymało się, a tłum zebrany wokół wznosił radosne okrzyki.

- Tam, na górze - powiedziała i z uśmiechem wbiła wzrok w najwyższą ławeczkę - na samym szczycie świata.

Zebrani pod karuzelą głośno wołali:

- Pocałuj ją, Zack, pocałuj! - A reporter z „Keaton Crier”, który kierował obiektyw na zawieszoną w górze parę, też dołączył się do okrzyków.

Zack objął Julie ramieniem, wolną dłonią uniósł jej brodę.

- Dopóki nie zobaczą pocałunku, nie pozwolą nam zjechać na dół. Zagryzła wargi, policzki zapłonęły ogniem, dłonią zazdrośnie zakrywała zaręczynowy pierścionek na palcu.

- Nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś to na oczach wszystkich. Przecież nienawidzisz ostentacji.

Zack przyciągnął ją bliżej.

- Ta akurat mi nie przeszkadza. Cały świat - szepnął, spuszczać głowę - był świadkiem naszego cierpienia. Niech więc zobaczą, co dzieje się, gdy eks-więzień spotka na swej drodze anioła, który w niego uwierzy. Pocałuj mnie, Julie.

Wśród oklasków i okrzyków, które rozległy się na ten widok, Julie i Zack trzymali się w objęciach. Burmistrz Addelson poszukał wzrokiem Teda.

- Czy twój ojciec uzyskał jego obietnicę?

- Aha... - Ramionami młodego mężczyzny wstrząsnął śmiech.

- Biedak. - Addelson ze współczuciem patrzył na długi, namiętny pocałunek narzeczonych. - No to będzie mu diabelnie ciężko.

- Chyba tak.

- Kiedy ślub?

- Zack wspominał o dwóch tygodniach.

- Nie dość szybko - wtrącił się John Grayson, przyjaciel Teda, i spojrzał porozumiewawczo na żonę. - Dla nas to było jak dwa lata pamiętasz, Susan?

Skinęła głową i popatrzyła na Katherine.

- Twój teść to naprawdę sprytny gość.

- I bardzo mądry - dodał burmistrz z powagą.

- Inaczej mówiłeś, kochanie - przypomniała Marian Addelson -przed naszym ślubem.

- Dopiero doceniłem go podczas naszej nocy poślubnej. Grayson przez chwilę patrzył na parę narzeczonych.

- Mam nadzieję, że Benedict zna tę sztuczkę z zimnym prysznicem.

## ROZDZIAŁ 83

- Julie, kochanie, przestań, bo dłużej nie wytrzymam - szeptał Zack kilka dni później, niechętnie wydostając się z jej ramion oplatających mu szyję. Siedzieli na kanapie, w salonie jej domu. Po dwóch dobach spędzonych w motelu „Zatrzymaj Się Na Chwilę” zrozumiał, że rodzice Julie są głęboko urażeni odmową zamieszkania u nich, wymeldował się więc i przyjął zaproszenie. Tutaj mieszkało mu się o wiele lepiej, jadł smaczniej, ale nic za darmo - musiał spać w dawnej sypialni Julie, gdzie wszystko mu ją przypominało. W ciągu dnia, gdy ona uczyła w szkole, pracował u niej w domu nad scenariuszami, prowadził rozmowy telefoniczne ze swoimi pracownikami w Kalifornii, z producentami omawiał warunki kontraktów i mógł, choć na chwilę, zapomnieć o narastającym rozdrażnieniu abstynencją seksualną. Ale gdy tylko Julie wracała do domu, jedno spojrzenie na nią starczało, by pożądanie atakowało ze zdwojoną siłą. Znowu oddawali się wstępnym igraszkom, ale te zwiększały jeszcze jego udrękę.

Ledwo nad sobą panował i wieczorami, by nie zostawać z Julie sam na sam, wyruszali na miasto z jej przyjaciółmi. Przed dwoma dniami skończyło się na pieszczotach w ostatnim rzędzie miejscowego kina, gdzie, jak wiedział, nie mógł posunąć się zbyt daleko, wczoraj zaproponował, by poszli do kręgielni, tutaj mógł czuć się całkiem bezpieczny.

Teraz, klnąc pod nosem, patrzył, jak Julie odsuwa się i wstaje z kanapy.

- Nie powinienem był dać się nakłonić twojemu ojcu do złożenia tej idiotycznej obietnicy. W dzisiejszych czasach przedmałżeńska abstynencja to niepoważny, wręcz archaiczny przeżytek. Chciał się zemścić za to, że cię porwałem. On jest sprytnym sadystą! Tylko raz, przez krótką chwilę, mogłem przyznać mu rację. W kościele na niedzielnej mszy.

- Niby dlaczego? - Julie powstrzymała się od śmiechu, starała się, by jej słowa zabrzmiały poważnie.

- Bo ta godzina w kościele, w zeszłym tygodniu, była jedyną, gdy nie miałem erekcji!

Nie pierwszy raz Zack skarżył się na warunki umowy z jej ojcem, ale jego drażliwość spowodowała, że Julie wołała nie mówić mu, że nie jest jedyną ofiarą pastora. Nie wiedziała, jak on, dumny i skryty, zareaguje na wiadomość, że żadnemu mężczyźnie w mieście, któremu jej ojciec udzielał ślubu, nie są obce jego uczucia. Julie uniosła głowę i patrzyła, jak Zack nerwowym krokiem zaczyna przemierzać pokój.

- Mam trzydzieści pięć lat - wybuchnął z goryczą - jestem człowiekiem światowym, o zupełnie przyzwoitym ilorazie inteligencji, a czuję się jak napalony osiemnastolatek. I tak się

właśnie zachowuję! Sądząc z częstotliwości zimnych pryszniców, twoja matka gotowa pomyśleć, że cierpię na manię czystości! I bez przerwy jestem zirytowany!

Julie odsunęła włosy z czoła, wstała i rozbawiona popatrzyła na narzeczonego.

- Skąd, w ogóle tego nie widać. Z westchnieniem poskładał kartki rozłożonych na stole scenariuszy.

- Co robimy wieczorem?

- Pomyślałeś o uspokajającym działaniu porządkowania kuchennych kredensów? - zażartowała. - Na mnie ta czynność zawsze miała kojący wpływ. Moglibyśmy spróbować razem.

Zack już otwierał usta, by ostro odpowiedzieć, ale zadzwonił telefon. Pochwyił słuchawkę i wyładował zdenerwowanie na niczego nie podejrzewającej rozmówczyni.

- O co znowu, do cholery, chodzi?

Sally Morrison, rzeczniczka prasowa Zacka, zachowała pełen ironii spokój.

- Dobry wieczór, Zack, jak miło znowu cię słyszeć. Dzwonię, by porozmawiać z Julie. Musi mi powiedzieć, czy chcecie, by zaproszenia na ślub rozwieziono jutro limuzynami, czy doręczono przez posłańca. Już obdzwoniłam pięćdziesiątkę szczęśliwców, którzy otrzymają ten przedmiot powszechnego pożądania. Nikt nie odmówił. Będą mieli dość czasu, by poczynić przygotowania i zjawić się w Keaton w sobotę wcześnie rano. Betty i ja - mówiła o sekretarce Zacka - załatwiłyśmy limuzyny, które wyjadą po gości na lotnisko w Dallas i odwieżą do Keaton. Apartamenty w hotelach w Dallas, takie jak chciałeś, już na nich czekają.

Zack uspokoił się trochę. Począł, aż Julie pójdzie do jadalni i ściszym głosem zapytał:

- Czy ona ma pojęcie, kto tu się zjawi?

- Nie, szefie. Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami powiedziałam jej, że ma spodziewać się pięćdziesięciu twoich wspólników w interesach, wyjątkowych nudziarzy. Aha, jeszcze ja, pięćdziesiąta pierwsza.

- A co z dziennikarzami, jak udaje ci się trzymać ich na dystans? Wiedzą przecież, że tu jestem, o ślubie w sobotę także. Bez przerwy trąbi o tym telewizja. Widziałem tu tylko kilku reporterów. Trzymali się z daleka, a obawiałem się, że nas dopadną.

Sally zawahała się.

- Czy Julie nie powiedziała ci, jak poradziła sobie z prasą?

- Nie.

- Zgodziła się na obecność dziennikarzy na ślubie przez całą godzinę. Jeżeli nie potwierdzisz jej obietnicy, będę miała nieliczne kłopoty.

- Jakie? - zdziwił się.

- Jak już się rozłączymy, zapytaj Julie. A teraz daj mi ją do telefonu.

- Julie, Sally chce z tobą rozmawiać - zawołał.

- Już idę - usłyszał. Weszła z nieodłącznym ostatnio zeszytem w ręce, w którym odnotowywała skrzętnie, co jeszcze należało załatwić przed weselem. Zdjęła klips z prawego ucha i brodą przytrzymała słuchawkę na ramieniu. - Cześć, Sally - powiedziała pogodnym głosem i Zack poczuł się jak znerwicowany, agresywny idiota, który nie potrafi zapanować nad seksualnymi ciągotami i zachować się jak dżentelmen. - O co chodzi? - Przez chwilę słuchała, potem rzekła: - Zapytam Zacka.

Uśmiechnęła się do niego, czym sprawiła, że poczuł się jeszcze gorzej.

- Sally chce wiedzieć, czy zaproszenia mają jutro być dostarczone gościom z Kalifornii limuzynami czy przez posłańca. - Zajrzała do notatnika. - Limuzyny będą kosztować cztery razy drożej.

- Limuzyny - zdecydował.

- Limuzyny - powtórzyła do telefonu.

Odłożyła słuchawkę. Zack popatrzył na Julie z podziwem. Pomimo stresu, spowodowanego weselnymi przygotowaniem - to już w najbliższy weekend! - nie traciła opanowania.

Rachel spędziła miesiące na planowaniu wesela, zastanawiając się gorączkowo, jak zagospodarować ćwierć miliona dolarów, przeznaczonych na ten cel przez Zacka, a kontakty z olbrzymią liczbą reprezentantów mediów wymagały od dwóch jego rzeczników prasowych niezłej harówki. Niezbędna okazała się liczna armia służby, doradców i pomocników, a przecież Rachel nawykła do stresów związanych z wystąpieniami publicznymi. Mimo to całe tygodnie przed ślubem zachowywała się jak rozhisteryzowana jędra, faszerując się tabletkami uspokajającymi.

Julie przygotowywała ślub tylko przez tydzień, a do pomocy miała jedynie Katherine; sprawy w Kalifornii pomagali załatwiać kompetentni, ale nieliczni pracownicy Zacka. Nadal uczyła i zajmowała się wynajęciem swojego domu, ale ani na chwilę nie traciła cierpliwości, nie napadała na Zacka. Julie była istotną częścią życia mieszkańców Keaton i ci, jak mogli, starali się, by jej przyszedł mąż, na każdym kroku, odczuwał ich sympatię.

Dlatego, choć liczbę gości na popołudniowej ceremonii ograniczono do rodziny i najbliższych przyjaciół, na wieczorne przyjęcie w parku zaproszono licznych znajomych Mathisonów. Ale decyzja, by ugościć aż sześćset pięćdziesiąt osób, wyszła od Zacka. W ciągu spędzonych tu dni przebywanie wśród tych przyzwoitych w każdym calu ludzi dawało

mu większą przyjemność niż towarzystwo znajomych z dotychczasowego życia. Trochę marudził, ale uwielbiał spędzać z Julie czas na zwykłych, nieskomplikowanych rozrywkach. Często tańczyli w restauracji, gdzie dołączali do nich, nie narzucający się ze swym towarzystwem, znajomi Julie. Chodził z nią do kina, objadał się popcornem - trochę zatechłym; pieścił Julie, a potem, pod ramię, w kojącym, nocnym powietrzu odprowadzał do domu. Zeszłego wieczora, z Tedem i jego przyjaciółmi, grał w bilard w domu państwa Cahillów, a w tym czasie Julie, Katherine i żony pozostałych donosiły jedzenie i zagrzewały swych mężczyzn do walki; potem przyglądał się zaskoczony, jak Julie gra ze zwycięzcą i wygrywa.

Jakoś udawało jej się to wszystko godzić, miała jeszcze czas na pertraktacje z kilkoma miejscowymi kobietami, dotyczące zajęcia się kulinarną stroną przyjęcia, wynajęcie orkiestry, dobranie muzyki, zamówienie kwiatów u miejscowego ogrodnika, sprowadzenie z Dallas białych, płóciennych zadaszeń, pod którymi, w parku, kelnerzy mieli rozstawić stoły. Zack czasem przysłuchiwał się prowadzonym przez telefon rozmowom i miał nadzieję, że to jego - drugie już - weselne przyjęcie ciepłą atmosferą wynagrodzi niedostatki elegancji, której, jak sądził, pewnie zabraknie. Gdyby się mylił, tylko deszcz mógłby uratować sytuację!

Julie zawahała się jedynie przy wyborze ślubnej sukni i sukienek druhen - Katherine, Sary i Meredith. Meredith szybko znalazła rozwiązanie tego problemu: sprowadziła z ekskluzywnego butików Bancroft & Company zdjęcia wszystkich strojów ślubnych i pocztą kurierską wysłała do Keaton. Julie wybrała trzy, a te pilot Farrellów dostarczył z Chicago następnego dnia. Rachel zastanawiała się przez całe tygodnie nad wyborem; Julie, Katherine i Sara potrzebowały tylko dwóch godzin. Potem zaniósł swoje suknie bliźniaczkom Eldridge, by te dokonały stosownych poprawek. Meredith przebywała z Mattem w Chicago i tam wybrała swoją.

Przez cały ten czas jedyna sprzeczka, która zmaćła wieczór zaręczyn, wybuchła z powodu chęci poniesienia przez Zacka całości kosztów wesela. W rozmowie w cztery oczy z ojcem Julie doszli w końcu do porozumienia; pastor dzięki Bogu nie miał najmniejszego pojęcia ile będzie kosztować ślubna suknia z Bancroft & Company ani ile Zack zapłaci Mattowi Farrellowi za paliwo do odrzutowca - prawdę mówiąc w ogóle nie orientował się w cenach - i Zack łaskawie zgodził się by wielebny wyasygnował dwa tysiące dolarów na koszty ślubu, a potem zaproponował - równie łaskawie - że jego księgowy zajmie się męczącym zadaniem zbilansowania wydatków, a on, Zack Benedict, dopłaci wszystko, co przekroczy kwotę wyłożoną przez Jima Mathisona.

Zack patrzył na Julie, pracownicę zapisującą coś w notesiku i pomyślał o nawale zajęć, jakiemu musiała podołać, i napięciu, w jakim żyła. Zastanawiał się, jakim cudem starcza jej na to wszystko czasu. Jego pracowite dni upływały w spokoju. Wolny od kalifornijskiego zgiełku, mógł poświęcić czas na czytanie scenariuszy i zastanawianie się, czego oczekuje po swoim pierwszym po wyjściu z więzienia filmie. Kierownicy studia, producenci i bankierzy, z którymi będzie musiał się spotkać, czekają, aż wróci do domu.

Dramatyczna ucieczka z więzienia, ponowne aresztowanie, potem zwolnienie, a teraz ślub z młodą nauczycielką, która wcześniej była jego zakładniczką, sprawiły, że stał się jeszcze głośniejszą postacią niż przed wyładowaniem za kratkami. Nie musiał czytać „Variety”, by się dowiedzieć, że jest teraz w filmowym biznesie wielce poszukiwaną osobą.

Poza swoją pracą, jedyną sprawą, jaką musiał osobiście zająć się w ostatnim tygodniu, była poprawa publicznego wizerunku Julie. Początkowo, po zademonstrowaniu w telewizji filmów z Mexico City, Julie uznano za bohaterkę, która pomogła ująć mordercę - szaleńca. Kilka tygodni później, po ogłoszeniu, że Zack padł ofiarą pomyłki sądowej, te same taśmy uczyniły z niego ofiarę brutalności policji, a z Julie podstępą dziwkę, która go wydała. Zack, nie chcąc, by Julie dłużej cierpiała, w tajemnicy przed nią wysłał kopię taśmy otrzymanej od Richardsona przyjacielowi z CNN. Zaraz po wyemitowaniu filmu opinia publiczna zareagowała na widoczne na nim cierpienia Julie podobnie, jak wcześniej Zack.

Teraz przypomniał sobie ogrom spraw załatwianych przez nią od tygodnia i poczuł się winny, zawstydzony rozdrażnieniem z powodu czegoś, co w końcu było tylko dwoma tygodniami wymuszonej powściągliwości wobec pożądanej kobiety. Podeszedł do Julie, wyjął z jej rąk notatnik, pocałował ją w czoło.

- Jesteś zdumiewającą kobietą, kochanie - powiedział czule. - Niestety, wychodzisz za napalonego kretyna o rozhuśtanej psychice.

Pocałowała go z żarliwością, która spowodowała, że cofnął się z jękiem.

- Możesz przecież złamać słowo albo powiedzieć mojemu ojcu, że wasza umowa przestaje obowiązywać - przypomniała.

- Nie zamierzam złamać słowa!

Prychnęła i potrząsnęła głową, uniosła notatnik, ujęła ołówek, jakby już zapomniała o pocałunku, który przecież, ledwie chwilę temu wzburzył w nim krew.

- Byłabym rozczarowana, gdybyś postąpił inaczej.

- Może pomogłoby - powiedział Zack, nie wiedząc czemu rozdrażniony jej opanowaniem, które przed chwilą podziwiał - gdybym wiedział, że ten pozbawiający nas seksu układ doprowadza cię do szaleństwa co najmniej w połowie jak mnie.



Julie odłożyła notatnik i wstała. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy że albo nie znosi presji wydarzeń tak spokojnie, jak sądził, albo wyprowadził ją z równowagi swym zachowaniem. A być może jedno i drugie.

- Mamy być na boisku baseballu, pamiętasz? - zapytała wyraźnie rozdrażniona. - To bardzo ważny mecz; gra drużyna Małej Ligi, którą przez cały rok pomagałam trenować, przeciwko teamowi z Perseville. Zgodziłeś się sędziować, wszyscy są tym podnieceni. Nie kłóćmy się, zdążymy posprzeczać się w czasie meczu.

Trzy godziny później, w obecności dwóch zdumionych drużyn Małej Ligi i zaskoczonych rodziców, podziwiających z trybun swoje pociechy, Zack wyładowywał stres całego tygodnia, co chwilę eksplodując niczym nieuzasadnionym zniecierpliwieniem.

Właśnie rozgrywano siódmą turę. Był remis. Zack, kucając za stanowiskiem na mecie, zauważył, jak zawodnik miejscowej drużyny lekko nadepnął na linię.

- Aut! - krzyknął Benedict i uniósł rękę. W ciągu siedmiu dotychczas rozegranych rund zorientował się, że Teksaszczyki bardzo poważnie traktują mecze baseballowe Małej Ligi rozgrywane z udziałem synów, i nawet sławny aktor, którego wcześniej zdążyli polubić, nie uniknie surowej oceny, gdy, jako sędzia, podejmie niesłuszną, ich zdaniem, decyzję. Teraz mieszkańcy Keaton buczeniem i wrzaskami wyrażali najwyższy stopień niezadowolenia z postawy sędziego.

Julie, obserwująca z ławki trenerów przebieg spotkania, orzeczenie Zacka, wymierzone przeciwko jej drużynie, oceniła, podobnie jak dwa poprzednie, jako niesprawiedliwe. Zaciśnęła zęby i wkroczyła na boisko, by wyrazić dezaprobatę.

- Zwariowałaś! - zaatakowała zaskoczonego Zacka. - Wcale nie był na aucie!

- Był!

Wsparała ręce na biodrach i, nie zwracając uwagi na krzyki i śmiechy tłumu za jej plecami, rzuciła z furją:

- Odbijasz sobie własną frustrację na mnie i mojej drużynie, nie pozwolę na to!

Zack zmierzył ją wzrokiem. Narastał w nim gniew z powodu jakże niesprawiedliwej insynuacji - publicznego zakwestionowania jego kwalifikacji sędziowskich i zarzucenia mu nieprzestrzegania zasad fair play.

- Był na aucie! A ty wracaj na swoje miejsce! - Gestem ręki wskazał w kierunku ławki. Za późno połapał się, że śmiech, który towarzyszył powrotowi Julie na miejsce, przeważa szalę i jej napięte nerwy nie wytrzymają.

Jej trzeciemu zawodnikowi wyszły dwa uderzenia, ale następny uznał za nieprawidłowy i uchylił się.

- Trzeci nietrafiony! - zawołał sędzia, a tłum na trybunach wybuchł wściekłością. Zack zdumiał się jednak, gdy Julie, niczym rakietą, ruszyła z ławki w jego kierunku, pokrzykując w stronę swych zniechęconych zawodników, by pozostali na boisku. Natarła na Zacka niczym rozsierzona wiedźma.

- Spraw sobie okulary! - Trzęsła się z gniewu. - Nie miałeś racji, dobrze wiesz.

- Ma zejść z boiska!

- Wcale nie! Chcesz pokazać, jaki to jesteś sprawiedliwy, dlatego sędziujesz z krzywdą dla mojej drużyny!

- On schodzi, a tobie, jeżeli nie przestaniesz, przytrafi się to samo.

- Nie odważysz się mnie usunąć! Zack powoli wyprostował się.

- Robisz z siebie widowisko - warknął. - Siadaj!

- Dopiero teraz będzie na co popatrzeć! - Odsunęła się krok do tyłu i, ku jego zdumieniu, szpicem buta rozorała ziemię tak energicznie, że kłęby kurzu doleciały aż do niego. - Masz swoje widowisko! - powiedziała z wściekłością.

- Już cię nie ma! - krzyknął. Wyciągnął rękę w górę w geście sędziego usuwającego trenera, a w ciepłym, wieczornym powietrzu, gdy Julie schodziła z boiska, rozległy się okrzyki poparcia dla niej. - Gramy! - wrzasnął Zack, gestem przywołał drugą drużynę i ponownie kucnął za stanowiskiem na mecie. Kątem oka obserwował Julie, gdy szła do ławki po sweter, patrzył na sztywno wyprostowane plecy, poruszające się rytmicznie biodra, gęstwę włosów opadającą na ramiona. Na pewno pożałuje, pomyślał, już ona się o to postara!

Młody Jenkins wydawał się podobnego zdania, bo gdy przechodził obok Zacka, swym ponurym głosem ostrzegł go głośno:

- Tkwisz po uszy w kłopotach, Benedict.

Drużyna Julie przegrała 4 do 3. Pokonani i ich rodzice zebrali się w miejscowej restauracji, by przekąsić coś napić się, co - Zack się domyślił - było rytuałem po każdym meczu. Julie już tam czekała. Dla wszystkich swoich chłopców miała słowa pociechy i podziwu, ale Zackowi, gdy zaproponował jej coś do picia, nawet nie odpowiedziała. Inni dorośli już wydawali się nie pamiętać, że jego decyzja pogrzyżyła ich drużynę - kilku zaproponowało piwo. Ale Julie demonstracyjnie odwróciła się do niego plecami i rozmawiała z Katherine, Sarą Mathison i innymi przyjaciółkami.

Zack, mając do wyboru publiczną próbę ułagodzenia jej, do czego się nie palił, albo pośpieszenie do baru, przy którym dostrzegł jedzących pizzę Teda, Carla, Johna Graysona i burmistrza Addelсона, zdecydował się na to drugie. Ted zobaczył, jak Zack nadchodzi i zwrócił się do niego twarzą, wspierając łokcie na kontuarze.

- To było fatalne rozstrzygnięcie, Zack - powiedział i uśmiechnął się szeroko.

- Bardzo złe - dorzucił Carl.

- Naprawdę złe - dodał burmistrz Addelson. Parsknął śmiechem i wrzucił następną garść orzeszków do ust.

- Mojemu sędziowaniu nic nie można zarzucić - powiedział Zack obojętnie.

- Może i tak - zgodził się Addelson - ale akurat ta decyzja była zła.

- Nie macie o czym mówić? - wybuchnął Zack, bardziej rozżłoszczony, niż mógłby kiedykolwiek przypuścić, bo Julie nadal nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. - Jeśli ona boi się oparzyć, nie powinna zbliżać się do ognia.

Z jakiegoś powodu to banalne stwierdzenie przyprawiło czterech mężczyzn o łzy śmiechu.

Zack zignorował ich zachowanie; jego gniew wciąż narastał, gdyż dotarło do niego, w jak groteskowej, upokarzającej sytuacji się znalazł. Miał trzydzieści pięć lat, jego majątek oceniano na ponad 100 milionów dolarów; poza pięcioma latami odosobnienia przez resztę życia jadał w najlepszych restauracjach, zatrzymywał się w najelegantszych hotelach, obracał wśród utalentowanych i sławnych jak on sam osób.

Teraz musiał jeść pizzę przy barze, w podrzędnej restauracji, w zabitej deskami „metropolii na węzowisku” w Teksasie, ignorowany przez kobietę, która, wychodząc za niego, powinna czuć się zaszczycona! Ogarnęła go wielka ochota, by wyciągnąć ją stąd, zmyć porządnie głowę i rzucić do łóżka, czyli postąpić tak, jak powinien mieć prawo zrobić każdy mężczyzna z kobietą, którą zamierza niedługo poślubić. A poczynione z jej ojcem uzgodnienia są złośliwą, małostkową zemstą tego sypiącego cytatami z Biblii, aroganckiego, chytrego osła...

Odsunął się od baru.

Burmistrz Addelson ciężko położył dłoń na jego ramieniu i ojcowskim tonem powiedział:

- Posłuchaj człowieka, który już znajdował się na twoim miejscu - nie rób tego.

- Czego? - warknął Zack.

Ted nachylił się burmistrzowi przez ramię i uśmiechnął się do Zacka.

- Napij się czegoś zimnego, potem idź do domu i weź następny zimny prysznic. Wytrzymaj ten tydzień. Kiedyś wspomnisz ten okres i będziesz się serdecznie śmiał.

- Nie mam, do cholery, pojęcia, o co wam chodzi.

- O to, co w mieście jest powszechnie znane jako „Przedślubna Metoda Mathisona” - wyjaśnił spokojnie Ted. - O sposób mojego ojca, wynikający z jego dobrych intencji, na

nadanie właściwej rangi nocy poślubnej w epoce, w której pary nie czują związanej z nią magii, bo zaczynają współżyć ze sobą dużo wcześniej.

Zacka ogarnął gniew, zacisnął szczęki. Pewnie ojciec Julie rozpałał wszystkim w mieście o idiotycznej umowie, narzuconej mu z zemsty za porwanie córki.

- Co wam powiedział? - spytał ostrym tonem.

John Grayson wysunął głowę zza ramienia Teda.

- Patrzcie, już zaczyna głuchnąć. - Z lubieżnym uśmiechem na twarzy dodał: -  
Wiesz, co dzieje się z człowiekiem, jak to robi?

Ted pociągnął łyk ze szklaneczki.

- Od tego się nie głuchnie, ale ślepie.

- O czym, do cholery, mówicie?

- Rozmawiamy o tobie, drogi przyjacielu - odrzekł Ted. - To nie Julie ma problemy, ale ty. Przechodziliśmy przez to wszyscy. Połowa mężczyzn w mieście dała się, jak ty, przekonać Mathisonowi, i ci, którzy wytrzymali, kłócili się ze swymi przyszłymi żonami o rzeczy zupełnie nieistotne.

Po tym, co usłyszał, wściekłość i przygnębienie Zacka gdzieś odplynęły.

- Powiedz mu, burmistrz - zachęcał Ted.

- To był koszmar. Mam dziesięć lat więcej niż ty, synu, a nigdy nie uwierzyłbym, że tak bardzo będę łaknął seksu, i to dlaczego? Z powodu złożonej dla świętego spokoju obietnicy wstrzemięźliwości. Kobiety też znoszą źle ten okres, ale uważam, że im jest łatwiej, bo po kryjomu rozkoszują się widokiem ogłupiałych samców, pożądających ich ponad wszystko. Tej ostatniej, dotyczącej kobiet teorii - dodał - nie ja jestem autorem, powstała w głowie profesora socjologii, z którym miałem zajęcia na drugim semestrze studiów. A przy okazji, gdzie kończyłeś college? Wyglądasz mi na Jankesa, ale brakuje ci akcentu. - Addelson najwyraźniej próbował rozładować sytuację.

Rozdarty między irytacją a niedowierzaniem co do efektu „Metody Mathisona”, Zack zawahał się. Przez chwilę podziwiał śliczny profil narzeczonej. Zabawne - jego seksualna udręka dla nikogo nie stanowiła tajemnicy!

- Studiowałem w Kalifornii - skapitulował.

- Jaki przedmiot?

- Finanse i film.

- Dwa?

Zack przytaknął ruchem głowy. Nie odrywał wzroku od Julie, z niechęcią myśląc o czekającej go próbie - o zgrozo, publicznie! - ułagodzenia jej gniewu.

Przy końcu baru Ed Sandell oparł nogi w podniszczonych kowbojskich butach na krawędzi stołka i przetarł chustką swój opalony kark.

- Moja siostra, Holly, widziała Benedicta w niedzielę w kościele - zwrócił się do dwóch towarzyszących mu kowboi i wskazał głową na stojącego obok szafy grającej Zacka. - Mówiła, że to fajny gość.

- Mięczak - orzekł Jake Barton. Zsunął kapelusz na tył głowy.- Wszystkie te hollywoodzkie typki to zniewieściałe mięczaki.

- Mylisz się - zaprotestował Martin Laughlin. - Ten facet ma za sobą pięć lat ciężkiego więzienia.

- Wielkie mi coś. Jest i pozostanie frajerem. Spójrz na te dzinsy, projektant mody nieźle się nad nimi nagłowił.

- Daj spokój, Jake - nie zgadzał się Laughlin. - Nie tylko spędził pięć lat za kratkami, ale jeszcze miał dość ikry, by stamtąd zwiać.

- I zaraz go złapali, to mięczak - upierał się Jake.

Ed Sandell skinął na kelnerkę.

- Sędziował dzisiaj mecz z Perseville. Julie Mathison nakrzyczała na niego, a wtedy wyrzucił ją z boiska - dorzucił obojętnie.

- Nie chrzanisz? - Jake Barton uniósł wzrok.

- Nie.

Wzgarda zniknęła z twarzy Jake'a, zastąpiła ją mina pełna szacunku. Popatrzył na Zacka Benedicta, potem z uśmiechem na kelnerkę.

- Tracy - zawołał - zanieś panu Benedictowi drinka, na mój rachunek.

Z drugiej strony sali Julie rzuciła na Zacka ukradkowe spojrzenie. Ich oczy spotkały się, ale nie spuścił wzroku, patrzył obojętnie. Czekał. Jej gniew wypalił się do końca. Kochała go tak bardzo, razem przeszli przez tak wiele! Dzisiaj nie miała racji - wiedziała o tym. Teraz żałowała, że nie dała się wcześniej, zaraz po przyjściu tutaj, przeprosić, bo teraz będzie musiała zapomnieć o dumie i pierwsza, pod ciekawskimi spojrzeniami zebranych, wyciągnąć rękę do zgody.

Przeprosiła osoby, z którymi rozmawiała, i podeszła do Zacka - to idiotyzm marnować następną minutę ich życia! Kiwnęła głową burmistrzowi, braciom, Johnowi Graysonowi, a potem... wsadziła dłonie do kieszeni szortów.

- No więc? - powiedział Zack zachęcająco. Starał się nie zauważać, jak cudownie napina się koszulka na jej piersiach.

- Chciałabym zamówić coś do jedzenia.

Był rozczarowany brakiem natychmiastowych przeprosin. Rozejrzył się za kelnerką i skinął na nią.

- Co ma być, kochani? - Tracy wbiła wzrok w notes i ołówek i starała się ukryć zmieszanie. Nie wiedziała, na jakim etapie znajduje się nieporozumienie pomiędzy tymi dwojgiem, wywołane ich sprzeczką na boisku baseballu, o której huczało już całe miasto.

- Nie mogę się zdecydować - powiedziała głośno Julie. Przeniosła spojrzenie z kelnerki na narzeczonego. - Mam zamówić placek z nadzieniem upokorzenia czy przeprosin?

- A który wolisz? - Zack wykrzywił w uśmiechu wargi. Julie spojrzała na kelnerkę, starającą się, bez powodzenia, zachować powagę.

- Po jednej porcji każdego, Tracy.

- Dwie pizze z dodatkowym serem i pepperoni - powiedział już na serio Zack. Z uśmiechem mocno objął Julie i przyciągnął do siebie. Dziewczyna odczekała, aż kelnerka kawałek odejdzie.

- I jeszcze lornetkę dla sędziego, Tracy - zawołała.

Ciche westchnienie ulgi obiegiło restaurację, zaraz rozległy się rozmowy i śmiechy.

Wracali do domu wśród pachnącej nocy, trzymając się za ręce.

- Podoba mi się tutaj - powiedział Zack. Wchodzili na chodnik przed domem Julie. - Nie wiedziałem, że tak bardzo potrzebuję normalności. Odkąd opuściłem więzienie, bezskutecznie próbowałem się rozluźnić.

Byli na miejscu. Weszła do środka, drzwi zostawiła otwarte. Zack potrząsnął głową i pozostał na werandzie.

- Nie kuś mnie - zażartował. Przyciągnął ją do siebie, by się z nią pożegnać. Wargami musnął jej usta, chciał się odsunąć - nadaremnie. Ramionami oplótł jego szyję, całowała go z miłością, z przeprosinami, jakie przepełniały jej serce po brzegi. Zack przegrał ze sobą walkę; jego usta żarliwie zaciskały się na wargach dziewczyny, niespokojną dłońią powędrował do jej piersi, potem pośladków; przyciskał ją mocno do swego podnieconego ciała i w końcu obydwójce rozpalili się na dobre.

Oderwał się wreszcie od jej warg, ale ona wciąż obejmowała go za szyję, policzkiem tarła o jego pierś - kotka ze schowanymi pazurkami, których ostrość dzisiaj zademonstrowała. Tuliła się do niego mocno i właśnie zastanawiał się, czy dopuścić do udręki następnego pocałunku, gdy odsuwając głowę, z zapraszającym uśmiechem popatrzyła mu w oczy. Poczul przyływ pożądania, ale niechętnie potrząsnął głową.

- Nic z tego, moja ty kusicielko - powiedział ze sztucznie surową miną - jeszcze nie wybaczyłem ci braku informacji, że twój ojciec od dawna w podobny sposób dręczy każdego nieszczęśnika, który poprosi o udzielenie ślubu.

W świetle księżyca widział, jak jej oczy błysnęły wesołością.

- Bałam się, że poczujesz się jeszcze gorzej, gdy się zorientujesz, że wszyscy w miasteczku wiedzą, przez co przechodzisz.

- Julie. - By zilustrować następne słowa, przyciągnął jej biodra do swego stwardniałego członka. - Jak mógłbym się czuć gorzej niż teraz?

- Ja także cierpię! - wybuchnęła gwałtownie. Zack roześmiał się i delikatnie pocałował ją na dobranoc.

- Sprawiasz, że jestem bardzo szczęśliwy - powiedział z czułym uśmiechem. - W moim dotychczasowym życiu czasami się nudziłem, przy tobie nigdy.

## ROZDZIAŁ 84

Do ślubu pozostały dwa dni. Zack siedział za biurkiem w gabinecie pastora Mathisona. Na chwilę oderwał oczy od scenariusza i z roztargnieniem uśmiechnął się do Mary Mathison.

- Zack, kochanie - zmieszana położyła na biurku talerz ze świeżo upieczonymi ciasteczkami - czy mogę cię prosić o radę?

- Oczywiście. - Sięgnął do talerza.

- Nie jedz za dużo ciastek, niedługo obiad - przypomniała.

- Będę uważał - obiecał z chłopcym błyskiem w oczach. Przyszli teściowie od samego początku, odkąd u nich zamieszkał, wzbudzali w nim uczucie sympatii i przywiązania.

- Wyobrażali rodziców, o jakich marzył, a nigdy nie miał; dom Mathisonów wypełniała radość, tchnął miłością - tym, czego zawsze mu brakowało, czego łaknął. Jim Mathison był człowiekiem mądrym i dobrym. Wieczorami długo nie kładł się spać, chciał poznać Zacka bliżej. Grywał z nim w szachy, z reguły zwyciężał, opowiadał cudowne historie z dzieciństwa Julie i Teda.

Przyszłego zięcia traktował jak syna: doradzał oszczędność i zapobiegliwość, przestrzegał przed kręceniem filmów pornograficznych. Mary Mathison matkowała Zackowi - karciała za zbyt ciężką pracę, wysyłała do miasta, by załatwiał sprawunki, traktowała jak własne dziecko. Tak więc on, który w całym swym dorosłym życiu tylko z daleka oglądał sklep z mięsem czy pralnię, czuł się wzruszony, ale i zakłopotany, gdy z listą spraw do załatwienia wysyłano go do miasta. Zaskakiwała go przyjemność, z jaką przyjmował żarty sklepikarzy, ich pytania o nową rodzinę.

- Jak radzi sobie Mary z tym przedweselnym rozgardiaszem? - zapytał rzeźnik, podając Zackowi zawiniętego w biały papier kurczaka. - Mam nadzieję, że pilnuje swojego ciśnienia.

Właściciel pralni wręczył Zackowi stosik wypranych i starannie wyprasowanych obrusów.

- Bez opłaty - powiedział. - Wszyscy jesteśmy bardzo szczęśliwi i chcemy mieć w tym weselu jakiś udział. Wchodzi pan do wspaniałej rodziny, panie Benedict.

- Najlepszej - odparł Zack i tak też myślał.



Zaniepokoił się, gdy zauważył, że Mary stara się ukryć jakieś zmartwienie. Pod jego spojrzeniem wygładziła fartuszek i popatrzyła na niego zmieszana.

- O co chodzi? - zapytał. - Jeżeli o obranie cebuli, jak wczoraj, będzie cię to kosztowało dodatkową porcję ciasteczek.

- Nic z tych rzeczy, potrzebuję rady, a raczej duchowego wsparcia. - Przysiadła na skraju krzesła.

- W jakiej sprawie? - zapytał, gotowy wesprzeć ją w każdej.

- Chodzi: o coś, co zrobiła Julie, a do czego ja ją zachęciłam. Muszę ci zadać pytanie teoretyczne, zasięgnąć opinii mężczyzny.

- No to mów. - Zack pochylił się na krzesło, skupiając na niej całą uwagę.

- Powiedzmy, że pewien mężczyzna, na przykład mój mąż - zaczęła niepewnie, a Zack natychmiast domyślił się, że tym mężczyzną jest Jim Mathison - ma krewnego, z którym pokłócił się i rozstał bardzo dawno temu, a ja wiem, z całą pewnością, że ta osoba pragnie się z nim pogodzić, zanim będzie za późno. Julie i ja uważamy, że to wesele jest najlepszą, a może ostatnią okazją do załagodzenia waśni rodzinnej. Czy postąpiłybyśmy właściwie, zapraszając tę osobę bez powiadomienia mężczyzny, którego sprawa dotyczy?

Nadszedł moment zapłaty za nieznośny układ, w jaki został wmanewrowany, pomyślał Zack z rozbawieniem. Ale zaraz spoważniał. Nie uważał tego pomysłu za najlepszy, i już miał wypowiedzieć swoje zdanie, kiedy ona dodała cicho:

- Problem w tym, że już to zrobiliśmy.

- Aha. - Zack uśmiechnął się. - Wobec tego nie pozostaje nic poza trzymaniem kciuków.

Skinęła głową i wstała. Mocniej zawiązała fartuszek.

- Tak też pomyślałyśmy. Najważniejsze - dodała stanowczo - nie chować długo urazy. Biblia nakazuje wybaczać tym, którzy nas skrzywdzili. Pan Bóg określił to wyraźnie.

Przywołał na twarz stosowną do chwili, poważną minę.

- Tak, proszę pani. Słyszałem o tym.

- Mów do mnie mamó - zaproponowała, potem podeszła do niego i przytuliła po matczynemu, a on poczuł się znacznie młodziej. - Wspaniały z ciebie człowiek Zack, naprawdę. Jim i ja jesteśmy dumni, że wejdiesz do naszej rodziny.

Godzinę później znów uniósł głowę znad scenariusza: z pracy wróciła Julie i zajrzała mu przez ramię.

- Co to takiego? - zapytała. Położyła mu dłonie na ramionach i pocałowała w policzek.

- Scenariusz, na którego podstawie, jak wszystko na to wskazuje, zrobię film. Nosi tytuł „Ostatnie interludium” i dotyczy ważnych zagadnień. Będę miał przy nim dużo pracy.

Pokrótce opowiedział jej fabułę i poruszone w scenariuszu zagadnienia. Słuchała z uwagą, a gdy skończył, niepewnie odezwała się:

- Chciałabym cię poprosić o istotną dla mnie przysługę. Jutro mój ostatni dzień w szkole, ostatnia lekcja z kobietami, które uczę czytać. Chciałabym, byś przyszedł je poznać. Chodzi mi zwłaszcza o Debby Sue Cassidy. Jest inteligentna, ale i niskiego mniemania o sobie, uważa, iż to, że po kilku miesiącach nauki nie czyta tak dobrze jak studenci college'u, dowodzi jej miernych zdolności. Jest bardzo czytana, a raczej osłuchana, kaset - wyjaśniła na widok jego zaskoczonej miny. - Posiada cudowną umiejętność mówienia o istocie spraw w prosty sposób, przez co łatwo trafia do słuchacza. Marzy o napisaniu książki.

- Jak prawie wszyscy, prawda? - zażartował.

Rzuciła mu dziwne, pełne zażenowania spojrzenie i skinęła głową.

- Pewnie tak jest. Ale nie zniechęcaj jej. Przy odrobinie uwagi, poświęconej jej przez kogoś, kogo podziwiasz...

- Chodzi o mnie?

- Jak na to wpadłeś? - Roześmiała się i pocałowała go w czoło.

- O której mam się tam jutro pojawić?

- Około siódmej, wystarczy czasu, by zdążyć na próbę ślubu.

- No to jesteście umówieni. A przy okazji... jak byłem w mieście, zatrzymała mnie jedna z tych pań bliźniaczek i zaprosiła do swojego sklepu, bym obejrzał szyte przez nie stroje. Nie jestem ekspertem, ale wyglądały nieźle.

- Wy, ludzie światowi, jesteście wszyscy tacy sami. - Zaśmiała się. - Uważacie, że talent może rozwinąć się tylko w dużych miastach. Nasz miejscowy ogrodnik został wybrany przez Stowarzyszenie Hodowców Kwiatów do pokierowania zespołem dekorującym Biały Dom przed balem inauguracyjnym! Poczekam, co powiesz po naszym weselnym przyjęciu. Przygotowujące je kobiety będą na nim gośćmi, starają się więc podwójnie.

- Bylebyśmy w końcu wzięli ślub! - powiedział Zack. Wolał nie wyrażać opinii o profesjonalnych umiejętnościach kobiet zajmujących się organizacją wesela.

Nagle, bez powodu, Julie spochmurniała, w jej oczach zagościł niepokój.

- Ja już jestem zdecydowana. A najważniejsze, byś kochał mnie na tyle mocno, by mi wybaczyć czyn, twoim zdaniem niewłaściwy.

- Czy chodzi o innego mężczyznę?

- Ależ skąd!

- Jeżeli tak - rzekł Zack wspaniałomyślnie - przekonasz się, że należę do najbardziej wyrozumiałych mężów. Chociaż może zbyt zazdrosnych - dodał z myślą o Richardsonie. - No to mów, co takiego zrobiłaś?

- Nie powiedziałam, że już - wykręciła się. - To były tylko rozważania teoretyczne. A teraz muszę pomóc matce przy kolacji. - Śpieszyła się, bo chciała uciec przed dalszymi pytaniami.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

- Na razie - odpowiedziała tajemniczo i już jej nie było.

Pomimo zapewnień Julie Zack miał uczucie, że jakaś sprawa dręczy ją i przyszłych teściów. Gdy po obiedzie uprzątnięto ze stołu, wielebny i pani Mathison zakomunikowali, że idą odwiedzić przyjaciół, po czym, z niezwykłym dla nich pośpiechem, wyszli. Już to wystarczyło, by do reszty zaniepokoić Zacka. Potem Julie nie pozwoliła sobie pomóc przy zmywaniu, co także było niezwykłe. Wrócił więc do gabinetu zamyślony, nie mógł zrozumieć dziwnego zachowania rodziny Mathisonów. Pół godziny później - przeglądał właśnie dokumenty przysłane przez prawnika - w drzwiach stanęła Julie.

- Zack - powiedziała ze sztuczną wesołością - ktoś przyszedł się z tobą zobaczyć.

Wstał i wszedł do salonu. Na widok starszej kobiety, wspartej na lasce pośrodku pokoju, stanął jak wryty. Jej głos brzmiał dokładnie tak, jak zapamiętał - stanowczo, chłodno i arogancko.

- Długośmy się nie widzieli, Zack.

- Za krótko - warknął. Obrzucił wściekłym wzrokiem Julie. - Co to, u diabła, za pomysł?

- Okazja - odpowiedziała spokojnie - byś wysłuchał, co twoja babka ma do powiedzenia. - Zack ruszył do wyjścia, ale Julie uspokajająco położyła mu dłoń na ramieniu. - Proszę, kochanie... dla mnie... Niech to będzie prezent ślubny. Tymczasem pójdę do kuchni zrobić herbatę.

Zack oderwał wzrok od narzeczonej i z pogardą spojrzął na starą kobietę.

- Mów, z czym przyszłaś, a potem zniknij z mojego życia raz na zawsze.

Nie odpowiedziała atakiem na szorstkie słowa, tylko skinęła głową i łamiącym się głosem zaczęła:

- Przyszłam powiedzieć... jak bardzo żałuję tego, co ci zrobiłam...

- Przyjąłem do wiadomości - przerwał chłodno - a teraz się wynoś.

- Przyszłam także prosić, byś mi wybaczył.

- Nie bądź śmieszna!

- Powiedzieć ci, że ja... ja... - Głos uwiązał jej w gardle, bezradnie rozglądała się za Julie, ale ta już wyszła do kuchni. Stara kobieta w błagalnym geście wyciągnęła rękę i szepnęła: - Zachary, proszę...

Zack popatrzył na dłoń o arystokratycznym kształcie; ręka była teraz starsza i chudsza, złota obrączka na palcu stanowiła jej jedyną ozdobę. Nie poruszył się, więc babka cofnęła dłoń i dumnie zadarła brodę.

- Nie będę błagać. - Odwróciła się w stronę okna, wyprostowała ramiona i spoglądając na zaciszną uliczkę, powiedziała: - Przyszłam z zamiarem wytłumaczenia ci kilku spraw, więc to zrobię. - Przez chwilę milczała, a gdy przemówiła, w jej głosie zabrzmiała niepewność, której Zack nigdy wcześniej nie słyszał. - Tuż przed śmiercią Justina weszłam na górę, by zmienić kwiaty w wazonie na podeście. Słyszałam, jak u niego w pokoju kłóciliście się obydwaj o to, który ma iść z Amy Price na tańce w klubie... - Odetchnęła głęboko i opowiadała dalej. - Kilka minut później rozległ się strzał - Justin nie żył.

Obejrzała się przez ramię i powiedziała z goryczą:

- Byłam pewna, że kłamiesz, gdy mówiłeś policji o przypadkowym strzale, widziałam to w twoich oczach. I pomyślałam, że kłamstwo dotyczy tylko tego „przypadkiem”.

Zack patrzył na niekłamana rozpacz na twarzy babki i z całych sił zmuszał się, by nie poddać się nastrojowi. Był zaskoczony wiadomością, że słyszała jego kłótnię z Justinem, zrozumiał, jakie to musiało być dla niej straszne. Nie wiedziała przecież, że tamtego popołudnia starał się odwieść brata od rezygnacji z towarzyszenia Amy Price.

- Proszę - rzekła ochrypłym głosem - powiedz coś!

Julie, już od pewnego czasu przysłuchująca się rozmowie, delikatnie poruszyła kwestię, o którą Zack nie odważył się zapytać.

- Pani Stanhope, dlaczego nie wspomniała pani policji o kłótni Zacka z bratem?

Margaret Stanhope, jakby zawstydzona własną słabością, opuściła wzrok na dłonie zaciśnięte na rączce laski.

- Nie mogłam - wyznała z trudem - znieść widoku Zacka, ale także myśli, że zamkną go w więzieniu. - Uniosła wzrok na obojętną twarz wnuka. - Więc usunęłam cię sprzed moich oczu, z domu, odseparowałam od rodzeństwa. Wiedziałam, że świetnie sobie poradzisz – dodała głosem nabrzmiałym emocją. - Widzisz... wiedziałam, Zachary, że jesteś najsilniejszym z moich wnuków. - Znów odetchnęła głęboko. - I najinteligentniejszym. I najdumniejszym. - Zack wciąż milczał. - Twój dziadek kazał Fosterowi i tobie przysiąc, iż nie zdradzicie prawdy o śmierci Justina, o przyczynie samobójstwa. Foster złamał tę obietnicę w dniu, gdy zwolniono cię z więzienia. Czuł, że spotkała cię zbyt wielka niesprawiedliwość,

dłużej nie mógł tego znieść. Teraz samotnie muszę unieść świadomość krzywd, jakie ci wyrządziłam. To ja pozbawiłam cię brata i siostry, ja wygnałam z domu, który ci się prawnie należy, ja przekonałam Julie, że jesteś zdolny do morderstwa. I to ja wystraszyłam ją do tego stopnia, że wydała cię władzom.

Skończyła i z nadzieją czekała na gest wnuka, ale on milczał. Popatrzyła bezradnie na Julie.

- Mówiłam ci, on nie wybaczy. Jest zbyt podobny do mnie, by rozgrzeszyć niewybaczalne. - Odwróciła się i zrobiła krok w stronę drzwi, ale przystanęła i przez ramię popatrzyła na Zacka ze smutnym uśmiechem. - Jakżesz żałośnie muszę wyglądać teraz w twoich oczach, zawsze ślepa! Zmarnowałam życie, walcząc z miłością do twojego dziadka, potem do ciebie. A teraz Julie mówi mi, że obaj kochaliście mnie bardziej, niż mogłam kiedykolwiek przypuszczać. Resztę moich dni spędzę na żałowaniu zmarnowanych lat, mojej głupoty, okrucieństwa, niedostrzegania spraw, jakie każdy dostrzeżał. Odpowiednia dla mnie kara, prawda, Zack?

- Nie! - wybuchnęła Julie. Patrzyła na pulsującą żyłkę na szyi Zacka, widziała, jak ze sobą walczy. - Wcale nie, i on świetnie o tym wie! - Wysunęła rękę, dotknęła jego napiętej twarzy; unikała zimnego spojrzenia. - Nie pozwól, Zack, by tak się stało - powiedziała łagodnie. - Masz okazję zakończyć rodzinne nieporozumienia. Kochałeś swoją babkę, jestem tego pewna! Przekonał mnie o tym ton twojego głosu, gdy w Kolorado opowiadałeś mi o niej. Słyszała twoją kłótnię z Justinem, tuż przed jego śmiercią. Czy wiedziałeś o tym?

- Nie - przyznał szorstko. Mocniej ścisnęła jego ramię i pełnym rozpaczony głosem powiedziała:

- Mnie wybaczyłeś o wiele gorsze rzeczy.

Pani Stanhope odwróciła się, by odejść, ale w progu przystanęła, sięgnęła do torebki i wyjęła małe, obite aksamitem pudełeczko.

- Dla ciebie. - Wyciągnęła rękę w stronę Zacka. Ani drgnął, podała więc puzderko Julie. - To zegarek dziadka Zacka. - Wyprostowała się, skinęła dziewczynie. - Dziękuję ci za to wszystko, co próbowałaś zrobić dla ratowania mojej rodziny. Jesteś niezwykłą młodą kobietą, serdeczną i dzielną, na pewno odpowiednią żoną dla mojego wnuka - dodała ze smutnym uśmiechem, głos jej drżał. Sięgnęła do klamki.

Za jej plecami rozległ się szorstki głos Zacka:

- Julie zrobiła herbatę, pewnie chciałaby, żebyś została. - Na więcej nie potrafił się zdobyć, ale deklaracja rozejmu została przyjęta.

Pani Stanhope popatrzyła na dumnego, wysokiego, przystojnego mężczyznę, który pozostał na powierzchni i odniósł sukces, mimo piętrzących się przed nim przeszkód. A teraz miał u boku dzielną kobietę, którą kochał.

- Twoja siostra i brat czekają w samochodzie - powiedziała babka ochrypłym głosem.  
- Chcieliby się z tobą spotkać... jeżeli zechcesz.

Julie wstrzymała oddech, bo Zack wyraźnie się zawahał, ale zaraz, gdy powoli wyszedł na werandę, odetchnęła z ulgą.

Zatrzymał się przed balustradą i z rękami w kieszeniach patrzył na zaparkowaną przy krawężniku limuzynę. Nie ruszy się dalej, pomyślała, nie przejdzie nawet pół drogi, ale daje im szansę.

Podjęli ją.

Tylne drzwi limuzyny otworzyły się gwałtownie i z samochodu wyskoczył na chodnik chłopczyk w ciemnym garniturze i krawacie, za nim, już stateczniej, wysiedli jego matka i wujek - brat Zacka. Chłopiec wbiegł po stopniach i stanął przed Zackiem. Z odchyłoną do tyłu głową patrzył w twarz mężczyzny.

- Czy ty rzeczywiście jesteś moim wujkiem Zackiem? - zapytał.

Zack spojrział w dół, na ciemne włosy chłopca i uśmiechnął się. Znowu rysy Stanhope'ow wzięły górę; mały był jego wierną kopią z czasów dzieciństwa.

- Tak - potwierdził. - A ty kim jesteś?

- Jamison Zachary Arthur Stanhope. - Chłopczyk uśmiechnął się. - Możesz mi mówić Jamie, jak wszyscy. Mama nazwała mnie Zachary po tobie, babcia była wściekła - zwierzył się.

Zack pochylił się i objął dziecko ramieniem.

- Nie wątpię - powiedział z przekąsem.

Julie stała w drzwiach i obserwowała, co się wydarzy. Usłyszała głos Zacka.

- Halo, Elizabeth!

Wzruszona patrzyła, jak siostra wbiega po schodach i rzuca mu się w ramiona. Brat Zacka stał z niepewną miną.

- Nie będę miał ci za złe, jeżeli nie podasz mi ręki - powiedział. - Na twoim miejscu tak bym postąpił.

Zack jednym ramieniem objął siostrzeńca i płaczącą siostrę, drugą rękę wyciągnął do brata. Alex jakby się zawahał, ale zaraz uścisnął ją serdecznie.

Jamie popatrzył kolejno na matkę, prababkę, potem na Julie.

- Czemu one wszystkie płaczą? - zapytał zdziwiony Zacka.

- Uczulenie - skłamał z uśmiechem jego wujek. - Ile masz lat?

Późnym wieczorem siedzieli we dwoje na schodach werandy przed domem Julie, patrzyli w gwiazdy migoczące na czarnym, aksamitnym niebie i przysłuchiwali się serenadzie świerszczy. Julie wsparła się o pierś Zacka.

- Będzie mi brakowało tego miejsca - powiedziała cicho.

- Wiem, mnie także. - W ciągu ostatnich dwóch tygodni dwukrotnie wyjeżdżał w interesach do Kalifornii i za każdym razem odliczał godziny do powrotu do Keaton, do Julie. Jutro rano musi polecieć do Austin na spotkanie z Teksąską Radą Penitencjarną, która wszczęła postępowanie przeciwko Wayne'owi Hadleyowi. Dzień później zeni się.

- Wolałabym, żebyś jutro nie musiał jechać do Austin.

- Mnie też się nie chce. - Musnął ustami jej włosy, objął w pasie.

- Nie zapomnij wrócić jak najwcześniej.

- Dlaczego? Planujesz następne spotkanie ze skłóconymi krewnymi? - zażartował.

Popatrzyła mu w oczy.

- A masz jeszcze takich?

- Nie! - odpowiedział stanowczo. Na jej twarzy ujrzał niepewny uśmiech. Ujął ją pod brodę. - Co się stało?

- Nie znoszę, jak masz znaleźć się blisko czegoś, co ma jakikolwiek związek z więzieniem.

Zack uśmiechnął się uspokajająco.

- Tę sprawę muszę załatwić do końca - rzekł stanowczym tonem. I zaraz żartobliwie dodał: - Jeżeli spróbują mnie zamknąć, wiem, że wyciągniesz mnie w sam raz na ślub.

- Żebyś wiedział! - powiedziała z taką żarliwością, że roześmiał się.

- Będę u ciebie w szkole jutro o siódmej - obiecał.

## ROZDZIAŁ 85

Budzący wspomnienia zapach farby i pasty uderzył w nozdrza Zacka, gdy powoli szedł pustym korytarzem w kierunku jedynej klasy, w której paliło się światło. Zza drzwi słyszał kobiecy śmiech. Już w środku, przez nikogo niezauważony, rozglądał się po niskich pulpitych, za którymi, z przodu klasy, siedziało siedem kobiet. Na ścianach wokół wisiły rysunki wykonane przez dzieci kredkami, a także tablice z olbrzymich rozmiarów literami.

Julie stała wsparta biodrem o biurko. Była już ubrana do planowanej po wieczornej próbie ślubu kolacji, włosy upięte w miękki kok przydawały jej twarzy zaskakująco wyrafinowanej elegancji. Zack napawał wzrok widokiem jej figury w obcisłej, brzoskwińowego koloru sukience. Wtedy go zobaczyła.

- Jesteś bardzo punktualny. - Z uśmiechem wyprostowała się. -Skończyliśmy lekcję i teraz wspominamy rozmaite zabawne historyjki. Urządziłyśmy sobie takie małe, pożegnalne party. - Wskazała głową na biurko, na ciasto i papierowe kubki. Wyciągnęła do Zacka rękę. Stanęli obok siebie i spleli dłonie. - Zack przyszedł tu, bo bardzo chciał was poznać, zanim jutro wyjedziemy - wyjaśniła uczennicom. Siedem par oczu wpatrywało się w niego, twarze wyrażały całą gamę uczuć, od zażenowania do bezgranicznego podziwu. - Pauline - ciągnęła Julie - chcę, byś poznała mojego narzeczonego. - Zack, to Pauline Perkins...

Przy kolejnych prezentacjach Zack zrozumiał: Julie stara się poprowadzić spotkanie w taki sposób, jakby to on dostępował wyjątkowego zaszczytu, poznając jej uczennice; o każdej mówiła coś szczególnego. Widział, jak kobiety stopniowo rozluźniają się, zaczynają uśmiechać.

Był pod głębokim wrażeniem taktu Julie. Po uściśnięciu dłoni ostatniej z kobiet stanął za biurkiem, obok narzeczonej. Niezgrabną chwilę ciszy przerwała Rosalie Silmet, młoda, dwudziestoletnia kobieta, z maleńkim dzieckiem w nosidełku, które postawiła przed sobą na pulpicie.

- Ma pan ochotę na... ciasto? - spytała zarumieniona.

- Tego nigdy nie odmawiam! - skłamał z uśmiechem, chcąc, by poczuła się swobodnie. Odwrócił się do biurka i ukroił kawałek.

- Sama upiekłam - pochwaliła się nieśmiało Rosalie.

Z czekoladowym ciastem w ręce stanął twarzą do Julie, a wtedy zobaczył, jak jej usta bezgłośnie układają się w słowo „jak”.



- Ja... - Dziewczyna wyprostowała chude ramiona. - Przeczytałam przepis! - oświadczyła z taką dumą, że Zack poczuł w sercu dziwny ucisk. - Przyjechaliśmy razem z Peggy - wskazała głową Peggy Lindstrom - a ona czytała na głos napisy na tablicach, jakie mijaliśmy po drodze!

- Co go to może obchodzić! - Peggy zaczerwieniła się gwałtownie. - Każdy potrafi odczytać drogowskazy.

- Nie każdy. - Zack usłyszał własny głos. Patrzył na te kobiety, widział w ich oczach nadzieję i wiedział: uczyniłby wszystko, by opuszczając tę klasę, czuły się kimś wyjątkowym. - Julie przyznała mi się, że bardzo długo nie umiała czytać.

- Przyznała się? - zdumiała się któraś, zaskoczona, że Julie mogła coś takiego wyznać narzeczonemu.

Skinął głową.

- Bardzo ją podziwiam, bo potrafiła to zmienić. - Popatrzył na Peggy Lindstrom i dodał z uśmiechem: - A jak już nauczysz się odczytywać oznaczenia na mapie, pomożesz mi przez to przebrnąć? Gdy tylko rozwinę jakąś mapę, jestem kompletnie zagubiony.

Zack usłyszał chichot.

- Która przyniosła poncz? - zapytał.

- Ja. - Ręka powędrowała w górę.

- Przeczytałaś przepis?

Kobieta potrząsnęła głową z taką dumą, że Zack z zainteresowaniem czekał na dalszy ciąg.

- Jest z puszkki, potrafię odczytać napisy na etykietkach. Kupiłam w sklepie spożywczym. Kosztowała pół dolara i sześćdziesiąt dziewięć centów, cenę też przeczytałam.

- Mogę dostać trochę?

Skinęła głową. Gdy nalewał czerwony płyn do papierowego kubka, poczuł to samo, co poprzednio, dziwne uczucie w piersi. Był tak przejęty, że poplamił mankiet koszuli. Rosalie Silmet zerwała się z miejsca.

- Pokażę ci, gdzie jest łazienka, płamę trzeba szybko połączyć zimną wodą.

- Dziękuję. - By jej nie urazić, nie zbagatelizował sprawy. - To pewnie trema z powodu spotkania z uczennicami Julie - zażartował. - Boję się, że jeżeli nie zostanę przez was zaakceptowany, odłożę ślub - dodał, wychodząc z sali za Rosalie Silmet. Eksplozja śmiechu za plecami przekonała go o słuszności postępowania.

Gdy wrócił, party dobiegało końca - kobiety nie chciały, by Julie spóźniła się na próbę w kościele.

- Wciąż mamy dość czasu - uspokajała. Zack, który na boku popijał poncz, spostrzegł, jak Rosalie Silmet pochyła się do Debby Sue Cassidy i gorączkowo szepce jej do ucha, a ta kręci przecząco głową. Jak dotąd, protegowana Julie, młoda kobieta o zaczesanych za uszy brązowych włosach, przytrzymywanych na czubku głowy przepaską, wypowiedziała niewiele słów. Zack zastanawiał się, co w niej tak bardzo interesuje Julie; postawa pozostałych rzeczywiście robiła wrażenie.

- Julie... - zaczęła Rosalie - ...Debby Sue napisała dla ciebie pożegnalny wiersz, a teraz wstydzi się przeczytać.

Pojął natychmiast, że to on jest przyczyną, dlatego od razu dołączył do chóru głosów przekonujących Debby Sue. Przerwała im Julie, tonem spokojnym, dodającym otuchy.

- Przeczytaj go dla mnie, Debby, proszę.

- Nie jest najlepszy - wzbraniała się z rozpaczą Debby.

- Proszę.

Ręce dziewczyny trzęsły się, gdy, z ociąganiem, unosiła z pulpitu kartkę papieru.

- Nie rymuje się.

- Nie wszystkie muszą mieć rym. Niektóre z najcudowniejszych poematów świata też go nie mają. Nikt jeszcze nie napisał dla mnie wiersza. Czuję się zaszczycona.

Debby, zachęcona słowami Julie, uniosła głowę. Rzuciła niespokojne spojrzenie na Zacka i powiedziała:

- Zatytułowałam go „Dzięki Julie”. - Gdy zaczęła czytać, jej głos z każdym słowem nabierał siły i uczucia.

*Kiedyś wstydziałam się*

*Teraz jestem dumna.*

*Kiedyś świat był ciemnością*

*Teraz oślepia jasnością.*

*Kiedyś marzyłam tylko*

*A teraz mam nadzieję.*

*Dzięki Julie.*

Zack nie odrywał od niej oczu. Wciąż słyszał proste, pełne ekspresji słowa, szklanka z ponczem zawisła w pół drogi do ust. Patrzył, jak Julie z uśmiechem prosi o tekst wiersza, potem przyciska do piersi kartkę w sposób, w jaki w Mexico City tuliła obrączkę. Party dobiegło końca. Padły najważniejsze słowa; kobiety wychodziły z klasy.

Gdy Julie zajęła się porządkowaniem biurka, Zack podszedł do wiszącej na ścianie tablicy informacyjnej, ale myślami błądził daleko, nie potrafił skupić uwagi na dziecięcych

rysunkach wiosennych kwiatów. W głowie dźwięczały mu słowa wysłuchanego przed chwilą wiersza, które dokładnie wyrażały jego uczucia do Julie. Przypomniały mu, jak w Kolorado, z zachwyconą twarzą, żywo gestykulując, usiłowała wytłumaczyć mu istotę satysfakcji płynącej z nauczania kobiet analfabetek. „Och Zack... to jakby tworzyć cud”.

Obok jego ucha przeleciała gumka i miękko plasnęła o tablicę. Obejrzał się, by ustalić, skąd jest „ostrzeliwany”. Drugi „pocisk” przeleciał obok jego skroni, jeszcze bliżej niż pierwszy. Wtedy z uśmiechem popatrzył na Julie. To ona! Oparta o biurko, z palcami oplecionymi gumką, gotowała się do następnego strzału.

- Nieźle, Wyatt\* - pochwalił.

- Uczyli mnie eksperci - wyjaśniła z uśmiechem. Nie dała się nabrać na jego wesołą minę. - Co panu leży na sercu, panie Benedict? -zapytała. Opuściła rękę i wycelowała w książkę na pulpicie w ostatnim rzędzie. Trafiła.

Zamknęła teczkę. Zack podszedł do niej, nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

Z pewnością domyślała się, dokąd powędrowały jego myśli, bo przechyliła głowę na ramię, skrzyżowała ręce na piersiach i z niewinną miną zapytała:

- Jak ci się podobały moje panie?

- Ja... twoja Debby Sue Cassidy jest niezwykła. Wszystkie są... inne, niż się spodziewałem. Zupełnie nie wiem, co powiedzieć...

- Kilka miesięcy temu nie wyciągnąłbyś z żadnej ani słowa.

- Teraz wydają się całkiem pewne siebie.

- Tak myślisz? - spytała powątpiewająco. - Gdyby wiedziały o twojej wizycie, nie namówiłabym ich do zjawienia się tutaj. Na nasze przyjęcie weselne przyjdzie żona rzeźnika, rodzice wszystkich moich uczniów, nawet żona kościelnego, a nie udało mi się namówić żadnej z nich, chociaż spędziłyśmy razem tyle czasu. To dowodzi, jak niskiego są o sobie mniemania. Po powrocie z pieniędzmi, jakie udało mi się zebrać w Amarillo, zamówiłam testy specjalistyczne, by ocenić zdolności moich uczennic.

- Jak można testować kogoś, kto nie potrafi czytać?

- Jeden na jeden. Ustnie. Z pomocą odpowiednich materiałów jest to całkiem proste. I nie nazywam badań testowaniem. Przy ich braku pewności siebie załamałyby się na samo brzmienie tego słowa. I wiesz, co odkryłam?

Potrząsnął głową. Czuł podziw dla jej zapału.

---

\* Wyatt Erp - legendarna postać Dzikiego Zachodu (przyp. tłum.).

- Na przykład Debby umiała czytać już w trzeciej klasie, ale innym, mniej zdolnym, poświęcano w szkole za mało czasu. Więc nauka nic im nie dała. A wiesz, czego potrzebują?

- Znow pokręcił głową. - Mnie, jednej osoby, której by na nich zależało - powiedziała ze smutkiem. - Boże, one... one rozkwitają, gdy ktoś uwierzy w nie, poświęci im trochę czasu. Niekoniecznie nauczycielka. Przyszłość dziecka Rosalie na przykład zależy od tego, czy Katherine, która przejmuje klasę po mnie, potrafi podtrzymać wiarę jego matki w swoje możliwości. Jeżeli jej się nie uda, dziecko będzie dorastało na łasce opieki społecznej, żyło jak jego matka - na granicy ubóstwa. W ostatnim czasie powstało kilka podobnych do mojej grup, założonych przez rozmaite organizacje. W całym kraju realizują program: „Umiejętność czytania i pisanie – przekaz dalej”, adresowany do kobiet. Dowiedziałam się o tym niedawno.

Zack słuchał i nie wiedział, co zaproponować, wyciągnąć książeczkę czekową, czy zgłosić się do prowadzenia lekcji.

- Wiem, że zaraz po waszym ślubie Rachel zdecydowała, że nie zrezygnuje z dalszej kariery. Ja... muszę zakomunikować ci już teraz, że po przeprowadzeniu się do Kalifornii zamierzam uczyć dalej. Nie dzieci, dorosłe kobiety. Chcę się włączyć w ten program - powiedziała z pasją.

- A więc dlatego chciałaś, bym przyszedł tu dzisiaj wieczorem! -Pomyślał, jakim absurdem jest porównywanie Rachel, wyuzdanej egocentryczki, cierpiącej na przerost ambicji, z Julie, pragnącą pomagać innym kobietom.

Opacznie zrozumiała przyczynę jego tonu, uniosła ku niemu oczy i z prośbą w głosie powiedziała:

- Mam wiele do ofiarowania, Zack. Nie mogę stać na uboczu.

Porwał ją w ramiona i mocno przytulił.

- Dla mnie ty jesteś darem - wyszeptał. - Jest w tobie więcej blasku niż w diamencie, który nosisz na palcu. Nie ma w tobie rzeczy, której bym nie kochał...

Uniósł głowę i lekko rozluźnił uścisk ramion. Julie popatrzyła na niego z wahaniem; powiodła palcem po wzorze jego jedwabnego krawatu.

- Debby straciła pracę, bo rodzina, u której od młodości służyła, wyprowadza się. A umie jeszcze zbyt mało, by zająć się czymś innym niż prowadzenie gospodarstwa...

Zack ujął ją pod brodę; poddawał się bez walki.

- Mam duży dom.

## ROZDZIAŁ 86

- Jesteś pewien, że w kościele wszystko gotowe? - pytał Matta Farrella, pośpiesznie zapinając kołnierzyk smokingowej koszuli.

- Oprócz ciebie - odparł tamten z uśmiechem.

Ponieważ Zack zeszłego wieczora uczestniczył w próbie, a później nie mógł zatelefonować z domu Mathisonów bez zwrócenia ich uwagi, poprosił o pomoc Matta i Meredith - przylecieli wczoraj, przekazali ostatnie informacje od Sally Morrison, a noc spędzili w domu Julie.

- Czy goście z Kalifornii dotarli w komplecie?

- Czekają w kościele.

- Czy powiedziałaś Meredith, by dopilnowała, żeby Julie nie zaglądała do kościoła, nim ruszy w stronę ołtarza? - Zack skontrolował w lustrze kształt węzła swego czarnego krawatu. - Nie chcę, by zobaczyła, jakich mamy gości. To niespodzianka.

- Czuwają nad tym Meredith i Katherine Cahill. Nie będzie w stanie głębiej odetchnąć bez zwrócenia ich uwagi. Pewnie zauważyła już ich ciągłą obecność i zastanawia się, co się za tym kryje.

- Jesteś pewien, że Barbra już przyjechała? - Zack włożył czarny smoking.

- Tak, razem z akompaniatorem. Wczoraj wieczorem rozmawiałem z nią w hotelu w Dallas. Teraz na chórze czeka na rozpoczęcie.

Zack przetarł dłonią policzki, nerwowo potarł podbródek, by po raz kolejny sprawdzić, czy dokładnie się ogolił.

- Która godzina?

- Za dziesięć czwarta. Na dotarcie do kościoła masz dziesięć minut. Ted Mathison już tam jest. Po drodze przepytam cię z tej części tekstu, którą miałeś opanować na wczorajszej próbie.

- Już raz wygłosiłem te kwestie, i to w pełnej gali, zapomniałeś?

- Istnieje poważna różnica. - Matt uśmiechnął się pod nosem.

- Naprawdę, a jaka to?

- Wtedy nie byłeś taki szczęśliwy. Za to spokojniejszy. Istniała jeszcze jedna zasadnicza różnica między jego pierwszym ślubem i obecnym i nie musiał przypominać mu o niej Matt. Wiedział o niej, jeszcze zanim wyszedł spośród tłumu uśmiechniętych gości i w

kościół wypełnionym zapachem białych róż, związanych w bukiety atłasowymi wstążkami, rozświetlonym setkami świec, stanął przed przyszłym teściem.

Tym razem, przy ołtarzu, czekał na pannę młodą przepełniony pokorą i cichą radością. Patrzył, jak między ławkami idzie Meredith w zielonej, jedwabnej sukni, za nią Katherine i Sara, w takich samych strojach, wszystkie trzy piękne, uśmiechnięte i pogodne.

Organy rozbrzmiewały coraz głośniejsze, Zackowi wydało się, że serce pięknie mu ze wzruszenia.

Ku niemu szła w falującej pianie białego, zdobionego aplikacjami jedwabiu, w chmurze welonu kobieta, którą porwał, z którą śmiał się i którą kochał. Jej twarz promieniała, w oczach widział bezgraniczną miłość, zapowiedź szczęścia, dzieci, radości. Jej oczy rozszerzyły się, gdy głos Barbry Streisand poniósł się z chóru pieśnią, która, jak prosił Zack, rozległa się w chwili, gdy Julie szła do ołtarza.

*Dawno temu, daleko stąd, marzyłam. A teraz mój sen stanął przede mną. Niebo było zaciągnięte chmurami, ale się przejaśniło -nareszcie jesteś.*

*Czuję dreszcze ogarniające ciało. Znalazłam Lampę Aladyna. Nie odmówiono mi marzeń, jakie śniłam. Wystarczyło jedno spojrzenie - już wiedziałam - Sen się spełnił.*

Zack ujął dłoń Julie, podeszli do ołtarza. Wielebny Mathison z uśmiechem uniósł Biblię.

- Drodzy przyjaciele, zebraliśmy się tu, przed Bogiem...

W pierwszym rzędzie Mathew Farrell patrzył w oczy żony, obok Ted i Katherine czule uśmiechali się do siebie.

Z tyłu Herman Henkleman i Flossie mocno spleli dłonie.

Siedzący tuż za nimi Willie Jenkins patrzył, jak starsza para trzyma się za ręce i wymienia spojrzenia. Szturchnął łokciem stojącą obok dziewczynkę.

- Założę się, że Herman Henkleman nie dotrzyma umowy z wielebnym Mathisonem - rozległ się jego sceniczny szept. - Jest za stary, by czekać...

- Cicho, Willie - odpowiedziała mała ostro - nie wiem, o co ci chodzi.

- Mój starszy brat mówił, że to umowa o niecałowaniu się przed nocą poślubną. - Willie nie zrażał się.

- Faj! - Dziewczynka skrzywiła się i ostentacyjnie odsunęła od niego. - Całowanie, też coś!

## ROZDZIAŁ 87

Weselne przyjęcie - Zack spodziewał się raczej skromnego - zaskakiwało pięknem i wystawnością. W gałęziach drzew skrzyły się niezliczone światełka lampek, nakryte śnieżno białymi obrusami stoły ugiwały się pod ciężarem wspaniałych potraw, w niczym nie ustępujących daniom przygotowywanym przez restauratorów zazwyczaj przez niego wynajmowanych.

Stał z boku, z Mattem Farrellem, i patrzył, jak Patrick Swayze podchodzi do Harrisona Forda, tańczącego z Julie, i odbija mu partnerkę. Zack uśmiechnął się na wspomnienie jej zdumionej miny, gdy wśród podchodzących z gratulacjami gości ujrzała niemal wszystkich mężczyzn, których wymieniła mu jako swych ulubionych aktorów, szybko jednak opanowała się i z pełną wdzięku miną przyjmowała kolejne prezentacje.

- Wspaniałe wesele, Zack - pochwalił Warren Beatty. Trzymał żonę za rękę, drugą dłonią usiłował utrzymać w poziomie talerz z przystawkami. - Jedzenie fantastyczne, a przy okazji, co to za danie?

Zack popatrzył na talerz.

- Pieczone żeberka po teksańsku - wyjaśnił.

Gdy odeszli, Zack spojrział na zegarek i rozejrzał się za Julie. Tańczyła znowu ze Swayzem, rozprawiając z nim z ożywieniem. Matt trącił go łokciem i wskazał głową na Meredith.

- Patrz, co muszę znieść, Costner tańczy z nią już trzeci raz. Meredith jest jego gorącą wielbicielką - dodał.

- I najwyraźniej z wzajemnością. Na szczęście Swayze i Costner mają żony - zauważył Zack z uśmiechem. Sięgnął po dłoń Marta i potrząsnął nią; bez słów podziękował mu za lata przyjaźni i pomocy.

Wdzięczność była zbyt głęboka, by wyrażać ją słowami. Rozumieli to obaj.

Zack zostawił przyjaciela i podszedł do orkiestry. Poprosił o zamówioną na tę okazję piosenkę, potem wzrokiem poszukał żony. Bez żalu zostawiła Patricka Swayzego i z wdziękiem pospieszyła w ramiona Zacka. Uśmiechnęła się do niego czule.

- Był już najwyższy czas, żebyś po mnie przyszedł - stwierdziła cicho.

Chciała już stąd odejść, być z nim sam na sam. Zrobiła krok w kierunku wyjścia, ale potrząsnął głową.

- Po następnej piosence - powiedział głębokim, pełnym uczucia głosem.

- Przygotowałeś jakąś niespodziankę? - spytała z ciekawością, ale on tylko się uśmiechnął. Od orkiestry dobiegł mocny, pulsujący rytm.

- Tę... - Uwodzicielskie słowa piosenki Feliciano rozległy się wśród pachnącej nocy.

- Rozpal mnie, Julie - rzucił zachrypniętym głosem. Kołysali się w rytm muzyki.

W jednej chwili zapomniała o wszystkim, widziała tylko spojrzenie, jakie rzucał na nią spod przymkniętych powiek i ten zapraszający, uwodzicielski uśmiech... Mocno wtulona w ramiona ukochanego mężczyzny, nie widziała zwracających się w ich stronę twarzy. Poddawała się delikatnym ruchom jego ciała. Objął ją w pasie, przyciągnął bliżej.

- Więcej... - usłyszała.



## ROZDZIAŁ 88

Skulona na sofie w luksusowej kabinie samolotu, wpatrywała się w atramentową ciemność za oknami. Daleko w dole błysnęło czasem jakieś światełko, poza tym nic nie zakłócało doskonałej czerni, zdawali się opadać w pustkę. Naprzeciw niej siedział Zack. Rozpiął marynarkę, a wyciągnięte nogi wsparł na stoliku - uosobienie spokojnego rozleniwienia. Gdy tylko opuścili przyjęcie, natychmiast zabrał ją na pokład samolotu Matta Farrella, nie pozwolił nawet przebrać się w strój podróży, a teraz nie chciał powiedzieć, dokąd lecą! Z konsumpcją małżeństwa najwyraźniej zamierzał poczekać, aż dotrą do celu podróży.

- Będę się czuć okropnie głupio, wchodząc do hotelu w tej sukni - powiedziała.

- Naprawdę, kochanie? - zapytał z czułym uśmiechem.

Julie przytaknęła ruchem głowy. Żałowała, że nie pozwolił jej zmienić sukni ślubnej na jakąś bardziej odpowiednią szmatkę, jakich miała przecież pełne walizki.

- Mogłabym przebrać się w dwie minuty - nie ustępowała.

Potrząsnął głową.

- Chcę, byśmy obydwójce byli tak ubrani, gdy dotrzemy na miejsce.

- Ale dlaczego?

- Sama zobaczysz. - Zapraszająco wyciągnął ramię.

Przesiadła się na jego stronę.

- Czasami w ogóle cię nie rozumiem - oznajmiła z lekką pretensją w głosie.

Ale zrozumiała. I to zaraz, jak tylko wyszła z samolotu na pas startowy niewielkiego lotniska, na którym czekał już na nich samochód, rozejrzała się i zobaczyła wyłaniające się z mroku cienie gór.

- Kolorado! - Otoczyło ich rześkie, chłodne powietrze, ale ona z wrażenia nie mogła złapać tchu. - Jesteśmy w Kolorado, prawda?

Jazda drogą do górskiej kryjówki, w której nie tak dawno spędzili burzliwy tydzień, mocno podekscytowała Julie. W takim stanie ducha weszła za Zackiem do środka i patrzyła na piękne, znajome pokoje. Tutaj walczyła ze swoim porywaczem, tańczyła z nim, wreszcie zakochała się.

Zack wniósł bagaże, potem zajął się rozpalaniem ognia w kominku. Julie podeszła do okna: patrzyła na miejsce, w którym kiedyś stało śnieżne monstrum.

Zack podszedł do niej z tyłu, objął w pasie i przyciągnął do siebie; w szybie widziała ich odbicie... wysoki pan młody z czułością obejmuje nowo poślubioną żonę. Zack ujrzał łzy błyszczące w jej oczach.

- Dlaczego płaczesz? - zapytał czule. Pochylił głowę, by pocałować ją w kark.

Julie z westchnieniem uniosła głowę.

- Bo jesteś doskonałością - szepnęła. Ze wzruszeniem myślała, ile romantycznego piękna zawierały niespodzianki, jakie dla niej przygotował.

Zack opiekuńczo otoczył ją ramieniem.

- Obydwoje jesteśmy doskonali - rzekł.

- Postaram się, byś był szczęśliwy - powiedziała drżącym emocją głosem.-  
Przysięgam!

Odwrócił ją do siebie twarzą, przyglądał jej włosy. Wypowiadane przez niego słowa tchnęły radością.

- Sprawiałaś, że byłem szczęśliwy już pierwszego wieczora, jaki spędziliśmy w tym domu, już wtedy, gdy siedziałaś na kanapie i wesoło dowodziłaś absurdalności reguł rządzących futbolem.

Julie uśmiechnęła się. Wpatrywała się w obrączkę na palcu jego lewej ręki, na odbity od niej blask. Przycisnęła dłoń męża do policzka, wargami dotknęła pierścionka.

- Kocham cię, Zack - szepnęła. - Kocham dźwięk twojego głosu, dotyk ręki, twój uśmiech. Chcę ci dać dzieci... życie pełne radości...dać ci siebie.

Pożądanie, podgrzane jeszcze okresem abstynencji, zaczynało burzyć w nim krew. Przyciągnął ją mocno, jego gorące wargi spadły na jej, równie gorące.

- Chodź do łóżka ze swoim mężem, żono.

Mąż. Żona. Słowa leniwie krążyły w głowie Julie, czułe, słodkie i głębokie, gdy szła za Zackiem do sypialni. Urosły jeszcze w jej sercu, gdy z miłością brał ją w ramiona. Jej ciało zareagowało na pieśczołę; jego dłonie drżały, gdy głaskał gładkie ciało; wreszcie przyciągnął jej biodra. W miłosnej pasji wyszła mu naprzeciw, prowokowała namiętnością pocałunków. Gdy wreszcie wszedł w nią, głęboko, ciasno oplotła go ramionami.

- Witaj w domu, Zack - szepnęła.

Te słodkie słowa wyrwały z jego piersi głęboki jęk i zaraz zaczął poruszać się w jej ciele. Julie dostroiła się do rytmu, dając mu rozkosz, wybuchającą w obojgu orgazmem.

Zespoleni, zaspokojeni i wyczerpani, powoli płynęli ku rzeczywistości; leżeli w łóżku, w którym kiedyś nie śmieli nawet pomyśleć o wspólnej przyszłości. Zack, powoli gładząc

dłonią jej plecy, myślał o latach, jakie miał przed sobą z kobietą, która kocha i ufa mu, i nauczyła trudnej sztuki wybaczenia. Witaj w domu, powiedziała przecież.

Po raz pierwszy w życiu zrozumiał, co to dom i rodzina - tym wszystkim jest Julie.

## EPILOG

W jednoosobowym pokoju szpitala Cedars-Sinai, w otoczeniu wazonów z wysokimi różami we wszystkich kolorach tęczy, Julie tuliła do piersi swego synka. Po raz pierwszy od jego urodzin przed dwoma dniami jej uwaga nie była skupiona wyłącznie na maleńkiej, doskonałej istocie, której razem z Zackiem dali życie.

Jeszcze kilka minut temu w jej pokoju tłoczyły się pielęgniarki, które wraz z nią oglądały w telewizji ceremonię wręczenia Nagród Akademii. Ale teraz rozeszły się, aby roznosić dzieci ich matkom, i Julie, w skrytości ducha, cieszyła się, że została sama. Wręczenie nagrody dla najlepszego odtwórcy głównej roli miało nastąpić niedługo, i chociaż Julie była niemal pewna, że dostanie ją Zack, nie chciała, by inni dzielili z nią radość.

- Spójrz, Nicki! - szepnęła i delikatnie odwróciła niemowlę buzią w stronę telewizora.  
- Zobaczysz swoich przyszłych rodziców chrzestnych, pana i panią Farrell. A tatuś stoi tuż przy nich, chociaż w tej chwili kamera go nie pokazuje.

Nicholas Alexander Benedict, którego chwilę wcześniej przestała karmić, natychmiast po pozbawieniu go matczynej piersi zaprotestował płaczem, więc zaraz ułożyła go przy sobie, na należnym mu miejscu, i pomogła trafić mu buzią do tego, czego szukał. Teraz mogła już spokojnie patrzeć w ekran telewizyjny.

Pierwszy nakręcony po ich ślubie film Zacka nie tylko ustanowił rekordy kasowe; „Ostatnie interludium” zdobyło nominacje do Oscara w wielu kategoriach, a wyniki miało ogłosić dziś wieczorem. Zack otrzymał nagrodę dla najlepszego reżysera, Sam Hudgins za zdjęcia, nagrodami uhonorowano jeszcze kilku innych członków ekipy.

Zack pragnął zostać przy Julie i z nią obejrzeć ceremonię, ona, nie mogąc przekonać go inaczej, użyła argumentu, że moralnym obowiązkiem reżysera jest obecność w czasie wręczenia nagród członkom jego ekipy, którzy tak wiele wysiłku włożyli w stworzenie „Interludium”. Aktorzy grający role drugoplanowe także otrzymali nominacje.

W tę noc jego sukcesu ani ona, ani dziecko nie powinni go rozpraszać! Tego ranka otrzymała pierwszy egzemplarz książki, którą pisała zachęcana przez Zacka, i z której honorarium postanowiła przeznaczyć na program nauki czytania i pisania dorosłych kobiet. I choć bardzo chciała pochwalić się nią przed Zackiem, poznać jego opinię, postanowiła z tym poczekać. Prosiła Sally o dyskretne doręczenie jej książki do szpitala, bez wspominania o tym mężowi.

W telewizji zapowiadano właśnie wręczenie nagrody za najlepszy scenariusz. Julie przez chwilę z niepokojem przygryzała wargę, ale zaraz roześmiała się radośnie. Wywołano Petera Listermana, a ten energicznie podszedł do prowadzącego ceremonię.

- Nicki - szepnęła szczęśliwa - tam stoi wujek Pete, zwyciężył! Powinieneś być mu wdzięczny - zażartowała. - Wysokie krzeselko, takie jak reżysera, z twoim imieniem na oparciu, to prezent od niego.

Peter był ulubieńcem Julie. Ten wyglądający jak profesor college'u mężczyzna, pracując z Zackiem nad „Interludium”, spędził wiele godzin u nich w domu, miała więc okazję dobrze go poznać. Ostatnio między scenarzystą Zacka a Debby Sue Cassidy coś zaiskrzyło, po tym jak dziewczyna spokojnym tonem zakomunikowała jemu i Zackowi, by nie myśleli dłużej nad lepszym zakończeniem filmu, bo ona ma doskonały pomysł. Peter z trudem hamował swój gwałtowny temperament, ale Zack natychmiast zgodził się wysłuchać Debby i kazał scenarzyście skorzystać z jej wskazówek. „Interludium” otrzymało nowe, wzruszające zakończenie, które przyczyniło się do wyjątkowego powodzenia filmu.

Przemowa Petera przypominała każdą z poprzednich. Ale na koniec wystąpienia skierował wzrok do kamery i powiedział:

- I jeszcze chciałbym podziękować panie Debby Sue Cassidy za jej nieoceniony wkład w moją pracę.

- Kochany Pete! - zawołała Julie radośnie i przytuliła do siebie Nickiego. Pragnienie Debby, by się uczyć, jej ogromny wysiłek, sprawiały cuda: Peter, choć niechętnie, przyznał jej współautorstwo scenariusza.

Kilka minut później Julie poczuła, jak serce w jej piersi bije mocniej, a całe ciało sztywnieje z napięcia. Robert Duvall i Meryl Streep weszli na scenę, aby odczytać listę nominacji w kategorii najlepszego odtwórcy głównej roli.

- Trzymaj kciuki, kochanie - powiedziała. Ucałowała małą piąstkę, potem otoczyła nią swój palec.

- Nominacje otrzymują. - Robert Duvall patrzył w kamerę. - Kevin Costner za „Koniec tęczy”.

- Tom Cruise za „Drogę do domu” - powiedziała Meryl Streep.

- Kurt Russell za „Strzał w ciemnościach” - dodał Duvall.

- Zachary Benedict za „Ostatnie interludium” - ciągnęła Streep.

- Jack Nicholson za „Negocjatora” - odczytał ostatnie nazwisko Duvall.

Wyciągnął rękę po kopertę i Julie poczuła, nie wiedzieć czemu, ciarki na szyi.

- A Oscara otrzymuje. - Duvall zajął do koperty i uśmiechnął się szeroko. - Zachary Benedict! Za rolę w „Ostatnim interludium”.

Rozległy się oklaski, rozbrzmiewały coraz głośniejsze; część publiczności powstała i wiwatowała na stojąco; kamera prowadziła wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę w smokingu, idącego szybko w kierunku sceny. Duvall pochylił się i dodał:

- W imieniu Zacka Benedicta nagrodę odbiera Matt Farrell...

I Julie od razu pojęła, jaka jest przyczyna dziwnego samopoczucia... Opadła na poduszki i z uśmiechem, bez patrzenia w stronę drzwi, spytała:

- To ty, prawda?

- Skąd wiedziałaś? Odwróciła głowę. Zbliżał się do niej, marynarkę przewiesił przez ramię, świecącego złotem Oscara niedbale trzymał w dłoni.

- Powinieneś być tam, odbierać swoją następną nagrodę - skarciła go. Ale on już siedział obok niej na łóżku, ona wolną ręką objęła szerokie ramiona męża. - Gratuluję, kochanie.

Uważając, by nie obudzić synka, Zack pocałował żonę w usta, potem musnął wargami policzek.

- Jestem dokładnie tam, gdzie pragnąłem być w takiej chwili - szepnął i z czułością pogłaskał jej kark - nigdzie indziej.

Koniuszkami palców musnęła policzek męża.

- Nicki i ja jesteśmy z ciebie bardzo dumni - powiedziała ze słodyczą i Zack, którego niełatwo było wzruszyć, poczuł pod powiekami łzy. Patrzył na jej uszczęśliwioną twarz, przytulonego do jej piersi synka, maleńką rączkę spoczywającą na atlasowej fałdzie szlafroka matki.

- Śpi - szepnął. - Położymy go do kołyski?

- Możesz spróbować - zgodziła się Julie. Ostrożnie podała mężowi śpiące maleństwo.

Po ułożeniu synka Zack zdjął błyszczące lakierki i wyciągnął się na łóżku obok żony. Przytulili się do siebie.

- Dziękuję ci za syna - szepnął. Rozejrzał się za czymś, co pomogło by mu utrzymać emocje na wodzy. - Co czytasz? - Wziął do ręki książkę leżącą na stoliku obok łóżka.

Ani razu podczas pisania książki, ani w okresie poprzedzającym jej wydanie, Julie nie chciała rozmawiać o niej z mężem. Jego krytyka - w końcu profesjonalisty - mogłaby ją zniechęcić. Ale teraz nie mogła się dłużej ukrywać. Nerwowo westchnęła.

- To moja książka. Pierwszy egzemplarz, prosto z drukarni. Sally przysłała ją dzisiaj rano.

- Dlaczego, u licha, nic mi nie powiedziałaś?! - zawołał.

- Bo to twój dzień, nie chciałam, by cokolwiek innego absorbowало twoją uwagę.

Zack, wzruszony jej troską, podniósł książkę do oczu. Julie z niepokojem i ciekawością czekała, jak oceni stronę tytułową.

- Jest piękna - orzekł. Przed oczyma miał mocno rozkwitłe róże, wytłoczone na imitującym różowy marmur tle.

- Co myślisz o tytule?

- Zatytułowałaś ją „Doskonałość”.

Skinęła głową.

- Podoba mi się - powiedział z uśmiechem. - Skąd ci to przyszło do głowy?

- Był oczywisty - szepnęła i spojrzała mu w oczy. - Ta książka opisuje naszą historię, ale tak naprawdę, opowiada o tobie.

Spowaźniał; ogarnęło go uczucie niewypowiedzianej czułości. Pochwyił Julie w ramiona, zanurzył twarz w jej włosach. Nie opuściła go wtedy, gdy świat napiętnował go jako mordercę, była z nim, gdy nie miał nic do zaoferowania, nauczyła przebaczać. Cieszyła się jego sukcesami, dodawała otuchy, gdy miał rację, z uporem protestowała, gdy jej nie miał. Nadała sens jego życiu, wypełniła śmiechem i miłością. A potem dała mu syna.

Przypomniał sobie wiersz Debby Sue Cassidy.

*Kiedyś wstydziałam się*

*Teraz jestem dumna.*

*Kiedyś' świat był ciemnością*

*Teraz oślepia jasnością.*

*Kiedyś marzyłam tylko*

*A teraz mam nadzieję.*

*Dzięki Julie.*

- Nie płacz, kochanie - szepnęła Julie. Zaskoczyła ją wilgotność twardego policzka męża. Mocniej objęła jego szyję. - Jeszcze nie przeczytałeś mojej książki, a już reagujesz prawidłowo. Może piszę lepiej, niż sądzisz.

Pomimo wzruszenia Zack wybuchnął śmiechem.

## LIST OD AUTORKI

Drodzy Czytelnicy

Ponowne pojawienie się Matta i Meredith Farrellów, bohaterów mojej powieści „Raj”, zostało spowodowane lawiną listów z prośbami czytelników, którzy nie chcą się rozstać z tymi, najwyraźniej bliskimi im postaciami.

Tak jak Matt i Meredith, Julie Mathison i Zack Benedict są postaciami fikcyjnymi. Program „Umiejętność czytania i pisania - przekaz dalej”, o którym wspomina Julie, jest natomiast w rzeczywistości realizowany; los uczennic Julie Mathison, analfabetek, ledwie sygnalizuje zjawisko: dwadzieścia procent kobiet w Ameryce nie umie czytać i pisać.

Ponieważ czytelników zazwyczaj interesuje geneza powieści, myślę, że i w przypadku „Doskonałości”, książki, której lekturę właśnie skończyliście, chcielibyście ją poznać. Dwa lata temu zwrócili się do mnie realizujący program „Umiejętność czytania i pisania - przekaz dalej”, sponsorowany przez Coors Brewing Company, z propozycją współpracy. „Umiejętność czytania i pisania - przekaz dalej” jest jedynym ogólnokrajowym programem dla kobiet.

Przedstawiciele Coors zaznajomili mnie ze wstrząsającymi danymi, którymi chcę się z wami podzielić. Oczywiście jest, że analfabetyzm niszczy życie zarówno mężczyzn, jak i kobiet, ale w przypadku tych drugich nieznajomość czytania i pisania jest wyjątkowo dotkliwa. Nie tylko z powodu i tak już istniejącej dyskryminacji społecznej i ekonomicznej. Często w rodzinie jedynie kobiety odpowiadają za wychowanie dzieci, których powodzenie w szkole, i w życiu w ogóle, w znacznym stopniu zależy od poziomu wykształcenia matki.

Pracownicy programu „Umiejętność czytania i pisania - przekaz dalej” poprosili mnie, bym w najbliższej książce zwróciła uwagę na problem analfabetyzmu kobiet, odpowiedzią są obszerne fragmenty powieści, którą właśnie przeczytaliście. Podobnie jak Coors, ja także ofiarowałam pewną kwotę na rzecz programu. Co więcej, Coors zobowiązał się do wsparcia programu kwotą 50 000 \$, uzyskaną ze sprzedaży tej książki.

Przyłączcie się do mnie, gorąco namawiam. Czas odmienić życie innych.